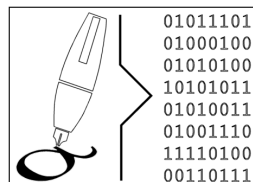


DAVID EDDINGS

RUBINOWY RYCERZ

Księga druga dziejów Elenium

Przełożyła: Maria Duch



Tytuł oryginału:

The Ruby Knight

Data wydania polskiego: 1993 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1990 r.

*Młodemu Mike'owi
(schowaj się gdzieś w samochodzie)
i Peggy
(co się stało z moimi balonami?)*

PROLOG

Historia rodu Sparhawk
z kronik Zakonu Rycerzy Pandionu

W dwudziestym piątym stuleciu hordy Othy, cesarza Zemochu, w swoim marszu na zachód najechały zachodni obszar Eosii, pustosząc ogniem i mieczem królestwa Elenów. Otha parł naprzód niezwycięzony, aż w końcu doszło do ostatecznego spotkania z połączonymi armiami królestw Zachodu, wspieranymi przez oddziały Rycerzy Kościoła, na rozległej, spowitej dymami równinie nad jeziorem Randerą. Powiadają, że na tym polu bitwy w centralnej Lamorkandii walka trwała kilkadziesiąt dni i nocy. Zemoscy najeźdźcy zostali odparci i zmuszeni do ucieczki w kierunku własnej granicy.

Eleni odnieśli całkowite zwycięstwo, ale ich armie liczyły swoich zabitych na tysiące, a więcej niż połowa spośród Rycerzy Kościoła poległa w bitwie. Kiedy zmęczeni zwycięzcy powrócili do swych domów, musieli stawić czoło wrogowi jeszcze groźniejszemu. Nastął głód, jedno z najczęstszych następstw wojny.

Kłęska głodu w Eosii zawładnęła życiem całych pokoleń, z czasem powodując wyludnienie kontynentu. To z kolei doprowadziło do rozpadu ładu społecznego i w królestwach Zachodu zapanował polityczny chaos. Baronowie jedynie z tytułu byli nadal lennikami swych królów. Ich prywatne waśnie często przeradzały się w straszliwe, lokalne wojny. Coraz śmielej poczynali sobie też zbójcy. Tak miały się sprawy aż do początku dwudziestego siódmego stulecia.

W tych burzliwych czasach u bram klasztoru w Demos stanął młodzieniec pragnący zostać członkiem naszego zakonu. Nauczyciele niemal od pierwszej chwili poznali się na nim. Spostrzegli, że młody kandydat o imieniu Sparhawk jest człowiekiem nieprzeciętnym. Szybko prześcignął w umiejętnościach innych nowicjuszy, a nawet młodszych rycerzy. Wyróżniał się nie tylko sprawnością fizyczną, ale był również obdarzony wyjątkową bystrością umysłu. Nauczyciel sekretów ze szczególną przyjemnością obserwował łatwość, z jaką młodzieniec zgłębiał tajniki magii, choć leciwy Styrik wymagał od niego daleko więcej, niż zwykło to czynić w przypadku rycerzy Zakonu Pandionu. Patriarcha Demos także był pod wrażeniem jego inteligencji i dzięki niemu pan Sparhawk, nim zdobył ostrogi, nabył również biegłości w prowadzeniu zawiłych dysput filozoficznych i teologicznych.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy pana Sparhawk pasowano na rycerza, w Cimmurze na króla Elenii koronowano młodego Antora i wkrótce, dzięki zrządzeniu losu, koleje życia obu młodych ludzi splotły się z sobą nierozdzielnie. Król Antor był młodzieńcem z natury popędliwym, a nawet lekkomyślnym. Coraz śmielsze poczynania zbójców w pobliżu północnych granic królestwa doprowadziły do tego, że zapominając o ostrożności młody monarcha stanął na czele słabo wyszkolonej armii i wyruszył na te tereny, by wypłenić zbójstwo ze szczętem. Kiedy wieść o tym dotarła do Demos, mistrz Zakonu Pandionu wysłał natychmiast na północ oddział rycerzy, aby wesprzeć króla. Sparhawk był wśród nich.

W krótkim czasie król Antor stracił panowanie nad sytuacją. Chociaż nikt nie mógł zarzucić mu braku odwagi, to niedostatek doświadczenia sprawiał, że często popełniał taktyczne i strategiczne błędy. Niepomny na poczucie solidarności między baronami północnych marchii, którzy trudnili się rozbojem, często prowadził swoich ludzi przeciwko jednemu z nich nie bacząc na to, iż najpewniej inni pośpieszą swojemu pobratymcowi z pomocą. Na domiar złego wojska króla Antora, zdziesiątkowane w bitwach, były nękane niespodziewanymi podjazdami. Król, ślepy i głuchy na wszystko, parł jednak z uporem naprzód, a baronowie Północy ochoczo ponawiali wypadki na tyły i skrzydła jego armii, zadając dotkliwie straty.

Taką sytuację zastał pan Sparhawk i pozostali rycerze Zakonu Pandionu po dotarciu do terenów, na których toczyły się walki. Wojownicy, którzy tak dotkliwie nękali armię młodego króla, stanowili w większości słabo wyszkolony i niezdiscyplinowany motłoch, rekrutujący się spośród członków lokalnych band. Wobec nowego układu sił baronowie wycofali się, aby przemyśleć dalsze poczynania. Nadal mieli przewagę liczebną, jednakże nie mogli lekceważyć sprawności bojowej rycerzy Zakonu Pandionu. Kilku z nich, rozochoconych poprzednimi zwycięstwami, ponaglało swoich pobratymców do ponownego ataku, ale starsi i rozsądniejsi byli przeciwni zbyt pochopnym decyzjom, zalecając ostrożność. Wielu baronów prawdopodobnie żywiło narastające przekonanie, że droga do tronu Elenii stoi przed nimi otworem. Gdyby król Antor poległ w bitwie, jego korona z łatwością mogła przypaść w udziale temu, kto będzie na tyle silny, by wyrwać ją z rąk swoich kompanów.

Pierwszy atak baronów na połączone siły Zakonu Rycerzy Pandionu i oddziały króla Antora był próbą, mającą na celu sprawdzenie sił i odwagi Rycerzy Kościoła oraz królewskich wojów. Wydawało się, że połączone armie broniły się jedynie, więc baronowie ponawiali ataki z coraz większą siłą, aż w końcu doszło do wielkiej bitwy w pobliżu granic z Pelosią. Gdy tylko stało się jasne, że napastnicy rzucili do walki wszystkie swoje oddziały, pandionicy odpowiedzieli ze swoją zwykłą zaciętością. Postawa obronna, którą przyjęli w czasie pierwszych próbnego ataków, okazała się jedynie podstępem, mającym na celu wciągnięcie baronów do walnej bitwy.

Przez znaczną część wiosennego dnia trwała zażarta walka. Późnym popołudniem, w jasnych promieniach słońca, król Antor pozostał bez swej straży przybocznej. Stracił konia i zmuszony był zewsząd odpierać ataki, jednakże postanowił nie oddawać tanio swojego życia. W tym momencie do walki włączył się pan Sparhawk. Szybko utorował sobie drogę do króla i obaj, wsparci o siebie plecami, w stylu tak starym jak sama historia wojen, stawili czoło nieprzyjaciołom. Połączenie brawury króla Antora z umiejętnościami pana Sparhawka pozwalało im trzymać napastników na odległość klingi dopóki, nieszczęśliwym zrzędzeniem losu, nie złamał się miecz dzielnego pandionity. Z triumfalnymi okrzykami napastnicy, chcąc obu rycerzy pozbawić życia, otoczyli ich i napierali coraz mocniej. Okazało się jednak, iż popełnili fatalną w skutkach pomyłkę myśląc, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki.

Pan Sparhawk wyrwał jednemu z poległych krótką, bojową włócznię o szerokim ostrzu i natarł na szeregi wroga. Punktem kulminacyjnym potyczki był moment, w którym przewodzący atakowi smagłolicy baron rzucił się na dotkliwie poranionego Antora i padł ugodzony włócznią Sparhawka. Śmierć barona znacznie osłabiła ducha walki jego ludzi, którzy wycofali się i ostatecznie uciekli z pola bitwy.

Król Antor był niemal śmiertelnie ranny, pan Sparhawk niewiele lżej. W zapadającym zmierzchu obaj rycerze wyczerpani padli obok siebie na zbroszoną krwią ziemię. Nie sposób dociec, o czym w ciągu owego wieczoru rozmawiali, jako że to, co między nimi zaszło, na zawsze pozostało tajemnicą. Wiemy jedynie, że w pewnej chwili zamienili się swym orężem. Król Antor przekazał miecz władców Elenii panu Sparhawkowi, a w zamian przyjął od niego bojową włócznię, którą rycerz uratował mu życie. Do końca swych dni król darzył tę prostą broń szczególnymi względami.

Okolo północy ranni dostrzegli w ciemnościach zbliżające się światło pochodni. Nie wiedząc, wróg to czy przyjaciel, podźwignęli się na nogi, ostatkiem sił przygotowując się do obrony. Jednakże przybysz nie był Elenem, lecz Styriczką odzianą w białą szatę. Niewiasta, której twarz była niewidoczna spod kaptura, w milczeniu opatrzyła im rany. Następnie śpiewnym głosem wyrzekła kilka słów i ofiarowała dwa pierścienie, które po wsze czasy miały symbolizować ich przyjaźń. Zgodnie z przekazem, w chwili gdy je otrzymali, owalne kamienie osadzone w pierścieniach były czyste jak diamenty, ale splamione ich wspólną krwią po dziś dzień pozostały ciemnoczerwone niczym rubiny. Tajemnicza Styriczka nie odezwała się już więcej. Odeszła w mrok nocy, a jej biała szata połyskiwała w świetle księżyca.

Kiedy mglisty poranek rozjaśnił ciemności, straż przyboczna Antora wespół z kilkoma rycerzami Zakonu Pandionu odnalazła obu rannych. Zostali złożeni na nosze i przetransportowani do Demos, do siedziby naszego zakonu. Wracali do zdrowia przez kilka miesięcy i nim nadszedł czas powrotu, byli już przyjaciółmi.

Nie śpiesząc się wrócili do stolicy królestwa Antora, do Cimmury, a tam władca wydał zdumiewające oświadczenie. Ogłosił, że od tej pory pan Sparhawk, rycerz Zakonu Pandionu, będzie jego obrońcą, Obrońcą Korony, i dopóki oba ich rody nie wyginą, dopóty jego potomkowie, z tym samym tytułem, będą służyć władcom Elenii.

W owym czasie dwór królewski w Cimmurze pełen był intryg, jednak widok surowego oblicza pana Sparhawka ostudził nieco zwaśnione strony. Po kilku nieudanych próbach skaptowania go do któregoś ze stronnictw, dworzanie z niezadowolaniem doszli do wniosku, że Obrońca Korony jest nieprzekupny. A co więcej, przyjaciel króla, rycerz Zakonu Pandionu, został wkrótce jego powiernikiem i osobistym doradcą. Jak już wspominaliśmy, pan Sparhawk obdarzony był wyjątkową bystrością umysłu. Z łatwością przejrzał intrygi różnych dworskich urzędników i zwrócił na nie uwagę swojego mniej przebiegłego przyjaciela. W ciągu roku dwór króla Antora został w zdumiewający sposób oczyszczony z korupcji dzięki temu, że panu Sparhawkowi udało się narzucić własne surowe zasady moralne całemu otoczeniu.

Coraz większy niepokój różnych politycznych ugrupowań budził jednak fakt rosnącego znaczenia Zakonu Pandionu. Król Antor był głęboko wdzięczny nie tylko panu Sparhawkowi, ale również całemu bractwu zakonnemu, którego członkiem był Obrońca Korony. Monarcha wraz ze swoim przyjacielem często odwiedzał Demos, by zasięgnąć rady mistrza naszego zakonu, a większość politycznych decyzji częściej była podejmowana w murach klasztoru niż w sali posiedzeń rady, gdzie dworzanie ustalając kierunki królewskiej polityki bardziej mieli na względzie swoje własne interesy niż dobro państwa.

Będąc w średnim wieku pan Sparhawk ożenił się i wkrótce żona powiła mu syna. Zgodnie z wolą Antora dziecku nadano imię Sparhawk, zapoczątkowując tradycję, która przetrwała aż po dzień dzisiejszy. Gdy młody Sparhawk osiągnął odpowiedni wiek, przybył do siedziby naszego zakonu, aby zdobyć wykształcenie stosowne do pozycji, którą miał w przyszłości zająć. Młodzieniec ten i syn Antora, następca tronu, ku zadowoleniu obu ojców, jeszcze w dzieciństwie bardzo się zaprzyjaźnili, gwarantując tym samym, że więź między monarchą i Obrońcą Korony nie zostanie zerwana.

Pełne chwały życie króla Antora dobiegało końca. Spoczywając na łożu śmierci, król przekazał rubinowy pierścień i krótką włócznię o szerokim ostrzu swojemu synowi; w tym samym czasie sędziwy pan Sparhawk przekazał swój rubinowy pierścień i królewski miecz swojemu synowi. Ten obyczaj także przetrwał do dnia dzisiejszego.

Wśród prostego ludu Elenii panuje przekonanie, że dopóki rodzinę królewską i ród Sparhawka łączyć będzie przyjaźń, dopóty w królestwie będzie panował dobrobyt, a złe siły nie zbliżą się do jego granic. Jak w wielu przesądach, tak i w tym tkwiło ziarenko prawdy. Potomkowie pana Sparhawka również byli nieprzeciętny-

mi ludźmi. Oprócz tradycyjnego wyszkolenia rycerzy Zakonu Pandionu pobierali także staranne wykształcenie w sztuce rządzenia państwem i dyplomacji, aby jak najlepiej sprostać swoim dziedzicznym obowiązkom.

W ostatnich czasach pojawił się jednakże pewien rozdzźwięk między rodziną królewską a rodem Sparhawk. Słabowity król Aldreas, zdominowany przez swoją ambitną siostrę i prymasa Cimmury, zaofiarował panu Sparhawkowi niższą, a nawet do pewnego stopnia uwłaczającą jego pozycję funkcję opiekuna księżniczki Ehlany – prawdopodobnie w nadziei, że Obrońca Korony poczuje się tym tak urażony, iż zrzeknie się swoich dziedzicznych praw. Jednakże pan Sparhawk poważnie potraktował swoje nowe obowiązki. Zajął się wykształceniem dziecka, które pewnego dnia miało zostać królową Elenii, starając się nauczyć ją wszystkiego, co mogłoby być jej potem pomocne w sprawowaniu władzy.

Kiedy stało się oczywiste, że pan Sparhawk dobrowolnie nie zrzeknie się swojego stanowiska, Aldreas, za namową swojej siostry i prymasa Anniasa, skazał rycerza na zesłanie do królestwa Rendoru.

Po śmierci króla Aldreasa na tron wstąpiła jego córka Ehlana. Na wieść o tym pan Sparhawk powrócił do Cimmury. Zastał młodą władczynię złożoną śmiertelną chorobą. Ehlana utrzymywała przy życiu zaklęcie rzucone przez styrycką czarodziejkę, Sephrenię, czar nie mógł jednak zachować swej mocy dłużej niż przez rok.

Po naradzie mistrzowie czterech zakonów Rycerzy Kościoła postanowili podjąć wspólne działania w celu zdobycia leku na chorobę królowej Ehlany, by przywrócić jej zdrowie i władzę, a skorumpowanemu prymasowi Anniasowi pokrzyżować plany zdobycia tronu arcyprałata. Ostatecznie mistrzowie alcjonitów, cyrinitów i genidianitów polecieli swoim najlepszym rycerzom towarzyszyć pandionitom panu Sparhawkowi i jego przyjacielowi z dzieciństwa, panu Kaltenowi — w poszukiwaniu lekarstwa, które uzdrowi nie tylko królową, ale i całe jej królestwo, zagrożone w swym bycie przez śmiertelną chorobę władczyni.

A oto jak się sprawy mają w istocie. Przywrócenie zdrowia miłościwej Ehlanie jest sprawą niezmiernej wagi nie tylko dla Elenii, ale i innych królestw, jako że nie ulega wątpliwości, iż wraz z objęciem tronu arcyprałata przez prymasa Anniasa w królestwach Eosii zapanuje niepokój, a przecież nasz odwieczny wróg, Otha z Zemochu, już czeka u wschodnich granic, gotowy wykorzystać każdą oznakę chaosu. Jednakże próba odszukania lekarstwa dla bliskiej śmierci królowej może okazać się zbyt trudna nawet dla Obrońcy Korony i jego dzielnych towarzyszy. Módlmy się, bracia, za powodzenie ich misji, albowiem jeżeli poniosą klęskę, całą Eosię ogarną wojny, a nasza cywilizacja przestanie istnieć.

CZEŚĆ I

Jezioro Randera

Rozdział 1

Było dobrze po północy. Gęsta, szara mgła wypełzła z nad rzeki Cimmury, wymieszała się z wszechobecnym dymem dobywającym się z tysięcy kominów i otuliła miasto, zacierając kontury wyludnionych ulic. Pomimo to Sparhawk, rycerz Zakonu Pandionu, zachowywał się bardzo ostrożnie, kryjąc się, gdy tylko mógł, w głębokim mroku. Pochodnie otoczone bladymi, tęczowymi aureolami bez większego powodzenia próbowały oświetlić lśniąca od wilgoci ulice, po których o tej porze nie wałęsał się nikt obdarzony choćby odrobiną zdrowego rozsądku. Sparhawk szedł wzdłuż ledwie majaczących w gęstym mroku domów. Bardziej niż oczom ufał swoim uszom, jako że w tę ciemną noc słuch o wiele lepiej niż wzrok potrafił ostrzec przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

To nie był najodpowiedniejszy czas na spacer. W ciągu dnia Cimmura nie była bardziej niebezpieczna niż inne miasta, ale w nocy jej uliczki zamieniały się w dżunglę, w której silniejszy pożera słabszego czy nieostrożnego. Sparhawk do tych ostatnich nie należał. Pod swoim prostym, podróżnym płaszczem miał kolczugę, u pasa zwisał mu ciężki miecz, w dłoni trzymał krótką włócznię bojową o szerokim ostrzu. Co więcej, swymi umiejętnościami przewyższał każdego pieszego rozbójnika, a na dodatek w tym momencie wszystko w nim wrzało. Ponury mężczyzna o złamanym nosie niemal pragnął, aby jakiś głupiec odważył się go zaatakować. Sparhawk sprowokowany potrafił być zupełnie nieobliczalny, a ostatnimi czasy wiele rzeczy go drażniło.

Rycerz był świadom tego, iż zajmował się niecierpiącą zwłoki sprawą. Wiedział, że chwilowa satysfakcja, jakiej dostarczyłaby mu potyczka z przygodnymi bandytami, nie powinna wziąć góry nad poczuciem odpowiedzialności. Jego blada, bliska śmierci królowa milcząco żądała od Obrońcy Korony absolutnej wierności. Nie może jej zawieść, umierając przypadkową śmiercią w jakimś błotnistym rynsztoku. Z pewnością nie przysłużyłby się tej, której poprzysiągł bronić. Dlatego też poruszał się ostrożnie, stawiając stopy ciszej, niżby to robił płatny morderca.

Gdzieś przed sobą, w oddali, dostrzegł zamglone, drżące światło pochodni i dobiegł go odgłos miarowych kroków. Zaklął pod nosem i ukrył się w cuchną-

cym zaułku.

Obok przemaszerowało sześciu mężczyzn w zroszonych mgłą czerwonych mundurach. Każdy niósł długą pikę opartą na ramieniu.

— To jest to miejsce na ulicy Róż — aroganckim tonem mówił oficer — w którym pandionicy próbują ukryć swoje bezbożne praktyki. Oczywiście wiedzą, że ich obserwujemy, ale nasza obecność ogranicza ich ruchy pozwalając jego wielebności, prymasowi Anniasowi, na swobodę działania.

— Znamy powody, poruczniku — powiedział znudzonym głosem kapral. — Zajmujemy się tym już od roku.

— Ach, tak... — Porucznik najwyraźniej się speszył. — Chciałem się tylko upewnić, że wiecie, o co chodzi.

— Tak jest — odparł beznamiętnie kapral.

— Zaczekajcie tutaj — rozkazał oficer, starając się nadać swojemu chłopięcemu głosowi szorstkie brzmienie. — Rozejrzę się. — Odszedł głośno uderzając obcasami o wilgotny bruk.

— Co za osioł! — mruknął kapral do swoich towarzyszy.

— Daj spokój, kapralu — rzekł stary, siwowłosy gwardzista. — Płacą nam za słuchanie rozkazów, więc swoje opinie zachowajmy dla siebie. Róbmy, co do nas należy, a oficerom pozostawmy wygłaszanie opinii.

Kapral odburknął coś skwaszony.

— Byłem wczoraj w pałacu — powiedział. — Prymas Annias wezwał do siebie bękartą Lycheasa, a ten głupiec koniecznie chciał iść z eskortą. Nie uwierzycie, ale porucznik omal nie lizał butów szczeniakowi.

— Tak, to porucznicy potrafią robić najlepiej. — Stary wiarus wzruszył ramionami. — To urodzeni lizusi, a poza tym bękart jest przecież księciem regentem. Nie jestem co prawda pewien, czy dzięki temu jego buty lepiej smakują, ale porucznikowi pewnie i tak zeszywniał język.

— Święta prawda. — Kapral roześmiał się. — Ale byłby chyba zaskoczony, gdyby królowa wyzdrowiała i okazało się, że płaszczył się na darmo?

— Oby tak się nie stało, kapralu — odezwał się inny z gwardzistów. — Jeżeli królowa się obudzi i przejmie skarbiec z powrotem, Annias nie będzie miał pieniędzy na żołąd dla nas za następny miesiąc.

— Zawsze przecież prymas może sięgnąć do kościelnej szkatuły.

— Bez ścisłego rozliczenia się nie może. Hierarchia z Chyrellos wyciska z funduszy kościelnych ile tylko się da.

— W porządku! — zawołał zza mgły młody oficer. — Zajazd pandionitów jest tuż przed nami. Zwolniłem trzymającego wartę żołnierza, a więc chodźmy zająć nasze miejsce.

— Słyszeliście — powiedział kapral. — Ruszamy.

Gwardziści odmaszerowali, niknąc we mgle.

Sparhawk uśmiechnął się w ciemności. Rzadko miał okazję przysłuchiwać się zwykłej rozmowie nieprzyjaciół. Od dawna podejrzewał, że gwardzistami prymsa powodowała bardziej chciwość niżli pobożność czy poczucie lojalności. Wyszedł z zaułka, ale natychmiast cofnął się bezszelestnie, ponieważ znów dobiegł go odgłos zbliżających się kroków. Nie wiadomo dlaczego puste zwykle nocą ulice Cimmury roily się od ludzi. Kroki były głośne, a więc ktokolwiek to był, nie starał się nikogo śledzić. Sparhawk silniej zacisnął dłoń na krótkim drzewcu włóczni. Z mgły wyłonił się mężczyzna w ciemnym chałacie, z dużym koszem na ramieniu. Wyglądał na zwykłego tragarza, ale nie można było mieć co do tego pewności. Sparhawk odczekał, aż przejdzie i kiedy odgłos kroków ucichł w oddali, ponownie wyszedł na ulicę. Szedł ostrożnie, miękkie podeszwy jego butów nie czyniły wiele hałasu na mokrym bruku, a okręcony ciasno szary płaszcz tłumił dzwonięcie kolczugi.

Przeszedł na drugą stronę pustej ulicy, aby ominąć smugę drżącego, żółtego światła lamp, dobywającą się wraz z pijackimi śpiewami z otwartych drzwi karczmy. Przełożył włócznię do lewej dłoni i jeszcze mocniej naciągnął na czoło kaptur, by osłonić twarz przed zamglonym światłem.

Przystanął. Nasłuchiwał wpatrując się w gęstą mgłę. Zdażał w kierunku wschodniej bramy, ale nie trzymał się ściśle kierunku. Łatwo ustalić cel, do którego zmierzają ludzie idący prosto przed siebie, a dzięki temu nietrudno ich schwytac. Sparhawk musiał opuścić miasto niepostrzeżenie, nawet jeżeli miałoby to zająć mu całą noc. Gdy już nabral pewności, że ulica jest pusta, ruszył dalej trzymając się w jak najgłębszym mroku. Pod ścianą domu na rogu, pod zamgloną pochodnią rzucającą pomarańczowe światło, siedział obdarty żebrak. Oczy przesłaniał mu bandaż, a nogi i ręce pokrywały rany wyglądające na prawdziwe. Sparhawk doskonale wiedział, że nie jest to najodpowiedniejsza na żebranie pora, a zatem ten człowiek musiał tu być w innym celu. Wtem na ulicę, tuż obok miejsca, w którym stał pandionita, spadła dachówka.

— Litości! — zawołał zdesperowanym głosem żebrak, chociaż miękkie obuwie Sparhawka nie czyniło hałasu.

— Dobry wieczór, ziomku — powiedział cicho rosły rycerz przechodząc na drugą stronę ulicy. Wrzucił kilka monet do miski żebraczej.

— Dziękuję, hojny panie. Niech Bóg ma cię w swej opiece.

— Nie powinienes okazywać, że mnie widzisz, ziomku — przypomniał mu Sparhawk. — Skąd niby masz wiedzieć, czy jestem panem?

— Późno już — usprawiedliwił się żebrak — i jestem trochę śpiący. Czasami się zapominam.

— To duże niedopatrzenie. Przykładaj się lepiej do pracy. A tak przy okazji, pozdrów ode mnie Platima. — Platim był budzącym grozę grubasem, który żelazną ręką rządził światem złoczyńców w Cimmurze.

Żebrak uniósł bandaże i patrzył na Sparhawka szeroko otwartymi oczyma. Ku

swojemu zdumieniu rozpoznał go.

— I powiedz swojemu przyjacielowi na dachu, żeby się tak nie gorączkował — dodał Sparhawk. — Niech lepiej uważa, gdzie stąpa. Ta dachówka, którą ostatnio zrzucił, omal mnie nie trafiła.

— On jest nowy. — Żebak westchnął. — Musi się jeszcze wiele nauczyć, dostojny panie.

— Tak, musi — przyznał rycerz. — Może mógłbyś mi pomóc, ziomku. Talen opowiadał mi o oberży w pobliżu wschodnich murów miasta. Zdaje się, że jest tam poddasze, które oberzysta czasami wynajmuje. Wiesz może, gdzie to jest?

— To w zaułku Koziorożca, dostojny panie. Szyld przypomina kiść winogron. Nie sposób go przegapić. — Żebak przymrużył oczy. — A gdzie ostatnio podzie-
wa się Talen? Dłuższy czas już go nie widziałem.

— Chyba zajął się nim ojciec.

— Nie wiedziałem, że Talen miał ojca. Ten chłopak daleko zajdzie, jeśli go przedtem nie powiesz. Jest chyba najlepszym złodziejem w Cimmurze.

— Wiem, kilka razy zwędził mi sakiewkę. — Sparhawk wrzucił jeszcze kilka monet do miski. — Będę wdzięczny, jeśli zachowasz dla siebie fakt, iż mnie dzisiejszej nocy widziałeś, ziomku.

— Nigdy cię nie widziałem, dostojny panie. — Żebak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A ja nigdy nie widziałem ciebie i twojego przyjaciela z dachu.

— A więc obu nam jest to na rękę.

— Też tak uważam. Powodzenia w interesach.

— Nawzajem.

Sparhawk uśmiechnął się i ruszył w dół ulicy. Krótkie spotkanie z przedstawicielem gorszej części społeczności Cimmury jeszcze raz się opłacało. Choć Platim nie był przyjacielem w dosłownym tego słowa znaczeniu, to jednak on i złoczyńcy, którymi rządził, bywali wielce pomocni. Sparhawk skreślił w jakąś uliczkę, aby upewnić się, czy niezdarny złodziej nie śledzi go, podążając za nim po dachach.

Jak zawsze, gdy był sam, tak i teraz myśli rycerza powędrowały w kierunku królowej. Znał Ehlanę jako dziecko, potem nie widywał jej przez dziesięć lat, które spędził na wygnaniu w Rendorze. Wreszcie po dziesięciu latach zobaczył władczynię siedzącą na tronie otoczonym diamentowym kryształem. Na samo wspomnienie tej sceny ścisnęło mu się serce. Zaczynał żałować, że nie skorzystał z okazji, która nadarzyła mu się wcześniej tej nocy, i nie zabił prymasa An-niasa. Truciele zasługują na pogardę, ale ten, kto otruił królową, naraził się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Sparhawk zawsze wyrównywał swoje rachunki.

Wtem usłyszał za sobą szybkie kroki, więc ukrył się w bramie. Zamarł w bezruchu.

Było ich dwóch.

— Widzisz go nadal? — szepnął jeden do drugiego.

— Nie. Mgła gęstnieje coraz bardziej. Myślę, że jest tuż przed nami.

— Jesteś pewien, że to pandionita?

— Gdy popracujesz tu równie długo jak ja, nauczysz się ich rozpoznawać. To kwestia tego, jak chodzą i trzymają ramiona. Na pewno jest pandionitą.

— Co robi na ulicy o tej porze?

— Tego właśnie mamy się dowiedzieć. Prymas chce mieć dokładne raporty o ich wszelkich ruchach.

— Ogarnia mnie lekki niepokój na myśl, że w tę mglistą noc skradamy się za pandionitą. Oni wszyscy posługują się czarami i potrafią wyczuć czyjaś obecność. Nie chciałbym, aby jego miecz zatopił się w moich trzewiach. Czy ty w ogóle widziałeś jego twarz?

— Nie. Miał naciągnięty kaptur, więc twarz była ukryta w cieniu.

Obaj skradali się ulicą nie zdając sobie zupełnie sprawy z faktu, że ich życie zawisło na włosku. Gdyby któryś z nich przyznał, że widział twarz Sparhawk, obaj byliby martwi. W tych sprawach Sparhawk był bardzo pragmatyczny. Odczekał, aż kroki ucichną w dali, skierował się do skrzyżowania i skręcił w boczną uliczkę.

W oberży nie było nikogo poza właścicielem, drzemiącym z nogami na stole i rękoma założonymi na brzuchu. Oberżysta był mężczyzną tęgim, nie ogolonym, odzianym w brudny kitel.

— Dobry wieczór, ziomku — zagadnął go Sparhawk.

Oberżysta otworzył jedno oko.

— Bardziej pasowałoby: dzień dobry — mruknął.

Sparhawk rozejrzał się dookoła. Ta oberża była typowym miejscem, gdzie zbierało się pospólstwo. Niska, belkowana powłoka pociemniała od dymu, w głębi izby stał szeroki szynkwas. Stołki i ławy były mocno sfatygowane, a trocin pokrywających podłogę nie zmiatano i nie wymieniano od miesięcy.

— Zdaje się, że to spokojna noc — zauważył rycerz.

— Zawsze jest spokojnie o tej porze, przyjacielu. Czego sobie życzysz?

— Masz arcjańskie czerwone?

— Arcium słynie ze swej winorośli. Nikomu nigdy nie zbraknie czerwonego arcjańskiego. — Oberżysta z pełnym znużenia westchnieniem wstał i nalał wina do pucharu. — Późną porę wybrałeś sobie na przechadzki, przyjacielu — zauważył, podając rycerzowi puchar, który — jak Sparhawk dostrzegł — od dawna nie był myty.

— Służba nie druźba. — Pandionita wzruszył ramionami. — Pewien znajomy powiedział mi, że masz tu na górze poddasze.

Oberżysta spojrzął na niego spod oka podejrzliwie.

— Nie wyglądasz na kogoś, kto miałby do załatwienia niecierpiący zwłoki interes na poddaszu — rzekł. — Czy ten twój znajomy ma imię?

— Nie takie, które chciałby podawać do publicznej wiadomości. — Sparhawk pociągnął tęgi łyk wina. Okazało się wyjątkowo poślednie.

— Przyjacielu, nie znam cię i nie podoba mi się twoje nazbyt pańskie obejście. Dopij wino i idź stąd! Chyba że potrafisz przypomnieć sobie jakieś odpowiednie imię.

— Mój znajomy pracuje dla człowieka o imieniu Platim. Pewnie słyszałeś o nim.

— Platim musi być splukany. — Oberżysta spojrział z nieco większym zainteresowaniem. — Nie wiedziałem, że ma coś wspólnego ze szlachetnie urodzonymi... oczywiście poza okradaniem ich.

Sparhawk wzruszył ramionami.

— Ma wobec mnie pewne zobowiązania — mruknął.

Zarośnięty mężczyzna wciąż patrzył podejrzliwie.

— Każdy może wycierać sobie buzię Platimem — stwierdził.

— Ziomku — rzekł Sparhawk bezbarwnym głosem i odstawił puchar — to zaczyna być nudne. Albo wejdziemy na twoje poddasze, albo pójdę rozejrzeć się za strażami. Jestem pewien, że bardzo ich zainteresuje twój szynk.

Oberżysta sposepniał.

— To cię będzie kosztowało pół srebrnej korony — zdecydował wreszcie.

— W porządku.

— Nawet nie zamierzasz się potargować?

— Trochę mi się śpieszy. Następnym razem możemy posprzeczać się o cenę.

— Zdaje się, że bardzo zależy ci na opuszczeniu miasta, przyjacielu. Nie zabiłeś chyba nikogo dzisiejszej nocy tą włócznią?

— Jeszcze nie — powiedział Sparhawk spokojnie.

Oberżysta głośno przełknął ślinę.

— Pokaż mi pieniądze — zażądał.

— Oczywiście, ziomku. A potem pójdziemy na górę rozejrzeć się po okolicy.

— Musimy być ostrożni. Przy tej mgle nie sposób dostrzec nadchodzących strażników.

— Zajmę się tym.

— Tylko bez zabijania! Ta karczma jest całkiem miła, dzięki niej mam co włożyć do garnka. A jeżeli ktoś zabije tu strażnika, będę musiał ją zamknąć.

— Nie martw się, ziomku. Nie mam zamiaru nikogo zabijać dzisiejszej nocy.

Poddasze było zakurzone i sprawiało wrażenie rzadko używanego. Oberżysta ostrożnie otworzył okno w szczytowej ścianie i usiłował coś dojrzeć w gęstym oparze. Za jego plecami Sparhawk zaszepotał po styricku i uwolnił zakłęcie. Wyczuł tam, we mgle, obecność człowieka.

— Ostrożnie — powiedział cicho. — Nadchodzi strażnik.

— Nikogo nie widzę.

— Słyszę go — rzekł Sparhawk. Nie było potrzeby wdawać się w zawile wyjaśnienia.

— Masz dobry słuch, przyjacielu.

Czekali obaj w ciemności, dopóki zaspany strażnik nie przeszedł mimo i nie zniknął we mgle.

— Pomóż mi. — Oberżysta dźwignął jeden koniec ciężkiej belki na parapet. — Przerzucimy ją na mur i przejdiesz po niej. Potem rzucę ci koniec tej liny. Jest tu umocowana, a więc będziesz mógł się po niej ześliznąć.

Przesunęli belkę nad uliczką przylegającą do muru otaczającego miasto.

— Dzięki, ziomku — rzekł Sparhawk. Wspiął się na belkę i centymetr po centymetrze, ostrożnie dotarł do jej końca. Potem złapał zwój liny, która wyłoniła się z mglistej ciemności. Spuścił ją z muru i zsunął się na dół. Po chwili był już za miastem. Lina zniknęła wessana we mgłę i dobiegł go odgłos wciąganej belki.

— Bardzo sprytnie — mruknął do siebie, oddalając się chyłkiem od miejskich murów. — Muszę zapamiętać to miejsce.

Mgła trochę utrudniała określenie kierunku, ale trzymając się majaczącego po lewej stronie muru mógł mniej więcej zorientować się, dokąd idzie. Ostrożnie stawiał kroki. Noc była spokojna i panująca dookoła cisza zwielokrotniłaby każdy uczyniony nierozważnie hałas.

Wtem przystanął. Instynkt nigdy go nie zawodził. Wiedział, że jest obserwowany. Powoli wyciągnął miecz z pochwy uważając, aby nie zadzwonił. Z mieczem w jednej, a włócznią w drugiej ręce stał usiłując wzrokiem przebić mgłę i ciemności nocy.

Wreszcie to ujrzał: Ledwie zarzyło się w ciemności. Było tak słabe, że większość ludzi nie zwróciłaby na to uwagi. Ognik zbliżył się i rycerz stwierdził, że miał zielonkawy odcień. Sparhawk zamarł w bezruchu i czekał.

Przez mgłę szła jakaś postać, niewyraźna, ale rzeczywista. Wydawało się, że jest odziana w czarną szatę z kapturem, spod którego sączył się ów słaby blask. Postać była dość wysoka i sprawiała wrażenie nienaturalnie chudej, prawie szkieletu. Sparhawkiem wstrząsnął zimny dreszcz. Zamruczał po styricku, poruszając palcami na rękojeści miecza i drzewcu włóczni. Uniósł włócznię i uwolnił zakłęcie. Zakłęcie było stosunkowo proste i miało pomóc w zidentyfikowaniu majaczącego we mgle kształtu. Sparhawk z trudem się opanował, by nie krzyknąć ze zgrozy, gdy poczuł zło emanujące z postaci ukrytej w mroku. Cokolwiek to było, nie było istotą ludzką.

Po chwili z mroków nocy dobiegł go upiorny, metaliczny chichot. Postać zawróciła i oddaliła się. Szła pokracznie, jakby jej kolana zginały się do tyłu. Rycerz nie ruszył się z miejsca, dopóki wrażenie zła nie odpłynęło. Czymkolwiek to było, odeszło.

— Zastanawiam się, czy to nie jest kolejna niespodzianeczka Martela — mruknął Sparhawk pod nosem. Martel był renegatem, wyklętym rycerzem Za-

konu Pandionu. On i Sparhawk niegdyś przyjaźnili się, ale to było dawno temu. Teraz Martel pracował dla prymasa Anniasa i to właśnie on dostarczył truciznę, którą Annias omal nie zabił królowej.

Sparhawk bezszelestnie podążał dalej, nadal trzymając w pogotowiu miecz i włócznię. W końcu dostrzegł pochodnie znaczące zamkniętą wschodnią bramę miasta i dzięki nim ustalił, że cel, do którego zmierzał, jest już blisko.

Nagle usłyszał za sobą ciche sapanie, przypominające odgłosy wydawane przez wężącego psa. Ponownie dobiegł go metaliczny chichot. Przeszukał pośpiesznie zakamarki pamięci w poszukiwaniu lepszego określenia. To był nie tyle chichot, co rodzaj poświstywania; dźwięk jeżący włosy na głowie. Jeszcze raz dotarło do niego uczucie wszechogarniającego zła i odpłynęło znowu.

Sparhawk skręcił nieznacznie, oddalając się od murów i zamglonych pochodni przy miejskiej bramie. Po blisko piętnastu minutach ujrzał majaczący tuż przed nim zarys siedziby Zakonu Pandionu.

Położył się na mokrym od mgły torfie i począł ponownie splatać zakłęcie penetrujące. Uwolnił je i czekał.

Nic.

Wstał, schował miecz i ostrożnie ruszył naprzód. Siedziba zakonu, przypominająca swoim wyglądem warowny zamek, była jak zawsze obserwowana. Gwardziści prymasa, przebrani za brukarzy, obozowali niedaleko głównej bramy. Wokół ich namiotów ostentacyjnie ułożono piramidy z kamieni służących do budowy drogi. Sparhawk obszedł obozowisko, skierował się do tylnej ściany zamczyska i ostrożnie ruszył przez głęboką, naszpikowaną palami fosę.

Lina, po której zsunął się na dół opuszczając siedzibę zakonu, nadal dyndała ukryta za krzakami. Szarpnął ją kilkakrotnie upewniając się, że jej górny koniec nadal mocno się trzyma. Następnie zatknął włócznię za pas, ujął linę w dłoń i pociągnął mocno w dół.

Z góry dobiegł go zgrzyt haka wbitego w kamienny mur. Rozpoczął wspinaczkę.

— Kto tam jest? — usłyszał nad sobą ostry głos. Brzmiał młodzieńczo i znajomo.

Zaklął pod nosem. Wtem poczuł, że ktoś szarpie linę.

— Bericie, nie ruszaj! — rzucił, wspinając się co sił.

— Pan Sparhawk? — zapytał zdumiony nowicjusz.

— Nie szarp liny. Te pale, tam poniżej, są bardzo ostre.

— Pomogę, dostojny panie.

— Dam sobie radę. Tylko nie rusz tego haka — mruknął Sparhawk. Berit chwycił go za ramię i pomógł wdrapać się na mur. Rycerz, mokry od potu, dyszał ciężko. Wspinaczka po linie, kiedy ma się na sobie kolczugę, wymaga sporo wysiłku.

Berit był wielce obiecującym nowicjuszem w Zakonie Pandionu. Wysoki, solidnie zbudowany młodzieniec, odziany w kolczugę i prosty płaszcz, dzierżył w dłoni ciężki topór bitewny. Był dobrze wychowany, toteż nie zadawał żadnych pytań, chociaż oczy płonęły mu ciekawością. Sparhawk spojrzął w dół, na dziedziniec klasztoru. W drżącym blasku pochodni ujrzał Kurika i Kaltena. Obaj przypasywali miecze, a odgłosy dobiegające ze stajni świadczyły, iż siodłano im właśnie konie.

— Nie oddalajcie się! — zawołał.

— Sparhawk, co ty tam robisz? — spytał zdumiony Kalten, potężny, jasnowłosy mężczyzna w czarnej zbroi pandionity.

— Sprawdzałem, czy nadaję się na włamywacza — odparł rosy rycerz oschle. — Zostańcie tam. Zaraz do was zejść. Bericie, chodź ze mną.

— Powiniennem pełnić wartę, dostojny panie Sparhawk.

— Wyślemy kogoś, żeby cię zastąpił. Sprawa jest poważna. — Sparhawk poprowadził go do kamiennych schodów wiodących z murów na dziedziniec.

— Gdzie byłeś, Sparhawk? — dopytywał się nerwowo Kurik, gdy znaleźli się na dole. Giermek Sparhawka był jak zwykle ubrany w skórzany długi kaftan bez rękawów, a jego muskularne ramiona i barki połyskiwały w pomarańczowym świetle pochodni rozjaśniających dziedziniec. Mówił przyciszonym głosem, tak jak zwykle rozmawiają ludzie nocą.

— Musiałem iść do katedry — rzekł Sparhawk spokojnie.

— Czyżbyś się nagle stał pobożny? — zapytał Kalten z niedowierzaniem.

— Niezupełnie. Pan Tanis umarł. Jego duch odwiedził mnie około północy.

— Pan Tanis? — Kalten był wyraźnie poruszony.

— Tak, jeden z dwunastu rycerzy, którzy towarzyszyli Sephrenii podczas rzućcia zaklęcia na Ehlane. Jego duch, nim oddał mateczce swój miecz, polecił mi udać się do krypty pod katedrą.

— I poszedłeś? Nocą?

— To była niecierpiąca zwłoki sprawa.

— Co tam robiłeś? Plądrowałeś grobowce? Czy to tym sposobem zdobyłeś tę włócznię?

— Niezupełnie — rzekł Sparhawk. — Otrzymałem ją od króla Aldreasa.

— Aldreasa?

— Właściwie od jego ducha. Zagubiony pierścień jest ukryty w drzewcu. — Sparhawk zmienił temat. — A dokąd wy się teraz wybieracie?

— Szukać ciebie — wyjaśnił Kurik wzruszając ramionami.

— A skąd wiedzieliście, że opuściłem klasztor?

— Zaglądałem do ciebie kilka razy — powiedział giermek. — Myślałem, że wiesz, iż mam taki zwyczaj.

— Każdej nocy?

— Najmniej trzykrotnie — potwierdził Kurik. — Robiłem to co noc od czasów twojego dzieciństwa — z wyjątkiem lat, które spędziłeś w Rendorze. Dzisiejszej nocy, kiedy zajrzałem do twej celi za pierwszym razem, mówiłeś przez sen. Za drugim razem — tuż po północy — nie zastałem ciebie. Zniknąłeś. Rozejrzałem się dookoła, a gdy nigdzie cię nie znalazłem, zbudziłem Kaltena.

— Myślę, że powinniśmy obudzić pozostałych — rzekł Sparhawk pośpiesznie. — Aldreas to i owo mi powiedział i musimy podjąć konkretne decyzje.

— Złe wieści? — zapytał Kalten.

— Trudno ocenić. Bericie, powiedz tym nowicjuszom ze stajni, aby zastąpili cię na murach. To może zająć nam trochę czasu.

Zebrał się w komnacie mistrza Vaniona, w południowej wieży. Sparhawk, Berit, Kalten i Kurik, a także Bevier, rycerz Zakonu Cyriników z Arcium, Tynian, rycerz Zakonu Alcejonu z Deiry, i Ulath, wspaniała rycerz Zakonu Genidianu z Thalesii. Tych trzech — najdzielniejszych z dzielnych rycerzy — przysłały bratnie zakony, aby towarzyszyli Sparhawkowi i Kaltenowi, ponieważ uznano, iż przywrócenie zdrowia królowej Ehlanie jest sprawą jednaką ważną dla wszystkich. Sephrenia, drobna, krucha, ciemnowłosa Styriczka, która wtajemniczyła rycerzy Zakonu Pandionu w sekrety magii, siedziała przy kominku razem z małą, może pięcioletnią dziewczynką, niemową, zwaną Flecik. Przy oknie przecierał zaspane oczy Talen. Chłopak miał zdrowy sen i nie lubił, gdy go budzono przed świtem. Vanion, mistrz Zakonu Rycerzy Pandionu, siedział za stołem pełniącym również rolę biurka. Jego komnata była wygodna i przytulna, miała niski, belkowany strop i okazały kominek, na którym zawsze płonął ogień. Jak zwykle na gzymsie kominka stał parujący imbryczek Sephrenii.

Vanion, wyrwany ze snu w środku nocy, nie wyglądał najlepiej. Mistrz o surowym, zatroskanym obliczu, ubrany był w prostą, białą szatę styricką z samodzią. Sparhawk obserwował, jak z biegiem lat w jego nauczycielu i przyjacielu zachodziły powolne i nad wyraz osobliwe zmiany. W miarę upływu czasu mistrz Zakonu Rycerzy Pandionu, jedna z podpór Kościoła, coraz bardziej upodabniał się do Styrika. Obowiązkiem Sparhawk, jako Elena i Rycerza Kościoła, było powiadomienie władz kościelnych o poczynionych obserwacjach. Zdecydował jednak tego nie czynić. Lojalność wobec Kościoła była jedną sprawą, przykazaniem bożym. Lojalność wobec Vaniona była zupełnie innej, bardziej osobistej natury.

Mistrz miał twarz poszarzałą ze zmęczenia, a ręce mu nieznacznie drżały. Najwyraźniej brzemień przejęte od Sephrenii, na które składały się miecze trzech zmarłych rycerzy, ciążyło mu bardziej, niż się tego spodziewał. Zakłęcie, którego Sephrenia użyła w sali tronowej i które utrzymywało przy życiu królową, wymagało uczestnictwa dwunastu rycerzy Zakonu Pandionu. Wiadomo było, że ci rycerze będą kolejno umierać, a ich duchy dostarczą miecze Sephrenii. Po śmierci ostatniego z dwunastu zbrojnych mężów czarodziejka również będzie musiała podążyć do Domu Śmierci. Poprzedniego wieczoru Vanion nakłonił Sephrenię,

aby przekazała mu otrzymane wcześniej miecze. Ale to nie fizyczny ciężar broni sprawiał, iż brzemię tak go przytłaczało. Wiązały się z tym i inne sprawy, których Sparhawk nie był się w stanie nawet domyślić. Vanion bardzo nalegał, aby czarodziejka przekazała mu miecze, starał się racjonalnie umotywować swą decyzję, ale Sparhawk w duchu podejrzewał, iż głównym powodem była chęć oszczędzenia Sephrenii. Sparhawk wierzył, że pomimo wszelkich surowych zakazów, jakie obowiązywały w ich zakonie, Vanion kochał tę drobną, kruchą niewiastę, która od pokoleń kształciła całe zastępy pandionitów w sekretach styrickiej magii. Wszyscy rycerze Zakonu Pandionu kochali i wielbili Sephrenię. Sparhawk miał wrażenie, iż Vanion w swej miłości i uwielbieniu posunął się o krok dalej. Zauważył również, że i Sephrenia zdawała się darzyć mistrza specjalnymi względami, wykraczającymi o wiele dalej poza uczucia, jakimi nauczyciele obdarzają swoich uczniów. O czymś takim Rycerz Kościoła powinien niezwłocznie powiadomić hierarchię w Chyrellos. Ale i tym razem Sparhawk postanowił tego nie czynić.

— Po co zebraliśmy się o tej niezwykle wczesnej porze? — odezwał się Vanion słabym głosem.

— Chcesz sama mu o tym powiedzieć, mateczko? — zapytał Sparhawk Sephrenię.

Styryczka w białej szacie westchnęła i odwinęła z płótna długi przedmiot, który okazał się kolejnym mieczem rycerza Zakonu Pandionu.

— Tanis odszedł do Domu Śmierci — rzekła smutno do Vaniona.

— Tanis? Kiedy to się stało? — pytał Vanion głosem pełnym udreki.

— Jak wnoszę, niedawno.

— Czy to dlatego zebraliśmy się dzisiejszej nocy? — mistrz zwrócił się do Sparhawka.

— Niezupełnie. Pan Tanis, zanim udał się ze swoim mieczem do Sephrenii, złożył mi wizytę — a raczej uczynił to jego duch. Powiedział, że ktoś z krypty królewskiej w katedrze chce się ze mną widzieć. Poszedłem więc do katedry, gdzie stanąłem przed duchem Aldreasa. Król wyjawiał mi parę spraw i dał to. — Sparhawk odkręcił. drzewce włóczni i wytrząsnął ze schowka rubinowy pierścień.

— A więc to tu ukrył go Aldreas — powiedział Vanion. — Chyba był mądrzejszy, niż myśleliśmy. Rzekłeś, że wyjawiał ci parę spraw. O czym mówił?

— O tym, że został otruty. Prawdopodobnie tą samą trucizną, którą podali Ehlanie.

— Czy to był Annias? — zapytał ponuro Kalten.

— Nie. — Sparhawk potrząsnął głową. — To była księżniczka Arissa.

— Jego rodzona siostra? — wykrzyknął Bevier. — To potworne! — Bevier, szczupły młodzieniec o oliwkowej cerze i kruczoczarnej czuprynie, pochodził z Arcium i jak każdy Ark miał wpojone surowe zasady moralne.

— Arissa to prawdziwy potwór — przyznał Kalten. — Nie należy do osób, które tolerują najmniejsze przeszkody na swojej drodze. Jak jednakże udało jej się

wydostać z klasztoru w Demos, by otruć króla?

— Annias to zorganizował — odrzekł Sparhawk. — Zabawiała się z Aldre-
asem w swój zwykły sposób, a gdy był już zmęczony, podała mu zatrute wino.

— Nie bardzo rozumiem. — Bevier zmarszczył brwi.

— Związek łączący Arissę z Aldreasem był o wiele głębszy niż ten, jaki zwy-
kle łączy brata i siostrę — wyjaśnił mu delikatnie Vanion.

Bevier otworzył szeroko oczy, a jego śniada twarz pobrała, gdy dotarło do
niego znaczenie słów Vaniona.

— Czemu go zabiła? — zapytał Kalten. — Z zemsty za zamknięcie w klasz-
torze?

— Nie, nie sędzę — rzekł Sparhawk. — Myślę, że było to częścią planu, który
ułożyła wspólnie z Anniasem. Najpierw otruli Aldreasa, a potem Ehlanę.

— W ten sposób bękart Arissy miałby wolną drogę do tronu? — domyślił się
Kalten.

— To wydaje się logiczne — przyznał Sparhawk. — Dowiedziałem się jesz-
cze, że Lycheas jest synem Anniasa. Wszystko więc do siebie pasuje.

— Lycheas jest synem prymasa Kościoła? — odezwał się zaskoczony Tynian,
skory do żartów alcjonita o okrągłej, dobroduszej twarzy. — Czyżby mieszkań-
ców Elenii obowiązywały inne prawa niż pozostałych Elenów?

— Niezupełnie — odparł Vanion. — To tylko Annias wydaje się myśleć, że
stoi ponad prawem, Arissa zaś łamała je dla własnej przyjemności.

— Arissa nie przywiązywała zbyt wiele do przestrzegania dobrych oby-
czajów — dodał Kalten. — Plotki mówią, że zadawała się niemal ze wszystkimi
mężczyznami w Cimmurze.

— To chyba lekka przesada. — Vanion wstał i podszedł do okna. — Przekażę
tę informację Dolmantowi, patriarsze Demos — rzekł, spoglądając w mglistą noc.
— Być może zrobi z tego użytek, kiedy nadejdzie czas wyboru nowego arcypra-
łata.

— Prawdopodobnie i hrabiemu Lendzie przyda się ta wiadomość — zas-
ugerowała Sephrenia. — Rada Królewska jest wprawdzie skorumpowana, ale jej
członkowie chyba jednak się przeciwstawia, gdy wyjdzie na jaw, iż Annias pró-
buje posadzić na tronie swego własnego bękart. — Spojrzała na Sparhawk. —
Co jeszcze wyjawiał ci Aldreas?

— Tylko jedno jeszcze. Wiemy już, że potrzebujemy jakiegoś magicznego
przedmiotu, by uleczyć Ehlanę. Król powiedział mi, czego mamy szukać. To
Bhelliom, jedyna rzecz na świecie mająca wystarczającą moc.

Sephrenia pobrała jak płótno.

— Nie! — krzyknęła. — Nie Bhelliom!

— Tak mi powiedział.

— To nie jest łatwe zadanie — mruknął Ulath. Ten potężny, wysoki — o głowę
wyższy od Sparhawk — genidianita o jasnych włosach splecionych w dwa gru-

be warkocze, rzadko zabierał głos. — Bhelliom zaginął jeszcze w czasach wojny z Zemochem. Nawet jeżeli poszczęści się nam i znajdziemy go, to i tak nie załadniemy jego mocą, dopóki nie będziemy mieć pierścieni.

— Jakich pierścieni? — spytał Kalten.

— Bhelliom jest dziełem karłowatego trolla Ghweriga — wyjaśnił Ulath. — Ghwerig wykuł też dwa pierścienie, które były kluczem do jego mocy. Bez tych pierścieni Bhelliom jest bezużyteczny.

— My już mamy te pierścienie — powiedziała Sephrenia w zamyśleniu, ze stroskanym wyrazem twarzy.

— Mamy? — zdumiał się Sparhawk.

— Nosisz jeden z nich, a dzisiejszej nocy Aldreas dał ci drugi.

Sparhawk zaskoczony spojrzął na rubinowy pierścień zdobiący jego lewą dłoń i podniósł wzrok na swoją nauczycielkę.

— Jak to możliwe? Jak mój przodek i król Antor weszli w posiadanie tych pierścieni? — pytał.

— Ja im je dałam.

— Mateczko, to było trzysta lat temu!

— Tak — zgodziła się — w przybliżeniu trzysta lat.

Sparhawk popatrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, po czym głośno przełknął ślinę.

— Trzy stulecia? — Nie mógł w to uwierzyć. — Sephrenio, w takim razie ile ty masz lat?

— Wiesz, mój drogi, że nie odpowiem na to pytanie. Kilkakrotnie wyjaśniałam ci już dlaczego.

— A jak zdobyłaś te pierścienie?

— Dała mi je moja bogini Aphrael, ale nie dla mnie były przeznaczone. Bogini powiedziała mi, gdzie znajdę twojego przodka i króla Antora oraz poleciła mi dostarczyć im te pierścienie.

— Mateczko... — zaczął Sparhawk, ale zaraz przerwał, widząc jej pobladłe oblicze.

— Cicho, mój drogi — poleciła mu czarodziejka i zwróciła się do wszystkich obecnych: — Cni rycerze, tego, co teraz powiem, nie będę więcej powtarzać. Nasze poczynania narażają nas na gniew Starszych Bogów. Niełatwo im się przeciwstawić. Wasz Bóg, Bóg Elenów, wybacza; Młodszy Bogowie Styricum dają się przebłagać. Jednakże Starsi Bogowie żądają całkowitej uległości względem swoich kaprysów. Sprzeciwić się poleceniom Starszego Boga Styricum to gorzej jak rzucić wyzwanie śmierci. Mszczą się na tych, którzy ośmielili się im stawić czoło, mszczą w sposób, który trudno sobie nawet wyobrazić. Czy naprawdę pragniecie, aby Bhelliom jeszcze raz ujrzał światło dzienne?

— My musimy to zrobić! — wykrzyknął Sparhawk. — To jedyny sposób na uratowanie Ehlana, a także ciebie, mateczko, i mistrza Vaniona.

— Annias nie będzie żył wiecznie, Sparhawk, a Lycheas jedynie trochę zawadza. Vanion i ja również jesteśmy śmiertelni, tak jak — bez względu na twoje osobiste uczucia — Ehлана. Świat nie będzie zbyt długo opłakiwał naszej śmierci. — Głos Sephrenii był niemal całkiem pozbawiony wyrazu. — Co innego jednak Bhelliom. . . i Azash. Jeśli nie powiedzie się nam i kamień wpadnie w plugawe ręce tego okrutnego boga, to zgubimy świat na zawsze. Czy warto podjąć takie ryzyko?

— Jam jest obrońca Korony i Rycerz Królowej — przypomniał jej Sparhawk. — Muszę uczynić wszystko, co leży w mej mocy, by uratować życie Ehłanie. — Wstał i podszedł do czarodziejki. — Niech mnie mój Bóg wspomaga. Nie zawaham się wyważyć bramy piekieł, Sephrenio, aby uratować tę dziewczynę.

Sephrenia westchnęła.

— On czasami jest taki dziecinny — zwróciła się do Vaniona. — Nie wiesz, kiedy wydorosłeje?

— Prawdę powiedziawszy, zastanawiałem się właśnie, czyby mu nie towarzyszyć — odparł mistrz z uśmiechem. — Może Sparhawk pozwoli mi potrzymać swój płaszcz, gdy będzie kopał w tę bramę. W końcu nikt nie uniknie piekła.

— Ty również myślisz tak jak on. — Czarodziejka zakryła dłońmi twarz. — O, mój drogi. Trudno, muszę się zgodzić — powiedziała z rezygnacją. — Wszystkim wam tak na tym zależy, więc spróbujemy, ale pod jednym warunkiem. Jeżeli znajdziemy Bhelliom, natychmiast po uzdrowieniu Ehłany musimy go zniszczyć.

— Zniszczyć?! — wybuchnął Ulath. — Toż to najcenniejsza rzecz na świecie!

— I najniebezpieczniejsza. Jeśli kiedykolwiek Azash wejdzie w jej posiadanie, świat będzie zgubiony, a cała ludzkość popadnie w najohydniejszą z możliwych niewoli. Szlachetni rycerze, ja muszę przy tym obstawać. W przeciwnym razie uczynię wszystko, by przeszkodzić wam w odnalezieniu tego kamienia.

— Zdaje się, że nie mamy zbyt dużego wyboru. — Ulath zwrócił się do towarzyszy. — Bez jej pomocy mamy niewielkie szanse na zdobycie Bhelliomu — powiedział grobowym głosem.

— Och, ktoś go na pewno znajdzie — rzekł Sparhawk z przekonaniem. — Aldreas oznajmił mi, iż nadszedł już czas, aby Bhelliom ponownie ujrzeć światło dzienne i nie ma siły, która mogłaby temu zapobiec. Dręczy mnie jedynie pytanie, czy znajdzie go jeden z nas, czy też jakiś Zemoch, który zaniesie go prosto do Othy.

— A może sam o własnych siłach wydzwignie się z ziemi — zażartował Ty-nian. — Czy mógłby to uczynić, Sephrenio?

— Chyba tak.

— Jak zdołałeś wymknąć się z klasztoru uchodząc uwagi prymasowskich szpiegów? - - zapytał Kalten z ciekawością.

— Ześliznąłem się po linie spuszczonej z tylnego muru.

— A co z dostaniem się do miasta i umknięciem zeń po zamknięciu bram?

— Dzięki czystemu przypadkowi bramy były jeszcze otwarte, gdy zdążyłem do katedry. A opuszczając miasto skorzystałem z innej drogi.

— To poddasze, o którym ci wspominałem? — domyślił się Talen. Miał dopiero jedenaście lat, a już wyrażali się o nim z uznaniem wszyscy złodzieje i żebracy w Cimmurze.

Sparhawk skinął głową.

— Ile od ciebie wziął? — zapytał chłopak.

— Pół srebrnej korony.

Talen był zaszokowany tym, co usłyszał.

— I oni mnie nazywają złodziejem! Wystrychnął cię na dudka, dostojny panie!

— Musiałem się wydostać z miasta. — Rycerz wzruszył ramionami.

— Powiem o tym Platimowi. On dostanie z powrotem twoje pieniądze. — Chłopiec uniósł się gniewem. — Pół korony?! To oburzające!

Wtem Sparhawk przypomniał sobie o czymś jeszcze.

— Sephrenio, gdy wracałem, coś we mgle mnie śledziło. To chyba nie był człowiek.

— Damork?

— Nie jestem pewien, ale to coś sprawiło na mnie dziwne wrażenie. Azash ma chyba na swoich usługach nie tylko damorki?

— Nie. Damorki są najpotężniejsze z nich, ale przy tym głupie. Inne stwory nie mają ich mocy, są za to mądrzejsze. Pod wieloma względami mogą być nawet groźniejsze.

— Sephrenio — odezwał się Vanion — myślę, że powinnaś mi teraz przekazać miecz Tanisa.

— Mój drogi... — Czarodziejka z udreką wyzierającą z jej twarzy chciała zaprotestować.

— Już raz tej nocy nad tym dyskutowaliśmy — przypomniał jej mistrz Zakonu Rycerzy Pandionu. — Nie zaczynamy od nowa.

Sephrenia westchnęła. Oboje zgodnym chórem zaintonowali monotonną pieśń w języku Styrików. Kiedy skończyli i ich dłonie się zetknęły, oblicze Vaniona poszarzało nieznacznie. Czarodziejka podała mistrzowi broń zmarłego pandionity.

— Od czego zaczynamy? — zwrócił się Sparhawk do Ulatha, gdy ceremonia przekazania miecza dobiegła końca. — Gdzie znajdował się król Sarak w momencie zgubienia korony?

— Tego naprawdę nikt nie wie — odparł rosty rycerz Zakonu Genidianu. — Opuścił Emsat, gdy Otha najechał na Lamorkandię. Zabrał z sobą nieliczną świtę, a reszcie swojej armii rozkazał podążyć na pole bitewne nad jeziorem Randera.

— Czy ktokolwiek go tam widział? — zapytał Kalten.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Armia Thalesii poniosła dotkliwe straty. Możliwe, że Sarak dotarł tam przed rozpoczęciem bitwy, ale nikt spośród nielicznych ocalałych go nie widział.

— Spodziewam się więc, że od tego miejsca zaczniemy — rzekł Sparhawk.

— Póle bitwy jest ogromne — zaprotestował Ulath. — Wszyscy Rycerze Kościoła mogliby spędzić resztę życia na bezowocnym grzebaniu w ziemi w poszukiwaniu korony.

— Jest jeszcze inne wyjście — wtrącił Tynian drapiąc się po policzku.

— Jakie, przyjacielu? — zapytał Bevier.

— Posiadam pewne umiejętności w przywoływaniu duchów. Nie bardzo za tym przepadam, ale wiem, jak to zrobić. Jeśli znaleźlibyśmy miejsce, w którym pogrzebano ciała Thalezyjczyków, to mógłbym spytać, czy któryś z nich widział na polu bitwy króla Saraka i nie wie, gdzie został złożony do grobu. To wyczerpujące zajęcie, ale sprawa jest tego warta.

— Będę ci mogła pomóc, panie Tynianie — obiecała Sephrenia. — Sama nie praktykuję przywoływania duchów, ale znam odpowiednie zaklęcia.

Kurik wstał.

— Pójdę spakować potrzebne rzeczy — powiedział. — Chodź ze mną, Bericie. Talenie, ty też.

— Będzie nas dziesięcioro — przypomniała mu Sephrenia.

— Dziesięcioro?

— Pojedzie z nami Talen i mała Flecik.

— Czy to rozsądne? I czy naprawdę konieczne? — zaprotestował Sparhawk.

— Tak. Będziemy szukać pomocy u Młodszych Bogów Styricum, a oni lubią symetrię. Było nas dziesięcioro, gdy zaczynaliśmy poszukiwania, więc teraz też powinno nas być dziesięcioro. Nagłe zmiany niepokoją Młodszych Bogów.

— Niech będzie, jak mówisz. — Rycerz zgodził się niechętnie.

Vanion wstał i począł przechadzać się po komnacie.

— Lepiej zaczynajmy od razu — powiedział. — Będzie bezpieczniej, jeśli opuścicie klasztor przed świtem, nim podniesie się mgła. Nie ułatwiamy zadania szpiegom obserwującym naszą siedzibę.

— Zgadzam się z tym w pełni. — Kaltén również się podniósł. — Wolałbym nie ścigać się z gwardzistami prymasa przez całą drogę do jeziora Randera.

— A więc dobrze — rzekł Sparhawk. — Zaczynajmy. Mamy coraz mniej czasu.

— Zostań na chwilę, Sparhawk — powiedział Vanion, gdy inni zaczęli opuszczać komnatę.

Sparhawk poczekał, aż wszyscy wyjdą, po czym zamknął drzwi.

— Otrzymałem dzisiaj wieczorem wiadomość od hrabiego Lendy — oznajmił mistrz.

— Jaką?

— Prosił, abym cię uspokoił. Annias i Lycheas nie podejmują dalszych działań przeciwko królowej. Widocznie niepowodzenie ich spisku w Arcium sprawiło

Anniasa w duże zakłopotanie. Nie będzie powtórnie ryzykował robienia z siebie głupca.

— Kamień spadł mi z serca.

— Lenda dodał jeszcze coś, czego nie w pełni rozumiem. Prosił, abym ci przekazał, że świece palą się nadal. Czy wiesz, co miał na myśli?

— Dobry, stary Lenda. — Ponure oblicze Sparhawk rozjaśnił ciepły uśmiech.

— Prosiłem go, aby nie pozostawił Ehlany samej w ciemnościach.

— Nie myślę, aby to miało dla niej jakieś znaczenie.

— Ale ma dla mnie — rzekł Sparhawk.

Rozdział 2

Po kwadransie zebrali się na dziedzińcu. Mgła jeszcze bardziej zgęstniała. Nowicjusze krzatali się w stajniach siodłając konie.

W głównym wejściu pojawił się Vanion. Jego styricka szata pobłyskiwała w mglistych ciemnościach.

— Posyłam z wami dwudziestu rycerzy — powiedział cicho do Sparhawk. — Będziecie bezpieczniejsi w przypadku, gdyby ktoś was śledził.

— Musimy się śpieszyć, Vanionie — zaprotestował Sparhawk. — Jeżeli weźmiemy z sobą innych, będziemy musieli dostosować tempo jazdy do najwolniejszego konia.

— Wiem o tym — odparł cierpliwie Vanion. — Nie musicie długo jechać razem. Kiedy znajdziecie się na otwartym terenie i wszędzie słońce, upewnijcie się, że nikogo nie ma w pobliżu, a potem oderwijcie się od kolumny. Pozostali rycerze pojedą do Demos. Jeżeli zaś ktokolwiek chciałby was śledzić, to nie będzie wiedział, że jesteście w środku licznej grupy.

— Teraz już wiem, dlaczego zostałeś mistrzem, przyjacielu. — Sparhawk uśmiechnął się szeroko. — Kto poprowadzi kolumnę?

— Pan Olven.

— To dobrze. Na panu Olvenie można polegać.

— Jedź z Bogiem, Sparhawk — powiedział Vanion, ściskając roslemu rycerzowi prawicę — i bądź ostrożny.

— Z całą pewnością będę się o to starał.

Olven był wysokim postawnym mężczyzną. Na jego obliczu widniało kilka czerwonych blizn. Wyszedł z budynku siedziby zakonu odziany w oksydowaną na czarno zbroję. Za nim szli rycerze, którzy pod jego dowództwem udawali się do Demos.

— Miło cię znowu widzieć, panie Sparhawk — rzekł, gdy Vanion znikł we wnętrzu zamku. Olven mówił bardzo cicho, aby nie wzbudzić podejrzeń wśród gwardzistów prymasa obozujących pod bramą. — A więc dobrze — ciągnął — ty i reszta pojedziecie w środku. Przy tej mgle szpiedzy Anniasa prawdopodobnie was nie zauważą. Spuścimy most zwodzony i ruszymy z kopyta. Nie chciałbym,

abyśmy byli wystawieni na ich spojrzenia dłużej niż minutę czy dwie.

— Panie Olvenie, pierwszy raz od dwudziestu lat słyszę, byś powiedział naraz aż tyle słów — zdziwił się Sparhawk.

— Wiem — przyznał Olven. — W przyszłości postaram się być bardziej powściągliwy.

Sparhawk i jego przyjaciele ubrani byli w kolczugi i płaszcze podróżne, by nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Zbroje były starannie zapakowane w tobołkach umocowanych na sześciu jucznych koniach, które miał poprowadzić Kurik. Członkowie drużyny Sparhawka dosiedli wierzchowców, a odziani w zbroje rycerze ustawili się dookoła nich. Olven dał znak bratu służebnemu obsługującemu kołowrót poruszający zwodzony most, by zwolnił blokadę. Kołowrót począł się swobodnie obracać. Rozległ się głośny zgrzyt łańcuchów. Olven w pełnym galopie wyjechał za bramę, nim jeszcze most zdążył opaść z potężnym hukiem na ziemię po przeciwnej stronie fosy.

Gęsta mgła była ich wielkim sprzymierzeńcem. Gdy tylko przegalopowali przez most, Olven zakręcił ostro w lewo, prowadząc kolumnę polami w kierunku traktu do Demos. Z tyłu dobiegły Sparhawka nawoływania zaskoczonych gwardzistów, wybiegających z namiotów i patrzących z bolesnym rozczarowaniem w ślad za znikającą kolumną.

— Jak po maśle — powiedział Kalten z zadowoleniem. — Przez most we mgle krócej niż w minutę.

— Pan Olven wie, co robi — rzekł Sparhawk. — Nim gwardziści zdołają zorganizować jakiś pościg, będziemy mieli godzinę przewagi.

— Daj mi godzinę na starcie, a nigdy mnie nie złapią. — Kalten śmiał się z ukontentowania. — Bardzo dobrze się zaczęło, Sparhawku.

— Ciesz się, póki możesz. Możliwe, że później sprawy nie będą szły tak dobrze.

— Pesymista z ciebie, Sparhawku.

— Nie. Jedynie przywykłem do drobnych niepowodzeń.

Po wjechaniu na trakt do Demos zwolnili i przeszli w krótki galop. Olven był rycerzem starej daty i zwykł oszczędzać konie. Ich szybkość zawsze mogła się jeszcze przydać. Olven nie lubił rzykować.

Księżyc w pełni wiszący ponad mgłą rozświetlał ją srebrzystą poświatą. Migotliwe błyski w siwym oparze mamiły wzrok i bardziej skrywały, niżli oświetlały drogę. Sparhawk otulił się szczelniej płaszczem, by ochronić się przed wilgotnym chłodem.

Trakt biegł na północ, w kierunku miasta Lenda, by potem skrócić na południowy wschód, ku Demos, gdzie znajdował się klasztor Zakonu Rycerzy Pandionu. Sparhawk wiedział, chociaż nie mógł tego widzieć, że teren wzdłuż drogi był łagodnie pofałdowany i porośnięty kępami drzew. W tych zagajnikach miał nadzieję znaleźć kryjówkę po odłączeniu się od kolumny.

Jechali dalej. Wilgotna mgła tłumiała tętent końskich kopyt.

Co jakiś czas z kłębow mgły po obu stronach drogi wyłaniały się nagle ciemne sylwetki drzew. Za każdym razem Talen wzdrygał się nerwowo.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał go Kurik.

— Nie cierpię tego — odparł chłopiec. — Absolutnie tego nie cierpię. Na poboczach mogą się kryć wilki, niedźwiedzie albo coś jeszcze gorszego.

— Jedziesz pośród zbrojnej drużyny, Talenie.

— Łatwo ci mówić, ale ja jestem najmniejszy... no, może z wyjątkiem Flecika. Słyszałem, że wilki i tym podobne stwory zawsze atakują najmniejszego. Naprawdę nie mam ochoty zostać pożartym, ojczu.

— To staje się coraz bardziej intrygujące — odezwał się Tynian. — Panie Sparhawk, nie wyjaśniłeś jeszcze, czemu chłopiec zwraca się w ten sposób do twojego giermka.

— Kurikowi, gdy był młodszy, przytrafiła się chwila słabości.

— Czy w Elenii nikt nie sypia w swoim własnym łóżku?

— To pewnego rodzaju osobliwość kulturowa. Nie jest to jednak tak powszechne zjawisko, jakby się mogło wydawać.

Tynian uniósł się nieznacznie w strzemionach i spojrział w kierunku, gdzie Bevier i Kalten jechali obok siebie pogrążeni w rozmowie.

— Dostojny panie, coś ci poradzę — powiedział w zaufaniu. — Jesteście Eleńczykami i wydaje się, że tego typu sprawy traktujecie bez zbytnich uprzedzeń. W Deirze również podchodzimy do tego z pewną dozą wyrozumiałości, ale nie wtajemniczałbym pana Beviera. Rycerze Zakonu Cyriników słyną z pobożności — jak wszyscy mieszkańcy Arcium — i patrzą z wielką niechęcią na tego rodzaju słabości. Pan Bevier to dobry wojownik, ale poglądy ma trochę zacofane. Jeżeli się uprzedzi, możemy później mieć z nim kłopoty.

— Zdaje się że masz rację — przyznał Sparhawk. — Pomówię z Talenem i poproszę, aby nie rozpowiadał wszem wobec o swym pokrewieństwie z Kurikiem.

— Myślisz, że będzie ci posłuszny? — zapytał Deirańczyk z powątpiewaniem.

— Nie szkodzi spróbować.

Minęli właśnie stojący przy spowitej mgłą drodze dom, z którego okien sączyło się zamglone, złociste światło, widoma oznaka, że chociaż wciąż było ciemno, to dla wieśniaków dzień już się zaczął.

— Jak długo będziemy jechać razem z kolumną? — zapytał Tynian. — Trzeba by sporo nadłożyć drogi jadąc nad jezioro Randra przez Demos.

— Odłączymy się trochę później, gdy tylko upewnimy się, że nikt nas nie śledzi — odparł Sparhawk. — Tak sugerował Vanion.

— Czy polecisz komuś obserwować nasze tyły?

Sparhawk skinął głową.

— Berit jedzie około pół ligi za nami — wyjaśnił.

— Myślisz, że któryś ze szpiegów prymasa zauważył nas, jak opuszczaliśmy zamek?

— Nie mieli na to zbyt wiele czasu. Minęliśmy ich, zanim zdążyli wyjść z namiotów.

Tynian chrząknął.

— Jaką drogę planujesz obrać po zjechaniu z traktu? — zapytał.

— Myślę, że pojedziemy na przełaj. Drogi mogą być pod obserwacją. Jestem pewien, że Annias podejrzewał, iż coś planujemy.

Jechali dalej przez rzednącą nocną mgłę. Sparhawk był zamyślony. W duchu przyznał, że ich pośpiesznie ułożony plan miał nikłe szanse powodzenia. Nawet jeżeli Tynianowi uda się przywołać duchy poległych Thalezyjczyków, to nie było pewności, czy któryś z nich będzie znał miejsce wiecznego spoczynku króla Saraka. Cała ta podróż może okazać się bezcelowa i jedynie marnowałiby czas, jaki pozostał Ehlanie. Nagle zaświtała mu pewna myśl. Popędził konia, by zrównać się z Sephrenią.

— Coś mi właśnie przyszło do głowy — rzekł do czarodziejki.

— Co?

— Czy zaklęcie, którego użyłaś do zamknięcia Ehlany w kryształ, jest powszechnie znane?

— Nie korzysta się z niego prawie nigdy, ponieważ jest zbyt niebezpieczne. Może o nim wiedzieć kilku Styrików, ale na pewno żaden z nich nie odważy się go użyć. Czemu pytasz?

— Pomyślałem, że jeżeli nikt oprócz ciebie nie jest skory do użycia tego zaklęcia, to raczej mało prawdopodobne, aby ktokolwiek wiedział, iż ono działa tylko przez określony czas.

— To prawda.

— A więc nie ma kto powiedzieć o tym Anniasowi.

— Oczywiście.

— W takim razie Annias nie wie, że pozostało nam tak niewiele czasu. Myśli, że kryształ może wiecznie utrzymywać Ehlaną przy życiu.

— Nie jestem pewna, Sparhawk, czy daje to nam jakąkolwiek przewagę.

— Ja również, ale warto o tym pamiętać. Pewnego dnia może nam się to przydać.

W miarę jak posuwali się do przodu, niebo na wschodzie się rozjaśniało, a mgła podnosiła i rzedła. Na około pół godziny przed wschodem słońca z tyłu oddziału nadjechał galopem Berit. Młodzieniec ubrany był w kolczugę i prosty, niebieski płaszcz, a topór bojowy spoczywał przytroczony rzemieniami do siodła. „Temu młodzianowi — pomyślał prawie z niechęcią Sparhawk — potrzebny będzie wkrótce solidny trening w posługiwaniu się mieczem i to zanim się zbyt przyzwyczai do swego topora”.

— Dostojny panie Sparhawk! — Berit ściągnął wodze swego konia. — Z tyłu nadjeżdża kolumna gwardzistów. — Z jego wierzchowca unosiły się kłęby pary.

— Ilu ich jest?

— Około pięćdziesięciu i ostro galopują. Mgła na chwilę się rozviała i zobaczyłem, jak nadjeżdżają.

— Jak są daleko?

— Około pół ligi. Dotarli do tej doliny, z której właśnie wyjechaliśmy.

Sparhawk zastanawiał się przez chwilę.

— Chyba możemy pozwolić sobie na niewielką zmianę w naszych planach — zdecydował. Rozejrzał się. W rzednącej mgle dostrzegł ciemny zarys. — Panie Tynianie — rzekł do alcjonity — tam chyba jest zagajnik. Zbierz pozostałych i ukryjcie się pośród drzew, nim nadjadą gwardziści. Ja zaraz do was dołączę. — Potrząsnął wodzami swego rumaka. — Faranie, chcę zamienić kilka słów z panem Olvenem — zwrócił się do złośliwego srokacza o zmierzwionej sierści i paskudnym pysku.

Faran zestrzygł nerwowo uszami, po czym ruszył galopem.

— Opuszczamy cię tutaj, panie Olvenie — oznajmił Sparhawk rycerzowi prowadzącemu kolumnę. — Z tyłu nadjeżdża pół setki gwardzistów. Chcę zniknąć, nim się przybliżą.

— Dobry pomysł. — Olven nie lubił szastać słowami.

— A może byście tak pobawili się z nimi w kotka i myszkę? — zaproponował Sparhawk. — Dopóki was nie dogonią, nie będą w stanie stwierdzić, czy nadal znajdujemy się razem.

Na twarzy Olvena pojawił się chytry uśmieszek.

— Nawet do samego Demos? — zapytał.

— Bardzo by nam to pomogło. Omiń Lendę, jedź na przelaj polami. Na południe od miasta wróć na trakt. Jestem pewien, że Annias ma swoich szpiegów również w Lendzie.

— Powodzenia, panie Sparhawk! — powiedział Olven.

— Dzięki. — Sparhawk ścisnął mu prawicę, — Może być nam potrzebne. — Skierował Farana w bok od drogi i drużyna zbrojnych minęła go w galopie.

— Zobaczmy, jak szybko potrafisz dopaść tego lasku — zwrócił się rycerz do wierzchowca.

Faran parsknął kpiąco i skoczył do przodu pędząc na złamanie karku.

Kalten czekał na skraju zagajnika. Jego szary płaszcz był ledwo widoczny we mgle.

— Pozostali są między drzewami — raportował. — Czemu pan Olven tak pędzi?

— Poprosiłem go o to. — Sparhawk zeskoczył z siodła. — Gwardziści nie domyślą się, że opuściliśmy kolumnę, dopóki pan Olven będzie trzymał się pół ligi czy ligę przed nimi.

— Jesteś sprytniejszy, niż na to wyglądasz, Sparhawk — powiedział Kalten, również zsiadając z wierzchowca. — Zabiorę stąd konie. Unosząca się z nich para może je zdradzić. — Zerknął na Farana. — Powiedz tej twojej wstrętnej bestii, żeby mnie nie ugryzła.

— Słuchaj go i bądź grzeczny — polecił Sparhawk swemu rumakowi.

Faran stulił uszy i rzucił mu złe spojrzenie.

Gdy Kalten odprowadzał konie, Sparhawk położył się na brzuchu w niskich zaroślach. Zagajnik był oddalony od traktu nie więcej niż o pięćdziesiąt kroków. Zbliżał się świt, mgła rzedniała coraz bardziej i rycerz mógł obserwować znaczną część drogi. Wtem z południa przygalopował samotny gwardzista w czerwonym mundurze. Miał dziwnie tępy wyraz twarzy, jechał trzymając się sztywno w siodle.

— Zwiadowca? — wyszeptał Kalten, podczołgując się blisko przyjaciela.

— Więcej niż pewne — odszepnął Sparhawk.

— Czemu szepczemy? — zapytał Kalten. — Nie może nas przecież usłyszeć w hałasie czynionym przez końskie kopyta.

— Ty zacząłeś.

— To z przyzwyczajenia. Zawsze szepczę, gdy się skradam. Zwiadowca wjechał na szczyt wzgórza, potem zawrócił pognał z powrotem. Na jego twarzy nadal malowała się bezmyślność.

— Zajeździ konia na śmierć — powiedział Kalten.

— To jego koń.

— Masz rację. To jego sprawa, że będzie musiał iść piechotą, gdy mu padnie.

— Spacer dobrze robi gwardzistom. Uczy ich pokory.

Pięć minut później przegalopował obok nich cały oddział. Dowódca był wysoki, chudy, osłonięty czarną szatą. Jego plecy robiły wrażenie mocno zdeformowanych. Być może to gra światła w ten mglisty poranek sprawiła, że wydawało się, iż spod kaptura dobywa się słaba, zielonkawa poświata.

— Nie ma wątpliwości, że próbują mieć zbrojnych Olvena na oku — powiedział Kalten.

— Mam nadzieję, że spodoba im się Demos — odparł Sparhawk. — Pan Olven nie da się dogonić. Muszę porozmawiać z Sephrenią. Pozostaniemy tu przynajmniej godzinę. Upewnimy się, że gwardzistów nie ma w pobliżu i dopiero wtedy ruszymy dalej.

— Dobry pomysł. I tak właśnie naszła mnie ochota na śniadanie.

Poprowadzili konie pomiędzy mokrymi drzewami do małej kotlinki otaczającej rwący strumień.

— Przejechali? — zapytał Tynian.

— Galopem. — Kalten uśmiechnął się szeroko. — I nie rozglądali się za bardzo dookoła. Kto ma coś do jedzenia? Umieram z głodu.

— Mam kawałek zimnego bekonu — zaferował Kurik.

— Zimnego?

— Z ognia jest dym. Chciałbyś, szlachetny panie, aby ten lasek zapełnił się gwardzistami?

Kalten westchnął ciężko.

Sparhawk podszedł do Sephrenii.

— Z tymi żołnierzami jedzie ktoś, a raczej coś — powiedział. — Bardzo mnie to niepokoi. Myślę, że to samo, co widziałem tej nocy w Cimmurze.

— Czy mógłbyś to opisać?

— Jest dość wysokie i bardzo szczupłe. Plecy ma chyba zdeformowane. Ubrane było w czarną szatę z kapturem, więc nie mogłem dojrzeć nic więcej. — Zmarszczył brwi. — Gwardziści z tego oddziału sprawiali wrażenie jakby zauroczonych. Zwykle zwracają baczniejszą uwagę na to, co robią.

— Opowiedz mi coś więcej o tej dziwnej postaci. — Czarodziejka mówiła z całkowitą powagą. — Co jeszcze zauważyłeś?

— Nie jestem pewien, ale zdawało mi się, że jej oblicze promieniowało czymś w rodzaju zielonkawej poświaty. To samo zauważyłem wtedy, w Cimmurze.

Sephrenia pobladła jak chusta.

— Sparhawk, musimy natychmiast wyruszyć.

— Gwardziści nie wiedzą, że tu jesteśmy...

— Niedługo będą wiedzieć. Opisałeś mi właśnie szukacza. W Zemochu używa się ich do polowania na zbiegłych niewolników. Garb na plecach to były jego skrzydła.

— Skrzydła? — zapytał Kalten tonem pełnym sceptycyzmu. — Mateczko, ssaki nie mają skrzydeł... no, może z wyjątkiem nietoperzy.

— To nie jest ssak. Bardziej przypomina owada, chociaż żadne z określeń nie jest zbyt trafne, gdy w grę wchodzi stworzy wywołane przez Azasha.

— Chyba nie będziemy obawiać się owada.

— W tym przypadku powinniśmy. Szukacz ma mózdzek bardzo niewielki, ale to jest nieistotne, ponieważ myśli za niego duch Azasha. Doskonale widzi w ciemności i mgłę. Ma bardzo ostry słuch i wyjątkowy węch. Gdy tylko gwardziści zbliżą się do kolumny pana Olvena, szukacz będzie wiedział, że nie jedziemy razem z rycerzami. Wtedy gwardziści zawrócą.

— Chcesz powiedzieć, pani, że żołnierze prymsa słuchają rozkazów owada?

— zapytał Bevier ze zdumieniem.

— Muszą. Nie mają wyboru. Szukacz całkowicie nimi zawładnął.

— Jak długo to potrwa?

— Dopóki będą żyć, co zwykle nie trwa zbyt długo. Kiedy przestaną mu być potrzebni, pożre ich. Sparhawk, grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Ruszajmy natychmiast.

— Słyszeliście — rzekł ponuro Sparhawk. — Na koń!

Wyjechali klusem z zagajnika i przecięli szeroką, zieloną łąkę, na której w wysokiej po kolana trawie pasły się krowy w brązowe i białe łaty. Ulath podjechał do Sparhawka.

— Nie chcę się wtrącać — powiedział — ale miałeś z sobą dwudziestu pandionitów. Czemu po prostu nie zawróciłeś i nie zrobiłeś porządku z tymi gwardzistami i ich owadem?

— Pięćdziesiąt martwych ciał leżących na trakcie zwracałoby uwagę — wyjaśnił Sparhawk — a świeże groby prawie jednako rzucają się w oczy.

— Tak, to brzmi sensownie. — Potężny genidianita chrząknął. — Życie w przeludnionych królestwach nie jest wolne od pewnych problemów, prawda? W Thalesii trolle i ogry zwykle uprzążają porzucone trupy, nim ktoś na nie trafi.

Sparhawk wzdrygnął się.

— Czy one rzeczywiście jedzą padlinę? — zapytał. Obejrzał się przez ramię wypatrując pościgu.

— Trolle i ogry? O tak, chyba że ścierwo zbyt dojrzeje. Tłuściutki gwardzista wystarczyłby rodzinie trolli na tydzień z okładem. To jeden z powodów, dla których nie ma zbyt wielu żołnierzy Kościoła i ich cmentarzy w Thalesii. Panie Sparhawku, ja po prostu nie lubię zostawiać za sobą żywych wrogów. Ci gwardziści mogą wrócić, by na nas zapolować, i jeżeli ten stwór, który nimi dowodzi, jest tak niebezpieczny, jak mówiła Sephrenia, to powinniśmy byli przy pierwszej okazji pozbyć się go.

— Pewnie masz słuszość — przyznał Sparhawk — ale obawiam się, że jest już za późno. Pan Olven odjechał zbyt daleko. Teraz możemy jedynie gnać co sił w nadziei, że konie gwardzistów padną wcześniej od naszych. Przy najbliższej okazji postaram się dowiedzieć od Sephrenii czegoś więcej o tym szukaczu. Mam wrażenie, że nie wszystko na jego temat mi powiedziała.

Przez resztę dnia ostro poganiali konie. Nie dostrzegali żadnych oznak pościgu.

— Tuż przed nami jest przydrożny zajazd — odezwał się Kalten, gdy wieczór opadł na okoliczne pagórki. — Może byśmy się tam zatrzymali?

Sparhawk spojrzał na Sephrenię.

— Co o tym myślisz, mateczko?

— Jedynie na kilka godzin — powiedziała czarodziejka — tylko by nakarmić konie i pozwolić im trochę wytchnąć. Szukacz już wie, że nie jedziemy razem z kolumną i z pewnością podąża naszym śladem. Musimy się spieszyć.

— Ale chyba możemy zjeść kolację i zdrzemnąć się kilka godzin — wtrącił Kalten. — Trochę długo jestem już na nogach. A poza tym spróbujmy się czegoś dowiedzieć.

Zajazd prowadził szczupły człowieczek, obdarzony dużym poczuciem humoru, i jego pulchna żona. Było tu bardzo wygodnie i wyjątkowo czysto. Obszerny kominek we wspólnej sali nie dymił, a na podłodze leżała świeża słoma.

— Nieczęsto zdarza się nam widzieć tu mieszkańców miast — zauważył właściciel zajazdu, stawiając na stół półmisek z pieczoną wołowiną — a już szczególnie rzadko rycerzy. Wasze stroje pozwalają mi przypuszczać, iż jesteście rycerzami. Co was sprowadza w te strony, szlachetni panowie?

— Jedziemy do Pelosii — skłamał gładko Kalten. — Sprawy kościelne. Bardzo się nam śpieszy, więc pojechaliśmy na skróty.

— Około trzech lig na południe jest trakt biegnący do Pelosii — poinformował usłużnie gospodarz.

— Drogi wiją się tu i tam — powiedział Kalten — a nam, jak już powiedziałem, bardzo się śpieszy.

— Co słyhać u was ciekawego? — zapytał niby grzecznościowo Tynian.

Właściciel zajazdu roześmiał się serdecznie.

— A co ciekawego może się tu wydarzyć? Okoliczni rolnicy cały czas jeszcze rozprawiają o krowie, która zdechła pół roku temu. — Przysunął sobie krzesło i bez zaproszenia przysiadł się do nich. Westchnął. — W młodości mieszkałem w Cimmurze. Teraz właśnie tam dzieją się najciekawsze rzeczy. Tęsknię za tym podniecającym życiem.

— Co skłoniło cię do przeprowadzki tutaj? — zapytał Kalten, odkrawając sztyletem następny kawałek pieczeni.

— Otrzymałem ten zajazd w spadku po moim ojcu. Nikt nie chciał go kupić, więc nie miałem wyboru. — Lekko zmarszczył brwi. — Ale skoro już o tym wspomnieliście — wrócił do tematu — w ciągu ostatnich miesięcy rzeczywiście miały miejsce trochę dziwne wydarzenia.

— Tak? — zachęcił go ostrożnie Tynian.

— Włóczyły się tu bandy Styrików. Pełno ich w okolicy. Zwykle nie są zbyt ruchliwi, prawda?

— Masz rację — odparła Sephrenia. — Nie jesteśmy narodem koczowników.

— Podejrzewałem, że jesteś Styriczką, pani, sądząc po twoim wyglądzie i stroju. Niedaleko stąd jest wioska Styrików. To całkiem mili ludzie, ale są mało towarzyscy. — Rozsiadł się wygodnie. — Sądzę, że wy, Styricy, oszczędzilibyście sobie wielu kłopotów, gdybyście chociaż czasem porozmawiali ze swoimi sąsiadami.

— To nie leży w naszym zwyczaju. — Sephrenia potrząsnęła głową. — Nie wierzę, aby Eleni i Styricy mogli żyć w przyjaźni.

— Coś w tym musi być — przyznał właściciel zajazdu.

— Czy ci Styricy zachowują się w jakiś szczególny sposób? — zapytał Sparhawk, starając się nie zdradzać większego zainteresowania.

— Głównie zadają pytania. Wydaje się, że zwłaszcza interesuje ich wojna z Zemochem. — Gospodarz wstał. — Smacznego — rzekł i wrócił do kuchni.

— No i mamy nowy kłopot — powiedziała Sephrenia zmartwiona. — Zachodni Styricy nie włóczą się nigdzie. Nasi bogowie wołają, abyśmy pozostawiali

w pobliżu ich ołtarzy.

— A więc to Zemosi? — domyślił się Bevier.

— Prawie na pewno.

— Podczas mojego pobytu w Lamorkandii mówiło się o tym, że Zemosi penetrują wschodnie okolice Moterry — przypomniał sobie Kalten. — Robili dokładnie to samo, włóczyli się po okolicy, zadając pytania dotyczące starych zwyczajów i opowieści.

— Azash wydaje się mieć plany bardzo zbliżone do naszych — powiedziała Sephrenia. — Próbuje zdobyć informacje, które mogłyby go doprowadzić do Bhelliomu.

— A więc to wyścig — rzekł Kalten.

— Obawiam się, że tak i Zemosi są przed nami.

— A za nami gwardziści — dodał Ulath. — Zdaje się, że znaleźliśmy się w okrążeniu. Sephrenio, czy szukacz może zawładnąć umysłami tych włóczących się Zemochów tak jak gwardzistów? Bo jeżeli tak jest, to jedziemy prosto w zasadzkę.

— Nie mam co do tego pewności — odparła czarodziejka. — Wiele słyszałam o szukaczach Othy, ale nigdy nie widziałam żadnego z nich w akcji.

— Dzisiejszego ranka również nie miałaś na to zbyt wiele czasu — zauważył Sparhawk. — W jaki sposób to coś sprawuje władzę nad gwardzistami Anniasa?

— Za sprawą jadu. Ukąszeniem paraliżuje wolę swoich ofiar lub tych, nad którymi chce przejąć władzę.

— Postaram się więc, aby mnie nie ukąsił — powiedział Kalten.

— Być może nie będziesz w stanie mu w tym przeszkodzić, mój drogi. Ta zielona poświata hipnotyzuje, co ułatwia mu zbliżenie się do ofiary.

— Jak szybko potrafi fruwać? — zapytał Tynian.

— Na tym etapie rozwoju nie fruwa. Jego skrzydła nie rozwiną się dostatecznie, dopóki nie dorośnie. A poza tym musi być na ziemi, aby wytropić zapach tego, którego ściga. Szukacz zwykle podróżuje na końskim grzbiecie, a ponieważ nad koniem ma taką samą władzę jak nad ludźmi, po prostu zajeżdża go na śmierć, a potem znajduje sobie innego. W ten sposób szybko przemierza spore odległości.

— Może udałoby się zastawić na niego pułapkę. Czym się żywi? — zapytał Kurik.

— Głównie ludźmi.

— Tak... zastawienie sidła może być trochę kłopotliwe — przyznał giermek.

Zaraz po kolacji udali się na spoczynek. Sparhawk miał wrażenie, że Kurik obudził go, zanim zdążył przyłożyć głowę do poduszki.

— Zbliża się północ — powiedział giermek.

— W porządku — mruknął rycerz siadając na łożu.

— Obudzę pozostałych, a potem pójde z Beritem osiodłać konie.

Sparhawk ubrał się i zszedł na dół, żeby zamienić kilka słów z właścicielem zajazdu.

— Powiedz mi, ziomku — zagadnął — czy nie ma tu gdzieś w okolicy jakiegoś klasztoru?

Mały człowieczek podrapał się po głowie.

— Zdaje się, że jest jeden w pobliżu wioski Verine — odparł. — To około pięciu lig stąd na wschód.

— Dzięki, ziomku. — Sparhawk rozejrzał się dookoła. — Masz bardzo miły i wygodny zajazd, a twoja żona dba o czystą pościel i doskonałą kuchnię. Wspomnę o tym miejscu swoim znajomym.

— Bardzo łaskaw, dostojny panie.

Sparhawk skinął mu głową i wyszedł na podwórko, gdzie jego towarzysze szykowali się do drogi.

— Jaki mamy plan? — zapytał Kalten.

— Właściciel zajazdu twierdzi, że w pobliżu wioski, pięć lig stąd, jest klasztor. Powinniśmy do niego dotrzeć przed świtem. Chciałbym wysłać wiadomość do jego świątobliwości Dolmanta, do Chyrellos.

— Ja mogę zawieźć wiadomość, dostojny panie Sparhawk — zaofiarował się skwapliwie Berit.

Sparhawk potrząsnął głową.

— Szukacz zna już prawdopodobnie twój zapach, Bericie. Nie chciałbym, abyś w drodze do Chyrellos wpadł w zasadzkę. Poślemy jakiegoś tamtejszego mnicha. Klasztor i tak znajduje się po drodze, więc nie marnujemy czasu. Wsiadajmy na konie.

Wyruszyli. Na rozgwieżdżonym niebie świecił księżyc w pełni.

— Tędy — powiedział Kurik wskazując drogę.

— Skąd wiesz? — zapytał Talen.

— Gwiazdy — odparł Kurik zwięźle.

— Chcesz powiedzieć, że potrafisz określić kierunek patrząc w gwiazdy? — Talen nie mógł w to uwierzyć.

— Oczywiście, że potrafię. Żeglarze czynią tak od tysięcy lat.

— Nie wiedziałem o tym.

— Powinieneś być zostać w szkole.

— Nie zamierzam być żeglarzem. Gdybym miał kraść ryby, czułbym się, jakbym ciężko pracował.

Jechali w tę księżycową noc kierując się prawie prosto na wschód. Przed świtem przebyli już około pięciu lig i Sparhawk wjechał na szczyt wzgórza, aby rozejrzeć się po okolicy.

— Tuż przed nami jest wioska — oznajmił po powrocie. — Miejmy nadzieję, że to ta, której szukamy.

Wioska leżała w cienistej dolinie. Była nieduża — kilkanaście kamiennych domków wzdłuż brukowanej ulicy, z kościołem na jednym jej końcu, a oberżą na drugim.

— Przepraszam, ziomku — zwrócił się Sparhawk do napotkanego mężczyzny, gdy wjechali do osady. — Czy to Verine?

— Tak.

— A tam na wzgórzu, to klasztor?

— Tak — potwierdził wieśniak, tym razem jakby posępnie.

— Czy macie z tego powodu jakieś kłopoty?

— Ci mnisi są właścicielami całej ziemi w okolicy. Każą sobie płacić okrutne czynsze.

— Czy nie było tak zawsze? Właściciele ziemscy zawsze byli chciwi.

— Mnisi obstają zarówno przy dziesięcinie, jak i przy czynszu. Chyba posunęli się trochę za daleko.

— Masz słuszność.

— Czemu do wszystkich zwracasz się „ziomku”? — zapytał Tynian, gdy pojechali dalej.

— Myślę, że to przyzwyczajenie. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Przejąłem je po moim ojcu, to taki chwyt mający ośmielać ludzi.

— Czemu więc nie zwracasz się do nich „przyjacielu”?

— Ponieważ nigdy nie mam całkowitej pewności, czy nie mówię do wroga. Chodźmy porozmawiać z opatem tego klasztoru.

Surowo wyglądający budynek był otoczony murem z żółtego piaskowca. Rozciągające się wokół pola wyglądały na bardzo zadbane. Mnisi w spiczastych kapeluszach, wplecionych z okolicznej trawy, pochylali się cierpliwie w promieniach porannego słońca nad długimi zagonami warzyw. Brama wjazdowa była otwarta i Sparhawk na czele towarzyszy wjechał na główny dziedziniec. Wyszedł im na spotkanie szczupły, a właściwie chudy mnich z nieco zalęknionym wyrazem twarzy.

— Witaj, bracie — pozdrowił go Sparhawk. Rozchylił swój płaszcz, by pokazać mu ciężki srebrny amulet, oznakę rycerza Zakonu Pandionu. — Jeśli nie sprawi to zbyt wielu kłopotów, to z chęcią zamienilibyśmy kilka słów z waszym opatem.

— Zaraz go przyprowadzę, dostojny panie. — Braciszek pośpieszył do wnętrza budynku.

Opat okazał się wesołym grubaskiem o rumianym obliczu i tysej jak kolano głowie. Jego klasztor był mały, leżał na uboczu i miał słaby kontakt z Chyrellos. On sam zaś zachowywał się aż krępująco usłużnie w stosunku do przybyłych w jego progi Rycerzy Kościoła.

— Szlachetni panowie... — Witając ich niemal padł na kolana. — Czym mogę służyć?

— Chodzi o zupełną drobnostkę, wielbny ojcie — odparł mu uprzejmie Sparhawk. — Czy znasz patriarchę Demos?

Opat głośno przełknął ślinę.

— Dostojny panie, mówisz o jego świątobliwości Dolmancie? — zapytał z nabożną czcią w głosie.

— Tak, o tym wysokim, chudym i sprawiającym wrażenie zabiedzonego. Musimy przesłać mu wiadomość. Czy znajdzie się u ciebie jakiś młody mnich z wytrzymałym i rączym koniem, który mógłby pojechać do patriarchy? Oczywiście w służbie Kościołowi.

— O-oczywiście, dostojny pa-panie.

— Wierzę ci. Masz pewnie pod ręką atrament i pióro, wielbny ojcie? Napiszę wiadomość i nie będziemy ci więcej zawracać głowy.

— Jeszcze jedno, wielbny ojcie — wtrącił Kalten. — Czy moglibyśmy prosić cię o trochę prowiantu? Już od pewnego czasu jesteśmy w podróży i zapasy nam topnieją. Nie chodzi nam o żadne frykasy, raptem kilka pieczonych kurczaków, ze dwie szynki, kawałek bekonu i być może zadnią ćwiartkę wołu. . .

— O-oczywiście, szlachetny pa-panie — zgodził się opat pośpiesznie.

Sparhawk skreślił kilka słów do Dolmanta, a Kurik z Kaltenem załadowali prowiant na juczne konie.

— Musiałeś to zrobić? — zapytał Sparhawk Kaltena, kiedy odjechali z klasztoru.

— Wspieranie bliźnich jest cnotą główną, Sparhawk — odparł Kalten podniosłym tonem. — Zachęcam do niej zawsze, gdy mam ku temu okazję.

Okolica, którą przemierzali, robiła się coraz bardziej wyludniona. Gleba była marna, zdolna wykarmić jedynie zarośla ciernistych krzewów i chwasty. Tu i ówdzie mijali stawy okolone z rzadka rachitycznymi drzewkami. Niebo zaciągnęło się chmurami i przez resztę dnia jechali w ponurym, popołudniowym świetle.

Kurik na swoim wałachu zbliżył się do Sparhawka.

— Pogoda niezbyt zachęca do podróży, prawda? — zauważył.

— Tak, robi się dość paskudnie — przyznał Sparhawk.

— Dzisiejszej nocy będziemy musieli rozbić gdzieś obozowisko. Konie niemal padają ze zmęczenia.

— Dobrze — zgodził się Sparhawk. — Sam nie czuję się zbyt rześko. — Oczy go piekły i bolała głowa.

— Tylko że ja już od godziny nie widziałem czystej wody. Może pojechałbym z Beritem rozejrzeć się za jakimś strumieniem lub źródłem?

— Jedź, ale bądź czujny — ostrzegł Sparhawk.

Kurik obrócił się w siodle.

— Bericie! — zawołał. — Jesteś mi potrzebny.

Sparhawk z pozostałymi jechali dalej kłusem, a giermek i nowicjusz wysforowali się naprzód.

— Nie powinniśmy robić teraz przystanku w drodze — powiedział Kalten.
— Musimy, chyba że chcesz przed nastaniem ranka iść na piechotę — odparł Sparhawk. — Kurik ma rację. Konie mają już niewiele sił.

— Tak, to prawda.

Wtem ze zbocza pobliskiego wzgórza zjechali Kurik i Berit w pełnym galopie.

— Gotuj się! — zawołał Kurik, wyciągając swą straszliwą broń, kolczastą kulę na łańcuchu i drągu. — Mamy towarzystwo!

— Sephrenio, schowaj się z Flecikiem za tamtymi głazami! — krzyknął Sparhawk. — Talenie, zabierz juczne konie! — Obnażył miecz i wysunął się na czoło, nim pozostali zdążyli sięgnąć po swoją broń.

Napastników było około pięćdziesięciu. Pojawili się na szczycie wzgórza i pojechali w dół. Stanowili dziwny oddział — gwardziści w czerwonych mundurach jechali wraz ze Styrikami odzianymi w zgrzebne tuniki i kilkoma wieśniakami. Wszyscy mieli pobladłe twarze i nieobecne spojrzenia. Atakowali bez chwili wahania, chociaż stawiali czoło ciężko uzbrojonym Rycerzom Kościoła.

Drużyna Sparhawka rozdzieliła się, szykując do przyjęcia ataku.

— Za Boga i Kościół! — zawołał Bevier, wywijając halabardą. Spiał konia ostrogami i wpadł prosto w środek atakujących. Sparhawk zaskoczył nagły manewr młodego cyrinity, ale szybko otrząsnął się i pośpieszył mu z pomocą. Okazało się jednak, że Bevierowi wsparcie nie jest potrzebne. Tarczą odparowywał ciosy niezdarnie wyciąganych przez napastników mieczy, a jego halabarda śmigała w powietrzu zatapiając się głęboko w ciałach wrogów. Chociaż zadawał im straszliwe rany, spadali z siodła bez krzyku. Walczyli i umierali nie wydając najmniejszego głosu. Sparhawk jechał za Bevierem, ścinając każdego, kto próbował zaatakować cyrinitę od tyłu. Prawie przepołowił mieczem gwardzistę, ale człowiek w czerwonym mundurze nawet nie jęknął. Następny uniósł miecz, aby ugodzić Beviera w plecy, lecz Sparhawk z zamachem ciął go w głowę. Gwardzista spadł z siodła i legł w drgawkach na zbroczonej krwią trawie.

Kalten i Tynian oskrzydłili napastników i przedzierali się do środka, tnąc na prawo i lewo, a Uloth, Kurik i Berit przechwytywali nielicznych ocalałych, którzy próbowali uciec.

Wkrótce ziemia pokryła się ciałami w czerwonych mundurach i zakrwawionych białych, styryckich tunikach. Konie bez jeźdźców uciekały z miejsca potyczki, rżąc w panice. Zazwyczaj w takiej sytuacji, gdy napastnicy widzieli, co przytrafiło się ich kompanom, uciekali bez chwili wahania. Jednakże ci ludzie o martwych twarzach bez wyrazu wciąż atakowali. Obrońcy musieli wybić ich do nogi.

— Sparhawk! — zawołała Sephrenia. — Spójrz!

Czarodziejka wskazywała na szczyt wzgórza, z którego nastąpił atak. Stał tam koń niosący na grzbiecie wysoką, wychudzoną postać w czarnej szacie z kapturem, spod którego emanowała zielonkawa poświata.

— To coś zaczyna mnie już denerwować — powiedział Kalten. — Jeśli chcesz pozbyć się owada, najlepiej go rozdepcz. — Uniósł tarczę i spiął rumaka ostrogami. Ruszył galopem wygrażając uniesionym wysoko mieczem.

— Nie! Kaltenie! — krzyknęła Sephrenia głosem pełnym trwogi.

Jasnowłosy rycerz nie zwracał uwagi na jej ostrzeżenie. Sparhawk zaklął i pognął za przyjacielem.

Postać na szczycie wzgórza wykonała drobny, niemal wzgardliwy gest. Nagle Kalten został wyrzucony z siodła przez jakąś niewidzialną siłę. Sparhawk zauważył z odrazą, że to, co wyłoniło się spod czarnej szaty, nie było ręką, a bardziej przypominało swoim wyglądem kleszcze skorpiona.

Sparhawk niczym zauroczony nie mógł oderwać oczu od dziwnej postaci, nawet wtedy, gdy zeskoczył z Farana i śpieszył z pomocą Kaltenowi. Jakimś sposobem Flecik umknęła spod czujnego oka Sephrenii i stanęła u podnóża wzniesienia. Tupnęła władczo ubrudzoną trawą stópką. Do ust przyłożyła fujarkę. Melodia, którą z niej dobyła, była surowa i pełna dysonansów; wydawało się, że towarzyszy jej olbrzymi chór ludzkich głosów. Zakapturzona postać na szczycie wzgórza zachwiała się w siodle, jakby ugodzona potężnym ciosem. Melodia małej Flecik stawała się coraz głośniejsza, a niewidzialny chór śpiewał w potężnym crescendo. Dźwięk był tak donośny, że Sparhawk musiał zasłonić uszy. Pieśń osiągnęła poziom fizycznego bólu.

Postać na wzgórzu wrzasnęła przeraźliwym, nieludzkim głosem i zaszczękała szczypcami uniesionymi do zakapturzonej głowy. Raptem zawróciła konia i uciekła w dół przeciwnego zbocza.

Nie było czasu na pościg za potworem. Kalten leżał na ziemi z trudem łapiąc oddech. Twarz miał pobladłą, a ręce przyciskał do brzucha.

— Jak się czujesz? — dopytywał się Sparhawk, klękając obok przyjaciela.

— Zostaw mnie — wysapał jasnowłosy rycerz.

— Nie wygłupiaj się. Jesteś ranny?

— Nie. Leżę tu dla przyjemności. — Kalten z drżeniem zaczerpnął powietrza.

— Czym mnie to uderzyło? Nigdy jeszcze tak nie oberwałem.

— Pozwól, bym cię obejrzał.

— Nic mi nie jest, Sparhawk. Po prostu zapało mi dech w piersi i to wszystko.

— Ty durniu! Wiesz, czym jest ten stwór. Cóż ty sobie wyobrażasz? — Sparhawk nagle ogarnęła złość.

— Wydawało mi się, że to doskonały pomysł. — Kalten uśmiechnął się słabo.

— Może powinienem był to trochę dokładniej przemyśleć.

— Jest ranny? — zapytał Bevier, który zsiadł z konia i zbliżał się do nich z zafrasowanym obliczem.

— Myślę, że nic mu nie będzie. — Sparhawk wstał, z trudem panując nad gniewem. — Szlachetny panie Bevierze — zaczął oficjalnym tonem — przesze-

dłeś odpowiednie wyszkolenie. Wiesz, co powinienesz czynić w przypadku ataku. Co cię napadło, aby pchać się w sam środek?

— Nie sądziłem, że jest ich aż tylu — bronił się Bevier.

— Rzeczywiście było ich dość dużo. A by cię zabić, wystarczy jeden.

— Zawiodłem cię, dostojny panie, prawda? — spytał Bevier posepnie.

Sparhawk przyglądał się przez chwilę szczerzej twarzy młodego rycerza. Potem westchnął.

— Nie, panie Bevierze. Zaskoczyłeś mnie i to wszystko. Proszę, miej litość dla moich nerwów i nie zaskakuj mnie więcej. Nie robię się młodszy, a niespodzianki jeszcze mnie postarzają.

— Być może nie wziąłem pod uwagę uczuć swoich towarzyszy — przyznał ugodowo cyrinita. — Przyrzekam, że więcej się to nie powtórzy.

— Będę ci za to wdzięczny, panie Bevierze. Pomóżmy zejść Kaltenowi ze wzgórza. Niech Sephrenia rzuci na niego okiem. Jestem pewien, że zechce uciąć sobie z nim długą pogawędkę.

Kalten wzdrygnął się z przestraczem.

— Sparhawk, może dasz się przekonać i pozostawisz mnie tutaj? To takie miłe, miękkie błotko.

— Nie ma mowy. — Sparhawk był bezlitosny. — Ale nie martw się. Mateczka cię lubi, więc prawdopodobnie nic ci nie zrobi. . . w każdym razie nic ostatecznego.

Rozdział 3

Sephrenia opatrywała duży, brzydko wyglądający siniak na przedramieniu Berita. Sparhawk i Bevier przyprowadzili do niej słabo opierającego się Kaltena.

— Jesteś ranny? — zapytał Sparhawk młodego nowicjusza.

— To drobiazg, dostojny panie — odparł dzielnie Berit, ale twarz miał pobladłą.

— Czy tego w pierwszym rzędzie was uczą? — zapytała Sephrenia z niesmakiem. — Lekceważyć własne rany? Kolczuga Berita osłoniła go przed większością ciosów, ale za jakąś godzinę jego ramię zsinieje od łokcia do barku. Ledwie będzie mógł nim ruszać.

— Dzisiejszego ranka jesteś w radosnym nastroju, mateczko. — Kalten starał się uśmiechnąć przymilnie.

Sephrenia pogroziła mu palcem.

— Siadaj, mój drogi. Zabiorę się za ciebie, gdy tylko skończę opatrywać Berita.

Kalten westchnął i opadł na ziemię. Sparhawk rozejrzył się dookoła.

— Gdzie jest pan Ulath, pan Tynian i Kurik? — zapytał.

— Przeszukują teren, dostojny panie, sprawdzają, czy nie zastawiono na nas więcej pułapek — odpowiedział Berit.

— Dobry pomysł.

— Ten stwór nie wydawał mi się szczególnie groźny — stwierdził nowicjusz. — Jest trochę tajemniczy i to chyba wszystko.

— Bo nie ciebie trafił — rzekł Kalten. — Naprawdę jest groźny. Masz na to moje słowo.

— Jest bardziej niebezpieczny, niż to sobie potrafisz wyobrazić — odezwała się Sephrenia. — Może wysłać w ślad za nami całą armię.

— Jeżeli posiada moc, którą dał radę wysadzić mnie z siodła, to niepotrzebna mu armia.

— Kaltenie, ciągle o czymś zapominasz. Jego umysł jest umysłem Azasha. Bogowie wolą posługiwać się ludźmi.

— Ci ludzie, którzy zeszli ze wzgórza, przypominali lunatyków — powiedział Bevier wzdygając się. — Rąbaliśmy ich na kawałki, a żaden z nich nawet nie jęknął. — Zadrzał. — Nie myślałem, że Styrycy są tak waleczni. — Nigdy przedtem nie widziałem żadnego z nich z mieczem w dłoni.

— To nie byli Styrycy z Zachodu — wyjaśniła Sephrenia, bandażując ramię Beritowi. — Staraj się nim nie ruszać — poinstruowała młodzieńca. — Trochę potrwa, zanim będzie zdrowe.

— Tak, pani — odparł nowicjusz. — Skoro już o tym mówimy, zaczyna mnie trochę boleć.

Czarodziejka uśmiechnęła się z tklivością.

— Jemu nic nie będzie, Sparhawk. On nie ma tak zakutej pały, jak co poniektórzy — dodała, rzucając pełne znaczenia spojrzenia na Kaltena.

— Mateczko... — zaprotestował jasnowłosy rycerz.

— Zdejmij kolczugę — przerwała mu. — Chcę sprawdzić, czy nic sobie nie złamałeś.

— Twierdzisz, szlachetna pani, że w tej grupie nie było Styryków z Zachodu — odezwał się Bevier.

— Nie, nie było. To byli Zemosi. Stało się tak, jak podejrzewaliśmy wcześniej. Szukacz może się posłużyć kimkolwiek, ale Styrycy nie posługują się bronią wykonaną ze stali. Gdyby pochodzili z tych okolic, ich miecze byłyby z brązu lub z miedzi. — Obrzuciła krytycznym spojrzeniem Kaltena, który właśnie zdjął kolczugę. Wstrząsnął nią nagły dreszcz. — Przypominasz futrzak — powiedziała.

— To nie moja wina, mateczko. — Kalten zarumienił się. — Wszyscy mężczyźni w moim rodzie są obficie owłosieni.

— Co w końcu odpędziło tego stwora? — zastanawiał się Bevier.

— Flecik — odparł Sparhawk. — Robiła to już poprzednio. Raz nawet przepędziła damorka swoją fujarką.

— Ta dziecina? — zapytał Bevier z niedowierzaniem.

— Flecik jest kimś więcej niż zwykłą małą dziewczynką — rzekł Sparhawk. Podniósł wzrok na zbocze wzgórza. — Talenie! — krzyknął. — Przestań!

Talen, zajęty właśnie łupieniem poległych, spojrzął na niego z pewnym zdumieniem.

— Ależ, dostojny panie... — chciał zaprotestować.

— Odejdź stamtąd! To odrażające.

— Ale...

— Zrób, jak ci kazano! — krzyknął Berit.

Talen westchnął i zszedł ze wzgórza.

— Spędźmy konie, panie Bevierze — powiedział Sparhawk. — Ruszymy, gdy tylko wróci Kurik i pozostali. Szukacz nie odjechał daleko i w każdej chwili może zaatakować nas nowym oddziałem.

— Może to uczynić równie dobrze nocą, jak i w dzień — odezwał się z powątpiewaniem cyrinita — i potrafi wytropić nas po zapachu.

— Wiem, panie Bevierze. I dlatego uważam, że prędkość jest naszą jedyną bronią. Musimy spróbować powtórnie zgubić tego stwora.

Zmierzch zaczął zapadać nad wyludnioną okolicą, kiedy Kurik, Ulath i Tynian wrócili.

— Wygląda na to, że nie ma tam nikogo więcej — raportował giermek, zeska-
kując ze swojego wałacha.

— Musimy ruszać — rzekł Sparhawk.

— Konie już ledwo dyszą — zaprotestował Kurik — a i ludzie wyraźnie mają dosyć. Żaden z nas nie spał zbyt wiele w ciągu ostatnich dwóch dni.

— Ja się tym zajmę — powiedziała spokojnie Sephrenia, podnosząc wzrok znad owłosionego torsu Kaltena.

— Jak? — zapytał odrobinę opryskliwie Kalten.

Czarodziejka pstryknęła mu przed nosem palcami.

— A jakżeby inaczej? — uśmiechnęła się.

— Naprawdę istnieje zakłęcie, które spowoduje, że poczujemy się lepiej? To dla czego nie nauczyłaś go nas wcześniej? — zapytał Sparhawk nieco grubiańsko, czując powracający ból głowy.

— Ponieważ to jest niebezpieczne. Znam dobrze was, pandionitów. Dać wam tylko taką możliwość, a całymi tygodniami będziecie chcieli być na nogach.

— I co z tego? Jeżeli zakłęcie rzeczywiście działa, to co za różnica?

— Zakłęcie sprawia, że jedynie czujecie się wypoczęci, ale w rzeczywistości tak nie jest. Umarlibyście z wyczerpania, gdybyście go nadużywali.

— Ach tak! To chyba istotny powód.

— Cieszę się, że mnie rozumiesz.

— Jak się czuje Berit? — zapytał Tynian.

— Będzie trochę obolały, ale poza tym nic mu nie jest — odparła czarodziejka.

— Ten młodzieniec ma przed sobą przyszłość — powiedział Ulath. — Gdy tylko ramię mu wyzdrowieje, udzielę mu kilku wskazówek w postęgowaniu się toporem. Ma do tego dryg, tylko technika jeszcze trochę szwankuje.

— Przyprawadźcie tu konie — poleciła Sephrenia.

Zaczęła przemawiać po styricku, niektóre słowa wymawiając jedynie w myśli i ukrywając dłonie, by nie widać było ruchów palców. Sparhawk nawet gdyby próbował, nie byłby w stanie uchwycić wszystkich słów ani domyślić się gestów uwalniających zakłęcie. Nagle poczuł się zupełnie wypoczęty. Tępy ból głowy zniknął, a umysł miał znowu jasny. Juczny koń, który jeszcze chwilę temu stał na drżących nogach i nisko zwieszał łeb, teraz hasał niczym źrebak.

— Dobre zakłęcie — mruknął Ulath. — Jedziemy?

Pomogli Beritowi dosiąść konia i wyruszyli. Zapadał wczesny zmierzch. W godzinę później wzeszedł księżyc i przy jego świetle odważyli się nawet na

krótki galop.

— Przed nami, tuż za tym wzgórzem, jest droga — rzekł Kurik do Sparhawk.
— Zauważyliśmy ją rozglądając się po okolicy. Biegnie mniej więcej we właściwym kierunku, więc moglibyśmy zyskać na czasie jadąc nią, miast potykać się w ciemnościach na bezdrożach.

— Masz słusność — przyznał Sparhawk — musimy opuścić tę okolicę jak najszybciej.

Kiedy znaleźli się na drodze, puścili konie galopem. Było już dobrze po północy, gdy z zachodu nadciągnęły chmury, zaciemniając nocne niebo. Sparhawk zaklął pod nosem. Musieli zwolnić.

Tuż przed świtem dojechali do rzeki i droga skręciła na północ. Podążyli nią dalej w poszukiwaniu mostu lub brodu. Poranek był pochmurny. Ujechali jeszcze kilka lig w górę rzeki, a potem droga skręciła ponownie na wschód i zniknęła w wartkim nurcie, by wyłonić się znowu na przeciwnym brzegu.

Obok brodu stała chatka. Jej właściciel o przebiegłych oczach, ubrany w zieloną opończę, zażądał opłaty za przeprawę. Sparhawk bez dyskusji zapłacił podaną kwotę.

— Powiedz mi, ziomku — zagadnął — jak daleko do granicy z Pelosią?

— Będzie z pięć lig. Jeśli się pośpieszycie, dotrzecie tam około południa.

— Dzięki, ziomku. Bardzoś nam pomógł.

Ruszyli przez bród. Końskie kopyta rozpryskiwały wodę. Gdy wyjechali na przeciwny brzeg, Talen podjechał do Sparhawk.

— Weź z powrotem swoje pieniądze — powiedział złodziejasek, podając mu kilka monet.

Sparhawk rzucił mu zdumione spojrzenie.

— Nie protestuję przy płaceniu za przejazd przez most — prychnął Talen.
— W końcu ktoś wykosztował się na jego budowę. Tamten człowiek po prostu pilnuje naturalnego brodu, dlaczego więc miałby z tego czerpać zyski?

— Więc ukradłeś mu sakiewkę?

— Oczywiście!

— Było w niej pewnie więcej monet?

— Trochę. Potraktujmy je jako zapłatę za odzyskanie twoich pieniędzy.
W końcu mnie też się chyba coś należy?

— Jesteś niepoprawny.

— Muszę ćwiczyć, by nie zapomnieć wszystkiego, co umiem.

Z drugiego brzegu dobiegł ich wrzask.

— Wygląda na to, że właśnie odkrył swoją stratę — zauważył Sparhawk.

Ziemia na tym brzegu rzeki była niewiele lepsza od jałowego pustkowia, które właśnie opuścili. Od czasu do czasu widywali ubogie gospodarstwa. Mizernie wyglądający wieśniacy, odziani w brunatne koszule, w pocie czoła wrywali nieprzyjaznej ziemi skąpe plony. Kurik skrzywił się pogardliwie.

— Amatorzy — mruknął. On jak nikt znał się na uprawie roli.

Wczesnym przedpołudniem wąska droga, którą podążali, połączyła się z ruchliwym traktem, biegnącym prosto na wschód.

— Mam pewną sugestię — powiedział Tynian poprawiając ozdobioną błękitnym herbem tarczę.

— Sugeruj więc.

— Być może postąpimy lepiej jadąc do granicy tym traktem, a nie na przełaj jak poprzednio. Pelozyjczycy są czuli na punkcie ludzi unikających przejść granicznych. Obsesyjnie nie cierpią przemytników. Chyba nie mamy zamiaru wdać się w utarczkę z ich patrolem.

— Dobrze — zgodził się Sparhawk. — W miarę możliwości trzymajmy się z dala od kłopotów.

Wkrótce po posepnym, bezsłonecznym południu dotarli do granicy i bez przeszkód wjechali do Pelosii. Okoliczni mieszkańcy wydawali się jeszcze biedniejsi niż w północnowschodniej Elenii. Domy i zabudowania gospodarcze były kryte darnią, a na dachach pasły się zwinne kozy. Kurik przyglądał się temu z dezaprobatą, ale nic nie mówił.

Wieczorem wjechali na wzgórze i dojrzeli migające w dolinie światełka wioski.

— Może udamy się do jakiegoś zajazdu? — zaproponował Kalten. — Zakłęcie Sephrenii zaczyna tracić moc. Mój koń pada ze zmęczenia, a ja jestem w niewiele lepszej formie.

— W pelozyjskim zajeździe nie będziesz spał samotnie — ostrzegł go Tynian. — Zwykle posłania w nich są pełne różnego rodzaju niemiłych stworzeń.

— Pchły? — domyślił się Kalten.

— I wszy, i pluskwy wielkości myszy.

— Musimy zaryzykować — postanowił Sparhawk. — Konie nie są w stanie jechać dalej i nie sądzę, aby szukacz zaatakował nas wewnątrz budynku. Wydaje się, że woli otwarty teren. — Poprowadził ich w dół zbocza, w kierunku wioski.

W osadzie ulice były nie brukowane i końskie kopyta ślizgały się po błocie. Dojechali do jedyne go zajazdu. Sparhawk wziął na ręce Sephrenię, a Kurik małą Flecik i przenieśli je na ganek. Schody wiodące do drzwi powalane były błotem, a po wyglądzie wycieraczki można było sądzić, że tylko nieliczni z niej korzystali. Pelozyjczykom widocznie błoto nie przeszkadzało. Wnętrze zajazdu było ciemne i zadymione. Królowała w nim woń spoconych ciał i nieświeżej stawy. Co prawda podłogę zaścielono kiedyś słomą, ale zdążyła się już wszędzie, z wyjątkiem kątów, zamienić w wyschnięte błoto.

— Czy aby na pewno nie chcesz zmienić zdania? — zapytał Tynian Kaltena, gdy znaleźli się w izbie.

— Mam odporny żołądek — odparł Kalten — a gdy wchodziliśmy, poczułem zapach wołowiny.

Mięso, podane im przez właściciela zajazdu, było obficie obłożone gotowaną kapustą i ledwie jadalne, a posłania okazały się zwykłymi siennikami zarobaczonymi bardziej, niż przewidywał Tynian.

Następnego ranka wstali wcześniej i opuścili błotnistą wioskę, odjeżdżając w mroczny świt.

— Czy w tej części świata słońce nigdy nie świeci? — zapytał Talen z goryczą.

— Jest wiosna — powiedział Kurik. — Wiosną zawsze jest deszczowo i pochmurnie. To sprzyja plonom.

— Ale ja nie jestem rzodkiewką. Nie muszę być podlewany.

— Zwróć się z tym do Boga. — Kurik wzruszył ramionami. — Ja nie ustalam pogody.

— Nie jestem z Bogiem w najlepszych stosunkach — odrzekł gładko Talen.

— On jest zajęty, ja też. Staramy się nie wchodzić sobie w drogę.

— Arogancki z niego chłopiec — zauważył Bevier z naganą w głosie. — Młody człowieku — zwrócił się do Talena — to wysoce niewłaściwe mówić w ten sposób o Panu Wszechświata.

— Jesteś szanowanym Rycerzem Kościoła, szlachetny panie Beverze — stwierdził rezolutnie Talen — ja zaś jestem ulicznym złodziejaszkiem. Kierujemy się odmiennymi zasadami. W ogromnym ogrodzie kwiatowym Pana Boga potrzeba kilku chwastów do podkreślenia wspaniałości róż. Ja jestem chwastem. Wiem, że Bóg mi wybaczy, skoro stałem się częścią jego wspaniałego zamysłu.

Bevier spojrział na niego bezradnie, po czym wybuchnął śmiechem.

Przez kilka następnych dni posuwali się ostrożnie przez południowoschodnią Pelosię, wysyłając przodem zwiadowców i rozglądając się ze szczytów wzgórz po okolicy. Pod pochmurnym ciągle niebem skręcili na wschód. Mijali wieśniaków — a właściwie chłopów pańszczyźnianych — pracujących na polach. W żywopłotach ptaki wiły gniazda. Czasami też widzieli jelenie pasące się razem ze stadami marnego bydła.

W tej zaludnionej okolicy Sparhawk i jego przyjaciele nie spotkali gwardzistów Kościoła ani Zemochów. Pomimo to zachowywali ostrożność, omijając ludzi i wysyłając zwiadowców. Zdawali sobie sprawę, iż odziany w czarną szatę szukacz potrafi nawet bojaźliwych chłopów pańszczyźnianych zmusić do wykonania swoich rozkazów.

Gdy zbliżyli się do granic Lamorkandii, dotarty do nich wysoce niepokojące wieści o zamieszkach na terenie tego królestwa. Lamorkandczycy nie należeli do najzgodniejszych ludzi na świecie. Król Lamorkandii rządził jedynie za cichą zgodą wielmożów, w znacznej mierze niezależnych, którzy w czasach niepokoju chowali się za murami swoich potężnych zamków. Na porządku dziennym były właśnie rodowe ciągnące się od setek lat, a hultajscy baronowie łupili i grabili do woli. Na większości obszaru Lamorkandii wojna domowa trwała wiecznie.

Którejś nocy rozbili obóz około trzech lig od granicy tego najbardziej niepokojnego z zachodnich królestw. Zaraz po zjedzeniu wieczerzy — ostatniego kawałka wołowiny — Sparhawk wstał.

— Czy ktoś z was wie, co jest powodem zamieszania w Lamorkandii? — otworzył naradę.

— Spędziłem w tym państwie ostatnie osiem czy dziewięć lat — zaczął Kalten. Tym razem mówił z powagą. — Mieszkają tam dziwni ludzie. Lamorkandczyk jest gotów poświęcić wszystko, co posiada w imię zemsty, a niewiasty są pod tym względem jeszcze gorsze od mężczyzn. Porządna dziewczka potrafi zmarnować resztę swojego życia — i majątku ojca — na poszukiwaniu okazji do przeszycia włócznią kogoś, kto nie chciał z nią zatańczyć podczas zimowej zabawy. Spędziłem tam długie lata i w ciągu tego czasu ani razu nie słyszałem śmiechu i ani razu nie widziałem nikogo z pogodnym wyrazem twarzy. To najbardziej ponure miejsce na świecie. W Lamorkandii nawet słońcu zabroniono świecić.

— Czy ta wojna domowa, o której słyszeliśmy od Pelozyczyków, jest rzeczą powszednią? — zapytał Sparhawk.

— Pelozyczycy nie są narodem, który potrafiłby właściwie ocenić osobliwości Lamorkandii — odparł Tynian w zamyśleniu. — Tylko dzięki wpływowi Kościoła, a zwłaszcza obecności Rycerzy Kościoła, Lamorkandczycy i Pelozyczycy nie wdali się ochoczo w wyniszczającą obie strony wojnę. Nienawidzą się z pasją, która jest niemal święta w swym bezmyślnym okrucieństwie.

— Eleni — westchnęła Sephrenia.

— Nie jesteśmy bez wad, mateczko — przyznał Sparhawk. — Narazimy się więc na niechybne kłopoty, jeżeli przekroczymy granicę, nieprawdaż?

— Niezupełnie — powiedział Tynian drapiąc się po policzku. — Jesteś gotów wysłuchać innej propozycji, dostojny panie?

— Zawsze jestem gotów słuchać propozycji.

— Czemu nie mielibyśmy przywdziać naszych paradnych zbroi? Nawet najbardziej rozochocony baron nie wyciągnie pochopnie miecza przeciwko Kościołowi, a Rycerze Kościoła, gdyby przyszła im na to ochota, mogliby zetrzeć w proch całą zachodnią Lamorkandię.

— A co się stanie, jeżeli ktoś zechce nas jednak zaatakować? — zapytał Kalten. — W końcu jest nas tylko pięciu.

— Nie sądzę, aby mieli ku temu jakiś powód — stwierdził Tynian. — Neutralność Rycerzy Kościoła w lokalnych sprzeczkach jest wręcz legendarna. Paradna zbroja może właśnie zapobiec nieporozumieniom. Naszym zadaniem jest dotarcie do jeziora Randra, a nie wdawanie się w przypadkowe utarczki z kąpanymi w gorącej wodzie Lamorkandczykami.

— To może się powieść, panie Sparhawk — mruknął Ulath. — W każdym razie warto spróbować.

— A więc postanowione — zdecydował Sparhawk.

Następnego ranka pięciu rycerzy wypakowało swoje paradne zbroje i z pomocą Kurika oraz Berita zaczęło je przywdziewać. Sparhawk i Kalten przykryli swoje pancerze jedwabnymi czarnymi szatami wierzchnimi ze srebrnymi znakami Zakonu Pandionu, przypasali miecze, a do ramion przypięli czarne płaszcze. Wypolerowana zbroja Beviera, cyrinity z Arcium, błyszczała srebrzyście, a jego szata wierzchnia i płaszcz były śnieżnobiałe. Tynian, rycerz Zakonu Alcjonu z Deiry, przywdział ciężką stalową zbroję z grubych niemal na palec blach, narzucił na nią błękitną szatę wierzchnią i równie błękitny płaszcz. Ulath, genidianita z Thalesii zrezygnował z krótkiej, wygodnej kolczugi, którą nosił w podróży, i zastąpił ją formalnym odzieniem rycerzy swojego zakonu — długą do połowy ud kolczugą i nogawicami z naszytymi stalowymi kółkami. Następnie spakował płaszcz podróżny i zwykły spiczasty, metalowy kołpak, a założył zieloną szatę wierzchnią oraz paradny hełm ozdobiony parą krętych rogów, które — jak mówił — były rogami ogra.

— Jak wyglądamy? — zapytał Sparhawk Sephrenię, gdy skończyli się ubierać.

— Imponująco — pochwaliła czarodziejka.

Talen obrzucił ich krytycznym spojrzeniem.

— Przypominają czajniki, którym wyrosły nogi — zauważył.

— Nie bądź niegrzeczny — powiedział Berit zasłaniając usta dłonią, by ukryć uśmiech.

— To deprimujące! — Kalten odwrócił się do Sparhawk. — Sądziś, że w mniemaniu prostych ludzi naprawdę wyglądamy tak idiotycznie?

— Kto to wie?

Kurik i Berit wycięli w pobliskich zaroślach cisowych drzewca do kopii i umocowali na nich stalowe ostrza.

— Proporce? — zapytał giermek.

— Co o tym myślisz? — zapytał Sparhawk Tyniana.

— Nie zaszkodzi. Wydaje mi się, że powinniśmy postarać się o jak najbardziej paradny wygląd.

Nie bez trudności dosiedli koni, u siodeł umocowali tarcze oraz kopie z proporcami i ruszyli. Faran natychmiast zaczął tańczyć na zadnich kopytach.

— Och, daj spokój — zganił go Sparhawk.

Tuż po południu przekroczyli granicę z Lamorkandią. Straże graniczne patrzyły na nich podejrzliwie, ale bez namysłu ustąpiły drogi Rycerzom Kościoła o zdecydowanych obliczach.

Na przeciwległym brzegu rzeki położone było miasto Kadach. Wiódł tam co prawda most, ale Sparhawk postanowił ominąć to ponure i odrażające miejsce. Zamiast tego po sprawdzeniu mapy skręcił na północ.

— W górnym biegu rzeka się rozgałęzia — wyjaśnił swym towarzyszom. —

Tam będziemy mogli ją przejść w bród. I tak zmierzamy mniej więcej w tym właśnie kierunku, a miasta pełne są ludzi skorych do plotek na temat przyjezdnych.

Pojechali na północ aż do miejsca, gdzie liczne małe strumienie wpadały do głównego nurtu rzeki. Gdy przeprawiali się przez jeden z nich, dostrzegli na przeciwległym brzegu duży oddział lamorkandzkich wojowników.

— Rozdzielamy się — polecił zwięźle Sparhawk. — Sephrenio, zabierz Tale-na i dziewczynkę na tyły.

— Podejrzewasz, że to ludzie szukacza? — zapytał Kalten, poprawiając w dłoni kopię.

— Dowiemy się za chwilę. Nie róbcie niczego zbyt pochopnie, ale bądźcie przygotowani na kłopoty.

Dowódcą wojowników był krzepki mężczyzna w mocnych skórzanych butach, kolczudze i stalowym hełmie z przyłbicą w kształcie świńskiego ryja. Samotnie wjechał w nurt rzeki, unosząc przyłbicę na znak pokojowych zamiarów.

— On nie spotkał żadnego szukacza na swej drodze — rzekł cicho Bevier. — Nie ma takiego tępego wyrazu twarzy jak ci ludzie w Elenii, których musieliśmy pozabijać.

— Cóż za szczęśliwe spotkanie, cni rycerze — odezwał się Lamorkandczyk. Sparhawk wjechał trochę głębiej w nurt rwącego strumienia.

— Istotnie szczęśliwe — odpowiedział.

— To wielce fortunny traf — ciągnął Lamorkandczyk. — A już bałem się, że będziemy musieli jechać aż do Elenii, nim natkniemy się Rycerzy Kościoła.

— A jakąż to sprawę masz do Rycerzy Kościoła? — zapytał Sparhawk uprzejmie.

— Domagamy się waszych usług — usług, które są bezpośrednio związane z dobrem Kościoła.

— Żyjemy po to, aby mu służyć — powiedział Sparhawk, skrywając swoje rozdrażnienie. — Wyjaśnij dokładniej, o co chodzi, mości rycerzu.

— Jak wszyscy wiedzą, patriarcha Kadachu jest najlepszym kandydatem do tronu arcyprałata w Chyrellos — oświadczył Lamorkandczyk.

— Ja o tym nie słyszałem — rzucił cicho Kalten z tyłu.

— Cisza! — burknął Sparhawk przez ramię. — Mów dalej, mości rycerzu — zwrócił się do Lamorkandczyka.

— Nieszczęśliwie w obecnym czasie na terenach zachodniej Lamorkandii panuje niepokój — ciągnął wojownik.

— Podobna mi się to „nieszczęśliwie” — mruknął Tynian do Kaltena. — Miło brzmi.

— Czy wy obaj w końcu będziecie cicho? — warknął Sparhawk, po czym ponownie spojrzął na woja z Lamorkandii. — Doszły nas słuchy o panującej tu niezgodzie, ale z całą pewnością to tylko lokalne zamieszki nie wymagające interwencji Rycerzy Kościoła.

— Zaraz przejdę do istoty rzeczy. Ortzel, patriarcha Kadachu, został zmuszony przez te niepokoje, o których właśnie wspominałem, do szukania schronienia w twierdzy swojego brata, barona Alstroma, któremu mam honor służyć. Niepokoje w Lamorkandii przybierają na sile i spodziewamy się, że nieprzyjaciele barona Alstroma wkrótce oblężą jego twierdzę.

— Ale nas jest tylko pięciu, mości rycerzu — zauważył Sparhawk. — Nasza pomoc z pewnością na niewiele się zda.

— Możemy przetrwać oblężenie zamku bez pomocy niezwyciężonych Rycerzy Kościoła. — Lamorkandczyk uniósł się pychą. — Zamek barona Alstroma jest niezdobyty, wrogowie mogą przez pokolenia gryźć jego mury, a my nie musimy nawet bić na alarm. Jak już jednakże powiedziałem, patriarcha Ortzel jest najpewniejszym kandydatem na arcyprałata po śmierci przenajświętszego Cluvonusa, który, spraw Panie, aby nie zgasł zbyt szybko. Dlatego też obarczam ciebie i twoich szlachetnych towarzyszy, mości rycerzu, obowiązkiem eskortowania najprzewielebniejszego księdza arcybiskupa, aby cało i zdrowo dotarł do Świętego Miasta, do Chyrellos, a tym samym mógł stanąć do elekcji, gdy minie czas żałoby. Mając to na względzie, będę eskortował was, cni rycerze, do twierdzy barona Alstroma, byście mogli podjąć się tego zaszczytnego zadania. A więc ruszajmy.

Rozdział 4

Zamek barona Alstroma wyrastał ze skalistego przyczółka na wschodnim brzegu rzeki, kilka lig od miasta Kadach. Przyczółek głęboko wrzynał się w główny nurt. Zamek był posepną, brzydką twierdzą, która niczym ropucha przycupnęła pod ponurym niebem. Wysokie i grube mury zdawały się odzwierciedlać butę i zajadłość właściciela.

— Niezdobyta twierdza? — mruknął ironicznie Bevier do Sparhawk, gdy wojownik w hełmie z przyłbicą w kształcie świńskiego ryja prowadził ich krótką groblą wiodącą do bram zamku. — W przeciągu dwóch lat mógłbym pozbawić ją tych murów. Żaden z arcjańskich szlachciców nie czułby się bezpieczny przy tak marnych fortyfikacjach.

— Arkowie mają więcej czasu na budowę swoich zamków — zauważył Sparhawk. — W Arcium wojny nie wybuchają tak szybko jak tu, w Lamorkandii. Tutaj do rozpoczęcia wojny wystarczy pięć minut, za to ciągnąć się potrafią przez całe pokolenia.

— To prawda — przyznał Bevier uśmiechając się słabo. — We wczesnej młodości studiowałem historię wojskowości. Kiedy dotarłem do tomu poświęconego Lamorkandii, załamałem w rozpaczę ręce. Nikt przy zdrowych zmysłach nie był w stanie dociec wszystkich sojuszy, zdrad i krwawych zemst rodowych, które nękają to nieszczęsne królestwo.

Most zwodzony opadł z hukiem i wjechali na główny dziedziniec.

— Jeżeli pozwolicie, cni rycerze — powiedział lamorkandzki wojownik zsiadając z konia — poprowadzę was prosto przed oblicze barona Alstroma i jego brata, patriarchy Ortzela. Czas nagli, a chcielibyśmy, aby jego świątobliwość bezpiecznie opuścił zamek, zanim wojska hrabiego Gerricha zaczną oblężenie.

— Prowadź, mości rycerzu — odparł Sparhawk, zsiadając z Farana z chrzęstem zbroi. Oparł kopię o ścianę stajni, odwiesił zdobioną srebrem czarną tarczę na siodło i podał wodze pachołkowi.

Do zamku wiodły szerokie, kamienne schody i masywne podwoje. Przedsiónek o ścianach z potężnych głazów oświetlały pochodnie.

— Ostrzegłeś tego pachołka? — zapytał Kalten, idący obok Sparhawk.

- Przed czym?
- Przed złośliwością twojego konia.
- Zapomniałem — przyznał Sparhawk — ale chyba sam się zorientuje.
- Pewnie już się zorientował.

Lamorkandczyk wprowadził ich do ponurej komnaty. Pod wieloma względami bardziej przypominała ona zbrojownię niż pomieszczenie mieszkalne. Na ścianach wisiały miecze i topory, a w rogach stały pęki włóczy. W ogromnym, sklepionym kominku płonął ogień, w jego pobliżu stały ciężkie, niewyściełane krzesła. Na gołej podłodze drzemało kilka wilczurów.

Baron Alstrom był mężczyzną o surowym obliczu i melancholijnym spojrzeniu. Czarne włosy i brodę przyprószyła mu siwizna. Ubrany był w kolczugę, a u pasa nosił szeroki miecz. Na nogach miał, podobnie jak jego wojownik, wysokie buty. Czarny kaftan barona zdobiły bogate czerwone hafty.

Eskortujący ich rycerz skłonił się nisko.

— Wielmożny panie baronie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkałem Rycerzy Kościoła nie dalej jak ligę od murów zamku. Byli na tyle uprzejmi, że zgodzili się przyjechać tu ze mną.

— A mieliśmy inne wyjście? — mruknął Kalten.

Baron podniósł się z krzesła niezgrabnie, bo kolczuga i miecz krępowały mu ruchy.

— Witam, szlachetni rycerze — odezwał się niezbyt ciepło brzmiącym głosem. — To naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że Enmann natknął się na was tak blisko twierdzy. Wróg wkrótce zacznie oblężenie i zanim to nastąpi, mój brat powinien znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

— Tak, wiemy o tym, baronie — odparł Sparhawk zdejmując czarny hełm i spoglądając za odchodzącym Lamorkandczykiem. — Pan Enmann zapoznał nas z sytuacją. Czy nie postąpiłbyś jednak rozważniej, gdybyś wysłał brata pod eskortą swoich żołnierzy? Tylko przypadek przywiódł nas do twych bram prędzej, niż dotarli tu wrogowie.

Alstrom pokręcił przecząco głową.

— Wojownicy hrabiego Gerricha z całą pewnością zaatakowałyby moich ludzi. Tylko pod opieką Rycerzy Kościoła mój brat będzie bezpieczny, panie... ?

— Zwę się Sparhawk.

Alstrom wyglądał na lekko zaskoczonego.

— Twe imię nie jest nam obce, dostojny panie — powiedział. Spojrzał pytająco na pozostałych i Sparhawk dokonał prezentacji.

— Dziwnie dobrana kompania, dostojny panie — zauważył Alstrom, skłaniając się niedbale Sephrenii — ale czy rozsądnie jest zabierać białogłową i dzieci w pełną niebezpieczeństw podróż?

— Obecność tej damy jest konieczna dla realizacji naszych celów. Dziewczynka jest jej podopieczną, a chłopiec paziem. Nie zgodziłaby się podróżować

bez nich.

— Paż? — dobiegł go szept Talena. — Różnie już mnie nazywano, ale to coś nowego.

— Cicho bądź — odszepnął Berit.

— Ale jeszcze bardziej zdumiewa mnie fakt, że są tu przedstawiciele wszystkich czterech zakonów rycerskich — ciągnął Alstrom. — Mówiono mi, że ostatnio stosunki między zakonami nie są najlepsze.

— Zaangażowani jesteście w sprawę bezpośrednio związaną z dobrem Kościoła — wyjaśnił Sparhawk ściągając rękawice. — Jest ona na tyle pilna, że mistrzowie naszych zakonów wysłali nas razem, aby jednością wzmóc nasze siły.

— Jedność Rycerzy Kościoła, podobnie jak jedność samego Kościoła, jest już przeszłością — dobiegł szorstki głos z głębi pokoju. Z mroku wyłonił się duchowny. Odziany był w prostą, skromną, czarną sutannę. Miał ascetyczną twarz o ostrych rysach. Jasne, przyprószone siwizną, równo przycięte włosy opadały mu na ramiona.

— Mój brat — przedstawił go Alstrom — Ortzel, patriarcha Kadachu.

— Interesuje mnie ta sprawa związana z dobrem Kościoła, o której wspomniałeś — powiedział Ortzel podchodząc do światła. — Cóż może być na tyle pilnego, że mistrzowie czterech zakonów odłożyli na bok nieporozumienia i wysłali razem swych najlepszych rycerzy?

Sparhawk wahał się chwilę i zaryzykował.

— Waszej świątobliwości nie jest chyba obce imię Anniasa, prymasa Cimmury? — zapytał wkładając rękawice do hełmu.

Twarz Ortzela przybrała jeszcze surowszy wyraz.

— Spotkaliśmy się kiedyś — powiedział bezbarwnym głosem.

— My również miewaliśmy tę przyjemność — oświadczył Kalten oschle — i to częściej, niżbyśmy sobie tego życzyli.

— Zdaje się, że mamy podobne opinie na temat dobrego prymasa. — Przez twarz Ortzela przemknął krótki uśmiezek.

— Wasza świątobliwość jest spostrzegawczy — zauważył Sparhawk uprzejmie. — Prymas Cimmury aspiruje do zajęcia w Kościele pozycji, do której, zdaniem naszych mistrzów, nie dorósł.

— Słyszałem o jego ambicjach.

— To zasadniczy powód naszej misji, wasza świątobliwość — wyjaśnił Sparhawk. — Prymas Cimmury jest głęboko zaangażowany w politykę Elenii. Prawowita władczyni tego królestwa, Ehlana, córka króla Aldreasa jest śmiertelnie chora, a prymas rządzi Radą Królewską — co oczywiście oznacza, że rządzi również królewskim skarbcem. Dostęp do skarbcza podsyca jego nadzieje na tron arcyprałata. Ma do dyspozycji prawie nieograniczone środki, a pewni członkowie hierarchii Kościoła są podatni na jego pochlebstwa. Celem naszej misji jest przywrócenie zdrowia królowej, aby mogła ponownie przejąć władzę w państwie.

— Cóż za gorsząca sprawa — zauważył baron Alstrom z niechęcią. — Żadne królestwo nie powinno być rządzone przez niewiastę.

— Mam zaszczyt być Obrońcą Korony i Rycerzem Królowej, baronie — oznajmił Sparhawk — i, mam nadzieję, również przyjacielem władczyni. Znam ją od dziecka i mogę cię zapewnić, że Ehlana nie jest zwykłą białogłową. Ma więcej hartu ducha niż inni monarchowie Eosii. Gdy tylko powróci do zdrowia, odsunie prymasa Cimmury od skarbcza z łatwością, z jaką pozbyłaby się niesforenego loczka. A bez pieniędzy nadzieje prymasa spełzną na niczym.

— A więc wasza misja ma szlachetny cel, dostojny panie — pochwalił Ortzel — ale co sprowadziło was do Lamorkandii?

— Czy mogę mówić otwarcie, wasza świątobliwość?

— Oczywiście.

— Ostatnio dowiedzieliśmy się, że choroba królowej Ehlany nie jest naturalnego pochodzenia i aby uzdrowić władczynię, musimy sięgnąć do środków ostatecznych.

— Wyrażasz się zbyt oględnie, panie Sparhawk — burknął Ulath, zdejmując hełm ozdobiony rogami ogra. — Wasza świątobliwość, mój brat pandionita chciał powiedzieć, że królowa Ehlana została otruta i aby ją uzdrowić, musimy odwołać się do magii.

— Otruta? — Ortzel pobladł. — Nie podejrzewacie chyba o to prymasa Anniasa?

— Owszem, podejrzewamy, wasza świątobliwość — powiedział Tynian, odrzucając do tyłu błękitny płaszcz. — Nie będziemy się zagłębiać w szczegóły, ale mamy dowody wskazujące na to, że za tym wszystkim stoi Annias.

— Musicie przedstawić te oskarżenia hierarchom Kościoła! — wykrzyknął Ortzel. — To potworne, jeżeli tylko jest prawdziwe.

— Ta sprawa została już powierzona patriarsze Demos, wasza świątobliwość — zapewnił Sparhawk. — Myślę, że możemy zaufać, iż w odpowiednim czasie przedstawi ją hierarchom.

— Dolmant jest człowiekiem bez skazy — przyznał Ortzel. — Polegałbym na jego zdaniu — przynajmniej na razie.

— Proszę, usiądźcie, cni rycerze — powiedział baron. — Powaga obecnej sytuacji sprawiła, iż zaniedbałem dobrych obyczajów. Czy mogę zaproponować wam coś do picia?

Kaltenowi zaświeciły się oczy.

— Nawet o tym nie myśl — mruknął Sparhawk, podsuwając krzesło Sephrenii. Czarodziejka usiadła, a Flecik wdrapała jej się na kolana.

— To pani córeczka? — domyślił się Ortzel.

— Nie, wasza świątobliwość. To znajda — w pewnym sensie. Jednakże jestem do niej bardzo przywiązana.

— Bericie — odezwał się Kurik — nic tu po nas. Chodźmy do stajni. Chcę dojrzeć koni. — Wraz z nowicjuszem opuścił komnatę.

— Wyjaw nam, baronie, co doprowadziło do wojny? — poprosił Bevier. — Może jakieś stare waśnie?

— Nie, szlachetny panie Bevierze — odparł Alstrom, przybierając surowy wyraz twarzy — to całkiem świeża sprawa. Jakiś rok temu mój jedyny syn zaprzyjaźnił się z rycerzem, pochodzącym — wedle jego słów — z Cammorii. Teraz wiem, że ten człowiek był zwykłym łajdakiem. Utwierdzał on mojego młodego i nierozsądnego syna w płonnej nadziei na rękę córki mojego sąsiada, hrabiego Gerricha. Dziewka zdawała się mu sprzyjać, jednakże jej ojciec i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. W jakiś czas potem Gerrich ogłosił, że obiecał rękę córki innemu. Mój syn wpadł we wściekłość. Tak zwany przyjaciel jeszcze bardziej podsycił jego złość i zaproponował desperacki plan. Mieli porwać hrabiankę, znaleźć księdza, który udzieliłby im ślubu, i ostudzić gniew Gerricha stając przed jego obliczem z gromadką wnucząt. Wspięli się na mury zamku i wśliznęli do sypialni dziewczyny. Teraz już wiem, że to ten tak zwany przyjaciel ostrzegł hrabiego. Gerrich czekał w alkowie córki wraz z siedmioma siostrzeńcami. Syn, przekonany, że zdradziła go dziewczka, wbił jej w pierś sztylet, nim dosięgły go miecze siostrzeńców hrabiego. — Alstrom przerwał, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy. — Oczywiście mój syn postąpił niewłaściwie — przyznał, ciągnąc swą opowieść — i pomimo całego bólu nie zamierzałem się mścić. Dopiero to, co wydarzyło się po jego śmierci, stało się przyczyną niezgody, jaka zapanowała pomiędzy mną i Gerrichem. Hrabiemu i jego siostrzeńcom nie dość było, że zabili mego syna, ale jeszcze okaleczyli okrutnie jego ciało i porzucili pod bramami mojego zamku. Zostałem znieważony. Cammoryjski rycerz, któremu nadal ufałem, doradzał podstęp. Nie cierpiące zwłoki sprawy wezwały go do Cammorii, lecz obiecał mi pomoc swoich dwóch zaufanych ludzi. Właśnie w ubiegłym tygodniu pojawili się obaj w mych progach mówiąc, iż nadszedł czas zemsty. Poprowadzili moich ludzi na dom siostry hrabiego i wyrznęli siedmiu siostrzeńców Gerricha co do jednego. Dowiedziałem się potem, że moi żołnierze, za namową tych dwóch zbirów, dopuścili się niecných czynów na osobie siostry Gerricha.

— Delikatnie to ujął — szepnął Kalten.

— Zamilknij — odszepnął Sparhawk.

— Owa dama została dowieziona — niestety naga — do zamku swego brata. O pojednaniu nie może już być mowy. Gerrich ma wielu sprzymierzeńców, ja również, więc zachodnia Lamorkandia stoi teraz w obliczu wielkiej wojny.

— Smutna to opowieść, baronie — rzekł Sparhawk.

— Zagrożająca nam wojna to moje zmartwienie. Teraz sprawą najważniejszą jest zabranie stąd mojego brata i dowieszenie go bezpiecznie do Chyrellos. Jeżeli i on zginie w czasie ataku Gerricha, Kościół nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko przysłać tu swoich rycerzy. Zabójstwo patriarchy — a w dodatku kandydata

na stanowisko arcyprałata - – byłoby przestępstwem, którego nie można zlekceważyć. Dlatego też błagam was, abyście zapewnili mu bezpieczeństwo w drodze do Świętego Miasta.

— Jedno pytanie, baronie — powiedział Sparhawk. — Poczynania tego cammoryjskiego rycerza wydają się mi znajome. Czy mógłbyś opisać go i jego ludzi?

— Sam rycerz jest wysokim mężczyzną o aroganckim sposobie bycia. Jeden z jego kompanów był wyjątkowo brutalny i bezlitosny, istne zwierzę w ludzkim ciele. Drugi zaś to budzący odrazę osobnik ze skłonnością do mocnych trunków.

— Wygląda na to, że to nasi starzy znajomi — odezwał się Kalten. — Czy ten rycerz nie wyróżniał się niczym szczególnym?

— Miał śnieżnobiałe włosy, a nie był wcale taki stary.

— Chyba Martel tu się kręci — zauważył Kalten.

— Znasz tego człowieka, panie Kaltenie? — zapytał baron.

— Białowłosy mężczyzna nazywa się Martel — wyjaśnił Sparhawk. — Jego dwaj ludzie to Adus i Krager. Martel jest wygnańcem z Zakonu Rycerzy Pandionu i ofiarowuje swoje usługi w różnych częściach świata. Ostatnio pracuje dla prymasa Cimmury.

— Ale jaki miałby prymas powód, aby zaszcześcić nienawiść pomiędzy mną i Gerrichem?

— Dopiero co o nim wspomniałeś, baronie — odparł Sparhawk. — Mistrzowie czterech zakonów są zdecydowanie przeciwni wyniesieniu Anniasa na tron arcyprałata. Będą obecni — i będą głosować — podczas elekcji w bazylice w Chyrellos, a z ich zdaniem hierarchowie bardzo się liczą. I co więcej, Rycerze Kościoła natychmiast zareagują na wszelkie nieprawidłowości w czasie wyborów. Jeżeli Annias chce wygrać, musi przed elekcją pozbyć się Rycerzy Kościoła z Chyrellos. Ostatnio udało nam się w Rendorze pokrzyżować spisek Martela, mający na celu wyprowadzenie Rycerzy Kościoła ze Świętego Miasta. Przypuszczam, że ta nieszczęsna sprawa, o której nam opowiedziałeś, baronie, jest jeszcze jednym jego spiskiem. Martel, działając z rozkazu Anniasa, włóczy się po świecie, wznecając po drodze pożary w nadziei, że wcześniej czy później Rycerze Kościoła będą zmuszeni opuścić Chyrellos, aby je ugasić.

— Czy Annias naprawdę jest aż tak zdeprawowany? — zapytał Ortzel.

— Wasza świątobliwość, Annias robi wszystko, by zdobyć tron arcyprałata. Jestem pewien, że nie cofnąłby się przed zatopieniem we krwi połowy Eosii, byleby tylko mógł dostać to, czego pragnie.

— Jak to możliwe, że duchowny upadł tak nisko?

— Ambicja, wasza świątobliwość — powiedział Bevier ze smutkiem. — Gdy już raz zapaści korzenie w ludzkim sercu, człowiek staje się ślepy na wszystko inne.

— To dodatkowo jeszcze mnie utwierdza w przekonaniu, że powinniśmy zapewnić mojemu bratu bezpieczne dotarcie do Chyrellos — stwierdził ponuro Al-

strom. — Hierarchowie bardzo go szanują i w swoich rozważaniach będą się z pewnością liczyć z jego zdaniem.

— Muszę jednak przestrzec cię, baronie, i twego brata, że ten plan niesie z sobą pewne ryzyko — uprzedził Sparhawk. — Jesteśmy ścigani, gdyż wielu pragnie niepowodzenia naszej misji. Skoro bezpieczeństwo patriarchy Kadachu jest dla ciebie najważniejszą sprawą, to uprzedzam, że nie będę mógł go zagwarantować. Ten, który nas ściga, jest zdecydowany i bardzo groźny. — Wyrażał się oględnie, ponieważ ani Alstrom, ani Orzel nie uwierzyliby mu, gdyby wyjawiał całą prawdę o naturze szukacza.

— Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia, dostojny panie Sparhawk. W obliczu grożącego mi obłączenia muszę odesłać mojego brata z zamku, bez względu na ryzyko.

— Jeżeli tak uważasz, baronie — Sparhawk westchnął — odwieziemy patriarchę Kadachu do Świętego Miasta. Nasza misja jest niesłychanie ważna, ale ta sprawa wydaje się jeszcze pilniejsza.

— Sparhawk! — Sephrenia spojrzała z wyrzutem na pandionitę.

— Nie mamy wyboru, mateczko. Bezwzględnie musimy wywieźć jego świętobliwość z Lamorkandii i dowieźć go do Chyrellos. Baron ma rację. Jeżeli cokolwiek przytrafi się jego bratu, Rycerze Kościoła opuszczą Chyrellos, aby to pomścić i nic nie będzie w stanie temu zapobiec. Musimy zabrać jego świętobliwość do Świętego Miasta, a potem spróbować nadgonić stracony czas.

— A co jest właściwie przedmiotem waszych poszukiwań, dostojny panie Sparhawk? — zapytał patriarcha Kadachu.

— Jak już pan Ulath wyjaśniał, chcąc uzdrowić królową Elenii jesteśmy zmuszeni odwołać się do magii. Na świecie jest tylko jedna rzecz obdarzona wystarczającą mocą. Zmierzamy na wielkie pole bitwy nad jeziorem Randera, aby odzyskać tam klejnot, który ongiś zdobił koronę królów Thalesii.

— Bhelliom? — Orzel był wstrząśnięty. — Nie chcecie chyba ponownie wydobywać go na światło dzienne?

— Nie mamy innego wyjścia, wasza świętobliwość. Tylko Bhelliom może uzdrowić królową.

— Bhelliom jest skażony. Zatrzuwa go cała niegodziwość bogów trolli.

— Bogowie trolli nie są aż tak źli, wasza świętobliwość — wtrącił Ulath. — Kapryśni, tak, ale mogę zapewnić, że nie są naprawdę źli.

— Bóg Elenów zabrania obcowania z nimi!

— Bóg Elenów jest mądry, wasza świętobliwość — odezwała się Sephrenia. — Zabronił również kontaktu z bogami Styricum. Jednakże, gdy przyszło do zakładania zakonów rycerskich, zezwolił na odstępstwo od tej zasady. Młodszy Bogowie Styricum zgodzili się wspomagać jego zamysły. Zastanawiano się nawet, czy nie byłby On w stanie wciągnąć do współpracy i bogów trolli. Według mnie ma On ogromny dar przekonywania.

— To bluźnierstwo! — krzyknął Ortzel.

— Niezupełnie, wasza świątobliwość. Jestem Styriczką i nie uznaję waszych kanonów wiary.

— Może lepiej będzie, jak wyruszymy? — mruknął Ulath. — Czeka nas daleka podróż do Chyrellos i powinniśmy wywieźć jego świątobliwość z zamku, nim rozpoczną się walki.

— Dobrze to ująłeś, mój małomówny druho — pochwalił Tynian.

— Zaraz będę gotowy — powiedział Ortzel podchodząc do drzwi. — Najdalej za godzinę możemy ruszać — dodał i wyszedł z komnaty.

— Jak sądzisz, baronie, ile zostało czasu do przybycia wojsk hrabiego Gerricha? — zapytał Tynian.

— Najwyżej dzień, panie Tynianie. Moi przyjaciele starają się przeszkodzić mu w marszu z jego warowni, ale on ma potężną armię i jestem pewien, że wkrótce złamię ich opór.

— Talen — rzekł Sparhawk ostro — odłóż to!

Chłopiec zrobił niewinną minę i położył mały sztylet z drogocenną rękojeścią na stole.

— Nie wiedziałem, że patrzysz — usprawiedliwił się.

— Pomyliłeś się, a nie rób tego więcej. Zawsze mam cię na oku.

Baron Alstrom spoglądał na nich zdezorientowany.

— Chłopiec nie nauczył się jeszcze należytego szacunku dla cudzej własności, panie baronie — wyjaśnił Kalten jakby nigdy nic. — Próbujemy go tego nauczyć, ale jest mało pojętym uczniem.

Talen westchnął i wyjął swój szkicownik i ołówek. Usiadł przy stole w drugim końcu komnaty i zaczął rysować. Sparhawk przypomniał sobie, że chłopiec ma wiele talentów.

— Jestem wam bardzo wdzięczny, szlachetni panowie — powiedział baron. — Moim największym zmartwieniem było zapewnienie bezpieczeństwa bratu. Teraz mogę spokojnie zająć się swoimi sprawami. — Spojrzał na Sparhawk. — Jak sądzisz, dostojny panie, czy spotkacie tego Martela podczas waszej wyprawy?

— Mam szczerą nadzieję, że tak — odparł Sparhawk żarliwie.

— I chcesz go zabić?

— Sparhawk nosi się z tym zamiarem już od kilkunastu lat — stwierdził Kalten. — Martel zawsze śpi czujnie, kiedy Sparhawk przebywa w tym samym królestwie.

— Niech więc Bóg wspomóż twe ramię, dostojny panie Sparhawku — rzekł baron. — Mój syn będzie spoczywał w spokoju, gdy jego zdrajca dołączy do niego w Domu Śmierci.

Drzwi otworzyły się z impetem i do komnaty wpadł Enmann.

— Panie baronie — krzyczał — proszę szybko za mną!

— Co się stało, panie Enmannie? — Alstrom poderwał się na nogi.

— Hrabia Gerrich nas przechytrzył. Na rzece stoi flotylla jego statków i wojska hrabiego właśnie schodzą na brzeg z obu stron cypla.

— Bić na alarm! — polecił baron. — Podnieść zwodzony most!

— W tej chwili, panie baronie — odparł Enmann i pośpiesznie wyszedł.

Alstrom westchnął ze smutkiem.

— Obawiam się, że już jest za późno, dostojny panie Sparhawku — powiedział. — Zarówno twoja misja, jak i zadanie, które ci powierzyłem, są teraz skazane na zgubę. Jesteśmy oblężeni i obawiam się, że pozostaniemy uwięzieni w tych murach przez kilka najbliższych lat.

Rozdział 5

O ściany zamku Alstroma z monotonną regularnością uderzały głązy miotane przez maszyny oblężnicze hrabiego Gerricha.

Sparhawk i reszta kompanii na prośbę Alstroma oczekiwali jego powrotu w ponurej, obwieszanej orężem komnacie.

— Jeszcze nigdy nie przeżywałem oblężenia. — Talen podniósł wzrok nad szkicownika. — Jak długo to zwykle trwa?

— Jeżeli nie znajdziemy sposobu na wydostanie się stąd, to nim oblężenie dobiegnie końca, ty zaczniesz się golić — odparł Kurik.

— Dostojny panie Sparhawk, zrób coś! — W głosie chłopaka słychać było panikę.

— Czekam na propozycje.

Talen spojrział na niego bezradnie.

Baron Alstrom wrócił do komnaty ze smutnym wyrazem twarzy.

— Jesteśmy już otoczeni — powiedział.

— Może wynegocjujesz zawieszenie broni, baronie? — zaproponował Bevier. — W Arcium przed przystąpieniem do oblężenia zwyczajowo umożliwia się niewiastom i duchownym bezpieczne opuszczenie twierdzy.

— Niestety, nie jesteśmy w Arcium — odparł Alstrom. — Tu jest Lamorkandia, my nie znamy pojęcia zawieszenia broni.

— Masz jakiś pomysł, mateczko? — zapytał Sparhawk Sephrenię.

— Nawet kilka, mój drogi. — Czarodziejka skinęła głową. — Spróbuję się posłużyć waszą wspianą logiką, logiką Elenów. Po pierwsze, przerwanie oblężenia w wyniku ataku całych naszych sił, jak sądzę, nie wchodzi w grę?

— Stanowczo nie.

— A zawieszenie broni nie byłoby przestrzegane?

— Zdecydowanie wolałbym nie ryzykować życia jego świątobliwości i twojego, mateczko, polegając na zawieszeniu broni.

— Istnieje jeszcze możliwość wydostania się ukradkiem. Ale to też pewnie jest niemożliwe, prawda?

— Zbyt ryzykowne — przyznał Kalten. — Zamek jest otoczony i każda próba wyśliźnięcia się postawi na nogi wszystkich żołnierzy.

— A jakiś wybieg? — zapytała.

— Nie w tych warunkach — powiedział Ulath. — Zamek otaczają oddziały kuszników. Nigdy nie uda nam się zbliżyć wystarczająco blisko, abyśmy mogli zwieść ich czujność opowiadając jakieś zmyślane historie.

— A więc pozostają nam chyba tylko czary?

Ortzel spochmurniał.

— Nie będę brał udziału w niczym, co ma cokolwiek wspólnego z pogańskimi gustami! — oznajmił.

— Obawiałem się, że do tego dojdzie — mruknął Kalten do Sparhawka.

— Rano spróbuję go przekonać — odparł równie cicho Sparhawk, po czym spojrzął na Alstroma. — Późno już, panie baronie — powiedział — i jesteśmy zmęczeni. Odrobina snu przywróci jasność naszym myślom i być może nasuną się nam inne rozwiązania.

— Dobry pomysł, dostojny panie — przyznał Alstrom. — Służba zaprowadzi ciebie i twoich towarzyszy do bezpiecznych kwater, a do tej sprawy możemy wrócić rano.

Poprowadzono ich ponurymi korytarzami do bocznego skrzydła. Przydzielone im sypialnie były bardzo wygodne, choć wyraźnie rzadko używane. Wieczere przyniesiono do pokoi. Sparhawk i Kalten zdjęli zbroje. Po posiłku siedzieli, cicho rozmawiając we wspólnej komnacie.

— Można było przewidzieć, że Ortzel tak zareaguje na pomysł posłużenia się magią. Tu, w Lamorkandii, duchowni podchodzą do czarów niemal równie stanowczo, jak w Rendorze.

— Gdyby na jego miejscu był Dolmant, z pewnością dałby się przekonać. — Sparhawk miał skwaszoną minę.

— Dolmant jest bardziej tolerancyjny — przyznał Kalten. — Dorastał tuż obok klasztoru Zakonu Pandionu i wie więcej o czarach, niż mogłoby się wydawać.

Rozległo się delikatne pukanie. Sparhawk wstał i otworzył drzwi. Na progu stał Talen.

— Sephrenia chce się z tobą widzieć — rzekł do rosnącego rycerza.

— Dobrze, już idę. Kaltenie, kładź się. Nadal wyglądasz trochę niewyraźnie.

Chłopiec zaprowadził Sparhawka do drzwi w końcu korytarza i zapukał

— Wejdz, Talenie — dobiegł ich głos Sephrenii.

— Skąd wiedziałaś, że to ja? — zapytał zdumiony chłopak otwierając drzwi.

— Mam swoje sposoby — odparła tajemniczo drobna Styriczka, szcztokując długie czarne włosy Flecika. Dziewczynka pomrukiwała zadowolona z wyrazem rozmarzenia na twarzyczce. Sparhawk po raz pierwszy usłyszał, że to dziecko wydawało dźwięki bez używania fujarki.

— Jeżeli potrafi mruczeć, to czemu nie mówi? — zdziwił się.

— A kto ci powiedział, że nie potrafi mówić? — zapytała Sephrenia nie przerywając czesania małej.

— Nie odezwała się nigdy ani słowem.

— A co ma jedno do drugiego?

Sparhawk postanowił nie ciągnąć tego tematu dłużej.

— Po co chciałaś się ze mną widzieć, mateczko?

— Trzeba będzie nie lada sztuki, aby nas stąd wydostać. Być może będę potrzebowała waszej pomocy.

— Wystarczy jedno twoje słowo. A masz w ogóle jakiś pomysł?

— Kilka. Naszym głównym problemem jest jednak Ortzel. Jeżeli będzie obstawał przy swoim, nigdy go nie wydostaniemy z zamku.

— A gdybym tak przed wyjazdem dał mu po głowie, a potem przywiązał do siodła?

— Sparhawk! — ofuknęła go.

— Tak tylko sobie pomyślałem. — Wzruszył ramionami. — A Flecik nie mogłaby nam pomóc?

— Co masz na myśli?

— Sprawiała przecież, że żołnierze w Vardenais i szpiedzy przed bramą klasztoru w Cimmurze nas zignorowali. Czy mogłaby uczynić tutaj coś podobnego?

— Chyba nie zdajesz sobie sprawy, Sparhawk, jak ogromna armia stoi u bram. W końcu Flecik to tylko małe dziecko.

— Nie wiedziałem, że to ma jakieś znaczenie.

— Oczywiście, że ma.

— Czy nie mogłabyś Ortzela uśpić? — zapytał Talen. — No wiesz, machać mu palcami przed oczyma, dopóki nie zaśnie?

— Myślę, że to możliwe.

— A więc nie wiedziałaby, że korzystałaś z czarów, aby nas stąd wydostać.

— Ciekawa uwaga — przyznała czarodziejka. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Jestem złodziejem — odparł z bezwstydnym uśmiechem na ustach. — Nie byłbym taki dobry, gdybym nie był bystrzejszy od innych.

— To nieważne, jak sobie poradzimy z Ortzelem — rzekł Sparhawk. — Głównym problemem jest wciągnięcie do współpracy Alstroma. Może się nie zgodzić na to, aby jego brat z narażeniem życia uczestniczył w czymś, czego on sam nie rozumie. Porozmawiam z nim rano.

— Tylko bądź bardzo przekonujący.

— Postaram się. Chodź, Talenie. Pozwólmy damom trochę się przespać. Mamy z Kaltenem dodatkowe posłanie w naszym pokoju. Możesz tam spędzić noc. Sephrenio, jeżeli będziesz potrzebowała pomocy przy którymś zaklęciu, to bez najmniejszej obawy wezwij mnie czy kogoś z pozostałych.

— Nigdy się nie obawiam, mój drogi, nawet wtedy, gdy jestem pod twoją opieką.

— Daj spokój. — Uśmiechnął się. — Śpij dobrze, mateczko.

— I ty też, mój drogi.

— Dobranoc, Fleciku — dodał jeszcze przed wyjściem.

W odpowiedzi dziewczynka wydobyła kilka dźwięków ze swej fujarki.

Następnego ranka Sparhawk wstał wcześniej i wrócił do głównej części zamku. Los chciał, że w długim, oświetlonym pochodniami korytarzu spotkał Enmanna.

— Jak wygląda sytuacja? — zapytał lamorkandzkiego wojownika.

Enmann miał twarz poszarzałą ze zmęczenia. Najwyraźniej całą noc był na nogach.

— Odnieśliśmy pewien sukces, dostojny panie — powiedział. — Około północy odparliśmy szturm na główną bramę zamku i przygotowujemy właśnie nasze katapulty do pracy. Powinniśmy zniszczyć maszyny oblężnicze i statki Gerricha jeszcze przed południem.

— Czy w takiej sytuacji on się wycofa?

Enmann potrząsnął głową.

— Bardziej prawdopodobne, że rozpocznie budowę okopów — stwierdził. — Możliwe, że oblężenie się przedłuży.

— Tak, chyba masz rację — przyznał Sparhawk. — Czy wiesz, gdzie mógłbym znaleźć barona Alstroma? Muszę z nim porozmawiać, i to bez udziału jego brata.

— Pan baron jest na murach obronnych, dostojny panie. Chce, by Gerrich go widział. To może popchnąć hrabiego do jakichś nieprzemysłanych ruchów. Jest tam sam. Jego brat o tej porze zwykle modli się w kaplicy.

— Pójdę więc porozmawiać z baronem.

Na szczycie murów hulał wiatr. Sparhawk szczelnie otulił się płaszczem.

— Witaj, dostojny panie Sparhawk — powiedział baron znużonym głosem. Miał na sobie pancerz, a na głowie hełm z przyłbicą osobliwego kształtu, charakterystycznego dla lamorkandzkiej zbroi.

— Witaj, panie baronie — odpowiedział Sparhawk, chowając się za blanki. — Czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na uboczu? Nie wiem, czy byłoby dobrze, aby Gerrich wiedział, że w murach twojego zamku, baronie, przebywają Rycerze Kościoła. Jestem pewien, że nie brak mu obserwatorów o sokolich oczach.

— Chodźmy do wieży nad bramą — zaproponował Alstrom i poprowadził rosłego pandionitę wzdłuż murów.

Pomieszczenie wewnątrz wieży było surowe, ale funkcjonalne. Przez wąskie szczeliny okienne kilkunastu kuszników ostrzeliwało napastników.

— Żołnierze, chcemy tu porozmawiać. Idźcie strzelać na mury — rozkazał Alstrom.

Kusznicy wyszli, podzwaniając na kamiennej posadzce podkutymi butami.

— Mamy kłopot, baronie — odezwał się Sparhawk, gdy zostali sami.

— Zauważyłem to — powiedział krótko Alstrom, spoglądając przez jedną ze strzelnic na wrogie oddziały zgromadzone pod murami jego zamku.

Sparhawk uśmiechnął się w odpowiedzi na tak rzadki w podobnych sytuacjach przebłysek humoru.

— To twój kłopot, baronie — rzekł. — Natomiast naszym wspólnym problemem jest to, co zrobić z twym bratem. Zeszłego wieczoru Sephrenia trafiła w sedno sprawy. Korzystając jedynie z naturalnych sposobów nie wydostaniemy się z oblężenia. Nie mamy wyboru. Musimy posłużyć się czarami, a jego świątobliwość, jak się zdaje, jest temu absolutnie przeciwny.

— Nie ośmieliłbym się udzielać mu rad w tej materii.

— Ani ja, baronie. Ale pozwolę sobie zauważyć, że jeżeli jego świątobliwość zasiądzie na tronie arcyprałata, będzie musiał zmienić — a przynajmniej złagodzić — swoje stanowisko wobec tego rodzaju praktyk. Nasze cztery zakony są zbrojnym ramieniem Kościoła i my rutynowo posługujemy się magią przy realizacji naszych zadań.

— Jestem tego świadom, dostojny panie. Jednakże mój brat jest nieugięty i niechętnie zmienia zdanie.

Sparhawk począł spacerować tam i z powrotem gorączkowo. Rozmyślał.

— A więc dobrze — zaczął ostrożnie. — Sposób, w jaki zamierzamy wydostać jego świątobliwość z zamku, może wydawać się nadnaturalny dla ciebie, baronie, ale zapewniam, że okaże się skuteczny. Sephrenia jest szczególnie biegła w magii. Widziałem, jak robiła rzeczy zakrawające na cuda. Zapewniam, baronie, że nie narazi na niebezpieczeństwo życia twego brata.

— Rozumiem, dostojny panie.

— To dobrze. Obawiałem się, że możesz być temu przeciwny. Większość ludzi broni się przed zgodą na coś, czego nie rozumie. A teraz do rzeczy. Jego świątobliwość w żadnym razie nie będzie osobiście brać udziału w naszym przedsięwzięciu. Mówiąc szczerze, tylko by nam przeszkadzał. On jedynie skorzysta z okazji. Nie będzie osobiście zaangażowany w to, co uważa za grzeszne.

— Zgadzam się z tobą w zupełności, dostojny panie. Spróbuję porozmawiać z moim bratem. Czasami słucha moich rad.

— Miejmy nadzieję, że posłucha tym razem. — Sparhawk wyjrzał przez strzelnicę i zaklął.

— Co się stało, dostojny panie?

— Czy to hrabia Gerrich stoi tam, na szczycie tego kopca, na tyłach swoich oddziałów?

Baron spojrział przez wąską szczelinę.

— Tak, to on — skinął głową.

— Powinieneś rozpoznać mężczyznę stojącego obok niego. To Adus, człowiek Martela. Zdaje się, że tym razem Martel postanowił być sojusznikiem obu

walczących stron. Zastanawia mnie jedynie ten ktoś stojący z boku — ta wysoka postać w czarnej szacie.

— Nie sędzę, aby należało się go obawiać, dostojny panie Sparhawku. Przecież to prawie szkielet.

— Czy zauważyłeś, baronie, bijącą z jej oblicza poświatę?

— Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, widzę to. Czy to nie dziwne?

— Bardziej niż dziwne, baronie. Pójdę porozmawiać z Sephrenią. Powinna natychmiast o tym się dowiedzieć.

Odnalazł Sephrenię w jej komnacie, siedzącą przy kominku, z zawsze obecną filiżanką herbaty w dłoni. Flecik siedziała ze skrzyżowanymi nóżkami na łóżku, splatając kocia kołyskę tak zawiła, że Sparhawk pośpiesznie odwrócił wzrok, aby nie dostać pomieszania zmysłów od samej próby prześledzenia biegu poszczególnych nitek.

— Mamy kłopoty — powiedział do czarodziejki.

— Zauważyłam.

— To jest o wiele poważniejsze, niż myśleliśmy. Adus stoi u boku hrabiego Gerricha, a Krager najprawdopodobniej kręci się gdzieś w pobliżu.

— Martel zaczyna mnie już męczyć.

— Nie przejąłbym się Adusem i Kragerem, ale to coś, ten szukacz, też tam jest.

— Jesteś tego pewien? — Sephrenia podniosła się z fotela.

— Przypomina szukacza z sylwetki, a spod kaptura jego czarnej szaty dobywa się ów dziwny blask. Iloma ludźmi może on władać jednocześnie?

— Nie sędzę, aby był w tym względzie ograniczony, Sparhawku, a już na pewno nie wtedy, gdy czuwa nad tym Azash.

— Pamiętasz tych, którzy napadli na nas w pobliżu granic Pelosii? Wciąż nas atakowali, chociaż siekliśmy ich niemal na kawałki.

— Pamiętam.

— Jeżeli szukacz może zawładnąć całą armią Gerricha, to przypuszczają taki atak na zamek, że żołnierze Alstroma nie będą w stanie ich odeprzeć. Sephrenio, zabierajmy się stąd co prędzej. Masz już jakiś plan?

— Jest kilka możliwości. Obecność szukacza trochę komplikuje sytuację, ale myślę, że powinnam jakoś sobie z tym poradzić.

— Mam nadzieję. Chodźmy zawiadomić pozostałych.

Pół godziny później wszyscy zebrali się ponownie w tej samej komnacie, w której rozmawiali po przybyciu do zamku.

— Moi drodzy — zwróciła się do nich Sephrenia — jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie.

— Pani, w zamku jest całkiem bezpiecznie — zapewnił ją Alstrom. — Od pięciuset lat stoi nie zdobyty.

— Obawiam się, że tym razem sprawy mają się inaczej. Oblegające wojska zwykle szturmują mury, prawda?

— To taktyka przyjęta powszechnie od czasu, gdy wynaleziono maszyny oblężnicze.

— Jeżeli atakujący poniosą w czasie szturmowania znaczne straty, to zwykle odступują, prawda?

— Tak zwykle bywa.

— Ludzie Gerricha nie odступią. Będą atakować tak długo, dopóki nie zdobędą zamku.

— Jak możesz być tego taka pewna, pani?

— Pamiętasz tę postać w czarnej szacie, na którą zwróciłem twoją uwagę, baronie? — zapytał Sparhawk.

— Tak. Zdaje się, że wzbudziła w tobie pewien niepokój.

— Nie bez przyczyny. To jest właśnie ten stwór, który nas ścigał. To szukacz. Nie jest istotą ludzką i podlega władzy Azasha.

— Uważaj, co mówisz, dostojny panie Sparhawk — powiedział złowrogo patriarcha Orzel. — Kościół nie uznaje istnienia styryckich bogów. Jesteś o krok od herezji.

— Przyjmijmy jednak, że wiem, co mówię — odparł Sparhawk. — Zostawmy Azasha na chwilę w spokoju. Ważne, abyście obaj, ty, baronie, i wasza świątobliwość, zdali sobie sprawę z tego, jak naprawdę jest niebezpieczny ten stwór. Potrafi przejąć całkowitą władzę nad wojskami Gerricha i będzie je tak długo rzucał na mury, dopóki zamek nie zostanie zdobyty.

— W dodatku nie będą zwracać uwagi na rany, które normalnego człowieka zwałyby z nóg — dodał Kalten posepnie. — Jedynie śmierć może ich powstrzymać. Mieliśmy już do czynienia z ludźmi, nad którymi sprawował władzę szukacz, i musieliśmy wybić ich do nogi.

— Dostojny panie Sparhawk — odezwał Alstrom — hrabia Gerrich jest moim śmiertelnym wrogiem, ale pomimo to nadal jest człowiekiem honoru i wiernym synem Kościoła. Nie zadawałby się z potworami ciemności.

— Całkiem możliwe, że hrabia nawet nie zdaje sobie sprawy z jego obecności — powiedziała Sephrenia. — Najważniejsze jednak jest to, że znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

— A czemu ten stwór działa wspólnie z Gerrichem? — zapytał Alstrom.

— Jak już Sparhawk wspominał, szukacz nas ściga. Widać uważa, że Sparhawk stanowi dla niego zagrożenie. Starsi Bogowie mogą do pewnego stopnia zaglądać w przyszłość i możliwe, że Azash dostrzegł przeblysłk czegoś, czemu chciałby zapobiec. Już kilkakrotnie nastawał na życie Sparhawka. Jestem przekonana, że szukacz jest tu po to, by zabić Sparhawka — a w ostateczności, aby zapobiec odnalezieniu Bhelliomu. Musimy odejść stąd, panie baronie, i to szybko. — Następnie zwróciła się do Orzela. — Niestety, wasza świątobliwość, nie

mamy wyboru. Jesteśmy zmuszeni odwołać się do magii.

— Ja w tym uczestniczyć nie będę! — rzekł sztywno patriarcha Kadachu.
— Wiem, że jesteś Styriczką i dlatego obce ci są zasady prawdziwej wiary, ale jak śmiesz proponować użycie czarów w mojej obecności? Wszak jestem osobą duchowną!

— Myślę, że z czasem wasza świątobliwość będzie musiał trochę zmienić swój punkt widzenia — powiedział spokojnie Ulath. — Zakony rycerskie są zbrojnym ramieniem Kościoła. Uczy nas się posługiwania magią, abyśmy mogli lepiej mu służyć. Od dziewięciu wieków spotyka się to z aprobatą kolejnych arcyprałatów.

— Istotnie — dodała Sephrenia — żaden Styrik nie poważiłby się nauczać rycerzy zakonnych bez zgody arcyprałata.

— Jeżeli stanie się tak, że zasiądę na tronie w Chyrellos, położę kres tym praktykom — zapowiedział patriarcha Kadachu.

— A wtedy cały Zachód będzie skazany na zgubę — stwierdziła czarodziejka — albowiem pozbawieni magii Rycerze Kościoła będą bezradni wobec Azasha i Zachodem zawładną hordy Othy.

— Nie mamy dowodów na to, że Otha nadciąga.

— Nie mamy również dowodów na to, że po wiośnie nadchodzi lato — rzekła Sephrenia. Spojrzała na Alstroma. — Wierzę, że mój plan ucieczki się powiedzie, ale najpierw muszę udać się do twojej kuchni, wielmożny panie, i porozmawiać z kucharzem.

Baron otworzył usta ze zdziwienia.

— Do realizacji mojego planu potrzebuję pewnych składników, które zwykle można znaleźć w kuchni — wyjaśniła czarodziejka. — Muszę się upewnić, czy wszystkie są dostępne.

— Pani, przed drzwiami stoi strażnik. Zaprowadzi cię do kuchni.

— Dziękuję, panie baronie. — Sephrenia skinęła głową. — Fleciku, chodź ze mną — dodała i wyszła z komnaty.

— Co ona planuje? — zapytał Tynian.

— Sephrenia prawie nigdy nie wyjaśnia niczego przed czasem — odrzekł mu Kalten.

— Ani nawet, jak zauważyłem, potem — dodał Talen, spoglądając znad szki-cownika.

— Nie odzywaj się, gdy cię o to nie proszą — zganił go Berit.

— Gdybym cię słuchał, zapomniałbym, jak się mówi.

— Alstromie, ty z pewnością nie wyrazisz na to zgody — odezwał się Ortzel ze złością.

— Nie mam zbyt dużego wyboru — odparł Alstrom. — Stanowczo trzeba zabrać cię stąd w bezpieczne miejsce, a wygląda na to, że to jedyny sposób.

— Czy widziałeś tam również Kragera? — zapytał Kalten Sparhawk.

— Nie, ale zdaje się, że jest gdzieś w pobliżu. Ktoś musi mieć na oku Adusa.
— Czyżby ten Adus był aż tak niebezpieczny? — zapytał Alstrom.
— To bydlę, panie baronie — odpowiedział Kalten — i do tego bardzo głupie. Sparhawk obiecał mi, że będę mógł zabić Adusa, jeżeli zostawię mu Martela. Adus ledwie mówi i morduje dla czystej przyjemności.

— Jest również brudny i okropnie pachnie — dodał Talen. — Gonił raz za mną ulicami Cammorii. Tak śmierdział, że omal nie wyzionąłem ducha.

— Sądysz, że Martel jest z nimi? — spytał Tynian z nadzieją w głosie.

— Wątpię — rzekł Sparhawk. — Chyba uziemiłem go w Rendorze na dobre. Domyślam się, że przygotował sobie grunt tu, w Lamorkandii, i pojechał do Rendoru knuć spiski. Potem przysłał tu Kragera i Adusa, by wprawili wszystko w ruch.

— Myślę, że świat byłby o wiele lepszy bez tego waszego Martela — powiedział Alstrom.

— Poświęćmy się tej sprawie bez reszty, baronie — burknął Ulath.

Sephrenia i Flecik wróciły po kilku chwilach.

— Czy znalazłaś wszystko, co ci jest potrzebne, mateczko? — zapytał Sparhawk.

— Prawie wszystko. Resztę mogę sama zrobić. — Czarodziejka spojrzała na Ortzela. — Proponuję, by wasza świątobliwość udał się na spoczynek. Nie chciałabym urazić uczuć waszej świątobliwości.

— Pozostanę tu — odparł chłodno patriarcha Kadachu. — Być może moja obecność zapobiegnie podobnym sytuacjom w przyszłości.

— Być może, ale raczej wątpię. — Sephrenia zacisnęła usta i spojrzała krytycznie na mały gliniany dzban, który przyniosła z kuchni. — Sparhawk, będzie mi potrzebna pusta beczka.

Rycerz podszedł do drzwi i zamienił kilka słów ze strażnikiem.

Sephrenia zbliżyła się do stołu i wzięła kryształowy kielich. Mówiła przez chwilę coś po styricku i nagle kielich z szelestem napełnił się proszkiem, który z wyglądu przypominał piasek o kolorze lawendy.

— To woła o pomstę do nieba — mruknął pod nosem Ortzel.

Sephrenia puściła tę uwagę mimo uszu.

— Panie baronie — zwróciła się do Alstroma — chyba masz smołę i naftę?

— Oczywiście. To składniki naszego systemu obronnego.

— Świetnie. Jeżeli wszystko się uda, będą nam potrzebne.

Wszedł wojownik tocząc przed sobą beczkę.

— Tutaj, proszę, z dala od ognia — poleciła czarodziejka.

Wojownik ustawił kadź we wskazanym miejscu, zsalutował baronowi i wyszedł.

Sephrenia rzekła kilka słów Flecikowi, na co dziewczynka skinęła głową i uniosła swą fujarkę. Zaczęła grać dziwną melodię, senną i niemal hipnotyczną.

Czarodziejka z dzbanem w jednej, a kielichem w drugiej dłoni i zaczęła przemawiać po styricku, wsypując zawartość obu naczyń do beczki. Z dzbana leciały ostre przyprawy, a z kielicha lawendowy proszek, ale żadne z naczyń nie stawało się puste. Oba strumienie spadając zlewały się ze sobą i zaczęły świecić. Komnatę wypełniły migotliwe blaski, które wzbijały się w górę niczym robaczki świętojańskie i skrzyły na ścianach i sklepieniu. Sephrenia nie przerywała swej czynności. Mijały minuty. Naczynia w rękach Styriczki zdawały się bez dna.

Napełnienie kadzi zajęło prawie pół godziny.

— Tyle chyba powinno wystarczyć — powiedziała w końcu Sephrenia, zaglądając do jarzącego się wnętrza beczki.

Ortzel jęczał cicho.

Czarodziejka postawiła naczynia na stole, zachowując pomiędzy nimi bezpieczną odległość.

— Radzę nie stawiać ich blisko siebie, baronie — ostrzegła Alstroma — i lepiej trzymać je z dala od ognia.

— O co w tym wszystkim chodzi? — zapytał Tynian.

— Musimy odciągnąć stąd szukacza. Zmieszamy zawartość beczki z naftą i smołą i załadujemy tą miksturą katapultę barona. Potem to zapalimy i wystrzelimy prosto w oddziały hrabiego Gerricha. Dym zmusi ich do wycofania się, przynajmniej na jakiś czas. Ale nie to jest głównym celem naszych poczynań. Układ oddechowy szukacza znacznie różni się od ludzkiego. Te dymy są szkodliwe dla ludzi, ale dla niego stanowią śmiertelną truciznę. Ucieknie albo zginie.

— To brzmi pocieszająco. — Tynian uśmiechnął się.

— Wasza świątobliwość, czy rzeczywiście było to takie straszne? — zapytała czarodziejka Ortzela. — Chyba wasza świątobliwość zdaje sobie sprawę, że to ma uratować mu życie.

Duchowny miał zakłopotany wyraz twarzy.

— Zawsze sądziłem, że styricka magia to nic więcej jak tylko sztuczki — przyznał — ale nie mogłaś dokonać tego, co widziałem, pani, tylko oszustwem. Będę się modlił. Zwróć się do Boga o radę w tej sprawie.

— To trwałoby zbyt długo, wasza świątobliwość — rzekł Kalten. — Czyniąc tak, może się zdarzyć, że dotrzesz do Chyrellos akurat na czas, by ucałować pierścień arcyprałata Anniasa.

— Do tego nie można dopuścić! — oznajmił stanowczo Alstrom. — Oblężenie jest moim zmartwieniem, Ortzelu, nie twoim. Dlatego też muszę wymówić ci moją gościnę. Opuścisz mój zamek tak szybko, jak to będzie możliwe.

— Alstromie! — krzyknął Ortzel. — To jest przecież mój dom. Tu przyszedłem na świat.

— Ale nasz ojciec zostawił go mnie. Dla ciebie odpowiednim domem jest bazylika w Chyrellos. Polecam ci wyruszyć tam natychmiast.

Rozdział 6

— Będziemy musieli udać się do najwyższej położonego miejsca w twoim zamku, panie baronie — powiedziała Sephrenia, gdy rozgniewany patriarcha Kadachu opuścił śpiesznie komnatę.

— Czyli do północnej wieży — rzekł baron.

— Czy widać z niej oblegające wojska?

— Tak.

— To dobrze. Wpierw jednak muszę udzielić twoim ludziom instrukcji, jak postępować z tym — wskazała na kadź. — Panowie, nie stójcie tak — zwróciła się do żołnierzy obsługujących katapultę. — Podnieście beczkę i zabierzcie ją z sobą, ale pamiętajcie o jednym: bez względu na wszystko nie wolno wam jej upuścić ani zbliżyć do ognia. — Dalej w prosty sposób wyjaśniła sposób sporządzenia mieszanki prochu, nafty i smoły. — Słuchajcie bardzo uważnie — ciągnęła. — Od tego zależy wasze bezpieczeństwo. Zapalicie naftę w ostatniej chwili. Jeżeli choć trochę dymu polecą w waszą stronę, wstrzymajcie oddech i uciekajcie. Pod żadnym pozorem nie wolno wam wdychać oparów.

— Czy to nas zabije? — spytał jeden z żołnierzy ze strachem.

— Nie, ale moglibyście to przypłacić zdrowiem i pomieszaniem zmysłów. Zastońcie usta i nos wilgotnym płótnem. To was trochę ochroni. Czekać na znak barona dany z północnej wieży. — Sprawdziła kierunek wiatru. — Wystrzelicie ten środek zapalający na oddziały znajdujące się na grobli, nie zapomnijcie też o statkach na rzece. To wszystko, baronie. Chodźmy do wieży.

Podobnie jak przez kilka ostatnich dni niebo było zachmurzone i chłodny wiatr gwizdał w szczelinach strzelniczych północnej wieży. Wzorem wszystkich obronnych konstrukcji, wieżę cechowała surowa prostota i użyteczność. Wojska hrabiego Gerricha, oblegające zamek, stąd wyglądały jak armia mrówek — zbita masa ludzików połyskujących w bladym świetle ołowianą szarością swoich zbroi. Mimo że znajdowali się na znacznej wysokości, jakaś przypadkowa strzała zadzwoniła o mokre kamienie.

— Uważaj, mateczko — mruknął Sparhawk, gdy czarodziejka wychyliła głowę przez jedną ze strzelnic, aby przyjrzeć się zgromadzonym pod bramą wojskom.

— Nic mi nie grozi — zapewniła go. Wiatr targał kaptur jej białej szaty. — Moja bogini ma mnie w swojej opiece.

— Możesz wierzyć w swoją boginię nie wiem jak mocno, ale to ja odpowiadam za twoje bezpieczeństwo. Wyobrażasz sobie, co czekałoby mnie ze strony Vaniona, gdybym pozwolił, by stała ci się jakaś krzywda?

— Pierwej jeszcze mnie wzięły w obroty — warknął Kalten.

Czarodziejka odsunęła się od strzelnicy i w głębokim zamyśleniu zagryzła wargę.

— Wybacz, pani — powiedział Alstrom. — Rozumiem konieczność pozbycia się tego stwora, szukacza, ale chwilowe wycofanie się wojsk Gerricha niewiele nam pomoże. Wróć, jak tylko zniknie dym, a mój brat nie będzie nawet o krok bliżej od bezpiecznego schronienia.

— Nie powrócą przez kilka dni, baronie, jeżeli wszystko zrobimy jak należy.

— Czyżby te dymy miały aż taką moc?

— Nie. Znikną już po godzinie.

— Godzina to niezbyt wiele czasu na ucieczkę. Co powstrzyma Gerricha przed powrotem i kontynuowaniem oblężenia?

— Będzie bardzo zajęty.

— Zajęty? Czym?

— Będzie gonił pewnych ludzi.

— Kogo?

— Ciebie, mnie, Sparhawk i innych rycerzy zakonnych, patriarchę Kadachu i pokaźną liczbę ludzi z twojego garnizonu.

— Pani, toż to wysoce nierozsądne! — wykrzyknął Alstrom. — Musimy bronić twierdzy. Nie zgodzę się, byśmy ją opuścili i ryzykowali życie w walce.

— Jak na razie nigdzie się nie wybieramy.

— Ale mówiłaś, pani. . .

— Hrabia Gerrich ze swoimi ludźmi będzie tylko myślał, że nas ściga. Tak naprawdę będą gonić za iluzją. Oszukamy ich oczy i umysły, sprawimy, że uwierzą w coś, czego nie ma. Gerrich będzie całkowicie pewien, że próbujemy wykorzystać sprzyjającą do ucieczki sytuację. Ruszy ze swoją armią w ślad za naszymi sobowtórami, a my będziemy mieć wystarczająco dużo czasu na zabranie twego brata w bezpieczne miejsce. Czy ten las, tam na horyzoncie, jest bardzo rozległy?

— Ciągnie się na kilka lig.

— Wspaniale. Nasze sobowtóry poprowadzą tam Gerricha i będą gonić się z nimi pomiędzy drzewami przez kilka dni.

— Mateczko, twój plan ma jedną lukę — powiedział Sparhawk. — Czy aby szukacz nie wróci zaraz, jak znikną dymy? Nie przypuszczam, aby i jego zwiodła ta iluzja.

— Szukacz nie wróci co najmniej przez tydzień — zapewniła go czarodziejka. — Będzie bardzo, bardzo chory.

— Czy mam już dać sygnał obsłudze katapulty? — zapytał Alstrom.

— Jeszcze nie, baronie. Najpierw musimy uczynić co innego. Wszystko należy robić we właściwej kolejności. Bericie, potrzebna mi misa z wodą.

— Śpieszę ją przynieść, szlachetna pani. — Nowicjusz ruszył w kierunku schodów.

— Zaczynajmy! — Sephrenia poczęła cierpliwie uczyć Rycerzy Kościoła zaklęcia. Składało się ono ze styryckich słów, ale takich, których Sparhawk nigdy przedtem nie słyszał. Czarodziejka wielką wagę przywiązywała do tego, by każdy powtarzał zaklęcie tak długo, aż nauczy się wymawiać je z odpowiednim akcentem. — Ty się nie odzywaj! — uczyła Kaltena, gdy próbował się do nich przyłączyć.

— Chciałem tylko pomóc — protestował jasnowłosy rycerz.

— Wiesz przecież, Kaltenie, że nie nadajesz się do tego. Po prostu nie przeskadzaj. Moi drodzy, spróbujcie jeszcze raz.

Kiedy w końcu była zadowolona z ich wymowy, poinstruowała Sparhawk, jak spletać zaklęcie. Rycerz zaczął powtarzać za nią styryckie słowa i naśladować ruchy jej palców. W pewnej chwili pojawiła się przed nim niewyraźna postać. Widać było, że jest odziana w czarną zbroję rycerza Zakonu Pandionu.

— Nie dałeś mu twarzy, Sparhawk — zauważył Kalten.

— Ja się tym zajmę — powiedziała Sephrenia. Wymówiła dwa słowa i wykonała gwałtowny gest dłonią.

Sparhawk przypatrywał się mglistej postaci. Miał wrażenie, że spogląda w zwierciadło.

Sephrenia zmarszczyła brwi.

— Co cię martwi, mateczko? — spytał Kalten.

— Nie jest trudno stworzyć podobizny bliskich znajomych lub tych, którzy są akurat obecni, ale jeżeli będę musiała chodzić po zamku i patrzeć na twarze wszystkich wojowników, upłynie kilka dni, nim skończę.

— A może to na coś by się zdało? — spytał Talen, podając jej swój szkicownik.

Czarodziejka poczęła go kartkować, a w miarę oglądania kolejnych stron otwierała coraz szerzej oczy.

— Ten chłopiec jest geniuszem! — wykrzyknęła. — Kuriku, jak tylko wrócimy do Cimmury, umieścisz go u malarza. Być może Talen odnajdzie swe powołanie i wróci na dobrą drogę.

— Ja to robię tylko dla zabawy. — Chłopak zarumienił się z zażenowania.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że mógłbyś o wiele więcej zarobić jako malarz niż jako złodziej? — powiedziała dobitnie.

Chłopcu oczy rozbłyły z zainteresowania.

— Panie Tynianie, teraz twoja kolej — Sephrenia zwróciła się do Deirańczyka.

Kiedy już każdy miał swojego sobowtóra, poprowadziła rycerzy do jednej ze strzelnic wychodzących na dziedziniec.

— Tam na dole zbudujemy olbrzymi miraż — zapowiedziała. — Tutaj jest na to trochę za ciasno.

Stworzenie na dziedzińcu wizji gromady zbrojnych ludzi na koniach zajęło im całą godzinę. Potem Sephrenia jeszcze raz przejrzała szkicownik Talena i obdarzyła każdą z postaci twarzą. Następnie wykonała szeroki gest dłonią i wizerunki Rycerzy Kościoła dołączyły do reszty na dole.

— Nie ruszają się — powiedział Kurik.

— Tym zajmę się ja razem z Flecikiem — odrzekła mu Sephrenia. — Wy skupicie się na utrzymaniu iluzji. Oni nie mogą się rozwiać w powietrzu, dopóki nie dotrą do lasu.

Sparhawk zaczął się pocić. Splecenie zakłęcia i uwolnienie go miał już za sobą. Teraz pozostało utrzymanie w całości stworzonego wizerunku, a to już całkiem inna sprawa. Dopiero teraz zrozumiał, jak wielki ciężar wzięła na siebie Sephrenia.

Nim się spostrzegli, minęło popołudnie. Sephrenia spojrzała przez strzelnicę na oddziały hrabiego Gerricha.

— Jesteśmy gotowi — oznajmiła. — Baronie, daj znak obsłudze katapulty.

Alstrom wyciągnął zza pasa kawałek czerwonego płótna i pomachał nim ze szczeliny strzeleckiej. Na dole rozległ się głuchy łomot, katapulty zaczęły miotać ponad murami ładunki w kierunku oblegających wojsk i statków na rzece. Nawet z tej odległości Sparhawk słyszał, jak żołnierze kaszleli i krztusili się gęstą chmurą lawendowego dymu z płonących pocisków, które składały się z mieszaniny smoły, nafty i proszku zrobionego przez Sephrenię. Dymy ścieliły się na polach przed zamkiem, skrząc się niczym rój świetlików. Wkrótce dotarły do kopca, na którym stali Gerrich, Adus i szukacz. Sparhawk dobiegł nieludzki pisk, a potem szukacz, zatulony czarną szatą, poderwał konia i smagając go bezlitośnie począł uciekać przed dymem. Niepewnie trzymał się w siodle, a twarz starannie zasłaniał kapturem przytrzymywanym szczypcami. Żołnierze, blokujący drogę prowadzącą do zamku, wyłaniali się z dymów zataczając się, kaszląc i wymiotując.

— Świetnie, baronie — zwróciła się Sephrenia do Alstroma — proszę opuścić most.

Alstrom ponownie dał znak, tym razem zielonym płótnem. Po chwili most zwodzony z brzękiem łańcuchów opadł w dół.

— Fleciku, teraz — powiedziała Sephrenia i nim jeszcze dziecko zdążyło unieść do ust swoją fujarkę, poczęła wymawiać zakłęcie po styricku.

Iluzoryczne postacie, które do tej pory tkwiły w bezruchu na dziedzińcu, w jednej chwili się ożywiły. Tłumnie ruszyły galopem przez bramę prosto w kłęby dymów. Sephrenia przesunęła dłonią nad misą i patrzyła z napięciem w wodę.

— Moi drodzy, skupcie się — poleciła rycerzom. — Utrzymajcie te wizerunki w całości.

Kilku żołnierzy Gerricha, którym udało się uciec z dymów, stało na grobli prowadzącej do zamku. Kaszleli, wymiotowali i tarli kułakami oczy. Widmowa armia jechała prosto na nich. Żołnierze z krzykiem przypadli do ziemi.

— Teraz poczekamy — rzekła czarodziejka. — Dajmy Gerrichowi trochę czasu na zebranie swoich ludzi i zrozumienie tego, co się tam dzieje.

Sparhawka dobiegły z dołu zaskoczone krzyki, a potem ryk komend.

— Fleciku, trochę szybciej — powiedziała Sephrenia spokojnie. — Nie chcemy, aby Gerrich dopadł naszych widzideł. Może nabrać podejrzeń, gdy przesyje barona mieczem, a klinga przejdzie przezeń jak przez powietrze.

Alstrom patrzył na Sephrenię z pełnym szacunku podziwem. Kiedy się odezwał, głos mu drżał.

— Nie uwierzyłbym, gdyby ktoś mi opowiadał, że coś takiego jest możliwe, szlachetna pani.

— Całkiem dobrze sobie poradziłam — pochwaliła się — chociaż nie miałam całkowitej pewności, że mi się uda.

— To znaczy...

— Jeszcze nigdy tego nie robiłam, ale przecież nie nauczymy się niczego nowego nie eksperymentując, prawda?

Na dole żołnierze Gerricha pośpiesznie dosiadali koni. Rzucili się do beładnego pościgu, zajeżdżając sobie nawzajem drogę, wśród szczęku oręża i rżenia galopujących koni.

— Nawet nie pomyśleli o zaatakowaniu opuszczonego mostu — mruknął Ulath ze wzgardą. — Zachowują się jak amatorzy.

— Oni nie potrafią jasno myśleć — rzekła Sephrenia. — To dym ma taki wpływ na ludzi. Czy już wszyscy odjechali?

— Jeszcze kilku się tam kręci — oznajmił Kalten. — Zdaje się, że próbują schwytać swoje konie.

— Dajmy im czas na usunięcie się z naszej drogi. Podtrzymujcie nadal majaki, moi drodzy. — Spojrzała w misę z wodą. — Do lasu pozostało jeszcze kilka lig.

Sparhawk zacisnął zęby.

— Nie mogłabyś trochę tego przyśpieszyć, mateczko? — zapytał. — Wiesz przecież, że nie jest nam łatwo.

— Nic, co jest warte zachodu, nie jest łatwe, Sparhawk. Jeżeli wizerunki tych koni zaczną fruwać, Gerrich zrobi się bardzo, ale to bardzo podejrzliwy.

— Bericie — odezwał się Kurik — ty i Talen pójdziecie ze mną. Trzeba przygotować konie. Zdaje się, że będziemy musieli opuścić to miejsce w pośpiechu.

— Pójdę z tobą — rzekł Alstrom. — Chcę porozmawiać z moim bratem, nim odjedzie. Z pewnością go obrażę, a wolałbym zachować jego przyjaźń.

Cała czwórka zeszła schodami w dół.

— Jeszcze tylko kilka minut — powiedziała Sephrenia. — Już prawie dotarliśmy do skraju lasu.

— Sprawiasz wrażenie, jakbyś dopiero co wyszedł z kąpieli w rzece — stwierdził Kaltén, spoglądając na spoconą twarz przyjaciela.

— Och, bądź cicho! — rzucił Sparhawk z złością.

— Już — oznajmiła w końcu Sephrenia. — Możecie już je uwolnić.

Sparhawk odetchnął głośno z ulgą i uwolnił zakłęcie. Malutka Flecik opuściła fujarkę i mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Sephrenia wciąż patrzyła w wodę.

— Gerrich jest o pół ligi od lasu — informowała rycerzy. — Zanim ruszymy, pozwólmy mu wjechać pomiędzy drzewa.

— Jak sobie życzysz, mateczko. — Sparhawk z wyczerpania słaniał się na nogach.

Po kwadransie Sephrenia postawiła misę na podłodze i wyprostowała się.

— Teraz już możemy iść na dół — powiedziała.

Zeszli na dziedziniec, gdzie Kurik, Talen i Berit czekali z końmi. Stał tam również patriarcha Ortzel. Dostojnik Kościoła miał zaciśnięte usta i pobladle z gniewu oblicze. U jego stóp klęczał baron Alstrom.

— Nie zapomnę ci tego, bracie — mówił duchowny, otulając się szczelniej czarną sutanną.

— Może zmienisz zdanie, gdy to wszystko przemyślisz. Jedź z Bogiem, Ortzelu.

— Zostań z Bogiem, Alstromie. — Ortzel pozdrowił brata bardziej z przyzwyczajenia niż z chęci.

Dosiedli koni i wyjechali przez bramę na zwodzony most.

— Którędy? — zapytał Kaltén Sparhawk.

— Na północ. Zabierajmy się stąd, nim Gerrich wróci.

— To powinno zająć mu kilka dni.

— Lepiej nie ryzykować.

Ruszyli galopem. Późnym popołudniem dotarli do płytkiego brodu, przy którym pierwszy raz spotkali Enmanna. Sparhawk wstrzymał konia i zeskoczył z siodła.

— Zastanówmy się spokojnie nad naszymi dalszymi krokami — powiedział.

— Jak umożliwiłaś nam ucieczkę, pani? — zwrócił się do Sephrenii Ortzel. — Co uczyniłaś, że żołnierze hrabiego Gerricha odstąpili od murów zamku? Byłem w kaplicy, więc nie widziałem, co się stało.

— Trochę ich zwiódłam, wasza świątobliwość. Hrabia Gerrich był przekonany, że widział, jak pański brat i reszta z nas uciekają. Rzucił się w pogoń.

— To wszystko? — Patriarcha Kadachu był zdumiony. — A więc ty, pani, nie... — zawiesił głos.

— Nie zabiłam nikogo? Nie. Stanowczo jestem przeciwna zabijaniu.

— A więc przynajmniej w tym jednym się zgadzamy. Jesteś, pani, dziwną niewiastą. Twoje zasady moralne wydają się nie odbiegać od zasad prawdziwej wiary. Nie spodziewałem się tego po pogance. Czy kiedykolwiek myślałaś, pani, o nawróceniu się?

Czarodziejka wybuchnęła śmiechem.

— Ty też, wasza świątobliwość? Dolmant od lat próbuje mnie nawrócić. Nie, Ortzelu. Pozostanę wierna mojej bogini. Jestem już o wiele za stara. W tym wieku nie zmienia się wyznania.

— Stara? Ty, pani?

— Nie uwierzyłybyś, wasza świątobliwość — zwrócił się do niego Sparhawk.

— Daliście mi wszyscy wiele do myślenia — powiedział Ortzel. — Postępowałem zgodnie z tym, co w moim rozumieniu było podstawą doktryny Kościoła. Być może powinienem to jeszcze raz przemyśleć i poszukać rady u Boga — rzekł i odszedł w górę rzeki zatopiony w rozmyślaniach.

— Zrobiliśmy krok do przodu — mruknął Kalten do Sparhawka.

— I to całkiem duży, można rzec.

Tynian stał na skraju płytkiego brodu i z zadumą spoglądał na zachód.

— Mam pewien pomysł, panie Sparhawku — powiedział.

— Zamieniam się w słuch.

— Gerrich ze swoimi ludźmi przeszukuje las i jeżeli Sephrenia się nie myli, szukacz nie będzie w stanie nas ścigać przynajmniej przez tydzień. Na drugim brzegu rzeki nie powinno więc być żadnych nieprzyjaciół.

— To prawda. Jednakże nim zaczniemy sobie zbyt pewnie poczynać, powinniśmy chyba najpierw rozejrzeć się po tym drugim brzegu.

— Dobrze. Tak będzie chyba najbezpieczniej. Gdyby się okazało, nie ma tam żadnego wojska, wystarczy tylko kilku z nas, aby dowieźć jego świątobliwość bezpiecznie do Chyrellos. W tym czasie pozostali mogliby udać się nad jezioro Randeru. Nie musimy przecież wszyscy jechać do Świętego Miasta, jeżeli droga jest bezpieczna.

— To dobry pomysł, Sparhawku — przyznał Kalten.

— Zastanowię się nad tym. — Sparhawk pokiwał głową. — Zanim jednak podejmiemy jakieś decyzje, przeprawmy się na drugą stronę.

Dosiedli ponownie koni i rozbryzgując wodę na wszystkie strony przebyli w bród rzekę. Drugi brzeg był gęsto zarośnięty.

— Sparhawku, wkrótce się ściemni — powiedział Kurik — i będziemy musieli rozbić obóz. A może w tym gąszczu zaczękalibyśmy, aż zapadnie noc? W ciemnościach bez trudu dostrzeżemy ogniska. Żołnierze zawsze obozują przy ogniu. To będzie o wiele łatwiejsze i szybsze od jeżdżenia tam i z powrotem wzdłuż rzeki i wypatrywania niebezpieczeństwa.

— Dobry pomysł. Tak zrobimy.

Rozbili obóz w samym środku gęstwiny i rozpalili jedynie małe ognisko dla potrzeb kuchni. Kończyli się posilać, gdy nad Lamorkandią zapadła noc. Sparhawk wstał.

— Chodźmy się rozejrzeć — zaproponował. — Sephrenio, ty razem z dziećmi i jego świątobliwością pozostańcie w ukryciu.

Wyprowadził rycerzy z gęstwiny. Przypadli do ziemi i zaczęli wpatrywać się w noc. Chmury przesłoniły księżyc i gwiazdy, ciemności były prawie zupełne.

Sparhawk obszedł gąszcz dookoła. Po drugiej stronie wpadł na Kaltena.

— Ciemniej niż w moich butach — powiedział Kalten.

— Zauważyłeś coś?

— Nic, nawet najmniejszego błysku. Z tyłu za tymi drzewami jest wzgórze. Kurik poszedł rozejrzeć się po okolicy z jego szczytu.

— To dobrze. Polegam na wzroku Kurika.

— Ja też. Czemu nie pasujesz go na rycerza, Sparhawk? Kiedy w końcu to zrobisz? Przecież żaden z nas nie może się z nim równać.

— Aslade by mnie zabiła. Ona nie jest stworzona na żonę rycerza.

Kalten roześmiał się. Ruszyli dalej usiłując przebić wzrokiem ciemności.

— Sparhawk! — rozległ się niedaleko nich głos Kurika.

— Tutaj jestem.

Giermek podszedł do nich.

— To całkiem wysokie wzgórze — wysapał. — Zauważyłem jedynie światła wioski, oddalonej stąd o jakieś pół ligi na południe.

— Jesteś pewien, że nie były to ogniska? — zapytał Kalten.

— Blask ognia różni się od świecących za oknami lamp, Kaltenie.

— To prawda.

— A więc to chyba wszystko — powiedział Sparhawk. Przyłożył palce do ust i zagwizdał. Dla pozostałych był to sygnał, aby wrócili do obozu.

— Co postanowiłeś? — zapytał Kalten, gdy przedzierali się przez szeleszczące zarośla w kierunku środka gęstwiny. Przyćmione światło ogniska było jedynie nikłym czerwonym blaskiem w ciemnościach nocy.

— Zapytajmy jego świątobliwość — odparł Sparhawk. — To jego życie w końcu będziemy ryzykować.

Weszli do otoczonego gąszczem obozowiska i Sparhawk odrzucił w tył kaptur płaszcz.

— Musimy podjąć decyzję — zwrócił się do patriarchy Kadachu. — Okolica sprawia wrażenie wyludnionej. Tynian uważa, że dwóch z nas w zupełności wystarczy, by zapewnić waszej świątobliwości bezpieczeństwo w drodze do Chyrellos. Nie powinniśmy zwlekać z odszukaniem Bhelliomu, jeżeli chcemy nie dopuścić, by Annias zajął tron arcyprałata. Jednak wybór należy do waszej świątobliwości.

— Nawet sam mogę jechać do Chyrellos, dostojny panie Sparhawk. Mój brat przesadza z troską o moje bezpieczeństwo. Sutanna ochroni mnie najlepiej.

— Wolałbym raczej nie wyzywać losu. Pamiętasz, wasza świątobliwość, jak wspominałem o tym, że jesteśmy śledzeni?

— Tak. Zdaje się, że nazwałeś to szukaczem, dostojny panie.

— Właśnie. Teraz, dzięki wytworzonym przez Sephrenię dymom, ten stwór nie czuje się najlepiej, ale nie mamy pewności, jak to długo potrwa. Szukacz nie powinien uważać cię za wroga. Gdyby jednak zaatakował, uciekaj, wasza świątobliwość. Wątpliwe, aby rzucił się za tobą w pościg. Tak, pan Tynian ma rację. Dwóch z nas wystarczy, aby zapewnić waszej świątobliwości bezpieczeństwo.

— Zrobisz, co uznasz za właściwe, mój synu.

Pozostali wrócili do obozu i Tynian natychmiast zgłosił się na ochotnika.

— Nie — sprzeciwiła się Sephrenia. — Ty jesteś najbardziej biegły w nekromancji. Będziemy cię potrzebować, gdy tylko dotrzemy do jeziora Randera.

— Ja pojedę — powiedział Bevier. — Mam szybkiego konia i mogę dołączyć do was nad jeziorem.

— Ja wyruszę z nimi — zaoferował się Kurik. — Jeżeli wpakujesz się w nowe kłopoty, Sparhawk, będziesz potrzebował rycerzy u swego boku.

— Ty przecież niewiele się różnisz od rycerza, Kuriku.

— Nie noszę zbroi — zauważył giermek — a sam widok Rycerzy Kościoła szarżujących w pełnym rynsztunku wystarcza, by wrogów obleciał strach. To dobry sposób na uniknięcie poważniejszej walki.

— On ma rację, Sparhawk — powiedział Kalten. — Jeżeli natkniemy się na większy oddział Zemochów i gwardzistów, przydadzą ci się ludzie odziani w zbroje.

— Dobrze — zgodził się Sparhawk, po czym zwrócił się do Ortzela: — Przepraszam waszą świątobliwość za nasze zachowanie, jednak naprawdę nie mieliśmy wyboru. Gdybyśmy pozostali uwięzieni w zamku barona, obie nasze misje zakończyłyby się niepowodzeniem, a na to Kościół nie może sobie pozwolić.

— Nadal, co prawda, nie w pełni to popieram, dostojny panie Sparhawk, ale twoje argumenty są przekonujące. Niepotrzebne tu przeprosiny.

— Dziękuję, wasza świątobliwość. Proszę spróbować zasnąć. Jutro waszą świątobliwość czeka daleka droga. — Sparhawk odszedł od ogniska. Począł grzebać w jednym z pakunków. Odszukał mapę i podszedł z nią do Beviera i Kurika. — Kierujcie się prosto na zachód — rzekł. — Postarajcie się przed zmierzchem przekroczyć granicę Pelosii. Potem jedźcie na południe do Chyrellos po tamtej stronie granicy. Nie sądzę, aby nawet najbardziej gorliwy Lamorkandczyk ryzykował spotkanie z patrolem pelozyjskiej straży granicznej.

— To brzmi całkiem rozsądnie — przyznał Bevier.

— Po dotarciu do Chyrellos zostawcie Ortzela w bazylice, a potem udajcie się do Dolmanta. Opowiedzcie, co się tu dzieje, i poproście, aby powiadomił Va-

niona i pozostałych mistrzów. Nalegajcie przy tym, żeby nie wysyłali tu Rycerzy Kościoła w celu gaszenia wzniecanych przez Martela niepokojów. Po śmierci arcyprałata Cluvonusa nasze cztery zakony powinny być obecne w Chyrellos, w przeciwnym razie knowania Martela się powiodą.

— Zrobimy, jak mówisz, dostojny panie Sparhawk — obiecał Bevier.

— Nie oszczędzajcie koni. Jego świątobliwość najwyraźniej czuje się dobrze, więc odrobina ostrej jazdy mu nie zaszkodzi. Im szybciej przekroczycie granicę Pelosii, tym lepiej. Nie marnujcie czasu, ale bądźcie ostrożni.

— Możesz na nas polegać — zapewnił Kurik.

— Dołączymy do was tak szybko, jak to tylko będzie możliwe — oznajmił cyrinita.

— Masz wystarczająco dużo pieniędzy? — zapytał Sparhawk swojego giermka.

— Jakoś dam sobie radę. — Kurik uśmiechnął się szeroko, błyskając zębami w mroku. — Poza tym Dolmant to mój stary przyjaciel i zawsze chętnie udzielał mi pożyczek.

Sparhawk roześmiał się głośno.

— Idźcie spać — powiedział. — Wyruszyście skoro świt.

Następnego dnia wszyscy wstali przed brzaskiem. Bevier i Kurik wraz z patriarchą Kadachu odjechali na zachód. Sparhawk w blasku ognia jeszcze raz sprawdził mapę.

— Ponownie przeprawimy się przez ten bród — zapowiedział. — Na wschód stąd koryto rzeki jest szersze, więc prawdopodobnie musielibyśmy znaleźć most. Pojedziemy na północ. Wolałbym nie natknąć się na żaden z patroli Gerricha.

Na wschodzie niebo poróżowiło — znak, że gdzieś za gęstą powłoką chmur wstawało słońce. Po śniadaniu przeprawili się przez bród.

Tynian podjechał do Sparhawk.

— Nie chcę być niedelikatny — powiedział — ale mam nadzieję, że wybór nie padnie na Ortzela. Myślę, że dla Kościoła i czterech zakonów nastąpiłyby ciężkie czasy, gdyby to on wstąpił na tron.

— To nie jest zły człęk.

— Bez wątplenia, ale zaślepiiony. Arcyprałat powinien być bardziej elastyczny. Czasy się zmieniają, panie Sparhawk, a Kościół winien się zmieniać wraz z nimi. Sądzę, że Ortzel nie w pełni uświadamia sobie potrzebę tych zmian.

— Wszystko co prawda jest w rękach hierarchii Kościoła, ja jednak zdecydowanie wolałbym Ortzela niż Anniasa.

— Święte słowa.

Wczesnym przedpołudniem dogonili pobrzękujący wóz nędznego, wędrownego druciarza, który także udawał się na północ.

— Jak leci, ziomku? — zapytał Sparhawk.

— Cieniutko, dostojny panie — odparł druciarz ponuro. — To wojny nie sprzyjają memu rzemiosłu. Nikt nie zawraca sobie głowy dziurawym garnkiem, gdy oblegają jego dom.

— To prawda. Czy jest tu może w okolicy jakiś most lub bród, którym mogliśmy przepłynąć na drugi brzeg rzeki?

— Kilka lig na północ jest płatny most. Dokąd zmierzacie, dostojny panie?

— Nad jezioro Randera.

Druciarzowi zaświeciły się oczy.

— Na poszukiwanie skarbów? — zapytał.

— Jakich skarbów?

— Wszyscy w Lamorkandii wiedzą, że gdzieś na polu dawnej bitwy, w pobliżu jeziora, jest ukryty wspaniały skarb. Ludzie kopali tam od pięciuset lat, ale znajdowali jedynie zardzewiałe miecze i szkielety.

— A skąd ludzie się o tym dowiedzieli? — zapytał niedbale Sparhawk.

— To właśnie najdziwniejsze. O ile wiem, już wkrótce po bitwie zaczęto widywać tam kopiących Styryków. To nie bardzo trzyma się kupy, prawda? Wszyscy przecież wiedzą, że Styrycy nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do pieniędzy, a ich mężczyźni nie garną się do łopaty. Zdaje się, że tego typu narzędzia nijak nie pasują im do rąk. W każdym razie, tak jak to zwykle bywa, ludzie zaczęli zastanawiać się, czego Styrycy szukają. Już wtedy zaczęły krążyć plotki o skarbie. Przekopano tam wszystko ze sto razy. Nikt nie ma pewności, czego szuka, ale każdy w Lamorkandii jedzie tam choć raz w życiu.

— Może Styrycy wiedzą, co tam jest ukryte.

— Może, ale z nich nie da się nic wyciągnąć. Uciekają, gdy tylko się do nich zbliżyć.

— To osobliwe. No cóż, dziękuję za informacje, ziomku.

— Miłego dnia.

Ruszyli dalej, zostawiając za sobą pobrzękujący wóz druciarza.

— A to pech — powiedział Kalten. — Ktoś z łopata dotarł tam przed nami.

— Z mnóstwem łopat — poprawił Tynian.

— Co do jednego miał na pewno rację — podsumował Sparhawk. — Nigdy nie widziałem Styryka, któremu na tyle zależałoby na pieniądzu, aby się o nie specjalnie starał. Myślę, że powinniśmy odszukać jakąś styrycką wioskę i zadać kilka pytań. Nad jeziorem Randera dzieje się coś, czego nie rozumiemy, a ja nie lubię niespodzianek.

Rozdział 7

Płatny most był wąski i zaniedbany. Tuż przy wjeździe stała nędzna chata, przed którą siedziała gromadka apatycznych, niedożywionych dzieci. Dozorca mostu odziany był w podartą koszulę, a na jego wychudzonej i nie ogolonej twarzy malował się wyraz ponurej beznadziejności. Z wyraźnym zawodem spojrzął na odzianych w zbroję rycerzy.

— Bez opłaty — westchnął.

— W ten sposób nigdy nie zarobisz na życie, przyjacielu — powiedział Kalten.

— To lokalne zarządzenie, szlachetny panie — odparł bez entuzjazmu dozorca mostu. — Duchowni są zwolnieni od myta.

— Czy wielu ludzi przekracza w tym miejscu rzekę? — zaciekał się Tynian.

— Kilku tygodniowo. Ledwie wystarcza mi na zapłacenie podatków. Moje dzieci już od miesiąca nie jadły porządnego posiłku.

— Czy są tu w okolicy jakieś styryckie wioski? — zapytał Sparhawk.

— Zdaje się, że po drugiej stronie rzeki jest jedna, dostojny panie. Tam, w tym cedrowym lesie.

— Dziękuję, ziomku. — Sparhawk wrzucił kilka monet do rąk zdumionego człowieka.

— Nie mogę pobrać od was opłaty za przejazd, dostojny panie — zaprotestował biedak.

— To nie są pieniądze za przejazd, ziomku. To za informacje — Sparhawk spiął ostrogami Farana i wjechał na most.

Talen mijając dozorcę pochylił się i coś mu podał.

— Kup coś dzieciom do jedzenia — powiedział.

— Dziękuję, paniczu. — Biedak miał łzy w oczach.

— Co mu dałeś? — zapytał Sparhawk.

— Pieniądze, które ukradłem tamtemu cwaniakowi przy brodzie — wyjaśnił chłopak.

— To bardzo szlachetnie z twojej strony.

— Zawsze mogę ukraść więcej. — Talen wzruszył ramionami. — A on i jego dzieci potrzebują ich bardziej niż ja. Sam nieraz byłem głodny i wiem, co to znaczy.

Kalten pochylił się w siodle.

— Sparhawk, mimo wszystko z tego chłopca może jeszcze coś będzie — powiedział cicho.

— Chyba trochę za wcześnie, aby być tego pewnym.

— Przynajmniej się dobrze zapowiada.

Na drugim brzegu rzeki rosły stare, omszałe cedry z nisko opadającymi zielonymi konarami. W głąb wilgotnego lasu wiodła ledwie widoczna ścieżka.

— Mateczko, są tutaj? — zapytał Sephrenię Sparhawk.

— Tak — odpowiedziała. — Obserwują nas.

— Ukryją się, gdy dotrzemy do wioski, prawda?

— Możliwe. Styrycy mają wystarczająco dużo powodów, aby nie ufać Elenom. Myślę jednak, że uda mi się nakłonić do wyjścia chociaż jednego z nich.

Podobnie jak wszystkie styryckie wioski, ta również sprawiała wrażenie prymitywnej. Kryte strzechą chaty były bezładnie rozsiane na polanie, a pomiędzy nimi nie widać było niczego w rodzaju ulicy. Zgodnie z przewidywaniami Sephrenii w pobliżu nie było żywej duszy. Czarodziejka pochyliła się i powiedziała coś krótko Flecikowi w niezrozumiałym dla Sparhawk'a dialekcie styryckim. Dziewczynka skinęła głową, uniosła swą fujarkę i zaczęła grać.

Początkowo nic się nie działo. Po dłuższej chwili Kalten odezwał się pierwszy.

— Zdaje mi się, że właśnie jeden mignął pomiędzy drzewami.

— Oni chyba się nas boją — zauważył Talen.

— Mają ku temu powody — rzekł Sparhawk. — Eleni nie traktują Styryków zbyt dobrze.

Flecik nie przerywała grania. Po pewnym czasie z lasu wyłonił się białobrody człowiek w tunice ze zgrzebnego samodiału. Zbliżył się niepewnie, z wahaniem. Złożył dłonie i skłonił się z szacunkiem przed Sephrenią, przemawiając do niej po styrycku. Następnie spojrzął na małą Flecik i szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Skłonił się ponownie, a ona przesłała mu diabełkowaty uśmiešek.

— Czcigodny starcze — zwróciła się do niego Sephrenia — czy mówisz w języku Elenów?

— Znam go w dostatecznym stopniu, siostró — odparł.

— To dobrze. Ci rycerze chcieliby ci zadać kilka pytań, a potem opuszczą wioskę i nie będą więcej sprawiać wam kłopotu.

— Odpowiem najlepiej, jak będę potrafił.

— Jakiś czas temu — zaczął Sparhawk — natknęliśmy się na druciarza, który powiedział nam o pewnej niepokojącej sprawie. Twierdzi, że Styrycy od stuleci przekopują pole bitwy nad jeziorem Rander'a w poszukiwaniu skarbów. Wydaje nam się, że to nietypowe zajęcie dla Styryków.

— Tak Styrycy nie postępują, dostojny panie — odparł starzec bezbarwnym głosem. — Nie potrzebujemy skarbów i z całą pewnością nie dopuścilibyśmy się bezczeszczenia grobów.

— Też tak sądziłem. Czy wiesz, kim mogą być owi Styrycy?

— Nie są z nami spokrewnieni, dostojny panie, i służą bogu, którym my pogardzamy.

— Azashowi? — domyślił się Sparhawk.

Starzec nieznacznie pobladł.

— Nie wymówię głośno jego imienia, dostojny panie, ale zgadłeś, kogo miałem na myśli.

— Więc kopiący nad jeziorem są Zemochami? Starzec skinął głową.

— My, Styrycy, od stuleci wiemy, że tam przebywają. Ale nie zbliżamy się do nich, albowiem są nieczyści.

— Mam wrażenie, że wszyscy uważamy podobnie — powiedział Tynian. — Czy nie domyślasz się, czego oni szukają?

— Pewnego starożytnego talizmanu, którego Otha pragnie gorąco dla swojego okrutnego pana.

— Druciarz mówił, iż większość ludzi w okolicy wierzy, że są tam gdzieś ukryte niezmierzone skarby.

Starzec uśmiechnął się.

— Eleni lubią przesadzać — powiedział. — Nie mogą uwierzyć, że Zemosi z takim poświęceniem szukają jednego przedmiotu, chociaż ma on większą wartość niż wszystkie skarby świata.

— To wystarczy za odpowiedź, nieprawdaż? — zauważył Kalten.

— Eleni mają bezkrytyczną słabość do złota i drogich kamieni — ciągnął dalej stary Styryk — i dlatego całkiem możliwe, iż zupełnie nie wiedzą, czego szukają. Spodziewają się wspaniałych skarbów, ale na tamtym polu nie ma żadnych skrzyń z bogactwami. Niewykluczone, że do tej pory któryś z nich znalazł tę rzecz i wyrzucił, nie zdając sobie sprawy z jej prawdziwej wartości.

— Nie, czcigodny starcze. — Sephrenia potrząsnęła głową. — Talizman, o którym mówisz, nie został jeszcze odnaleziony. Jego odkrycie przetoczy się przez świat niczym dźwięk potężnego dzwonu.

— Może jest w istocie tak jak mówisz, siostrze. Czy ty i twoi towarzysze również udajecie się nad jezioro w poszukiwaniu tego talizmanu?

— Takie mamy zamiary i jest nam z naszymi poszukiwaniami raczej spieszno. Musimy zapobiec przejęciu talizmanu przez boga Othy.

— Będę się więc modlił za pomyślność waszej misji do mego boga. — Starzec spojrział na Sparhawk. — Jak wiedzie się głowie Kościoła Elenów? — zapytał ostrożnie.

— Arcyprałat jest bardzo stary — odparł mu zgodnie z prawdą Sparhawk. — Podupada na zdrowiu.

Starzec westchnął.

— Obawiałem się tego — powiedział. — Chociaż jestem pewien, że nie przyjąłby on życzeń szybkiego powrotu do zdrowia od Styrika, to będę się modlił do mojego boga o to, by żył długie lata.

— Gorąco to popieram — mruknął Ulath.

Siwobrody Styrik zawahał się.

— Krążą plotki, że nową głową waszego Kościoła ma zostać prymas miasta zwanego Cimmura — powiedział oględnie.

— Jest w tym trochę przesady — odrzekł Sparhawk. — W Kościele Elenów wielu sprzeciwia się ambicjom prymasa. Po części nasza misja również ma na celu pokrzyżowanie jego planów.

— A więc powinienem modlić się w dwójnasób, dostojny panie. Jeżeli Annias zasiądzie na tronie w Chyrellos, będzie to katastrofą dla Styrików.

— Dla wszystkich pozostałych również — mruknął Ulath.

— Ale Styrikom zagrozi wówczas śmiertelne niebezpieczeństwo. Wszyscy wiemy, jakimi uczuciami Annias z Cimmury darzy naszą rasę. Władze Kościoła Elenów hamowały nienawiść prostego ludu, ale jeżeli Annias wstąpi na tron, to prawdopodobnie nie będzie jej nadal powstrzymywał i obawiam się, że Styricum zostanie podbite.

— Zrobimy wszystko, co leży w naszej mocy, aby zapobiec wyborowi Anniasa — obiecał Sparhawk.

Starzec skłonił się.

— Niech Młodszy Bogowie Styricum mają was w swojej opiece, przyjaciele. — Skłonił się ponownie przed Sephrenią i malutką Flecik.

— Ruszajmy — powiedziała czarodziejka. — Dopóki tu jesteśmy, mieszkańcy wioski nie wrócą do swych chat.

Opuścili osadę i wjechali w las.

— A więc to Zemosi przekopują pole bitwy — zadumał się Tynian. — Włóczą się po całej zachodniej Eosii, prawda?

— I to od stuleci — dodała Sephrenia. — Większość Elenów nie odróżnia Styrików od Zemochów. Otha nie pragnie żadnych związków ani pojednania między Styrikami i Elenami. To część jego planu. Kilka odpowiednio nagłośnionych okropności podsyca przesady prostego ludu, a tego typu opowieści stają się coraz barwniejsze podczas podawania z ust do ust. To przez stulecia było źródłem powszechnej obsesji, a od czasu do czasu także pogromów.

— Dlaczego możliwość przymierza tak bardzo niepokoi Othę? — zastanawiał się Kalten. — Na Zachodzie nie ma aż tylu Styrików, aby ich obecność mogła stanowić zagrożenie, a poza tym, skoro wzbraniają się oni przed tykaniem stalowej broni, w razie ponownego wybuchu wojny nie mielibyśmy z nich dużego pożytku, prawda?

— Styrycy walczyliby magią, nie stałą, Kaltenie — wyjaśnił Sparhawk — a ich magowie znają się na tym o wiele lepiej niż Rycerze Kościoła.

— Jednakże fakt, że Zemosi są nad jeziorem Randera, budzi nadzieję — powiedział Tynian.

— Dlaczegoż to? — zapytał Kalten.

— Wciąż kopią, a więc nie znaleźli jeszcze Bhelliomu. Wnioskuje z tego, że udajemy się we właściwe miejsce.

— Nie jestem tego taki pewien — wtrącił Ulath. — Skoro szukali Bhelliomu przez ostatnie kilkaset lat i do tej pory nie znaleźli, być może nie ma go nad jeziorem Randera.

— Dlaczego Zemosi nie spróbowali nekromancji, tak jak my zamierzamy to zrobić? — spytał Kalten.

— Duchy Thalezyjczyków nie odpowiedzą na wezwanie zemoskiego nekromanty — mruknął Ulath. — Do mnie może się odezwą, ale do nikogo więcej.

— A więc dobrze, że jesteś z nami, mój małomówny druho — powiedział Tynian. — Wolałbym nie narażać się na te wszystkie kłopoty związane z przywoływaniem duchów tylko po to, aby przekonać się, że nie odezwą się do mnie ani słowem.

— Jeżeli je przywołasz, to ja z nimi porozmawiam.

— Nie zapytałaś go o szukacza — przypomniał Sparhawk Sephrenii.

— Nie było potrzeby. Przestraszyłyby się tylko. A poza tym, jeżeli Styrycy wiedzieliby o obecności szukacza w tej części świata, nie zastalibyśmy tu nikogo.

— Może powinniśmy byli ich ostrzec.

— Nie, Sparhawk. Życie tych ludzi jest dostatecznie ciężkie i bez zmieniania ich we włóczęgów. Szukacz tropi nas. Mieszkańcom tej wioski nic nie grozi.

Późnym popołudniem dotarli na skraj lasu. Tam zatrzymali się i uważnie zlustrowali pola, sprawiające wrażenie wyludnionych.

— Spędźmy noc tu, pośród drzew — rzekł Sparhawk. — Przed nami jest zupełnie otwarta przestrzeń. Jeżeli już mogę wybierać, to wolałbym, aby nikt nie zauważył naszych ognisk.

Wjechali z powrotem między drzewa i rozbili obóz. Kalten poszedł na skraj lasu trzymać straż. Wrócił tuż po zapadnięciu zmierzchu.

— Lepiej zamaskuj trochę ten ogień — polecił Beritowi. — Widać go z daleka.

— W tej chwili, szlachetny panie — odparł młody nowicjusz. Wziął łopatkę i okopał bardziej małe ognisko.

— Nie jesteśmy tu sami, Sparhawk — powiedział rośły, jasnowłosy pandionita z powagą. — Około pół ligi stąd, na tamtych polach, płonie kilka ognisk.

— Chodźmy się rozejrzeć — zaproponował Sparhawk Tynianowi i Ulathowi. — Trzeba zapamiętać ich położenie, abyśmy rano mogli bezpiecznie ominąć

ludzi, którzy je rozpalili. Nawet jeżeli przez kilka dni nie będzie nam zagrażał szukacz, to przecież pewnym ludziom zależy na tym, abyśmy nie dotarli do jeziora. Kaltenie, idziesz z nami?

— Nie. Jeszcze nic nie jadłem.

— Możemy cię potrzebować. Wskazałbyś nam te ogniska.

— Nie sposób ich nie zauważyć. — Kalten napełnił swoją drewnianą miskę.

— Ktokolwiek je rozpałił, nie troszczył się o ich zamaskowanie.

— Ten to kocha jeść — ocenił Tynian, gdy oddalili się nieco od obozu.

— Dużo je — przyznał Sparhawk — ale to mąż mocarny i ciężki, więc potrzebuje sporo pożywienia, aby ciało mu nie zwiotczało.

Rozpalone daleko na polach ogniska były doskonale widoczne. Sparhawk dokładnie zapamiętał ich położenie.

— Myślę, że skręcimy na północ — rzekł cicho do pozostałych. — Chyba trzeba będzie trzymać się lasu, dopóki ich nie minimy.

— Osobliwe — mruknął Ulath.

— Co jest osobliwe? — zapytał Tynian.

— Te ogniska nie są zbyt od siebie oddalone. Jeżeli ci ludzie się znają, to dlaczego nie rozbili wspólnego obozu?

— Może nie przepadają za swoim towarzystwem.

— Dlaczego więc pozostają tak blisko siebie?

— Któż może zrozumieć Lamorkandczyków? — Tynian wzruszył ramionami.

— Nocą i tak nic więcej nie zdołamy — rzekł Sparhawk. — Wracajmy.

Sparhawk obudził się tuż przed świtem. Kiedy ruszył budzić towarzyszy, stwierdził, że nie ma Tyniana, Berita i Talena. Nieobecność Tyniana można było łatwo wytłumaczyć — trzymał straż na skraju lasu. Jednakże nowicjusz i chłopiec nie mieli powodów, aby zrywać się tak wcześnie. Sparhawk zaklął. Obudził Sephrenię.

— Berit i Talen gdzieś zniknęli — rzekł do niej.

Czarodziejka rozejrzała się po tonącym w ciemnościach obozie.

— Musimy poczekać, dopóki się nie rozjaśni — powiedziała. — Jeżeli do tego czasu nie wrócą, ruszymy na poszukiwania. Roznieć ogień, Sparhawk, i powieś nad nim mój czajniczek.

Niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć, gdy Berit i Talen wrócili do obozu. Obaj byli podnieceni, a ich oczy błyszczały.

— Gdzieście byli? — zapytał Sparhawk rozeźlony.

— Chcieliśmy zaspokoić ciekawość — odparł Talen. — Złożyliśmy wizytę naszym sąsiadom.

— Bericie, możesz mi to przetłumaczyć?

— Podczołgaliśmy się polami, żeby rzucić okiem na ludzi obozujących przy tych ogniskach, dostojny panie.

— Bez pytania mnie o zgodę?

— Spałeś — wyjaśnił pośpiesznie Talen. — Nie chcieliśmy cię budzić,
— To Styricy, dostojny panie — powiedział z powagą Berit — a przynajmniej niektórzy z nich. Jest wśród nich spora grupa lamorkandzkich wieśniaków. Przy drugim ognisku są gwardziści.

— Czy to zachodni Styricy, czy Zemosi?

— Nie potrafię odróżnić jednych od drugich, ale ci tam mieli włócznie i miecze. — Berit zmarszczył brwi. — Może to tylko moja wyobraźnia, ale wyglądali jak odurzeni. Dostojny panie, pamiętasz, jakie miały wyraz twarze ludzi, którzy zaatakowali nas w Elenii?

— Tak.

— Ci wyglądają mniej więcej tak samo. Nie rozmawiają ze sobą ani nawet nie śpią, nie wystawili również wart.

— Co ty na to, mateczko? — zagadnął Sparhawk Sephrenię. — Czyżby szukacz wrócił do zdrowia szybciej, niż przypuszczałaś?

— Nie. — Czarodziejka zastanawiała się przez chwilę. — Jednakże mógł wysłać tych ludzi naszym tropem, nim wszystko się zaczęło. Są wciąż posłuszni każdemu poleceniu, które im wydał, ale nie potrafią bez jego obecności podejmować samodzielnych decyzji.

— A więc rozpoznałyby nas, prawda?

— Tak. Szukacz zaszczeplił to w ich umysłach.

— I zaatakują, jeżeli nas zobaczą?

— Niewątpliwie.

— W takim razie lepiej ruszajmy — zdecydował Sparhawk. — Ci ludzie są zbyt blisko, abym mógł czuć się bezpiecznie. Nie lubię po ciemku podróżować po obcym kraju, ale w tej sytuacji... — przerwał i odwrócił się gwałtownie do Berita. — Doceniam przyniesione przez was informacje, ale nie powinienś oddalać się bez pozwolenia i zdecydowanie nie trzeba było brać ze sobą Talena. Tobie i mnie płacą za ryzykowanie własnego życia, ale nie miałeś żadnego prawa narażać chłopca.

— On nie wiedział, że skradałem się jego śladem — odezwał się Talen. — Zobaczyłem, że wstaje, i byłem ciekaw, co robi, więc śledziłem go. Dopiero tuż koło obozowisk zorientowałem się, że za nim idę.

— To nie jest zupełnie zgodne z prawdą, dostojny panie Sparhawk — zaprzeczył Berit. Wyglądał na urażonego. — Talen obudził mnie i zaproponował, abyśmy poszli rzucić okiem na tych ludzi. Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł. Przykro mi. Nie pomyślałem nawet o tym, iż narażam go na niebezpieczeństwo.

Talen spojrział na nowicjusza z wyrzutem.

— I po co to zrobiłeś? — zapytał. — Bardzo udatnie mu nakłamałem. Mogłem zaoszczędzić ci kłopotów.

— Przysięgałem mówić prawdę, Talenie.

— No cóż... ja nie. Mogłeś po prostu trzymać język za zębami. Mnie Sparhawk by nie uderzył, bo jestem za mały, a tobie może spuścić łanie.

— Uwielbiam takie drobne sprzeczki przed śniadaniem — powiedział Kalten.

— A jeżeli już o tym mowa... — Spojrzał wymownie na ognisko.

— Twoja kolej — mruknął Ulath.

— Co?

— Twoja kolej na gotowanie.

— Z całą pewnością to nie może być znowu moja kolej!

Ulath skinął głową.

— Pilnuję kolejki — stwierdził dobitnie.

Kalten zrobił pobożną minę.

— Myślę, że Sparhawk ma rację — powiedział śpiesznie. — Rzeczywiście powinniśmy ruszać. Możemy coś przegryźć potem.

Po cichu zwinęli obóz i osiodłali konie. Tynian wrócił ze swego posterunku na skraj lasu.

— Podzielili się na małe grupki — zameldował. — Myślę, że mają zamiar przeszukać okolicę.

— A więc nie będziemy wychodzić spomiędzy drzew — zdecydował Sparhawk. — Ruszajmy.

Jechali ostrożnie. Od czasu do czasu Tynian wyjeżdżał z gęstwiny, aby śledzić ruchy gwardzistów.

— Wydaje się, że nie zwracają w ogóle uwagi na las — powiedział po kolejnym wypadzie.

— Nie potrafią myśleć samodzielnie — wyjaśniła mu Sephrenia.

— Nieważne. — Kalten machnął ręką. — Gorzej, że są między nami a jeziorem. W końcu będziemy musieli wyjechać z lasu, a nie przejedziemy, dopóki będą patrolować pola. To oznacza przerwę w naszej podróży.

— Kto właściwie patroluje ten obszar? — zapytał Sparhawk Tyniana.

— Gwardziści. Jeżdżą niewielkimi grupkami.

— Po ilu w każdej grupie?

— Dziesięciu, może dwunastu.

— Czy te grupki pozostają z sobą w kontakcie?

— Oddalają się od siebie coraz bardziej.

— To dobrze. — Sparhawk miał posępny wyraz twarzy. — Jedź i miej ich na oku. Daj mi znać, gdy oddalą się od siebie na tyle, że nie będą się nawzajem widzieć.

Tynian odjechał. Sparhawk zsiadł z konia i uwiązał Farana przy młodym drzewku.

— Co ci chodzi po głowie, Sparhawk? — zapytała podejrzliwie Sephrenia, gdy Berit pomógł jej i Flecikowi zsiąść z białej klaczy.

— Wiem, że szukacza przysłał prawdopodobnie Otha, a to oznacza Azasha.

— Tak.

— Azash wie, że Bhelliom ma się wkrótce ponownie pojawić, prawda?

— Tak.

— Pierwotnie szukacz miał nas zabić, ale skoro mu się to nie udało, to czyż nie będzie czynił wszystkiego, aby trzymać nas z dala od jeziora Randerą?

— Znowu ta logika Elenów. — Czarodziejka skrzywiła się. — Mogę cię przejrzeć na wskroś. Dobrze widzę, do czego zmierzasz.

— Gwardziści nadal będą w stanie porozumiewać się między sobą, chociaż ich umysły są sparaliżowane, prawda?

— Tak — przyznała z niechęcią.

— W tej sytuacji nie mamy wyboru. Jeżeli choć jeden z nich nas zobaczy, to w ciągu godziny będziemy mieć na karku wszystkich.

— Nie bardzo rozumiem — powiedział zakłopotany Talen.

— Zamierza zabić wszystkich z jednego z tych patroli — wyjaśniła chłopcu Sephrenia.

— Do ostatniego człowieka — przyznał Sparhawk ponuro — i to natychmiast, jak tylko inni znikną nam z oczu.

— Nie mogą uciekać.

— Właśnie. Nie będę musiał ich ścigać.

— Sparhawk, planujesz morderstwo!

— To nie jest dokładnie tak, jak mówisz, Sephrenio. Tamci zaatakują, gdy tylko nas zauważą. A my będziemy się jedynie bronić.

— Sofistyka — rzuciła pogardliwie i odeszła wzburzona.

— Pewnie nawet nie wie, co oznacza to słowo — powiedział Kalten.

— Czy umiesz walczyć kopią? — zapytał Sparhawk Ulatha.

— Zostałem przeszkolony — odparł Thalezyjczyk. — Jednakże wolę swój topór.

— Kopia pozwala zachować podczas walki pewien dystans. Lepiej nie ryzykować. Spróbujemy powalić większość z nich za pomocą kopii, a potem dokończymy dzieła mieczami i toporami.

— Jest nas tylko pięciu — przypomniał Kalten — wliczając Berita.

— No i co z tego?

— Chciałem tylko o tym przypomnieć.

Wróciła Sephrenia, twarz miała pobladła.

— A więc nie zmienicie zamiaru? — spytała.

— Musimy dostać się do jeziora. Znasz lepszy sposób?

— Nie, prawdę powiedziawszy nie znam — odparła z niechęcią. — Twoja logika, ta logika Elenów, rozbroiła mnie.

— Chciałbym cię o coś zapytać, mateczko. — Kalten najwyraźniej próbował zmienić temat. — Jak naprawdę wygląda szukacz? Mam wrażenie, iż zadaje sobie sporo trudu, aby ukryć swą twarz.

— Jest obrzydliwy. — Czarodziejka wzdygnęła się z odrazą. — Nigdy nie widziałam żadnego z nich, ale mag, który uczył mnie, jak odpędzać te stwory, opisał mi je. Mają blade i szczupłe ciało podzielone na segmenty. W tym stadium rozwoju jego zewnętrzna warstwa nie stwardniała jeszcze całkowicie i pomiędzy segmentów wydziela się coś w rodzaju ichoru, aby uchronić skórę przed kontaktem z powietrzem.

— Ichor? Co to takiego?

— Śluz — wyjaśniła krótko czarodziejka. — Szukacz ma podobne do kraba szczypce, a jego oblicze jest straszniejsze od wszystkiego, co można sobie wyobrazić. Goniący nas stwór znajduje się w stadium larwalnym, jest teraz czymś w rodzaju gąsienicy lub czerwia. Gdy dorośnie, jego ciało stwardnieje i ściemnieje oraz rozwiną się skrzydła. Nad dorosłym osobnikiem nawet Azash nie potrafi zapanować, ponieważ w tym stadium szukacze są całkowicie owładnięte chęcią rozmnażania się. Wystarczy pozostawić parę dorosłych osobników samym sobie, a w krótkim czasie wszystkie żywe istoty tego świata staną się pożywieniem dla ich młodych. Azash trzyma jedną parę dla celów hodowlanych w miejscu, skąd nie mogą uciec. Kiedy larwa, której używa w kontaktach z ludźmi, dorośnie — zabija ją.

— Praca dla Azasha to ryzykowne zajęcie, nie ma co. Nigdy nie widziałem podobnych owadów.

— Stwory służące Azashowi nie podlegają prawom natury. — Sephrenia spojrzała na Sparhawk. — Czy naprawdę musicie to uczynić? — zapytała już znacznie spokojniej.

— Niestety, nie mamy innego wyjścia.

Usiedli na wilgotnym mchu i czekali na powrót Tyniana. Kalten podszedł do przytroczonej do siodła sakwy i sztyletem odkroił spory kawałek sera oraz pajdę chleba.

— Może w ten sposób załatwimy problem mojej kolejki na gotowanie? — zwrócił się do Ulatha.

Genidianita uśmiechnął się.

— Zastanowię się nad tym — mruknął.

Niebo nadal było pokryte chmurami. W gęstwinie ciemnozielonych cedrów, napełniających las aromatyczną wonią, drzemały ptaki. W pewnym momencie do grupki siedzących zbliżył się jelen. Stąpił ostrożnie leśną ścieżką. Jeden z koni parsknął i spłoszone zwierzę umknęło, błyskając białym ogonkiem. Dumnie trzymało głowę z pokrytymi meszkiem różkami. Wokół panowała cisza i spokój, ale Sparhawk nie poddawał się błogiemu nastrojowi. Szykował się w duchu na czekającą go walkę.

Wrócił Tynian.

— Pięćset kroków na północ od nas zatrzymał się oddział gwardzistów — relacjonował cicho. — Innych nie widać.

— Możemy zaczynać — powiedział Sparhawk wstając. — Sephrenio, ty zostaniesz tutaj z Talenem i Flecikiem.

— Jaki mamy plan? — zapytał Tynian.

— Nie ma planu — odparł Sparhawk. — Po prostu wyjedziemy i zniszczymy ten patrol. A potem ruszymy nad jezioro Randera.

— Cóż za elegancka prostota — przyznał Tynian.

— Nie zapominajcie o tym — zaczął Sparhawk — że ranni nie będą reagować w zwykły dla ludzi sposób. Upewnijcie się, że nie zajdą was z tyłu, nim zabierze się za następnych. Ruszajmy.

Walka była krótka i brutalna. Gdy tylko Sparhawk i pozostali rycerze wypadli z lasu, gwardziści ruszyli końmi w ich stronę. Pędzili po trawiastym polu z uniesionymi mieczami. Kiedy oba oddziały zbliżyły się do siebie na odległość może pięćdziesięciu kroków, Sparhawk, Kalten, Tynian i Ulath zniżyli swe kopie. Uderzyli z przerażającą siłą. Gwardzista, ugodzony przez Sparhawka w pierś, został wysadzony z siodła. Kopia przebiła go na wylot. Sparhawk ściągnął ostro wodze Farana, aby zachować swą broń. Wyciągnął kopię z martwego już ciała i ponownie zaatakował. Złamał drzewce na piersi kolejnej ofiary. Sięgnął po miecz. Odrywał ramię następnemu gwardziście i rozciął mu gardło. Ulath skruszył kopię na pierwszym napotkanym przeciwniku, ale wbił złamane drzewce w brzuch następnego i złapał za swój topór. Bez najmniejszego trudu roztrzaskał głowę kolejnego gwardzisty. Tynian kopią ugodził stojącego mu na drodze mężczyznę w czerwonym mundurze, skończył z nim za pomocą swego miecza i ruszył do następnego. Kalten roztrzaskał kopię na czyjejs tarczy i musiał bronić się przed wściekłym atakiem dwóch napastników. Na szczęście wkroczył do akcji Berit, który jednemu z nich rozrąbał czaszkę toporem. Kalten mieczem skończył z drugim. Pozostali gwardziści kręcili się w kółko, niezdolni swymi bezwolnymi umysłami reagować dostatecznie szybko. Rycerze Kościoła spędzili ich razem i metodycznie wybili do nogi.

Kalten zeskoczył z siodła. Obszedł zasłane ciałami i zbroczone krwią pole. Sparhawk odwrócił głowę, nie mogąc znieść widoku przyjaciela przeszywającego mieczem kolejno wszystkich poległych.

— Chciałem się tylko upewnić — powiedział Kalten, chowając miecz i dosiadając konia. — Teraz żaden z nich nie powie już ani słowa.

— Bericie — odezwał się Sparhawk — jedź po Sephrenię i dzieci. My zostaniemy tu na straży. I jeszcze jedno. Dobrze byłoby przy okazji wyciąć kilka nowych drzewc do kopii. Poprzednie są już do niczego.

— Uczynię to, dostojny panie Sparhawku. — Nowicjusz zawrócił konia w kierunku lasu.

Sparhawk rozejrzał się dookoła.

— Ukryjmy tam trupy — polecił, wskazując na pobliską kępę zarośli. — Lepiej nie zostawiać drogowskazów.

— Czy wszystkie ich konie uciekły? — zapytał Kalten.

— Tak — odparł Ulath. — Konie zwykle uciekają, gdy w pobliżu zaczyna się robić gorąco.

Pościgali zmasakrowane ciała i cisnęli je w krzaki. Kończyli właśnie, kiedy nadjechał Berit z Sephrenią, Talenem i Flecikiem. Nowicjusz wioził przed sobą na siodle nowe drzewca do kopii. Sephrenia starała się nie spoglądać na zbroczoną krwią trawę.

W ciągu kilku minut zamocowali stalowe ostrza do drzewc i dosiedli ponownie koni.

— Teraz już naprawdę zgłodniałem — zauważył głośno Kalten, gdy przeszli w galop.

— Jak możesz? — oburzyła się Sephrenia.

— Co ja takiego powiedziałem? — zapytał Kalten Sparhawk.

— Nieważne, przyjacielu.

Kilka następnych dni minęło spokojnie, jednakże Sparhawk wraz z całą drużyną nie poniechali ostrożności. Galopując przed siebie czujnie spoglądali do tyłu. Każdej nocy szukali schronienia w dobrze osłoniętych miejscach i rozpalali jedynie małe, dokładnie zamaskowane ogniska. Aż pewnego dnia niebo spełniło w końcu swoją obietnicę i dalej na północny wschód jechali już w strugach deszczu.

— Cudownie — odezwał się z sarkazmem Kalten, spoglądając na ociekające wodą niebo.

— Módl się, aby padało mocniej — powiedziała Sephrenia. — Szukacz już pewnie wyruszył, ale nie będzie mógł zwęszyć naszych śladów, jeżeli zostaną splukane przez deszcz.

— Przyznaję, że o tym nie pomyślałem.

Sparhawk regularnie zsiadał z konia, odcinał gałązkę z pewnego rodzaju nisko płożących się krzewów i układał je na ziemi wskazując kierunek, w którym jechali.

— Po co to robisz? — zapytał go w końcu Tynian, otulając się szczelniej przemoczoną, niebieskim płaszczem.

— Aby Kurik wiedział, w którą stronę pojechaliśmy — odparł Sparhawk, kolejny raz dosiadając konia.

— Bardzo sprytnie, ale skąd będzie wiedział za jakim krzewem ma się rozglądać?

— Zawsze używamy gałązek tego samego gatunku krzewu. Opracowaliśmy tę metodę dawno temu.

Niebo nadal roniło lzy. Był to bardzo przygnębiający rodzaj deszczu, przenikał wszystko na wskroś. Coraz trudniej było rozpaścić ogień, który zwykle gaśł, nim się na coś zdążył przydać. Od czasu do czasu mijali lamorkandzkie wioski

oraz porozrzucane tu i tam samotne gospodarstwa. Ludzie najczęściej chronili się przed deszczem po domostwach, a na polach pało się smętne, mokre bydło.

Byli już niedaleko jeziora, gdy wreszcie, w pewne wietrzne popołudnie, kiedy deszcz zaczął prawie równoległe do kierunku jazdy, dogonili ich Kurik i Bevier.

— Odwieźliśmy Ortzela do bazyliki — relacjonował cyrinita ocierając moką twarz. — Następnie udaliśmy się do Dolmanta i opowiedzieliśmy mu, co dzieje się tu, w Lamorkandii. Zgodził się, iż prawdziwym celem zamieszek może być chęć pozbycia się Rycerzy Kościoła z Chyrellos. Postara się zrobić wszystko, by temu przeszkodzić.

— To dobrze — powiedział Sparhawk. — Przyjemnie pomyśleć, że pokrzyżowaliśmy plany Martela. Mieliście po drodze jakieś przygody?

— Nic poważnego, jednakże wszystkie trakty są pod obserwacją, a w Chyrellos aż roi się od gwardzistów.

— Domyślam się, że to wszystko gwardziści lojalni wobec Anniasa, czy tak? — zapytał Kalten ze skwaszoną miną.

— Są również inni kandydaci na arcyprałata, panie Kaltenie — zauważył Tynian. — Jeżeli Annias ściągnął swoje oddziały do Chyrellos, pozostali uczynili to samo.

— Z całą pewnością nie chcielibyśmy otwartych walk na ulicach Świętego Miasta — rzekł Sparhawk. — Jak się czuje arcyprałat Cluvonus? — zapytał Bevia.

— Obawiam się, że dogasa. Hierarchowie nie potrafią już nawet ukrywać jego stanu przed prostym ludem.

— A więc musimy się śpieszyć — stwierdził Kalten. — Jeżeli Cluvonus umrze, Annias ruszy do dzieła i w tym momencie skarbiec Elenii nie będzie mu już dłużej potrzebny.

— No to w drogę — rozkazał Sparhawk. — Do jeziora mamy jeszcze jakiś dzień drogi.

— Sparhawk — odezwał się Kurik — pozwoliłeś, aby twoja zbroja zardzewiała.

— Czyżby? — Sparhawk odrzucił do tyłu mokry, czarny płaszcz. Spojrzał z pewnym zdziwieniem na poznaczone rudymi plamami rdzy naramienniki.

— Nie mogłeś znaleźć butelki z olejem, dostojny panie?

— Miałem głowę zaprzątniętą czym innym.

— Najwyraźniej.

— Przykro mi. Sam się tym zajmę.

— Nie wiedziałbyś jak. Lepiej zresztą, abyś nie bawił się w czyszczenie zbroi, Sparhawk. To moje zajęcie.

Sparhawk obejrzał się na pozostałych.

— Niech nikt się nie wtrąca, bo dojdzie do bójki! — oznajmił złowieszczo.

— Raczej skonamy, niż staniemy w twojej obronie, dostojny panie Sparhawku
— obiecał z kamienną twarzą Bevier.

— Będę wam za to wdzięczny — odparł Sparhawk i z surową miną odjechał
w zacinający deszcz, pobrzękując swoją zardzewiałą zbroją.

Rozdział 8

Okolice jeziora Randerera, gdzie w starożytności stoczono wielką bitwę, były jeszcze bardziej splądrowane, niż myśleli. Ujrzeni bezmierne pustkowie przekopanej ziemi, usiane pryzmami błota. Głębokie dziury i rowy wypełniała mulista woda, a padający nieustannie deszcz zamienił ziemię w grząską maź.

Kalten zatrzymał konia obok Sparhawk'a i popatrzył bezradnie na błotniste pole, zdawające się ciągnąć aż po horyzont.

— Skąd zaczniemy? — zapytał z niewyraźną miną. Dopiero teraz uświadomił sobie ogrom czekającej ich pracy i zepsuło mu to humor.

Sparhawk coś sobie przypomniał.

— Panie Bevierze! — zawołał. Cyrinita zbliżył się do nich.

— Jestem, panie Sparhawk'u.

— Mówiłeś, że studiowałeś historię wojskowości.

— Tak.

— Poświęciłeś chyba trochę czasu tej największej w historii bitwie?

— Oczywiście.

— Czy potrafiłbyś powiedzieć, gdzie głównie walczyli Thalezyjczycy?

— Pozwól, że rozejrzę się dookoła. — Bevier wjechał na grząskie pole, rozglądając się z uwagą w poszukiwaniu jakiegoś charakterystycznego szczegółu. — Już wiem — powiedział w końcu, wskazując w kierunku pobliskiego wzgórza, niknącego w gęstej mżawce. — Tam wojska króla Arcium starły się z hordami Othy i ich sprzymierzeńcami, obdarzonymi nadprzyrodzonymi mocami. Wróg miał przewagę liczebną i nacierał z furją, ale oni utrzymali pozycje aż do przybycia Rycerzy Kościoła. — Popatrzył w zamyśleniu na padający deszcz. — Jeżeli mnie pamięć nie myli, armia króla Saraka z Thalesii uderzyła w manewrze oskrzydłym od wschodniej strony jeziora. Walczyli więc chyba dużo dalej na wschód.

— To przynajmniej choć trochę zawęża obszar naszych poszukiwań — powiedział Kaltén. — Czy genidianicy walczyli razem z armią króla Saraka?

Bevier potrzęsnał głową.

— Wszyscy Rycerze Kościoła byli zaangażowani w walki na terenie Rendoru

— wyjaśnił. — Na wieść o inwazji Othy pożeglowali przez Morze Wewnętrzne do Cammorii, a potem ruszyli dalej forsownym marszem. Przybyli na pole bitwy od południa.

— Dostojny panie Sparhawk — odezwał się cicho Talen — spójrz tam. Jacyś ludzie próbują się ukryć za tym dużym kopcem, tym z pniakiem na zboczu.

Sparhawk nie odwrócił się.

— Czy możesz przyjrzeć im się dokładniej? — spytał chłopaka.

— Trudno mi powiedzieć co to za ludzie — odparł Talen po chwili. — Cali pokryci są błotem.

— Czy są uzbrojeni?

— Większość trzyma łopaty. Kilku z nich ma chyba kusze.

— A więc to Lamorkandzycy — powiedział Kalten. — Tylko oni posługują się tą bronią.

— Kuriku — Sparhawk odwrócił się do swego giermka — jaki kusza ma zasięg?

— Dwieście kroków, aby zapewnić jako taką celność. Z większej odległości trzeba liczyć raczej na szczęście.

Sparhawk niby od niechcenia rozejrzał się dookoła. Kopiec, o którym mówił Talen, oddalony był może o sześćdziesiąt kroków.

— Zaczniemy stamtąd — powiedział dostatecznie głośno, aby usłyszeli go poszukiwacze skarbów. Uniósł dłoń odzianą w stalową rękawicę i wskazał na wschód. — Ilu ich jest, Talenie? — zapytał cicho.

— Widziałem ośmiu, może dziesięciu. Ale może ich być więcej.

— Obserwuj ich, ale nie rób tego zbyt ostentacyjnie. Daj nam znać, jeżeli któryś z nich uniesie kuszę.

— Nie spuszczać z nich oka.

Sparhawk ruszył kłusem. Spod kopyt Farana przyskała błotnista maź.

— Nie oglądajcie się — ostrzegł innych.

— Czy galop nie byłby w tej sytuacji bardziej odpowiedni? — zapytał Kalten tonem zdradzającym niepokój.

— Nie okazujmy, żeśmy ich widzieli.

— To jest denerwujące, Sparhawk. — Kalten poprawił tarczę u siodła. — Mam bardzo niemile uczucie między łopatkami.

— Ja też — przyznał Sparhawk. — Talenie, co oni robią?

— Obserwują nas — odparł chłopiec. — Co chwila któryś wytyka głowę.

Jechali dalej kłusem, rozbryzgując kopytami błoto.

— Jesteśmy prawie poza zasięgiem ich strzał — powiedział Tynian.

— Deszcz przesłonił wzgórek — doniósł Talen. — Myślę, że już nas nie widzą.

— Dobrze — powiedział Sparhawk, oddychając z ulgą. — Zwolnijmy. Teraz już wiemy, że nie jesteśmy tu sami, ale przecież nie chcemy się w nic wplątać.

— Ulżyło mi — mruknął Ulath.
— Mnie też — przyznał Tynian.
— Nie rozumiem, czego się bałeś. — Ulath spojrzął znacząco na zbroję Tyniana. Deirańskie zbroje były najcięższe na świecie. — Tyle żelastwa masz na sobie.
— Z niewielkiej odległości kusza potrafi i to przebić. — Tynian uderzył pięścią w napierśnik, blacha zadźwięczała niczym dzwon. — Panie Sparhawk, może przy najbliższej okazji zasugerowałbyś hierarchom, aby zabronili używania kusz, co? Czułbym się o wiele lepiej nie dźwigając tego wszystkiego.
— Jak ty wytrzymujesz w tej zbroi? — zapytał Kalten.
— Z trudnością, przyjacielu, z wielką trudnością. Zemdlałem, gdy pierwszy raz mnie w nią wbili. Godzinę trwało, nim się pozbierałem.
— Miejcie oczy otwarte — ostrzegł Sparhawk. — Kilku lamorkandzkich poszukiwaczy to jedna sprawa, ale ludzie pozostający pod władzą szukacza to całym co innego; a skoro miał ich w pobliżu lasu, to może mieć i tutaj.
Jechali dalej, rozglądając się ostrożnie dookoła. Końskie kopyta grzęzły w błocie. Sparhawk znów popatrzył na mapę, płaszczem osłaniając ją przed deszczem.
— Miasto Randerę jest na wschodnim brzegu jeziora — powiedział. — Panie Bevierze, czy w twoich księgach wspomniano coś o pobycie w nim Thalezyjców?
— O tym fragmencie bitwy niewiele napisano w kronikach — odparł okryty białym płaszczem cyrinita. — Jedyna wzmianka na ten temat mówi, że Zemosi okupowali Randerę na samym początku swojej inwazji. Czy Thalezyjczycy coś w tym względzie zrobili, czy też nie — tego po prostu nie wiem.
— Nie zrobili — mruknął Ulath. — Thalezyjczycy nigdy nie mieli wielkiej wprawy w prowadzeniu oblężeń. Nie mamy do tego cierpliwości. Armia króla Saraka najprawdopodobniej ominęła miasto.
— To może być łatwiejsze, niż przypuszczałem — oznajmił Kalten. — Do przeszukania pozostał nam jedynie obszar pomiędzy Randerą i wschodnim końcem jeziora.
— Nie rób sobie nadziei zbyt pochopnie, Kaltenie — powiedział Sparhawk. — To nadal spory szmat ziemi. — Spojrzął na niknące w mżawce jezioro. — Brzeg wydaje się piaszczysty, a po mokrym piasku jedzie się znacznie lepiej niż po błocie. — Zawrócił Farana i poprowadził drużynę w kierunku jeziora.
Szeroka, piaszczysta plaża, ciągnąca się wzdłuż południowego brzegu, nie była tak doszczętnie splądrowana, jak reszta pola bitwy. Wjechali na mokry piasek i Kalten rozejrzał się dookoła z ciekawością.
— Zastanawiam się, czemu tu nie kopali — powiedział.
— Wysoka woda — mruknął Ulath enigmatycznie.
— Co takiego, przepraszam?

— Zimą poziom wody się podnosi i zmywa piasek do wcześniej wykopanych dziur.

— Ach, tak. To rozsądne wyjaśnienie.

Przez następne pół godziny jechali ostrożnie wzdłuż brzegu.

— Jak daleko mamy jechać? — spytał Kaltén Sparhawk. — Ty masz mapę.

— Około dziesięciu lig. Tu, na plaży, widoczność jest na tyle dobra, że możemy bezpiecznie ruszyć galopem. — Sparhawk spiął Farana ostrogami.

Deszcz padał nieprzerwanie. Powierzchnia jeziora miała kolor ołowiu, a kropelki deszczu znaczyły ją tysiącem drobnych wgłębień. Po ujechaniu kilku lig wzdłuż brzegu spostrzegli na grząskim polu następną grupę kopaczy.

— Pelozyjczycy — mruknął Ulath ze wzgardą.

— Po czym poznajesz? — zapytał Kaltén.

— Po tych głupich, spiczastych czapkach.

— Ach, tak. . .

— Myślę, że mają głowy tak samo spiczaste. Pewnie doszły ich pogłoski na temat skarbów i przybyli tu z północy. Mamy ich przepędzić, Sparhawk?

— Niech sobie kopią. Nie przeszkadzają nam tak długo, dopóki pozostają na tym miejscu. Ludzie, którymi zawładnąłby szukacz, nie interesowałiby się skarbami.

Do późnego popołudnia jechali dalej plażą.

— Co byś powiedział na rozbić tam obozu? — zaproponował Kurik, wskazując spory stos drewna wyrzuconego przez wodę. — Mam z sobą trochę suchego opału, a na spodzie tej sterty powinniśmy znaleźć go więcej.

Sparhawk spojrzał na zachmurzone niebo, próbując określić porę dnia.

— I tak czas już na odpoczynek — zgodził się.

Uwiązali konie i Kurik rozpałił ogień. Berit i Talen zaczęli wyciągać względnie suche kawałki drewna spod sterty. Po chwili Berit podszedł do swego konia i wyciągnął topór bojowy.

— Co zamierzasz robić? — zapytał Ulath.

— Chcę porąbać kilka z tych dużych kawałków, szlachetny panie.

— Nie, nie uczynisz tego.

Berit zamarł z toporem w dłoni. Był wyraźnie zaskoczony.

— Nie do tego go stworzono — tłumaczył genidianita. — Stępisz mu ostrze, a nieza długo może ci być potrzebny.

— Bericie, weź moją siekiere — powiedział zawstydzonemu nowicjuszowi Kurik. — Jest w tamtym tobołku. Nie planuję nikogo nią rąbać.

— Kuriku — odezwała się Sephrenia z wnętrza namiotu, który właśnie Sparhawk i Kaltén rozbili dla niej i malutkiej Flecik — ustaw w pobliżu ognia osłonę i rozwieś sznurek. — Czarodziejka wyszła z namiotu ubrana w zgrzebną styrycką tunikę, w jednej dłoni trzymała ociekającą wodą swą białą szatę, a w drugiej ubranko Flecika. — Czas wysuszyć trochę odzienie.

Po zachodzie słońca zerwał się lekki wietrzyk wiejący od jeziora. Łopotał połamami namiotów i rozwiewał dymy z ognisk. Spożyli skromną wieczerzę i legli na posłaniach.

Około północy Kalten skończył wartę. Obudził Sparhawk.

— Twoja kolej — powiedział cicho, żeby nie obudzić innych.

— Już wstaję. — Sparhawk usiadł ziewając. — Znalazłeś dobre miejsce?

— Tamto wzgórze, tuż za plażą. Tylko uważaj, jak będziesz się na nie wspinał.

Zbocze jest zryte przez kopaczy.

Sparhawk zaczął przywdziewać zbroję.

— Nie jesteśmy tu sami, Sparhawk — uprzedził Kalten zdejmując hełm i przemoczony płaszcz. — Widziałem na równinie kilka ognisk.

— Kolejni Pelozycyzy i Lamorkandczycy?

— To raczej trudno stwierdzić. Ogniska nie mają zwykle narodowości.

— Tylko nie wspominaj o tym Talenowi i Beritowi. Wolałbym, aby nie skradali się więcej w ciemnościach. Prześpij się, Kaltenie. Jutro może czekać nas długi dzień.

Sparhawk ostrożnie wspiął się na poznaczone dziurami zbocze wzgórza i zajął pozycję na jego szczycie. Natychmiast dostrzegł ogniska, o których wspominał mu Kalten. Znajdowały się w znacznej odległości, a zatem nie stanowiły większego zagrożenia.

Od tak dawna byli już w podróży... Sparhawk czuł rosnący niepokój. Czas płynął nieubłaganie. W Cimmurze, w ciszy sali tronowej siedziała Ehlana, a z każdym tyknięciem zegara uchodziło z niej życie. Jeszcze kilka miesięcy i osłabnie, a potem zamilknie bicie jej serca. Sparhawk odpędził od siebie te niewesołe myśli. I tak jak to zwykle czynił, gdy nachodziły go obawy, skierował swoje myśli na inne tory i inne wspomnienia.

Deszcz wciąż padał i padał. Czarno oksydowana zbroja nie chroniła przed wilgocią i chłodem. Sparhawk powrócił wspomnieniami do Rendoru, gdzie ostre słońce wypaliło z ziemi i powietrza wszelką wilgoć. Przypomniawszy sobie kobiety w czarnych zasłonach na twarzach, z gracją zmierzające do studni o świcie, zanim jeszcze słońce nie wzięło w posiadanie ulic Jirochu. Przypomniawszy sobie Lillias i jej fochy. Był ciekaw, czy rzewna scena na uliczce w pobliżu portu pozwoliła jej zyskać większy szacunek u sąsiadów.

A potem przypomniał sobie Martela. Wspaniała była tamta noc w namiocie Arashama w Dabourze! Widok znieprawionego wroga upokorzonego i targanego niepewnością sprawił mu prawie taką samą satysfakcję, jakiej doznałby zabijając go.

— Przyjdzie jednak ten dzień, Martelu — mruknął. — Musisz mi za wiele zapłacić. Nadchodzi czas, by wyrównać nasze długi.

To był dobry temat do rozmyślań i Sparhawk zatopił się w nich, stojąc na

obmywanym deszczem wzgórzu. Jeszcze raz roztrząsał wszystko w najdrobniejszych szczegółach, aż w końcu nadszedł czas, by obudzić Ulatha.

Z nastaniem dnia zwinęli obóz i ruszyli dalej zalaną deszczem plażą.

Wczesnym przedpołudniem Sephrena ściągnęła wodze swojej białej klaczy.

— Zemosi — syknęła ostrzegawczo.

— Gdzie? — zapytał Sparhawk.

— Nie jestem pewna. Ale są blisko i nie mają przyjacielskich zamiarów.

— Ilu?

— Trudno powiedzieć, Sparhawk. Co najmniej dziesięciu, ale możliwe, że więcej.

— Zabierz dzieci tuż nad wodę — rzucił i spojrzął na swoich towarzyszy. — Spróbujmy ich wystraszyć — powiedział. — Nie chciałbym, aby nas śledzili.

Rycerze zniżyli kopie i ruszyli wolno przez błotniste pole. Berit i Kurik osłaniali ich na obu skrzydłach.

Kilkunastu Zemochów ukrywało się w osłoniętym rowie, około stu kroków od brzegu. Na widok zdecydowanych twarzy stojących nad nimi Elenów powstali i chwycili za broń. Byli pieszo, co zdecydowanie stawiało ich w niekorzystnej sytuacji. Milczeli, nie wznosili okrzyków wojennych, a ich oczy patrzyły bez wyrazu.

— Ostrożnie — warknął Sparhawk. — Szukacz ich nasłał.

Rycerze zbliżyli się, a Zemosi przystąpili do ataku. Kilku z nich bezmyślnie nadziało się na nastawione kopie.

— Rzucić kopie! — poleciał Sparhawk. — Są zbyt blisko! — Sam cisnął na bok długie drzewce i wyciągnął miecz. Ludzie podlegli woli szukacza w śmiertelnej ciszy zaatakowali ponownie, nie zwracając uwagi na poległych towarzyszy. Chociaż mieli przewagę liczebną, nie mogli mierzyć się z konnymi rycerzami. Los nieszczęsnych został przesądzony, gdy Kurik i Berit zaszli ich od tyłu.

Szybko było po wszystkim. Walka trwała może dziesięć minut.

— Czy ktoś jest ranny? — zapytał Sparhawk, rozglądając się szybko dookoła.

— Owszem, nawet kilku — odparł Kalten, spoglądając na leżące w błocie ciała. — To zaczyna być zbyt proste, Sparhawk. Zaatakowali niemal prosząc o śmierć.

— Zawsze z ochotą spełniam cudze prośby — powiedział Tynian, wycierając miecz o zemoski chałat.

— Odciągnijmy ich do rowu, w którym byli ukryci — powiedział Sparhawk. — Kuriku, idź po swoją łopatę. Zakopiemy ciała.

— Zacieramy ślady, tak? — zapytał wesoło Kalten.

— W okolicy mogą być inni — odparł Sparhawk. — Nie oznajmiamy wszem wobec, że tu byliśmy.

— Jasne, tylko zanim zaczniemy sprzątać, wolałbym być pewien, że wszyscy są martwi. Nie chciałbym, aby któryś nagle ożył, gdy ja będę miał zajęte dłonie

jego nogami.

Kalten zsiadł z konia i zabrał się do brudnej roboty, jaką było zdobywanie wspomnianej pewności. Następnie wszyscy przystąpili do pracy. Śliskie błoto ułatwiało ciągnięcie bezwładnych ciał. Kurik stał nad rowem i zgarniał łopatą błoto na trupy.

— Panie Bevierze, czy ty naprawdę jesteś taki przywiązany do tej swojej halabardy? — zapytał Tynian.

— To moja broń z wyboru — odparł cyrinita. — Czemu pytasz?

— Trudniej grzebie się twoje ofiary. Walcząc w ten sposób ścinasz ich, a to oznacza, że musimy z każdym obracać dwa razy. — Tynian pochylił się i by zilustrować swoje słowa, chwycił za włosy dwie odrąbane głowy.

— Bardzoś dowcipny — powiedział Bevier oschle.

Wrzucili szczątki Zemochów oraz ich broń do rowu, który Kurik przykrył błotem. Potem wrócili na plażę, gdzie Sephrenia siedziała na swej białej klaczy, zasłaniając twarz Flecikowi rogiem płaszcza, żeby dziewczynka nie mogła widzieć, co robią rycerze.

— Skończyliście? — zapytała Sparhawka.

— Już po wszystkim, możesz patrzeć. — Zmarszczył brwi. — Kalten miał rację twierdząc, że to zaczyna być zbyt łatwe. Ci ludzie zaatakowali nas bezmyślnie. Zupełnie jakby chcieli zginąć.

— Szukacz nie musi oszczędzać ludzi, Sparhawku. Poświęciłby całe setki tylko po to, by zabić jednego z nas, i następne setki, by zabić następnego.

— Mało pokrzepiająca perspektywa. Ale jeżeli władza tyloma ludźmi, czemu nasyła ich na nas w niewielkich grupkach?

— To drużyny zwiadowców. Mrówki i pszczoły robią to samo. Wysyłają mały oddział na poszukiwania. W końcu szukacz jest owadem i, na przekór Azashowi, myśli jak owad.

— Przynajmniej ci już o niczym nie doniosą — powiedział Kalten. — Nikt ze spotkanych przez nas oddziałów o niczym nikomu nie powie.

— Już to uczynili — stwierdziła Sephrenia. — Szukacz wie, kiedy zostaje zlikwidowana któraś z jego drużyn. Może nie wiedzieć dokładnie, gdzie jesteśmy, ale wie, że zabiliśmy jego żołnierzy. Oddalmy się stąd. Skoro była tu jedna grupa, to może być i następna. Lepiej nie ściągnąć sobie ich wszystkich na kark.

Jechali kłusem. Ulath z powagą rozmawiał z Beritem.

— Przez cały czas musisz w pełni panować nad toporem — radził mu. — Nie zamachnij się nigdy tak szeroko, abyś nie mógł natychmiast przejść do obrony.

Berit słuchał uważnie.

— Chyba rozumiem — skinął głową.

— Topór może być równie precyzyjną bronią jak miecz, jeżeli tylko wiesz, co robisz. Bądź uważny, chłopcze. Od tego zależy twoje życie.

— Myślałem, że chodzi głównie o to, aby jak najsilniej uderzyć przeciwnika.

— Nie ma takiej potrzeby — tłumaczył Ulath — pod warunkiem, że będziesz pilnował, aby był zawsze ostry. Kiedy młotkiem rozłupujesz orzech, używasz tylko tyle siły, ile potrzeba do skruszenia skorupki. Nie chcesz rozgnieść go na miążgę. Z toporem jest tak samo. Jeżeli uderzysz kogoś zbyt mocno, masz dużą szansę, że ostrze utkwi gdzieś w ciele, a to postawi cię w zdecydowanie niekorzystnej sytuacji, gdy przyjdzie ci stawić czoło kolejnemu napastnikowi.

— Nie wiedziałem, że topór jest tak skomplikowaną bronią — rzekł cicho Kalten do Sparhawka.

— Myślę, że jest jednym z elementów thalezyjskiej religii — odparł Sparhawk. Spojrzał na Berita, który ze skupioną uwagą przysłuchiwał się słowom genidiany. — Z niechęcią muszę przyznać, że chyba straciliśmy w nim dobrego szermierza. Berit bardzo polubił topór, a pan Ulath go jeszcze w tym utwierdza.

Brzeg jeziora począł skręcać na północny wschód. Bevier rozejrzał się dookoła.

— Chyba powinniśmy tu się zatrzymać, panie Sparhawku — poradził. — Jeśli dobrze się orientuję, jesteśmy w miejscu, w którym Thalezyjczycy starli się z Zemochami.

— A więc jesteśmy u celu. — Sparhawk wstrzymał wierzchowca. — Domyślałem się, że reszta zależy od ciebie, panie Tynianie.

— Zaczniemy z samego rana — odparł alcjonita.

— A czemu nie teraz? — zapytał Kalten.

— Wkrótce zapadnie zmrok — powiedział Tynian. Twarz miał nienaturalnie bladą. — Nie przywołuję duchów w nocy.

— Dlaczego?

— Wiem, jak to zrobić, ale skłamałbym mówiąc, że to lubię. Wolę, by duchy zaczęły się pojawiać w jasnym świetle dnia. Ci ludzie polegli w bitwie, więc nie będą zbyt pięknie wyglądać. Nie chciałbym, aby któryś z nich naszedł mnie w ciemnościach.

Sparhawk i pozostali rycerze przeszukali teren, a w tym czasie Kurik, Berit i Talen rozbili obóz. Gdy rycerze wrócili, deszcz nieco osłabł.

— Zauważyliście coś szczególnego? — zapytał Kurik, wyglądając spod kawałka płótna rozwieszonego przy ognisku.

— Dwie ligi na południe unosi się jakiś dym. — Kalten zeskoczył z konia. — Jednak nikogo nie widzieliśmy.

— Nie obędzie się bez wystawienia warty — rzekł Sparhawk. — Skoro pan Bevier wie, że na tym terenie walczyli głównie Thalezyjczycy, to możemy być pewni, że i Zemosi są tego świadomi. A szukacz prawdopodobnie wie, po co tu przyjechaliśmy, więc z pewnością ma tu swoich ludzi.

Nastał wieczór. Wszyscy siedzieli dziwnie cicho pod zadaszeniem z płótna, którym Kurik osłonił ogień przed deszczem. Do tego miejsca zmierzali od tygodni — od kiedy opuścili Cimmurę — i wkrótce mieli się przekonać, czy ich podróż

miała jakikolwiek sens. Sparhawk był niespokojny i zmartwiony. Bardzo chciałby już zacząć działać, ale respektował uczucia Tyniana.

— Czy nekromancja ma bardzo skomplikowaną procedurę? — zapytał barczystego Deirańczyka.

— To nie jest zwykłe, proste zaklęcie — odpowiedział alcjonita. — Formuła jest dość długa i, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, trzeba nakreślić na ziemi pewne symbole. Czasami umarli nie chcą być budzeni, a jeżeli naprawdę się zderwują, to mogą niezłe nadokuczać.

— Ilu planujesz wywołać naraz? — zapytał Kalten.

— Jednego — rzekł Tynian bardzo stanowczo. — Nie chcę być napastowany przez całą drużynę jednocześnie. Ten sposób jest może trochę wolniejszy, ale o wiele bezpieczniejszy.

— Ty się na tym znasz, więc ty decyduj.

W nocy deszcz rozpadał się ponownie. Ranek wstał wilgotny i ponury. Rozmoknięta ziemia nie chłonęła już wody i wszędzie dookoła utworzyły się kałuże.

— Doskonały dzień na przywoływanie duchów — zauważył Kalten z goryczą. — Pewnie byłoby niewłaściwe, gdybyśmy robili to w słońcu.

— No cóż... — westchnął Tynian i wstał. — Zaczynamy.

— Nie zjemy najpierw śniadania? — zaprotestował Kalten.

— Z całą pewnością lepiej mieć pusty żołądek, panie Kaltenie — rzekł Tynian gwałtownie. — Wierz mi, że lepiej.

Udali się na otwartą przestrzeń.

— Tu chyba zbyt dużo nie kopano. — Berit rozglądał się dookoła. — Może jednak Zemosi nie wiedzą, gdzie pogrzebano Thalezyjczyków.

— Miejmy nadzieję — powiedział Tynian. — Sądzę, że to miejsce jest równie dobre, jak każde inne. — Podniósł kawałek drewna, by móc rysować na rozmięklej ziemi.

— Użyj lepiej tego — poradziła Sephrenia, podając mu zwój liny. — Kreślenie diagramu na ziemi jest postępowaniem najbardziej prawidłowym, ale tu wśród kałuż duchy mogą nie zauważyć całości.

— A tego z całą pewnością wolelibyśmy uniknąć — przyznał alcjonita. Zaczął rozkładać linę na ziemi, tworząc wzór dziwnie zawiłych linii, okręgów i nieregularnych gwiazd. — Mniej więcej tak? — zapytał Sephrenię.

— Przesuń tę nieznacznie w lewo. — Wskazała jedną z linii.

Rycerz poprawił rysunek zgodnie z jej radą.

— O wiele lepiej — oceniła czarodziejka. — Powtórz głośno zaklęcie. Poprawię, jeśli gdzieś się pomylisz.

— Wybacz moją ciekawość, mateczko, ale dlaczego ty tego nie robisz? — zapytał Kalten. — Wydaje się, że wiesz na ten temat więcej niż ktokolwiek z nas.

— Nie jestem dostatecznie silna. Podczas tego rytuału zmagasz się z umarłymi, nakłaniając ich, aby powstałi. Jestem trochę za słaba, by prowadzić taką

walkę.

Tynian zaczął przemawiać po styricku, dźwięcznie wymawiając słowa. Mówił z osobliwym rytmem i wykonywał powoli uroczyste gesty. Jego głos stawał coraz bardziej donośny i rozkazujący. Potem uniósł obie dłonie i gwałtownym ruchem złożył je razem.

Początkowo wydawało się, że nic się nie dzieje. Wtem ziemia wewnątrz diagramu zaczęła jakby falować i drżeć. Powoli, niemal z boleścią, coś powstało z ziemi.

— Boże! — zawołał z przerażeniem Kalten, wpatrując się w groteskowo okaleczoną postać.

— Przemów do niego — wysyczał Tynian do Ulatha przez zaciśnięte zęby. — Nie utrzymam go zbyt długo.

Genidianita wystąpił do przodu i przemówił w niemiłym dla ucha, gardłowym języku.

— Starożytny język Thalesii — rozpoznała dialekt Sephrenia. — Mówili nim prości żołnierze za czasów króla Saraka.

Zjawa niechętnie poczęła odpowiadać grobowym głosem. Potem szarpanym ruchem wskazała coś szkieletem ręki.

— Pozwól mu odejść, panie Tynianie — rzekł Ulath. — Otrzymałem już odpowiedź na moje pytania.

Tynian był błądy, dłonie mu drżały. Wypowiedział dwa słowa po styricku i widmo zapadło się z powrotem w ziemię.

— Ten w istocie niczego nie wiedział — wyjaśnił im Ulath — ale wskazał miejsce, w którym pogrzebany jest hrabia, członek świty króla Saraka. On z pewnością będzie wiedział, gdzie złożono szczątki króla. To tam.

— Pozwólcie mi najpierw odetchnąć — poprosił Tynian.

— Czy to rzeczywiście jest takie trudne?

— Nawet sobie tego nie wyobrażasz, przyjacielu.

Czekali. Tynian dyszał głośno i sapał. Po chwili zwinął linę i wyprostował się.

— Chodźmy obudzić hrabiego — rzekł.

Ulath poprowadził ich do znajdującego się niedaleko małego pagórka.

— To kurhan — mruknął. — Zgodnie ze zwyczajem jest wznoszony przy grzebaniu ważnych osobistości.

Tynian ułożył na szczycie kurhanu swój wzór, po czy odsunął się i ponownie odprawił rytuał. Skończył i kolejny raz złożył dłonie.

Widmo, które wyłoniło się z kurhanu, nie było tak straszliwie okaleczone jak poprzednie. Miało na sobie tradycyjną kolczugę thalezyjską, a na głowie rogaty hełm.

— Kimże jest ten, który zakłócił mój sen? — zapytał ze starodawnym akcentem.

— To ja nalegałem, aby jeszcze raz przywołał cię na światło dnia, wielmożny panie — odparł Ulath. — Ja jestem krwi twojej i pragnę z tobą mówić.

— Mów zatem szybko. Nie jestem rad z tego, coście uczynili.

— Poszukujemy miejsca spoczynku jego wysokości króla Saraka. Wiadomo ci, hrabio, gdzie powinniśmy szukać?

— Jego wysokość nie spoczywa na tym polu bitwy — odpowiedział duch. Sparhawkowi serce zamarło w piersi.

— Wiesz, hrabio, jaki spotkał go los? — pytał dalej Ulath.

— Jego wysokość opuścił swoją stolicę w Emsacie na wieść o najeździe hord Othy — mówił duch. — Zabrał z sobą niewielką świtę. Reszta z nas pozostała, by dowodzić głównymi siłami. Mieliśmy za nim podążać, ale zostaliśmy otoczeni. Gdyśmy tu dotarli, nigdzie nie mogliśmy znaleźć miłościwego pana. Nikt nie zna losu króla Saraka. Szukajcie przeto gdzie indziej.

— Ostatnie pytanie, hrabio — powiedział Ulath. — Czy wiadomo, którą drogą król planował jechać na to pole?

— Pożegłował do północnego wybrzeża, mości rycerzu. Nikt — żywy ni martwy — nie wie, gdzie przybił do brzegu. Szukajcie w Pelosii lub Deirze, a mnie pozwólcie spocząć.

— Wielceśmy ci wdzięczni, wielmożny panie. — Ulath pochylił się w oficjalnym ukłonie.

— Wasza wdzięczność nie ma dla mnie znaczenia — oznajmił obojętnie duch.

— Pozwól mu odejść, panie Tynianie — rzekł Ulath ze smutkiem.

Tynian odesłał zjawę tam, skąd przyszła. Rycerze milczeli długo, patrząc na siebie z bolesnym rozczarowaniem.

Rozdział 9

Ulath podszedł do Tyniana, który siedział na mokrej ziemi z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

Sparhawk zauważył, że ogromny i dziki Thalezyjczyk był zadziwiająco delikatny i troskliwy w stosunku do swoich towarzyszy.

— Jestem tylko nieco zmęczony, to wszystko — odparł Tynian słabym głosem.

— Nie powinieneś już tego robić.

— Mogę jeszcze trochę wytrzymać.

— Naucz mnie zaklęcia — nalegał genidianita. — Ja poradzę sobie z każdą bestią, wszystko jedno, żywą czy martwą.

Tynian uśmiechnął się słabo.

— O, w to nie wątpię, mój małomówny druhu. Czy ty nigdy nie znalazłeś się w trudnej sytuacji?

— Nie, od czasu gdy miałem siedem lat — odpowiedział skromnie Ulath. — Wtedy mojemu starszemu bratu wepchnąłem głowę w wiadro przy studni. Ojciec przez dwie godziny się mocował, nim go oswobodził. Zaklinował się uszami. Zawsze miał takie duże uszy. Tęsknię za nim. Zajmował drugie miejsce w łowach na ogry. — Potężny Thalezyjczyk spojrział na Sparhawk. — Co teraz poczniemy?

— Z całą pewnością nie możemy przeszukiwać całej północnej Pelosii czy Deiry — odezwał się Kalten.

— To raczej oczywiste — przyznał Sparhawk. — Nie mamy czasu. Musimy zdobyć dokładniejsze informacje. Panie Bevierze, czy nie przychodzi ci do głowy żaden pomysł na to, gdzie mamy szukać?

— Zapiski z tej części bitwy są bardzo schematyczne, dostojny panie — odpowiedział z powątpiewaniem rycerz w białym płaszczu, a potem uśmiechnął się do Ulatha. — Nasi bracia genidianici dość niedbale prowadzą kroniki.

— Pisanie pismem runicznym jest nudne — mruknął Ulath. — Szczególnie na kamieniu. Czasami odkładamy wykonanie tej pracy do następnego pokolenia.

— Myślę, Sparhawku, że powinniśmy odszukać wioskę lub jakieś miasteczko — powiedział Kurik.

— Po co?

— Mamy wiele pytań, a nie znajdziemy na nie odpowiedzi, dopóki ich komuś nie zadamy.

— Kuriku, tę bitwę stoczono pięćset lat temu — przypomniał Sparhawk. — Nie znajdziemy wśród żyjących nikogo, kto mógłby być jej świadkiem.

— Oczywiście, że nie, ale czasami okoliczni mieszkańcy — szczególnie pospólstwo — zachowują pamięć pradawnych obyczajów czy nazw punktów orientacyjnych. Nazwa góry czy strumienia może być właśnie tym szukanym przez nas tropem.

— Warto spróbować, Sparhawku — powiedziała Sephrenia poważnie. — Tu do niczego nie dojdziemy.

— To bardzo nikła szansa, mateczko.

— A jakie mamy inne wyjście?

— Proponuję więc, abyśmy jechali dalej na północ.

— I minęli wszystkie wykopaliska — dodała czarodziejka. — Jeżeli ziemia nad jeziorem została dokładnie przerzucona, to oznacza, że Bhelliomu tu nie ma.

— Chyba masz rację. Dobrze więc, pojedziemy na północ, a gdy natkniemy się na coś obiecującego, pan Tynian będzie mógł przywołać następnego ducha.

Ulath pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Te dwie próby omal nie powaliły go na łopatki — mruknął.

— Nic mi nie będzie — zaprotestował słabo Tynian.

— Oczywiście, że nie, jeżeli tylko damy ci przez kilka dni odpocząć na poście. —

Pomogli Tynianowi dosiąść konia, otulili go jego błękitnym płaszczem i ruszyli na północ w siąpiącej wciąż mżawce.

Miasto Randerana usytuowane było na wschodnim brzegu jeziora. Otaczały je wysokie mury, z których na każdym rogu wyrastały ponure wieże strażnicze.

— I co dalej? — zapytał Kalten, spoglądając z zastanowieniem na posępne lamorkandzkie miasto.

— Strata czasu — mruknął Kurik. Wskazał duży kopiec Wota rozmywany powoli przez deszcz. — Nadal jesteśmy na terenie wykopalisk. Musimy pojechać dalej na północ.

Sparhawk uważnie przyjrzał się Tynianowi. Wydawało się, że rycerz Zakonu Alcjonu powoli dochodzi do siebie. Jego twarz nie była taka blada. Sparhawk ruszył kłusem i poprowadził przyjaciół przez ponurą okolicę.

Późnym popołudniem minęli ostatnie ślady wykopalisk.

— Tam nad jeziorem jest jakaś wioska, dostojny panie Sparhawku — powiedział Berit wskazując dłonią przed siebie.

— To chyba niezłe miejsce, aby zacząć — przyznał Sparhawk. — Spróbujmy znaleźć tam jakiś zajazd. Już czas, abyśmy zjedli ciepły posiłek, schronili się przed deszczem i trochę wyschnęli.

— I poszukali szynku — dodał Kalten. — W szynkach ludzie są zwykle bardzo rozmowni i zawsze można tam znaleźć kilku starców, przechwalających się znajomością miejscowej historii.

Skręcili w stronę jeziora i wkrótce znaleźli się w wiosce. Domy w niej były zniszczone, a brukowane uliczki od dawna nie naprawiane. Rycerze zobaczyli kilka pomostów wrzynających się w jezioro, na słupkach wzdłuż wybrzeża suszyły się rozciągnięte sieci. Wąskie uliczki przesiąknięte były smrodem gnijących ryb. Patrzący spode łba podejrzliwie przechodzień skierował podróżnych do jedyne go w wiosce zajazdu — starego, kamiennego budynku ze spadzistym dachem.

Na podwórzcu Sparhawk zsiadł z konia i wszedł do środka. Grubas o rumianych policzkach i nierówno przyciętych włosach toczył po podłodze beczkę z piwem w kierunku szerokich drzwi wiodących na zaplecze.

— Czy znajdziemy tu nocleg, ziomku? — zapytał Sparhawk.

— Całe górne piętro jest wolne, dostojny panie — odparł z szacunkiem grubas — ale czy naprawdę chcesz się tu zatrzymać? To miejsce jest w sam raz dla zwykłych podróżnych, ale nazbyt skromne dla szlachetnie urodzonych.

— Jestem pewien, że w tę deszczową noc będzie nam tu wygodniej niż gdzieś pod płotem.

— To prawda, dostojny panie. Będę szczęśliwy mając takich gości. O tej porze roku nikt tu nie przyjeżdża. Mogę utrzymać rodzinę tylko dzięki temu, że prowadzę szynk w sąsiedniej izbie.

— Czy są tam teraz jacyś ludzie?

— Kilku, dostojny panie. Ruch w interesie zaczyna się, gdy rybacy wracają z połowu.

— Jest nas dziesięcioro — rzekł Sparhawk — więc będziemy potrzebować kilku pokoi. Czy masz kogoś, kto mógłby się zająć naszymi końmi?

— Mój syn opiekuje się stajnią.

— Niech będzie ostrożny z tym roslym srokaczem. To żartowniś, chętnie kłapiący zębami.

— Wspomnę o tym synowi.

— Przyrowadzę w takim razie moich przyjaciół i pójdziemy rozejrzeć się na górze. A tak przy okazji, masz może wannę? Byliśmy dłuższy czas narażeni na niepogodę i trochę śmierdzimy rdzą.

— Na tyłach jest łaźnia, dostojny panie. Jednak od dawna nikt z niej nie korzystał.

— Niech któryś z twoich ludzi zacznie grzać wodę, zaraz wracam. — Sparhawk odwrócił się i wyszedł na deszcz.

Pokoje, chociaż wyraźnie rzadko używane, ku zdumieniu przybyszów wyglądały bardzo przyzwoicie. Łóżka były czyste i sprawiały wrażenie wolnych od robactwa. Na końcu korytarza była duża, wspólna izba.

— Prawdę mówiąc, bardzo tu przyjemnie — Sephrenia zadowolona rozglądała się wokół.

— Jest także łaźnia — powiedział Sparhawk.

— Och, to po prostu wspaniale — westchnęła czarodziejka uszczęśliwiona.

— Pozwolimy ci skorzystać pierwszej.

— Nie, mój drogi. Nie lubię w pośpiechu zażywać kąpieli. Wy, mężczyźni, idźcie pierwsi. Nie bójcie się używać mydła — dodała. — Dużo, dużo mydła. I umyćcie też włosy.

— Po kąpieli przebierzmy się w zwykłe kaftany — poradził Sparhawk pozostałym. — - Mamy zamiar trochę przepytać tych ludzi, a zbroje mogłyby ich wystraszyć.

Pięciu rycerzy zdjęło pancerze, wzięło koszule i kaftany i w poplamionej rdzą bieliźnie podreptało razem z Kurikiem, Beritem i Talenem ku tylnym schodom. Wykąpali się w dużych, podobnych do beczek wannach i wyłonili się z nich czysti i odświeżeni.

— Pierwszy raz od tygodnia się rozgrzałem — stwierdził Kalten. — Myślę, że jestem już gotowy na odwiedzin w szynku.

Talen został zmuszony do odniesienia na górę brudnej bielizny i był z tego powodu trochę niezadowolony.

— Przestań się dąsać — tłumaczył mu Kurik. — I tak nie pozwoliłbym ci iść do szynku. Tyle przynajmniej jestem winien twojej matce. Powiedz Sephrenii, że ona i mała Flecik mogą się już kąpać. Zejdiesz z nimi na dół i będziesz pilnował drzwi, by nikt mateczce nie przeszkodził.

— Ale ja jestem głodny!

Kurik położył znacząco rękę na pasie.

— Dobrze, już dobrze, nie denerwuj się — rzucił pośpiesznie chłopiec i pognął na górę.

W szynku pachniało dymem, podłoga była usłana trocinami i srebrzystymi rybimi łuskami. Pięciu odzianych w czystą odzież rycerzy, a wraz z nimi Kurik i Berit, weszło nie robiąc zbytniego hałasu. Zajęli wolny stół w rogu izby.

— Piwa — zawołał Kalten na dziewczkę służebną — dużo piwa!

— Nie przesadzaj — mruknął Sparhawk. — Nie uśmiecha nam się targanie ciebie na górę, jesteś zbyt ciężki.

— Nie martw się na zapas, przyjacielu — odparł wylewnie Kalten. — Spędziłem tu, w Lamorkandii, całe dziesięć lat i nawet raz nie byłem porządnie pijany. Tutejsze piwo jest jak źródłana woda.

Dziewka służebna była typową Lamorkandką — rozłożysta w biodrach, obdarzona dużym biustem, jasnowłosa i niezbyt bystra. Nosiła głęboko wyciętą

zgrzebną koszulę i obszerną, czerwoną spódnicę. Stukała po podłodze sabotami i chichotała bezmyślnie. Przyniosła im duże, drewniane, okute miedzią kufle ze spienionym piwem.

— Nie odchodź, skarbie — zwrócił się do niej Kalten. Uniósł swój puchar do ust i opróżnił go duszkiem. — W tym już nic nie ma. Bądź tak miła i napełnij mi go ponownie. — Poklepał ją poufale po pośladkach. Dziewczyna zachichotała i oddaliła się szybko drobnymi kroczkami.

— Czy on zawsze się tak zachowuje? — zapytał Tynian Sparhawk.

— Zawsze, gdy ma po temu okazję.

— Jak już mówiłem, zanim tu przyszedliśmy — powiedział Kalten wystarczająco głośno, aby go słyszano w całej izbie — zakładam się o pół srebrnej korony, że bitwa nie dotarła tak daleko na północ.

Bevier spojrział zdumiony na jasnowłosego pandionitę, ale po chwili w jego oczach pojawił się błysk. Zrozumiał zamiar Kaltena.

— To chyba łatwo będzie rozstrzygnąć — rzekł rozglądając się dookoła. — Jestem pewien, że tutaj znajdziemy kogoś, kto niejedno wie na ten temat.

Ulath odsunął swój stołek i wstał.

— Dobrzy ludzie — zwrócił się głośno do obecnych w szynku mężczyzn. — Dwaj z moich przyjaciół sprzecają się od czterech godzin i ostatecznie skończyło się na zakładzie, a w grę wchodzi pieniądze. Szczerze mówiąc, nie mogę już tego dłużej słuchać. Może ktoś z was mógłby ten spór zakończyć i dać wytchnienie moim uszom. Jakies pięćset lat temu stoczono tu bitwę. Ten z pianą po piwie na policzku — Ulath wskazał Kaltena — twierdzi, że walki nie dotarły aż tak daleko na północ. Ten pucołowaty twierdzi, że tu również walczone. Który z nich ma rację?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, a potem starzec o zaróżowionych policzkach i z kosmykami białych włosów spadającymi na plecy przyczłapał do ich stołu. Był nędznie odziany, a głowa kiwała mu się na wszystkie strony.

— Chyba mogę zakończyć panoczków dysputy, dobrodzieje — odezwał się piskliwym głosem. — Mój dziad nieraz bąkał o onej bitwie.

— Przynies temu dobremu człekowi kufel, skarbie — zwrócił się poufale Kalten do dziewczki służebnej.

— Kaltenie — powiedział Kurik z oburzeniem — trzymaj ręce z dala od jej zadka.

— Staram się jedynie być mity.

Dziewka zarumieniła się, a odchodząc po kolejne piwa, rzuciła jasnowłosemu, postawnemu rycerzowi kuszące spojrzenie.

— Zdaje się, że masz już przyjaciółkę — mruknął Ulath z naganą w oczach — ale nie pozwalaj sobie na zbyt wiele przy wszystkich. — Spojrzał na starca. — Usiądź, dobry człowieku — zaprosił go.

— Dzięki, panoczku. Z wyglądu waszeci wnoszę, iż jesteś z dalekiej, północnej Thalesii. — Trzęsąc się usiadł na ławie.

— I nie mylisz się, starcze — powiedział Ulath. — Co opowiadał ci na temat tej starożytnej bitwy twój dziad?

— No tak — zaczął starszek drapiąc się po zarośniętym policzku — jak sobie przypominam, powiedział mi, powiedział. . . — przerwał, gdy piersiasta dziewczka postawiła przed nim kufel z piwem. — Dzięki ci, Nima — rzekł.

Dziewczyna uśmiechnęła się, stając obok Kaltena.

— Cóż to, jeszcze nie wypieś, szlachetny panie? — zapytała pochylając się nad rycerzem.

Kalten zarumienił się lekko.

— Aaa. . . jeszcze nie, skarbie — wyjąkał. Dziwne, teraz zdawał się onieśmieszony.

— Dasz mi znać, panie, gdybyś czegoś potrzebował, prawda? — upewniła się. — Czegokolwiek. Jestem tu po to, aby cię zadowolić.

— W tej chwili niczego mi nie trzeba — odrzekł Kalten. — Może później.

Tynian z Ulathem wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się.

— Wy, rycerze z północy, inaczej patrzycie na świat — powiedział Bevier nieco zakłopotany.

— Podszkolić cię trochę? — zapytał Ulath.

Bevier oblał się rumieńcem.

— Dobry z niego chłopak. — Ulath uśmiechnął się szeroko do pozostałych i poklepał Beviera po plecach. — Musimy tylko potrzymać go przez pewien czas z dała od Arcium, a przerobimy go na naszą modłę. Panie Bevierze, kocham cię jak brata, ale dlaczego jesteś taki drętwy? Spróbuj się nieco rozluźnić.

— Ja jestem drętwy? — zapytał Bevier z lekka zawstydzony.

— My cię z tego uleczymy — zapewnił go Ulath.

Sparhawk spojrział na szeroki, bezzębny uśmiech starego Lamorkandczyka.

— Pomóż nam w zakończeniu tej głupiej kłótni, dziadku. Czy bitwa rzeczywiście toczyła się aż tak daleko na północy?

— No tak, w rzeczy samej, toczyła się tutaj, dobrodzieju — wybełkotał starzec — a nawet jeszcze dalej, jeśli możliwe jest znać prawdę. Mój dziad powiadał, że walczone i zabijano tu wszędzie, aż daleko na północ, do Pelosii. Taaak, cała armia Thalezyjczyków obeszła jezioro i uderzyła na Zemochów od tyłu. Tyle że było tam dużo więcej Zemochów niż Thalezyjczyków. Ja, panoczku, rozumiem to tak: Zemosi nie dali się zaskoczyć i ruszyli tędy z wielkim hurmem, zabijając prawie wszystkich na swej drodze. Powiadam wam, tutejsi ludzie ukryli się w piwnicach na czas ich przemarszu. — Przerwał, aby pociągnąć tęgi łyk ze swego kufła. — Tak, dobrodzieju — podjął opowieść — bitwa już była zakończona, Zemosi wygrali, ale potem cała grupa Thalezyjczyków, którzy pewnikiem czekali w okolicy na łodzie, uderzyła i uczyniła doprawdy tutaj wiele złego Zemochom.

— Spojrzał na Ulatha. — Wasz lud ma ciężką rękę i jest wredny, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

— To z powodu klimatu — mruknął Ulath.

Starzec spojrział smętnie na swój kufel.

— Czy nie można by go znowu napełnić? — zapytał z nadzieją.

— Oczywiście, dziadku — powiedział Sparhawk. — Zajmij się tym, Kaltenie.

— Dlaczego ja?

— Ponieważ ty lepiej dogadasz się z tą dziewczką niż ja. Praw dalej, dziadku.

— Mówiłem już, panoczku, że toczyła się tu okrutna bitwa, kilka lig na północ stąd. Thalezyjczykom naprawdę nie podobało się to, co zrobiono ich druhom i krewniakom tam, przy południowym końcu jeziora, i rzucili się na Zemochów z toporami. Słyszałem, że są tam groby, a w nich leży ich po tysiąc trupów lub więcej — i nie wszyscy to ludzie. Zemosi nie patrzyli, kogo z sobą biorą. Możecie tam, na polach, zobaczyć ich groby. To duże kupy ziemi porośnięte trawą i krzakami. Od przeszło pięciuset lat miejscowi rolnicy wyciągają stamtąd kości, miecze i topory swoimi pługami.

— Czy twój dziad nie powiedział ci przypadkiem, kto dowodził Thalezyjczykami? — zapytał ostrożnie Ulath. — W tej bitwie brał udział jeden z moich przodków i nigdy nie mogliśmy dociec, co się z nim stało. Sądzisz, że mógł nimi dowodzić sam król Thalesii?

— Nigdy nie słyszałem nic na tak ani na nie — przyznał stary Lamorkandczyk. — Bo też nikomu z okolicznej ludności nie paliło się do mieszania w to całe zabijanie. Prości ludzie nie mają interesu w pchaniu nosa do tego rodzaju spraw.

— Nietrudno byłoby go rozpoznać — powiedział Ulath. — Stare legendy w Thalesii mówią, że był prawdziwym wielkoludem i nosił koronę ze wspaniałym, błękitnym klejnotem na szczycie.

— Nigdy nie słyszałem o kimś takim, panoczku, ale, jak mówiłem, prości ludzie trzymali się z dala od walki.

— Jak myślisz, czy w okolicy znalazłby się jeszcze ktoś, kto słyszał inne legendy o bitwie? — zapytał Bevier z pozorną obojętnością.

— Tak, to możliwe — powiedział z wahaniem starzec — ale mój dziad był najlepszy w tych opowieściach. Gdy miał pięćdziesiątkę, przejechał go wóz i paskudnie złamał mu grzbiet. Dziad zwykł wraz ze swymi druhami przesiadywać na ławce tu, przed zajazdem, na ganku. Godzinami opowiadali sobie różne historie, a on miał z tego prawdziwą przyjemność — rozumiecie sami, taki jak on kalendarza nie miał nic innego do roboty. I on przekazał wszystkie stare opowieści mnie, swojemu ulubieńcowi, a ja mu za to przynosiłem kufel piwa z szynku. — Spojrzał na Ulatha. — Nie, panoczku — powiedział. — W żadnej z zasłyszanych przeze mnie opowieści nie było mowy o opisanym przez ciebie królu, ale, jak mówiłem,

to była wielka bitwa, a tutejsi trzymali się od niej z dala. Może ten wasz król walczył tutaj, lecz nikt z moich znajomych o nim nigdy nie wspominał.

— I mówisz, że bitwa miała miejsce kilka lig stąd? — upewniał się Sparhawk.

— Trzy czy cztery ligi — odparł starzec i pociągnął duży łyk z następnego kufła, który przyniosła mu dziewczka służebna o rozłożystych biodrach. — Mówiąc zupełnie szczerze, panoczku, ostatnio sił mi już nie staje i nie chodzę tak daleko. — Zerknął na nich podejrzliwie. — Za waszym pozwoleniem, młodzi panowie, wydajecie się ciekawi tylko tego, czy dawno temu król Thalesii był tutaj, czy też nie.

— To całkiem proste, dziadku — powiedział Ulath bez wahania. — Król Thalesii, Sarak, jest jednym z naszych narodowych bohaterów. Mogę sporo zyskać, jeżeli zdołam dowiedzieć się, gdzie zginął. Król Wargun może mnie nawet nagrodzić tytułem hrabiowskim. . . pod warunkiem, że kiedyś dostatecznie wytrzeźwieje.

Starzec zachichotał.

— Słyszałem o nim — powiedział. — Czy naprawdę tyle pije?

— Pewnie nawet więcej.

— Tak, powiadasz — tytuł hrabiowski? To warte zachodu. No, wasza hrabiowska mość mógłby trochę pokopać na tym polu bitwy. Może jak raz traficie na coś, co naprowadzi was na ślad. Wielkolud, na dobitkę król, no cóż, panoczku, musiał mieć okazałą zbroję. Znam jednego kmiecia, nazywa się Wat. Tak samo jak ja lubi stare opowieści, a pole bitwy, można powiedzieć, jest na jego podwórzu. Jeżeli ktokolwiek wygrzebał coś, za czym się rozglądacie, to będzie o tym wiedział.

— Mówiłeś, że ten człowiek zwie się Wat? — zapytał Sparhawk, starając się, aby ton jego głosu brzmiał zwyczajnie.

— Nie przegapicie go, młodzi panowie. Ma zęza. Ciągle się drapie. Od trzydziestu lat dręczy go świerzbiczką. — Potrząsnął znacząco kuflem.

— Hej, tu, moja miła! — zawołał Ulath, wyciągając kilka monet z sakiewki u pasa. - - Zadbaj o to, aby nasz przyjaciel miał co pić tak długo, dopóki nie spadnie pod stół.

— Och, serdeczne dzięki, wielmożny hrabio! — Starzec uśmiechnął się szeroko.

— W końcu, dziadku — zaśmiał się Ulath — hrabiostwo warte jest uczczenia, prawda?

— Sam bym tego lepiej nie rzekł, panoczku.

Rycerze wyszli z izby i ruszyli schodami na piętro.

— Całkiem nieźle poszło, co? — cieszył się Kurik.

— Mieliśmy szczęście — odparł Kalten. — Co by się stało, gdyby tego starca nie było dziś wieczorem w szynku?

— Ktoś by nas do niego skierował. Prości ludzie chętnie pomagają tym, którzy stawiają piwo.

— Powinniśmy zapamiętać sobie bajeczkę, którą wymyślił pan Ulath — rzekł Tynian. — Jeżeli powiemy, że chcemy zabrać kości króla Saraka do Thalesii, nikt nie będzie fantazjować na temat prawdziwego powodu naszego zainteresowania jego grobem.

— Czyż to nie kłamstwo? — zapytał Berit.

— Niezupełnie — mruknął Ulath. — Przecież planujemy go ponownie pochować po odzyskaniu jego korony, prawda?

— Oczywiście.

— Sam widzisz.

Berit nadal nie był całkowicie przekonany.

— Pójdę zająć się wieczerzą — powiedział — ale myślę, że w twoim rozmowaniu jest luka, szlachetny panie.

— Doprawdy? — zapytał Ulath ze zdumieniem.

W nocy Kaltén wysliznął się z pokoju, który dzielił ze swoim przyjacielem. Sparhawk podejrzewał, że jego nieobecność wiązała się z szeroką w biodrach, hożą dziewczką służebną, Nimą. Jednakże nie podejmował tego tematu. Sparhawk był rycerzem i człowiekiem honoru.

Następnego ranka nadal padało. Prawie dwie godziny jechali na północ, dopóki nie dotarli do rozległej łąki porosłej trawą kurhanami.

— Ciekaw jestem, w którym najpierw powinienem spróbować? — zastanawiał się Tynian, gdy wszyscy zsiadli z koni.

— Wybierz sobie jeden — odparł Sparhawk. — Ten Wat, o którym słyszeliśmy, mógłby nam udzielić bardziej dokładnych wskazówek, ale spróbujmy już teraz. W ten sposób może oszczędzimy trochę czasu, a mamy go coraz mniej.

— Bez przerwy martwisz się o swoją królową, prawda, dostojny panie — domyślił się Bevier.

— Oczywiście. To przecież mój obowiązek.

— Myślę, panie Sparhawk, że twoje uczucia do królowej są czymś więcej niż tylko obowiązkiem.

— Jesteś skończonym romantykiem, panie Bevierze. To przecież tylko dziecko. — Sparhawk począł się bronić, nagle rozeźlony. — Przyjaciele, zanim zaczniemy, rozejrzyjmy się dookoła — rozkazał szorstko. — Wolałbym, aby naszych poczynań nie podglądali jacyś Zemosi, a już z całą pewnością nie chciałbym, by podczas pracy zaskoczyli nas bezmyślni gwardziści szukacza.

— Poradzimy sobie z nimi — oświadczył Kaltén tonem budzącym zaufanie.

— Pewnie masz słuszość, ale nie o to chodzi. Za każdym razem, gdy któregoś z nich zabijamy, zdradzamy szukaczowi miejsce naszego pobytu.

— Ten robak Othy zaczyna mnie już denerwować — powiedział Kaltén. — Wciąż się skradam i czaję, a to nie leży w mojej naturze.

— Lepiej przyzwyczaj się do tego.

Zostawili Sephrenię i dzieci pod namiotem i przeszukali całą okolicę. Nie znaleźli śladu żywej duszy. Następnie wrócili z powrotem do kopców.

— Co powiesz na ten? — zaproponował Tynianowi Ulath, wskazując na niski wzgórek. — Wygląda na thalezyjski.

Tynian rzucił okiem na kurhan.

— Wygląda tak samo jak każdy inny. — Wzruszył ramionami.

Ponownie zsiadli z koni.

— Tylko nie przesadzaj — zwrócił się Sparhawk do Tyniana. — Jak poczujesz się zmęczony, natychmiast daj temu spokój.

— Potrzebujemy informacji, panie Sparhawk. Nic mi nie będzie. — Tynian zdjął swój ciężki hełm, wziął zwój liny i zaczął układać ją na szczycie kurhanu w ten sam wzór co poprzedniego dnia. Potem wyprostował się z lekkim grymasem na twarzy. — Zaczynajmy — powiedział. Odrzucił do tyłu błękitny płaszcz i zaczął przemawiać dźwięcznie po styricku, wykonując przy tym dłońmi odpowiednie gesty. W końcu klasnął zdecydowanym ruchem.

Kurhan gwałtownie zadrżał, jakby pod wpływem nagłego wstrząsu, a to, co wyłoniło się tym razem, nie podnosiło się wolno. Z rykiem wyrwało się z ziemi — i nie było istotą ludzką.

— Odeślij go z powrotem! — krzyknęła Sephrenia.

Tynian stał jak wrośnięty w ziemię, z wybałuszonymi z przerażenia oczyma.

Obrzydliwy stwór skoczył w ich kierunku, zmiatając po drodze Tyniana. Bestia dopadła Beviera, powaliła go na ziemię i poczęła kasać i szarpać jego zbroję. Sparhawk wyciągnął miecz.

— Nie, Sparhawk! — wykrzyknęła Sephrenia. — Tym nic nie poradzisz! Użyj włóczni Aldreasa!

Sparhawk odwrócił się i z pochwy przy siodle wyrwał krótką włócznię.

Potwór uniósł odziane w białą zbroję ciało Beviera z taką łatwością, jakby podnosił dziecko i z przerażającą siłą cisnął nim o ziemię. Następnie doskoczył do Kaltena i zaczął szarpać jego hełm. Ulath, Kurik i Berit rzucili się przyjacielowi na pomoc. Ku ich zdumieniu ani ciężkie topory, ani obuch Kurika nie zdołały zranić bestii. Odbijały się od niej krzesając snopy iskier. Sparhawk ruszył do ataku trzymając przed sobą wyciągniętą włócznię. Potwór potrząsał Kaltenem niczym szmacianą lalką.

Spokojnie, z rozważą, Sparhawk zatopił włócznię w boku potwora. Stwór wrzasnął i odwrócił się ku niemu. Rycerz uderzał raz za razem, a przy każdym ciosie czuł straszliwą moc spływającą po drzewcu włóczni. W końcu dojrzał nie osłonięte miejsce, zrobił zwód i zatopił swój oręż prosto w piersi potwora. Wstrętna paszcza się rozwarła. Z niej wypłynęło coś nie przypominające krwi, ale raczej czarną maź. Sparhawk bezlitośnie obrócił włócznię w ciele bestii, powiększając ranę. Stwór wrzasnął ponownie i cofnął się. Rycerz wyrwał włócznię i potwór

padł, rycząc i zaciskając szpony na dziurze w piersi. Potem ślaniając się wszedł na zbocze kurhanu do miejsca, z którego wyskoczył, i zapadł się ponownie pod ziemię.

Tynian klęczał w błocie, szlochał i rwał włosy z głowy. Bevier leżał bez ruchu na ziemi, Kalten dźwigał się pojękując.

Sephrenia podeszła szybko do Tyniana i rzuciwszy spojrzenie na jego twarz poczęła przemawiać po styricku, splatając palcami zakłęcie. Tynianem wstrząsnął krótki szloch i po chwili rycerz przewrócił się na bok.

— Uśpiłam go i nie mogę obudzić, dopóki nie przyjdzie do siebie — powiedziała czarodziejka. — Nie wiem, czy w ogóle odzyska zmysły. Sparhawk, ty pomóż Kaltenowi. Ja zajmę się panem Bevierem.

Sparhawk podszedł do przyjaciela.

— Gdzie jesteś ranny? — zapytał.

— Zdaje się, że złamał mi kilka żeber — wysapał Kalten. — Co to był za stwór? Mój miecz po prostu odbił się od niego.

— Potem będziemy zastanawiać się, co to było — powiedział Sparhawk. — Teraz trzeba wydobyć cię ze zbroi i obandażować żebra. Nie chcesz chyba, aby przebiły ci płuca.

— Masz rację. — Kalten drgnął. — Jestem cały obolały. Niepotrzebne mi nowe kłopoty. Co z panem Bevierem?

— Jeszcze nie wiemy. Sephrenia się nim zaopiekowała.

Rany Beviera okazały się poważniejsze niż Kaltena. Sparhawk opasał szerokim lnianym bandażem tors przyjaciela, upewnił się, czy nie ma innych ran, otulił go swoim płaszczem i podszedł do leżącego cyrinity.

— Co z nim? — zapytał.

— To źle wygląda — odpowiedziała Sephrenia. — Nie widać ran, ale myślę, że może mieć wewnętrzny krwotok.

— Kuriku, Bericie! — zawołał Sparhawk. — Rozbijcie namioty. Musimy schować ich przed deszczem. — Rozejrzał się i spostrzegł odjeżdżającego galopem Talena. — A ten dokąd jedzie? — zapytał rozjątrzony.

— Wysłałem go, aby rozejrzał się za jakimś wozem — powiedział Kurik. — Rannych trzeba jak najszybciej przewieźć do medyka, a nie nadają się do jazdy w siodle.

Ulath zmarszczył w zamyśleniu brwi.

— Jakim sposobem wbiłeś włócznię w tego stwora, panie Sparhawk? — zapytał. — Mój topór odbił się od niego.

— Sam nie wiem, jak mi się to udało — przyznał Sparhawk.

— To sprawa pierścieni — powiedziała Sephrenia, nie odrywając wzroku od nieprzytomnego Beviera.

— Wydawało mi się, że coś czuję, gdy uderzałem potwora. — Sparhawk zamyślił się. — Dlaczego nigdy przedtem nie objawiały swej mocy?

— Ponieważ nie były razem — wyjaśniła czarodziejka. — Teraz jeden masz na palcu, a drugi ukryty jest w drzewcu włóczni. Razem mają potężną moc. Są częścią Bhelliomu.

— Gdzieś został popełniony błąd — odezwał się Uloth. — Tynian próbował wywołać ducha Thalezyjczyka. Jak to się stało, że obudził tego potwora?

— Nekromancja jest sztuką niezbyt dokładnie poznaną — tłumaczyła Sephrenia. — Azash wraz z zemoskimi najeźdźcami wystąpił różne swoje stwory. Najwyraźniej pan Tynian przez pomyłkę otworzył niewłaściwy grób.

— Co mu się stało?

— Kontakt z tą bestią omal nie zniszczył jego mózgu.

— Wyzdrowieje?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Berit i Kurik skończyli rozbijanie namiotów i Sparhawk z Ulothem przenieśli rannych przyjaciół pod ich osłonę.

— Potrzebny nam ogień — powiedział Kurik — a obawiam się, że rozpalenie ogniska dziś nie będzie łatwe. Zostało mi trochę suchego drewna, ale to nie wystarczy na długo. Oni są przemoczeni i zziębnięci. Koniecznie musimy ich ogrzać.

— Masz jakieś propozycje? — zapytał Sparhawk.

— Zastanawiam się.

Tuż po południu wrócił Talen, jadąc na niewielkim, rozklekotanym wozie.

— To jest najlepszy, jaki mogłem znaleźć — usprawiedliwiał się chłopak.

— Pewnie go ukradłeś? — zapytał Kurik podejrzliwie.

— Nie. Nie chciałem, aby chłopci mnie gonili. Kupiłem go.

— Za co?

Talen spojrzawszy niedwuznacznie na skórzaną sakiewkę zwisającą u pasa Kurika.

— Nie czujesz się trochę lżejszy z tej strony? — spytał.

Kurik zaklął i zajrzał do sakiewki. Wyraźnie zobaczył dno.

— A tu masz to, co mi zostało — powiedział Talen, podając mu garść monet.

— Okradłeś mnie?

— Bądź rozsądny, ojcze. Sparhawk i pozostali rycerze noszą zbroje i ich sakiewki są w środku. Tylko do twojej mogłem się dostać.

— A co jest pod płótnem? — zapytał Sparhawk, spoglądając na wóz.

— Suche drewno. Ten gospodarz miał go całą stertę na swoim ganku. Wziąłem również kilka kurczaków. Nie ukradłem wozu — dodał niewinnie — ale ukradłem drewno i kurczaki, aby nie wyjść z wprawy. A tak przy okazji, ten gospodarz nazywał się Wat. Taki zezowaty i ciągle się drapie. Wydawało mi się, że gdy zeszłego wieczoru podsłuchiwałem pod drzwiami szynku, to ktoś mówił, że on może z jakiegoś powodu być ważny.

CZEŚĆ II

Ghasek

Rozdział 10

Padało coraz słabiej. Nad kałużami unosiła się mgiełka z kropel deszczu rozproszonych podmuchami porywistego wiatru znad jeziora. W środku kręgu utworzonego przez namioty Kurik i Berit rozpalili ognisko osłaniając je płachtami płótna, po części od wiatru, a po części, by skierować bijące od niego ciepło do namiotów, w których spoczywali ranni rycerze.

Z jednego z namiotów wyszedł Ulath otulając suchym płaszczem swe potężne, pokryte kolczugą barki. Uniósł głowę i spod krzaczastych brwi spojrzął w niebo.

— Zdaje się, że zelżeje — zagadnął Sparhawk.

— Miejmy nadzieję — rzekł Sparhawk. — Panu Tynianowi i pozostałym nie zrobiłoby dobrze jazda odkrytym wozem w ulewnym deszczu.

Ulath mruknął przyznając mu rację.

— Sprawy przybrały nie najlepszy obrót, prawda, panie Sparhawku? — powiedział zaszepiony. — Trzech z nas leży złożonych niemocą, a my nie przybliżyliśmy się nawet o krok do odnalezienia Bhelliomu.

Sparhawk niewiele mógł na to odpowiedzieć.

— Chodźmy zobaczyć, jak radzi sobie Sephrenia — zaproponował.

Okrążyli ognisko i weszli do namiotu, w którym czarodziejka doglądała rannych.

— Jak oni się czują? — zapytał Sparhawk.

— Temu nic nie będzie. — Przykryła Kaltena czerwonym wełnianym kocem. — Miewał już połamane kości i szybko wracał do zdrowia. Panu Bevierowi podałam lek na zatrzymanie krwotoku. Najbardziej martwię się panem Tynianem. Jeżeli nie udzielimy mu pomocy, i to szybko — straci rozum na zawsze.

Sparhawk wzdrygnął się.

— Naprawdę nic nie możesz zrobić, mateczko?

Sephrenia ściągnęła wargi.

— Zastanawiałam się nad tym. Rozum uleczyć o wiele trudniej niż ciało. Trzeba postępować bardzo ostrożnie.

— A co właściwie mu się stało? — zapytał Ulath. — Nie bardzo zrozumiałem twoje wyjaśnienia.

— W chwili gdy kończył wygłaszać formułę zaklęcia, jego umysł był zupełnie bezbronny wobec wyłaniającego się z kurhanu potwora. Umarli zwykle podnoszą się powoli, więc jest czas, by przygotować się do obrony przed nimi. Ta bestia zaś nie była naprawdę martwa i zaatakowała go, nim był gotowy. — Spojrzała na poszarzałe oblicze Tyniana. — Jest coś, co mogłoby mu pomóc — powiedziała z wahaniem. — Myślę, że warto spróbować. Nie sędzę, aby cokolwiek innego mogło przywrócić mu zdrowie. Fleciku, chodź tutaj.

Dziewczynka wstała z płóciennej podłogi namiotu, na której siedziała ze skrzyżowanymi nogami. Sparhawk bezwiednie zauważył, że jej bosa stópki były poplamione trawą. Pomimo błota i panującej dookoła wilgoci, na nóżkach Flecika zawsze widać było te zielonkawe plamy. Mała cicho podeszła do Sephrenii i spojrzała na nią pytająco.

Sephrenia przemówiła do niej w nieznanym, styryckim dialekcie.

Flecik skinęła głową.

— Nic tu po was. — Sephrenia zwróciła się do Sparhawa i Ulatha. — W tej chwili jedynie zawadzacie.

— Poczekamy na zewnątrz — powiedział Sparhawk, upokorzony nieco jej tonem i sposobem, w jaki ich wyprosiła.

— Będę wam za to wdzięczna.

Obaj rycerze opuścili namiot.

— Potrafi być bardzo zasadnicza, prawda? — mruknął Ulath.

— Wtedy, gdy ma myśli zaprzątnięte czymś ważnym.

— Czy zawsze tak traktowała was, pandionitów?

— Tak. Zawsze.

Z namiotu dobiegł ich dźwięk fujarki Flecika. Melodia, choć nie była dokładnie taka sama, bardzo przypominała tę, którą dziewczynka usłyszała w świątyni pod siedzibą zakonu w Cimmurze i żołnierzy w porcie Vardenais. Po chwili odezwała się Sephrenia, deklamując dźwięcznym głosem po styrycku. Nagle namiot wypełnił się osobliwym, złocistym światłem.

— Nigdy nie słyszałem tego zaklęcia — przyznał Ulath.

— Uczą nas jedynie podstaw — rzekł Sparhawk — i nie zdajemy sobie nawet sprawy, że poza tym istnieje całe królestwo styryckiej magii. Niektóre zaklęcia są za trudne, a inne zbyt niebezpieczne. — Odwrócił się i zawołał nieco głośniejszym głosem: — Talenie!

Młody złodziej wysunął głowę z jednego z namiotów.

— Co? — spytał obojętnie.

— Chodź tu. Chcę z tobą pomówić.

— Nie możesz zrobić tego w namiocie? Na zewnątrz jest mokro.

Sparhawk westchnął.

— Chodź tu, Talenie — powtórzył. — Nie dyskutuj za każdym razem, gdy cię o coś poproszę.

Chłopiec wyszedł z namiotu mamrocząc coś pod nosem i ostrożnie zbliżył się do Sparhawka.

— Znowu napytałem sobie biedy?

— Nie, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Powiedziałaś, że gospodarz, od którego kupiłeś wóz, nazywał się Wat?

— Tak.

— Jak daleko stąd do jego gospodarstwa?

— Kilka lig.

— Jak on wygląda?

— Patrzy każdym okiem w inną stronę. Jestem dzieckiem, dostojny panie, a przynajmniej ludzie myślą, że nim jestem. Dorosłym wydaje się, że nie muszą dzieciom o niczym mówić. Odkryłem, że jeżeli rzeczywiście chcę coś wiedzieć, to muszę sam się tego dowiedzieć.

— Trafiał w sedno, panie Sparhawku — mruknął Ulath.

— Idź po swój płaszcz — rzekł Sparhawk do chłopca. — Za chwilę pojedziemy złożyć wizytę temu drapiącemu się gospodarzowi.

Talen rozejrzał się po zalanym deszczem polu i westchnął.

Dobiegający z namiotu dźwięk fujarki urwał się nagle, a Sephrenia zakończyła swą recytację.

— Ciekawe, czy to dobry, czy zły znak — powiedział Ulath.

Czekali w napięciu. Po chwili czarodziejka wyjrzała na zewnątrz.

— Moi drodzy, chyba teraz będzie już wszystko dobrze. Wejdźcie i porozmawiajcie z nim. Nabiorę pewności, gdy usłyszę, jak odpowiada.

Tynian siedział wsparty na poduszce. Twarz nadal miał poszarzałą, ręce mu drżały. Jego oczy jednak patrzyły rozumnie, chociaż wciąż wycierał z nich strach.

— Jak się czujesz? — zapytał Sparhawk, starając się, by jego głos nie zdradzał niepokoju.

— Jeżeli koniecznie chcesz znać prawdę, dostojny panie — Tynian uśmiechnął się słabo — to czuję się tak, jakby mnie przeniecono, a potem znowu wyrócono na prawą stronę. Czy udało wam się zabić tego potwora?

— Pan Sparhawk przepędził go swoją włócznią — odezwał się Ulath.

Tynian spojrział z przerażeniem.

— A więc może powrócić?

— Nie — mruknął Ulath. — Zapadł się z powrotem do kurhanu i przysypał ziemią.

— Dzięki Bogu! — Tynian odetchnął z ulgą.

— Powinieneś teraz zasnąć — powiedziała Sephrenia. — Porozmawiamy później.

Tynian posłusznie się położył. Sephrenia przykryła go kocem, skinęła na Sparhawka i Ulatha i wyprowadziła ich na zewnątrz.

— Myślę, że wyzdrowieje — rzekła. — Od razu poczułam się lepiej, gdy ujrzałam jego uśmiech. To trochę potrwa, ale przynajmniej jest poprawa.

— Pojadę z Talenem do tego gospodarza — oznajmił Sparhawk. — Zdaje się, że o nim właśnie mówił starzec w zajeździe. Może podsunie nam jakiś pomysł na to, dokąd mamy się teraz udać.

— Chyba warto spróbować — powiedział Ulath z powątpiewaniem. — Ja i Kurik dopilnujemy wszystkiego w obozie.

Sparhawk skinął głową i wszedł do namiotu, który dotychczas dzielił z Kaltenem. Zdjął zbroję i przywdział kolczugę oraz solidne, wełniane nogawice. Przyasał miecz i narzucił szary podróżny płaszcz z kapturem. Następnie podszedł do ogniska.

— Chodź, Talenie! — zawołał.

Chłopiec wyłonił się z namiotu. Na twarzy miał wyraz rezygnacji. Okręcił się szczerle swoim nadal wilgotnym płaszczem.

— Zdaje się, że nie odwiode cię od tego pomysłu, dostojny panie — powiedział.

— Nie.

— Mam więc nadzieję, że gospodarz nie zaglądał jeszcze na swoje podwórze. Brak drewna na opał mógłby go trochę zdenerwować.

— Jeżeli będzie trzeba, zapłacę za nie.

Talen drgnął.

— A ja zadałem sobie tyle trudu, by je ukraść! — jęknął. — Dostojny panie, to poniżające. Wręcz niemoralne!

Sparhawk spojrział na niego z zainteresowaniem.

— Pewnego dnia będziesz musiał zapoznać mnie z zasadami złodziejskiej moralności — powiedział.

— To naprawdę bardzo proste. Pierwsza zasada brzmi: „Nie płać za nic”.

— Spodziewałem się czegoś takiego. Jedźmy.

Niebo na zachodzie zdecydowanie się przejaśniało, gdy Sparhawk i Talen ruszyli w kierunku jeziora. Deszcz kropił tylko od czasu do czasu. Poprawa pogody napełniła serce Sparhawka otuchą. A był to czas zmartwień. Niepewność co do słuszności obranej drogi nie opuszczała rycerza odkąd wyjechał z Cimmury, a teraz zdawała się znajdować swoje uzasadnienie. Lecz właśnie przekonanie o tym, że obrali złą drogę, było dla niego jeszcze mocniejszym bodźcem, aby zacząć wszystko od początku. Sparhawk ze stoickim spokojem pogodził się z chwilową porażką i jechał dalej, ku rozjaśniającemu się niebu.

Dom Wata pobudowany został w małej kotlinie. Gospodarstwo nie sprawiało najlepszego wrażenia. Otaczała je wysoka palisada, osłaniająca od wiejących tu zwykle wiatrów. Dom, w połowie drewniany, w połowie kamienny, był pokryty marną strzechą i przypominał ruinę. Podwórze znajdowało się w jeszcze

gorszym stanie, uderzał panujący na nim okropny nieporządek. Połamany wóz leżał w błocie, wszędzie wałały się zardzewiałe narzędzia, porzucone przez gospodarza. Mokre, nastroszone kurczaki grzebały bez większej nadziei w rozmięklej ziemi, w pobliżu schodów wiodących do domu tarzała się czarnobiała świnia.

— Niezbyt tu ładnie, co? — zauważył Talen, gdy wjechali za ogrodzenie.

— Widziałem piwnicę, w której mieszkałeś w Cimmurze — rzekł Sparhawk.
— Nie powiedziałbym, aby było tam czyściej.

— Ale przynajmniej nie była wystawiona na widok publiczny. A ten dom szpeci całą okolicę.

Z zabudowań przyczłapał mężczyzna o zmierzwionej, brudnej czuprynie i oczach patrzących każde w swoją stronę. Koszulę miał przepasaną sznurkiem i z roztargnieniem drapał się po brzuchu.

— Czego tu chcecie? — zapytał nieprzyjaznym głosem, po czym kopnął świnie. — Wynoś się, Sophie!

— Rozmawialiśmy w wiosce z pewnym starcem — rzekł Sparhawk, wskazując kciukiem za siebie. — Miał siwe włosy, trzęsący się kark i znał sporo starych opowieści.

— Pewnie mówicie o starym Farsu — domyślił się gospodarz.

— Nie wpadło mi w ucho jego imię — powiedział Sparhawk gładko. — Spokalkaliśmy go w zajeździe.

— Zgadza się, to Fars. Lubi przebywać blisko piwa. A co to ma wspólnego ze mną?

— Mówił, że również lubisz legendy związane z bitwą, którą stoczono tu około pięciuset lat temu.

Twarz zezowatego mężczyzny pojaśniała.

— A więc o to chodzi — powiedział. — Zawsze wymieniamy się opowieściami. Może wejdiesz razem z chłopcem do środka? Jesteś tu mile widzianym gościem, wasza miłość. Od dawna nie miałem okazji pogadać o starych, dobrych czasach.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony, ziomku — powiedział Sparhawk, zeskakując z siodła. — Chodź, Talenie.

— Pozwól mi wprowadzić wasze konie do stajni — zaofiarował się gospodarz.

Faran spojrział na koślawą szopę i wzdrygnął się.

— Dzięki za dobre chęci, ziomku — rzekł Sparhawk — ale deszcz przestaje padać, a wiatr osuszy im sierść. Wypuścimy je na twoją łąkę, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Ktoś może je ukraść.

— Nie mojego srokacza. Tego rodzaju koni ludzie raczej nie kradną.

— Obyś się nie mylił, wasza miłość, bo będziecie musieli wracać na piechotę.

— Zezowaty wzruszył ramionami i otworzył drzwi do domu.

W izbie panował podobny nieład, co na podwórzu. Na stok walały się resztki pożywienia, a po kątach sterty brudnej odzieży.

— Nazywam się Wat — przedstawił się gospodarz i opadł na krzesło. — Siedzicie — zaprosił. Następnie zwrócił się do Talena. — Ty jesteś tym młodzieńcem, który kupił ode mnie wóz.

— Tak — odparł Talen trochę zdenerwowany.

— Dojechałeś nim do celu? Nie odpadło mu któreś koło albo coś w tym rodzaju?

— Spisuje się zupełnie dobrze. — Chłopak odetchnął z ulgą.

— Miło mi to słyszeć. A teraz mówcie, które opowieści interesują was szczególnie?

— Chcemy się dowiedzieć — zaczął Sparhawk — co stało się w czasie bitwy z królem Sarakiem. Jeden z moich przyjaciół jest jego dalekim krewnym i rodzina pragnie sprowadzić prochy króla do Thalesii, aby urządzić godny pochówek.

— Nigdy nie słyszałem o królu Saraku — przyznał Wat — ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Bitwa była wielka. Od południowego końca jeziora aż po Pelosię Thalezyjczycy walczyli z Zemochami. Posłuchajcie, jak to było: patrole Zemochów zauważyły, że Thalezyjczycy przybili do północnego brzegu i Otha wysłał spore siły, które miały powstrzymać ich przed dotarciem na główne pole bitwy. Początkowo Thalezyjczycy schodzili z łodzi w małych grupach i wszystko szło po myśli Zemochów. Było sporo potyczek i gonitw, gdy którejs z grup udało się przedrzeć. Ale potem zeszły na ląd główne siły thalezyjskiej armii i wszystko się odwróciło. Zaraz, mam tu trochę piwa domowej roboty. Może się napijecie?

— Ja nie odmówię — rzekł Sparhawk — ale chłopiec jest trochę za młody.

— Mam mleko, jeżeli cię to zadowoli, młodzieńcze — zaproponował Wat.

— Czemu nie? — Talen westchnął ciężko.

Sparhawk zamyślił się na chwilę.

— Król Thalesii powinien być wśród tych, którzy pierwsi zeszli na ląd — powiedział. — Opuścił stolicę, zanim uczyniła to jego armia, ale nigdy nie dotarł na pole bitwy.

— Najprawdopodobniej leży gdzieś tu, w Pelosii lub w Deirze — odparł Wat. Wstał, aby przynieść piwo i mleko.

— To spory obszar — wzdrygnął się Sparhawk.

— Zgadza się wasza miłość, zgadza się, ale idźcie dobrym tropem. W Pelosii i Deirze też są tacy jak ja i Fars, którzy lubią stare opowieści, a im bliżej będziecie miejsca, w którym został pogrzebany król, tym będziecie mieć większe szanse na znalezienie kogoś, kto zaspokoi waszą ciekawość.

— Tak, pewnie masz rację. — Sparhawk pociągnął łyk piwa. Było mętne, ale bardzo dobre. Nigdy nie pił lepszego.

Wat podrapał się po brzuchu.

— Kłopot polega na tym, wasza miłość, że bitwa była zbyt wielka, by jeden człowiek mógł widzieć ją całą. Fars wie, co wydarzyło się w okolicy na południe od wioski. Ja sporo wiem o tym, co działo się tutaj. Każdy z nas wie, jaki mniej więcej przebieg miała walka, ale gdy przychodzi do szczegółów, musimy pogadać z kimś, kto mieszka w pobliżu miejsca, gdzie to się wydarzyło.

Sparhawk westchnął ciężko.

— A więc trzeba liczyć jedynie na szczęście — powiedział. — Możemy równie dobrze przejechać obok człowieka, który zna tę opowieść i nawet przez myśl nam nie przejdzie, by go zagadnąć.

— Nie, wasza miłość, to nie jest całkiem tak. Ci, którzy lubią te legendy, znają się między sobą. Stary Fars przysłał cię do mnie, a ja odeślę cię do innego człowieka, mieszkającego w Palerze, w Pelosii. On powinien wiedzieć dużo więcej niż ja o tym, co się tam wydarzyło, i zna innych, a oni podadzą ci jeszcze więcej szczegółów o starciach, które miały miejsce w ich okolicy. Właśnie to miałem na myśli, kiedy mówiłem, że idziesz dobrym śladem. Wystarczy tylko jeździć od jednego do drugiego, dopóki nie usłyszysz tego, co cię interesuje. To o wiele szybszy sposób, niż przekopywanie się przez całą północną Pelosię czy Deirę.

— Tu możesz mieć słusność.

Zezowaty roześmiał się chrapliwie.

— Bez obrazy, wasza miłość, wy, szlachetnie urodzeni, uważacie, że pospólstwo nic nie wie, ale gdyby zebrać nas razem, to niewiele zostanie rzeczy na świecie, o których byśmy nie wiedzieli.

— Będę o tym pamiętał — rzekł Sparhawk. — Kim jest ten człowiek w Palerze?

— To garbarz, nazywa się Berd — głupie imię, ale tacy są Pelozyjczycy. Jego garbarnia stoi tuż za północną bramą miasta. Nie pozwolili mu osiedlić się w obrębie murów, bo w jego zakładzie śmierdzi. Jedź do Berda, a jeżeli on nie zna interesującej cię opowieści, to pewnie wie, gdzie znaleźć kogoś, kto ją zna albo w ostateczności kogoś, kto powie ci, z kim powinieneś porozmawiać.

Sparhawk wstał.

— Naprawdę nam pomogłeś. — Podał gospodarzowi kilka monet. — Przy okazji następnej wizyty w wiosce wypij kilka kufli piwa, a jeżeli trafisz na Farsa, to postaw i jemu.

— Dzięki, wasza miłość. Uczynię tak z całą pewnością.

Sparhawk coś sobie przypomniał.

— Chciałbym kupić od ciebie trochę drewna na opał, jeżeli masz jakieś w zapasie. — Podał Watowi jeszcze kilka monet.

— Ależ oczywiście, wasza miłość. Proszę za mną, pokażę, gdzie leży.

— Nie trzeba. — Rycerz uśmiechnął się. — Już je sobie wzięliśmy. Chodź, Talenie.

Deszcz zupełnie przestał padać. Sparhawk i Talen po wyjściu z domu dostrzeżli na zachodzie, nad jeziorem, błękit nieba.

— Musiałeś to zrobić, prawda? — powiedział niezadowolony Talen.

— On bardzo nam pomógł, Talenie — bronił się Sparhawk.

— A co to ma do rzeczy? I czy naprawdę posunęliśmy się tak daleko?

— To był początek. Wat jest całkiem bystry, chociaż nie sprawia takiego wrażenia. Pomysł, aby jeździć od jednego bazarza do drugiego jest jak na razie najlepszym, jaki słyszałem.

— Ale to zajmie trochę czasu.

— Nie tyle, ile zajęłaby realizacja innych pomysłów.

— A więc podróż nie była daremna.

— To będziemy mogli lepiej ocenić po spotkaniu z garbarzem w Palerze.

Sparhawk i chłopiec wrócili do obozu. Ulath z Beritem suszyli mokre ubrania na linie rozwieszanej w pobliżu ognisk.

— Powiodło się wam? — zapytał Ulath.

— Jest nadzieja — odparł Sparhawk. — Mam prawie pewność, że król Sarak nie dotarł tak daleko na południe. Zdaje się, że w Pelosii i Deirze walczono w wielu miejscach, o których pan Bevier nie mógł dowiedzieć się z ksiąg.

— A zatem co dalej?

— Pojedziemy do miasta Paler w Pelosii i porozmawiamy z garbarzem o imieniu Berd. Jeżeli on nie słyszał o królu Saraku, to prawdopodobnie będzie mógł nas skierować do kogoś, kto coś wie. Jak się czuje pan Tynian?

— Nadal śpi. Pan Bevier obudził się i Sephrenia dała mu do wypicia zupę.

— To dobry znak. Chodźmy porozmawiać z mateczką. Pogoda się poprawiła i myślę, że możemy bezpiecznie ruszać.

Weszli gromadnie do namiotu i Sparhawk powtórzył, czego dowiedział się od Wata.

— Ten plan ma swoje dobre strony, Sparhawk — pochwaliła Sephrenia. — Jak daleko jest do Paleru?

— Talenie, podaj mi mapę.

— Dlaczego ja?

— Ponieważ cię o to proszę.

— Ach, tak... Dobrze.

— Tylko mapę, chłopcze — dodał Sparhawk. — Nie bierz z sakwy nic innego.

Talen po chwili wrócił. Sparhawk rozłożył mapę na kolanach.

— To niedaleko — powiedział. — Paler jest tutaj, nad północnym krańcem jeziora, tuż za granicą Pelosii. Około dziesięciu lig stąd.

— Wóz szybko nie pojedzie — zauważył Kurik — nie chcemy chyba zbyt wytrząść tych biedaków. A zatem zajmie nam to pewnie ze dwa dni.

— Po dotarciu do Paleru będziemy mogli znaleźć jakiegoś medyka — powiedziała Sephrenia.

— Naprawdę nie musimy jechać wozem — zaprotestował Bevier. Był błądy jak chusta i pocił się obficie. — Pan Tynian czuje się już o wiele lepiej, a ja i pan Kalten nie jesteśmy ciężko ranni. Możemy jechać konno.

— Nie, dopóki ja tu rozkazuję — rzekł Sparhawk. — Nie będę ryzykował waszego życia tylko po to, by zyskać kilka godzin. — Podniósł połę namiotu i wyjrzał na zewnątrz. — Zbliża się wieczór. Wyśpimy się porządnie dzisiejszej nocy i skoro świt wyruszamy.

Kalten usiadł krzywiąc się z bólu.

— No, dobrze. — Odchrząknął. — Skoro już wszystko ustalone, to co jest do jedzenia?

Po wieczery Sparhawk wyszedł z namiotu i usiadł przy ognisku. Zasepiony wpatrywał się w ogień. Po chwili do rycerza podeszła Sephrenia.

— Czym się martwisz, mój drogi? — zapytała.

— Teraz, gdy spokojnie wszystko przemyślałem, wydaje mi się, że to trochę nierozsądne posunięcie. Możemy tak włóczyć się po Pelosii i Deirze przez następne dwadzieścia lat, wysłuchując po drodze opowieści różnych starców.

— Sądzę, że nie będzie tak źle, Sparhawk. Czasami mam przeczucia, drobne przebłytki przyszłości. Czuję, że jesteśmy na dobrej drodze.

— Przeczucia, mateczko? — zapytał z pewnym rozbawieniem.

— Może trochę więcej, ale to już sprawy, których Eleni nie rozumieją.

— Chcesz powiedzieć, że możesz zajrzeć w przyszłość?

— Och, nie! — Czarodziejka roześmiała się. — Jedyne bogowie to potrafią, a i oni czasami się mylą. Mogę tylko przewidzieć, czy jakieś posunięcie jest słuszne, czy nie. To wydaje się dobre. Jest coś jeszcze — dodała po chwili. — Duch Aldreasa powiedział ci, że nadszedł już czas na ponowne pojawienie się Bhelliomu. Wiem, jaką moc ma Bhelliom. Potrafi wpływać na bieg wydarzeń w niewyobrażalny dla nas sposób. Jeżeli będzie chciał, abyśmy go znaleźli, nic w świecie nas przed tym nie powstrzyma. Może się okazać, że bazarze w Pelosii i Deirze opowiedzą nam o rzeczach, których już dawno nie pamiętali lub o których nawet nigdy nie wiedzieli.

— Czy nie za wiele w tym mistycyzmu?

— Styricy są mistykami, Sparhawk. Myślałam, że o tym wiesz.

Rozdział 11

Następnego dnia spali do późna. Sparhawk obudził się przed świtem, ale zdecydował, że pozwoli towarzyszom odpocząć. Długo już byli w podróży, a spotkanie z potworem bardziej jeszcze nadwątlilo ich siły. Wyszedł z namiotu, by popatrzeć na wschód słońca. Niebo było czyste, świeciły gwiazdy. Pomimo zapewnień Sephrenii z poprzedniego wieczoru, Sparhawk był przygnębiony. Kiedy rozpoczynali swoje poszukiwania, poczucie słuszności i szlachetności ich misji pozwalało mu wierzyć, że pokonają wszelkie przeciwności losu. Wydarzenia minionego dnia udowodniły, jak bardzo się mylił. Nie zawahałby się przed niczym, nawet przed rzuceniem na szalę swojego życia, byleby tylko przywrócić zdrowie swojej młodziutkiej królowej, ale czy miał prawo ryzykować życie swoich przyjaciół?

— Czym się martwisz? — usłyszał za sobą czyjś głos. Nie musiał się odwracać, poznał Kurika.

— Sam nie wiem — przyznał. — Czuję trochę tak, jakbym chciał utrzymać w zaciśniętej pięści piasek. Ten nasz plan nie wygląda zbyt sensownie, prawda? Pomysł prześledzenia czegoś, co wydarzyło się pięćset lat temu, przez wysłuchiwanie starych opowieści, jest zupełnie niedorzeczny.

— Nie, Sparhawk — powiedział Kurik. — Mógłbyś przez następne dwieście lat przemierzać północną Pelosię czy Deirę z łopata i nawet o krok nie zbliżyć się do Bhelliomu. Ten gospodarz miał rację. Zaufaj prostym ludziom, dostojny panie. Pod wieloma względami lud bywa mądrzejszy od szlachetnie urodzonych, a nawet od Kościoła. — Kurik odkaszlnął zażenowany. — Nie musisz wspominać patriarsze Dolmantowi o tym, co powiedziałem — dodał.

— Dochowam tajemnicy, przyjacielu. — Sparhawk uśmiechnął się. — Ale jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać.

— O czym?

— Na Kaltena, Beviera i Tyniana w zasadzie nie mam co na razie liczyć.

— Jak zawsze muszę ci przyznać rację.

— To zły nawyk, Kuriku.

— Aslade też tak twierdzi.

— Twoja żona jest mądrą białogłową. Ale do rzeczy. Udawało nam się uniknąć większych problemów po części dzięki obecności rycerzy w zbrojach. Większość ludzi woli nie wchodzić w drogę Rycerzom Kościoła. A teraz zostaliśmy tylko ja i pan Uloth.

— Umiem liczyć, Sparhawk. O co ci chodzi?

— Czy pasowałaby na ciebie zbroja pana Beviera?

— Chyba tak. Pewnie nie byłaby zbyt wygodna, ale mógłbym trochę dopasować ją rzemykami. Jest tylko jeden szkopuł — ja tego nie uczynię.

— Dlaczego? W czasie ćwiczeń nosiłeś zbroję.

— To były ćwiczenia. Wszyscy dobrze wiedzieli, kim jestem i dlaczego to robię. Tu jest zaś szeroki świat, a to zupełnie co innego.

— Naprawdę nie widzę różnicy, Kuriku.

— Te sprawy regulują odpowiednie przepisy. Jedynie rycerzom przysługuje prawo noszenia zbroi, a ja nie jestem rycerzem.

— Różnica jest niewielka.

— Ale jest.

— Chcesz mnie zmusić do wydania rozkazu, tak?

— Wolałbym, abyś tego nie czynił.

— Wolałbym, abyś ty mnie do tego nie zmuszał. Nie chcę urazić twoich uczuć, Kuriku, ale to wyjątkowa sytuacja. Chodzi o nasze bezpieczeństwo. Włóż zbroję pana Beviera, a Berita chyba możemy wbić w zbroję Kaltena. Nosił już poprzednio moją, a Kalten i ja jesteśmy prawie tego samego wzrostu.

— A więc nie zmienisz zdania?

— Nie mam wyboru. Musimy dotrzeć do Paleru bez przygód. Mamy rannych i chcę ich żywych dowieźć do miasta.

— Rozumiem powody, Sparhawk. W końcu nie jestem głupi. Nie podoba mi się to wszystko, ale pewnie masz słuszość.

— Cieszę się, że jesteśmy zgodni.

— Nie ciesz się zbyt. Chcę, aby było jasne, że zostałem do tego zmuszony.

— Gotów jestem potwierdzić to pod przysięgą, gdyby kiedykolwiek wynikły z tego powodu jakieś kłopoty.

— Przy założeniu, że będziesz jeszcze żył. — Kurik miał skwaszoną minę. — Chcesz, bym obudził pozostałych?

— Nie. Niech śpią. Wczoraj wieczorem miałeś rację. Dotarcie do Paleru zajmie nam dwa dni, a czasu mamy tak niewiele!

— Bardzo cię martwi brak czasu, prawda?

— Tak mało nam go zostało — rzekł Sparhawk ze smutkiem — a to całe jeżdżenie i wysłuchiwanie opowieści starców pewnie będzie bardzo czasochłonne. Zbliża się pora śmierci następnego z dwunastu rycerzy i przekazania jego miecza Sephrenii, a wiesz, jak bardzo to ją osłabia.

— Jest o wiele silniejsza, niż na to wygląda. Prawdopodobnie potrafiłaby udźwignąć więcej niż ty i ja razem. — Kurik spojrział w kierunku namiotów. — Pójdę rozpalić ognisko i zagotować wodę w jej czajniczku — powiedział i odszedł w stronę obozu.

Z mroku wyłonił się Ulath, trzymający w pobliżu wartę.

— To była bardzo interesująca rozmowa — mruknął.

— Słyszałeś wszystko.

— Naturalnie. W nocy głosy dobrze się niosą.

— Pewnie nie pochwalasz tej sprawy ze zbroją?

— Nie przeszkadza mi to, dostojny panie Sparhawk. My w Thalesii o wiele mniej dbamy o formy niż wy. Mówiąc szczerze wielu spośród rycerzy Zakonu Genidianu nie jest szlachetnego pochodzenia. — Ulath uśmiechnął się błyskając zębami. — Czekamy zwykle, aż król Wargun się upije i ustawiamy ich w podwójnym szeregu, aby nadał im tytuły. Kilku z moich przyjaciół jest baronami miejsc, które w ogóle nie istnieją. — Podrapał się po karku. — Czasami myślę, że szlachectwo to zupełna bzdura. Człowiek jest człowiekiem, z tytułem czy bez. Nie myślę, aby Bóg się tym przejmował, więc czemu my mielibyśmy tym sobie zawracać głowy?

— Wznecisz rewolucję takim gadaniem.

— Może już na to czas. — Ulath zmienił temat. — Rozwidnia się — wskazał na wschód.

— To dobrze. Będziemy mieć chyba dzisiaj ładną pogodę.

— Ocenimy wieczorem.

— Czy mieszkańcy Thalesii nie przewidują pogody?

— Po co? To przecież niczego nie zmieni. Może rzucimy okiem na twoją mapę? Znam się trochę na okrętach, prądach jeziornych i kierunkach wiatrów. Spróbuję zgadnąć, gdzie król Sarak przybił do brzegu. Moglibyśmy wtedy określić, którą pojechał drogą. To uprościłoby nieco sprawę.

— Niezły pomysł — przyznał Sparhawk. — Jeżeli się powiedzie, to przynajmniej wiedzielibyśmy, skąd zacząć przepytywanie. — Sparhawk zamyślił się. — Panie Ulathu, czy wierzysz w to, że Bhelliom jest rzeczywiście tak niebezpieczny, jak mówią?

— Pewnie jeszcze bardziej. Jest dziełem Ghweriga, a on nie ma zbyt miłego usposobienia, nawet jak na trolla.

— Powiedziałaś „ma”. Czy nie powinnaś powiedzieć „miał”? Przecież on już chyba nie żyje.

— Nic mi o tym nie wiadomo i raczej dziwiłbym się, gdyby nie żył. Powinnoś coś wiedzieć na temat trolli, panie Sparhawk. One nie umierają ze starości. Trzeba je zabić. Gdyby komuś udało się uśmiercić Ghweriga, chwaliłby się wszędzie i z pewnością usłyszałbym o tym. Zimą w Thalesii poza słuchaniem opowieści nie ma co robić. Dookoła są tylko zasypane śnieżne, więc zwykle przesiadujemy

w domach. Chodźmy do namiotów. Spojrzymy na mapę.

Sparhawk stwierdził, że polubił Ulatha. Potężny genidianita był zwykle mało mówny, ale gdy ktoś zaskarbił sobie jego przyjaźń, potrafił zabawić żartobliwą rozmową, która często bywała bardziej zajmująca niż rubaszne dowcipy Kaltena. Towarzysze Sparhawk okazali się wspaniałymi ludźmi — najlepszymi z najlepszych. Oczywiście każdy z nich był inny, ale tak już jest. Sparhawk cieszył się, że miał okazję ich poznać, bez względu na to, jak zakończą się ich poszukiwania.

Przy ognisku Sephrenia popijała herbatę.

— Wcześniej wstaliście — zauważyła, gdy obaj znaleźli się w kręgu światła.
— Czyżby plany uległy zmianie? Przyśpieszamy wyjazd?

— Niezupełnie — odparł Sparhawk, całując na powitanie jej dłoń.

— Proszę, nie rozlej mojej herbaty — ostrzegła.

— Nie śmiałym, mateczko. Dzisiaj nie uda nam się przebyć niewiele więcej niż pięć lig, więc pozwólmy pozostałym pospać trochę dłużej. Wóz nie pojedzie zbyt prędko, a poza tym, sądząc po ostatnich wydarzeniach, włóczenie się po ciemku jest złym pomysłem. Czy Berit już się obudził?

— Chyba tak. Słyszałam, jak się kręcił.

— Mam zamiar ubrać go w zbroję Kaltena, a Kurik przywdzieje pancierz pana Beviera. Może uda nam się odstraszyć tych, którzy mogliby żywić do nas nieprzyjazne uczucia.

— Czy wy, Eleni, tylko to jedno macie w głowach?

— Maskarada jest czasem lepsza od walki — mruknął Ulath. — Dobry rycerz musi mieć dość sprytu, by oszukać innych.

— Jesteś równie zepsuty jak Talen.

— Ależ skąd. Mam nie dość zręczne palce, by kraść trzosi. Jeżeli zapragnę zawartości czyjejs sakiewki, po prostu dam mu po głowie i zabiorę ją.

— Przebywam w towarzystwie samych łotrów. — Czarodziejka roześmiała się wesoło.

Dzień wstał pogodny i słoneczny. Ze wspaniałym błękitem nieba kontrastowała soczysta zieleń wilgotnej trawy, porastającej okoliczne wzgórza.

— Czyja kolej na gotowanie śniadania? — zapytał Ulatha Sparhawk.

— Twoja, dostojny panie — mruknął genidianita.

— Jesteś pewien?

— Tak.

Obudzili pozostałych i Sparhawk wyciągnął z jednego z tobołków naczynia kuchenne.

Po posiłku Sparhawk i Ulath pomogli rannym towarzyszom przenieść się na rozklekotany wóz, a w tym czasie Kurik i Berit wycięli w pobliskim zagajniku zapasowe drzewca do kopii.

— Czyżby poprzednie były złe? — zapytał genidianita, gdy giermek wrócił z zagajnika.

— One często się łamą — powiedział Kurik, układając drzewca na wozie — szczególnie gdy się ich używa tak jak wy, szlachetni panowie. Warto kilka mieć w zapasie.

— Dostojny panie Sparhawk — odezwał się cicho Talen — tam znowu są ci ludzie w zgrzebnych białych tunikach. Kryją się w zaroślach na skraju pola.

— Potrafisz określić, jakiej są narodowości?

— Mają miecze — odparł chłopiec.

— A zatem Zemosi. Ilu ich tam jest?

— Widziałem czterech.

Sparhawk podszedł do Sephrenii.

— Na skraju pola kryje się mała grupka Zemochów. Czy ludzie szukacza próbowaliby się kryć?

— Nie. Atakowaliby natychmiast.

— Tak też myślałem.

— Co zamierzasz? — zapytał Kalten.

— Przepędzić ich. Nie chcę, by śledzili nas ludzie Othy. — Spojrzał na Ulatha. — Siądźmy na koń i pogońmy ich trochę.

Genidianita uśmiechnął się szeroko i wskoczył na siodło.

— Bierzecie kopie? — zapytał Kurik.

Ulath wyciągnął swój topór.

— Niepotrzebne do tak drobnej roboty — mruknął.

Sparhawk wdrapał się na grzbiet Farana, ujął tarczę i wyciągnął miecz. Ruszyli stępa robiąc groźne miny. Po chwili Zemosi wyskoczyli z ukrycia i uciekli wrzeszcząc wniebogłosy.

— W konie! — rozkazał Sparhawk. — Chcę tak ich przestraszyć, by nie wrócili.

Obaj jeźdźcy przedarli się przez zarośla na skraju pola i pognali za uciekającymi Zemochami przez szeroki pas zaoranej ziemi.

— Może po prostu ich pozabijać?! — zawołał Ulath do Sparhawka przekrzykując tętent kopyt.

— Chyba nie będzie trzeba! — odrzyknął Sparhawk. — Jest ich tylko czterech i wystraszyli się nie na żarty!

— Miękniez, panie Sparhawk!

Gonili Zemochów jeszcze przez dwadzieścia minut, a potem wstrzymali wierzchowce.

— Szybko biegają, co? — Ulath zachichotał. — Może już zawrócimy? Mam tego dość.

Wrócili do pozostałych i ruszyli wzdłuż jeziora na północ. Widywali wieśniaków na polach, ale Zemochów nie spotkali więcej. Jechali wolno pod przewodnictwem Ulatha i Kurika.

— Domyślcie się, czego chcieli ci ludzie? — zapytał Kalten Sparhawk. Jasnówłoty rycerz powoził trzymając jedną ręką niedbale lejce, a drugą przyciskając do swych obolałych żeber.

— Można założyć, że ludzie Othy bacznie obserwują każdego, kto kręci się po polu bitwy — odparł Sparhawk. — Otha z pewnością chce wiedzieć, czy ktoś przypadkowo nie natrafi na Bhelliom.

— A zatem może ich być więcej. Nie zawadzi mieć oczy szeroko otwarte.

Im dłużej jechali, tym słońce grzało mocniej i Sparhawk zaczynał tęsknić za chmurami i deszczem, które towarzyszyły im w ciągu ostatnich tygodni. Pocił się pod oksydowaną na czarno zbroją, co wcale nie poprawiało mu humoru.

Na noc rozbili obozowisko w dębowym zagajniku w pobliżu granicy z Pelosią. Następnego ranka wstali wcześniej. Na posterunku granicznym strażę rozstały się przed nimi z szacunkiem. Wczesnym popołudniem wjechali na wzgórze i ujrzeli leżące u jego podnóża miasto Paler.

— Dotarliśmy tu szybciej, niż myślałem — zauważył Kurik, gdy zjeżdżali długim zboczem w kierunku miasta. — Jesteś pewien, że twoja mapa jest dokładna, Sparhawk?

— Nie ma absolutnie dokładnej mapy. Nawet najlepsza jest dokładna tylko w przybliżeniu.

— Znałem raz pewnego kartografa w Thalesii — powiedział Ulath. — Postanowił sporządzić mapę terenów położonych między Emsatem a Husdalem. Początkowo odmierzał wszystko dokładnie krokami, ale potem kupił sobie dobrego konia i zaczął oceniać odległości na oko. Jego mapa nawet w przybliżeniu nie jest dokładna, ale wszyscy z niej korzystają, bo nikomu nie chce się rysować nowej.

Strażnicy przy wschodniej bramie miasta przepuścili ich po zadaniu jedynie niezbędnych pytań. Przy okazji Sparhawk dowiedział się nazwy i adresu przyzwoitego zajazdu.

— Talenie, jak sądzisz — zwrócił się do jadącego obok chłopaka — odnalazłbyś sam drogę do tego zajazdu?

— Oczywiście, dostojny panie. Potrafię odszukać każde miejsce w każdym mieście.

— Świetnie. Zostań tu i obserwuj ten trakt z południa. Zobaczmy, czy tamci Zemosi nadal się nami interesują.

Talen zsiadł z konia, uwiązał go przy bramie, a potem cofnął się za mury i usiadł w trawie na poboczu drogi.

Sparhawk i pozostali ruszyli do miasta, za nimi ciągnął rozklekotany wóz. Brukowane uliczki Paleru były zatłoczone, ale ludzie widząc Rycerzy Kościoła usuwali im się z drogi. Po półgodzinie dotarli do zajazdu. Sparhawk zsiadł z konia i wszedł do środka.

Właściciel zajazdu nosił modny w Pelosii wysoki, spiczasty kapelusz w kropki i miał minę człowieka wielce zadowolonego z siebie.

— Czy są wolne pokoje? — zapytał Sparhawk.
 — Oczywiście. To jest zajazd.
 Sparhawk czekał z kamienną twarzą.
 — O co chodzi? — zapytał właściciel zajazdu.
 — Po prostu czekam, aż dokończysz zdanie. Wydaje mi się, że coś pominąłeś.
 Pelozyjczyk się zaczerwienił.
 — Przepraszam, dostojny panie — wymamrotał.
 — O wiele lepiej — pochwalił go Sparhawk. — A teraz słuchaj. Mam trzech rannych towarzyszy. Czy znajdziesz w pobliżu medyka?
 — Na końcu tej ulicy, dostojny panie. Na domu jest szyld.
 — Czy to jest dobry medyk?
 — Naprawdę trudno mi powiedzieć. Ostatnio nie chorowałem.
 — Chyba zaryzykujemy. Wprowadzę moich przyjaciół do środka i pójdę po niego.
 — On nie zechce tu z tobą przyjść, dostojny panie. On nigdy nie odwiedza pacjentów. Uważa, że to uwłaczałoby jego godności. Ma o sobie bardzo wysokie mniemanie. Chorzy i ranni przychodzą do niego.
 — Przekonam go — rzekł Sparhawk beznamiętnie.
 Właściciel zajazdu zaśmiał się trochę nerwowo.
 — Ilu ludzi wiesziesz z sobą, dostojny panie?
 — Jest nas dziesięcioro. Wprowadzimy rannych, a potem utnę sobie pogawędkę z tym zarozumiałym medykiem.
 Pomogli Kaltelowi, Tynianowi i Bevierowi wejść po schodach na górę, do pokoi. Potem Sparhawk wrócił na dół i zdecydowanym krokiem pomaszerował w kierunku końca ulicy, a czarny płaszcz powiewał za jego plecami.
 Lekarz przyjmował pacjentów na piętrze, nad sklepem warzywnym. Do wejścia wiodły zewnętrzne schody. Sparhawk z chrzęstem zbroi wdrapał się na górę i bez pukania wszedł do środka. Medyk, mały człowieczek o lisim pyszczku, przyodziały w powłóczystą błękitną szatę, wytrzeszczył oczy na widok ponurego oblicza nieproszzonego gościa w czarnej zbroi.
 — Wypraszam sobie! — zaprotestował.
 Sparhawk puścił tę uwagę mimo uszu. Zdecydował, że nie będzie wdawać się żadne dyskusje.
 — Ty jesteś medykiem? — zapytał.
 — Tak.
 — Pójdiesz ze mną. — Nie zabrzmiało to jak prośba.
 — Ale...
 — Żadnych ale. Moi trzej ranni przyjaciele potrzebują twojej pomocy.
 — Nie możesz ich tu przyprowadzić? Nie mam w zwyczaju składać wizyt domowych.

— Zwyczaj się zmieniają. Weź, co ci będzie potrzebne i idziemy. Oni są w zajazdzie przy tej ulicy.

— To gwałt, mości rycerzu!

— Nie będziemy chyba na ten temat dyskutować, prawda, ziomku? — zapytał Sparhawk ze złowieszczym spokojem.

Lekarz wzdrygnął się.

— Ach... nie, raczej nie. W tym przypadku zrobię wyjątek.

— Miałem nadzieję, że tak do tego podejdziesz.

Mały człowieczek wstał pośpiesznie.

— Wezmę narzędzia i trochę leków. Z jakim ranami mamy do czynienia?

— Jeden ma połamane żebra, drugi jakiś wewnętrzny krwotok. Trzeci cierpi głównie z powodu wyczerpania.

— Wyczerpanie można łatwo uleczyć. Wystarczy, by twój przyjaciel spędził kilka dni w łóżu.

— Nie ma na to czasu. Daj mu po prostu coś, co postawi go na nogi.

— Jak to się stało, że zostali ranni?

— W służbie Kościoła — rzekł Sparhawk krótko.

— Zawsze chętnie służę Kościołowi.

— Nie masz pojęcia, jak mnie to cieszy.

Sparhawk poprowadził niechętnego lekarza do zajazdu. Medyk zaczął swoje oględziny, a rycerz odszedł z Sephrenią na bok.

— Jest już trochę późno — powiedział. — Odłóżmy wizytę w garbarni na jutro, dobrze? Nie chciałbym robić tego w pośpiechu. Bajarz mógłby zapomnieć o jakichś ważnych dla nas szczegółach.

— Masz rację — zgodziła się czarodziejka. — A poza tym wolę się upewnić, że ten lekarz wie, co robi. Wygląda mi na niezbyt rzetelnego.

— Lepiej dla niego, żeby był rzetelny. Miał już przedsmak tego, co może mu się przytrafić.

— Och, Sparhawk! — spojrzała na niego z dezaprobatą.

— To bardzo prosty układ, mateczko. On doskonale rozumie, że albo oni wyzdrowieją, albo on zachoruje. Da z siebie wszystko.

Kuchnia pelozyjska — jak zauważył Sparhawk — opierała się głównie na gotowanej kapuście, burakach i rzemie, jedynie z rzadka okraszanych soloną wieprzowiną. Wieprzowina budziła wstręt Sephrenii i Flecika, więc obie przyrządziły sobie posiłek z samych warzyw i gotowanych jajek. Kalten jadł wszystko, co tylko nawinęło mu się pod rękę.

Talen przybył do zajazdu po zmroku.

— Nadal nas śledzą — relacjonował — ale jest ich już o wiele więcej. Tym razem są konno. Widziałem ze czterdziestu na szczycie wzgórza, na południe od miasta. Stali tam i uważnie się wszystkiemu przyglądali. Potem wycofali się do lasu.

— Sprawa wygląda trochę poważniej niż wówczas, kiedy ich było czterech — zauważył Kalten.

— W samej rzeczy — przyznał Sparhawk. — O czym tak dumasz, Sephrenio? Czarodziejka zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

— Nie jechaliśmy prędko — powiedziała. — Mogli bez większego trudu nas dogonić, skoro mają konie. Myślę, że po prostu nas śledzą. Zdaje się, że Azash wie coś, czego my nie wiemy. Od miesiący nastawał na twoje życie, a teraz wysłała swoich ludzi tylko po to, aby śledzili nas z oddali.

— Dlaczego zmienić taktykę?

— Mogę wymyślić nawet kilka powodów, ale niczego nie jestem pewna.

— Musimy wzmocnić czujność po opuszczeniu miasta — powiedział Kalten.

— Tak, tak — zgodził się Tynian. — Oni mogą po prostu wyczekiwać, aż do-
trzymemy do mało uczęszczanej części traktu, gdzie mogliby nas zaatakować znie-
nacka.

— Cóż za pogodne rozważania! — Kalten skrzywił się. — Nie wiem jak wy, ale ja idę spać.

Następnego ranka słońce znowu świeciło jasno, a od jeziora wiał orzeźwiający wietrzyk. Sparhawk włożył kolczugę, prostą opończę i wełniane nogawice, po czym wraz z Sephrenią pojechał w kierunku północnej bramy Paleru, za którą miał nadzieję odszukać garbarnię człowieka zwanego Berd. Na ulicach przeważali rzemieślnicy, ubrani w niebieskie koszule i wysokie, kropkowane kapelusze.

— Zastanawiam się, czy oni zdają sobie sprawę, jak to głupio wygląda — mruknął Sparhawk.

— O czym mówisz, mój drogi? — zapytała Sephrenia.

— O tych kapeluszach. Wyglądają w nich jak błazny.

— Ich nakrycia głowy nie są śmieszniejsze od ozdobionych piórami kapelu-
szy, jakie noszą dworzanie w Cimmurze.

— Pewnie masz rację.

Garbarnia znajdowała się w dość dużej odległości od północnej bramy i śmier-
działa z daleka. Gdy dojechali na miejsce, Sephrenia zmarszczyła nos.

— To nie będzie miły ranek — westchnęła.

— Postaram się załatwić sprawę jak najszybciej — obiecał Sparhawk.

Garbarz był dobrze zbudowanym, łysym mężczyzną, ubranym w płócienny fartuch pokryty ciemnobrązowymi plamami. W chwili gdy Sephrenia i Sparhawk wjechali na podwórze, mieszał coś długą łopatą w wielkim kotle.

— Zaraz do was wyjdę — powiedział. Jego głos przypominał brzmieniem żwir chrzęszczący o dachówki. Pracował jeszcze przez chwilę, zaglądając z niezadowolaniem do kotła. Potem odłożył mieszadło i podszedł do nich, wycierając dłonie w fartuch.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

Sparhawk zsiadł z konia i pomógł Sephrenii zejść z jej białej klaczy.

— Rozmawialiśmy w Lamorkandii z gospodarzem o imieniu Wat — rzekł do garbarza. — Powiedział, że może będziesz mógł nam pomóc.

— Stary Wat? — Garbarz roześmiał się. — Jeszcze żyje?

— Trzy dni temu żył. Ty jesteś Berd, prawda?

— Tak, to ja, dostojny panie. O jaką pomoc chodzi?

— Jeździmy po okolicy i rozmawiamy z ludźmi, którzy znają opowieści o wielkiej bitwie, jaką tu kiedyś stoczono. W Thalesii żyją dalecy krewni człowieka, który w czasach tej bitwy był królem. Pragną odszukać miejsce, gdzie został pogrzebany, aby przewieźć jego prochy w rodzinne strony.

— Nie słyszałem nigdy o żadnym królu, który byłby zamieszany w walki w tej okolicy — przyznał Berd. — Oczywiście, nie oznacza to, że go tu nie było. Królowie raczej nie włączają się po okolicy przedstawiając się prostym ludziom.

— A więc na tych terenach też toczono bitwę? — zapytał Sparhawk.

— Nie, wiem, czy można to nazwać bitwą, były to raczej potyczki czy coś podobnego. Widzisz, dostojny panie, główną bitwę toczono w pobliżu południowego krańca jeziora. To tam starły się armie. Tu były tylko małe grupki ludzi, głównie Pelozyjczyków, a potem zaczęli dołączać do nich Thalezyjczycy. Zemosi Othy patrolowali te okolice i dochodziło często do małych potyczek, ale żadnej z nich nie nazwałbym bitwą. Kilka z nich miało miejsce niedaleko stąd, ale nie wiem, czy brali w nich udział jacyś Thalezyjczycy. Oni walczyli głównie w okolicach jeziora Venne, a nawet jeszcze dalej na północ, aż pod Ghasek. — Nagle strzelił palcami. — Tak, z nim powinniście porozmawiać! — wykrzyknął. — Że też od razu o tym nie pomyślałem!

— O czym?

— Ależ tak! Gdzie też ja miałem rozum? Chodzi o hrabiego Ghaska, który pojechał studiować na uniwersytecie w Cammorii historię czy coś podobnego. W każdym razie przeczytał wszystkie księgi, które traktowały o tym, co wydarzyło się na południowym brzegu jeziora. Nie było w nich jednak prawie nic o tym, co działo się tutaj. Kiedy skończył studia, wrócił do domu i zaczął jeździć po okolicy zbierając wszystkie stare opowieści, na jakie natrafił. Skrzętnie wszystkie spisał. Zajmuje się tym od lat. Przypuszczam, że do tej pory zebrał wszystkie legendy z północnej Pelosii. Przyjechał nawet rozmawiać ze mną, a z Ghasku jest tu przecież szmat drogi. Powiedział mi, że próbuje wypełnić białe plamy w tym, czego uczą na uniwersytecie. Tak, dostojny panie, powinieneś porozmawiać z hrabią. Jeżeli ktokolwiek wie coś o królu, którego szukasz, to właśnie hrabia jest tym człowiekiem, i pewnie na dodatek zapisał to w swojej księdze.

— Przyjacielu — rzekł Sparhawk ciepło — myślę, że rozwiązałeś nasz problem. Jak możemy znaleźć hrabiego?

— Najlepiej pojechać traktem wiodącym nad jezioro Venne. Miasto Venne leży na północnym krańcu jeziora. Potem pojedziecie na północ. To zła droga, ale jest przejezdna, szczególnie o tej porze roku. Ghasek nie jest prawdziwym

miastem. Faktycznie to tylko hrabiowska posiadłość. W pobliżu jest kilka wiosek, w większości należących do hrabiego. Każdy wskaże wam drogę do jego siedziby. Hrabia mieszka w pałacu, a raczej zamku. Przejeżdżałem kilka razy obok. Zamek wygląda ponuro, ale w środku nigdy nie byłem. — Garbarz zaśmiał się chrapliwie. — Ja i pan hrabia nie pochodzimy z tych samych sfer, pojmujecie, co mam na myśli.

— Doskonale cię rozumiemy — powiedział Sparhawk i wyciągnął kilka monet. — Masz tu sporo roboty.

— W rzeczy samej, dostojny panie.

— Może napiłbyś się czegoś zimnego po skończonym dniu pracy? — Rycerz podał garbarzowi monety.

— Dzięki, dostojny panie. Stokrotne dzięki.

— To ja powinienem ci podziękować, Berdzie. Sądzę, że właśnie zaoszczędziłeś nam miesiąc podróży. — Sparhawk pomógł Sephrenii wspiąć się na siodło i dosiadł Farana. — Jestem ci bardziej wdzięczny, niż mógłbyś to sobie wyobrazić — powiedział garbarzowi na pożegnanie.

— Wyjątkowo dobrze poszło, prawda? — radował się, gdy wracali do miasta.

— Mówiłam ci, że tak będzie — przypomniała mu Sephrenia.

— Tak, w istocie tak mówiłaś. Nie powinienem był wątpić w twoje słowa nawet przez chwilę, mateczko.

— Naturalną rzeczą jest wątpić, Sparhawk. A zatem jedziemy do Ghasku?

— Oczywiście.

— Myślę jednak, że zaczekamy z tym do jutra. Co prawda medyk powiedział, że żadnemu z naszych przyjaciół nie zagraża niebezpieczeństwo, ale jeszcze jeden dzień odpoczynku im nie zaszkodzi.

— Czy będą mogli jechać konno?

— Obawiam się, że początkowo jedynie powoli, ale z czasem wrócą do sił.

— To dobrze. A więc wyruszymy jutro skoro świt.

Nastrój pozostałych członków wyprawy znacznie się poprawił, gdy Sparhawk powtórzył im wszystko, co usłyszał od Berda.

— To zaczyna robić się trochę za łatwe — mruknął Ulath — a proste sprawy mnie denerwują.

— Nie bądź takim pesymistą — rzekł Tynian. — Postaraj się dostrzegać i dobre strony tego, co nas czeka.

— Wolę spodziewać się najgorszego. W ten sposób bywam mile zaskoczony, jeżeli sprawy układają się pomyślnie.

— Domyślam się, że będziesz chciał, abym pozbył się wozu? — zwrócił się Talen do Sparhawka.

— Nie. Na wszelki wypadek zabierzemy go z sobą. Jeżeli któryś z tej trójki poczuje się gorzej, będzie można położyć go z powrotem na wozie.

— Pójdę sprawdzić zapasy, Sparhawk — powiedział Kurik. — Może minąć sporo czasu, nim dotrzemy do następnego miasta i znajdziemy jakieś targowisko. Będę potrzebował trochę pieniędzy.

Nawet to nie popsło Sparhawkowi nastroju.

Resztę dnia spędzili bez przygód, a wieczorem wcześniej udali się na spoczynek.

Sparhawk leżał w łóżu, wpatrując się w ciemność. Wszystko będzie dobrze — teraz był tego pewien. Od Ghasku dzieliła ich daleka droga, ale jeżeli Berd miał słuszość co do skrupulatności badań hrabiego, to powinni usłyszeć od niego odpowiedź. A wtedy wystarczy udać się do miejsca, w którym pogrzebano króla Saraka, i wydobyć jego koronę. Potem pełni nadziei powrócą z Bhelliomem do Cimmury i...

Rozległo się ciche pukanie. Sparhawk wstał i otworzył drzwi.

Za nimi stała Sephrenia. Miała poszarzałą twarz, po policzkach spływały jej łzy.

— Chodź ze mną, Sparhawk — poprosiła. — Nie potrafię samotnie temu podołać.

— Czemu podołać?

— Po prostu chodź ze mną. Może się mylę, ale obawiam się, że to prawda. — Poprowadziła go korytarzem do pokoju, który dzieliła z Flecikiem. Sparhawk poczuł znajomy, trupi odór. Flecik siedziała na łóżku. Drobną twarzyczką dziewczynki również była poszarzała, ale w jej oczach nie było strachu. Patrzyła na zjawę w czarnej zbroi. Wtem postać odwróciła się i Sparhawk zobaczył poznane bliznami oblicze.

— Panie Olvenie! — zawołał z udręką w głosie.

Duch Olvena nie odpowiedział. Wyciągnął ręce. W dłoniach trzymał obnażony miecz.

Sephrenia nie kryjąc łez postąpiła bliżej, aby przejąć oręż.

Duch spojrział na Sparhawka i uniósł prawicę w geście pożegnania.

Zniknął.

Rozdział 12

Następnego ranka przed świtem w ponurych nastrojach siodłali konie.

— Był twoim przyjacielem, dostojny panie? — zapytał Ulath, siodłając konia Kaltena.

— Jednym z najlepszych — odparł Sparhawk. Nie mówił nigdy zbyt wiele, ale było wiadomo, że zawsze można na nim polegać. Będzie mi go bardzo brakowało.

— A co zrobimy z tymi Zemochami, którzy nas śledzą? — pytał Kalten.

— Niewiele możemy zdziałać — rzekł Sparhawk. — Musicie najpierw wyzdrowieć, bez was nie stanowimy zbyt wielkiej siły. Dopóki tamci tylko podążają naszym śladem, dopóty nie stanowią dla nas problemu.

— Chyba już mówiłem, iż nie lubię mieć wrogów za plecami — mruknął Ulath.

— Niech raczej będą z tyłu, gdzie można stale mieć ich na oku, niżby mieli się czać przy drodze przed nami.

Kalten skrzywił się, zaciągając popręg u siodła.

— Gorzej się czuję — zauważył, dotykając delikatnie swojego boku.

— Wyzdrowiejesz. — Sparhawk machnął ręką lekceważąco. — Zawsze wracalesz do zdrowia.

— Ale za każdym razem zabiera mi to więcej czasu. Nie stajemy się coraz młodszy, Sparhawk. Czy Bevier będzie w stanie jechać konno?

— Tak, jeżeli nie narzucimy zbyt forsownego tempa. Pan Tynian czuje się lepiej, ale i tak nie będziemy się śpieszyć. Sephrenię mam zamiar umieścić na wozie. Słabnie coraz bardziej, w miarę jak otrzymuje kolejne miecze. Dźwiga na swoich barkach zbyt wielki ciężar, choć tego nie okazuje po sobie.

Kurik wyprowadził konie na podwórze. Miał na sobie długi kaftan z czarnej skóry, odsłaniający nagie, muskularne ramiona.

— Chyba powinienem już oddać panu Bevierowi jego zbroję — powiedział z nadzieją w głosie.

— Zatrzymaj ją na razie. — Sparhawk nie miał dla giermka litości. — Nie chcę, aby pan Bevier już teraz poczuł się zbyt pewny siebie. Jest trochę uparty. Nie trzeba dodawać mu animuszu, dopóki nie upewnimy się, że wyzdrowiał.

— Robisz mi wielką przykrość, Sparhawk — żalił się Kurik.
 — Kiedy indziej wyjaśnię ci powody mojej decyzji.
 — Ja nie mówię o powodach. Jesteśmy co prawda z panem Bevierem prawie tego samego wzrostu, ale nieco innej budowy. Zbroja ociera mnie w różnych miejscach.
 — To zapewne kwestia tylko kilku dni.
 — Do tego czasu stanę się kaleką.
 Berit wyprowadził Sephrenię z zajazdu. Pomógł jej i malutkiej Flecik wsiąść na wóz. Czarodziejka była blada, a w ramionach, jakby piastowało dziecko, trzymała miecz Olvena.
 — Dobrze się czujesz, mateczko? — zapytał Sparhawk.
 — Potrzebuję jedynie odrobiny czasu, aby do tego przywyknąć, i to wszystko — odpowiedziała słabym głosem.
 Talen wyprowadził swojego konia ze stajni.
 — Przywiąż go z tyłu wozu — rzekł chłopcu Sparhawk. — Będziesz powoził.
 — Jak sobie życzysz, dostojny panie — zgodził się Talen.
 — Nie dyskutujesz? — zapytał Sparhawk zaskoczony.
 — Dlaczego miałbym dyskutować? Rozumiem powody twojej decyzji. A poza tym kozioł jest wygodniejszy od mojego siodła. Jeżeli chodzi o ścisłość, dużo wygodniejszy.
 Z zajazdu wyszli Tynian i Bevier. Obaj mieli na sobie kolczugi i szli dość powoli.
 — Bez zbroi, mój wielbiący grube blachy druhu? — rzucił od niechcenia Ulath.
 — Jest za ciężka — odparł Tynian. — Nie czuję się jeszcze na siłach.
 — Czy aby na pewno niczego nie zostawiliśmy? — zapytał Sparhawk Kurika. Giermek rzucił mu przygnębione, nieprzyjazne spojrzenie.
 — Tylko pytałem — powiedział Sparhawk potulnie. — Nie złość się od samego rana. — Spojrzał na pozostałych. — Nie będziemy się dzisiaj zbyt śpieszyć. Będę zadowolony, jeżeli uda nam się przejechać pięć lig.
 — Jesteś obarczony odpowiedzialnością za grupkę kalek, panie Sparhawk — odezwał się Tynian. — Czy nie byłoby lepiej, gdybyś pojechał z panem Ulathem przodem? Moglibyśmy dogonić was później.
 — Nie — zdecydował Sparhawk. — Dookoła kręcą się wrogo nastawieni ludzie, a wy nie jesteście jeszcze w stanie sami się obronić. — Uśmiechnął się do Sephrenii. — Poza tym — dodał — powinno nas być dziesięcioro. Nie chciałbym urazić Młodszych Bogów.
 Pomogli Kaltelowi, Tynianowi i Bevierowi dosiąść koni i wyjechali z podwórza zajazdu na pogrążone wciąż w mroku, wyludnione ulice Paleru. Dotarli do północnej bramy i strażę pośpiesznie ją przed nimi otworzyły.

— Nich was Bóg błogosławi, bracia — powiedział uroczyście Kalten, gdy mijali bramę.

— Co cię naszło? — zdziwił się Sparhawk.

— To wypadło taniej, niż gdybyśmy dali im pieniądze. A poza tym, kto wie? Może moje błogosławieństwo też ma jakąś wartość.

— Wygląda na to, że Kalten czuje się coraz lepiej — zauważył Kurik.

— Uznam, że to nieprawda, jeśli dalej będzie się tak zachowywał. — Sparhawk skrzywił się.

Niebo na wschodzie rozjaśniało się, a oni bez pośpiechu podążali traktem biegnącym na północny zachód od Paleru w kierunku jeziora Venne. Jechali po fałdowaną równinę, terenami przeznaczonymi w większości pod uprawę zbóż. Okolica usiana była wspaniałymi posiadłościami; gdzieniegdzie zdarzały się wioski składające się z długich chat chłopów pańszczyźnianych. Na zachodzie Eosii pańszczyzna została zniesiona przed wiekami, ale nadal przetrwała tu, w Pelosii. Zdaniem Sparhawka pelozyjskiej szlachcie brakowało umiejętności administracyjnych do przejścia na inny system pracy. Tu i ówdzie widzieli ubranych w jaszkrawe atłasowe kubraki szlachciców, którzy z końskich grzbietów dozorowali pracę chłopów pańszczyźnianych, odzianych w lniane koszule. Pomimo wszystkich opowieści, jakie Sparhawk słyszał na temat okropieństw pańszczyzny, pracujący na polach chłopci sprawiali wrażenie dobrze odżywionych i niezbyt źle traktowanych.

Berit jechał kilka kroków za wszystkimi i nieustannie obracał się w siodle, aby spoglądać do tyłu.

— Wykoślawi mi zupełnie zbroję — narzekał Kalten.

— Zatrzymamy się u jakiegoś kowala i damy ją do poprawki — powiedział Sparhawk. — Mógłby za jednym zamachem trochę ją poszerzyć, ponieważ nie możesz powstrzymać się od obżarstwa przy byle okazji.

— Sparhawku, jesteś tego ranka w paskudnym nastroju.

— Mam sporo zmartwień.

— Niektórzy ludzie po prostu nie nadają się na dowódców — zauważył Kalten wyniośle, zwracając się do pozostałych. — Mój przyjaciel zdaje się właśnie do nich należeć. Zbyt często się martwi.

— Chcesz mnie zastąpić? — zapytał Sparhawk beznamiętnym tonem.

— Ja? Nie żartuj, Sparhawku. Nie potrafiłbym zająć się stadem gęsi, a cóż dopiero oddziałem rycerzy.

— W takim razie zamilknij i nie przeszkadzaj.

Berit podjechał do przodu, z ręką na toporze, tkwiącym w uchwycie przy siodle.

— Tamci Zemosi wrócili, dostojny panie Sparhawku — powiedział. — Co i rusz ich widzę.

— Jak daleko są za nami?

— Około pół ligi. Większość z nich trzyma się z dala, ale mają zwiadowców. Śledzą nas.

— Jeżeli ich zaatakujemy, rozproszą się — rozważał Bevier. — A potem znowu pojedą naszym śladem.

— Możliwe — zgodził się Sparhawk ponuro. — No cóż, nie potrafię ich zatrzymać. Mam za mało ludzi. Niech sobie nas śledzą, jeżeli sprawia to im przyjemność. Pozbędziemy się ich, gdy wszyscy będziemy w pełni sił. Bericie, zostań z tyłu i miej na nich baczenie — tylko bez bohaterskich popisów.

— Zrozumiałem, dostojny panie Sparhawk.

Przed południem zrobiło się gorąco i Sparhawk zaczął pocić się pod zbroją.

— Czy ja zostałem za coś ukarany? — zapytał Kurik, ocierając kawałkiem płótna spoconą twarz.

— Wiesz, że nie uczyniłbym nic takiego — odrzekł Sparhawk.

— To dlaczego jestem zamknięty w tym piecu?

— Przykro mi. To konieczne.

Wczesnym popołudniem, gdy przejeżdżali przez długą, zieloną dolinę, kilkunastu paradnie wystrojonych młodzieńców przygalopowało z pobliskiej posiadłości i zagrodziło im drogę.

— Ani kroku dalej! — rozkazał błydy, przyszczaty młodzian o wyniosłym, zarozumiałym wyrazie twarzy, odziany w zielony aksamitny kubrak.

— Czego sobie życzysz? — zapytał Sparhawk.

— Chcę wiedzieć, co robicie na ziemi mojego ojca. — Paniczyk, wyraźnie zadowolony z siebie, popatrzył po chichoczących towarzyszach.

— Sądziłem, że to droga publiczna — rzekł Sparhawk.

— Ale pod opieką mojego ojca. — Pryszczaty młodzieniec nadał się, próbując robić groźne wrażenie.

— Popisuje się przed kolegami — mruknął Kurik. — Przepędźmy ich i jedźmy dalej. Ich rapierów nie ma co się zbytnio bać.

— Popróbujmy najpierw dyplomacji — uspokajał go Sparhawk. — Do szczęścia potrzebna nam jeszcze tylko gromada chłopów depczących po piętach.

— Ja się tym zajmę. Mam w tym pewne doświadczenie — powiedział Kurik, po czym wyjechał powoli do przodu. Srebrzysta zbroja Bevierra i jego biały płaszcz mieniły się i błyszczały w popołudniowym słońcu. — Młodzieńcze — odezwał się giermek surowo — zdaje się, że nie jesteś zbytnio obeznany z dworskim obyczajem. Czyżbyś nas nie rozpoznał?

— Nigdy przedtem was nie widziałem.

— Nie chodzi o nasze imiona, tylko o to, kim jesteśmy. Najwyraźniej nie jesteś zbyt bywały w świecie.

Paniczykowi na tę zniewagę oczy wyszły na wierzch.

— Wcale nie! Wcale nie! — zaprotestował piskliwym głosem. — Co najmniej dwa razy byłem w Venne.

— Aha. — Kurik pokiwał głową. — A gdy tam byłeś, słyszałeś może coś o Kościele?

— Mamy w majątku własną kaplicę, więc oszczędź sobie pouczeń. — Młodzieniec uśmiechnął się szyderczo. Wydawało się, że to jego normalny wyraz twarzy.

Tymczasem od strony posiadłości zbliżał się, ostro poganiając konia, starszy mężczyzna w czarnym brokatowym kubraku.

— Zawsze to przyjemniej rozmawiać z człowiekiem, który niejedno wie — powiedział Kurik. — A może przypadkowo słyszałeś również o Rycerzach Kościoła?

Paniczyk zrobił trochę niewyraźną minę. Mężczyzna w czarnym kubraku był coraz bliżej.

— Uczciwie radzę, abyś usunął się na bok — ciągnął Kurik łagodnie. — Działasz na szkodę swojej duszy, nie mówiąc już o życiu.

— Straszysz mnie?! Na terenie posiadłości mojego ojca?!

— Jaken! — krzyknął człowiek w czerni. — Czyś ty rozum postradał?

— Ojcie — przyszczaty młodzieniec spuścił z tonu — przepytywałem właśnie tych intruzów.

— Intruzów? To jest królewski trakt, ośle!

— Ale...

Mężczyzna w czarnym kubraku podjechał bliżej, stanął w strzemionach i solidnym uderzeniem pięści zwalił syna z siodła.

— Przyjmij moje przeprosiny, szlachetny rycerzu — zwrócił się do Kurika. — Mój przygłupi syn nie zdawał sobie sprawy, z kim mówi. Czczę Kościół i szanuje jego rycerzy. Mam nadzieję, że nie czujesz się obrażony.

— Ani trochę, wielmożny panie — odparł Kurik pogodnie. — Właśnie z pańskim synem uzgadnialiśmy różnicę poglądów.

Szlachcic drgnął.

— Dzięki Bogu, że przyjechałem na czas — westchnął. — Co prawda z tego idioty mam niewielką pociechę, ale jego matka byłaby nieszczęśliwa, gdyby za swą głupotę zapłacił głową.

— Wątpię, abym musiał posunąć się aż tak daleko, wielmożny panie.

— Ojcie, uderzyłeś mnie! — przerażonym głosem odezwał się leżący na ziemi młodzieniec. Z nosa ciekła mu krew. — Powiem o tym mamie!

— Jestem pewien, że zrobi to na niej duże wrażenie. — Szlachcic spojrzał błagalnie na Kurika. — Wybacz, szlachetny rycerzu. Zdaje się, że zaniedbałem wychowania syna. — Popatrzył na młodziana. — Jakenie, wracaj do domu — polecił chłodno. — A gdy tam dotrzesz, odpraw tę zgrają nicponi. Przed zachodem słońca mają się wynieść z mojej posiadłości.

— To są moi przyjaciele! — zawodził jego syn.

— Ale nie moi. Pozbądź się ich. Ty również się spakuj. Nie kłopotcz się zabieraniem wspaniałych strojów, ponieważ pojedziesz do klasztoru zakonu o surowej regule. Tam zajmą się tym, czego ja zaniedbałem — nauczą cię dobrych manier.

— Mama ci na to nie pozwoli! — krzyknął chłopak, wyraźnie blednąc.

— Ona nie ma tu nic do powiedzenia. Twoja matka również przysparza mi jedynie samych kłopotów.

— Ale... — Chłopakowi zrzęda mina.

— Robi mi się niedobrze, Jakenie, gdy patrzę na ciebie. Taki syn to najgorsze przekleństwo, jakie może spaść na głowę ojca. Bądź posłuszny mnichom, Jakenie. Moi siostrzeńcy są o wiele lepiej wychowani od ciebie. Wcale nie jest pewne, że musisz po mnie dziedziczyć. Może na resztę swego życia zostaniesz mnichem.

— Nie możesz tego uczynić!

— Owszem, mogę.

— Mama da ci szkołę!

Szlachcic zaśmiał się zimno.

— Twoja matka zaczyna mnie już męczyć, Jakenie — powiedział. — To samolubna sekutnica, bez krzty rozumu. Wychowała ciebie tak, że tylko wstyd mi przynosisz. A poza tym nie jest już wcale taka piękna. Myślę, że na resztę życia odeślę ją do klasztoru. Modlitwa i post może przybliżą jej niebo. Ja, jako kochający mąż, mam obowiązek dbać o zbawienie jej duszy, nieprawdaż?

Z twarzy Jakena zniknęła cała zarozumiałość. Gdy w końcu dotarło do niego, że jego świat wali mu się na głowę, począł drżeć na całym ciele.

— A teraz, mój synu — ciągnął dalej szlachcic wzdorliwie — czy posłuchasz mnie, czy też mam pozwolić, by Rycerze Kościoła wymierzili ci karę, na którą sobie zasłużyłeś?

Kurik, pojmując intencje mężczyzny w czerni, obnażył wolno miecz Bevia. Towarzyszył temu niemiły dźwięk, od którego ciarki przechodziły po plecach.

Młodzieniec cofnął się na czworakach.

— Mam z sobą kilkunastu przyjaciół — odgrażał się drżącym głosem.

Kurik zmierzył go wzrokiem i splunął.

— Co z tego? — Poprawił tarczę i uniósł prawicę uzbrojoną w miecz. — Czy chcesz zatrzymać sobie jego głowę, wielmożny panie? — zapytał szlachcica uprzejmie. — Oczywiście na pamiątkę.

— Nie odważysz się! — Jaken był bliski paniki.

Kurik ruszył koniem.

— Sprawdź — powiedział głosem zdolnym poruszyć kamień. Jego miecz błysnął złowieszczo w słońcu.

Przerażony młodzieniec wdrapał się na siodło i popędził wierzchowca, za nim pospieszyli jego odziani w atłas pochlebcy.

— Czy o to chodziło, wielmożny panie? — spytał Kurik.

— Doskonale to załatwiłeś, szlachetny rycerzu. Od lat miałem ochotę sam to uczynić. — Szlachcie westchnął głośno. — Moje małżeństwo było zaaranżowane — wyjaśnił. — Rodzina żony posiadała tytuł arystokratyczny, ale tonęła w długach. Moja rodzina była bogata w pieniądze i ziemię, ale nasz tytuł nie miał większego znaczenia. Rodzice uznali, że najlepszym rozwiązaniem będzie kontrakt ślubny, choć ja i ona ledwo z sobą rozmawialiśmy. Unikałem jej, jak tylko mogłem. Ze wstydem muszę przyznać, że szukałem pocieszenia w ramionach innych niewiast. Nietrudno o miłe białogłowy, jeżeli płacisz złotem. Moja żona gustowała w towarzystwie osobników, jakich właśnie widzieliście. Gustuje jeszcze w kilku podobnych przyjemnościach oraz w czynieniu mojego życia nieznośnym. Obawiam się, że zaniedbałem swoich obowiązków.

— Ja również mam synów, wielmożny panie — powiedział Kurik, gdy wszyscy ruszyli dalej. — To dobrzy chłopcy, tylko jeden przysparza mi wielu zmartwień.

Talen wzniosł oczy do nieba, ale się nie odezwał.

— Czy daleko jedziesz, szlachetny rycerzu? — zapytał szlachcic, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

— Zmierzamy do Venne — odparł Kurik.

— Czeka was długa podróż. W pobliżu zachodniej granicy mojej posiadłości mam letni domek. Czy mógłbym zaproponować wam w nim odpoczynek? Powinniśmy dotrzeć do niego przed wieczorem, a czeladź postara się o to, aby niczego wam nie brakło. — Szlachcic spochmurniał. — Nie zapraszam was do dworu, ponieważ obawiam się, że tej nocy może tam być hałaśliwie. Żona ma bardzo donośny głos i nie przyjmie pokornie moich decyzji.

— Jesteś bardzo uprzejmy, wielmożny panie. Z radością przyjmujemy twoje zaproszenie.

— Mam nadzieję przynajmniej w ten sposób wynagrodzić wam nieodpowiednie zachowanie mojego syna. Bardzo bym chciał znaleźć jakiś sposób na to, aby sprowadzić go na dobrą drogę.

— Skórzany pas był zawsze bardzo skuteczny, wielmożny panie — poradził Kurik.

Szlachcic uśmiechnął się krzywo.

— To niezły pomysł, szlachetny rycerzu — przyznał.

Resztę popołudnia spędzili miło. Podróżowali prawie do zachodu słońca, kiedy to dotarli do „letniego domku”, który niewiele ustępował okazałością dworowi. Szlachcic wydał polecenia służbie i ponownie dosiadł konia.

— Z przyjemnością zostałbym, szlachetny rycerzu — powiedział do Kurika — ale chyba postąpię lepiej, jeżeli powrócę do domu, zanim moja żona wytłucze wszystkie naczynia. Znajdę jej jakiś wygodny klasztor i resztę moich dni przeżyję w spokoju.

— Doskonale cię rozumiem, wielmożny panie. Powodzenia.

— Szczęśliwej drogi, szlachetny rycerzu — rzucił na pożegnanie mężczyzna w czarnym kubraku, zawrócił konia i odjechał z powrotem tą samą drogą, którą przyjechali.

— Kuriku — rzekł Bevier z powagą, gdy weszli do wyłożonego marmurem przedsionka domu — przyniosłeś zaszczyt mojej zbroi. Ja przebiłbym mieczem tego młokosa już po jego drugiej uwadze.

Kurik uśmiechnął się szeroko.

— Ten sposób był o wiele zabawniejszy, panie Bevierze.

Letni domek pelozyjskiego szlachcica był wewnątrz jeszcze bardziej wspaniały, niż z zewnątrz. Ściany pokryte rzadkimi gatunkami drewna były rzeźbione w wyszukane desenie. Wszystkie posadzki i kominki wyłożono marmurem, a meble pokrywał najlepszy brokat. Służba była bardzo sprawna i nienatępna, w lot odgadywała ich wszystkie życzenia.

Sparhawk wraz z przyjaciółmi spożyli doskonałą wieczerzę w jadalni niewiele mniejszej od sali balowej.

— To dopiero życie! — westchnął Kalten z zadowoleniem. — Sparhawk, czemuż i my nie moglibyśmy żyć w odrobinę bardziej luksusowych warunkach?

— Jesteśmy Rycerzami Kościoła — przypomniał mu Sparhawk. — W ubóstwie rośnie dusza.

— Ale czy potrzeba nam jej aż tyle?

— Jak się czujesz? — zapytała Sephrenia Beviera.

— Dziękuję, o wiele lepiej — odparł cyrinita. — Już nie pluję krwią. Myślę — zwrócił się do Sparhawk — że jutro będziemy mogli ruszyć kłusem. Tracimy czas jadąc tak wolno.

— Pojedziemy powoli jeszcze jeden dzień — rzekł Sparhawk. — Zgodnie z mapą teren w okolicach Venne jest nierówny i bardzo słabo zaludniony. To idealne miejsce na zasadzki, a jesteśmy przecież śledzeni. Wszyscy trzej musicie poczuć się na tyle dobrze, byście mogli się sami obronić.

— Bericie — odezwał się Kurik.

— Słucham?

— Wyświadczysz mi pewną grzeczność przed odjazdem?

— Oczywiście.

— Skoro świt zabierz Talena na dziedziniec i przeszukaj chłopaka dokładnie. Właściciel tego domu okazał nam wielką gościnność i nie chciałbym go urazić.

— Skąd ci przyszło do głowy, że coś ukradnę? — zaprotestował Talen.

— A dlaczego nie miałyby to przyjąć mi do głowy? To tylko na wszelki wypadek. W tym domu jest sporo kosztownych drobiazgów. Niektóre z nich mogłyby przypadkowo znaleźć się w twojej kieszeni.

Czekały na nich wygodne, puchowe pośłania. Wstali o świcie i zjedli wystawne śniadanie. Potem podziękowali służbie, dosiedli wierzchowców i odjechali.

W promieniach złocistego słońca unosiły się skowronki świergocząc wesoło. Flecik wtórowała im na swej fujarce. Sephrenia sprawiała wrażenie silniejszej, ale — na wyraźne życzenie Sparhawka — nadal jechała na wozie.

Tuż przed południem zza pobliskiego wzgórza przygalopowała grupa dziko wyglądających wojowników. Odziani byli w skóry i wszyscy mieli ogolone głowy.

— Członkowie szczepu ze wschodnich marchii — ostrzegł Sparhawka Tynian, który bywał już w Pelosii. — Musimy być bardzo ostrożni. To wyjątkowo porywczy ludzie.

Dzicy niczym burza pomknęli w dół zbocza, demonstrując nadzwyczajne umiejętności konnej jazdy. Z ich pasów zwisały szerokie miecze bez pochew, w dłoniach dzierżyli krótkie dzidy, a na lewych przedramionach mieli okrągłe tarcze. Na komendę wydaną przez ich przywódcę tak ostro wstrzymali konie, że te przysiadły na zadach. Przywódca, szczupły mężczyzna o skośnych oczach i pokrytej bliznami głowie, wraz z pięcioma towarzyszami wyjechał z grupy. Pozostali ostentacyjnie rozjechali się na boki, ich ogiery paradowały dumnym krokiem. Wtem wojownicy wbili dzidy w ziemię i z wielkim rozmachem wyciągnęli błyszczące miecze.

— Nie! — rzucił ostro Tynian na widok sięgających po broń towarzyszy. — To ceremonia powitania. Stójcie w miejscu.

Mężczyzna z ogoloną głową wyjechał wolno do przodu i wtedy, na jakiś tajemny sygnał, wierzchowce przybyszów przyklękły na przednich nogach, a jeźdźcy unieśli miecze na wysokość swoich twarzy salutując.

— O Boże! — odetchnął Kalten. — Nigdy przedtem nie widziałem, aby konie robiły coś podobnego!

Faran parsknęła i Sparhawk wyczuł, że jego rumak drży ze zdenerwowania.

— Witajcie, Rycerze Kościoła — odezwał się odziany w skóry przywódca. — Pozdrawiamy was i oddajemy się pod waszą komendę.

— Czy mogę się tym zająć? — zaproponował Tynian. — Trochę znam ten lud.

— Daję ci wolną rękę — zgodził się Sparhawk, rzucając okiem w kierunku dzikusów na wzgórzu.

Tynian ruszył, ściągając krótko wodze swego czarnego rumaka, tak że stapał on wolno i miarowo.

— Radzi jesteśmy powitać Peloi. — Deirańczyk wyrecytował oficjalną formułę. — Radzi jesteśmy również waszemu powitaniu, jako że bracia zawsze powinni pozdrawiać się z należnym szacunkiem.

— Znasz nasze obyczaje, panie rycerzu — stwierdził z zadowoleniem mężczyzna o głowie poznaczonej bliznami.

— W przeszłości bywałem we wschodnich marchiach, domi — wyjaśnił mu Tynian.

— Co znaczy „domi”? — szepnął Kalten.
 — To słowo w starodawnym języku Pelosii — przyszedł mu z pomocą Ulath.
 — Oznacza ono wodza, czy coś w tym rodzaju.
 — Coś w tym rodzaju?
 — Dosłowne tłumaczenie zajęłoby zbyt wiele czasu.
 — Czy przyjmiesz ode mnie sól, panie rycerzu? — zapytał wojownik.
 — Z przyjemnością, domi — odparł Tynian, zsiadając powoli z konia. — Może doprawilibyśmy nią dobrze upieczoną baraninę?
 — Doskonała propozycja, panie rycerzu.
 — Przynieś mięso — polecił Sparhawk Talenowi. — Jest w zielonym tobołku.
 I nie dyskutuj.
 — Prędeż ugryzłbym się w język — odparł nerwowo Talen, grzebiąc w jukach.
 — Gorący dzień, prawda? — zagadnął domi, siadając ze skrzyżowanymi nogami w bujnej trawie.
 — Przed chwilą stwierdziliśmy to samo — przyznał Tynian, również siadając.
 — Jestem Kring, domi tego oddziału.
 — Jestem Tynian, rycerz Zakonu Alcjonu.
 — Domyśliłem się tego.
 Talen trochę niepewnie zbliżył się do miejsca, w którym siedzieli obaj mężczyźni, przynosząc im pieczony udziec barani.
 — Znakomicie przygotowane mięso — oznajmił Kring, odczepiając od pasa skórzany woreczek z solą. — Rycerze Kościoła dobrze jadają. — Za pomocą zębów i paznokci rozerwał baranią pieczeń i połowę podał Tynianowi. Następnie wyciągnął do niego skórzany woreczek. — Soli, bracie? — zaproponował.
 Tynian zanurzył palce w woreczku, wyciągnął solidną szczyptę i posypał swoją baraninę. Potem strzepnął z palców resztkę soli na cztery strony świata.
 — Znasz nasze obyczaje, przyjacielu Tynianie — przyznał domi. — A czy ten wspaniały młodzieniec jest twoim synem?
 — Och nie, domi — westchnął Tynian. — To dobry chłopak, ale ma długie ręce.
 — Ho, ho! — zaśmiał się Kring i poklepał Talena po plecach z taką siłą, że chłopiec aż się zatoczył. — Złodziejstwo to zaraz po wojaczce najbardziej szanowane na świecie zajęcie. Jak sobie radzisz, chłopcze?
 Talen uśmiechnął się słabo i przymrużył oczy.
 — Miałbyś ochotę mnie wypróbować, domi? — zapytał. — Chronić, co potrafisz, a ja ukradnę resztę.
 Wojownik odchylił do tyłu głowę, zanosząc się od śmiechu. Talen, jak zauważył Sparhawk, był już przy nim, a jego ręce szybko pracowały.
 — No dobrze, złodziejaszku — wykrztusił w końcu domi, rozkładając szeroko ręce. - - Kradnij, co możesz.

— Dziękuję bardzo, domi — odparł Talen z grzecznym ukłonem — ale już to zrobiłem. Wydaje mi się, że zabrałem już wszystko, co miało jakąś wartość.

Kring wybałuszył oczy i zaczął obmacywać się tu i tam ze zdumieniem.

Kurik chrząknął.

— W końcu będzie z tego jakiś pożytek — mruknął do niego Sparhawk.

— Dwie brosze — wyliczał Talen, podając kolejno przedmioty na wyciągniętej dłoni - - siedem pierścieni. . . ten z lewego kciuka jest trochę ciasny. Rubinowy wisior — ufam, że nie dałeś za niego zbyt wiele. To naprawdę pośledni kamień. Bransoleta ze złota — sprawdziłem. Myślę, że ma domieszkę miedzi. A tu ten bogato inkrustowany drogimi kamieniami sztylet i jeszcze granat z twego miecza. — Talen z zadowoleniem otrząpał dłonie.

Domi pokładał się ze śmiechu.

— Kupuję tego chłopca, przyjacielu Tynianie — oznajmił. — Dam ci za niego stado najlepszych koni i wychowam go jak własnego syna.

— Przykro mi, przyjacielu Kringu — przepraszał Tynian — ale on nie należy do mnie i nie mogę go sprzedać.

Kring westchnął.

— Potrafisz również kraść konie, chłopcze? — zapytał z rozmarzeniem.

— Konia trochę trudno byłoby znaleźć w twojej kieszeni, domi — odparł Talen — ale mógłbym się postarać.

— Genialny brzdąc — powiedział z szacunkiem wojownik. — Jego ojciec jest wielkim szczęściarzem.

— Nie zauważyłem tego — mruknął Kurik.

— Aha, młody złodzieju — powiedział Kring niemal z żalem — zdaje się, że brakuje mi również sakiewki. Wypchanej sakiewki.

— O, czyżbym o czymś zapomniał? — Talen uderzył się pięścią w czoło. — Musiała mi zupełnie wypaść z głowy. — Wyłowił sakiewkę ze skórzanej torby ukrytej pod oponczą i podał wojownikowi.

— Przelicz, przyjacielu Kringu — ostrzegł go Tynian.

— Skoro chłopiec i ja jesteśmy teraz przyjaciółmi, to zaufam jego lojalności.

Talen westchnął i z różnych zakamarków swojego odzienia wyciągnął pokazną liczbę srebrnych monet.

— Wolałbym, aby ludzie mi nie ufali — powiedział zwracając monety. — To niweczy całą przyjemność.

— Dwa stada koni! — zaproponował domi.

— Przykro mi, przyjacielu Kringu. — W głosie Tyniana brzmiał szczyry żal. — Poczestujmy się solą i porozmawiajmy.

Obaj usiedli i znów zaczęli jeść posoloną baraninę. Talen wrócił do wozu.

— Powinien był wziąć te konie — szepnął do Sparhawk. — Uciekłbym zaraz po zmroku.

— On przykułby cię łańcuchami do drzewa — powiedział Sparhawk.

— W minutę potrafię się oswobodzić z każdego łańcucha. Czy wiesz, dostojny panie, jaką wartość mają konie, na których oni siedzą?

— Wychowanie tego chłopca może potrwać dłużej, niż się spodziewaliśmy — zauważył Kalten.

— Czy potrzebujesz eskorty, przyjacielu Tynianie? — zapytał Kring. — Mamy do załatwienia jedynie drobne porachunki i z przyjemnością ich zaniechamy, aby wesprzeć nasz święty Kościół i jego czcigodnych rycerzy.

— Dziękuję, przyjacielu Kringu, ale sami poradzimy sobie z wypełnieniem naszej misji.

— Z pewnością. Dzielność Rycerzy Kościoła jest szeroko znana.

— O jakich to porachunkach wspominałeś, domi? — zapytał Tynian z ciekawością. — Rzadko widywałem Peloi tak daleko na zachód.

— Zwykle polujemy we wschodnich marchiach — przyznał Kring, odgryzając duży kawał mięsa — ale czasami zdarza się, że Zemosi próbują przedrzeć się przez granicę do Pelosii. Król płaci pół złotej korony za ich uszy. To łatwy zarobek.

— Czy król żąda obu uszu?

— Nie, tylko prawego. Musimy uważnie ciąć naszymi mieczami. Przy złym cięciu można zmarnować całe ucho. Nieważne. Razem z moimi przyjaciółmi wytropiliśmy pokaźną grupę Zemochów w pobliżu granicy. Złapaliśmy paru z nich, ale reszta uciekła. Ostatnio widzieliśmy ich na tej drodze. Kilku było rannych. Krew zostawia wyraźne ślady. Dogonimy ich i zabierzemy ich uszy... oraz złoto. To tylko kwestia czasu.

— Myślę, że będę mógł ci go trochę oszczędzić, przyjacielu Kringu — powiedział Tynian z szerokim uśmiechem. — W ciągu ostatnich dni zdarzało nam się widywać jadącą za nami dużą grupę Zemochów. Być może to są właśnie ci, których szukacie. Zresztą nie bądźmy drobiazgowi, ucho to ucho, a królewskie złoto wydaje się jednak przyjemne, nawet gdy je zarobić przypadkiem.

Kring roześmiał się z zadowoleniem.

— W rzeczy samej, przyjacielu Tynianie. A kto wie, może uda się zarobić dwie sakiewki złota. Mógłbyś powiedzieć, ilu ich jest?

— Widzieliśmy około czterdziestu. Jechali traktem z południa.

— Nie ujadą już dużo dalej — obiecał Kring, pokazując w uśmiechu podobne do wilczych kły. — To było zaiste szczęśliwe spotkanie, przyjacielu Tynianie, przynajmniej dla mnie. A może wy również zawrócilibyście, aby zasłużyć na nagrodę?

— Nie zależy nam na nagrodzie, domi — przyznał Tynian — i jesteśmy zajęci niecierpiącą zwłoki sprawą natury kościelnej. — Skrzywił się. — A poza tym, nawet gdybyśmy zdobyli nagrodę, zgodnie z naszymi ślubami musielibyśmy oddać ją Kościołowi. Jakiś gruby opat, gdzieś daleko, czerpie korzyści z naszej pracy. Nie mam ochoty wyduszać z siebie siódmych potów, aby wzbogacić człowieka,

który nie przepracował uczciwie w swoim życiu ani jednego dnia. Raczej wolę dać zarobić przyjacielowi.

Kring spontanicznie objął go i przycisnął do piersi.

— Bracie! — zakrzyknął. — Jesteś prawdziwym przyjacielem! To zaszczyt spotkać cię na swej drodze.

— Nie, to ja jestem zaszczycony, domi — powiedział poważnie Tynian.

Domi otarł zatłuszczone palce w swoje skórzane pludry.

— No cóż, musimy ruszać. Ociągając się stracimy jeszcze nagrodę. — Przerwał na chwilę. — Jesteś pewien, że nie chcesz sprzedać tego chłopca?

— On jest synem mojego przyjaciela — powiedział Tynian. — Nie miałbym nic przeciwko pozbyciu się chłopaka, ale cenię sobie przyjaźń jego ojca.

— Doskonale to rozumiem. — Kring pochylił łusą głowę w ukłonie. — Poleć mnie Bogu, gdy następnym razem będziesz z Nim rozmawiał. — Wskoczył na siodło popędzając konia i rumak ruszył z kopyta, zanim Kring zdążył się dobrze usadowić.

Ulath podszedł do Tyniana i uścisnął mu dłoń z powagą.

— Sprytny jesteś — zauważył. — Doskonale to rozegrałeś.

— Dobiliśmy uczciwego targu — powiedział skromnie Tynian. — My pozbyliśmy się Zemochów, a Kring dostał uszy. Uczciwy targ między przyjaciółmi to taki, z którego obie strony wychodzą zadowolone.

— Szczerza prawda — mruknął Ulath. — Jednakże nigdy przedtem nie słyszałem o sprzedaży uszu. Zwykle to były głowy.

— Uszy są łatwiejsze do transportu i nie wytrzeszczają na ciebie oczu za każdym razem, gdy otwierasz sakwy.

— Moi drodzy, za pozwoleniem — powiedziała cierpko Sephrenia. — W końcu są z nami dzieci.

— Przepraszam, mateczko — kajał się Ulath. — To taki zawodowy żargon.

Czarodziejka usadowiła się ponownie na wozie, mówiąc coś cicho do siebie. Sparhawk niemal z całkowitą pewnością mógł stwierdzić, że niektóre z dosłyszanych słów nigdy nie były używane w dobrym towarzystwie.

— Co to byli za ludzie? — zapytał Bevier, spoglądając za oddalającymi się szybko na południe wojownikami.

— To Peloi, wędrowni pasterze koni — odparł Tynian. — Pierwsi Eleni, którzy przybyli w te strony. Od nich wzięło nazwę królestwo Pelosii.

— Czy są naprawdę tak dzicy, jak wyglądają?

— Nawet jeszcze bardziej. Prawdopodobnie to dzięki ich obecności na granicy Otha najechał Lamorkandię, a nie Pelosię. Nikt będący przy zdrowych zmysłach nie atakuje Peloi.

Wieczorem następnego dnia dotarli nad jezioro Venne. Był to płytki zbiornik, do którego spływały wody z pobliskiego grzędzawiska, czyniąc jezioro mętym i pokrytym brunatnymi plamami. Rozbili obóz z dala od bagnistego brzegu. Flecik

wydawała się dziwnie podniecona. Gdy tylko ustawiono namiot Sephrenii, rzuciła się do jego wnętrza i nie chciała wyjść.

— Co jej się stało? — zapytał Sparhawk Sephrenię, która w zamyśleniu przy-
mknęła powieki. Wydawało się, że coś ją trapi.

— Doprawdy nie wiem — odparła marszcząc brwi. — Jakby się czegoś ba-
ła. . .

Po posiłku Sephrenia zaniósła Flecikowi wieczerzę do namiotu, a potem Spar-
hawk dokładnie wypytał każdego z rannych towarzyszy o stan zdrowia. Wszyscy
twierdzili, że czują się świetnie. Sparhawk był pewien, że mijali się nieco z praw-
dą.

— Dobrze, dobrze — poddał się w końcu. — Niech wszystko będzie znowu po
staremu. Jutro otrzymacie z powrotem wasze zbroje i spróbujemy pojechać kłu-
sem. Nie galopem, nie na wyścigi. Jak wpadniemy w kłopoty, to starajcie trzymać
się z daleka, chyba że sytuacja stanie się trudna.

— Przypomina zachowaniem starą kwokę. — Kalten trącił Tyniana łokciem
w bok.

— Jak wygrzebie robaka — odparł Tynian — będziesz musiał go zjeść.

— Dziękuję, ale jadłem już wieczerzę — odmówił grzecznie Kalten.

Sparhawk położył się spać.

Zbliżała się północ, księżyc za namiotem świecił jasno. Wtedy właśnie Spar-
hawk wyrwał ze snu okropny ryk. Rycerz usiadł wyprostowany na posłaniu.

— Dostojny panie! — dobiegł go z zewnątrz krzyk Ulatha. — Obudź wszyst-
kich! Szybko!

Sparhawk poderwał Kaltena na nogi, sam pośpiesznie wciągnął kolczugę,
schwycił miecz i wypadł z namiotu. Rozejrzał się i spostrzegł, że pozostałych
nie musi budzić. Naciągali już kolczugi i sięgali po broń. Ulath stał na skraju
obozowiska, trzymając w pogotowiu swoją okrągłą tarczę i topór. Wpatrywał się
uważnie w ciemność.

Sparhawk podszedł do niego.

— Co to jest? — zapytał cicho. — Co tak zaryczało?

— Troll — odparł Ulath krótko.

— Tu? W Pelosii? To niemożliwe! W Pelosii nie ma trolli.

— Może pójdziesz tam i jemu to powiesz?

— Jesteś zupełnie pewien, że to troll?

— Zbyt wiele razy słyszałem ten głos, abym mógł się mylić. To z pewnością
troll i w dodatku jest czymś rozwścieczony.

— Może powinniśmy rozpalić ognisko — zaproponował Sparhawk, gdy zbli-
żyli się pozostali.

— To nic nie pomoże — mruknął Ulath. — Trolle nie boją się ognia.

— Znasz ich język, prawda?

Ulath chrząknął.

— Powiedz mu, że nie chcemy go skrzywdzić — polecił Sparhawk.

— Dostojny panie — rzekł Ulath pobłażliwie — jest dokładnie na odwrót. Kiedy zaatakuje — zwrócił się do wszystkich — próbujcie zadawać ciosy w nogi. Jeżeli traficie w tułów, wyrwie wam broń z rąk i skieruje ją przeciwko wam. No, spróbuję z nim pomówić. — Zadarł do góry głowę i krzyknął coś w okropnym, gardłowym języku.

Z ciemności padła odpowiedź, przeplatana warknięciami i parsknięciami.

— Co on mówi? — zapytał Sparhawk.

— Złorzeczy. To może mu zająć z godzinę. Język trolli jest bogaty w przekleństwa. - - Ulath zmarszczył brwi. — Nie wydaje się wcale taki pewny siebie — powiedział zagadkowo.

— Być może stał się ostrożny, kiedy zobaczył, że jest nas tylu — zasugerował Bevier.

— One nie wiedzą, co to ostrożność. Widywałem, jak samotny troll atakował otoczone murami miasto.

Z ciemności dobiegł ich inny chrapliwy ryk, tym razem z bliższej odległości.

— A to co znaczy? — Ulath był wyraźnie zakłopotany.

— Co usłyszałeś? — zapytał Sparhawk.

— Zarzuca nam, że nasłaliśmy na niego złodzieja.

— Talena?

— Raczej nie. Jakże Talen mógłby okraść trollowi kieszenie? One nie mają kieszeni.

Wtem z namiotu Sephrenii rozległ się dźwięk fujarki Flecika. Melodia była surowa i pełna nieokreślonej groźby. Po chwili bestia ukryta w ciemności wydała ryk pełen bólu i zawodu. Wycie zaczęło się oddalać, cichnąc coraz bardziej.

— Powinniśmy wszyscy mocno wyściskać tę dziewczuszkę — zaproponował Ulath.

— Co się stało? — zapytał Kalten.

— Jakim cudem go odpędziła? Nigdy jeszcze nie widziałem, aby troll przed czymkolwiek uciekał. Byłem świadkiem, jak jeden z nich próbował atakować lawinę. Myślę, że powinniśmy porozmawiać z Sephrenią. Dzieje się tu coś, czego nie rozumiem.

Jednakże Sephrenia była zakłopotana nie mniej od nich. Trzymała płaczącą Flecik na rękach.

— Proszę, zostawcie ją teraz w spokoju — powiedziała łagodnie. — Jest bardzo wzburzona.

— Stanę z tobą na warcie, mój małomówny druho — powiedział Tynian do Ulatha, gdy wyszli z namiotu. — Ten ryk zmroził mi krew w żyłach. Nie mógłbym teraz zasnąć.

Troll raz wystraszony więcej się nie odezwał ani nie pokazał. Dwa dni później dotarli do miasta. Venne nie było zbyt atrakcyjnym miejscem. Ponieważ lokalny

podatek był zależny od powierzchni parteru każdego domu, mieszkańcy obchodzili prawo nadbudowując o wiele szersze wyższe piętra. W większości wypadków występy były tak duże, że uliczki nawet w południe przypominały wąskie, ciemne tunele. Zatrzymali się w najczystszej zajeździe, jaki mogli znaleźć, i Sparhawk wyruszył wraz z Kurikiem na poszukiwanie informacji.

Nie wiadomo dlaczego obywatele Venne na dźwięk słowa „Ghasek” robili się bardzo nerwowi. Udzielali wymijających i sprzecznych odpowiedzi i zwykle bardzo szybko się oddalali.

— Tutaj — powiedział krótko Kurik, wskazując na zataczającego się mężczyznę, który opuszczał gospodę. — Jest zbyt pijany, by uciekać — dodał.

Kurik nie przebierał w środkach. Schwycił pijaka za kark, zaciągnął go na koniec ulicy i wsadził mu głowę pod znajdującą się tam fontannę.

— A teraz — zagadnął przyjaźnie — myślę, że się zrozumiemy. Zadam ci kilka pytań, a ty mi na nie odpowiesz, bo inaczej będą ci musiały wyrosnąć skrzela.

Venneńczyk bełkotał coś, zanosząc się od kaszlu. Kurik klepał go po plecach, dopóki paroksyzm nie minął.

— Już chyba w porządku — powiedział giermek. — Pierwsze pytanie brzmi: Gdzie znajduje się Ghasek?

Pijany zrobił się biały na twarzy, a oczy ze strachu wyszły mu z orbit.

Kurik ponownie zanurzył mu głowę w fontannie.

— To zaczyna być nudne — zwrócił się do Sparhawka tonem spokojnej pogawędki, patrząc na bąble wydobywające się na powierzchnię wody. Wyciągnął pijaka za włosy. — Może być jeszcze mniej przyjemnie, przyjacielu — ostrzegł. — Naprawdę uważam, że powinieneś zacząć z nami współdziałać. Spróbujmy jeszcze raz. Gdzie znajduje się Ghasek?

— Na-na północy — wykrztusił mieszkaniec Venne, plując wodą. Wydawał się teraz prawie trzeźwy.

— To wiemy. Jaka drogą powinniśmy pojechać?

— Wyjedźcie przez północną bramę. Około pół ligi od miasta droga się rozwidla. Pojedźcie w lewo.

— Dobrze się spisujesz. Popatrz, jesteś już prawie suchy. Jak daleko jest do Ghasku?

— O-około czterdziestu lig. — Biedak wił się w żelaznym uścisku Kurika.

— Ostatnie pytanie — obiecał giermek. — Dlaczego wszyscy w Venne pocą się ze strachem, gdy tylko usłyszą nazwę „Ghasek”?

— To-to jest o-okropne miejsce. Dzieją się tam rze-rzeczy zbyt straszące, by je opisywać.

— Nie należę do wrażliwych — zapewnił go Kurik. — No, dalej. Wstrząśnij mną.

— Oni tam piją krew... i kąpią się w niej... a nawet żywią się ludzkim mięsem. To najohydniejsze miejsce na świecie. Już samo wspomnienie jego nazwy

ściąga na głowę kłatwę. — Venneńczyk wzdrygnął się i zaczął płakać.

— No już cicho, cicho! — Kurik oswobodził nieszczęśnika i poklepał go do-
brotnie po plecach. Następnie dał mu monetę. — Może wróciłbyś do gospody
i spróbował się osuszyć?

Pijaczek oddalił się pośpiesznie.

— Z opisu wynika, że nie jest to zbyt miłe miejsce, prawda? — powiedział
giermek.

— Owszem — przyznał Sparhawk — ale udamy się tam mimo wszystko.

Rozdział 13

Następnego ranka ruszyli konno mrocznymi uliczkami w blasku wiszących co kilkanaście kroków pochodni. Wóz zostawili u właściciela zajazdu, jako że droga, którą mieli jechać, nie cieszyła się opinią najlepszej. Sparhawk zdał relację swoim towarzyszom z tego, co poprzedniego dnia udało się Kurikowi wydusić z nieszczęsnego pijaczyny, toteż po minięciu północnej bramy Venne wszyscy rozglądali się ostrożnie dookoła.

— To pewnie tylko miejscowe przesady — kpił Kalten. — Zdarzało mi się już nieraz słyszeć przeróżne okropne opowieści, które, jak się później okazywało, dotyczyły wydarzeń sprzed wieków.

— Rzekniesz, że to brzmi trochę rozsądnie — przyznał Sparhawk. — Garbarz z Paleru twierdził, że hrabia Ghasek jest uczonym. Tacy ludzie raczej nie gustują w równie egzotycznych uciechach. Zachowajmy jednak ostrożność. Jesteśmy daleko od domu i trochę trudno byłoby wezwać pomoc.

— Zostanę nieco z tyłu — zgłosił się na ochotnika Berit. — Myślę, iż pewność, że owi Zemosi za nami nie jadą, znacznie poprawi nam nastrój.

— Chyba możemy polegać na sprawności domi Kringa — powiedział Tynian.

— Jednakże... — zaczął nowicjusz.

— Słusznie, Bericie — zgodził się Sparhawk. — Lepiej nie ryzykować.

Jechali krótkim galopem; o wschodzie słońca dotarli do rozwidlenia dróg. Droga biegnąca w lewo była pożłobiona koleinami, wąska i źle utrzymana. Padający kilka dni temu deszcz sprawił, iż rozmokła i nie wyglądała zachęcająco, tym bardziej że jej pobocza porastały gęste krzaki.

— Musimy zwolnić — mruknął Ulath. — To paskudna droga i z pewnością za tamtymi wzgórzami wcale się nie poprawi. — Spojrzał w kierunku pasma niskich gór porośniętych lasami, leżących tuż przed nim.

— Pojedziemy najszybciej, jak będzie można — rzekł Sparhawk — ale masz rację. Czterdzieści lig to spora odległość, a zła droga nie sprawi, aby wydawała się mniejsza.

Ruszyli klusem rozmokłą drogą, która, zgodnie z przewidywaniami Ulatha, robiła się coraz gorsza. Po blisko godzinie wjechali w las. Wiecznie zielone drze-

wa rzucały ponury cień, ale panujące tu wilgoć i chłód przyniosły wytchnienie zakutym w zbroje rycerzom. Około południa zatrzymali się krótko na posiłek, składający się z chleba i sera, a potem ruszyli dalej, wjeżdżając coraz wyżej i wyżej w góry.

Okolica była złowroźnie wyludniona i nawet ptaki w większości milczały, jedyny wyjątek stanowiły czarne niczym sadza kruki, których krakanie zdawało się dobiegać z każdego drzewa. Gdy nad ponurym lasem począł zapadać zmierzch, Sparhawk powiódł swoich towarzyszy daleko w bok od drogi i rozbili obóz na noc.

Posepny las okiełznał nawet niepohamowanego Kaltena; podczas wieczerzy wszyscy zachowywali się bardzo cicho i zaraz potem udali na spoczynek.

Około północy Ulath obudził Sparhawk, by przejął wartę.

— Zdaje się, że jest tu sporo wilków — powiedział cicho genidianita. — Oprzyj się plecami o drzewo.

— Nigdy nie słyszałem, żeby wilk zaatakował człowieka — odparł Sparhawk równie cicho, nie chcąc obudzić pozostałych.

— Zwykle tego nie robią — mruknął Ulath — chyba że są wściekłe.

— Pociuszająca uwaga.

— Rad jestem, że ci przypadła do gustu. Idę spać. To był długi dzień.

Sparhawk opuścił krąg rzucanego przez ogień światła i wszedł w głąb lasu. Musiał oswoić wzrok z ciemnością. Z leśnej głuszy dobiegało go wycie wilków. Pomyślał, że odkrył źródło wielu opowieści krążących na temat Ghasku. Już sam ten ponury las wystarczał, by wzbudzić lęk u zabobonnych ludzi. A gdy do tego dodać stada kruków — ptaków zawsze uważanych za zły omen — i mrozące krew w żyłach wycie watah wilków, to nie dziwno, skąd wzięły się te opowieści. Sparhawk ostrożnie obszedł obóz, patrząc i nasłuchując uważnie.

Czterdzieści lig. Biorąc pod uwagę coraz gorszą drogę, niepodobna, by robili więcej niż dziesięć lig dziennie. Sparhawk irytowało wolne tempo jazdy, ale nic na to nie mógł poradzić. Muszą jechać do Ghasku. Przemknęła mu przez głowę myśl, że równie dobrze hrabia mógł nie znaleźć nikogo, kto wiedziałby cokolwiek na temat grobu króla Saraka, a wtedy ta mozolna i czasochłonna wędrówka byłaby daremna. Pośpiesznie odpędził od siebie te myśli.

Nadal obserwując leniwie otaczający ich las, pogrążył się w marzeniach. Stał się sobie wyobrazić, jak wyglądać będzie jego życie, gdy uda im się uzdrowić królową. Znał Ehlanę jedynie jako dziecko; teraz nie była już dziewczynką. Z kilku informacji, które do niego dotarły, mógł domyślać się jej charakteru, ale nie było to nic na tyle konkretnego, aby czuł, iż ją zna. Będzie dobrą władczynią, co do tego nie miał wątpliwości, ale jaką była kobietą?

W mroku dostrzegł jakiś ruch. Przystanął i sięgnął po miecz, wpatrując się z uwagą w ciemność. Zobaczył parę płonących, zielonych ślepi, w których odbijało się światło padające od ogniska. To był wilk. Zwierzę wpatrywało się dłuższy

czas w płomienie, a potem zawróciło i umknęło cicho w głąb lasu.

Sparhawk dopiero teraz spostrzegł, że wstrzymywał oddech. Gwałtownie wypuścił powietrze. Nikt nigdy naprawdę nie jest przygotowany na spotkanie z wilkiem, i chociaż rycerz zdawał sobie sprawę z bezpodstawności obaw, to ciarki przebiegły mu po plecach.

Wszedł księżyc. Ciemny las w jego bladym świetle wcale nie wydawał się bardziej bezpieczny. Sparhawk spojrzął do góry i zobaczył nadciągające chmury. Stopniowo przesłaniały tarczę księżyca i nieubłagane gromadziło się ich coraz więcej.

— No, wspaniale — mruknął rycerz. — Tylko tego nam trzeba: jeszcze trochę deszczu. — Potrząsnął głową i ruszył dalej, próbując wzrokiem przebić ciemności.

Jakiś czas potem zastąpił go Tynian i mógł wrócić do swojego namiotu. Zasnął. Nagle usłyszał:

— Dostojny panie!

To Talen delikatnym potrząśnięciem za ramię obudził potężnego pandionitę. Rycerz usiadł na posłaniu. Wyczuł w głosie chłopca nagłą nutę.

— Tam coś jest — mówił Talen.

— Wiem. Wilki.

— To nie był wilk, chyba że nauczył się chodzić na zadnich łapach.

— Co widziałeś?

— Coś było w cieniu tamtych drzew. Nie widziałem dokładnie, ale wydawało mi się, że nosiło szatę, która nie pasowała na niego zbyt dobrze.

— Szukacz?

— Skąd mam wiedzieć? To coś mignęło mi jedynie przed oczyma. Wyszło na skraj lasu, a potem znów zniknęło w ciemności. Pewnie w ogóle bym go nie zauważył, gdyby nie blask bijący z jego twarzy.

— Zielony?

Talen skinął głową.

Sparhawk zaklął.

— Daj mi znać, kiedy zbraknie ci słów — zaofiarował się Talen. — Potrafię całkiem niezłe przeklinać.

— Ostrzegłeś pana Tyniana?

— Tak.

— A czemu jesteś na nogach?

Talen westchnął.

— Na jakim ty świecie żyjesz, dostojny panie? — spojrzął pobłaźliwie na rycerza. — Żaden złodziej nie śpi nigdy dłużej niż dwie godziny naraz.

— Nie wiedziałem o tym.

— Życie złodzieja jest nerwowe, ale nie pozbawione pewnych przyjemności.

Sparhawk położył dłoń na karku Talena.

— Mam zamiar uczynić z ciebie normalnego chłopca — powiedział.

— Po co sobie zawracasz tym głowę? Dawno już z tego wyrośłem. Może i byłoby miło biegać i bawić się, ale sytuacja była taka, a nie inna. . . To, co teraz robię, jest nawet ciekawsze. Idź spać, dostojny panie. Ja i pan Tynian dopilnujemy tu wszystkiego. Och, a tak przy okazji, jutro pewnie będzie padać.

Ale następnego ranka nie padało, chociaż ciemne chmury przesłaniały niebo. Wczesnym przedpołudniem Sparhawk wstrzymał Farana.

— Co się stało? — zapytał Kurik.

— Tam, w tej dolince, jest wioska.

— Czego ci ludzie szukają w lesie? Nie można uprawiać przecież ziemi pośród tych wszystkich drzew.

— Trzeba będzie ich o to zapytać. Żyją bliżej Ghasku niż mieszkańcy Venne, więc może uda nam się zebrać trochę więcej informacji na interesujący nas temat. Nie ma co się pchać na ślepo tam, dokąd można dotrzeć przy świetle pochodni. Kaltenie! — zawołał.

— Co znowu? — odezwał się jasnowłosy rycerz.

— Pojedziesz razem z pozostałymi dalej. Kurik i ja mieszkańcom tej wioski zadamy kilka pytań. Dogonimy was.

— W porządku — odparł Kalten szorstkim i trochę grubiańskim tonem.

— O co ci chodzi?

— Te lasy mnie przygnębiają.

— To tylko drzewa, Kaltenie.

— Wiem, ale czy musi ich być tak wiele?

— Miej oczy otwarte. Gdzieś tu jest szukacz.

Kaltenowi pojaśniało spojrzenie. Wyciągnął miecz i sprawdził kciukiem jego ostrze.

— Co ci chodzi po głowie? — zapytał go Sparhawk.

— Może nadarzy się długo oczekiwana przez nas okazja, żeby pozbyć się tego czegoś raz na zawsze. Ten owad Othy jest bardzo chudy. Przepołowią go jednym dobrym cięciem. Myślę, że zostanę po prostu trochę z tyłu i urządzę na niego po swojemu zasadzkę.

Sparhawk szybko rozważył tę propozycję.

— Zgrabny plan. — Wydawało się, że wyraża zgodę. — Ale ktoś powinien poprowadzić nasz oddział w bezpieczne miejsce.

— Pan Tynian może to uczynić.

— Być może, ale czy powierzyłbyś życie Sephrenii komuś, kogo znasz zaledwie od sześciu miesięcy i kto ciągle jeszcze leczy się z ran?

Kalten obrzucił przyjaciela stekiem wyzwisk.

— Służba nie drużba — rzekł Sparhawk ze spokojem. — Tak, służba. Jej surowe wymogi pozbawiają nas różnych przyjemności. Szukaczem zajmiemy się później.

Kalten dalej miotał przekleństwa. Potem pognał konia i pojechał na czoło oddziału.

— Miałeś rację nie dopuszczając tu do walki — powiedział Kurik.

— Wiem.

— Kalten jest dobrym wojownikiem, ale czasami zbyt porywczym.

Obaj zawrócili konie i zjechali z boczem w kierunku wioski.

Chaty kryte darnią były zbudowane z drewnianych bali. Mieszkańcom wioski udało się wyrąbać trochę pobliskich drzew i dookoła osady ciągnęły się pola oznaczone pniakami.

— Oczyszcili teren — zauważył Kurik — ale nie ma tu nic poza przydomowymi ogródkami. Nadal zastanawiam się, co oni tu robią.

Wszystko stało się jasne, gdy tylko dojechali na miejsce. Kilku mieszkańców wioski cięło na deski bale, leżące na prymitywnych kozłach. Stosy świeżo ściętego drzewa leżące obok domów wyjaśniały wszystko.

Jeden z mężczyzn przerwał piłowanie i otarł czoło rękawem brudnej koszuli.

— Tu nie ma zajazdu — zwrócił się do Sparhawk nieprzyjaznym tonem.

— Nie szukamy zajazdu, ziomku, a jedynie pewnych informacji. Jak daleko jeszcze jest do domu hrabiego Ghaska?

Drwal pobladł nieznacznie.

— Nie dość daleko, bym mógł żyć spokojnie, dostojny panie. — Rzucił nerwowe spojrzenia na rosłego pandionitę w czarnej zbroi.

— Nie pojmujemy tych słów, przyjacielu — stwierdził Kurik.

— Nikt rozsądny nie zbliża się do Ghasku — wyjaśnił drwal. — Większość ludzi nie chce nawet o tym miejscu mówić.

— Słyszeliśmy już coś podobnego w Venne — przypomniał sobie Sparhawk. — A co właściwie dzieje się w domu hrabiego?

— Całej prawdy nie znam, dostojny panie — rzekł drwal wymijająco. — Nigdy tam nie byłem. Słyszałem jednak różne opowieści na ten temat.

— Jakie?

— Tam znikają ludzie. Nigdy ich potem nie widziano, więc nikt nie wie, co się z nimi stało. Chłopi hrabiego uciekli, chociaż nie ma on opinii złego pana. Coś niedobrego dzieje się w jego domu i wszyscy żyjący w pobliżu są przerażeni.

— Sądzisz, że hrabia jest za to odpowiedzialny?

— Chyba nie. Przez cały ostatni rok nie było go w domu. Dużo podróżuje.

— Słyszeliśmy o tym. — Sparhawk zastanowił się przez chwilę. — Powiedz mi, ziomku, czy widywałeś ostatnio Styrików?

— Styrików? Nie, oni nie bywają w tym lesie. Tutejsi mieszkańcy ich nie lubią i nie kryją tego.

— Rozumiem. Powiedziłeś, że jak daleko jest do domu hrabiego?

— Nie powiedziałem. Około piętnastu lig.

— W Venne mówiono nam, że do Ghasku jest czterdzieści lig — wtrącił Kurik.

Mieszkaniec wioski prychnął pogardliwie.

— Miastowi nawet nie wiedzą, co to jest liga. — Wzruszył ramionami. — Z Venne do Ghasku nie powinno być dużo więcej niż trzydzieści lig.

— Ostatniej nocy widzieliśmy kogoś w lesie. — Kurik zmienił temat. Zdało się, że prowadzi miłą pogawędkę. — Był odziany w czarną szatę i miał naciągnięty kaptur. Czy mógł to być któryś z twoich sąsiadów?

Drwał pobał jak chusta.

— Tu w okolicy nikt nie nosi takiego odzienia — rzucił krótko.

— Jesteś tego pewien?

— Słyszałeś, co powiedziałem. Nikt w tej okolicy tak się nie ubiera.

— A więc musiał to być jakiś podróżny.

— Tak. — Drwał stał się opryskliwy. Patrzył nieprzyjaźnie, a w jego oczach pojawiła się wściekłość.

— Dziękuję, że poświęciłeś nam tyle czasu, ziomku — rzekł Sparhawk. Zawrócił Farana.

— On wie więcej, niż mówi — zauważył Kurik, gdy mijali ostatnie domy.

— Masz rację — przyznał Sparhawk. — Nie dostał się we władanie szukacza, lecz jest bardzo wystraszony. Pośpieszmy się. Chcę dogonić pozostałych przed zmrokiem.

Spotkali przyjaciół wkrótce po tym, jak słońce zarumieniło się na zachodzie. Obóz rozbili w pobliżu spokojnego, górskiego jeziora, niedaleko drogi.

— Sądziś, że będzie padać? — zapytał Kalten, gdy po zjedzeniu wieczery odpoczywali wokół ogniska.

— Nie kracz — jęknął Talen. — Dopiero co wyschnąłem po tym, jak zmokłem w Lamorkandii.

— To oczywiście zawsze jest możliwe — odpowiedział Kurik na pytanie Kaltena. — O tej porze roku często pada, ale nie czuję, by deszcz wisiął w powietrzu. Berit powrócił z miejsca, w którym były uwiązane konie.

— Dostojny panie Sparhawk — powiedział cicho — ktoś nadchodzi.

Sparhawk poderwał się na nogi.

— Ilu ich jest?

— Słyszałem tylko jednego konia. Ten ktoś przybywa drogą z kierunku, w którym zmierzamy. — Nowicjusz przerwał. — Bardzo pogania konia — dodał.

— To niezbyt mądre — mruknął Ulath — biorąc pod uwagę ciemności i stan tej drogi.

— Mamy zagasić ognisko? — zapytał Bevier.

— Myślę, że już je dostrzegł, panie Bevierze — odparł Berit.

— Zobaczmy, czy się zatrzyma — powiedział Sparhawk. — Nie ma co obawiać się samotnego podróżnego.

— Chyba że jest szukaczem. — Kurik potrząsnął swoim obuchem. — Rozdzielić się i być w pogotowiu — polecił szorstkim tonem.

Rycerze czterech zakonów posłuchali komendy giermka. Zdawali sobie sprawę, że Kurik wie więcej o walce wręcz niż każdy z nich. Sparhawk wyciągnął miecz, ogarnięty nagłą dumą z przyjaciela.

Podróżny wstrzymał konia na drodze w pobliżu obozowiska. Wyraźnie słyszeli, jak koń ciężko dyszy.

— Czy mogę się zbliżyć? — zapytał człowiek z ciemności. Głos mu drżał i zdawało się, że mówiący był o krok od hysterii.

— Podejdź, nieznajomy przybyszu — odparł Kalten swobodnie, rzuciwszy w pierw szybkie spojrzenie na Kurika.

Człowiek, który wyjechał z mroku, był bogato, a nawet krzykliwie odziany. Nosił kapelusz z szerokim rondem ozdobiony piórami, czerwony aksamitny ku-brak, niebieskie nogawice i skórzane buty do kolan. Na plecach miał przewieszoną lutnię; oprócz małego sztyletu u pasa nie posiadał broni. Jego koń zataczał się z wyczerpania, a i sam jeździec nie wydawał się w lepszej kondycji.

— Dzięki Bogu — powiedział człowiek na widok zbrojnych rycerzy stojących dookoła ogniska. Chwiał się niebezpiecznie w siodle i byłby spadł, gdyby Bevier nie podskoczył i go nie złapał.

— Ten biedak jest zupełnie wykończony — zauważył Kalten. — Zastanawiam się, co go goni.

— Może wilki — wzdrygnął się Tynian. — Spodziewam się, że nam powie, gdy tylko złapie oddech.

— Daj mu wody, Talenie — poleciła Sephrenia.

— Śpieszę, szlachetna pani. — Chłopak wziął wiaderko i pobiegł nad jezioro.

— Poleż przez chwilę — powiedział nieznajomemu Bevier. — Jesteś już bezpieczny.

— Nie ma czasu — wydyszał nieszczęśnik. — Muszę wam powiedzieć o czymś niezmiernie ważnym.

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — zapytał Kalten.

— Jestem Arbel, minstrel — odparł nieznajomy. — Piszę wiersze i komponuję piosnki, które śpiewam ku uciesze panów i dam. Przybywam właśnie z domu tego potwora, hrabiego Ghaska.

— To nie brzmi zbyt zachęcająco — mruknął Ulath.

Talen przyniósł w wiadrze wodę i Arbel zaczął pić łąpczywie.

— Zaprowadź jego konia nad jezioro — rzekł Sparhawk do chłopca. — Tylko nie pozwól mu za dużo pić. — Następnie zwrócił się do minstrela: — Czemu nazywasz hrabiego potworem?

— Jak inaczej nazwać człowieka, który zamyka w wieży pannę o nieposzlakowanym honorze?

— Kim jest ta panna o nieposzlakowanym honorze? — spytał Bevier z dziwnym napięciem w głosie.

— To jego własna siostra! — wykrztusił Arbel gwałtownie. — Dama niezdolna do czynienia zła.

— Powiedział ci, dlaczego to uczynił? — zapytał Tynian.

— Nie chciałem go słuchać. Bełkotał jakieś nonsensy, oskarżając ją o ohydne nieprawości.

— Jesteś tego pewien? — Kalten skrzywił się z niedowierzaniem. — Czy w ogóle widziałeś tę damę?

— No cóż... nie, niezupełnie, ale opowiedziała mi o niej służba hrabiego. Mówili, że jest najpiękniejszą panną w okolicy. Hrabia zamknął ją w tej wieży, kiedy wrócił z podróży. Wygnał z zamku mnie i całą służbę, a teraz zamierza swoją siostrę więzić przez resztę jej życia.

— Potworne! — Oczy Beviera płonęły oburzeniem.

Sephrenia obserwowała uważnie minstrela. Wtem z dziwną u niej gwałtownością odwołała Sparhawk'a od ogniska. Odeszli oboje, za nimi podążał Kurik.

— O co chodzi? — zapytał rycerz, gdy inni nie mogli już ich usłyszeć.

— Nie dotykaj go — uprzedziła czarodziejka — i ostrzeż pozostałych.

— Nie rozumiem.

— Z nim coś jest nie w porządku, Sparhawk'u — powiedział Kurik. — Patrzy nie tak i za szybko mówi.

— Jest czymś skażony. — Sephrenia pokiwała głową.

— Jakaś choroba? — Sparhawk drgnął na dźwięk tego słowa. W świecie, w którym szalały zarazy, słowo to brzmiało niczym wezwanie na sąd ostateczny.

— Nie w tym sensie, o jakim myślisz — odparła. — To nie choroba ciała. Coś opanowało jego umysł, coś złego.

— Szukacz?

— Nie, raczej nie. Objawy są inne. Mam silne przeczucie, że to może być zaraźliwe, więc trzymaj wszystkich z dala od niego.

— On mówi — zauważył Kurik — i nie ma tego tępego wyrazu twarzy. Myślę, że masz rację, Sephrenio. Nie wierzę we wpływ szukacza. To coś innego.

— On jest teraz bardzo groźny — powiedziała czarodziejka.

— Nie na długo. — Kurik z ponurą miną sięgnął po swój obuch.

— Och, Kuriku — westchnęła z rezygnacją — uspokój się. Co powiedziałaaby Aslade na wieść o tym, że napadasz na bezbronnych podróżnych?

— Przecież nie musimy jej o tym mówić, Sephrenio!

— Kiedy wreszcie nadejdzie dzień, w którym Eleni przestaną załatwiać wszystko za pomocą broni? — Czarodziejka była pełna niesmaku. Rzeka coś po styricku.

— Przetłumacz, mateczko — poprosił Sparhawk.

— Nieważne, mój drogi.

— Jest jednak pewien problem. — Kurik mówił z powagą. — Jeżeli minstrel zaraża, to pan Bevier jest już chory. Podtrzymał go, by nie spadł z konia.

— Będę obserwowała pana Beviera. Może ochroniła go zbroja. Za chwilę się tego dowiem.

— A Talen? — zapytał Sparhawk. — Czy dotknął minstrela, gdy podawał mu wiadro z wodą?

— Chyba nie. — Sephrenia niezdecydowanie potrząsnęła głową.

— Czy potrafiłabyś uleczyć pana Beviera, gdyby się zaraził? — zapytał Kurik.

— Nie wiem nawet jeszcze, co to jest. Wiem jedynie, że coś zawaładnęło minstrelem. Wracajmy i spróbujmy innych trzymać od niego z daleka.

— Wzywam was, Rycerze Kościoła — mówił Arbel piskliwym głosem — jedźcie bezzwłocznie do siedziby niegodziwego hrabiego. Ukarajcie go za wszystkie okrucieństwa i uwolnijcie jego piękną siostrę od niezasłużonej kary.

— Jedźmy! — Bevier poparł go żarliwie.

Sparhawk rzucił Sephrenii krótkie spojrzenie, a ona ze smutkiem skinęła głową. Wiedzieli już, że Bevier został zarażony.

— Zostań z nim, panie Bevierze — rzekła czarodziejka do alcjonity. — A wy chodźcie ze mną.

Odeszli nieco od ogniska i cicho wyjaśniła im sytuację.

— A teraz pan Bevier jest też zarażony? — zapytał Kalten.

— Obawiam się, że tak. Już zaczął zachowywać się nierozsądnie.

— Talenie — powiedział Sparhawk z powagą — czy dotknąłeś minstrela, gdy podawałeś mu wiadro z wodą?

— Chyba nie — odparł chłopiec.

— Czy nachodzi cię ochota na bieganie tam i z powrotem i ratowanie dam z opresji? — zapytał go Kurik.

— Ja? Przecież nie zwariowałem!

— Nic mu nie jest. — Sephrenia odetchnęła z ulgą.

— Co teraz zrobimy? — zastanawiał się Sparhawk.

— Jak najszybciej pojedziemy do Ghasku — zdecydowała czarodziejka. — Muszę się dowiedzieć, co wywołuje chorobę, zanim przystąpię do leczenia. Musimy dostać się do tego zamku, nawet gdyby trzeba było użyć siły.

— Damy sobie radę — mruknął Ulath — ale co zrobimy z tym minstrelem? Jeżeli potrafi dotykem zarazić innych, to może wrócić na czele całej armii.

— Jest na to prosty sposób. — Kalten położył dłoń na rękojeści miecza.

— Nie — powiedziała ostro Sephrenia. — Uśpię go. Przyda mu się kilka dni odpoczynku. — Spojrzała na Kaltena surowo. — Dlaczego zawsze twoją pierwszą reakcją na wszystkie kłopoty jest sięgnięcie po miecz?

— To chyba z przemęczenia. — Jasnowłosy rycerz wzruszył ramionami.

Sephrenia zaczęła recytować zaklęcie, splatając je w palcach i uwalniając po cichu.

— A pan Bevier? — zapytał Tynian. — Może i jego uspić?
Czarodziejka potrząsnęła głową.
— Musi być zdolny do jazdy — wyjaśniła. — Nie zostawimy go tu. Po prostu trzymajcie się poza zasięgiem jego rąk. Mam już wystarczająco dużo kłopotów.
Podeszli do ogniska.
— Zasnął biedak — zdawał relację Bevier. — Czy pozostaniemy obojętni na krzywdę tej szlachetnej damy?
— Jutro rano pojedziemy do Ghasku — odparł Sparhawk. — Tylko proszę, panie Bevierze — dodał — wiem, jak bardzo poruszyła cię ta sprawa, ale staraj się panować nad swoimi uczuciami, dopóki tam nie dotrzemy. Nie sięgaj po miecz i trzymaj język za zębami. Zorientujmy się w sytuacji, nim podejmiemy jakieś działania.
— To brzmi roztropnie — przyznał Bevier niechętnie. — Kiedy tam dotrzemy, udam, że jestem chory. Nie jestem pewien, czy mógłbym opanować swój gniew, gdyby mi przyszło zbyt wiele razy patrzeć w twarz niegodziwca.
— Dobry pomysł — zgodził się Sparhawk. — Przykryj minstrela kocem i połóż się spać. Jutro czeka nas ciężki dzień.
Począł, aż Bevier się oddalił i cicho zwrócił się do rycerzy:
— Nie budźcie go na wartę. Nie chcę, by wpadł na pomysł samotnej wycieczki w środku nocy.
Skinęli głowami i rozeszli się do namiotów.
Ranek wstał smutny. Gęste, szare chmury sprawiały, że w posępnym lesie panował półmrok. Po śniadaniu Kurik rozbił namiot nad uspiętym minstrelem.
— Na wypadek deszczu — powiedział.
— Nic mu nie jest? — zapytał Bevier.
— To tylko zmęczenie — odparła wymijająco Sephrenia. — Pozwól mu spać.
Dosiedli koni i wyjechali naznaczony koleinami trakt. Sparhawk poprowadził ich najpierw kłusem, aby rozgrzać konie, a potem przez pół godziny zmuszał Farana do galopu.
— Obserwujcie drogę! — zawołał do towarzyszy. — Nie okulawmy koni.
Jechali ostro przez mroczny las, zwalniając od czasu do czasu, by dać wytchnienie wierzchowcom. Wraz z upływem dnia coraz częściej dawały się słyszeć grzmoty od zachodu. Wobec nadciągającej burzy wszyscy zapragnęli jak najszybciej dotrzeć do zamku, choć wątpili, czy znajdą tam bezpieczne schronienie.
Mijali wyludnione, zaniedbane wioski. W górze kłębiły się burzowe chmury, grzmoty zbliżały się coraz bardziej.
Późnym popołudniem wyjechali z zakrętu i ich oczom ukazało się zamczysko. Było usadowione na szczycie stromej skały, wznoszącej się na przeciwległym skraju równiny, gdzie opuszczone, zrujnowane chaty tuliły się do siebie jakby z obawy przed górującą nad nimi posępną budowlą. Sparhawk ściągnął wodze Farana.

— Nie szarżujmy — zwrócił się do towarzyszy. — Lepiej, aby ludzie w zamku nie pojęli opacznie naszych zamiarów — dodał, po czym powiódł ich kłusem przez równinę. Minęli wioskę i dotarli do podnóża wysokiej skały.

W górę stromego zbocza prowadziła wąska ścieżka, którą ruszyli gęsiego.

— Ponure miejsce — mruknął Ulath, zadzierając głowę, aby spojrzeć na tkwiącą na szczycie budowlę.

— Ten widok raczej odstrasza gości — przyznał Kalten.

Ścieżka doprowadziła ich do zaryglowanej na głucho bramy. Sparhawk wstrzymał konia, pochylił się w siodle i uderzył w bramę pięścią odzianą w stalową rękawicę.

Czekali, ale nic się nie wydarzyło.

Sparhawk uderzył ponownie.

Po pewnym czasie otworzył się mały judasz pośrodku bramy.

— Kto tam? — zapytał ktoś głucho.

— Jesteśmy podróżnymi — rzekł Sparhawk — i szukamy schronienia przed nadciągającą burzą.

— Do tego domu nie wpuszcza się obcych,

— Otwórz bramę — polecił Sparhawk beznamiętnie. — Jesteśmy Rycerzami Kościoła i odmowa udzielenia nam schronienia to obraza Boga.

Człowiek ukryty za bramą się zawahał.

— Muszę hrabiego zapytać o zgodę — powiedział w końcu głębokim, dudniącym głosem.

— A więc uczyni to natychmiast.

— Niezbyt obiecujący początek — zauważył Kalten.

— Strażnicy przy bramach czasami podchodzą do swego zajęcia zbyt poważnie — rzekł Tynian. — Klucze i rygle dziwnie wpływają na poczucie własnej wartości u pewnych ludzi.

Czekali długo. Purpurowe niebo na zachodzie rozdzierały błyskawice.

Wreszcie dobiegł ich szcęk łańcuchów i odgłos przesuwania ciężkiej, żelaznej zasuw. Brama jakby niechętnie stanęła otworem.

Za nią stał potężny mężczyzna. Był odziany w kaftan z byczej skóry, który osłaniał go jak pancerz, a oczy skrywały mu krzaczaste brwi. Miał wysuniętą dolną szczękę i bladą twarz.

Sparhawk go znał. Widział go już kiedyś.

Rozdział 14

Korytarz, do którego poprowadził ich grubiański strażnik, był mroczny i zasnuty pajęczynami, z rzadka oświetlony migoczącymi pochodniami tkwiącymi w żelaznych obręczach. Sparhawk zwolnił kroku i pozostał z tyłu, by znaleźć się obok Sephrenii.

— Rozpoznałeś go? — szepnął.

Czarodziejka skinęła głową.

— Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż nam się zdawało — odszepnęła.

— Bądź bardzo ostrożny, Sparhawk. Może nam grozić niebezpieczeństwo.

W końcu korytarza, za licznymi zasłonami pajęczyn, znajdowały się wysokie, masywne drzwi. Milczący przewodnik otworzył je zdecydowanym pchnięciem i wtedy zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie. Znaleźli się u szczytu krętych schodów wiodących w dół, do obszernej sali o sklepionym suficie, białych ścianach i posadzce z czarnych, polerowanych kamieni. W kominku o łukowatym gzymsie trzaskał ogień. Płomienie migotały niespokojnie. Jedynym poza nimi oświetleniem komnaty była samotna świeca, stojąca na stole przed kominkiem. Siedział przy nim siwowłosa, odziany na czarno mężczyzna. Na jego twarzy malował się wyraz melancholii. Był blady, bladeścią typową dla ludzi rzadko bywających na słońcu. Sprawiał wrażenie chorego, dręczonego nie kończącym się cierpieniem. W blasku świecy czytał dużą, oprawną w skórę księgę.

— Oto ludzie, o których mówiłem, panie — powiedział służący głębokim głosem i skłonił się z szacunkiem.

— Przygotuj dla nich komnaty, Occudo — polecił cicho człowiek siedzący przy stole. — Zostaną tu, dopóki burza nie przejdzie.

— Stanie się, jak każesz, panie. — Potężny służący zawrócił do schodów.

— Niewielu ludzi podróżuje po tej części królestwa — rzekł mężczyzna w czerni. — Te tereny są opuszczone i wyludnione. Jestem hrabia Ghasek i ofiarowuję wam na czas burzy skromne schronienie pod moim dachem. Być może przyjdzie czas, że będziecie żałować, iż trafiliście w me progi.

Sparhawk dopełnił ceremonii przedstawienia hrabiemu gości. Ghasek skłonił się wszystkim uprzejmie.

— Usiądźcie — zaprosił ich. — Occuda zaraz wróci i przygotuje posiłek.

— Jesteś bardzo uprzejmy, hrabio — rzekł Sparhawk zdejmując hełm i rękawice.

— Być może wkrótce zmienisz swą opinię, dostojny panie Sparhawku — powiedział Ghasek.

— Panie hrabio, po raz drugi czynisz uwagi sugerujące, że masz jakieś kłopoty — zauważył Tynian.

— I być może nie po raz ostatni, szlachetny panie Tynianie. Obawiam się jednak, że słowo „kłopoty” jest o wiele za delikatne. Mówiąc szczerze, nie otworzyłbym wam bramy, gdybyście nie byli Rycerzami Kościoła. To nieszczęśliwy dom. Niechętnie wtajemniczam obcych w swoje zmartwienia.

— Kilka dni temu przejeżdżaliśmy przez Venne — zaczął ostrożnie Sparhawk.

— W tym mieście roi się od plotek na temat twojego zamku, hrabio.

— Wcale mnie to nie dziwi — odparł Ghasek, przesuając drżącą dłońią po twarzy.

— Źle się czujesz, wielmożny panie? — zapytała Sephrenia.

— To starość, a na nią jest tylko jedno lekarstwo.

— Nie widzieliśmy nikogo więcej ze służby w twoim domu, hrabio — odezwał się Bevier, ostrożnie dobierając słowa.

— Occuda i ja mieszkamy teraz samotnie.

— W lesie spotkaliśmy minstrela. — Bevier mówił niemal oskarżycielskim tonem. — Wspomniał o tym, że masz siostrę, hrabio.

— Masz pewnie na myśli tego głupca o imieniu Arbel? Tak, istotnie mam siostrę.

— Czy możemy liczyć na jej towarzystwo? — zapytał cyrinita gwałtownie.

— Nie — odparł Ghasek krótko. — Moja siostra jest niedysponowana.

— Obecna tu pani Sephrenia jest bardzo biegła w sztuce uzdrawiania — nalegał Bevier.

— Na chorobę mojej siostry nie ma lekarstwa — oznajmił hrabia tonem kończącym rozmowę.

— Panie Bevierze, dosyć tego — nakazał Sparhawk.

Cyrinita zarumienił się, wstał z krzesła i odszedł w głąb komnaty.

— Ten młody człowiek wydaje się czymś bardzo wzburzony — zauważył Ghasek.

— Minstrel naopowiadał mu różnych rzeczy o twoim domu, hrabio — wyjaśnił Tynian uprzejmie. — Pan Bevier pochodzi z Arcium, a Arkowie są ludźmi wrażliwymi.

— Rozumiem. Wyobrażam sobie, jakie niestworzone historie opowiada Arbel. Na szczęście niewielu mu uwierzy.

— Obawiam się, że jesteś w błędzie, wielmożny panie — sprzeciwiła się Sephrenia. — Opowieści Arbela są przejawem choroby, którą coś osobliwego spo-

wodowało i która jest zaraźliwa. Przynajmniej przez pewien czas każdy, kogo spotka, uzna jego opowieści za prawdziwe.

— Widzę, że moja siostra ma coraz dłuższe ręce.

Z głębi domu dobiegł ich przeraźliwy wrzask, a po nim jeden po drugim wybuchy szalonego śmiechu.

— Pańska siostra? — zapytała cicho Sephrenia.

Ghasek skinął głową, oczy miał pełne łez.

— Jej choroba nie jest chorobą ciała? — domyśliła się czarodziejka.

— Nie.

— Nie wnikajmy w to głębiej — zwróciła się Sephrenia do rycerzy. — To zbyt bolesna dla hrabiego sprawa.

— Jesteś bardzo uprzejma, pani — powiedział Ghasek z wdzięcznością. Westchnął, po czym rzekł: — Powiedźcie, co sprowadziło was do tego smutnego lasu?

— Przybyliśmy specjalnie, aby spotkać się z tobą, wielmożny panie — rzekł Sparhawk.

— Ze mną? — zdziwił się hrabia.

— Szukamy miejsca ostatniego spoczynku króla Thalesii, Saraka, który poległ podczas najazdu Zemochów.

— To imię wydaje mi się znajome.

— Tak też myślałem. Garbarz z Paleru, człowiek o imieniu Berd. . .

— Tak. Znam go.

— . . . opowiedział nam o pisanej przez ciebie kronice.

Hrabiemu pojaśniały oczy, a na twarzy po raz pierwszy od chwili ich przybycia pojawiło się ożywienie.

— To dzieło mojego życia, dostojny panie Sparhawk.

— Rozumiem, hrabio. Berd powiedział nam, że prowadziłeś bardzo wyczerpujące badania.

— Berd chyba trochę przesadził. — Ghasek uśmiechnął się skromnie. — Co prawda istotnie zebrałem większość ludowych opowieści z północnej Pelosii, a nawet z pewnych obszarów Deiry. Inwazja Othy miała o wiele szerszy zasięg, niż się powszechnie sądzi.

— Tak, my również to odkryliśmy. Jeśli pozwolisz, hrabio, poszukamy w twoich kronikach śladów, które mogłyby nas doprowadzić do grobu króla Saraka.

— Sam wam w tym pomogę, ale zrobiło się już późno, a moja kronika jest bardzo obszerna. — W oczach hrabiego można było wyczytać prośbę o wybaczenie. — Gdy raz zaczniemy, możemy spędzić nad nią całą noc. Tracę poczucie czasu, kiedy pograżam się w lekturze tych kart. Proponuję, byśmy odłożyli to na rano.

— Jak sobie życzysz, hrabio.

Occuda wniósł duży gar gęstej stawy i stos talerzy.

— Nakarmiłem ją, panie — powiedział cicho.

— Czy jest jakaś zmiana? — zapytał hrabia.

— Nie, panie.

Ghasek westchnął i wyraz ożywienia zniknął z jego twarzy.

Zdolności kulinarne Occudy pozostawiały wiele do życzenia. Jadło, które przyrządził, trudno było nazwać smacznym, ale hrabia tak był pogrążony w rozmyślaniach, iż wydawało się, że nie robi mu różnicy, co przed nim stawiają.

Po skończonym posiłku Ghasek życzył im dobrej nocy i służący poprowadził ich schodami do góry, a potem długim korytarzem do komnat, które dla nich przygotował. Tu ponownie usłyszeli krzyki szalonej kobiety. Bevier stłumił szloch.

— Ona cierpi — powiedział z udręką w głosie.

— Nie, szlachetny rycerzu — zaprzeczył Occuda. — Ona jest zupełnie obłąkana, a tacy ludzie nie zdają sobie sprawy ze swego stanu.

— Jestem ciekaw, skąd służący może tak doskonale znać się na chorobach umysłu.

— Panie Bevierze, dość.— Sparhawk ponownie skarcił cyrinitę.

— Pytanie pańskiego przyjaciela, dostojny panie, jest jak najbardziej na miejscu. — Occuda odwrócił się do Beviera. — W młodości byłem mnichem — wyjaśnił. — Mój zakon poświęcił się służbie słabym. Jedno z naszych opactw zostało zamienione na hospicjum dla obłąkanych i ja w nim służyłem. Mam spore doświadczenie w obchodzeniu się z chorymi na umyśle. Możesz mi wierzyć, szlachetny panie, gdy mówię, że hrabianka Bellina jest obłąkana i nie ma dla niej ratunku.

Bevier wyglądał na trochę mniej pewnego siebie, ale zaraz ponownie przybrał surowy wyraz twarzy.

— Nie wierzę ci — warknął.

— To już nie moja sprawa, szlachetny rycerzu — powiedział Occuda. — Oto pańska komnata — dodał otwierając drzwi. — Spij dobrze, panie.

Bevier wszedł do środka i zatrzasnął drzwi za sobą.

— Gdy tylko w domu zapadnie cisza, on ruszy na poszukiwanie siostry hrabiego — mruknęła Sephrenia.

— Prawdopodobnie masz rację — przyznał Sparhawk. — Occudo, czy można zamknąć te drzwi?

Rosły Pelozyjczyk skinął głową.

— Można je zamknąć na łańcuch, dostojny panie — poradził.

— A więc uczyni to. Nie chcemy, aby pan Bevier włóczył się po korytarzach w środku nocy. — Sparhawk pomyślał chwilę — Ustawmy pod drzwiami straż — rzekł do pozostałych. — Wziął z sobą halabardę i w rozpaczy może próbować porąbać drzwi.

— Mamy z nim walczyć, Sparhawku? — zapytał Kalten z powątpiewaniem. — Nie pałam chęcią ani go zabijać, ani dać się porąbać jego straszliwą bronią.

— Jeżeli będzie próbował się wydostać, trzeba go obezwładnić — powiedział Sparhawk.

Occuda wskazywał im po kolei komnaty.

— Czy to wszystko, dostojny panie? — zapytał uprzejmie, kiedy w końcu znaleźli się we dwóch w komnacie, gdzie miał nocować Sparhawk.

— Zostań chwilę, Occudo.

— Tak, dostojny panie.

— Widziałem cię już kiedyś.

— Mnie, dostojny panie?

— To było kilka miesięcy temu, w Chyrellos. Obserwowałem z Sephrenią dom należący do pewnych Styrików. Widzieliśmy, jak towarzyszyłeś wchodzącej do niego białogłowie. Czy to była hrabianka Bellina?

Occuda westchnął i przytaknął skinieniem głowy.

— W tym domu wydarzyło się coś, co spowodowało, że postradała zmysły? — domyślił się Sparhawk.

— Tak przypuszczam.

— Czy mógłbyś opowiedzieć mi o wszystkim? Nie chciałbym niepokoić hrabiego bolesnymi dla niego pytaniami, ale musimy uleczyć pana Beviera z jego obsesji.

— Rozumiem, dostojny panie. Moim obowiązkiem jest lojalność wobec hrabiego, ale chyba powinieneś znać szczegóły. Może dzięki temu będziesz mógł uchronić się przed tą szaloną niewiastą. — Occuda usiadł i zaczął opowiadać: — Hrabia jest uczonym człowiekiem, dostojny panie, ale często bywał przez dłuższy czas nieobecny w domu, gromadząc opowieści, które zbiera od dziesięcioleci. Jego siostra, hrabianka Bellina, jest — lub była — zwykłą białogłową, przysadzistą, w średnim wieku, która niewielkie miała szanse na zamążpójście. Ten zamek stoi na odludziu i pani Bellina cierpiała z powodu samotności oraz nudy. Ostatniej zimy uprosiła hrabiego, aby zezwolił jej na odwiedziny u przyjaciół w Chyrellos. Udzielił jej swojej zgody pod warunkiem, że ja będę jej towarzyszył.

— Zastanawiałem się, skąd się tam wzięła — powiedział Sparhawk, siadając na brzegu łóżka.

— Przyjaciółki pani Belliny w Chyrellos okazały się damami płochymi i niemądrymi — ciągnął dalej Occuda. — Naopowiadały jej o domu należącym do Styrików, w którym białogłowy mogą odzyskać młodość i urodę za sprawą czarów. Hrabianka Bellina zapałała niepohamowaną żądzą odwiedzenia tego domu. Niewiasty czasami kierują się dziwnymi pobudkami.

— Czy rzeczywiście odmłodziła?

— Nie pozwolono mi towarzyszyć jej do izby, w której był styricki czarodziej, więc nie widziałem, co się tam wydarzyło, ale gdy wyszła, z trudem ją rozpoznałem. Miała ciało i twarz szesnastoletniej dziewczyny, ale straszne oczy. Jak już

mówiłem twojemu przyjacielowi, dostojny panie, pracowałem poprzednio z obłąkanymi, więc rozpoznałem objawy. Skrępowalem ją i przywiozłem prosto tutaj, mając nadzieję, że potrafię ją uleczyć. Hrabia był właśnie w jednej ze swoich podróży, a więc nie miał pojęcia o tym, co zaczęło się dziać, kiedy przywiozłem ją do domu.

— A co się działo?

Occuda wzdrygnął się.

— To było okropne, dostojny panie — skrzywił się z obrzydzeniem. — Niepojętym sposobem udało jej się zawładnąć pozostałą służbą. To wyglądało tak, jakby nie byli w stanie oprzeć się jej rozkazom.

— Wszyscy z wyjątkiem ciebie?

— Myślę, że to, iż byłem mnichem, czyniło mnie bezpiecznym — albo hrabianka Bellina uważała, że nie jestem wart zachodu.

— A co ona właściwie robiła? — zapytał Sparhawk.

— Nie wiem, kogo spotkała w tamtym domu w Chyrellos, ale był on uosobieniem zła, dostojny panie, i opętał ją całkowicie. Służących, którzy stali się jej niewolnikami, wysyłała w nocy do okolicznych wsi, by uprowadzali dla niej wieśniaków. Później odkryłem, że w piwnicach tego domu urządziła salę tortur. Lubowała się we krwi i zadawaniu mąk. — Wyraz twarzy Occudy zmienił się gwałtownie. — Dostojny panie, ona jadła ludzkie mięso i kąpała się naga w ludzkiej krwi! Widziałem to na własne oczy!

Przerwał na chwilę, po czym ciągnął swą opowieść:

— Nie więcej niż tydzień temu hrabia wrócił do zamku. Przybył późną nocą i wysłał mnie do piwnicy po butelkę wina, chociaż rzadko pije coś innego niż wodę. Kiedy byłem tam na dole, usłyszałem krzyk. Postanowiłem sprawdzić, kto tak krzyczy, i otworzyłem drzwi do sekretnej komnaty. Na Boga, obym tego nigdy nie uczynił! — Zasłonił twarz dłońmi i począł szlochać. Gdy się opanował, ciągnął dalej. — Zobaczyłem hrabiankę Bellinę. Do ramy, służącej do rozciągania stawów, była przykuta łańcuchami chłopka dziewczka. Dostojny panie, hrabianka Bellina odcinała kawałki ciała tej biednej, ciągle żywej dziewczyny i wpychała sobie do ust drgające jeszcze mięso! — Occuda zakrztusił się i zacisnął zęby.

Sparhawk nigdy się nie dowiedział, co go skłoniło do zadania następnego pytania.

— Czy był tam ktoś oprócz niej?

— Tak, dostojny panie. Byli tam również służący, jej niewolnicy, którzy chłepotali krew z wilgotnych kamieni. I... — Occuda zawahał się.

— Mów dalej.

— Nie mogę przysiąc, dostojny panie, kręciło mi się w głowie. W głębi komnaty znajdowała się zakapturzona postać w czarnej szacie i jej obecność zmroziła mi duszę.

— Opisz ją dokładniej!

— Wysoka, bardzo chuda, całkowicie zasłonięta czarną szatą.
— Co jeszcze? — nalegał Sparhawk, wiedząc z przeraźliwą pewnością, co usłyszysz.

— Pomieszczenie było ciemne, dostojny panie — usprawiedliwił się Occuda — oświetlał je tylko ogień, w którym hrabianka Bellina rozgrzewała narzędzia tortur, ale z tego odległego kąta wydawała się dochodzić zielonkawa poświata. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Możliwe — rzekł Sparhawk bezbarwnym głosem. — Ciągnij dalej swą opowieść.

— Pobiegłem powiadomić o tym hrabiego. Początkowo nie chciał mi wierzyć, ale zmusiłem go, by udał się ze mną do piwnicy. Kiedy wszystko ujrzał na własne oczy, myślałem, że ją zabije. Na Boga, że też tego nie uczynił! Zaczęła pisać i próbowała zaatakować go tym nożem, którym kroić nieszczęsną dziewczkę, ale wyrwałem jej go.

— Czy to wtedy zamknął ją w wieży? — Sparhawkiem wstrząsnęła ta przerażająca historia.

— Prawdę mówiąc, to był mój pomysł — powiedział Occuda ponuro. — W hospicjum, w którym służyłem, niebezpieczni chorzy zawsze byli zamykani. Zaciągnęliśmy ją do wieży i zawarłem drzwi na łańcuchy. Pozostanie tam do końca swoich dni, jeżeli nie będzie innego wyjścia.

— A co stało się z resztą służby?

— Początkowo próbowali ją uwolnić. Kilku z nich musiałem zabić. A wczoraj hrabia usłyszał, jak służący opowiadali niestworzone rzeczy temu głupiemu minstrelowi. Pan polecił mi przepędzić ich z zamku. Kręcili się przez pewien czas pod bramą, ale potem uciekli.

— Czy w ich zachowaniu było coś dziwnego?

— Mieli zupełnie bezmyślny wyraz twarzy — odparł Occuda — a ci, których zabiłem, umarli bez słowa i bez jęku.

— Tego się obawiałem. Mieliśmy już do czynienia z podobnymi przypadkami.

— Co się z nią stało w tamtym domu, dostojny panie? Co doprowadziło ją do szaleństwa?

— Pobierałeś nauki jako mnich, Occudo — powiedział Sparhawk — a więc orientujesz się chyba trochę w teologii. Czy mówi ci coś imię Azash?

— Bóg Zemochów?

— Tak, o niego chodzi. Styrycy w tamtym domu w Chyrellos byli Zemochami, a duszą hrabianki Belliny zawładnął Azash. Czy istnieje choćby najmniejsza szansa, że uda jej się wydostać z tej wieży?

— To absolutnie niemożliwe, dostojny panie.

— Udało jej się zarazić minstrela, a temu z kolei pana Beviera.

— Nie mogła się wydostać z wieży, dostojny panie — powtórzył zdecydowanie Occuda.

— Muszę porozmawiać z Sephrenią — rzekł Sparhawk. — Dziękuję za twoją szczerść.

— Opowiedziałem wszystko w nadziei, że będziecie mogli pomóc panu hrabiemu. — Occuda wstał.

— Zrobimy, co jest w naszej mocy.

— Dziękuję, dostojny panie. Pójdę zamknąć na łańcuch drzwi pańskiego przyjaciela. — Ruszył w kierunku drzwi, wtem odwrócił się. — Czy powinienem ją zabić?

— Może będziesz musiał, Occudo — wyznał szczerze Sparhawk — a jeżeli do tego dojdzie, to trzeba obciąć jej głowę. W przeciwnym wypadku ona po prostu zmartwychwstanie. — Położył dłoń na ramieniu służącego. — Dobry i prawy z ciebie człowiek, Occudo — powiedział. — Hrabia ma szczęście, iż u niego służysz.

— Dziękuję, dostojny panie.

Sparhawk zdjął zbroję i wyszedł na korytarz. Zapukał do drzwi Sephrenii.

— Kto tam? — usłyszał stłumiony głos.

— To ja, Sparhawk.

— Wejź, mój drogi.

Przestąpił próg jej komnaty.

— Rozmawiałem z Occudą — rzekł.

— O czym?

— Opowiedział mi, co się tu dzieje. Nie jestem pewien, czy chciałabyś to wiedzieć.

— Obawiam się, że powinnam usłyszeć o wszystkim, jeżeli mam uzdrowić pana Beviera.

— Mieliśmy rację — zaczął Sparhawk. — Pelozyjka, którą widzieliśmy wchodzącą do tego domu Zemochów w Chyrellos, to była siostra hrabiego.

— Nie miałam co do tego wątpliwości. Co jeszcze?

Sparhawk powtórzył pokrótce opowieść Occudy, pomijając najbardziej drastyczne szczegóły.

— Wszystko się zgadza — powiedziała czarodziejka niemal rzeczowo. — Ofiary w tej formie składa się ku czci Azasha.

— Jest jeszcze coś — rzekł Sparhawk. — Occuda po wejściu do komnaty w piwnicy widział stojącą w jednym z rogów postać w czerni. Była ubrana w szatę z kapturem, a jej oblicze promieniowało zieloną poświatą.

Sephrenia przez chwilę nie mogła zaczerpnąć tchu.

— Czy Azash mógł tu wysłać więcej niż jednego szukacza? — zapytał Sparhawk.

— Trudno być pewnym, gdy ma się do czynienia ze Starszym Bogiem.

— To nie mógł być ten sam owad. Nic nie może znajdować się w dwóch miejscach równocześnie.

— Jak już powiedziałam, mój drogi, dla Starszego Boga wszystko jest możliwe.

— Sephrenio, mówię to z niechęcią, ale muszę przyznać, że zaczynam być trochę niespokojny.

— Ja również, Sparhawku. Nie rozstawaj się z włóczęgą Aldreasa. Moc Bhel-liomu cię ochroni. A teraz idź spać. Muszę to przemyśleć.

Rycerz klęknął przed nią.

— Czy pobłogosławisz mnie przed snem, mateczko? — zapytał. Nagle poczuł się jak małe, bezbronne dziecko. Ucałował delikatnie jej dłoń.

— Z całego serca, mój drogi. — Przytuliła do siebie jego głowę. — Jesteś najlepszy z nich wszystkich, Sparhawku, a jeżeli będziesz dostatecznie silny, nie zatrzymają cię nawet bramy piekieł.

Pandionita podniósł się z kolan. Flecik zsunęła się z łoża i podeszła do niego. Z jej oczu wзираła niezwykła powaga. Rycerz poczuł nagle, że nie może się poruszyć. Dziewczynka ujęła go delikatnie za nadgarstki, a on nie miał siły się opierać. Odwróciła jego dłonie i delikatnie je ucałowała, a jej pocałunki zapłonęły w żyłach Sparhawka niczym święty ogień. Wstrząśnięty opuścił komnatę nie odezawszy się więcej ani słowem.

Spał niespokojnie, często budząc się i przewracając z boku na bok. Noc zdawała się nie mieć końca, a uderzenia piorunów wstrząsały posadami zamku. Deszcz, który przyniosła ze sobą burza, bębnił w okna. Woda spadała rwącymi strumieniami z dachu, uderzając w kamienne płyty podwórca. W końcu, dobrze po północy, Sparhawk się poddał. Odrzucił koce i usiadł na brzegu łoża. Rozmyślał ponuro. Co poczną z Bevierem? Wiedział, że cyrinita był głęboko wierzący, ale nie miał żelaznej woli Occudy. Młody i niewinny, posiadał wrodzoną porywczosć wszystkich mieszkańców Arcium. Bellina może wykorzystać to dla własnych celów. Nawet jeżeli Sephrenii uda się uwolnić Beviera od jego obsesji, to jaką mają gwarancję, że Bellina ponownie nim nie zawładnie, gdy będzie miała na to ochotę? Sparhawk musiał przyznać, iż chociaż wzdrygał się na pomysł Occudy, być może jest to jedyne wyjście z sytuacji.

Wtem, całkiem nagle, ogarnął go lęk. Coś przemożnie złego znajdowało się w pobliżu. Wstał z łoża, szukając po omacku swojego miecza. Potem wyszedł na korytarz.

W przyćmionym świetle pojedynczej pochodni zobaczył Kurika, drzemiącego pod drzwiami komnaty Beviera. Poza tym korytarz był pusty. Wtem otworzyły się drzwi pokoju Sephrenii i wyszła pośpiesznie czarodziejka, a tuż za nią Flecik.

— Sparhawku, ty również to poczułeś?

— Tak. Czy możesz to zlokalizować?

Sephrenia wskazała na drzwi komnaty Beviera.

— To tam.

— Kuriku! — Sparhawk dotknął ramienia swojego giermka.

Kurik natychmiast otworzył oczy.

— Co się stało? — zapytał.

— Coś jest tam z panem Bevierem. Uważaj. — Sparhawk odczepił łańcuch, odsunął rygiel i powoli otworzył drzwi.

Komnatę wypełniało niesamowite światło. Bevier rzucał się na posłaniu, a nad nim unosiła się świecąca, widmowa postać nagiej kobiety. Sephrenia głośno zaczerpnęła powietrza.

— Demon — szepnęła. Natychmiast zaczęła splatać zaklęcie dając gwałtowne znaki Flecikowi. Dziewczynka uniosła swoją fujarkę i zagrała tak złożoną pieśń, że Sparhawk nie był w stanie podążać za melodią.

Świecąca postać nieopisanie pięknej kobiety zwróciła się w kierunku drzwi, odsłaniając ociekające krwią kły. Zasycała złościwie. W jej głosie pobrzmiwało również owadzie ćwierkanie. Wydawało się, że zjawa była niezdolna do ruchu. Czarodziejka nadal splatała zaklęcie. Demon krzyknął przeraźliwie i chwycił się za głowę. Melodia dobywająca się z fujarki Flecika była coraz bardziej dramatyczna, a Sephrenia coraz głośniej recytowała formułę zaklęcia. Demon począł się więc, złorzecząc tak, że Sparhawk przeszedł dreszcz obrzydzenia. Wtem Sephrenia uniosła jedną rękę i przemówiła, o dziwo, w języku Elenów:

— Wracaj tam, skąd przybyłeś! I nie ośmielaj się tej nocy więcej pokazywać!

Demon wydał przeciągły wrzask i znikł, pozostawiając po sobie ohydny odór zgnilizny.

Rozdział 15

— Jak ona wydostała się z wieży? — zapytał Sparhawk przyciszonym głosem. — Tam są tylko jedne drzwi i Occuda zamknęła je na łańcuch.

— Ona nie opuściła swego więzienia — odparła Sephrenia zamyślona, jakby nieobecna. — Jedyne raz widziałam coś podobnego — dodała. Potem uśmiechnęła się nieco krzywo. — Mieliśmy szczęście, że pamiętałam formułę zaklęcia.

— Co ty mówisz, Sephrenio! — zaprotestował Kurik. — Ona przecież tu była.

— Nie, prawdę mówiąc, nie była. Demon jest bezcielesny. To duch tego, kto go wysłał. Ciało Belliny nadal jest uwięzione w wieży, ale jej dusza krąży po korytarzach tego smutnego domu, skażając wszystko, czego dotknie.

— A więc pan Bevier jest stracony? — zapytał Sparhawk ponuro.

— Nie. Przynajmniej częściowo uwolniłam go spod jej wpływu. Jeżeli zadziałamy dostatecznie szybko, będę mogła całkowicie oczyścić jego umysł. Kuriku, odzyskaj Occudę. Muszę zadać mu kilka pytań.

Giermek wyszedł pośpiesznie.

— Czy ona nie powróci następnej nocy i ponownie nie zawładnie panem Bevierem? - - zapytał Sparhawk.

— Myślę, że jest sposób, aby temu zapobiec, ale dla pewności muszę przepytwać Occudę. Nie mów za wiele, Sparhawk. Muszę się zastanowić. — Usiadła na łożu, kładąc bezwiednie dłoń na czole Beviera. Rycerz poruszył się niespokojnie. — Och, przestań — skarciła śpiącego młodzieńca. Wyszeptała kilka słów po styricku i Bevier opadł na poduszki.

Sparhawk czekał niecierpliwie, aż czarodziejka rozważy sytuację. Po kilku minutach wrócił Kurik z Occudą. Sephrenia wstała.

— Occudo — zaczęła, ale nagle zdało się, że zmieniła zamiar. — Nie — powiedziała jakby do siebie. — : Jest szybszy sposób. Oto czego od ciebie oczekuję: Chcę, byś cofnął się myślami do chwili, w której otworzyłeś drzwi w piwnicy — jedynie do momentu, w którym otwierałeś drzwi. Nie zaprzataj sobie głowy tym, co robiła Bellina.

— Nie rozumiem, pani — wyjąkał Occuda.

— Nie musisz. Po prostu to uczyni. Nie mamy za wiele czasu. — Zamruczała

coś krótko pod nosem, a potem uniosła dłoń, aby sięgnąć jego krzaczastych brwi. Musiała wspiąć się na palce. — Dlaczego wy, Eleni, jesteście tacy wysocy? — skrzywiła się. Trzymała przez chwilę palce na czole Occudy, a potem westchnęła głośno. — Tak jak myślałam — powiedziała z triumfem. — To musi tam być. Occudo, gdzie jest teraz hrabia?

— Myślę, że nadal w głównej sali. Zwykle czyta przez większą część nocy.

— To dobrze. — Spojrzała na łożo i strzeliła palcami. — Panie Bevierze, wstań.

Cyrinita wstał sztywno, jego otwarte oczy patrzyły nieprzytomnie.

— Kuriku — powiedziała czarodziejka — ty i Occuda pomożecie mu. Podtrzymujcie go, by nie upadł. Fleciku, wracaj do łóżka. Nie chcę, byś to oglądała.

Dziewczynka skinęła głową.

— Chodźmy! — Sephrenia ruszyła energicznie przed siebie. — Nie zostało nam wiele czasu.

— Co mu zrobimy? — zapytał Sparhawk, podążając za nią korytarzem.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia. — Czarodziejka, jak na osobę drobnej budowy, szła bardzo szybko. — Potrzebne nam pozwolenie hrabiego na zejście do piwnicy. Obawiam się, że jego obecność również.

— Do piwnicy? — zapytał Sparhawk z zakłopotaniem.

— Nie zadawaj głupich pytań, mój drogi. — Zatrzymała się i spojrzała na niego krytycznie. — Mówiłam ci, abyś nie wypuszczał z dłoni tej włóczni — skarciła go. — Wróć po nią do swojej komnaty.

Rycerz rozłożył bezradnie dłonie i odwrócił się.

— Biegnij, Sparhawk! — zawołała za nim.

Dołączył do nich, gdy wchodzili na schody wiodące w dół do centralnej sali zamku. Hrabia Ghasek nadal siedział pochylony nad księgą w migotliwym świetle kapiącej świecy. Jej płomień dogasał już, a w kominku żałośnie zawodził wiatr.

— Zniszczysz sobie wzrok, wielmożny panie — rzekła Sephrenia. — Odłóż księgę. Mamy ważne sprawy do załatwienia.

Ghasek spojrzał na nią zdumiony.

— Muszę cię prosić o wyświadczenie przysługi, hrabio — dodała czarodziejka.

— Przysługi? Oczywiście, pani.

— Nie zgadzaj się tak pochopnie, hrabio, przynajmniej dopóki nie będziesz wiedział, o co mam cię zamiar poprosić. W piwnicy twego domu jest pewne pomieszczenie. Muszę odwiedzić je razem z panem Bevierem i potrzebne nam jest twoje towarzystwo. Jeżeli będziemy działać dostatecznie szybko, ulecę pana Bevieria i zdejmę klątwę z tego domu.

Ghasek wpatrywał się w Sephrenię całkowicie zdezorientowany.

— Posłuchaj jej, hrabio — rzekł Sparhawk. — I tak w końcu będziesz musiał

na to przystać, a oszczędzimy sobie wielu kłopotów, jeżeli zgodzisz się dobrowolnie.

— Czy ona zawsze jest tak bezpośrednia? — spytał hrabia wstając.

— Często.

— Czas ucieka — ponaglała Sephrenia, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

— Proszę za mną — powiedział hrabia zrezygnowany. Poprowadził ich schodami do góry, a potem zasnutym pajęczynami korytarzem. — Tam znajduje się wejście do piwnicy. — Wskazał wąską część korytarza. Wyciągnął zza kaftana duży żelazny klucz i otworzył wąskie drzwi. — Potrzebne nam będzie światło — rzekł.

Kurik wyjął z uchwytu pochodnię i podał hrabiemu.

Ghasek zniżył pochodnię i oświetlił wąskie, kamienne schody. Wszyscy zeszli za nim, Occuda i Kurik podtrzymywali Beviera. U dołu schodów hrabia skręcił w lewo.

— Jeden z moich przodków uważał się za znawcę dobrych win — powiedział, wskazując pokryte kurzem beczki i butelki spoczywające na drewnianych stojakach. — Ja nie jestem zbyt wielkim smakoszem, a więc rzadko tu zaglądam. Przez czysty przypadek tamtej nocy wysłałem tu Occudę, a on trafił do tego straszliwego pomieszczenia.

— To nie będzie miłe doświadczenie, hrabio — ostrzegła go Sephrenia. — Może wolałbyś zostać na zewnątrz?

— Nie, pani. Jeżeli ty potrafisz to znieść, ja również się nie załamie. Teraz to tylko zwykła izba, a co się w niej działo, należy już do przeszłości.

— Tę przeszłość zamierzam właśnie przywołać, wielmożny panie.

Hrabia rzucił jej pytające spojrzenie.

— Sephrenia jest kształcona w sztukach magicznych — wyjaśnił Sparhawk. — Potrafi czynić rzeczy, o jakich innym się nie śniło.

— Słyszałem o takich ludziach — przyznał Ghasek — ale w Pelosii jest niewiele Styrików, więc nigdy nie miałem okazji widzieć, jak czarują.

— I może nie będziesz chciał tego oglądać, hrabio — ostrzegła go Sephrenia. — Aby uleczyć pana Beviera z jego obsesji, trzeba pokazać mu całe bestialstwo hrabianki Belliny. Twoja obecność przy tym jako właściciela domu jest niezbędna, ale wystarczy, jeżeli pozostaniesz na zewnątrz tego pomieszczenia.

— Nie, pani, chcę zobaczyć wszystko na własne oczy. Prawdopodobnie utwierdzi mnie to jeszcze bardziej w mojej decyzji. Jeżeli nie powstrzyma mojej siostry odosobnienie, być może będę musiał podjąć bardziej radykalne kroki.

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— Oto drzwi do tej izby. — Hrabia wyciągnął kolejny klucz. Otworzył drzwi na oścież. Owionął ich przyprawiający o wymioty smród krwi i rozkładającego się mięsa.

Patrząc w migotliwym świetle pochodni Sparhawk natychmiast uwierzył, że właśnie w tym pomieszczeniu działa się okropności, o których słyszał. Na środku zbroczonej krwią podłogi stała rama do rozciągania stawów, straszliwe łoże do zadawania męczarni, a ze ścian sterczały okrutne haki. Rycerz wzdrygnął się, gdy dostrzegł, że na wielu z nich wisały strzępy poczerńiałego mięsa. Na jednej ze ścian widniała bogata kolekcja różnorodnych drobnych narzędzi tortur — noże, kleszcze, żelaza do przypalania i ostre jak igły haki. Była tam również śruba do zgniatania palców, żelazny but i wiele różnych biczów.

— To może potrwać — powiedziała Sephrenia — a musimy zdążyć przed świtem. Kuriku, weź pochodnię i unieś ją jak najwyżej nad głową. Sparhawk, trzymaj włócznię w pogotowiu. Być może coś zechce nam przeszkodzić. — Ujęła Beviera za ramię i poprowadziła go do przerażającego łoża. — Panie Bevierze, obudź się! — rozkazała.

Bevier zamrugnął powiekami i rozejrzał się dookoła.

— Gdzie ja jestem? — zapytał.

— Przeprowadziliśmy cię tu po to, byś coś zobaczył. Patrz więc i milcz, panie Bevierze — powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. Zaczęła mówić po styricku, poruszając szybko przed sobą dłońmi. Potem skierowała palce w kierunku pochodni i uwolniła zakłęcie.

W pierwszej chwili zdawało się, że nic się nie dzieje, ale potem Sparhawk dostrzegł w pobliżu ramy do rozciągania stawów jakiś ruch. Pojawiła się tam postać, niewyraźna i zamglona, ale potem płomień pochodni rozbłysnął jasno i rycerz zobaczył, że przybrała kształt kobiety. Rozpoznał ją. To była Pelozyjka, którą widział w Chyrellos. Jej piękna twarz okazała się zarazem obliczem demona, który tej nocy pochylał się nad posłaniem Beviera. Kobieta była naga. Na jej twarzy malował się triumf. W jednej dłoni trzymała długi nóż, a w drugiej hak. Stopniowo zaczęła się pojawiać druga postać, rozpięta na łożu do zadawania mąk. Sądząc po odzieniu, była młodą chłopką. Twarz miała wykrzywioną przerażeniem; szarpała się, próbując oswobodzić z więzów, ale na próżno.

Niewiasta z nożem w ręku podeszła do rozpiętej na straszliwym łożu postaci i powoli, rozkoszując się trwożą ofiary, zaczęła rozcinać jej odzienie. Gdy z wieśniaczki opadły ostatnie strzępy ubrania, siostra hrabiego kawałek po kawałku odcinała jej ciało, mamrocząc przy tym coś pod nosem po styricku. Dziewczyna krzyczała, a na twarzy Belliny pojawił się okrutny, odrażający uśmiech. Sparhawk z obrzydzeniem dostrzegł, że miała usta pełne mięsa. Odwrócił wzrok nie mogąc dłużej na to patrzeć i spojrzał na oblicze Beviera. Młody rycerz obserwował z przerażeniem i niedowierzaniem, jak Bellina pożerała ciało dziewczyny.

Gdy skończyła, z kąćków jej ust spływały strużki krwi, którą wysmarowane miała całe ciało.

Wtem obraz się zmienił. Tym razem ofiarą był mężczyzna, wijący się na haku wystającym ze ściany, podczas gdy hrabianka Bellina wykrawała powoli kawa-

łeczki mięsa z jego ciała i zjadała je ze smakiem.

Jedna po drugiej ciągnęła się długa procesja ofiar. Bevier szlochał i próbował przesłonić oczy dłońmi.

— Nie! — krzyknęła ostro Sephrenia, chwytając go za ręce. — Musisz zobaczyć wszystko.

Przerażające widowisko trwało nadal, a pod nóż Belliny trafiały kolejne ofiary. Najstraszniejszy był widok uśmiercanych w mękach dzieci. Sparhawk czuł, że jego wytrzymałość się kończy.

Kiedy zdawało się już, że upłynęła cała wieczność męczarni, agonii i krwi, zjawy znikły. Sephrenia przyjrzała się z uwagą twarzy Beviera.

— Czy wiesz, kim jestem? — zapytała.

— Oczywiście — wyszlochał. — Błagam, pani Sephrenio, już dość.

— A tego człowieka znasz? — zapytała wskazując na Sparhawk.

— Dostojny pan Sparhawk z Zakonu Rycerzy Pandionu, Rycerz Kościoła tak jak ja.

— A ten?

— Kurik, giermek Sparhawk.

— A ten?

— Hrabia Ghasek, właściciel tego nieszczęsnego domu.

— A on? — zapytała wskazując na Occudę.

— To służący hrabiego, dobry i prawy człowiek.

— Czy nadalnosisz się z zamiarem uwolnienia siostry hrabiego?

— Uwolnić ją? Czyś postradała zmysły, pani? To demon z piekła rodem!

— Udało się — powiedziała Sephrenia do Sparhawk. — Nie musimy go zabijać.

Sparhawk wzdrygnął się na rzeczowy ton tego stwierdzenia.

— Proszę, pani — odezwał się Occuda drżącym głosem — czy możemy już opuścić to przerażające miejsce?

— Jeszcze nie skończyliśmy. Teraz nastąpi część najniebezpieczniejsza. Kuriku, zanieś pochodnię w tamten kąt izby. Idź z nim, Sparhawk, i bądźcie gotowi na wszystko.

Ramię w ramię ruszyli obaj wolno w głąb komnaty. Wtem w migotliwym świetle pochodni ujrzeni mały, kamienny posążek, ustawiony w niszy na tylnej ścianie. Była to groteskowo niekształtna figurka o ohydny obliczu.

— Co to jest? — wykrztusił Sparhawk.

— To Azash — odparła Sephrenia.

— Czy on rzeczywiście tak wygląda?

— W przybliżeniu. Pewne szczegóły w jego wyglądzie są tak przerażające, że nie zdołałby oddać ich żaden rzeźbiarz.

Powietrze przed posążkiem wydawało się falować i nagle, między wyobrażeniem Azasha i Sparhawk, pojawiła się wysoka, przypominająca szkielet po-

stać w czarnej szacie z kapturem. Zielona poświata dobywająca się spod kaptura jaśniała coraz bardziej.

— Sparhawk, nie patrz na jego twarz! — ostrzegła Sephrenia. — Przesuwaj dłoń po drzewcu włóczni, dopóki nie ujmiesz jej ostrza.

Rycerz niezupełnie zrozumiał polecenie czarodziejki, ale gdy dotknął dłonią ostrza, poczuł przyływ ogromnej mocy.

Szukacz wrzasnął i cofnął się, a poświata bijąca z jego oblicza poczęła słabnąć. Bezlitośnie, krok za krokiem, Sparhawk zbliżał się do zakapturzonej postaci, trzymając przed sobą ostrze włóczni niczym nóż. Szukacz wrzasnął ponownie i zniknął.

— Zniszcz wyobrazenie bóstwa, Sparhawk — poleciła Sephrenia.

Rycerz jedną ręką sięgnął do niszy po posążek, w drugiej nadal trzymał włócznię. Figurka wydawała się straszliwie ciężka i gorąca w dotyku. Rycerz uniósł ją nad głowę i cisnął o posadzkę. Rozbiła się na drobne kawałki.

Z górnych piętér zamku dobiegło ich wycie pełne niewypowiedzianej rozpaczy.

— Dokonało się! — rzekła Sephrenia. — Twoja siostra, hrabio, jest teraz bezsilna. Zniszczenie wyobrażenia jej boga pozbawiło ją wszystkich nadnaturalnych zdolności i myślę, że gdy na nią spojrzysz, ponownie ujrzysz ją taką, jaką była przed odwiedzinami w tamtym domu w Chyrellos.

— Jakże mam dziękować, pani? — z głosu hrabiego przebijała niezmierna wdzięczność.

— Czy to ten stwór nas śledził? — zapytał Kurik.

— To był jego wizerunek — odparła Sephrenia. — Azash go przywołał, gdy zdał sobie sprawę, że posążek jest w niebezpieczeństwie.

— Skoro to tylko wizerunek, nie był chyba naprawdę niebezpieczny?

— Nigdy więcej nie popełnij takiej pomyłki, Kuriku. Wizerunki przywoływane przez Azasha są czasami nawet groźniejsze od rzeczywistych postaci. — Rozejrzała się dookoła z niesmakiem. — Opuśćmy to napełniające odrazą miejsce. Zamknij drzwi, hrabio, i niech tak zostanie po wsze czasy. Rozsądnie byłoby zamurować wejście.

— Zadbam o to — obiecał Ghasek.

Weszli na górę wąskimi schodami i wrócili do centralnej sali zamku. Pozostali członkowie drużyny już tam czekali.

— Kto tak okropnie krzyczał? — zapytał Talen. Chłopak był śmiertelnie biały.

— Moja siostra — odparł ze smutkiem hrabia Ghasek.

Kalten spojrział niepewnie na Beviera.

— Czy bezpiecznie jest przy nim o niej wspominać? — spytał cicho Sparhawk.

— Już jest uleczony — odparł Sparhawk — a hrabianka Bellina została pozbawiona swej mocy.

— Co za ulga! Nie spało się zbyt dobrze z nią pod jednym dachem. — Spojrzał na Sephrenię. — Jak ci się udało uzdrowić pana Beviera, mateczko? — zapytał.

— Odkryłam, jakim sposobem wpływała ona na innych. Jest zaklęcie, które czasowo temu przeciwdziała. Potem udaliśmy się do piwnicy i dokończyliśmy dzieła. — Czarodziejka zmarszczyła brwi. — Jest jednak nadal pewien problem — rzekła do hrabiego. — Arbel, ten minstrel. Został również zarażony. Podobnie jak służba, którą odesłałeś. Oni mogą przenieść zarazę na innych i powrócić tu w większej grupie. Nie mogą pozostać w twoim zamku, hrabio, i wszystkich uleczyć. Nasza misja jest zbyt ważna, by ją opóźnić dla jakiegokolwiek innego celu.

— Poślę po zbrojnych ludzi — oznajmił hrabia — mam na to dość środków. Opieczętuje bramy tego zamku. A jeżeli zajdzie taka konieczność, to zabiję siostrę, by nie uciekła stąd.

— Być może nie będziesz musiał, hrabio, posuwać się aż tak daleko — rzekł Sparhawk przypominając sobie, co powiedziała Sephrenia w piwnicy. — Chodźmy do wieży.

— Czy masz jakiś plan, dostojny panie Sparhawku?

— Nie chcę rozbudzać niewczesnych nadziei.

Hrabia powiódł ich na dziedziniec. Burza już przeszła, jedynie na wschodzie jeszcze horyzont rozjaśniały błyskawice. Po gwałtownej ulewie pozostały tylko niesione wiatrem krople, rozpryskujące się o połyskujące kamienie na dziedzińcu.

— To tam, dostojny panie — powiedział hrabia wskazując na południowoschodni róg zamku.

Sparhawk wziął pochodnię wiszącą u wejścia, przeszedł przez mokry od deszczu podwórzec i przyjrzał się wieży uważnie. Była to przysadzista, okrągła budowla, wysoka na dwanaście i szeroka na dziesięć łokci. Z zewnątrz po ścianie wiły się kamienne schody, które prowadziły do połowy jej wysokości. Tam znajdowały się zamknięte na gruby łańcuch drzwi. Okna wyglądały jak wąskie szpary w murze. Sparhawk podszedł do drzwi u podstawy wieży. Nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i wszedł do środka. Okazało się, że był tam schowek. Pod ścianami piętrzyły się skrzynie i paki, które pokrywała gruba warstwa kurzu. Pomieszczenie było owalne — izba znajdująca się nad nim w samej wieży musiała mieć kształt okrągły — i sprawiało wrażenie, że rzadko ktoś tu zagląda. Ze ścian sterczały podpory, podtrzymujące kamienne sklepienie. Sparhawk skinął głową zadowolony i wyszedł na zewnątrz.

— Co znajduje się za tylną ścianą schowka? — zapytał hrabiego.

— Są tam drewniane schody, łączące wieżę z kuchnią. W razie oblężenia kucharz może tamtędy dostarczać jedzenie i picie obrońcom na górze. Teraz korzysta z nich Occuda, gdy idzie karmić moją siostrę.

— Czy służba, którą oddaliłeś, wie o tych schodach?
— Wiedzieli o nich jedynie kucharze. Zostali zabici przez Occudę.
— Coraz lepiej. Czy u szczytu tych schodów są drzwi?
— Nie. Jedynie wąska szpara do przepchnięcia jedzenia.
— To dobrze. Pańska siostra zachowuje się wprawdzie nie jak dama, ale nie sądzę, aby ktoś z nas chciał ją zagłodzić na śmierć. — Popatrzył na swych towarzyszy. — Nauczymy się nowego zawodu.
— Nie rozumiem, panie Sparhawk — zdziwił się Tynian.
— Będziemy murarzami. Kuriku, czy potrafisz zbudować mur z cegieł i kamieni?
— Oczywiście, Sparhawk — odparł Kurik. — Wiesz przecież o tym.
— Świetnie, więc będziesz nami kierował. Bracia, moja propozycja może was zaszokować, ale myślę, że nie mamy innego wyjścia. — Spojrzał na Sephrenię.
— Jeśli hrabianka Bellina kiedykolwiek wydobędzie się z tej wieży, pewnie uda się na poszukiwanie Zemochów lub szukacza. Czy oni będą w stanie przywrócić jej moc?
— Tak. Jestem pewna, że potrafią to uczynić.
— Nie możemy do tego dopuścić. Nie chcę, aby kiedyś znów wykorzystywano piwnicę tego zamku do bezecnych praktyk.
— Co proponujesz, dostojny panie? — zapytał hrabia.
— Zamurujemy te drzwi u szczytu schodów zewnętrznych, zburzymy stopnie i zamurujemy również drzwi u podstawy wieży. Potem zamaskujemy wejście prowadzące z kuchni do schodów wewnątrz wieży. Occuda nadal będzie mógł dostarczać pożywienie uwięzionej damie, ale minstrel czy tamci służący, gdyby kiedyś udało im się dostać do wnętrza zamku, nigdy nie wejdą do komnaty na górze. Hrabianka Bellina spędzi w swym więzieniu resztę życia.
— To straszna propozycja, panie Sparhawk — powiedział Tynian.
— Wolałbyś zabić tę damę? — zapytał pandionita bez ogródek.
Tynian pokiwał głową.
— Postanowione — rzekł Sparhawk. — Zamurujemy ją.
Bevier uśmiechnął się zimno.
— Doskonale, panie Sparhawk — powiedział, po czym spojrzał na hrabiego.
— Powiedz mi, wielmożny panie, bez której budowli wewnątrz murów mógłbyś się obejść?
Ghasek spojrzał na niego zdziwiony.
— Potrzebujemy kamieni do budowy — wyjaśnił Bevier. — I to myślę, że całkiem sporo. Chciałbym, aby mur postawiony za tymi drzwiami na górze był solidny i gruby.

Rozdział 16

Zdjęli broje i przywdziali proste koszule przyniesione przez Occudę, a potem zabrali się do pracy. Pod kierunkiem Kurika rozebrali część tylnej ściany stajni. Occuda wymieszał w dużej kadzi zaprawę murarską, a oni poczęli wnosić kamienie krętymi schodami do drzwi komnaty na szczycie wieży.

— Nie zaczynajcie jeszcze — powiedziała Sephrenia. — Muszę ją zobaczyć.

— Mateczko! — zaprotestował Kalten. — Przecież ona może być nadal niebezpieczna.

— Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Jestem przekonana, że została pozbawiona mocy, ale muszę się upewnić, a będzie to możliwe tylko wtedy, gdy ją zobaczę.

— Ja również chciałbym spojrzeć na nią po raz ostatni — dodał hrabia Ghasek. — Choć teraz budzi we mnie odrazę, przecież kiedyś ją kochałem.

Weszli na schody i Kurik zdjął z drzwi ciężki łańcuch. Hrabia kolejnym kluczem otworzył drzwi.

Bevier wyciągnął miecz.

— Uważasz, że jest to konieczne? — zapytał go Tynian.

— Lada chwila może stać się konieczne — odparł ponuro Bevier.

— Otwórz drzwi, wielmożny panie — rzekła Sephrenia do hrabiego.

W środku stała Bellina. Skołtunione włosy miała przyprószone siwizną. Jej nabrzmiałą twarz wykrzywiał dziki grymas, pogłębiony przez nienaturalny skręt szyi, a nagie ciało było wstrętne pomarszczone. Patrzyła na nich bezrozumnym wzrokiem, szczerząc ostre zęby i warcząc z nienawiścią.

— Bellino, siostró. . . — zaczął hrabia, ale ona zasyczała i rzuciła się na niego z rozcapierzonymi niczym szpony palcami.

Sephrenia wymówiła jedno tylko słowo, wskazując na nią palcem, i Bellina cofnęła się, jakby trafiona silnym ciosem. Zaskowyczała ze złością i usiłowała ponownie ich dosięgnąć, ale nagle zatrzymała się drapiąc przed sobą powietrze niczym niewidzialną ścianę.

— Zamknij tę komnatę, wielmożny panie — poleciła Sephrenia ze smutkiem. — Dość już widziałam.

— Ja również — odparł hrabia zdławionym głosem. Oczy miał pełne łez. Zamknął drzwi. — Ona jest szalona i nic jej już nie uleczy, prawda?

— Tak. Oczywiście postradała zmysły już w chwili opuszczenia tego domu w Chyrellos, ale teraz pogrzyżyła się w swoim szaleństwie bez reszty. Nie stanowi już zagrożenia dla nikogo prócz siebie samej. — Sephrenia mówiła głosem pełnym litości. — W tym pomieszczeniu nie ma zwierciadeł, prawda?

— Nie. Czy powinienem je tam wstawić?

— Raczej nie, oszczędźmy jej widoku swego odbicia. To byłoby zbyt okrutne. — Czarodziejka się zamyśliła. — Zauważyłam, że na pobliskich łąkach rosną pewne dość pospolite zioła. Ich sok ma działanie uspokajające. Porozmawiam o tym z Occudą i polecę mu, aby dodawał je do pożywienia. Nie uleczą nieszczęsnej, ale mogą w dużej mierze ukoić jej cierpienia. Zamknij drzwi na klucz, hrabio. Powrócę do zamku, a wy, moi drodzy, czyńcie, co do was należy. Dajcie mi znać, gdy skończycie. — Odeszła w kierunku zamku, a Flecik i Talen podążyli jej śladem.

— Zaczekaj, młodzieńcze — powiedział Kurik do syna.

— Co znowu? — zapytał Talen.

— Ty zostaniesz tutaj.

— Nie znam się na murowaniu.

— Będziesz tylko wnosił kamienie na górę.

— Nie mówisz tego poważnie!

Kurik sięgnął do swego pasa, na co Talen pognął do stosu ociosanych kamieni, leżących na tyłach stajni.

— Dobry z niego chłopak — mruknął Ulath. — W lot pojmuje, o co chodzi.

Bevier starał się przodować w pracy. Młody cyrinita kładł kamienie w prawie szaleńczym tempie.

— Pilnuj poziomu — beształ go Kurik. — Ten mur ma stać wieki, a więc róbmy to fachowo.

Sparhawk mimo woli się roześmiał.

— Co cię rozbawiło, dostojny panie? — zapytał giermek chłodno.

— Po prostu coś sobie przypomniałem.

— Będziesz musiał nam o tym potem opowiedzieć. Nie stój tak, Sparhawk. Pomóż Talenowi nosić kamienie.

Drzwi były osadzone w grubej futrynie, jako że wieża była częścią zamkowych fortyfikacji. Pierwszy mur wzniesli tuż za drzwiami przy wtórze wrzasków obłąkanej siostry hrabiego. Następnie zaczęli wznosić drugą ścianę, tuż za pierwszą. Wczesnym przedpołudniem Sparhawk wszedł do zamku, by zakomunikować Sephrenii, że skończyli pracę.

— Rada jestem — powiedziała, po czym wrócili oboje na dziedziniec.

Deszcz ustał i niebo zaczęło się wypogadzać. Sparhawk przyjął to za dobry znak. Powiódł Sephrenię do schodów pnących się z zewnątrz po ścianie wieży.

— Bardzo ładnie! — zawołała gładząc dłonią dopiero co postawiony mur. — A teraz zejdzcie stamtąd. Pozostała mi do zrobienia ostatnia rzecz.

Rycerze zeszli na dziedziniec, a drobna, krucha czarodziejka weszła na górę. Zaczęła intonować coś śpiewnie po styricku. Gdy uwolniła zaklęcie, świeżo wzniesiony mur zdawał się przez chwilę migotać. Potem wrażenie znikło.

— Skończyłam. — Sephrenia zeszła na dół. — Możecie teraz zburzyć schody.

— Co uczyniłaś? — zaciekał się Kalten.

Sephrenia spojrzała na niego z uśmiechem.

— Wykonaliście wasze zadanie lepiej, niż sobie wyobrażasz, mój drogi — powiedziała. — Wzniesiony przez was mur jest teraz niezniszczalny. Ten minstrel i służba mogą walić w niego młotami, jak długo zechcą, ale zestarzeją się i posiwieją, a muru nawet nie zadrasną.

Kurik wszedł ponownie na górę, wychylił się i spojrzał na nich z wysoka.

— Zaprawa jest zupełnie sucha — relacjonował. — Zwykle trzeba kilku dni, by dobrze związała budulec.

— Dajcie mi znać, gdy skończycie z tym wejściem. — Sephrenia wskazała na drzwi u podstawy wieży. — Tu jest trochę zbyt wilgotno i chłodno. Wróć do zamku, tam jest cieplej.

Hrabia, którego konieczność zamurowania siostry zasmuciła bardziej, niż to okazywał, odszedł razem z Sephrenią. W tym czasie Kurik wydawał instrukcje zespołowi murarskiemu.

Zburzenie schodów wiodących do górnych, zamurowanych drzwi i zabezpieczenie dolnych zajęło im czas niemal do wieczora. Wtedy przyszła Sephrenia, powtórzyła zaklęcie i wróciła do zamku.

Sparhawk z towarzyszymi powędrowali do kuchni, znajdującej się w skrzydle przylegającym do wieży.

Kurik bardzo uważnie przyglądał się małym drzwiczkom wiodącym do wewnętrznych schodów.

— No i co? — zapytał Sparhawk.

— Nie popędzaj mnie!

— Jest już późno, Kuriku.

— Chcesz to zrobić za mnie?

Sparhawk zamilkł. Spojrzał na Talena. Chłopiec sprawiał wrażenie zmęczonego. Kurik był surowym nadzorcą. Sparhawk też czasami taki był.

Kurik naradzał się chwilę z Occudą, potem zwrócił się do swego powalanego zaprawą murarską zespołu.

— Czas, byście nauczyli się czegoś nowego. Teraz będziecie stolarzami. Przerobimy te drzwi na szafę. Zawiasy będą nadal działać, a zasuwkę jakoś ukryję. Drzwi staną się niewidoczne. — Myślał przez chwilę. — Będę potrzebował kilku kołder, Occudo. Przybijemy je z drugiej strony drzwi, by wytlumić hałasy.

— Dobry pomysł — przyznał Occuda. — Nie ma służby, więc będę tu spędzał sporo czasu, a te wrzaski mogą mi w końcu zacząć działać na nerwy.

— Chodziło mi nie tylko o to, ale to nieważne. Zabierajmy się do pracy. — Kurik uśmiechnął się szeroko. — Każdemu z was znajdę zajęcie — obiecał towarzyszom.

Wykonana przez nich szafa okazała się całkiem solidnym meblem. Kurik tu i ówdzie zrobił na niej czarne plamy, potem odsunął się i popatrzył krytycznie na swe dzieło.

— Powoskuj ją kilka razy, gdy plamy wyschną — rzekł do Occudy — a potem porysuj ją trochę. Albo jeszcze lepiej zadraśnij w kilku miejscach i wdmuchnij trochę kurzu w rogi. Następnie poustawiaj na półkach gliniane naczynia. Nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że ten mebel nie stał tu od stuleci.

— Panie Sparhawk, on jest człkiem wybitnym — zauważył Ulath. — Zastanawiałaś się nad jego sprzedażą?

— Jego żona zabiłaby mnie — odparł Sparhawk. — A poza tym my w Elenii nie handlujemy ludźmi.

— Nie jesteśmy w Elenii.

— Wracajmy do głównej sali.

— Jeszcze nie teraz, szlachetni rycerze — oznajmił zdecydowanie Kurik. — Najpierw trzeba pozamiatać trociny i pozbierać narzędzia.

Sparhawk westchnął i rozejrzał się za miotłą.

Posprząтали w kuchni, otrzepali się z trocin, zmyli z siebie zaprawę murarską, zdjęli zgrzebne koszule i założyli bluzy i nogawice. Potem wrócili do głównej sali, gdzie znaleźli hrabiego i Sephrenię zatopionych w rozmowie. W pobliżu siedzieli Talen i Flecik. Chłopiec uczył małą grać w warcaby.

— Wyglądacie teraz o wiele schludniej — powiedziała Sephrenia z aprobatą. — Tam, na dziedzińcu, robiliście bardzo nieporządne wrażenie.

— Trudno stawiać mur z cegieł czy kamieni nie brudząc się przy tym. — Kurik wzruszył ramionami.

— Chyba narobiłem sobie pęcherzy — mruknął Kalten przyglądając się swoim dłoniom.

— To pierwsza uczciwa praca, jaką pan Kalten wykonał, odkąd pasowano go na rycerza — wyjaśnił Kurik hrabiemu. — Przy odrobinie praktyki miałby szansę zostać niezłym stolarzem, ale obawiam się, że z pozostałych byłby niewielki pożytek.

— Jak zamaskowałeś drzwi w kuchni? — zapytał go hrabia Ghasek.

— Zbudowaliśmy na nich szafę, wielmożny panie. Occuda postara się, aby wyglądała na starą, a potem poustawia w niej naczynia. Drzwi obiliśmy od tyłu, by wygłuszyć wrzaski pańskiej siostry.

— Czy ona nadal krzyczy? — zapytał hrabia ze smutkiem.

— Tak, i z biegiem czasu nie będzie cichła — odezwała się Sephrenia. — Niestety będzie tak krzyczała aż do dnia swojej śmierci. Gdy zamilknie, będziesz wiedział, że już po wszystkim.

— Occuda przygotowuje nam coś do zjedzenia — rzekł Sparhawk. — To trochę potrwa, a więc może zajrzyjmy do twojej kroniki, hrabio.

— Świetny pomysł, dostojny panie — powiedział Ghasek, wstając z fotela. — Wybaczysz, pani?

— Oczywiście.

— A może miałabyś ochotę dotrzymać nam towarzystwa?

— Ach nie, wielmożny panie. — Czarodziejka się roześmiała. — Nie byłoby ze mnie pożytku w bibliotece.

— Sephrenia nie czyta — wyjaśnił Sparhawk. — Myślę, że ma to coś wspólnego z jej religią.

— Nie — zaprzeczyła. — To ma związek z językiem, mój drogi. Nie chcę przyzwyczaić się do myślenia w mowie Elenów. To mogłoby w pewnych sytuacjach przeszkadzać mi w szybkim myśleniu — i mówieniu — w języku Styryków.

— Chodźcie z nami — zaproponował Sparhawk Bevierowi i Ulathowi. — Być może będziecie potrafili dorzucić kilka szczegółów, które pomogłyby hrabiemu dokładnie ustalić miejsce, gdzie zapisana jest interesująca nas opowieść.

Ponownie ruszyli schodami na górę. Hrabia powiodł trzech rycerzy zakurzonymi korytarzami do zachodniego skrzydła zamku. Tam Ghasek otworzył jedne z drzwi, a następnie wprowadził ich do ciemnego pomieszczenia. Przez chwilę szukał czegoś po omacku na dużym stole, znalazł świecę i znów wyszedł na korytarz, aby zapalić ją od płonącej na zewnątrz pochodni.

Izba była nieduża i wypełniona książkami, które stały na ciągnących się od posadzki po sufit regałach i stosami leżały po kątach.

— Dużo czytasz, hrabio — powiedział Bevier.

— Jak każdy uczony, panie Bevierze. W tej okolicy grunty są ubogie, zdatne jedynie pod uprawę drzew, a sadownictwo nie jest zbyt ciekawym zajęciem dla cywilizowanego człowieka. — Ghasek powiodł dookoła czułym wzrokiem. — To są moi przyjaciele. Obawiam się, że teraz będę potrzebował ich towarzystwa jak nigdy przedtem. Nie mogę wyjechać. Muszę pozostać tu na straży mojej siostry.

— Obłąkani nie żyją zwykle zbyt długo, wielmożny panie — pocieszył go Ulath. — W szaleństwie przestają dbać o siebie. Miałem kuzynkę, która zimą postradała zmysły. Umarła przed nastaniem wiosny.

— To bolesne żywić nadzieję na śmierć ukochanej osoby, Boże, wybacz mi...
-- Hrabia położył dłoń na wysokim prawie na łokcie stose nieoprawnych kartek, leżących na stole. — Oto dzieło mojego życia. — Usiadł. — Zaczynamy. Czego dokładnie szukacie?

— Grobu króla Thalesii, Saraka — powiedział Ulath. — Król nie dotarł na pole bitwy w Lamorkandii, więc doszliśmy do wniosku, że poległ w jakiejś potyczce tu, w Pelosii lub w Deirze, chyba że jego statek zaginął na morzu.

Sparhawkowi nigdy nie przyszło to do głowy. Na myśl, że Bhelliom może spoczywać na dnie Cieśniny Thalezyjskiej lub Morza Pelozyjskiego, ciarki przeszły mu po plecach.

— Czy moglibyście to uściślić? — zapytał Ghasek. — Do którego brzegu jeziora król zmierzał? Dla wprowadzenia pewnego porządku podzieliłem swoją kronikę na okręgi.

— Najprawdopodobniej król Sarak zdążył do wschodniego brzegu — odparł Bevier. — To tam Thalezyjczycy starli się z Zemochami.

— Czy są jakieś ślady wskazujące na miejsce jego lądowania?

— Ja o żadnych nie słyszałem — przyznał Ulath. — Mam co prawda pewne przypuszczenia, ale mogę się mylić nawet o sto lig. Otóż, według mnie, król Sarak mógł żeglować do jednego z portów na północy, ale w Thalesii statki nie zawsze dobijają do portu. W pewnych regionach mamy, niestety, opinię piratów i być może król Sarak, chcąc uniknąć kłopotów, skierował swój okręt na jakąś bezludną plażę.

— Hm, jeszcze jedno utrudnienie — zauważył hrabia Ghasek. — Gdybym wiedział, gdzie wylądował, to domyśliłbym się, przez jakie okręgi mógł przejeżdżać. Czy w przekazach thalezyjskich zachował się opis, jak król wyglądał?

— Niezbyt szczegółowy. Wiemy jedynie, że był wysoki, o głowę przewyższał najrośniejszych mężów.

— To już coś. Prości ludzie pewnie nie znali jego imienia, ale zapamiętaliby człowieka tego wzrostu. — Hrabia począł kartkować manuskrypt. — Czy mógł wylądować na północnym wybrzeżu Deiry? — zapytał.

— To jest możliwe, ale raczej nieprawdopodobne — powiedział Ulath. — Stosunki między Deirą a Thalesią były w tamtych czasach nieco napięte. Prawdopodobnie król Sarak wolał uniknąć sytuacji grożących pojmaniem do niewoli.

— Zaczniemy więc od okolic portu Apalia. Najkrótsza droga na wschodni brzeg jeziora Randerą biegłaby stamtąd na południe. — Hrabia kartkował leżące przed nim papiery. — Zdaje się, że nie ma tu nic przydatnego — powiedział. — Jak wielu ludzi towarzyszyło królowi?

— Niezbyt wielu. Sarak opuszczał Emsat w pośpiechu i zabrał z sobą jedynie kilkusobową świtę.

— We wszystkich zapiskach, które zebrałem w Apalii, wspomina się o dużych oddziałach thalezyjskich. Oczywiście mogło być tak, jak sugerujesz, szlachetny panie Ulathu. Król Sarak mógł wylądować na jakiejś pustej plaży i ominąć Apalię. Sprawdźmy jeszcze port Nadera, zanim zaczniemy przeczesywać plaże i samotne wioski rybackie. — Popatrzył na mapę, a następnie cofnął się prawie o połowę manuskryptu i zaczął przebiegać go wzrokiem. — Chyba coś mamy! — zawołał

z właściwym badaczom entuzjazmem. — Wieśniak z okolic Nadery opowiadał mi o thalezyjskim statku, który w początkowym okresie kampanii przemknął nocą obok miasta i pożegłował kilka lig w głąb rzeki, nim przybił do brzegu. Na łąd zeszło kilku wojowników, a jeden z nich przerastał pozostałych o głowę. Czy korona króla Saraka wyróżniała się czymś szczególnym?

— Zdobiał ją duży, błękitny kamień — rzekł Ulath z napięciem w głosie.

— A więc to był on! — krzyknął hrabia z triumfem. — W opowieści wspomina się zwłaszcza o tym klejnocie. Mówili, że był wielkości pięści.

— Ach, więc okręt Saraka nie zatonął w morzu! — Sparhawk odetchnął z ulgą.

Hrabia wziął przymiar zrobiony z kawałka sznurka i rozciągnął go na mapie. Następnie zanurzył pióro w atramencie i coś zanotował.

— Wspaniale — powiedział dziarsko. — Przyjmijmy, że król Sarak obrał najkrótszą drogę z Nadery na pole bitwy. Musiał przejechać przez tereny z tej listy. Prowadziłem tam wszędzie badania. Jesteśmy coraz bliżej, szlachetni rycerze. Teraz wytropimy waszego króla. — Począł szybko kartkować swą kronikę. — Tu nikt o nim nie wspomina — mruknął na wpół do siebie — ale w tym rejonie nie było żadnych starć. — Czytał dalej. — Tutaj! — zakrzyknął, a na jego twarzy pojawił się triumfalny uśmiech. — Grupa Thalezyjczyków przejechała przez wieś oddaloną o dwadzieścia lig na północ od jeziora Venne. Dowodził nimi bardzo rostry mężczyzna w koronie. Coraz bardziej zacieśniamy obszar naszych poszukiwań.

Sparhawk zorientował się, że wstrzymał oddech. Brał już udział w wielu misjach i poszukiwaniach, ale owo tropienie śladów na papierze było dziwnie podniecające. Zaczynał rozumieć przyczyny, dla których człowiek może poświęcić swoje życie nauce.

— I oto jest! — krzyknął hrabia radośnie. — Znaleźliśmy go!

— Gdzie? Gdzie? — niecierpliwie dopytywał się Sparhawk.

— Przeczytam cały fragment. Oczywiście rozumiecie, że zapisałem to w uładzonej formie, a nie tak, jak mi to przekazano. — Ghasek uśmiechnął się. — Język wieśniaków i chłopów pańszczyźnianych jest bardzo barwny, ale niezbyt się nadaje do pisania naukowych prac. — Zerknął na wybraną stronicę. — O, tak. Teraz sobie przypominam. Ten człowiek był chłopem pańszczyźnianym. Jego pan powiedział mi, że ten wieśniak lubi bajać. Znalazłem go na polu w pobliżu wschodniego brzegu jeziora Venne, rozbijał motyką grudy ziemi. Oto co mi opowiedział:

Działo się to we wczesnym okresie kampanii, kiedy Zemosi pod dowództwem Othy penetrowali wschodnie granice Lamorkandii, pustosząc każdą wieś na swej drodze. Królowie państw Zachodu śpieszyli im na spotkanie z całym wojskiem, jakie udało im się zebrać, i duże oddziały przekraczały granice Lamorkandii, ale początkowo znajdowali się oni głęboko na południe od jeziora Venne. Z półno-

cy nadciągały główne oddziały thalezyjskie. Jeszcze zanim dotarła tu cała armia thalezyjska, jej forpocztą pojechała na południe mijając jezioro Venne.

— Wszyscy wiemy, że główne siły Othy wyprzedzali harcownicy i zwiadowcy — wspomniął hrabia przerywając czytanie. — To właśnie o zatrzymaniu przez jeden z owych patroli grupy Thalezyjczyków wspomniano w miejscu zwanym Kurhanem Olbrzyma.

— Czy to miejsce nazwano tak po bitwie czy przed nią? — zapytał Ulath.

— Prawie na pewno potem — odparł Ghasek. — Pelozyjczycy nie sypią kurhanów. To thalezyjski obyczaj, prawda?

— Tak, i chyba zgodzisz się, hrabio, że określenie „olbrzym” doskonale pasuje do króla Saraka.

— Uważam dokładnie tak samo. Jednakże tu jest jeszcze więcej na ten temat — powiedział hrabia i zaczął ponownie czytać:

Starcie pomiędzy Thalezyjczykami a Zemochami było krótkie i zażarte. Zemosi znacznie przerzedzili szeregi małego oddziału wojowników z Północy i wkrótce ich pokonali. Wśród tych, którzy padli jako ostatni, był ich dowódca, człowiek olbrzymiego wzrostu. Jeden z towarzyszących mu rycerzy, choć sam ciężko ranny, wziął jakiś przedmiot z ciała swego poległego wodza i uciekł w kierunku jeziora. Nie ma jednoznacznej wzmianki na temat tego, co zabrał lub co z tym uczynił. Zemosi zaciekle ścigali uciekiniera, który w końcu umarł z ran nad brzegiem jeziora. Zdarzyło się jednak, że przejeżdżała tamtędy w drodze nad jezioro Randerą kolumna rycerzy Zakonu Alcjonu, powracających do swej siedziby w Deirze, aby leczyć się z ran odniesionych podczas walk w Rendorze. Alcjonici wybili Zemochów z tego patrolu co do jednego. Pogrzebali wiernego sługę i ruszyli dalej, przez czysty przypadek omijając miejsce właściwej potyczki.

Tak się stało, że znaczne siły thalezyjskiej armii podążyły za pierwszą grupą w odstępnie nie większym niż dzień drogi. Gdy okoliczni wieśniacy wyjawili im, co się stało, pogrzebali swoich rodaków i usypali nad ich grobami kurhan. Ta druga grupa Thalezyjczyków nigdy nie dotarła nad jezioro Randerą, ponieważ dwa dni później wpadli w zasadzkę, w której wszyscy zginęli.

— To wyjaśnia, dlaczego nikt nie wie, co stało się z królem Sarakiem — mruknął Ulath. — Nie został przy życiu nikt, kto mógłby o tym opowiedzieć.

— Czy to możliwe — dumał Bevier — aby ten rycerz ze świty Saraka zabrał królewską koronę?

— Owszem, możliwe — przyznał Ulath. — Jednakże bardziej prawdopodobne, że to był miecz Saraka. Thalezyjczycy przywiązują dużą wagę do królewskich mieczy.

— Nie będzie trudno sprawdzić — powiedział Sparhawk. — Udamy się na Kurhan Olbrzyma i Tynian przywoła ducha króla Saraka. A ten będzie mógł nam powiedzieć, co stało się z jego mieczem i koroną.

— Z tym miejscem wiąże się również pewna osobliwość — wspomniał hrabia. — Nie spisałem tego, ponieważ nie wydarzyło się to w czasie bitwy. Otóż od stuleci chłopci pańszczyźniani widują na trzęsawiskach dookoła jeziora Venne jakąś pokraczną postać.

— Jakiś zwierz? — zasugerował Bevier. — Może niedźwiedź?

— Myślę, że chłopci rozpoznaliby niedźwiedzia — powiedział Ghasek.

— Więc może łoś — mruknął Ulath. — Gdy pierwszy raz ujrzałem łośia, nie chciałem wierzyć, że może istnieć coś tak dużego. Pysk łośia także nie należy do najpiękniejszych.

— Przypominam sobie, że chłopci mówili, iż ten stwór chodzi na dwóch nogach.

— Troll? — zapytał Sparhawk. — Czyżby ten, który ryczał w pobliżu naszego obozu, tam nad jeziorem?

— Nie, nie troll. Był co prawda wystarczająco włochaty, ale oni mówili, że tamten był przysadzisty i miał powykręcane członki.

Ulath nachmurzył się.

— Nie przypomina to żadnego z trolli, o jakich kiedykolwiek słyszałem...
— Nagle otworzył szeroko oczy. — Ghwerig! — krzyknął strzelając palcami. — To musi być Ghwerig. Wszystko się zgadza, dostojny panie Sparhawk. Ghwerig szuka Bhelliomu, a on wie dobrze, gdzie należy szukać.

Rozdział 17

— Tyle wam zawdzięczam. . . na zawsze pozostanę waszym dłużnikiem, przyjaciele — rzekł do nich hrabia Ghasek następnego ranka, gdy przygotowywali się na zamkowym dziedzińcu do odjazdu.

— A my twoimi, hrabio — zapewnił go Sparhawk. — Bez twojej pomocy nie mielibyśmy szans znalezienia tego, czego szukamy.

— Powodzenia, dostojny panie Sparhawku. — Ghasek uściśnął serdecznie dłoń pandionity.

Sparhawk wyprowadził ich z dziedzińca i powiódł z powrotem w dół wąską ścieżką do podnóża skały.

— Ciekaw jestem, jaka przyszłość go czeka — odezwał się z pewnym smutkiem Talen.

— Hrabia Ghasek nie ma wyjścia — powiedziała Sephrenia. — Musi tam zostać, dopóki jego siostra nie umrze. Co prawda nie jest już niebezpieczna, ale nadal trzeba jej pilnować i zapewnić opiekę.

— Obawiam się, że przez resztę swojego życia będzie bardzo samotny — westchnął Kalten.

— Ma swoje księgi i kronikę — zauważył Sparhawk. — To całe towarzystwo, jakiego uczony naprawdę potrzebuje.

Ulath mruczał coś pod nosem.

— O co ci chodzi? — zapytał Tynian.

— Powinienem być się domyślić, że ten troll był nad jeziorem Venne w jakimś konkretnym celu — odparł Ulath. — Oszczędziłbym nam sporo czasu, gdybym chwilę pomyślał.

— Czy rozpoznałbyś Ghweriga, gdybyś go zobaczył?

Ulath skinął głową.

— To karzeł, a niewiele jest karłowatych trolli — dodał. — Ich matki zwykle zjadają zdeformowane noworodki.

— Okropny zwyczaj.

— Cóż,trolle nie słyną z delikatności obyczajów. Prawdę powiedziawszy, nawet między sobą nie zawsze się zgadzają.

Jechali równiną u podnóża zamku hrabiego Ghaska. Słońce tego ranka świeciło bardzo jasno, a ptaki śpiewały wesoło w zaroślach w pobliżu wyludnionej wioski. Talen zboczył w jej kierunku.

— Nie znajdziesz tam niczego, co mógłbyś ukraść! — zawołał za nim Kurik.

— Jestem tylko ciekawy i to wszystko! — odkrzyknął Talen. — Dogonię was za kilka minut.

— Mam za nim pojechać? — spytał Berit.

— Nie, niech się rozejrzy — zdecydował Sparhawk. — W przeciwnym razie cały dzień będzie nam marudził.

Nagle Talen wypadł z wioski w pełnym galopie. Był śmiertelnie blady i przerażony. Gdy ich dogonił, zwałił się z siodła na ziemię i wymiotował, niezdolny wykrztusić z siebie słowa.

— Lepiej sprawdźmy, co się stało — rzekł Sparhawk do Kaltena. — Wy czekajcie tutaj.

Obaj rycerze ruszyli ostrożnie w kierunku wioski, trzymając kopie w pogotowiu.

— Jechał tędy — powiedział cicho Kalten, wskazując czubkiem kopii na ślady pozostawione przez konia Talena w błotnistej uliczce.

Sparhawk skinął głową. Pojechali po śladach kopyt w stronę domu, który sprawiał wrażenie bardziej okazałego niż inne. Zsiedli z koni, wyciągnęli miecze i weszli do środka.

Pomieszczenia we wnętrzu domu były zakurzone i zupełnie puste.

— Tu nic nie ma — zdziwił się Kalten. — Ciekawe, czego chłopak się tak bardzo wystraszył.

Sparhawk otworzył drzwi do izby na tyłach domu i zajrzał do środka.

— Sprowadź tu Sephrenię — powiedział posepnie.

— Co tam znalazłeś?

— Dziecko. Nie żyje, umarło dawno temu.

— Jesteś tego pewien?

— Sam się przekonaj.

Kalten zajrzał do środka i jęknął ze zgrozą.

— Czy na pewno chcesz, aby mateczka to zobaczyła? — zapytał.

— Musimy wiedzieć, co się stało.

— A więc sprowadzę ją tutaj.

Wyszli obaj na zewnątrz. Kalten dosiadł konia i pogalopował, Sparhawk został u drzwi domu. Kilka minut później jasnowłosy rycerz powrócił wraz z Sephrenią.

— Poprosiłem, aby zostawiła małą Flecik z Kurikiem — rzekł Kalten. — Lepiej, żeby dziecko tego nie oglądało.

— Masz rację — odparł ze smutkiem Sparhawk. — Mateczko, wybacz — zwrócił się do Sephrenii — to nie będzie przyjemny widok.

— Niejedno już w życiu widziałam — odparła czarodziejka spokojnie.

Rycerze poprowadzili ją do izby na tyłach domu. Sephrenia rzuciła krótkie spojrzenie, po czym odwróciła się gwałtownie.

— Kaltenie, idź wykopać grób — poleciła.

— Nie mam łopaty — zaprotestował.

— Użyj więc własnych rąk! — krzyknęła niemal dziko.

— Dobrze, Sephrenio. — Jej wściekłość zdawała się budzić w Kaltenie nabożny lęk. Wyszedł pośpiesznie.

— Biedactwo — litowała się Sephrenia, pochylona nad truchełkiem.

Małe ciało było poskręcane i wysuszone. Skóra zszarzała, a zapadnięte oczy były wciąż otwarte.

— Znowu Bellina? — zapytał Sparhawk, a jego głos nawet jemu wydał się zbyt donośny.

— Nie. To dzieło szukacza. W ten sposób się odżywia. Popatrz tutaj — wskazała ślady na ciele dziecka — i tutaj, i tutaj, i tutaj. W te miejsca się wpił. Wysysa z ciała krew i wszystkie soki, pozostawia jedynie wyschniętą powłokę.

— Nie daruję mu! — Sparhawk zacisnął dłoń na drzewcu włóczni Aldreasa. — Przy następnym spotkaniu ze mną zginie.

— Byłbyś do tego zdolny, mój drogi?

— Nie mogę inaczej. Pomszczę to dziecko, choćbym miał stawić czoła szukaczowi, Azashowi czy nawet samym władcom piekieł!

— Przemawia przez ciebie złość, Sparhawk.

— Tak. Możesz tak powiedzieć. — Sparhawk, mimo że zdawał sobie sprawę z głupoty tego gestu, dobył nagle miecza i rąbiąc nim na odlew wybił dziurę w ścianie. Poczuł się trochę lepiej.

Pozostali członkowie wyprawy w milczeniu przyjechali do wioski i zatrzymali się nad grobem, który Kaltén wygrzebywał w ziemi gołymi rękoma. Sephrenia wyszła z domu niosąc truchełko w ramionach. Flecik podeszła z kawałkiem lnianego płótna i obie ostrożnie zawinęły w nie martwe dziecko. Następnie ułożyły je w grobie.

— Panie Bevierze — powiedziała Sephrenia — czy nie zechciałbyś zmówić modlitwy? To dziecko Elenów, a ty jesteś najbardziej pobożny spośród tych rycerzy.

— Nie jestem godzien... — Bevier nie skrywał łez.

— A kto jest godzien, mój drogi? Pozwolisz, aby to bezimienne dziecko odeszło samo do krainy ciemności?

Bevier padł na kolana i zaczął recytować pradawną modlitwę za zmarłych. Wtem do klęczącego rycerza podeszła Flecik.

Zaczęła delikatnie głaskać paluszkami jego kruczoczarne loki, w dziwnie uspokajający, kojący sposób. Sparhawk poczuł, że ta dziwna dziewczynka może być o wiele starsza, niż przypuszczali. Po chwili mała uniosła do ust swoją fujarkę. Rozległ się hymn, stary, bardzo stary hymn, sięgający niemal korzeni wiary

Elenów, ale pobrzmiwały w nim również styryckie dźwięki. Przez krótką chwilę, dzięki pieśni granej przez malutką Flecik, Sparhawkowi zdało się, że zaczyna pojmować niepojęte.

Po skończonym pogrzebie dosiedli ponownie koni i odjechali. Przez resztę dnia nie odzywali się wiele do siebie. Na noc zatrzymali się w miejscu obozowiska nad małym jeziorkiem, w którym spotkali się z Arbelem. Minstrel zniknął.

— Tego się obawiałem — powiedział Sparhawk. — Nie liczyłem zbyt na to, że go tu zastaniemy.

— Może zdołałbym go dogonić jadąc dalej na południe — zasugerował Kalten. — Miał podłego konia.

— Co byśmy z nim zrobili, gdyby udało ci się go dogonić? — spytał Tynian. — Nie mamy chyba zamiaru go zabić, prawda?

— No, tylko w ostateczności — odparł Kalten. — Teraz, kiedy Sephrenia wie, że jest on pod wpływem Belliny, chyba mogłaby go uleczyć.

— Bardzo mi miło, że darzysz mnie takim zaufaniem, Kaltenie — powiedziała czarodziejka — ale być może nie zasługuję na nie.

— Czy urok, który na niego rzuciła, nigdy nie minie? — zapytał Bevier.

— Będzie słabł do pewnego stopnia. W miarę upływu czasu Arbel przestanie zachowywać się jak szaleniec, ale nigdy nie uwolni się od niego zupełnie. Możliwe jednak, że dzięki temu pocznie pisać lepsze wiersze. Najważniejsze jednak jest to, że będzie coraz mniej zarażał innych. Jeżeli w ciągu najbliższego tygodnia nie spotka zbyt wielu ludzi, to nie będzie stanowił dla hrabiego wielkiego zagrożenia, podobnie jak reszta tamtej służby.

— To już jest coś — powiedział młody cyrynita, ale się nie rozchmurzył. Pogrzeb dziecka wstrząsnął nim głęboko. Po krótkim namyśle zapytał: — Skoro byłem już zarażony, to po co ta kreatura nawiedziła mnie jeszcze wczorajszej nocy?

— Uczyniła to w celu wzmocnienia uroku, panie Bevierze — powiedziała czarodziejka. — Byłeś zauroczony, ale nie na tyle, by atakować własnych towarzyszy. Ona musiała się upewnić, że nie cofniesz się przed niczym, aby uwolnić ją z wieży.

Podczas rozbijania obozu Sparhawk o czymś sobie przypomniał. Zbliżył się do Sephrenii, siedzącej przy ognisku z nieodłączną filiżanką herbaty w dłoni.

— Mateczko, o co chodzi Azashowi? — zapytał. — Czemu nagle zmienił swoje zwyczaje i począł zdobywać wyznawców wśród Elenów? Nigdy przedtem tego nie czynił, prawda?

— Przypominasz sobie, co powiedział ci tamtej nocy w krypcie ducha króla Aldreasa? Że nadchodzi czas ponownego pojawienia się Bhelliomu?

— Tak.

— Azash również o tym wie i dlatego będzie postępował coraz bardziej desperacko. Prawdopodobnie odkrył już, że nie może polegać jedynie na Zemochach.

Są co prawda zdolni do wypełniania rozkazów, ale nie grzeszą przy tym zbytnią bystrością. Od stuleci kopali na polu bitwy nad jeziorem Randerą i nadal to robią, ciągle w tej samej okolicy. A my przez ostatnich kilka tygodni dowiedzieliśmy się więcej na temat miejsca ukrycia Bhelliomu, niż oni w ciągu pięciuset lat.

— Mieliśmy szczęście.

— To nie było jedynie kwestią szczęścia, Sparhawk. Wiem, że czasem żartuję z twojego sposobu myślenia, z logiki Elenów, ale to właśnie za jej sprawą znaleźliśmy się tak blisko Bhelliomu. Zemosi nie są zdolni do logicznego rozumowania. W tym tkwi słabość Azasha. Zemosi nie myślą, bo nie muszą. Za nich wszystkich myśli Azash. Dlatego właśnie ten okrutny bóg rozpaczliwie stara się pozyskać wyznawców pośród Elenów. Nie potrzebuje ich adoracji; potrzebne są mu ich umysły. We wszystkich zachodnich królestwach jego Zemosi zbierają stare opowieści — podobnie jak my to czyniliśmy. Myślę, iż ma nadzieję, że któryś z nich trafi na właściwą legendę, a potem jeden z jego nowych wyznawców będzie w stanie wyłowić z niej informację, której szuka.

— Ale to bardzo okrężna droga, nieprawdaż?

— Azash ma czas. Jemu nie śpieszy się tak jak nam.

W nocy Sparhawk stał na straży z dala od ogniska i przyglądał się połyskującej w świetle księżyca powierzchni jeziora. Po posępnym lesie znowu niosło się wycie wilków, ale tym razem nie było ono już tak złowieszcze. Na zawsze został przegnany widmowy duch, który polował w tym lesie, i wilki były już tylko wilkami, a nie zwiastunami zła. Szukacz — to była oczywiście zupełnie inna sprawa. Z ponurą zaciętością Sparhawk przysięgł sobie, że gdy spotkają się następnym razem, zatopi włócznię Aldreasa w tym budzącym wstręt stworze.

— Dostojny panie, gdzie jesteś? — To był Talen. Mówił przyciszonym głosem, stojąc w pobliżu ogniska i wpatrując się w ciemność.

— Tutaj.

Chłopiec zbliżył się, stawiając ostrożnie stopy, bo w ciemnościach nocy nie widział drogi przed sobą.

— Czemu nie śpisz? — zapytał Sparhawk.

— Nie mogę zasnąć. Pomyślałem sobie, że może chciałbyś mieć towarzystwo.

— Cenię to sobie wysoko, Talenie. Rzeczywiście, trzymając straż czuję się nieco osamotniony.

— Naprawdę jestem rad, że opuściliśmy zamek hrabiego — powiedział Talen. — Nigdy w życiu tak się nie bałem.

— Sam byłem trochę zdenerwowany — przyznał Sparhawk.

— Wiesz co, dostojny panie? W zamku było mnóstwo ładnych drobiazgów, a ja nawet przez moment nie pomyślałem, żeby coś ukraść. Czy to nie dziwne?

— Może dorósłesz.

— Znam kilku bardzo sędziwych złodziei! — zaprotestował Talen, po czym westchnął niepocieszony.

— Nad czym tak bolejesz, Talenie?
— Nikomu nie zwierzałem się z tego, dostojny panie, ale nie bawi mnie to już tak jak kiedyś. Teraz, gdy wiem, że mogę zabrać każdemu prawie wszystko, na co przyjdzie mi ochota, już mnie to nie raduje.
— Może powinieneś rozejrzeć się za innym zajęciem.
— A do czego innego się nadaję?
— Zastanowię się nad tym i dam ci znać, gdy na coś wpadnę.
Talen roześmiał się nagle.
— Co cię tak rozbawiło? — zapytał Sparhawk.
— Mogę mieć kłopoty ze zdobyciem odpowiednich referencji. — Chłopak nie przestawał się śmiać. — Moi klienci zwykle nie wiedzieli, że to ze mną prowadzili interesy.
Srogie oblicze Sparhawka rozjaśnił uśmiech.
— To istotnie może być pewien problem. Coś wymyślimy.
Chłopiec znowu westchnął.
— To już prawie koniec, prawda, dostojny panie? Wiemy, gdzie jest pogrzebany ten król. Pozostaje nam jedynie wykopać jego koronę, a potem dojechać szczęśliwie do Cimmury. Ty wrócisz do królewskiego pałacu, a ja na ulicę.
— Chyba nie — powiedział Sparhawk. — Może uda się znaleźć coś zamiast ulicy.
— Może, ale gdy tylko zaczniesz mnie to nudzić, po prostu znowu ucieknę. Wiesz, dostojny panie, będzie mi brakowało tego wszystkiego. Co prawda kilka razy wystraszyłem się nie na żarty, ale nie brakło też i miłych chwil. I te na zawsze zachowam w pamięci.
— A więc jednak coś z tego wyniosłeś. — Sparhawk położył dłoń na ramieniu Talena. — Wracaj na swoje posłanie, chłopcze. Jutro rano wcześniej wstajemy.
— Jak sobie życzysz, dostojny panie.
Następnego dnia zebrali się o świcie i ruszyli wyboistą drogą ostrożnie, by nie okuliwić koni. Nie zatrzymując się minęli wioskę drwali i przyśpieszyli.
— Jak daleko jeszcze? — zapytał Kalten późnym rankiem.
— Trzy, może cztery dni drogi, góra pięć — odrzekł Sparhawk. — Kiedy tylko wyjedziemy z tego lasu, trakt będzie lepszy, więc nadrobimy trochę czasu.
— A więc pozostało nam jedynie odnaleźć Kurhan Olbrzyna.
— To nie będzie trudne. Z kroniki hrabiego Ghaska wynika, że okoliczni wieśniacy wykorzystują go jako punkt orientacyjny. Popytamy.
— A potem zaczniemy kopać.
— Nie chciałbyś chyba, by ktoś to zrobił za ciebie.
— Pamiętasz, co powiedziała Sephrenia w zamku Alstroma, w Lamorkandii?
— zapytał Kalten z powagą. — Że wieść o ponownym pojawieniu się Bhelliomu rozejdzie się szeroko po świecie?
— Coś sobie przypominam.

— A więc w tej samej chwili, gdy go wykopie, Azash będzie o tym wiedział i w drodze powrotnej do Cimmury Zemosi pewnie zapoleją na nas. Możliwe, że będzie to bardzo nerwowa podróż.

Tuż za nimi jechał Ulath.

— Niekoniecznie — mruknął. — Pan Sparhawk ma już oba pierścienie. Mogę nauczyć go kilku słów w języku trolli. Kiedy ujmie w swe dłonie Bhelliom, wszystko stanie się łatwe. Pan Sparhawk sam będzie w stanie zwać z nóg całe regimenty Zemochów.

— Naprawdę ten klejnot kryje w sobie aż tak wielką moc?

— Kaltenie, nawet sobie tego nie wyobrażasz. Jeżeli choćby połowa z tych wszystkich opowieści jest prawdziwa, to Bhelliom może prawie wszystko. Pan Sparhawk zdołałby pewnie zatrzymać Słońce, gdyby tylko zechciał.

Sparhawk spojrzał na Ulatha przez ramię.

— Czy trzeba znać język trolli, by posługiwać się Bhelliomem? — zapytał.

— Nie jestem tego zupełnie pewien — odparł Ulath — ale mówi się, że napełnia go moc bogów trolli. Może nie odpowiedzieć na słowa w języku Elenów czy Styrików. Następnym razem, gdy będę rozmawiał z bogami trolli, zapytam ich o to.

Tej nocy obozowali również w lesie. Po wieczerzy Sparhawk oddalił się od ogniska, by pomyśleć w spokoju. Wkrótce podszedł do niego Bevier.

— Czy zatrzymamy się w Venne? — zapytał.

— To bardzo prawdopodobne — rzekł Sparhawk. — Wątpię, czy uda nam się jutro dojechać dalej.

— To dobrze. W Venne pójdę do kościoła.

— Tak?

— Zostałem skalany przez zło. Czuję potrzebę modlitwy.

— Nie było w tym twojej winy, panie Bevierze. To mogło przytrafić się każdemu z nas.

— Ale przytrafiło się mnie, dostojny panie. — Bevier westchnął ciężko. — Wiedźma pewnie dlatego wybrała mnie, gdyż wiedziała, że jestem z was najsłabszy wiara.

— Bzdura, panie Bevierze. Jesteś najbardziej pobożnym człowiekiem, jakiego znam.

— Nie! — Bevier potrząsnął głową ze smutkiem. — Jestem świadom własnych słabości i tego, że jestem szczególnie czuły na wdzięki płci przeciwnej.

— Jesteś młody, przyjacielu. Twoje uczucia są jak najbardziej naturalne. Z czasem ci to przejdzie, tak przynajmniej mi mówiono.

— Czy tobą nadal targają podobne pragnienia? Mam nadzieję, że gdy osiągnę twój wiek, nie będą mnie więcej nękać.

— To niezupełnie tak wygląda, panie Bevierze. Znam kilku starców, którym oczy błyszczą na widok hożej dziewczki. Myślę, że to część natury człowieka. Gdy-

by Bóg tego nie chciał, nie pozwoliłby, byśmy to odczuwali. Wyjaśnił mi to kiedyś patriarcha Dolmant, kiedy sam miałem podobne kłopoty. Nie jestem pewien, czy do końca mu uwierzyłem, ale przestałem czuć się aż tak grzesznym.

Bevier spojrział z niedowierzaniem na srogię pandionię.

— Ty, dostojny panie? Nigdy nie poznałem cię od tej strony. Myślałem, że twoje obowiązki pochłaniają cię całkowicie.

— Mylisz się, panie Beverze. Nadal pozostaje mi trochę wolnego czasu na inne sprawy. Szkoda, że nie miałeś okazji spotkać Lillias.

— Lillias?

— To niewiasta z Rendoru. Żyłem z nią, gdy przebywałem na wygnaniu.

— Panie Sparhawk! — Bevier spojrział na rycerza Zakonu Pandionu z wyrzutem.

— Ukrywałem się. Nikt nie mógł we mnie rozpoznać zakonnego rycerza.

— Ale ty chyba nie... — Bevier zawiesił głos. Sparhawk był pewien, że młodzieniec zaczerwienił się gwałtownie, ale w ciemności nie było tego widać.

— O, tak — zapewnił cyrinie. — Inaczej Lillias by mnie porzuciła. Ona była białogłową o sporych wymaganiach. Potrzebowałem jej, więc starałem się ją uszczęśliwić.

— Jestem wstrząśnięty, dostojny panie, naprawdę wstrząśnięty.

— Panie Beverze, pandionicy są o wiele bardziej pragmatyczni niż rycerze Zakonu Cyriników. Robimy wszystko, by w pełni wykonać nasze zadania. Nie martw się, przyjacielu. W ostatnich dniach nie naraziłeś swej duszy, a przynajmniej nie naraziłeś jej bardzo.

— Nadal jednak czuję potrzebę pójścia do kościoła.

— Po co? Bóg przecież jest wszędzie, prawda?

— Oczywiście.

— A więc porozmawiaj z nim tutaj.

— To nie będzie zupełnie to samo.

— Mimo to sądzę, że poczułbyś się lepiej.

O brzasku ruszyli dalej. Droga biegła teraz łagodnie w dół, jako że zjeżdżali z niskich, zalesionych pagórków. Czasami, gdy mijali jakiś zakręt na drodze lub wjeżdżali na szczyt wzgórza, mogli w oddali dojrzeć połyskujące w wiosennym słońcu wody jeziora Venne. Późnym popołudniem dotarli do głównego traktu wiodącego ku miastu. Był w znacznie lepszym stanie niż droga, którą jechali dotychczas. Słońce jeszcze nie zaczerwieniło nieba na zachodzie, kiedy stanęli przed bramami miasta Venne.

Znów przemierzali wąskie uliczki, w których za sprawą wysuniętych górnych pięter domów panował przedwczesny mrok. Wkrótce przybyli do znajomego zajazdu. Właściciel, jowialny Pelozyjczyk, przywitał ich jak dobrych przyjaciół i powiódł na piętro, gdzie mieściły się sypialnie.

— Jak udał się wam pobyt w tych przeklętych lasach, szlachetni rycerze? — zapytał po drodze.

— Całkiem dobrze, ziomku — odparł Sparhawk — i myślę, że możesz zacząć rozpowiadać, iż w okolicy zamku Ghasek nie ma już się czego bać. Odkryliśmy, co było powodem budzących strach pogłosek i odpowiednio się tym zajęliśmy.

— Bogu niech będą dzięki za Rycerzy Kościoła! — zawołał gospodarz z entuzjazmem. — Te opowieści bardzo szkodziły naszym interesom w Venne. Ludzie woleli jechać innymi drogami, byle tylko ominąć pobliskie lasy.

— Teraz wszystko jest już w porządku — zapewnił go Sparhawk.

— To był jakiś potwór, prawda?

— Można tak powiedzieć — odparł Kalten.

— Czy ty go zabiłeś, szlachetny panie?

— Pogrzebaliśmy go. — Kalten zaczął już zdejmować zbroję.

— Moje gratulacje, szlachetny panie.

— A tak przy okazji, ziomku — rzekł Sparhawk — musimy odszukać miejsce zwane Kurhanem Olbrzyna. Może wiesz, skąd powinniśmy zacząć nasze poszukiwania?

— Kurhan, o który pytasz, dostojny panie, znajduje się na wschód od jeziora — odparł właściciel zajazdu. — Jest tam kilka wiosek. Są położone z dala od brzegu z powodu tych wszystkich torfowisk. — Roześmiał się. — Nietrudno będzie je odszukać. Tamtejsi wieśniacy palą w piecach torfem. Z ich chat nieźle się dymi, więc wystarczy, jak będziecie kierować się węchem.

— A co podasz dziś na wieczerzę? — dopytywał się Kalten.

— Czy ty zawsze masz w głowie tylko to jedno? — zapytał Sparhawk.

— Przebyliśmy długą drogę, Sparhawk. Muszę zjeść coś porządnego. Miło się z wami podróżuje, przyjaciele, nie mam pod tym względem żadnych zastrzeżeń, ale wasze umiejętności kucharskie pozostawiają wiele do życzenia.

— Od rana na rożnie obraca się wołowy udziec, szlachetny panie — powiedział właściciel zajazdu. — Powinien już być upieczony.

Kalten wyszczerzył zęby w pełnym szczęścia uśmiechu.

Bevier, tak jak zamierzał, spędził noc w pobliskim kościele i przyłączył się do nich rano. Sparhawk, znając stan jego duszy, postanowił nie zadawać mu żadnych pytań.

Opuścili Venne i ruszyli na południe traktem biegnącym wzdłuż jeziora. Jechali teraz o wiele szybciej niż podczas podróży do miasta. Kalten, Bevier i Ty-nian doszli już na tyle do siebie po spotkaniu z wywołanym spod ziemi potworem, że mogli jechać galopem.

Późnym popołudniem Kurik podjechał do Sparhawka i złożył raport:

— Właśnie wyczułem w powietrzu zapach palonego torfu. Musi tu być w okolicy jakaś wioska.

— Kaltenie! — zawołał Sparhawk.

— Słucham?

— Zbliżamy się do wsi. Pojadę z Kurikiem rozejrzeć się. Rozbij obóz i rozpal ognisko. Możemy wrócić dopiero po zmroku, więc będzie nam potrzebny jakiś znak naprowadzający.

— Wiem, co należy robić, Sparhawk.

— W porządku. Zrób to. — Sparhawk i jego giermek zjechali z drogi i pogalopowali w kierunku zagajnika znajdującego się około pół ligi na wschód.

Zapach palonego torfu stawał się coraz intensywniejszy. Była to miła, swojska woń. Sparhawk rozparł się w siodle. Czuł się dziwnie beztrosko.

— Tylko nie bądź zbyt pewien siebie — ostrzegł go Kurik. — Dym potrafi osobiwie działać na umysł. Nie zawsze można ufać tym, którzy palą torfem. Pod pewnymi względami są gorsi od Lamorkandczyków.

— Skąd ty to wszystko wiesz, Kuriku?

— Mam swoje sposoby, Sparhawk. Kościół i szlachetnie urodzeni swoją wiedzę o świecie czerpią z raportów i ksiąg, prości ludzie zaś starają się sercem pojąć to, co dzieje się dookoła nich.

— Będę o tym pamiętał. A oto i wioska.

— Pozwól, abym to ja poprowadził rozmowy — poprosił giermek. — Choćbyś nie wiem jak się starał, i tak nie wezmą cię równego sobie.

Wioskę tworzyły niskie, obszerne domy z szarego polnego kamienia, kryte strzechą, stojące po obu stronach jedynej ulicy. Krępy wieśniak siedział na zydłu w otwartej na oścież szopie i doił brązową krowę.

— Witaj, przyjacielu! — zawołał Kurik, zeskakując z konia.

Chłop odwrócił się i jak głupek zaczął się na nich gapić.

— Czy wiesz coś o miejscu zwanym Kurhanem Olbrzyma? — zapytał go Kurik.

Wieśniak nic nie odpowiadał, tylko dalej gapił się z otwartymi ustami.

Wtem z pobliskiego domu wyszedł szczupły, zezowaty mężczyzna.

— Nie warto się do niego odzywać — powiedział. — W młodości kopnął go koń i od tamtej pory jest do niczego.

— Przykro mi to słyszeć. Może ty nam udzielisz pomocy? Szukamy miejsca zwanego Kurhanem Olbrzyma.

— Nie macie chyba zamiaru udać się tam nocą?

— Nie, poczekamy do jutra, aż wstanie słońce.

— To już trochę lepiej, ale niewiele. Czy wiecie, że to nawiedzone miejsce?

— Nie, tego nie wiedziałem. Gdzie to jest?

— Widzicie tę ścieżkę, biegnącą na południowy wschód?

Kurik skinął głową.

— Pojedźcie tą ścieżką, gdy wzejdzie słońce — rzekł zezowaty wieśniak. — Dwie, może trzy ligi stąd.

— Czy wdziałeś, żeby ktoś się kręcił w pobliżu tego kurhanu? A może ktoś tam kopał?

— Nie, nigdy o czymś takim nie słyszałem. Jeśli ktoś ma dobrze w głowie, to wie, że nie ma czego szukać w nawiedzonym miejscu.

— Słyszeliśmy, że widujecie tu w okolicy trolla.

— A co to jest troll?

— Wstrętna bestia cała porośnięta włosami. Ten, którego mam na myśli, jest do tego jeszcze bardzo pokraczny.

— Ach, o niego chodzi! Gdzieś na torfowisku ma swoje legowisko. Wychodzi tylko nocą. Włóczy się po brzegu jeziora. Czasami robi paskudny hałas, a potem jak szalony grzebie w ziemi przednimi łapami, jakby czegoś szukał. Sam widziałem go kilka razy podczas kopania torfu. Na waszym miejscu trzymałbym się od niego z daleka. Wygląda na to, że ma wstrętny charakter.

— Zdaje się, że dobrze radzisz. A czy wdziałeś tu w okolicy Styrików?

— Nie. Nie przychodzą tutaj. W tym rejonie ludzie nie przepadają za poganami. Masz sporo pytań, przyjacielu.

Kurik wzruszył ramionami.

— Najlepszym sposobem zdobywania wiadomości jest zadawanie pytań — rzucił od niechcienia.

— No to idź sobie stąd i pytaj kogo innego. Ja mam swoją robotę. — Jego zezowate oczy patrzyły nieprzyjaźnie. — Nie skończyłeś jeszcze z tym mlekiem?! — wrzasnął do niemowy.

Głupek potrząsnął głową kuląc się ze strachu.

— W tej chwili zabieraj się do dojenia! — wrzeszczał zezowaty. — Nie dostaniesz wieczerzy, póki nie skończysz.

— Dzięki, że poświęciłeś mi tyle czasu, przyjacielu — powiedział Kurik dosiadając konia.

Wieśniak mruknął coś i wrócił do domu.

— Przydał się — rzekł Sparhawk, gdy w czerwonych promieniach zachodzącego słońca wyjeżdżali z wioski. — Przynajmniej wiemy, że w tej okolicy nie ma żadnych Zemochów.

— Nie ciesz się na zapas, Sparhawku. — Kurik pokręcił głową. — Ten człowiek to niepewne źródło informacji. Nie wydawał się zbyt bystry. A poza tym nie tylko Zemochów powinniśmy się wystrzegać. Szukacz może na nas nasłać każdego, no i musimy uważać na tego trolla. Jeżeli Sephrenia ma słuszość i ten klejnot ponownie wyłoni się na światło dnia, to troll będzie jednym z pierwszych, którzy się o tym dowiedzą, prawda?

— Nie wiem. Musimy zapytać o to Sephrenię.

— Lepiej załóżmy, że tak będzie. Gdy wykopiemy koronę, spodziewajmy się jego wizyty.

— Pociuszająca myśl. Ale wiemy, gdzie jest kurhan. Spróbujmy przed zmrokiem odnaleźć obozowisko.

Kalten zatrzymał drużynę w kępie buków około pół ligi od brzegu jeziora i na skraju zarośli rozpałił duże ognisko. Stał przy nim, gdy Sparhawk i Kurik nadjechali.

— Czegoście się dowiedzieli? — zapytał.

— Zdobyliśmy wskazówki, jak dojechać do kurhanu — odparł Sparhawk zsiadając z konia. — To niedaleko stąd. Chodźmy porozmawiać z Tynianem.

Alcjonita w pełnym rynsztunku stał opodal ogniska rozmawiając z Ulatem.

Sparhawk przekazał im informacje, które Kurik otrzymał od wieśniaka, a potem spojrział na Tyniana.

— Jak się czujesz? — zapytał wprost.

— Dobrze. Dlaczego pytasz? Źle wyglądam?

— Nie o to chodzi. Zastanawiałem się tylko, czy jesteś już na tyle zdrowy, by ponownie podjąć się nekromancji. Pamiętam, że ostatnim razem trochę nadwerżyło ci to siły.

— Jestem gotów, dostojny panie Sparhawku — zapewnił Tynian. — Mam tylko nadzieję, że nie każesz mi wywołać całego oddziału.

— Nie, tylko ducha jednego człowieka. Musimy porozmawiać z królem Sarakiem, nim wykopie jego szczątki. On pewnie będzie wiedział, co stało się z jego koroną. No i upewnimy się, czy nie ma nic przeciwko przewiezieniu go z powrotem do Thalesii. Nie chciałbym, aby jakiś rozeźlony duch deptał nam po piętach.

— Słusznie — zgodził się Tynian żarliwie.

Następnego ranka wstali przed świtem. Czekali niecierpliwie na pierwszy brzask i zaraz ruszyli przez wciąż spowite mrokiem pola.

— Powinniśmy poczekać, aż zrobi się jaśniej, Sparhawku — narzekał Kalten. — Wielce prawdopodobne, że będziemy jeździć w kółko.

— Przecież jedziemy na wschód, czyli tam, gdzie wschodzi słońce. Wystarczy, byśmy się kierowali ku najjaśniejszej części nieba.

Kalten burknął coś pod nosem.

— Nie dosłyszałem — rzekł Sparhawk.

— Nie mówiłem do ciebie.

— O, przepraszam.

Błade światło przedświtn stopniowo nabierało siły i Sparhawk rozejrzał się dookoła.

— Tam jest ta wioska — wskazał ręką przed siebie. — Ścieżka, którą mamy pojechać, biegnie po jej drugiej stronie.

— Nie śpieszmy się zbyt — ostrzegła Sephrenia, otulając malutką Flecik swoją białą szatą. — Chciałabym, aby słońce weszło, nim dotrzemy do kurhanu.

To całe gadanie o nawiedzeniu może być jedynie miejscowym przesądem, ale lepiej nie ryzykujemy.

Sparhawk musiał zgodzić się z nią, choć z trudem pohamował niecierpliwość.

Przejechali wolno przez cichą wioskę i wjechali na ścieżkę wijącą się wśród pól. Sparhawk trącił Farana ostrogą i koń przeszedł w kłus.

— To wcale nie jest zbyt prędko, Sephrenio — powiedział rycerz, widząc wyraz dezaprobaty na twarzy czarodziejki. — Słońce będzie wysoko, gdy dojedziemy na miejsce.

Ścieżka ogrodzona była niewysokim murkiem z polnych kamieni i wiała się podobnie jak wszystkie polne drogi. Chłopi nie przywiązywali zbytnej wagi do prostego wytyczania dróg i zwykle budowali je jak najmniejszym wysiłkiem. Sparhawk z każdą przejechaną ligą niecierpliwił się coraz bardziej.

— Oto i on — powiedział w końcu Ulath, wskazując na pagórek, który pojawił się na horyzoncie. — Setki takich widziałem w Thalesii.

— Poczekajmy, aż słońce wyżej stanie na niebie — rzekł Tynian. — Nie chciałbym zaczynać, dopóki nie będzie całkiem widno. W którym miejscu może być pogrzebany król?

— W samym środku — odparł Ulath — z nogami skierowanymi na zachód. Rycerze ze świty powinni spoczywać po jego obu stronach.

— Dobrze wiedzieć.

— Objedźmy kurhan dookoła — zaproponował Sparhawk. — Chcę sprawdzić, czy ktoś tu kopał i ostatecznie upewnić się, że nikogo tu nie ma. Przy załatwianiu tego typu spraw niepotrzebne nam towarzystwo.

Objechali wzniesienie krótkim galopem. Było całkiem wysokie, na czterdzieści kroków długie i na dziesięć szerokie. Zbocza porastała trawa. Nie znaleźli żadnych śladów wykopalisk.

— Idę na szczyt — obwieścił Kurik, gdy wrócili na ścieżkę. — To najwyższy punkt w okolicy. Jeżeli ktoś jest w pobliżu, powinienem go stamtąd dostrzec.

— Masz zamiar chodzić po grobie? — zapytał Bevier z niedowierzaniem.

— Za chwilę wszyscy będziemy po nim chodzić, panie Bevierze — powiedział Tynian. — Muszę być jak najbliżej miejsca, gdzie pochowano króla, aby wywołać jego ducha.

Kurik wspiął się po zboczu kurhanu i stanął na szczycie. Rozejrzał się dookoła.

— Nikogo nie widzę! — zawołał na dół. — Ale na południu jest trochę drzew. Nie zaszkodzi tam pojechać, nim zaczniemy.

Sparhawk zacisnął zęby, ale musiał przyznać, że giermek ma słuszość.

Kurik zsunął się po trawiastym zboczu na dół i ponownie dosiadł konia.

— Czy zostaniesz tu z dziećmi? — zwrócił się do czarodziejki.

— Nie, mój drogi. Jeżeli między drzewami ukrywają się jacyś ludzie, to lepiej, aby nie wiedzieli, że interesuje nas ten kurhan.

— Słuszna uwaga — przyznał rycerz. — Pojedźmy więc po prostu w kierunku tamtych drzew, tak jakbyśmy mieli zamiar jechać na południe.

Ruszyli dalej wiejską ścieżką wijącą się wśród pól.

— Sparhawk — powiedziała cicho Sephrenia, gdy dotarli na skraj lasu. — Tu kryją się jacyś ludzie i nie są to przyjaciele.

— Ilu?

— Przynajmniej kilkunastu.

— Zostań trochę z tyłu z Talenem i Flecikiem — polecił rycerz. — Dobrze wiecie, co trzeba robić — zwrócił się do pozostałych.

Nie zdążyli jeszcze wjechać do zagajnika, kiedy spomiędzy drzew wypadła grupa słabo uzbrojonych wieśniaków. Wszyscy mieli ten sam charakterystyczny, dobrze znany rycerzom wyraz twarzy lunatyków. Sparhawk pochylił kopię i zaatakował, u swych boków mając budzących strach towarzyszy.

Walka nie trwała długo. Wieśniacy ze swoim marnym orężem byli jak bezbronni, a do tego walczyli na piechotę. W kilka minut było po wszystkim.

— Dobra robota, szszszlachetni rycerze — odezwał się z mroku zagajnika metaliczny, mrozący krew w żyłach głos, po czym zza drzew wyjechał zakapturzony szukacz. — Ale to nie ma znaczenia — ciągnął. — Wiem teraz, gdzie jesssteście.

Sparhawk podał swoją kopię Kurikowi i wyciągnął spod derki włócznie Aldreasa.

— Również my wiemy, gdzie ty jesteś — powiedział ze złowieszczym spokojem.

— Nie bądź głupi, dosstojny panie Sssparhawku. Z wasss żadni dla mnie przeciwnicy.

— A może się przekonamy?

Z ukrytego pod kapturem oblicza zaczęła dobywać się zielonkawa poświata. Wtem światło zamigotało i osłabło.

— On ma pierśśścienie! — zasyczał szukacz. Wydawał się tracić pewność siebie.

— Myślałem, że już o tym wiesz.

Wówczas do Sparhawk podjechała Sephrenia na swej białej klaczy.

— Długo się nie ssspotykaliśśmy, Sssephrenio — wysyczał stwór.

— Nie dość długo, by mnie to uszczęśliwiło — odparła czarodziejka chłodno.

— Oszszzszczędzę twe życie, jeżeli sssię poddaszszsz i przyłączyszsz do mnie.

— Nie, Azashu. Nigdy. Pozostanę wierna mojej bogini.

Sparhawk patrzył ze zdumieniem to na czarodziejkę, to na szukacza.

— Myśśśliszszsz, że Aphrael potrafi cię ochronić, jeżeli ja possstanowię, że twe życie nie ma sssenssu?

— Kiedyś już tak postanowiłeś, lecz ja wciąż żyję i nadal służę Aphrael. Pozostanę przy niej.

— Jak chcesz, Ssephrenio.

Sparhawk ruszył wolno do przodu, przesuwając dłoń z pierścieniem na metalowy koniec włóczni. Znowu poczuł przyływ potężnej mocy.

— Gra prawie skończona, a jej wynik jest przesądzony. Jeszcze się spotkamy, Ssephrenio, po raz ostatni. — Zakapturzona postać zawróciła konia i umknęła przed zbliżającym się groźnie Sparhawkiem.

CZEŚĆ III

Grota trolla

Rozdział 18

— To naprawdę był Azash? — zapytał Kalten z lękiem.

— Nie, tylko jego głos — odpowiedziała Sephrenia.

— Czy on rzeczywiście tak syczy?

— Niezupełnie. W ustach szukacza dźwięki ulegają zniekształceniu.

— Wnioskuje, że spotkałaś go już kiedyś — powiedział Tynian, poprawiając naramienniki swej ciężkiej zbroi.

— Raz. Bardzo dawno temu. — Sparhawk miał niejasne wrażenie, że czarodziejka mówi wbrew sobie. — Możemy już wracać pod kurhan — dodała. — Weźmy to, po co przybyliśmy i oddalmy się stąd, nim szukacz zdąży wrócić z posiłkami.

Zawrócili konie i pojechali z powrotem wijącą się ścieżką. Słońce zdążyło już wzejść, ale Sparhawk czuł chłód. Spotkanie ze Starszym Bogiem, choć tylko *per procura*, zmroziło mu krew w żyłach i zdawało się, że nawet przyćmiło blask słońca.

Gdy dotarli do kurhanu, Tynian zarzucił na ramię zwój liny i wszyscy z mozołem wspięli się na zbocze. Alcjonita jeszcze raz ułożył na ziemi linę tworząc osobliwy wzór.

— Jesteś pewien, że nie wywołasz przez pomyłkę kogoś ze świty? — zapytał Kalten.

Tynian potrząsnął głową.

— Wywołam króla Saraka po imieniu. — Zaczął wymawiać formułę zaklęcia. Zakończył głośnym kłaśnięciem.

Początkowo wyglądało na to, że nic się nie dzieje. Potem z kurhanu zaczął wyłaniać się duch dawno zmarłego króla Saraka. Monarcha miał na sobie archaiczną kolczugę, mocno nadwerżoną ciosami mieczy i toporów. Jego tarcza była rozbita, a starożytny miecz poszczerbiony. Król wyglądał wspaniale, ale nie miał korony.

— Ktoście zacz? — zapytał głuchym głosem.

— Jam jest Tynian, wasza wysokość, rycerz Zakonu Alcjonu z Deiry.

Król Sarak wpatrywał się w niego surowo swymi zapadłymi oczyma.

— Zaniechaj tych gorszących praktyk, panie Tynianie. Odeślij mnie z powrotem na miejsce mego spoczynku, nim się rozeżlę.

— Błagam o wybaczenie, miłościwy panie. — Tynian skłonił się nisko. — Nie zakłócalibyśmy twego spokoju, królu Saraku, gdyby nie sprawa nadzwyczajnej wagi.

— Nic nie jest ważne w obliczu śmierci.

Sparhawk postąpił krok do przodu.

— Zwę się Sparhawk, wasza wysokość — powiedział.

— Pandionita, wnosząc z twej zbroi.

— Tak, wasza wysokość. Królowa Elenii jest śmiertelnie chora i tylko Bhelliom może ją uzdrowić. Przyszliśmy błagać cię, panie, o zgodę na użycie klejnotu dla jej uleczenia. Po zakończeniu naszej misji złożymy go z powrotem do twego grobu.

— Zwróć go bądź zatrzymaj, panie Sparhawk — rzekł obojętnie duch. — Jednakże w moim grobie go nie znajdziesz.

Sparhawk poczuł się nagle jak ogłuszony niespodziewanym ciosem.

— A na cóż takiego cierpi królowa Elenii, że jedynie Bhelliom może ją uzdrowić? — W głosie króla znać było jedynie nikłą nutkę ciekawości.

— Została otruta, wasza wysokość, przez tych, którzy pragną zająć jej tron.

Na obojętnym do tej pory obliczu Saraka nagle pojawiła się złość.

— To akt zdrady, panie Sparhawk! — zakrzyknął. — Czy znani ci są sprawcy?

— Tak.

— Ukarasz ich?

— Jeszcze nie, wasza wysokość.

— Nadal noszą swe głowy? Czyżby w ciągu tych stuleci pandionici stali się bezsilni jako dziatwa?

— Zdecydowaliśmy, że przywrócimy zdrowie królowej, a ona sama raczy postanowić o ich losie.

Król Sarak rozważał przez chwilę jego słowa.

— To właściwa decyzja — pochwalił ostatecznie. — A zatem dobrze, panie Sparhawk, pomogę wam. Nie rozpaczaj, żeś nie znalazł Bhelliomu w moim grobie, albowiem mogę wskazać wam miejsce, gdzie został ukryty. Gdy padł na tym polu, mój krewniak, hrabia Heid, pochwycił mą koronę i uciekł, aby nie wpadła w ręce naszych wrogów. Hrabia był śmiertelnie ranny. Dotarł na brzeg jeziora i tam skonał. W Domu Śmierci przysiągł mi, że wydając ostatnie tchnienie rzucił koronę w mętne wody. Nie wpadła w ręce naszych wrogów. A zatem szukajcie w jeziorze, bez wątpienia Bhelliom nadal tam spoczywa.

— Dziękujemy, miłościwy królu Saraku — Sparhawk ukłonił się nisko.

Wtedy Ulath postąpił naprzód.

— Jam jest Ulath z Thalesii — oznajmił — twój daleki krewny, królu mój, panie. Nie przystoi, by miejscem twego ostatniego spoczynku była bezimienna mogiła. Ślubuję ci, panie, że jeśli Bóg da mi dość sił, to za twą zgodą zabiorę twe prochy do ojczyzny i złożę je w królewskim grobowcu w Emsacie.

Król Sarak popatrzył na genidianitę z aprobatą.

— Niech więc tak będzie, mój krewniaku, jako że prawdą jest, iż w tym ponurym miejscu sen mam niespokojny.

— Zaśnij ponownie, królu, ale już nie na długo, albowiem, gdy tylko skończymy naszą misję, powrócę tu, by zabrać cię do domu. — W niebieskich oczach Ulatha pojawiły się łzy. — Daj mu odpocząć, panie Tynianie — powiedział. — Wkrótce wyruszy w swą ostatnią podróż.

Tynian skinął głową i pozwolił królowi Sarakowi zapaść się z powrotem w ziemię.

— A więc już po wszystkim — powiedział Kalten ochoczo. — Pojedziemy nad jezioro Venne i popływamy.

— To łatwiejsze od kopania — stwierdził Kurik. — Musimy mieć się jedynie na bacności przed szukaczem i tym trollem. — Zmarszczył lekko brwi. — Panie Ulathu, skoro Ghwerig wiedział dokładnie, gdzie był Bhelliom, to czemu przez te wszystkie lata go nie wydobył z dna?

— O ile wiem, Ghwerig nie potrafi pływać — odparł genidianita. — Ma zbyt powykręcane członki. Ale i tak pewnie będziemy musieli z nim walczyć. Zaatakuje nas, gdy tylko Bhelliom wyłoni się na powierzchnię wody.

Sparhawk spojrział na zachód, gdzie promienie słońca odbijały się w toni jeziora. Wysoka, soczyście zielona trawa na łąkach w pobliżu kurhanu falowała w porannym wietrzyku. Niedaleko jeziora łąki graniczyły z szarawymi trzcinami i bagiennymi trawami, które porastały torfowisko.

— Będziemy się martwić Ghwerigiem, kiedy go zobaczymy — powiedział. — Chodźmy przyjrzeć się jezioru.

Zeszli z kurhanu i wspięli się na siodła.

— Bhelliom nie może być zbyt daleko od brzegu — mruknął Ulath, gdy jechali w kierunku jeziora. — Korony robi się ze złota, a złoto jest ciężkie. Konający człowiek nie mógłby czegoś takiego rzucić zbyt daleko. — Podrapał się po policzku. — Szukałem już rzeczy pod wodą. Trzeba to robić bardzo metodycznie. Nie wystarczy jedynie brodzić dookoła.

— Pokażesz nam, jak należy to czynić, kiedy już dotrzemy na miejsce — rzekł Sparhawk.

— Dobrze. Jedźmy prosto nad jezioro. Hrabia Heid był umierający, więc z pewnością nie zbaczal z drogi.

Ruszyli. Sparhawk był radośnie podniecony, ale jednocześnie dręczył go niepokój. Nie można było przewidzieć, ile czasu upłynie, nim szukacz powróci prowadząc za sobą hordę ludzi o twarzach lunatyków, a Sparhawk zdawał sobie spra-

wę z tego, że on i jego przyjaciele nie mogli badać dna jeziora w zbrojach. Będą zatem bezbronni. A co więcej, gdy tylko duch Azasha zobaczy ich w wodach jeziora, będzie wiedział, czego tam szukają, więc dowie się o tym i Ghwerig.

Jechali nadal na zachód muskani powiewami wietrzyku. Po błękitnym niebie wędrowały białe, pierzaste obłoczki.

— Przed nami cedrowy zagajnik. — Kurik wskazał na ciemnozieloną kępę. — Będziemy musieli zbudować tratwę. Chodź, Bericie. Zaczniemy ścinać drzewa. — Poprowadził juczne konie w kierunku zagajnika, a nowicjusz pojechał tuż za nim.

Sparhawk i jego przyjaciele dotarli nad jezioro późnym przedpołudniem i stanęli spoglądając na marszczoną lekkim wietrzykiem wodę.

— To może znacznie utrudniać poszukiwania na dnie — powiedział Kalten, wskazując na mroczne, zabarwione torfem głębiny.

— Czy mamy jakieś wskazówki mówiące o tym, w którym miejscu hrabia Heid dotarł nad jezioro? — zapytał Sparhawk Ulatha.

— Hrabia Ghasek w swej kronice wspominał, że wkrótce po jego śmierci przybyli rycerze Zakonu Alcjonu i pogrzebali go — odparł genidianita. — Bardzo się śpieszyli, więc pewnie nie zabrali ciała zbyt daleko od miejsca, w którym poległ. Rozejrzyjmy się więc za grobem.

— Upłynęło pięćset lat! — wykrzyknął Kalten. — Na pewno ślad po nim nie został.

— Nie masz racji, panie Kaltenie — sprzeciwił się Tynian. — Deirańczycy budują w miejscu pochówku piramidki z kamieni. Ziemia na grobie może się wyrównać, ale kamienie są trochę trwalsze.

— Rozdzielmy się i zacznijmy szukać kopca z kamieni — rzekł Sparhawk.

Grób odnalazł Talen. Zobaczyli stos kamieni, częściowo pokrytych błotnym osadem, naniesionym w ciągu stuleci przez wysoką wodę. Tynian zaznaczył to miejsce, wbijając w błoto u podstawy grobu koniec swej kopii, na której szczycie łopotał proporzec.

— Mamy zaczynać? — zapytał.

— Poczekajmy na Kurika i Berita — zdecydował Sparhawk. — Dno jeziora jest grząskie, nie możemy brodzić. Będzie nam potrzebna tratwa.

Giermek i nowicjusz dojechali pół godziny później. Juczne konie ciągnęły za sobą kilkanaście cedrowych pni.

Minęło właśnie południe, gdy skończyli wiązać liną kawałki drewna, formując tratwę. Rycerze zdjęli zbroje i pracowali w płóciennych koszulach, które szybko przesiąkły ich potem. Słońce paliło bezlitośnie.

Kalten rzucił okiem na Ulatha i roześmiał się.

— Zaczynasz wyglądać jak rak — powiedział.

— Zawsze się opalam na czerwono — odparł Ulath. — My, Thalezyjczycy, nie jesteśmy nawykli do słońca. — Skończył zawiązywać ostatni węzeł na linie,

którą opasany był koniec tratwy, i wyprostował plecy. — Sprawdźmy, czy będzie pływać — zaproponował.

Zepchnęli tratwę z błotnistej plaży do wody. Ulath przyglądał się jej krytycznie.

— Nie wyruszyłbym z czymś takim na morze — mruknął — ale do naszych celów powinna wystarczyć. Bericie, idź do tych wierzbowych zarośli i wytnij parę drzewek.

Po kilku minutach nowicjusz wrócił z dwiema długimi, sprężystymi tyczkami.

Ulath podszedł do grobu i podniósł dwa kamienie, trochę większe niż pięść. Ważył je przez chwilę w dłoniach, a potem rzucił jeden Sparhawkowi.

— Co o tym sądzisz? — zapytał. — Czy ma ciężar zbliżony do złotej korony?

— Skąd miałbym to wiedzieć? — Sparhawk wzruszył ramionami. — Nigdy nie nosiłem korony.

— Oceń chociaż na oko, panie Sparhawku. Dzień mija, a komary nie dadzą długo na siebie czekać.

— W porządku, uznajmy, że waży tyle co złota korona lub dwie.

— Tak też myślałem. A więc dobrze, Bericie, weź swoje tyczki i wypchnij tratwę na jezioro. Zaznaczmy obszar poszukiwań.

Berit nie do końca zrozumiał jego słowa, ale zrobił, co mu kazano.

Ulath ujął jeden z kamieni.

— Wystarczy, Bericie! — zawołał, po czym, biorąc zamach od dołu, rzucił kamień w kierunku chwiejnej tratwy. — Zaznacz to miejsce! — krzyknął.

Berit otarł twarz z wody, którą opryskał go spadający kamień.

— Śpieszę to uczynić, szlachetny panie — powiedział i pchnął tratwę w kierunku kół rozchodzących się po wodzie. Następnie ujął jedną z tyczek i wbił jej koniec w grząskie dno.

— Teraz rzucę drugi kamień za ciebie! — zawołał Ulath. — Odplyń trochę w lewą stronę!

— W twoją lewą stronę, szlachetny panie, czy moją? — zapytał uprzejmie Berit.

— Sam wybierz. Po prostu nie chcę rozwalić ci głowy. — Ulath przerzucił kamień z dłoni do dłoni, spoglądając na pokryte brunatnymi plamami wody jeziora.

Berit odepchnął tratwę na bok i Ulath cisnął kamień z ogromną siłą.

— Żaden umierający człowiek nie rzuciłby tak daleko — powiedział Kalten.

— O to właśnie chodziło — rzekł skromnie Ulath. — To ostateczna granica naszych poszukiwań. Bericie — zawołał na cały głos — zaznacz to miejsce i zejdź do wody! Chcę wiedzieć, na jakiej głębokości i w jakim dnie będziemy musieli pracować.

Berit wbił tyczkę w miejscu, gdzie spadł drugi kamień, i zawahał się.

— Czy mogę poprosić, by pani Sephrenia się odwróciła? — zapytał żałośnie, rumieniąc się jak dziewczyna.

— Każdy, kto będzie się śmiał, spędzi resztę swego życia jako ropucha — postraszyła Sephrenia i ostentacyjnie odwróciła się plecami do jeziora, obracając jednocześnie zaciekawioną Flecik.

Berit zdjął szaty i niczym wydra zsunął się z tratwy. Po chwili pojawił się z powrotem. Sparhawk zauważył, że wszyscy na brzegu wstrzymali oddech, gdy nowicjusz znikł pod powierzchnią. Berit krztusił się i pluł wodą.

— Głęboko na sześć łokci — meldował uczepony brzegu tratwy — ale dno jest grząskie co najmniej na dwa łokcie i niezbyt przyjemne. Woda ma kolor brunatny. Trudno dojrzeć własną dłoń.

— Tego się obawiałem — mruknął Ulath.

— A jak sama woda?! — zawołał Kalten do młodzieńca w jeziorze.

— Bardzo, bardzo zimna. — Berit zaszczekał zębami.

— Tego się obawiałem — stwierdził Kalten posepnie.

— No, przyjaciele — ponaglił Ulath — czas do wody.

Resztę popołudnia spędzili na wybitnie niemiłych zajęciach. Zgodnie z zapowiedzią Berita woda była zimna i mętna, a miękkie dno pokrywała gruba warstwa brunatnego mułu naniesionego z pobliskich torfowisk.

— Nie próbujcie grzebać w dnie rękoma — instruował ich Ulath. — Sprawdzajcie stopami.

Nic nie znaleźli. O zachodzie słońca byli wyczerpani i sini z zimna.

— Muszę podjąć decyzję — powiedział ze smutkiem Sparhawk, gdy wytarł się i nałożył koszulę oraz kolczugę. — Jak możemy tu bezpiecznie pozostać? Szukacz wie prawie dokładnie gdzie jesteśmy, a nasz zapach przyprowadzi go prosto do nas. Azash, kiedy ujrzy nas szukających w jeziorze, będzie wiedział, gdzie jest Bhelliom. A do tego nie możemy dopuścić.

— Masz słuszność, Sparhawk — przyznała Sephrenia. — Szukaczowi zajmie trochę czasu zgromadzenie sił i dotarcie tutaj, lecz nie powinniśmy długo zostać w tym miejscu.

— Ale jesteśmy już tak blisko celu! — zaprotestował Kalten.

— Czy chcesz znaleźć Bhelliom tylko po to, by oddać go w ręce Azasha? Jeżeli odjedziemy, odciągniemy szukacza od tego miejsca. Wiemy już, gdzie jest Bhelliom. Wrócimy tu później, gdy będzie bezpiecznie.

— Możemy tu pozostać do południa dnia jutrzejszego? — zapytał Sparhawk.

— Chyba tak, ale ani chwili dłużej — stwierdziła czarodziejka.

— A więc ustalone — rzekł Sparhawk. — W południe spakujemy się i wrócimy do Venne. Mam wrażenie, że szukacz nie zabierze swych ludzi do miasta. Ich zachowanie wzbudzałoby zbyt wiele podejrzeń.

— Łódź — mruknął Ulath. W świetle ogniska jego twarz wydawała się czerstwa i rumiana.

— Gdzie? — zapytał Kalten, wpatrując się w spowite nocnym mrokiem jezioro.

— Nie to miałem na myśli. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy wynajść w Venne łodzi? Szukacz podąży naszym tropem do Venne, ale nie potrafi wywęszyć naszych śladów na wodzie, prawda? Rozbije obóz za miastem i będzie czekał, aż je opuścimy, a my w tym czasie wrócimy tutaj. Będziemy mogli spokojnie szukać Bhelliomu aż do skutku.

— To dobry pomysł, Sparhawk — powiedział Kalten.

— Co o tym sądzisz, mateczko? — zapytał Sparhawk Sephrenię. — Czy podróż wodą sprawi, że szukacz zgubi nasz ślad?

— Wierzę, że tak — odparła.

— A więc dobrze. Spróbujemy.

Zjedli skromną wieczerzę i udali się na spoczynek.

Następnego ranka wstali o wschodzie słońca, szybko spożyli śniadanie i popchnęli tratwę w kierunku znaków zostawionych poprzedniego dnia. Raz jeszcze zanurzyli się w zimnej wodzie, aby przeszukiwać stopami grząskie dno.

Około południa Berit, łapiąc gwałtownie oddech, wynurzył się niedaleko miejsca, w którym ostrożnie stapał Sparhawk.

— Myślę, że coś znalazłem — powiedział nowicjusz, oddychając głęboko. Zanurkował. Po długiej chwili wynurzył się ponownie. Jednakże nie trzymał w dłoni złotej korony, a pokrytą brązowymi plamami ludzką czaszkę. Młodzieniec podpłynął do tratwy i położył na niej znalezisko. Sparhawk spojrział na słońce i zaklął. Podążył za Beritem i podciągnął się na tratwę.

— Wystarczy! — zawołał do Kaltena, który właśnie wystawił głowę z wody. — Nie możemy tu już dłużej zostać. Skrzyknij pozostałych i wracajmy.

Gdy dotarli na brzeg, spalony słońcem Ulath z ciekawością obejrzał czaszkę.

— Jest jakaś dziwnie długa i wąska — zauważył.

— To dlatego, że należała do Zemocha — powiedziała Sephrenia.

— Czy on się utopił? — zapytał Berit.

Ulath zdrapał trochę błota z czaszki, a potem wsunął palec w otwór na lewej skroni.

— Nie utopił się. Nie z taką dziurą w głowie.

Wrócił nad jezioro i obmył czaszkę z nagromadzonego przez stulecia błota. Przyniósł ją z powrotem i potrząsnął. W środku coś zagrzecotało. Rosły Thalezyczyk położył znalezisko na kamiennym kopcu, wzniesionym nad grobem hrabiego Heidy, wziął jeden z kamieni i rozłupał czaszkę, tak jak rozbija się orzech. Następnie wyciągnął coś pomiędzy okruchów kości.

— Tak myślałem — mruknął. — Ktoś, prawdopodobnie z brzegu, trafił strzałą w głowę tego Zemocha. — Podał zardzewiały grot Tynianowi. — Rozpoznajesz?

— To deirańska robota — powiedział Tynian po dokładnym obejrzeniu grotu. Sparhawk myślał przez chwilę i rzekł:

— Zapiski hrabiego Ghaska mówią, że rycerze Zakonu Alcjonu z Deiry przybyli tu i rozgromili Zemochów, którzy gonili hrabiego Heida. Możemy być niemal pewni, że Zemosi widzieli, jak Heid rzucał koronę do jeziora. Pewnie za nią popłynęli, prawda? I to dokładnie do miejsca, w którym wpadła do wody. A teraz znaleźliśmy czaszkę jednego z nich z deirańską strzałą. Nietrudno odtworzyć, co się stało. Bericie, czy możesz dokładnie wskazać miejsce, w którym znalazłeś czaszkę?

— Nawet dość dokładnie, dostojny panie. Ustaliłem swoje położenie względem punktów na brzegu. To było na wprost od martwego drzewa, w odległości około piętnastu kroków od brzegu jeziora.

— A więc to tam Zemosi nurkowali za koroną, a na to nadjechali alcjonicy i obrzucili ich z brzegu strzałami. — Sparhawk mówił z rosnącym podnieceniem. — Ta czaszka nie leżała pewnie daleko od Bhelliomu.

— Wiemy zatem, gdzie jest klejnot — powiedziała Sephrenia. — Wrócimy po niego później.

— Ale...

— Musimy natychmiast stąd odjechać, Sparhawk, a byłoby zbyt niebezpiecznie znaleźć Bhelliom, gdy szukacz depcze nam po piętach.

Sparhawk musiał przyznać jej rację.

— A więc dobrze — powiedział z niechęcią — zwijajmy obóz i wynośmy się stąd. Zamiast zbroi nałożymy kolczugi, by nie wzbudzać sensacji. Panie Ulathu, zepchnij tratwę z powrotem na jezioro. Zatrzemy nasze ślady i ruszymy do Venne.

Po blisko półgodzinie wyruszyli. Pojechali galopem wzdłuż jeziora na północ. Jak zwykle Berit jechał z tyłu, wypatrując śladów pościgu.

Sparhawk był smutny. Miał wrażenie, że od tygodni próbuje biegać po ruchomych piaskach. Niezależnie od tego, jak blisko docierał do jedynej rzeczy, która mogła uratować jego królową, coś zawsze stawało mu na przeszkodzie. Zaczęły go gnębić posępne myśli. Sparhawk był Elenem i Rycerzem Kościoła. Przynajmniej tytułarnie był opiekunem wiary Elenów i jej surowych zasad, odrzucających wszystko to, co Kościół nazywał pogaństwem. Jednakże Sparhawk zbyt długo żył już na tym świecie i widział zbyt wiele, aby bez zastrzeżeń akceptować nakazy Kościoła. Zdał sobie sprawę, że pod wieloma względami jest zawieszony pomiędzy bezgraniczną wiarą a pełnym zwątpieniem. Ktoś próbował za wszelką cenę trzymać go z dala od Bhelliomu i Sparhawk był niemal pewien, że wie, kto to jest — ale dlaczego Azash żywi aż taką wrogość do młodej królowej Elenii? Sparhawk zaczął ponuro rozmyślać o armiach i najazdach. Poprzysiągł sobie, że jeżeli Ehlana umrze, on zetrze Zemochów z powierzchni ziemi i pozostawi samotnego Azasha, opłakującego ruiny, w których nie ostanie już nikt, kto by go czcił.

Tuż po południu następnego dnia dotarli do Venne i mrocznymi uliczkami wrócili do znajomego zajazdu.

— Może po prostu kupmy to miejsce? — zasugerował Kalten, gdy zsiadali

z koni na podwórze. — Zaczynam powoli czuć się tak, jakbym spędził tu całe życie.

— No, to dalej, dobijaj targu — powiedział Sparhawk. — Kuriku, chodźmy nad jezioro sprawdzić, czy nie uda nam się przed zachodem słońca znaleźć jakiejś łodzi.

Rycerz i jego giermek ruszyli brukowanymi uliczkami w kierunku jeziora.

— To miasto wcale nie zyskuje na uroku po bliższym poznaniu — zauważył Kurik.

— Nie jesteśmy tu dla pięknych widoków — warknął Sparhawk.

— O co ci chodzi? — zapytał Kurik. — Od tygodnia, jeśli nie dłużej, jesteś w fatalnym nastroju.

— Czas, Kuriku. — Sparhawk westchnął. — Czas. Chwilami mam wrażenie, iż czuję, jak przecieka mi między palcami. Byliśmy nie więcej niż krok czy dwa od Bhelliomu i musieliśmy spakować się i odjechać. Królowa umiera, a na mojej drodze ciągle piętrzą się przeszkody. Zaczynam czuć coraz większą ochotę, by kogoś skrzywdzić.

— Tylko nie wybierz mnie.

Sparhawk uśmiechnął się blado.

— Myślę, że ty jesteś bezpieczny, przyjacielu — powiedział, kładąc rękę na ramieniu giermka. — Nam chyba nie grożą większe nieporozumienia.

— Też tak sądzę — przyznał Kurik, po czym wskazał coś przed sobą. — Tam — powiedział.

— Co „tam”?

— Tawerna. Tam schodzą się właściciele łodzi.

— Skąd to wiesz?

— Właśnie widziałem jednego z nich, jak wchodził do środka. Łodzie mają to do siebie, że lubią przeciekać, a ich właściciele próbują uszczelniać je smołą. Ilekroć zobaczysz człowieka w odzieniu pobrudzonym smołą, to możesz być niemal pewien, że ma on do czynienia z łodziami.

— Jesteś prawdziwą kopalnią informacji, Kuriku.

— Trochę żyło się już na tym świecie. A jeżeli ma się przy tym oczy szeroko otwarte, to można się wiele nauczyć, Sparhawk. Pozwól, że ja będę rozmawiać, gdy znajdziemy się w środku. Szybciej to załatwimy. — Kurik wyprostował się nagle, wcielając się w nową rolę i z przesadnym rozmachem otworzył drzwi tawerny. — Ahoj, marynarze! — krzyknął chrapliwie. — Czyżby przyjazne wiatry przywiały mnie do miejsca, gdzie bywają ludzie pracujący na wodzie?

— Tak, przyjacielu, dobrze trafiłeś — powiedział barman.

— Chwała Bogu! — ucieszył się Kurik. — Ze szczurami lądowymi nie piję. Potrafią mówić tylko o pogodzie i plonach, a gdy już powiesz, że jest pochmurno i rzepa rośnie, wszystkie tematy wyczerpałeś.

Mężczyźni w tawernie roześmieli się z uznaniem.

— Wybacz, jeśli wydam się wścibski — zagadnął barman — ale wydaje mi się, że mówisz, jakbyś wracał z dalekich mórz.

— W samej rzeczy — przyznał Kurik — tęsknię za zapachem słonej wody i delikatnym pocałunkiem bryzy na policzku.

— Daleko znalazłeś się od słonej wody, marynarzu — odezwał się z nutą uznania jeden z pobrudzonych smołą ludzi, siedzących przy stole w rogu.

Kurik westchnął głęboko.

— Tęsknię za moją łajbą — powiedział. — Idąc kursem z Yosut w Thalesii zawinęliśmy do Apalii i ruszyłem na miasto, a tam upiłem się grogiem. Niestety, mój kapitan nie był z tych, co czekają na maruderów, no i wyruszył wraz z porannym przyplływem, a ja zostałem na brzegu. Na szczęście trafiłem na tego poczciwca — w tym momencie poklepał poufale Sparhawk po plecach — i on dał mi robotę. Powiedział, że musi wynająć tu w Venne łódź i potrzebuje kogoś, kto zna się na tym fachu, żeby nie wylądować na dnie jeziora.

— A ile twój pracodawca miałby ochotę zapłacić za wynajęcie łodzi? — zapytał ten sam mężczyzna mrużąc oczy.

— To tylko na dwa dni — powiedział Kurik. Spojrzał na Sparhawk. — Jak myślisz, kapitanie, czy pół korony nie nadwerży zbyt twojej sakiewki?

— Stać mnie na pół korony — rzekł Sparhawk, starając się nie okazać rozbawienia, w jakie wprawiła go nagła przemiana Kurika.

— Dwa dni, mówisz? — powtórzył człowiek z rogu.

— Zależy od wiatru i pogody, brachu, jak to zwykle bywa na wodzie.

— To prawda. Być może będziemy mogli dobić targu. Przypadkowo jestem właścicielem całkiem pokaźnej łodzi rybackiej, a ostatnio nie wiedzie mi się w polowach. Mógłbym wynająć wam łódź i przez te dwa dni zająć się naprawą sieci.

— Chodźmy nad wodę, rzucimy okiem na twoją krypę — zaproponował Kurik. — Może dobijemy targu.

Umorusany smołą mężczyzna opróżnił swój kufel, wstał i ruszył do drzwi.

— Kuriku — powiedział cicho Sparhawk urażonym głosem — na drugi raz nie zaskakuj mnie. Nie mam już tak silnych nerwów jak dawniej.

— Niespodzianki sprawiają, że życie jest ciekawsze, kapitanie — śmiał się Kurik wychodząc z tawerny w ślad za rybakiem.

Łódź, długa na prawie piętnaście kroków, była głęboko zanurzona w wodzie.

— Zdaje się, brachu, że ma kilka dziur — zauważył Kurik, wskazując na kałużę, w którym było po kostki wody.

— Właśnie ją łataliśmy — usprawiedliwił się rybak. — Trafiłem na zanurzony bal i zaczęła przeciekać na spojeniach. Ludzie, którzy ze mną pracowali, poszli coś zjeść przed dokończeniem roboty i nie wylali z niej wody. — Poklepał z czułością burtę łodzi. — To dobra, stara balia — powiedział skromnie. - - Grzecznie słucha steru i wytrzyma każdą pogodę, jaką może zgotować to jezioro.

— Załatasz ją do rana?

— Bez trudu.

— Co o tym myślisz, kapitanie? — zapytał Kurik Sparhawk.

— Jak na mój gust jest dobra — odparł Sparhawk — ale nie jestem fachowcem. Po to w końcu wynająłem ciebie.

— A więc dobrze, brachu, zaryzykujemy — zwrócił się Kurik do rybaka. — Będziemy tu o wschodzie słońca i wtedy zdecydujemy. — Splunął w dłoń i uściśnęli sobie ręce. — Chodźmy, kapitanie. Rozejrzemy się za grogiem i wieczerzą, a potem do koi. Jutro czeka nas długi dzień. — Ruszył zamaszystym krokiem, stawiając szeroko stopy.

— Czy mógłbyś mi to wszystko nieco wyjaśnić? — zapytał Sparhawk, gdy oddalili się trochę od brzegu.

— Oczywiście, Sparhawk. Ludzie pływający po jeziorach zawsze darzyli dużym respektem żeglarzy z dalekich, słonych mórz i zawsze szli im na rękę.

— Zauważyłem to, ale gdzie ty nauczyłeś się tak mówić?

— Wybrałem się raz na morze, gdy miałem z szesnaście lat. Opowiadałem ci o tym.

— Nie pamiętam.

— Musiałem ci mówić.

— Może wyleciało mi to z głowy. Co skłoniło cię do wyruszenia w morze?

— Aslade. — Kurik roześmiał się głośno. — Miała czternaście lat i właśnie rozkwitała, a jej oczy pełne były chęci do zamęścia. Ale ja nie byłem jeszcze wtedy do tego gotowy, więc uciekłem na morze. Największy błąd mojego życia! Zaciągnąłem się jako majtek na najbardziej ciekącą łajbę z całego zachodniego wybrzeża Eosii. Przez sześć miesięcy wylewałem z niej wodę. Kiedy wróciłem na brzeg, przysiągłem sobie, że nie postawię więcej nogi na pokładzie statku. Aslade bardzo uszczęśliwił mój powrót, ale ona zawsze łatwo się wzruszała.

— Czy to właśnie wtedy postanowiłeś ją poślubić?

— Krótco potem. Gdy wróciłem do domu, zabrała mnie na strych swojego ojca i na sianie całkiem poważnie mnie do tego namawiała. A Aslade potrafi być bardzo, bardzo przekonująca, kiedy się o to postara.

— Na sianie?

Kurik mrugnął porozumiewawczo.

— Czasami trzeba improwizować, Sparhawk.

Rozdział 19

Sparhawk siedział w izbie, którą dzielili z Kaltenem, i przyglądał się mapie, podczas gdy jego przyjaciel chrapał na sąsiednim pościeliu. Pomysł Ulatha z łodzią był naprawdę dobry. Tym lepszy, że Sephrenia uznała, iż może uda im się zmylić węch szukacza. Powrócą na tę pustą, błotnistą plażę, obok grobu hrabiego Heida, i na nowo podejmą poszukiwania, bez konieczności oglądania się za siebie. Zemoska czaszka znaleziona przez Berita na dnie mrocznego jeziora niemal dokładnie wskazała, gdzie spoczywa Bhelliom. Przy odrobinie szczęścia mogli go znaleźć w jedno popołudnie. Wtedy musieliby wrócić do Venne po konie. Tak, tu zaczynały się kłopoty. Jeżeli, jak zakładali, lunatyczne hordy szukacza czają się na polach i w lasach wokół miasta, będą musieli walczyć, aby wydostać się stąd. W normalnej sytuacji Sparhawk nie niepokoiłaby wizja walki; do tego całe życie był szkolony. Jednakże mając w posiadaniu Bhelliom będzie ryzykował nie tylko swoje życie, ale i życie Ehlany, a z tym nie mógł się pogodzić. Co więcej był pewien, że gdy tylko Azash wyczuje ponowne pojawienie się Bhelliomu, szukacz rzuci przeciwko nim całą armię, czyniąc desperackie wysiłki, by odebrać klejnot.

Oczywiście było proste wyjście z tej sytuacji. Musieliby jedynie znaleźć sposób, jak przeprowadzić konie na zachodni brzeg jeziora. Wtedy szukacz będzie nawet do końca świata przeczesywał okolice Venne, nie przeszkadzając Sparhawkowi i jego przyjaciółom w poszukiwaniach. Tyle że wynajęta przez Kurika łódź mogła zabrać jednorazowo co najwyżej dwa konie. Świadomość tego, że musieliby wykonać osiem, a może i dziewięć kursów przez prawie pół jeziora, by dostarczyć wierzchowce na samotną plażę po zachodniej stronie spowodowała, że Sparhawk miał ochotę tupać ze zniecierpliwienia. Wprawdzie mogliby wynająć kilka łodzi, ale ten pomysł nie przypadł mu do gustu. Pojedyncza łódź może ująć uwagi; cała flotylla — nie. A gdyby udało się znaleźć kogoś odpowiedzialnego, kto przeprowadziłby konie na zachodni brzeg...? Ale Sparhawk podejrzewał, że szukacz potrafi rozpoznawać równie dobrze zapach koni, jak i ludzi, którzy na nich jeździli. Rycerz podrapał się w zamyśleniu po palcu, na którym nosił pierścień. Czuł w tym miejscu na skórze jakieś mrowienie i pulsowanie.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

— Jestem zajęty — burknął gniewnie.

— Sparhawk! — Głos brzmiał jasno i melodyjnie, posiadał ów osobliwy, wdzięczny rytm, który pozwalała sądzić, że mówiącym był Styrik. Sparhawk zmarszczył czoło. Nie znał tego głosu.

— Sparhawk, muszę z tobą pomówić.

Wstał i podszedł do drzwi. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że za nimi stała Flecik. Dziewczynka weszła cichutko do izby i zamknęła za sobą drzwi.

— Ty potrafisz mówić? — wyjąkał rycerz z niedowierzaniem.

— Oczywiście, że potrafię.

— A więc dlaczego dotąd nie mówiłaś?

— Nie było to konieczne. Wy, Eleni, za dużo pytlujecie. — Chociaż był to głos małej dziewczynki, jednak jego modulacja i dobór słów brzmiały dziwnie dorośle. — Posłuchaj mnie, Sparhawk. To bardzo ważne. Musimy natychmiast wszyscy opuścić to miejsce.

— Ależ, Fleciku, jest środek nocy — zaprotestował rycerz.

— Cóż za celna uwaga! — Dziewczynka spojrzała w kierunku ciemnego okna.

— A teraz, proszę, umilknij i słuchaj. Ghwerig odzyskał Bhelliom! Musimy mu odebrać klejnot, nim zdoła dotrzeć do północnego wybrzeża i zaokrętuje się na statku płynącym do Thalesii. Jeżeli nam ujdzie, będziemy musieli podążać za nim do jego groty w górach Thalesii, a to zajęłoby nam dużo czasu.

— Ulah mówił, że nikt nie wie, gdzie jest ta grotka.

— Ja wiem. Już tam kiedyś byłam.

— Co takiego?

— Sparhawk, marnujesz tylko czas. Muszę wydostać się z tego miasta. Tu zbyt wiele rzeczy rozprasza moją uwagę. Przywdziej swoje żelazne ubranie i chodźmy — poleciła szorstkim, niemal władcym tonem i utkwiała w nim spojrzenie swoich wielkich, ciemnych oczu. — Czy jesteś aż tak durny, że nie potrafisz wyczuć, kiedy Bhelliom wędruje po świecie? Ten pierścień nie dawał ci żadnych znaków?

Rycerz drgnął i spojrzał na rubinowy pierścień, tkwiący na palcu lewej ręki. Klejnot nadal jakby pulsował i drażnił skórę. To stojące przed nim dziecko zdało się wiedzieć o wiele za dużo.

— Czy Sephrenia wie o tym wszystkim?

— Oczywiście. Pakuje rzeczy.

— Chodźmy z nią porozmawiać.

— Zaczynasz mnie denerwować, Sparhawk. — W ciemnych oczach dziewczynki pojawiły się gniewne błyski, a kąciki różowych usteczek skrzywiły się ku dołowi.

— Przykro mi, ale ja muszę porozmawiać z Sephrenią.

Flecik wzniosła oczy do powały.

— Eleni — odezwała się tonem tak podobnym do Sephrenii, że Sparhawk omal nie wybuchnął śmiechem. Ujął ją za rączkę, wyprowadził z pokoju i ruszył korytarzem.

Sephrenia była zajęta pakowaniem ubrań do płóciennej torby stojącej na posłaniu.

— Wchodź, Sparhawk — powiedziała, gdy przystanął w wejściu. — Spodziewałam się ciebie.

— Sephrenio, o co tu chodzi? — spytał rycerz z zakłopotaniem.

— Nie powiedziałaś mu? — zapytała czarodziejka dziewczynkę.

— Powiedziałam, ale on mi nie wierzy. Jak ty możesz wytrzymać z tymi zakutymi pałami?

— Mają w sobie pewien urok. — Czarodziejka uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. — Uwierz jej, Sparhawk, Ona wie, co mówi. Bhelliom wyłonił się z jeziora, ja sama też to poczułam. Teraz ma go Ghwerig. Musimy wydostać się na otwartą przestrzeń, abyśmy mogły z Flecikiem wyczuć, jaką drogą pojechał. Obudź wszystkich i niech Berit siodła konie.

— Jesteś pewna, że to prawda?

— Tak. Pośpiesz się, Sparhawk, albo Ghwerig nam umknie.

Rycerz odwrócił się i wyszedł na korytarz. To działo się tak szybko, że nie miał czasu pomyśleć. Szedł od pokoju do pokoju, budząc towarzyszy i polecając im, by zebrali się w pokoju Sephrenii. Następnie posłał Berita do stajni i w końcu obudził Kaltena.

— O co chodzi? — Jasnowłosy pandionita usiadł na posłaniu przecierając zaspane oczy.

— Coś ważnego się wydarzyło. Musimy ruszać.

— W środku nocy?

— Tak. Ubieraj się, Kaltenie, a ja spakuję bagaże.

— Co się tu dzieje, Sparhawk? — zapytał Kalten wstając niechętnie z łóża.

— Sephrenia ci wyjaśni. Pośpiesz się.

Kalten mruczając coś pod nosem zaczął się ubierać, podczas gdy Sparhawk upychał ich rzeczy do tobołków. Potem obaj zapukali do pokoju Sephrenii.

— Ależ wchodź, Sparhawk. Nie ma czasu na ceregiele.

— Kto to powiedział? — spytał Kalten zaskoczony.

— Flecik. — Sparhawk otworzył drzwi.

— Flecik? To ona potrafi mówić?

Pozostali członkowie wyprawy już byli w pokoju i wszyscy przypatrywali się z pewnym zdumieniem dziewczynce, którą dotąd uważali za niemowę.

— Aby oszczędzić na czasie — rzekła — to od razu powiem, że potrafię mówić i nie miałam ochoty robić tego poprzednio. Karłowatemu trollowi Ghwerigowi udało się ponownie osiąść Bhelliom i ma zamiar zabrać go do swojej grotty w górach Thalesii. Jeżeli się nie pośpieszymy, umknie nam.

— Jak udało mu się wydobyć klejnot z jeziora, skoro poprzednio przez całe stulecia nie mógł tego uczynić? — zapytał Bevier.

— Miał pomoc. — Dziewczynka popatrzyła na ich twarze i mruknęła coś nieprzystojnego po styricku. — Lepiej pokaż im, Sephrenio. W przeciwnym razie będą tu sterczeć i zadawać głupie pytania.

Na ścianie wisiało duże lustro — a właściwie kawałek polerowanej mosiężnej blachy.

— Podejdźcie tu wszyscy — powiedziała Sephrenia, zbliżając się do zwierciadła.

Stanęli przed lustrem, a ona zaczęła recytować formułę zaklęcia, którego Sparhawk nigdy przedtem nie słyszał. Czarodziejka poruszyła dłońmi. W jednej chwili zwierciadło zmętniało. Gdy ponownie stało się czyste, mieli wrażenie, że spoglądają na jezioro.

— Tam jest tratwa — powiedział zdumiony Kalten — a oto Sparhawk wynurza się z wody. Nic nie rozumiem, Sephrenio.

— Przyglądamy się temu, co działo się tuż przed południem wczorajszego dnia — wyjaśniła czarodziejka.

— Przecież wiemy, co się działo.

— Wiemy, co robiliśmy — poprawiła go. — Jednakże nie byliśmy tam sami.

— Nie widzę nikogo.

— Nie chcieli być widziani. Po prostu obserwowali.

Perspektywa obrazu w zwierciadle zmieniła się, przechodząc od jeziora w kierunku torfowiska i rosnących tam gęsto trzcin. Wśród bagiennej trawy kuliła się postać odziana w ciemną szatę.

— Szukacz! — wykrzyknął Bevier. — Obserwował nas!

— Nie on jeden — powiedziała Sephrenia.

Perspektywa zmieniła się ponownie, przesuając się daleko na północ wzdłuż jeziora i zatrzymując na kępie karłowatych drzewek. W zagajniku ukrywała się włochata, groteskowo zdeformowana postać.

— A tu jest Ghwerig — powiedziała Flecik.

— To ma być karzeł? — krzyknął Kalten. — Jest wielki jak pan Ulath. Jak duży bywa normalny troll?

— Gdzieś dwa razy taki jak Ghwerig — mruknął Ulath. — Ogry są jeszcze większe.

Lustro zmętniało ponownie i Sephrenia wypowiedziała pośpiesznie kilka słów po styricku.

— Przez pewien czas nie działo się nic szczególnego, więc opuścimy tę część — wyjaśniła.

Zwierciadło znowu było czyste.

— Odjeżdżamy od jeziora! — zawołał Kalten patrząc w mosiężną blachę.

Wtem z porastającej torfowisko trawy wstał szukacz wraz z dziesiątkiem podobnych lunatykom ludzi, którzy okazali się pelozyjskimi chłopami. Niczym we śnie chłopci poczłapali nad jezioro i weszli do wody.

— Obawialiśmy się tego — westchnął Tynian.

Lustro zmatowiało jeszcze raz.

— Kontynuowali poszukiwania wczoraj, ostatniej nocy i dzisiaj — opowiadała Sephrenia. — Gdzieś około godziny temu jeden z nich znalazł Bhelliom. Ten fragment jest trudny do pokazania z powodu panujących ciemności. Rozjaśnię obraz na tyle, na ile będę mogła.

Nie widzieli zbyt wyraźnie, ale wydawało się, że jeden z chłopów wyłonił się z jeziora trzymając jakiś zabłocony przedmiot w dłoni.

— Korona króla Saraka — rozpoznała Sephrenia.

Ubrany na czarno szukacz pośpieszył na brzeg, wysuwając swoje podobne skorpionim szczypcy i kłapiąc nimi niecierpliwie, ale Ghwerig dopadł chłopca przed stworem Azasha. Silnym uderzeniem swej sękatej pięści roztrzaskał mu głowę i odebrał koronę. Potem odwrócił się i uciekł, nim szukacz zdołał przywołać swoich ludzi z jeziora. Bieg Ghweriga był rodzajem osobliwych susów, które wykonywał na obu nogach i jednej ze swych wyjątkowo długich rąk. Człowiek nie mógłby biec dużo szybciej.

Obraz zniknął.

— A co się stało potem? — zapytał Kurik.

— Troll przystawał od czasu do czasu, gdy któryś z chłopów go doganiał — odpowiedziała Sephrenia. — On chyba specjalnie zwalniał. Zabił ich wszystkich, jednego po drugim.

— A gdzie Ghwerig jest teraz? — zapytał Tynian.

— Nie wiemy — powiedziała Flecik. — Bardzo trudno w ciemności śledzić trolla. Dlatego właśnie musimy dostać się na otwartą przestrzeń. Sephrenia i ja potrafimy wyczuć Bhelliom, ale jedynie wtedy, gdy pozbędziemy się myśli tych wszystkich mieszkańców miasta.

Tynian zastanawiał się nad czymś.

— Szukacz na razie wypadł z gry — stwierdził. — Musi zebrać nowych ludzi, nim podąży za Ghwerigiem.

— Pocieszyłeś mnie — powiedział Kalten. — Nie chciałbym mieć do czynienia z nim dwoma naraz.

— Ruszajmy — zdecydował Sparhawk. — Przywdziejcie pancerze. Mogą się przydać, gdy dopadniemy Ghweriga.

Wrócili do swoich pokoi, aby skończyć pakowanie bagaży i założyć zbroje. Sparhawk podzwaniając stałą zszedł po schodach na dół, chcąc rozmówić się z grubym właścicielem zajazdu, który stał w wejściu do pustego szynku i ziewał.

— Zaraz wyruszamy — rzekł Sparhawk.

— Na dworze jest nadal ciemno, dostojny panie.

— Wiem, ale niespodziewanie wynikło coś nowego.
— A więc dotarły już do ciebie nowiny, dostojny panie.
— Jakie nowiny? — zapytał Sparhawk ostrożnie.
— Zamieszki w Arcium. Nie bardzo to wszystko rozumiem, ale mówi się nawet o jakiejś wojnie.

Sparhawk zmarszczył brwi.

— Trudno w to uwierzyć, ziomku. Arcium to nie Lamorkandia. Arkowie przed pokoleniami poprzysięgli wiernie słuchać królewskich rozkazów.

— Powtarzam tylko to, co słyszałem, dostojny panie. A słyszałem, że w królestwach zachodniej Eosii ogłoszono mobilizację. Wczoraj wieczorem przez Venne przejechali w wielkim pośpiechu różni ludzie. Mówili, że nie są zainteresowani udziałem w cudzej wojnie. Opowiadali, że na zachodnim brzegu jeziora zbiera się ogromna armia, do której wcielani są wszyscy mężczyźni.

— Zachodnie królestwa nie ogłosiłyby mobilizacji z powodu wojny domowej w Arcium — odrzekł mu Sparhawk. — To wewnętrzna sprawa Arków.

— Mnie to również zastanawia — przyznał właściciel zajazdu — ale jeszcze bardziej zastanawia mnie to, co mówili ci wystraszeni ludzie. Otóż podobno znaczną część tej armii stanowią Thalezyjczycy.

— Musieli się pomylić. Król Wargun co prawda sporo pije, ale nie najechałby zaprzyjaźnionego królestwa. Skoro ci ludzie chcieli umknąć przed poborem, z pewnością nie przyglądali się tym, którzy ich gonili. Każdy człowiek w kolczudze podobnie wygląda.

— Pewnie masz rację, dostojny panie.

Sparhawk zapłacił za nocleg.

— Dzięki za wieści, ziomku — powiedział do właściciela zajazdu.

Pozostali członkowie wyprawy zaczęli schodzić ze schodów. Sparhawk odwrócił się i wyszedł na podwórze.

— O co tu chodzi, dostojny panie? — zapytał Berit podając mu wodze Farana.

— Szukacz obserwował nas nad jeziorem — rzekł Sparhawk. — Jeden z jego ludzi znalazł Bhelliom, ale troll Ghwerig mu go odebrał. Teraz musimy odszukać Ghweriga.

— To może być trochę trudne, dostojny panie. Z jeziora podnosi się mgła.

— Miejmy nadzieję, że opadnie, zanim Ghwerig dotrze zbyt daleko na północ. Pozostali członkowie wyprawy wyszli z zajazdu.

— Na koń! — rozkazał Sparhawk. — Którędy jedziemy, Fleciku?

— Na razie na północ — odparła dziewczynka, gdy Kurik sadzał ją na siodle przed Sephrenią.

Berit otworzył usta ze zdziwienia.

— Ona umie mówić! — krzyknął.

— To chyba oczywiste — powiedziała do niego. — Bericie, proszę, nie powtarzaj tego, co słyszałam już tyle razy. Ruszajmy, Sparhawk. Nie będę mogła

ustalić położenia Bhelliomu, dopóki stąd nie wyjedziemy.

W wąskich uliczkach kłębiła się gęsta mgła, która niosła z sobą kwaśny zapach torfowisk otaczających jezioro. Zaczynała siąpić mżawka.

— To nie jest dobra noc, by stawić czoło trollowi — mruknął Ulath, podjeżdżając do Sparhawk.

— Ghwerig jest pieszo, a stąd do miejsca, w którym znalazł Bhelliom, jest daleka droga — rzekł Sparhawk. — Nie wierzę, żebyśmy dzisiejszej nocy natknęli się na niego, nawet jeśli zmierza w naszą stronę.

— On musi zmierzać ku nam — powiedział genidianita. — Chce dostać się do Thalesii, a to oznacza, że musi dotrzeć nad morze, do portu na północnym wybrzeżu.

— Dowiemy się, którądy idzie, gdy wywieziemy Sephrenię i Flecik z miasta.

— Jego celem na pewno jest Nadera — dumiał Ulath. — To większy port od Apalii i więcej w nim okrętów. Ghwerig musi zakraść się na pokład jednego z nich. Raczej mało prawdopodobne, aby mógł się zwyczajnie zaokrętować. Większość kapitanów żywi przesady, jeżeli chodzi o żeglowanie z trollem na pokładzie.

— Czy Ghwerig zna na tyle nasz język, aby podsłuchać, który statek odpływa do Thalesii?

Ulath skinął potakująco głową.

— Trolle zwykle nie potrafią mówić w innym języku oprócz własnego — wyjaśnił — ale rozumieją naszą mowę, a nawet mowę Styrików.

Minęli bramę miasta i krótko przed świtem dotarli do rozwidlenia dróg na północ od Venne. Z powątpiewaniem spojrzeli na pożłobiony koleinami szlak wiodący w góry, w kierunku na Ghasek, i drugą drogę, do portu Apalia.

— Mam nadzieję, że nie zdecydował się iść w góry — powiedział Bevier, wzdrygając się pod białym płaszczem. — Naprawdę wolałbym nie wracać do Ghasku.

— Czy on w ogóle się porusza? — zapytał Sparhawk dziewczynkę.

— Tak — skinęła główką. — Zmierza na północ brzegiem jeziora.

— Nie bardzo rozumiem — zwrócił się do niej Talen. — Jeżeli potrafisz wyczuć, gdzie jest Bhelliom, to dlaczego po prostu nie zostaliśmy w zajeździe czekając, aż będzie bliżej?

— Ponieważ w mieście jest zbyt wielu ludzi — odpowiedziała Sephrenia. — Trudno nam dokładnie ustalić położenie Bhelliomu w tym zamęcie ludzkich myśli i emocji.

— Ach, tak — stwierdził chłopak — to chyba sensowne wyjaśnienie.

— Możemy pojechać nad jezioro — zaproponował Kalten. — To oszczędziłoby nam mnóstwo czasu.

— We mgle tam nie jadę. — Ulath był zdecydowany. — Wolałbym widzieć, jak nadchodzi. Nie chcę, by troll mnie zaskoczył.

— On będzie musiał tędy przejść — odezwał się Tynian — a przynajmniej bardzo blisko tego miejsca, jeżeli zmierza w kierunku północnego wybrzeża. Nie może przepłynąć jeziora i nie pójdzie do Venne. Trolle, jak mi mówiono, raczej rzucają się w oczy. Urządźmy na niego pułapkę.

— Sparhawk, to jest pomysł! — wykrzyknął Kalten. — Moglibyśmy napaść na niego zniecacka, gdybyśmy ustalili przypuszczalną trasę jego wędrówki. Zabijemy trolla, odbierzemy mu Bhelliom i zanim się ktokolwiek obejrzy, będziemy w połowie drogi do Cimmury.

— Och, Kaltenie! — westchnęła Sephrenia.

— Zabijanie to dla nas codzienne zajęcie, mateczko. — Jasnowłosa pandionita machnął lekceważąco ręką. — Nie musisz się temu przyglądać, jeżeli nie masz ochoty. O jednego trolla mniej czy więcej na świecie, co to za różnica!

— Może jednak być pewien problem — odezwał się Tynian. — Szukacz ruszy tropem Ghweriga, kiedy tylko zgromadzi dość ludzi, a on pewnie potrafi wyczuć Bhelliom tak samo jak Sephrenia i ty, Fleciku, prawda?

— Tak — przyznała dziewczynka.

— Pamiętajcie zatem, że być może, gdy tylko pozbedziemy się trolla, będziemy musieli stawić czoło szukaczowi.

— A ty pamiętaj — powiedziała Flecik rezolutnie — że będziemy już wtedy mieli Bhelliom i że Sparhawk ma pierścienie.

— Czy Bhelliom mógłby uwolnić nas od szukacza?

— Całkiem łatwo.

— Schowajmy się między drzewami — poradził Sparhawk. — Nie mam pojęcia, ile czasu potrzebuje Ghwerig na dotarcie do tego miejsca, a nie chciałbym, aby zaskoczył nas, gawędzących o pogodzie na środku drogi.

Wycofali się w cień drzew i zsiadli z koni.

— Pani Sephrenio — zaczął Bevier, głęboko nad czymś zamyślony — jeżeli Bhelliom potrafi zniszczyć szukacza za pomocą czarów, to czy ty nie mogłabyś uczynić tego samego używając zwykłej, styrickiej magii?

— Gdybym mogła to uczynić, Bevierze — czarodziejka tłumaczyła jak dziecku — już dawno bym to zrobiła.

— No, tak — westchnął cyrinita trochę zmieszany — zdaje się, że nie pomyślałem o tym.

Słońce tego ranka wstało zamglone. Chociaż niebo było pogodne, unosząca się nisko nad ziemią gęsta mgła znad jeziora i znajdującego się na północy lasu sprawiała, że dzień wydawał się pochmurny. Wystawili strażę, sprawdzili siodła i pozostały ekwipunek. Potem większość z nich drzemała w parnym skwarze, często zmieniając wartowników. Niestety, przy takiej pogodzie człowiek niewyspany nie zawsze bywa należycie czujny.

Ledwie minęło południe, gdy Talen obudził Sparhawk.

— Flecik chce z tobą rozmawiać — powiedział.

— Myślałem, że też śpi.

— Nie sądzę, by ona kiedykolwiek naprawdę spała — wyznał chłopiec. — Nie sposób zbliżyć się do niej, żeby nie otworzyła oczu.

— Może kiedyś ją o to zapytamy. — Sparhawk odrzucił koc, wstał i w pobliskim źródle opryskał twarz wodą. Potem podszedł do miejsca, w którym Flecik leżała wtulona wygodnie w Sephrenię.

Dziewczynka natychmiast otworzyła swoje wielkie oczy.

— Gdzie byłeś? — zapytała.

— Musiałem się na dobre obudzić, a to trochę trwało.

— Bądź czujny, Sparhawk. Szukacz nadciąga.

Rycerz zaklął i sięgnął po miecz.

— Ależ nie rób tego! — Mała skrzywiła się z niesmakiem. — Jest jeszcze cała ligę stąd.

— W jaki sposób dotarł aż tak daleko na północ w tak krótkim czasie?

— Nie zatrzymał się, by — jak przypuszczaliśmy — zbierać ludzi. Jest sam i zajeżdża na śmierć swego konia. Biedne stworzenie już prawie zdycha.

— A Ghwerig wciąż jest daleko stąd?

— Tak, Bhelliom nadal znajduje się na południe od miasta Venne. Potrafię przechwycić urywki myśli szukacza. — Dziewczynka wzdrygnęła się. — Są obrzydliwe, ale w zamyśle bardzo podobne do naszych. Stara się wyprzedzić Ghweriga, bo chce zrobić na niego zasadzkę. Do tego zadania może zebrać ludzi w tej okolicy. Myślę, że będziemy musieli z nim walczyć.

— Bez Bhelliomu?

— Obawiam się, że tak. Nie ma jeszcze ludzi do pomocy, więc może łatwiej sobie z nim poradzimy.

— Czy można go zabić zwykłą bronią?

— Nie. Jednakże jest coś, co mogłoby być skuteczne. Nigdy tego nie próbowałam, ale moja starsza siostra mówiła mi, jak to zrobić.

— Myślałem, że nie masz rodziny.

— Sparhawk! — Flecik roześmiała się głośno. — Moja rodzina jest dużo, dużo większa, niż mógłbyś to sobie wyobrazić. Sprowadź swych towarzyszy. Za kilka minut szukacz nadjedzie tą drogą. Wyjdź mu naprzeciw, a ja przyprowadzę Sephrenię. On się zatrzyma, by pomyśleć — a mówiąc ściślej, Azash będzie chciał pomyśleć, jako że to on jest prawdziwym umysłem tego stwora. Ale Azash jest zbyt zarozumiały, żeby przepuścić okazję do naurągania Sephrenii, a wtedy ja uderzę na szukacza.

— Masz zamiar go zabić?

— Oczywiście, że nie. My nie zabijamy, Sparhawk. My pozwalamy dokonać tego naturze. Nie mamy zbyt wiele czasu.

— Nie rozumiem.

— Nie musisz. Po prostu idź po pozostałych.

Ustawili się po obu stronach rozwidlenia dróg, trzymając kopie w pogotowiu.
— Czy ona naprawdę wie, co mówi? — zapytał Tynian z powątpiewaniem.
— Mam taką nadzieję — rzekł Sparhawk.
Wtem usłyszeli ciężki oddech skrajnie wyczerpanego konia, nierówny tętent kopyt i świst bata. Szukacz w czarnej szacie wyjeżdżał z zakrętu. Siedział w siodle zgarbiony i bezlitośnie chłostał slaniającego się konia.
— Stój, psie z piekła rodem! — zakrzyknął Bevier donośnie. — Tu jest kres twojej podróży!
— Musimy któregoś dnia porozmawiać z tym chłopcem — mruknął Ulath do Sparhawka.
Jednakże szukacz wstrzymał konia.
Wtedy pomiędzy drzew wyszły Sephrenia i Flecik. Twarz drobnej, kruchej Styriczki była jeszcze bardziej blada niż zwykle. To dziwne, ale Sparhawk nigdy tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jak drobna była jego nauczycielka — niewiele wyższa od małej Flecik. Czarodziejka okazywała zawsze taką siłę charakteru, iż rycerzowi wydawało się, że jest wyższa nawet od Ulatha.
— Czyżby to było spotkanie, które mi obiecałeś, Azashu? — zapytała ze wzgardą. — Jeżeli tak, to ja jestem gotowa.
— Witaj, Sssephrenio — odezwał się nienawistny głos. — Znowu sssię ssspotkaliśmy, i to niessspodzianie. Być może to osstatni dzień twego życia.
— Lub twego, Azashu — odparła spokojnie, z godną podziwu odwagą.
— Ty nie potrafiszsz mnie zniszszszczyć. — Stwór wybuchnął ohydny śmiechem.
— Bhelliom potrafi. Nie dopuścimy, abyś zdobył Bhelliom na naszą zgubę. Uciekaj, Azashu, jeśli ci życie miłe. Zbierz wszystkie kamienie świata i schowaj się pod nimi, nim zdąży cię dosięgnąć gniew Młodszych Bogów.
— Czy ona trochę nie przesadza? — powiedział Tynian nieswoim głosem.
— Robi to specjalnie — rzekł Sparhawk. — Sephrenia i Flecik chcą sprowokować Azasha, by ten stracił panowanie nad sobą.
— Dopóki żyję, nie pozwolę na to! — oznajmił z przejęciem Bevier, zniżając kopię.
— Nie ruszaj się z miejsca! — wrzasnął Kurik. — One wiedzą, co robią! Bóg świadkiem, że nie wie tego nikt z nas.
— Nadal jessszszcze nie ssskończyłaśś ssswoich beznadziejnych miłosstek z Elenami? — zapytał głos Azasha. — Jeśśśli twa chuć jessst tak wielka, to przyjdź do mnie, a zassspokoję ją w nadmiarze.
— Tego już nie potrafisz, Azashu, czyżbyś zapomniał, żeś utracił swą męskość? Twoja osoba budzi odrazę wszystkich bogów, dlatego pozbawili cię męskich mocy i stracili w otchłań wiecznej udręki i żalości.
Stwór zasyczał w furii. Sephrenia skinęła na dziewczynkę. Flecik podniosła swoją fujarkę do ust i zaczęła grać. Wydobywała z instrumentu serię szybkich,

urywanych dźwięków. Na ich brzmienie szukacz zdawał się kurczyć.

— To ci nie pomoże, Ssephrenio — oznajmił Azash ostrym głosem. — Nad-szszszedł czasss.

— Tak myślisz, Azashu? — powiedziała Styriczka obelżywie. — A więc przez te bezmierne stulecia utraciłeś nie tylko męskość, ale i rozum.

Szukacz wrzasnął z wściekłości.

— Zniedołężniały bożek! — ciągnęła Sephrenia. — Wracaj do swoich głupich Zemochów i wgryzaj się w ich dusze z daremnym żalem za rozkoszami, których się na zawsze wyparłeś.

Azash zawył. Flecik grała coraz szybciej.

Z szukaczem coś się działo. Jego ciało pod czarną szatą zdawało się skręcać, a spod kaptura dobiegały przeraźliwe wrzaski. Stwór w okropnych drgawkach zlął ze zdychającego konia. Zatoczył się, wysuwając swoje skorpionowe kleszcze.

Rycerze Kościoła ruszyli, chcąc ochronić Sephrenię i dziewczynkę.

— Trzymajcie się z dala! — krzyknęła ostro Sephrenia. — Nie można prze-rwać tego, co się teraz dzieje.

Szukacz upadł na drogę, wijąc się i rozdierając szatę. Sparhawk poczuł, że ro-bi mu się niedobrze. Szukacz miał podłużne ciało, przedzielone w połowie cienką jak u osy talią, całe pokryte szarawym śluzem. Jego wydłużone członki składały się z wielu segmentów. Szukacz nie miał nic, co można by nazwać twarzą, jedynie dwoje wyłupiastych oczu i otwartą paszczę otoczoną rzędem ostrych wyrostków podobnych do kłów.

Azash wrzasnął coś do Flecika. Sparhawk rozpoznał mowę Styrików, ale nie zrozumiał ani słowa. Cieszył się z tego do końca swoich dni.

A potem szukacz zaczął rozpadać się na kawałki z okropnym trzaskiem. Jed-nak pod powłoką jego ciała coś było, coś, co się wiło i skręcało. W ciele szukacza powstał otwór, który się poszerzał, a z niego poczęło się wyłaniać to, co mieściło się w środku. Było wilgotne, z czarnym połyskiem. Z jego ramion zwisały prze-zrocyste skrzydła. Miało dwoje wypukłych oczu, delikatne czułki i było pozba-wione ust. Wstrząsało się i drgało, uwalniając się z resztek pozostałej po szukaczu skorupy. W końcu, całkowicie wolne, przysiadło na drodze i szybko zaczęło po-ruszać owadzimi skrzydłami, aby je osuszyć. Kiedy już były suche i napłynęło do nich coś podobnego do krwi, zaczęły furczeć, poruszając się tak szybko, że sta-ły się niemal niewidoczne dla oka. Stwór, który w tak ohydny sposób przyszedł właśnie na świat, wzbiał się w powietrze i odleciał na wschód.

— Zatrzymać go! — krzyknął Bevier. — Nie pozwólcie mu zniknąć!

— Teraz jest nieszkodliwy — powiedziała Flecik spokojnie, opuszczając fu-jarkę.

— Coś uczyniła? — zapytał cyrinita z lękiem.

— Po prostu przyśpieszyłam jego rozwój. Moja siostra miała rację, ucząc mnie tego zaklęcia. Szukacz jest teraz dorosły i pochłania go jedynie myśl o rozmnażaniu. Nawet Azash nie potrafi przeszkodzić mu w poszukiwaniu partnerki.

— A czemu miała służyć ta wymiana obelg? — zapytał Kalten Sephrenię.

— Musiałam Azasha na tyle zdenerwować, aby stracił panowanie nad szukaczem; wtedy mogło zacząć działać zaklęcie Flecika — wyjaśniła czarodziejka. — To dlatego rzuciłam mu w twarz tyle niemiłych prawd.

— Chyba trochę ryzykowałam, mateczko?

— Nawet bardzo — przyznała Sephrenia.

— Czy ten dorosły stwór znajdzie partnerkę? — spytał Tynian z paniką w głosie. — Nie chciałbym, aby świat przepełniły szukacze.

— Nie znajdzie samicy — odpowiedziała Flecik. — Jest jedynym przedstawicielem swego gatunku na ziemi. Nie ma ust, więc nie może jeść. Przez tydzień będzie prowadził swe desperackie poszukiwania.

— A potem?

— Potem? Potem zginie — rzuciła Flecik obojętnie.

Rozdział 20

Ściągnęli okrywy szukacza z drogi i wrócili między drzewa, by czekać na Ghweriga.

— Fleciku, gdzie on teraz jest? — zapytał Sparhawk.

— Niedaleko północnego krańca jeziora — odpowiedziała dziewczynka. — W tej chwili stoi w miejscu. Domyślam się, że gdy mgła opadła, chłopci wyszli na pola. Pewnie jest tam tylu ludzi, że troll musiał się ukryć.

— A to oznacza, że pewnie będzie tędy przechodził dopiero po zapadnięciu zmroku, tak?

— Możliwe.

— Prawdę powiedziawszy, nie cieszy mnie zbytnio myśl o spotkaniu z trollem w ciemności.

— Mogę sprawić, aby było wystarczająco jasno do naszych celów.

— Byłbym ci za to wdzięczny. — Rycerz zmarszczył brwi. — Jeżeli byłeś w stanie poradzić sobie z szukaczem, to czemu nie zrobiłeś tego wcześniej?

— Nie było na to czasu. Zwykle nas zaskakiwał, a przygotowanie tego zaklęcia trochę trwa. Czy ty naprawdę musisz tyle mówić, Sparhawk? Próbuję skupić się na Bhelliomie.

— Przepraszam. Pójdę porozmawiać z panem Ulathem. Chcę dokładnie wiedzieć, jak atakuje się trolla.

Potężny genidianita drzemał pod drzewem.

— Co się dzieje? — zapytał otwierając jedno ze swoich błękitnych oczu.

— Flecik mówi, że Ghwerig pewnie teraz siedzi w ukryciu. Nie porusza się w ogóle. Zapewne będzie tędy przechodził w nocy.

Ulath skinął głową.

— Trolle lubią wędrować w ciemności — powiedział. — Zwykle wtedy polują.

— Jak najlepiej się do niego zabrać?

— Kopie nie na wiele się przydadzą, chyba że zaatakujemy go wszyscy równocześnie. Wtedy jeden z nas mógłby przypadkiem zadać właściwy cios.

— To zbyt poważna sprawa, by zdać się na łut szczęścia.

— W każdym razie na początek warto spróbować. I tak pewnie będziemy musieli powtórnie uderzyć mieczami i toporami. Jednak musimy być bardzo ostrożni. Te stwory poruszają się o wiele zwinniej, niżbyś sądził z ich wyglądu. Mają bardzo długie ramiona i trzeba mieć się na baczności, by nie zostać ucapionym.

— Zdaje się, że sporo o nich wiesz. Czyżbyś kiedy z jakimś walczył?

— Tak, kilka razy. Nie chciałbym jednak zajmować się tym na stałe. Czy Berit wciąż ma swój łuk?

— Myślę, że tak.

— Świetnie. Najlepiej tak właśnie rozpocząć zabawę z trollem — zmęczyć go kilkoma strzałami, a potem uderzyć i skończyć z nim.

— Czy on będzie uzbrojony?

— Może w maczugę. Trolle nie mają wprawy w obrabianiu żelaza i stali.

— A jak nauczyłeś się ich mowy?

— W naszym klasztorze w Heidzie hodowaliśmy trolla dla uciechy. Znaleźliśmy go, gdy był jeszcze szczeniakiem, ale trolle rodzą się ze znajomością swej mowy. Był rozkosznym, małym łobuzem, przynajmniej na początku. Potem zwrócił się przeciwko nam. Nauczyłem się od niego języka, kiedy dorastał.

— Powiedziałaś, że zwrócił się przeciwko wam?

— No tak, ale w zasadzie nie była to jego wina, panie Sparhawk. Kiedy trolle dorastają, zaczynają mieć swoje potrzeby, a my nie mieliśmy czasu złowić mu samicy. W dodatku jego apetyt wzrósł do niespodziewanych rozmiarów. Każdego tygodnia zjadał kilka krów lub koni.

— Co się z nim w końcu stało?

— Jeden z braci poszedł go nakarmić, a on zaatakował. Rycerze nie mogli się z tym pogodzić, więc postanowiliśmy, że trzeba go zabić. Musieliśmy to zrobić w pięciu, a potem większość z nas spędziła następny tydzień w łóżach.

— Przyjacielu — Sparhawk popatrzył podejrzliwie na Ulatha — nie nabierasz mnie?

— Gdzieżbym śmiał! Trolle wcale nie są takie groźne, jeżeli znajdujesz się w dużej grupie uzbrojonych ludzi. A jak już mają strzałę w brzuchu, zwykle stają się ostrożniejsze. Naprawdę niebezpieczne są ogry. Mają za małe mózgi, by nauczyć się ostrożności. — Ulath podrapał się po policzku. — Była raz ogryca, która zapalała nieposkromioną żądzą do jednego z naszych braci w Heidzie. Jak na ogrycę to nawet nie była taka brzydka. Miała lśniące rogi i utrzymywała swoje futro w jakim takim porządku. Nawet czyściła sobie kły. Wiesz, ogry w tym celu żują granit. W każdym razie, jak już mówiłem, była śmiertelnie zakochana w tym rycerzu z Heid. Zwykła czaić się w lesie i śpiewać mu najokropniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałem. Swoim rykiem potrafiła z odległości stu kroków strącić z sosny wszystkie igły. W końcu rycerz nie mógł już tego dłużej znieść i został mnichem. A ona zwyczajnie zdechła z rozpaczy.

— Teraz to już na pewno mnie nabierasz.

— Ależ nie, panie Sparhawk — słabo zaprotestował Ulath.

— A więc najlepszym sposobem na pozbycie się Ghweriga jest naszpikowanie go strzałami?

— Na początek. Jednakże będziemy musieli podejść do niego dość blisko. Trolle mają bardzo twardą skórę i grube futro. Strzały zwykle nie wbijają się zbyt głęboko, a próba trafienia w niego w ciemności będzie szczególnie trudna.

— Flecik powiedziała, że może sprawić, by było dostatecznie jasno.

— To bardzo dziwna osobka, nawet jak na Styriczkę, prawda?

— Tak, przyjacielu, masz rację.

— Jak myślisz, ile naprawdę ma lat?

— Nie mam pojęcia. Sephrenia nigdy nie uczyniła nawet najmniejszej aluzji na ten temat. Wiem, że ta mała jest dużo, dużo starsza, niż na to wygląda, i o wiele mądrzejsza, niż możemy się domyślać.

— Kiedy sobie przypomnę, jak pozbyła się szukacza, myślę, że nie zaszkodzi stosować się do jej poleceń.

— Zgadzam się z tym w zupełności — powiedział Sparhawk.

— Sparhawk! — zawołała Flecik ostrym tonem. — Chodź tutaj!

— Wolałbym jednak, aby nie zachowywała się cały czas tak władczo — mruknął Sparhawk podnosząc się z miejsca. Podeszedł do dziewczynki. — Słucham?

— On wyruszył na jezioro.

— Pewnie znalazł jakąś łódź — powiedział rycerz. — Pan Ulath mówił, że nie potrafi pływać. Dokąd zmierza?

Dziewczynka skupiła się zamykając oczy.

— Mniej więcej na północny zachód. Ominie Venne i wyląduje na zachodnim brzegu jeziora. Jeżeli mamy zamiar go pochwycić, musimy tam pojechać.

— Jak szybko się porusza?

— W tej chwili bardzo powoli. Chyba nie wie, jak należy kierować łodzią.

— Dzięki temu możemy mieć trochę czasu na dotarcie tam przed nim.

Zwinęli swój prowizoryczny obóz i ruszyli wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Venne na południe. Nad zachodnią Pelosią zapadał zmrok.

— Czy na podstawie wrażeń, jakie odbierasz od Bhelliomu, mogłabyś ustalić przypuszczalne miejsce jego lądowania? — zapytał Sparhawk dziewczynkę, jadącą w objęciach Sephrenii.

— Z dokładnością do około ćwierć ligi — odpowiedziała. — Będę mogła powiedzieć precyzyjniej, gdy zbliży się do brzegu. Rozumiesz chyba, że trzeba uwzględnić prądy, wiatry i tym podobne sprawy.

— Nadal porusza się wolno?

— Nawet jeszcze wolniej. Ghwerig ma powykrzywiane ramiona i biodra, więc trudno mu wiosłować.

— Czy możesz określić, kiedy przybije do brzegu po zachodniej stronie jeziora?

— Przy obecnych warunkach nie wcześniej niż jutro, dobrze po zapadnięciu zmroku. W tej chwili łowi ryby. Jest głodny.

— Łowi ryby rękoma?

— Trolle mają bardzo zwinne ręce. Ghwerig na jeziorze czuje się niepewnie. Właściwie nie wie nawet, dokąd płynie. Trolle mają bardzo słabą orientację w przestrzeni, nie potrafią określać stron świata z wyjątkiem północy. Kiedy znajdują się na ziemi, mogą wyczuć przyciąganie bieguna, jednakże na wodzie są prawie zupełnie bezradne.

— A więc go złapiemy.

— Nie świętuj zwycięstwa, dopóki nie wygrasz bitwy, Sparhawk — powiedziała oschle.

— Fleciku, jesteś wyjątkowo źle wychowaną dziewczynką. Wiesz o tym?

— Ale mnie kochasz, prawda? — spytała z rozbijającą naiwnością.

Sparhawk rozłożył bezradnie ręce.

— I co ja mam począć? — zapytał Sephrenię. — Ona jest niemożliwa.

— Odpowiedz na jej pytanie, Sparhawk — poradziła mu Sephrenia. — To o wiele ważniejsze, niż ci się zdaje.

— Tak, kocham cię — powiedział do dziecka. — Czasami mam ochotę dać ci klapsa, ale kocham cię.

— To najważniejsze — westchnęła Flecik, po czym przytuliła się do Sephrenii i natychmiast zasnęła.

Patrowali długi fragment zachodniego wybrzeża jeziora Venne, próbując wzrokiem przebić ciemności gęstniejące nad wodami. Stopniowo zawężali obszar swoich poszukiwań, słuchając wskazówek dziewczynki, która prowadziła ich coraz bliżej celu.

— Fleciku, skąd ty to wiesz? — dopytywał się Kalten. Było już kilka godzin po północy.

Dziewczynka podniosła oczy na Sephrenię.

— Czy on zrozumie? — zapytała.

— Kalten? Pewnie nie, ale możesz spróbować mu to wyjaśnić, jeśli chcesz. — Sephrenia uśmiechnęła się. — Wszyscy przeżywamy drobne rozczarowania.

— Kiedy Bhelliom porusza się diagonalnie, inaczej się to odczuwa, niż gdy przybliży się z przodu — próbowała wyjaśnić Flecik.

— Aha — powiedział jasnowłosy rycerz niepewnie — myślę, że to ma sens.

— Widzisz — Flecik posłała Sephrenii triumfalny uśmiešek — wiedziałam, że potrafię mu wytłumaczyć.

— Mam tylko jedno pytanie — dodał Kalten. — Co znaczy „diagonalnie”?

— O nie! — jęknęła dziewczynka, wtulając twarz w fałdy białej szaty Sephrenii.

— Powiedźcie mi, co to takiego? — Kalten szukał wsparcia u towarzyszy.

— Odbijmy trochę na południe, panie Kaltenie, i zajmijmy się obserwacją jeziora — zaproponował Tynian. — Wyjaśnię ci to, gdy trochę się oddalimy.

— Mój drogi! — Sephrenia spojrzała groźnie na Ulatha, na którego twarzy pojawił się słaby uśmieszek. — Ani słowa!

— Nic nie mówiłem.

Sparhawk zawrócił Farana i pojechał wolno z powrotem na północ, wpatrując się w ciemne wody jeziora.

Księżyc tej nocy wzeszedł późno. Odbijał się w jeziorze, znacząc na powierzchni wody długie, migoczące smugi. Sparhawk uspokoił się nieco. W ciemnościach wypatrywanie trolla wymagało napiętej uwagi, teraz wydawało się to dziecinnie łatwe. Musieli jedynie czekać, aż Ghwerig wyląduje na brzegu. Świadomość tego, że po wielu kłopotach i niepowodzeniach, jakie ich spotykały odkąd wyruszyli na poszukiwanie Bhelliomu, teraz może po prostu siedzieć i czekać, aż klejnot zostanie mu przez trolla dostarczony, trochę Sparhawk denerwowała. Męczyło go dziwne przeczucie, że coś się nie uda. Z przygód, jakie przeżyli w Lamorkandii i tu, w Pelosii, jasno wynikało, że komuś zależało na tym, aby im się źle wiodło. Ich misję na każdym kroku prześladowało widmo kłęski niemal od chwili opuszczenia siedziby zakonu w Cimmurze. Sparhawk nie widział powodu, dla którego tym razem miałyby stać się inaczej.

Na rdzawoczerwonym niebie ponownie wzeszło słońce i niczym miedziany dysk zawisło nad brunatnymi wodami jeziora. Sparhawk jechał znużony przez lassek, w którym rycerze trzymali straż, do miejsca, gdzie czekała Sephrenia i dzieci.

— A teraz jak jest daleko? — zapytał malutką Flecik.

— Około pół ligi od brzegu. Ponownie się zatrzymał.

— Czemu on przystaje? — Sparhawk zaczynały coraz bardziej denerwować te powtarzające się przerwy w podróży trolla przez jezioro.

— Chciałbyś poznać moje domysły, dostojny panie? — zapytał Talen.

— Zaczynaj.

— Ukradłem raz w Cimmurze łódź, ponieważ chciałem dostać się na drugi brzeg rzeki. Łódź ciekła i musiałem zatrzymać się co kilka minut, aby wybrać wodę. Ghwerig zatrzymuje się prawie co pół godziny. Może jego łódź nie cieknie tak mocno jak moja.

Sparhawk patrzył przez chwilę na chłopca, a potem wybuchnął śmiechem.

— Dzięki, Talenie! — Nagle poczuł się o wiele lepiej.

— Dla ciebie za darmo — odparł chłopiec bezczelnie. — Widzisz, dostojny panie, zwykle prosta odpowiedź jest trafna.

— A więc tam na jeziorze płynie troll w cieknącej łódce, a ja siedzę tu na brzegu i czekam, aż on nie wyleje z niej wody.

— Tak, ładnie to podsumowałeś.

Usłyszeli tętent galopującego konia. To nadjeżdżał Tynian.

— Panie Sparhawk — powiedział cicho — z zachodu zbliżają się jacyś jeźdźcy.

— Ilu?

— Wielu, niełatwo zliczyć.

— Rzućmy na nich okiem.

Obaj rycerze pojechali przez las do miejsca, gdzie Kalten, Ulath i Bevier zatrzymali konie i spoglądali na zachód.

— Przyjrzałem się im, panie Sparhawk — mruknął Ulath. — Myślę, że to Thalezyjczycy.

— A co Thalezyjczycy robią tu, w Pelosii?

— Pamiętasz opowieść właściciela zajazdu w Venne? — odezwał się Kalten. — O wojnie jakoby toczącej się w Arcium? Czyż nie powiedział, że zachodnie królestwa ogłosiły mobilizację?

— Zapomniałem o tym — przyznał Sparhawk. — No cóż, w takim razie to nie nasza sprawa, a przynajmniej nie w tej chwili.

Podjechali Kurik i Berit.

— Sparhawk, zdaje się, że go widzieliśmy — relacjonował Kurik. — To znaczy Berit go widział.

Sparhawk rzucił nowicjuszowi pytające spojrzenie.

— Wdrapałem się na drzewo, dostojny panie — wyjaśniał Berit. — Zobaczyłem małą łódkę dość daleko od brzegu. Nie widziałem zbyt wyraźnie, ale zdaje się, że ona po prostu dryfuje i dobiega od niej jakiś plusk.

Sparhawk roześmiał się głośno.

— Wygląda na to, że Talen miał rację — powiedział.

— Nie rozumiem, dostojny panie.

— Talen domyślił się, że Ghwerig pewnie ukraść dziurawą łódź i dlatego musi tak często się zatrzymywać, bo wybiera wodę.

— Chcesz przez to powiedzieć, że czuwaliśmy całą noc, a tymczasem Ghwerig wylewał wodę z łódki? — zapytał Kalten.

— Na to wygląda.

— Panie Sparhawk, zbliżają się. — Tynian wyciągniętą prawicą wskazał na zachód.

— To na pewno Thalezyjczycy — mruknął Ulath.

Sparhawk zaklął i wyjechał na skraj lasu. Nadjeżdżała kolumna zbrojnych mężów; na jej czele jechał postawny mężczyzna w kolczudze i purpurowym płaszczu. Sparhawk rozpoznał go. To był król Thalesii, Wargun. Wydawał się mocno pijany. Obok niego jechał blady, szczupły mężczyzna w bardzo ozdobnej, ale jakby delikatnej zbroi.

— Ten obok Warguna to król Pelosii, Soros — rzekł półgębkiem Tynian. — Nie sądzę, aby był zbyt niebezpieczny. Większość czasu spędza na modłach i poście.

— Jednakże jest pewien szkopał, panie Sparhawk — odezwał się Uloth ponuro. — Ghwerig wkrótce dopłynie do brzegu i przywiezie koronę królów Thalesii. Wargun oddałby duszę, by ją odzyskać. Przykro mi to mówić, ale powinniśmy odciągnąć go stąd, zanim troll tu dotrze.

Sparhawk klął jak szewc. Przeczucia, jakie go dręczyły tej nocy, okazały się całkiem słuszne.

— Wszystko będzie dobrze, dostojny panie — uspokajał go Bevier. — Flecik potrafi podążyć śladem Bhelliomu. Odprowadzimy króla Warguna gdzieś na bok, później sami tu wrócimy i wytropimy trolla.

— Wygląda na to, że nie mamy wielkiego wyboru — podsumował Sparhawk. — Chodźmy po Sephrenię i dzieci i zabierzmy stąd Warguna.

Pośpiesznie dosiedli koni i ruszyli z powrotem do miejsca, gdzie czekali Sephrenia, Talen i Flecik.

— Musimy stąd odjechać — rzekł Sparhawk krótko. — Zbliżają się Thalezyjczycy, a z nimi król Wargun. Pan Uloth uważa, że Wargun domyśli się, czego tu szukamy i będzie próbował odebrać nam koronę, gdy tylko znajdzie się ona w naszych rękach. Ruszajmy.

Galopem wyjechali z lasu, kierując się na północ. Kolumna Thalezyjczyków podążyła za nimi, zgodnie z ich przypuszczeniami.

— Potrzebujemy chociaż kilku lig! — zawołał Sparhawk do towarzyszy. — Musimy dać Ghwerigowi szansę ucieczki.

Wypadli na trakt biegnący do Venne i pogalopowali nim dalej, ostentacyjnie nie oglądając się za Thalezyjczykami.

— Szybko jadą! — zawołał do Sparhawka Talen, który potrafił tak spojrzeć za siebie, że nikt tego nie zauważył.

— Chciałbym odciągnąć ich od Ghweriga trochę dalej — Sparhawk nie krył żalu — ale zdaje się, że na więcej nie możemy sobie pozwolić.

— Ghwerig jest trollem, panie Sparhawk — powiedział Uloth. — On potrafi się kryć.

— Masz rację — przytaknął Sparhawk. Udał, że ogląda się za siebie, a potem podniósł dłoń dając sygnał do zatrzymania się. Osadzili w miejscu rumaki i zawrócili, aby stanąć twarzą w twarz ze zbliżającymi się Thalezyjczykami.

Thalezyjczycy również zatrzymali się i jeden z nich ruszył koniem wolno do przodu.

— Szlachetni rycerze, król Thalesii, Wargun, chce z wami rozmawiać — powiedział z szacunkiem. — Za chwilę tu podjedzie.

— Będziemy zaszczyceni — odparł zwięźle Sparhawk.

— Wargun jest pijany — mruknął Uloth. — Postaraj się rozegrać to dyplomatycznie, panie Sparhawk.

Król Wargun i król Soros podjechali i wstrzymali wierzchowce.

— Ho, ho, Sorosie! — krzyknął Wargun, chwiejąc się niebezpiecznie w siodle. — Zdaje się, że w nasze ręce wpadł oddział Rycerzy Kościoła. — Zamrugał powiekami i przyjrzał się rycerzom. — Tego znam — wskazał na Ulatha. — Co ty robisz tu, w Pelosii?

— Sprawy Kościoła, wasza królewska mość — odpowiedział Ulath bezbarwnym głosem.

— A ten ze złamanym nosem to pandionita Sparhawk — dodał Wargun zwracając się do króla Sorosa. — Dlaczego tak pędziliście, dostojny panie Sparhawku?

— Nasza misja wymaga pewnego pośpiechu, wasza królewska mość.

— A na czym polega wasza misja?

— Nie wolno nam o niej mówić, miłościwy panie. Normalna, kościelna procedura.

— A więc chodzi o politykę — zachnął się Wargun. — Życzyłbym sobie, aby Kościół nie pchał nosa do polityki.

— Czy zechcesz nam towarzyszyć w drodze, wasza wysokość? — spytał Bevier uprzejmie.

— Nie, zdaje się, że będzie na odwrót, mości rycerzu, i będzie to coś więcej niż tylko towarzystwo w drodze. — Wargun popatrzył na nich bacznie. — Czy wiecie, co dzieje się w Arcium?

— Dotarli do nas jakieś bałamutne plotki, wasza królewska mość — przyznał Tynian — ale nic konkretnego.

— A zatem ja przekażę wam kilka konkretów — powiedział Wargun. — Rendorczycy najechali na Arcium.

— To niemożliwe! — wykrzyknął Sparhawk.

— Powiedz to ludziom, którzy mieszkali w Coombe. Rendorczycy złupili to miasto i spalili. Teraz maszerują na północ, w kierunku stolicy, Larium. Król Dregos poprosił nas o pomoc. Soros i ja zbieramy po drodze wszystkich mężczyzn zdolnych do walki. Mamy zamiar jechać na południe i raz na zawsze położyć kres rendorskiej zarazie.

— Z chęcią bym ci towarzyszył, miłościwy panie — rzekł Sparhawk — ale mamy inne zobowiązania. Być może po wypełnieniu naszej misji będziemy mogli przyłączyć się do ciebie.

— Już to uczyniliście, Sparhawku — powiedział Wargun szorstko.

— Mamy inne zobowiązania, miłościwy panie — powtórzył Sparhawk.

— Kościół jest wieczny, Sparhawku, i bardzo cierpliwy. Wasze zobowiązania będą musiały poczekać.

To dopełniło miary. Sparhawk, który nigdy zbyt nie trzymał nerwów na wodzy, spojrział królowi Thalesii prosto w oczy. Ludzie zazwyczaj wyładowują swą złość krzycząc i przeklinając; Sparhawk w takich sytuacjach stawał się śmiertelnie spokojny.

— Wasza królewska mość, jesteśmy Rycerzami Kościoła — zaczął chłodnym, beznamiętnym tonem. — Nie podlegamy władzy ziemskich królów. Odpowiadamy jedynie przed Bogiem i naszym ojcem, Kościołem. Będziemy słuchać ich rozkazów, a nie twoich, miłościwy panie.

— Wiodę z sobą tysiąc zbrojnych ludzi! — krzyknął Wargun czerwony na twarzy.

— I ilu z nich jesteś gotów utracić, miłościwy panie? — zapytał Sparhawk z lodowatym spokojem. Wyprostował się w siodle i powoli opuścił przyłbicę. — Nie marnujmy czasu, Wargunie z Thalesii — powiedział oficjalnie i ściągnął rękawicę z prawej dłoni. — Uznaję twoje zachowanie za nieodpowiednie, a nawet bezbożne. To mnie obraża. — Niedbałym gestem cisnął rękawicę na drogę pod kopyta konia króla Thalesii.

— I to ma być według niego dyplomacja? — mruknął Ulath z pewnym niesmakiem do Kaltena.

— To najwięcej, na co go zwykle stać — powiedział Kalten luzując miecz w pochwie. — Ty również możesz szykować swój topór, panie Ulathu. Zapowiada się na interesujący ranek. Sephrenio, zabierz dzieci do tyłu.

— Czyś oszalał, panie Kaltenie? — wybuchnął Ulath. — Chcesz, abym podniósł topór na własnego króla?!

— Oczywiście, że nie — uśmiechnął się Kalten — jedynie na jego orszak pogrzebowy. Jeżeli Wargun stanie przeciwko Sparhawkowi, to zaraz po pierwszym starciu będzie w raju pił ambrozję.

— Wtedy ja będę musiał walczyć z panem Sparhawkiem — westchnął Ulath z żalem.

— To już zależy od ciebie, przyjacielu — powiedział Kalten również niewesoło — jednak lepiej tego nie czynić. Nawet jeżeli położysz Sparhawka, będziesz musiał mnie stawić czoło, a ja jestem bardzo sprytny.

— Nie pozwolę na to! — krzyknął ktoś donośnie. Przez tłum Thalezyjczyków przepychał się na koniu potężny mężczyzna, potężniejszy nawet od Ulatha. Miał na sobie kolczugę, hełm ozdobiony rogami ogra i dzierżył masywny topór. Szeroka czarna wstążka na jego szyi oznaczała, iż jest duchownym.

— Podnieś swoją rękawicę, dostojny panie Sparhawku, i cofnij wyzwanie! To rozkaz w imieniu Kościoła!

— Kto to taki? — zapytał Kalten Ulatha.

— Bergsten, patriarcha Emsatu — mruknął Ulath.

— Patriarcha? Tak ubrany?

— Bergsten nie jest przeciętnym duchownym.

— Wasza świątobliwość... — Król Wargun wyraźnie spuścił z tonu. — Ja...

— Opuść swój miecz, Wargunie — zagrział Bergsten — czy też chciałbyś stawić czoło mnie?

— Nie, nie chciałem — przyznał Wargun i tonem przyjacielskiej pogawędki zwrócił się do Sparhawk: — A ty chciałbyś?

Sparhawk obrzucił patriarchę Emsatu taksującym spojrzeniem.

— Nie, jeśli to zależało ode mnie — wyznał szczerze. — Jak to się stało, że urósł aż tak wielki?

— Był jedyńkiem — powiedział Wargun. — Nie musiał walczyć z braćmi i siostrami każdego wieczora o strawę. Co w tej sytuacji sądzisz o rozejmie, Sparhawk?

— To brzmi rozsądnie, wasza królewska mość. Jednakże my naprawdę mamy do załatwienia coś bardzo ważnego.

— Porozmawiamy o tym później. . . gdy Bergsten będzie na modłach.

— To rozkaz Kościoła! — krzyknął patriarcha Emsatu. — Rycerze Kościoła będą towarzyszyć nam w tej świętej misji. Herezja eshandyjska jest atakiem przeciwko Bogu i oby szczyła na kamiennych równinach Arcium. Bóg da nam siłę, moje dzieci, i dokończymy wielkie dzieło, ledwo przez nas zaczęte. — Zawrócił konia. — Nie zapomnij swej rękawicy, dostojny panie Sparhawk — rzucił przez ramię. — Możesz jej potrzebować, gdy dotrzemy do Arcium.

— Stanie się wedle twojej woli, wasza świątobliwość — rzekł Sparhawk przez zaciśnięte zęby.

Rozdział 21

W południe król Soros zarządził postój. Polecił czeladzi rozbić namiot i ze swym osobistym kapelanem zamknął się w nim na modłach.

— Chórzysta — mruknął pod nosem król Wargun. — Bergsten! — krzyknął.

— Tu jestem, wasza królewska mość — odezwał się przymilnie waleczny patriarcha zza pleców swego króla.

— Czy przeszedł ci już zły humor?

— Prawdę powiedziawszy, wcale nie byłem w złym humorze. Próbowałem jedynie ocalić życie pewnym ludziom — także i tobie, miłościwy panie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Gdybyś był na tyle głupi, wasza królewska mość, aby przyjąć wyzwanie dostojnego pana Sparhawk, to obiadowałbyś w niebie lub wieczerał w piekle, w zależności od wyroków Sądu Bożego.

— Jasno się wyrażasz.

— Dostojny pan Sparhawk jest najprzedniejszym rycerzem. Nie poradziłbyś mu, wasza wysokość. A teraz proszę powiedzieć, po co mnie wzywałeś, królu mój, panie?

— Jak daleko stąd jest Lamorkandia?

— Na południowym krańcu jeziora, miłościwy panie, około dwóch dni drogi.

— A najbliższe miasto lamorkandzkie?

— To będzie Agnak, wasza królewska mość. Leży odrobinę na wschód, tuż za granicą.

— Dobrze. A więc udamy się do Agnaku. Chcę, by Soros znalazł się z dala od swego królestwa i swych religijnych przybytków. Jeżeli jeszcze raz zatrzyma się na modły, uduszę go. Jeszcze dziś dołączymy do głównych sił, które właśnie maszerują na południe. Mam zamiar wysłać Sorosa przodem, aby mobilizował lamorkandzkich baronów. Ty pojedziesz z nim, a jeśli będzie próbował modlić się częściej niż raz dziennie, pozwalam ci rozwalić mu łeb.

— To mogłoby pociągnąć za sobą pewne interesujące, polityczne konsekwencje, wasza królewska mość.

— Skłamięz — warknął król Thalesii. — Powiesz, że to był przypadek.

— Jak można przez przypadek rozwalić komuś łeb?

— Coś wymyślisz, Bergstenie. A teraz słuchaj. Potrzebni są mi ci Lamorkandczycy. Nie pozwól, aby Soros przy okazji urządził sobie pielgrzymkę. Staraj się, by ciągle był w ruchu, niech się nie zatrzymuje nawet na jeden pacierz. Cytuj mu święte pisma, jeśli będziesz musiał. Zbieraj wszystkich Lamorkandczyków, którzy nawiną ci się pod rękę, i pociągnij ich za sobą do Elenii. Spotkamy się na granicy z Arcium. Muszę udać się do Aty w Deirze. Obler zwołał radę wojenną.

— Wargun rozejrzał się wokół. — Sparhawk — powiedział z niesmakiem — idź się gdzieś pomodlić. Rycerz Kościoła nie powinien zniżać się do podsłuchiwania.

— Już odchodzę, wasza królewska mość — rzekł Sparhawk i zawrócił konia. Gestem dał znak Kaltenowi, by podążył za nim.

— Masz wyjątkowo paskudnego rumaka. — Wargun spojrział krytycznie na Farana.

— Stanowimy dobraną parę, wasza królewska mość.

— Radzę zachować ostrożność, miłościwy królu Wargunie — rzucił Kalten przez ramię. — On gryzie.

— Który z nich? Sparhawk czy koń?

— Sam się domyśl, miłościwy panie.

Obaj rycerze dojechali do miejsca, gdzie wypoczywali ich towarzysze, i zsiędli z koni.

— Co robi Ghwerig? — zapytał Sparhawk małą Flecik.

— Nadal chyba siedzi w ukryciu. Bhelliom się nie porusza. Pewnie troll poczeka do zmroku, nim ruszy dalej.

Sparhawk westchnął ciężko.

Kalten trącił łokciem Ulatha.

— Co to za historia z tym Bergstenem? — zapytał. — Nigdy jeszcze nie widziałem duchownego w zbroi.

— Był rycerzem Zakonu Genidianu — wyjaśnił Ulath krótko. — Byłby teraz mistrzem, gdyby nie został kapłanem.

Kalten skinął głową.

— Istotnie, dzierży swój topór ze znajomością rzeczy. To chyba raczej nietypowe, by członek zakonu rycerskiego przywdziewał kapłańskie szaty, prawda?

— Nie tak znowu nietypowe, panie Kaltenie — wtrącił Bevier. — Wielu spośród wysoko postawionych duchownych w Arcium było w przeszłości cyrinitami. Pewnego dnia być może ja także opuszczę zakon, aby służyć Bogu całym sobą.

— Musimy znaleźć temu chłopcu jakąś miłą białogłową, panie Sparhawk — mruknął Ulath. — Niech tak nagrzeszy, że da spokój tym pomysłom. Jest zbyt dobry, aby zmarniał pod sutanną.

— A może tak Naween? — zaproponował stojący obok Talen.

— Kto to jest Naween? — zapytał Ulath.

Talen wzruszył ramionami.

— Najlepsza dziewczka z burdelu w Cimmurze. Traktuje swoje zajęcie z prawdziwym entuzjazmem. Pan Sparhawk ją zna.

— Naprawdę? — Ulath spojrział na Sparhawk'a ze zdziwieniem.

— To było służbowe spotkanie — odparł Sparhawk zwięźle.

— Oczywiście, ale twoje czy jej?

— Nie sądzisz, że moglibyśmy temu dać spokój? — Sparhawk chrząknął zakłopotany i rozejrzał się, by sprawdzić, czy żaden z żołnierzy króla Warguna nie słyszy. — Musimy uciec stąd jak najszybciej, bo Ghwerig tak nas wyprzedzi, że go nie odnajdziemy.

— Dzisiejszej nocy — zaproponował Tynian. — Plotka mówi, że król Wargun każdego wieczoru pije, aż zaśnie. Uciekniemy bez większych problemów.

— O nie! Nie pozwolę, byśmy złamali rozkazy patriarchy z Emsatu — oburzył się Bevier.

— Ależ, panie Bevierze! — Kalten był równie oburzony. — Nie mamy nawet zamiaru postąpić tak niegodnie. Po prostu wymkniemy się cichaczem, odszukamy jakiegoś wikariusza lub opata klasztoru i sprawimy, by rozkazał nam powrócić do tego, czym zajmowaliśmy się poprzednio.

— To niemoralne! — krzyknął Bevier.

— Wiem. — Kalten uśmiechnął się głupio. — To obrzydliwe, prawda?

— Ale formalnie bez zarzutu, panie Bevierze — zapewnił Tynian młodego cyrinite. — Przyznaję, że trochę niebezpieczne, ale zgodnie z przepisami prawa. Jesteśmy zobligowani przysięgą do wypełniania poleceń konsekrowanych członków kleru. Rozkaz wydany przez jakiegoś wikarego lub opata zwolni nas z wykonania rozkazu Bergstena, patriarchy Emsatu, czyż nie? — Tynian patrzył niewinnie na Beviera szeroko otwartymi oczyma.

Bevierowi wyraźnie zbrakło słów. Rozłożył ręce bezradnie, a potem zaczął się śmiać.

— Nie będzie z nim tak źle, dostojny panie Sparhawku — mruknął Ulath — ale zapamiętajmy tę twoją przyjaciółkę Naweena, tak na wszelki wypadek.

— Kto to jest Naweena? — zapytał Bevier z pewnym zażenowaniem.

— To moja znajoma — rzekł Sparhawk chłodno. — Pewnego dnia może cię z nią poznam.

— Będę zaszczycony — powiedział z przekonaniem Bevier.

Talen odszedł na bok i wybuchnął śmiechem. Długo nie mógł się opanować.

Późnym popołudniem do kolumny dołączyła gromada posepnych poborowych z Pelosii. Sparhawk się obawiał, że będą dobrze pilnowani. I rzeczywiście — dookoła obozowiska krążyły patrole uzbrojonych po zęby ludzi Warguna.

Tuż przed zachodem słońca żołnierze rozbili dla rycerzy obszerny namiot i cała drużyna Sparhawk'a zniknęła w jego wnętrzu. Sparhawk zdjął zbroję i przywdział kolczugę.

— Zaczekajcie tu — polecił. — Chcę się rozejrzeć, nim zapadnie noc. — Przypasał miecz i wyszedł z namiotu.

Na zewnątrz czekało dwóch Thalezyjczyków. Nie sprawiali miłego wrażenia.

— A ty dokąd się wybierasz? — zapytał jeden z nich.

Sparhawk rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie i czekał.

— ... Dostojny panie — dodał niechętnie tamten.

— Chcę zajrzeć do naszych koni — rzekł Sparhawk.

— U nas pieczę nad wierzchowcami sprawują koniuchy, dostojny panie.

— Nie będziemy chyba na ten temat dyskutować, prawda?

— Ach... nie, nie sędzę, dostojny panie.

— To dobrze. Gdzie są uwiązane konie?

— Zaprowadzę cię, dostojny panie.

— Nie ma potrzeby. Po prostu mi powiedz.

— I tak muszę ci towarzyszyć, dostojny panie. To rozkaz króla.

— Rozumiem. A zatem prowadź.

Zaledwie ruszyli, gdy dobiegł Sparhawk wesoły okrzyk.

— Hej, panie rycerzu!

Sparhawk rozejrzał się dookoła.

— Widzę, że was również dostali. — To był Kring, domi bandy rozbójników Peloi.

— Witaj, przyjacielu — pozdrowił Sparhawk dzikusa z ogoloną głową. — Dopadłeś tych Zemochów?

Kring roześmiał się.

— Zdobyłem pełną sakwę uszu — powiedział. — Próbowali się stawiać. Głupcy! Ale potem nadciągnął król Soros ze swoją armią i musieliśmy do niego dołączyć, chcąc odebrać nagrodę. — Podrapał się po wygolonej czaszce. — Wolelibyśmy pójść własną drogą, ale trudno. I tak teraz, gdy wszystkie kobyły są żrebne, nie mamy w domu nic pilnego do roboty. Powiedz, czy nadal jest z wami ten młody złodziej?

— Był, kiedy ostatni raz rozglądałem się dookoła. Oczywiście mógł nakraść co nieco i zwiać. On potrafi świetnie uciekać, jeśli musi.

— Głowę bym dał, że potrafi, głowę bym dał. Jak ma się mój przyjaciel Tynian? Widziałem, jak wjeżdżaliście i właśnie szedłem złożyć mu wizytę.

— U pana Tyniana wszystko w porządku.

— Dobrze mu życzę — powiedział Kring, po czym spojrzał na Sparhawk z powagą. — Może mógłbyś mi udzielić pewnych informacji na temat panujących w wojsku obyczajów, panie rycerzu. Nigdy dotąd nie byłem żołnierzem regularnej armii. Jak odnoszą się tu do grabieży?

— Nie sędzę, aby ktoś się tym zbytnio zainteresował, dopóki łupisz martwych wrogów. Okradanie ciał towarzyszy broni uważa się za przejaw braku dobrych manier.

— To głupia zasada — westchnął Kring. — Cóż może w końcu obchodzić umarłego stan jego sakiewki? A co z gwałtami?

— Nie jest to mile widziane. Będziemy w Arcium, a to przyjazny kraj, jego mieszkańcy zaś są bardzo czuli na punkcie swoich niewiast. Jednakże, jeżeli dręczą cię takie potrzeby, to wiedz, że za wojskiem Warguna ciągnie sporo wszechucznych dziewczek.

— Dziewki są zwykle takie znudzone! Wolałbym mieć za każdym razem miłą, młodą dziewicę. Wiesz co, zdaje się, że ta kampania zapowiada się coraz mniej przyjemnie. A co z podpaleniami? Uwielbiam pożary!

— Zdecydowanie ci je odradzam. Jak już wspominałem, będziemy w Arcium. Wszystkie miasta oraz domy są własnością mieszkańców tego kraju. Jestem pewien, że to by im się nie spodobało.

— Wojny prowadzone w kulturalny sposób pozostawiają wiele do życzenia, prawda, panie rycerzu?

— Cóż na to poradzę, domi? — Sparhawk rozłożył bezradnie ręce.

— Wybacz, że tak mówię, ale to dlatego, że nosicie zbroje. Ta stal tak was odgradza od świata, że utraciliście zainteresowanie dla spraw naprawdę ważnych — łupów, niewiast i koni. W tym tkwi wasza słabość, panie rycerzu.

— To jest słabość, domi — przyznał Sparhawk — ale zrozum, składają się na to stulecia tradycji.

— Nie mam nic przeciwko tradycji, dopóki nie zaczniesz mi przeszkadzać w ważnych sprawach.

— Będę to miał na uwadze, domi. Tam są nasze namioty. Pan Tynian ucieszy się na twój widok.

Sparhawk podążył za thalezyjskim wartownikiem do miejsca, w którym uwiązano konie. Udając, że sprawdza Faranowi podkowy, z uwagą przypatrywał się otoczeniu obozowiska. Tak jak wcześniej zauważył, dookoła jeździło kilkunastu żołnierzy.

— Po co tyle patroli? — zapytał Thalezyjczyka.

— Pelozyjscy rekruci nie palą się do wojaczki, dostojny panie — odpowiedział wojownik. — Przecież nie po to trudziliśmy się zbierając ich, aby nam w nocy uciekli.

— Rozumiem — rzekł Sparhawk. — Możemy wracać.

Patrole Warguna znacznie komplikowały sprawę, nie wspominając już o dwóch wartownikach przed ich namiotem. Ghwerig wraz z Bhelliomem oddał się coraz bardziej i Sparhawk niewiele mógł na to poradzić. Wiedział, że sam, używając przemocy i magii, mógłby uciec z obozu, ale cóż by tym osiągnął? Miał nikłe szanse wytropienia uciekającego trolla bez pomocy małej Flecik. Gdyby zabrał dziewczynkę ze sobą, nie mając u boku przyjaciół, niepotrzebnie narażałby jej życie. Musiał wymyślić coś innego.

Idąc za wojownikiem thalezyjskim mijał właśnie namiot rekrutów z Pelosii, gdy ujrzał znajomą twarz,

— Czy to ty, Occudo? — zapytał z niedowierzaniem.

Mężczyzna o długiej twarzy i zapadniętych policzkach, odziany w gruby kaftan z byczej skóry, wstał z szacunkiem. Nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego spotkaniem w tym miejscu.

— Niestety tak, dostojny panie — powiedział.

— Co się stało? Co skłoniło cię do opuszczenia hrabiego Ghaska?

Occuda spojrział na człowieka, z którym dzielił namiot.

— Czy moglibyśmy porozmawiać o tym na osobności, dostojny panie?

— Oczywiście, Occudo.

— Pozwól tu, dostojny panie.

— Będę w zasięgu wzroku — zapowiedział Sparhawk eskortującemu go Thalezyjczykowi. Obaj z Occudą oddalili się od namiotu i przystanęli w pobliżu zagajnika młodych sosenek, rosnących tak blisko siebie, że niepodobieństwem było, by ktoś rozbił wśród nich swój namiot.

— Hrabia zachorował, dostojny panie — powiedział ze smutkiem Occuda.

— I zostawiłeś go samego z tą szaloną białogłową? Occudo, zawiodłem się na tobie.

— Sytuacja się zmieniła, dostojny panie.

— To znaczy?

— Hrabianka Bellina nie żyje.

— Co się jej stało?

— Zabiłem ją. Nie mogłem wytrzymać jej bezustannych wrzasków. Początkowo zioła zalecone przez panią Sephrenię nieco ją uspokoiły, ale wkrótce przestały. Próbowiałem zwiększyć dawkę, ale bez większych rezultatów. A potem, gdy pewnej nocy wsuwałem jej wieczerzę przez ten otwór w murze, ujrzałem ją. Wyła, z ust toczyła pianę niczym wściekły pies. Najwyraźniej cierpiała niewysłowione męki. Wtedy zdecydowałem, że przerwę jej cierpienia.

— Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że może do tego dojść — rzekł Sparhawk grobowym głosem.

— Nie mogłem się zmusić, aby ją zarżnąć. Zioła już jej nie uspokajały. Działała jednak jeszcze psianka. Przestała krzyczeć zaraz potem, jak jej to podałem. — W oczach Occudy pojawiły się łzy. — Wziąłem młot i zrobiłem dziurę w ścianie wieży. Potem uczyniłem swoim toporem to, co mi zaleciłeś. Nigdy w życiu nie wykonałem równie trudnego zadania. Zawinałem jej ciało w płótno i wyniosłem poza mury zamku. Tam ją pogrzebałem. Po tym, co uczyniłem, nie mógłbym spojrzeć hrabiemu w oczy. Zostawiłem mu list, w którym wyznałem swą zbrodnię, i udałem się do leżącej niedaleko zamku osady traczy. Tam nająłem służbę, która miała zatroszczyć się o hrabiego. A chociaż zapewniałem ich, że nie grozi im już żadne niebezpieczeństwo, musiałem zapłacić podwójnie, zanim zgodzili

się pojechać do zamku. Potem opuściłem Ghasek i wstąpiłem do armii. Mam nadzieję, że wkrótce zaczną się walki. Moje życie nie ma już sensu. Pragnę jedynie umrzeć.

— Zrobiłeś to, co musiałeś, Occudo.

— Być może, ale straszliwy ciężar przytłacza mą duszę.

— Chodź ze mną — zdecydował Sparhawk w jednej chwili.

— Dokąd, dostojny panie?

— Do Bergstena, patriarchy Emsatu.

— Nie mogę stanąć przed obliczem wysokiego dostojnika Kościoła z rękoma zboczonymi krwią hrabianki Belliny.

— Bergsten jest Thalezyjczykiem. Nie przypuszczam, aby był zbyt wrażliwy.

— Sparhawk zwrócił się do eskortującego go wartownika. — Musimy zobaczyć się z patriarchą Emsatu. Zaprowadź nas do niego.

— Wedle rozkazu, dostojny panie.

Wartownik powiódł ich przez obozowisko do namiotu patriarchy. W świetle świec rysy twarzy Bergstena sprawiały szczególnie thalezyjskie wrażenie. Miał grube, krzaczaste brwi, szerokie, wystające kości policzkowe i mocno zarysowane szczęki. Nadal nosił kolczugę, aczkolwiek zdjął zdobny rogami ogra hełm i odstawił w kąt swój straszliwy topór.

— Wasza świętobliwość — Sparhawk ukłonił się — mój przyjaciel ma problem natury duchowej. Czy nie zechciałbyś mu pomóc?

— To moje posłannictwo, dostojny panie Sparhawk — odparł patriarcha Emsatu.

— Dziękuję waszej świętobliwości. Occuda był niegdyś mnichem. Potem wstąpił na służbę do hrabiego z północy Pelosii. Siostra hrabiego stała się wyznawczynią kultu zła i zaczęła odprawiać bezecne rytuały, dające jej moc. Ofiarami w nich byli ludzie.

Bergsten otworzył szeroko oczy.

— Kiedy w końcu pozbawiono ją mocy — ciągnął dalej Sparhawk — oszalała i jej brat był zmuszony trzymać ją w odosobnieniu. Occuda opiekował się nią, aż wreszcie nie mógł dłużej znieść męki tej nieszczęsnej białogłowy. Wtedy, wiedziony litością, otruł ją.

— To straszna historia, dostojny panie Sparhawk — powiedział swym głębokim głosem Bergsten.

— To był ciąg strasznych wydarzeń — przyznał Sparhawk. — Occudę dręczy teraz sumienie i stracił chęć do życia. Wasza świętobliwość, czy udzielisz mu rozgrzeszenia, aby przez resztę swych dni mógł iść z podniesionym czołem?

Patriarcha Emsatu popatrzył w zamyśleniu na pełną cierpienia twarz Occudy, wzrokiem zarazem przenikliwym i pełnym litości. Przez kilka chwil rozważał usłyszana prośbę, potem wyprostował się, a jego twarz zastygła w wyrazie zdecydowania.

— Nie, dostojny panie Sparhawk, nie mogę — odmówił beznamiętnym tonem.

Sparhawk chciał protestować, ale patriarcha uniósł swą masywną dłoń.

— Occudo — powiedział surowo — byłeś niegdyś mnichem?

— Byłem, wasza świętobliwość.

— Dobrze. A zatem posłuchaj, jaka będzie twa pokuta. Bracie Occudo, przywdziejesz mnisi habit i wstąpisz do mnie na służbę. Udzielę ci rozgrzeszenia, gdy zdecyduję, żeś okupił swe winy.

— Wa-wasza świętobliwość — wyjąkał Occuda padając na kolana — jakże się odwdzięczę?

— Być może z czasem zmienisz zdanie, bracie Occudo. — Bergsten uśmiechnął się słabo. — Zobaczysz, że jestem bardzo surowym panem. Po wielekroć odpokutujesz za swe grzechy, nim oczyścisz swą duszę. A teraz idź po swoje rzeczy. Przeprowadzisz się do mojego namiotu.

— Już idę, wasza świętobliwość. — Occuda wstał i opuścił namiot.

— Nie obraź się na moje słowa, wasza świętobliwość — rzekł Sparhawk — ale nie jesteś chyba prostolinijnym człowiekiem.

— Nie, naprawdę nie. — Duchowny w ciężkiej kolczudze uśmiechnął się. — Dostojny panie Sparhawk, mam dosyć doświadczenia, by wiedzieć, że ludzka dusza to rzecz bardzo delikatna i złożona. Twój przyjaciel czuje, iż jedynie własnym cierpieniem może oczyścić się z grzechu. Jeżeli po prostu udzieliłbym mu rozgrzeszenia, trapiłyby go wątpliwości do końca życia. Czuje, że musi odcierpieć, więc postaram się, by cierpiał — choć, rzecz jasna, nie będę się nad nim znęcał. Nie jestem przecież potworem.

— Czy naprawdę zgrzeszył swym uczynkiem?

— Oczywiście, że nie. Powodowała nim litość. Będzie z niego bardzo dobry mnich i myślę, że gdy już wystarczająco długo pocierpi, znajdę mu gdzieś jakiś miły klasztor, w którym uczynię go opatem. Kościół zyska dobrego i wiernego sługę, ja zaś przez całe lata będę miał kogoś na posługi za darmo. U mnie będzie zbyt zajęty, by rozważać swoje winy.

— Doprawdy, niezbyt miły człowiek z waszej świętobliwości.

— Nigdy się o to nie starałem, mój synu. Skończyłem, dostojny panie Sparhawk. Odejdź z mym błogosławieństwem. — Patriarcha Emsatu zmrużył chytrze oczy.

— Dziękuję waszej świętobliwości — rzekł Sparhawk bez uśmiechu.

Kiedy wracał za wartownikiem przez obozowisko, czuł się dość zadowolony z siebie. Może nie zawsze potrafił rozwiązywać własne problemy, ale z pewnością był w stanie rozwiązywać problemy innych ludzi.

— Kring powiedział nam, że dookoła obozu krążą patrole — stwierdził Tynian, gdy Sparhawk wszedł ponownie do namiotu. — To może utrudnić nam ucieczkę, prawda?

— O tak, nawet bardzo — przyznał Sparhawk.
— Aha! — Tynian coś sobie przypomniał. — Flecik zawracała wszystkim głowy dopytując się o odległości. Kurik przejrzał pakunki, ale nie mógł znaleźć mapy.
— Jest w moich sakwach przy siodle.
— Powiniennem był się tego domyślić — westchnął Kurik.
— Co chciałabyś wiedzieć? — zapytał Sparhawk dziewczynkę, otwierając sakwy.
— Jak daleko jest z Agnaku do Aty?
Sparhawk rozłożył mapę na stole, stojącym w środku namiotu.
— To bardzo ładny obrazek, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie! — Flecik zrobiła nadąsaną minę.
Sparhawk zmierzył odległość na mapie.
— Mniej więcej trzysta lig — rzekł.
— Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Sparhawk. Muszę wiedzieć, ile czasu potrzeba na przebycie tej odległości.
Rycerz przeliczył szybko w myślach.
— Około dwudziestu dni.
Dziewczynka ułożyła buzię w ciup.
— Być może uda mi się to trochę skrócić — powiedziała z zadumą.
— O czym my tu mówimy? — zapytał Sparhawk.
— Ata leży na wybrzeżu, prawda?
— Tak.
— Będziemy potrzebowali łodzi, żeby dostać się do Thalesii. Ghwerig zabiera Bhelliom do swej groty w tamtejszych górach.
— Jest nas wystarczająco dużo, by poradzić sobie z wartownikami — Kalten wzruszył ramionami — a i patrole w środku nocy nie powinny sprawiać większego kłopotu. Ghwerig nie oddalił się na tyle, byśmy nie mogli go dogonić.
— Mamy w Acie coś do załatwienia — powiedziała dziewczynka — a w każdym razie ja mam, i trzeba to wykonać, nim ruszymy w pogoń za Bhelliomem. Wiemy, dokąd zmierza Ghwerig, więc nie będzie trudno go odszukać. Ulathu, idź i powiedz Wargunowi, że będziemy mu towarzyszyć do stolicy Deiry. Wymyśl jakiś prawdopodobny powód.
— Wedle rozkazu, wielmożna pani. — Ulath mrugnął porozumiewawczo do przyjaciół.
— Chciałabym, żebyście już przestali — Flecik skrzywiła się z niezadowoleniem. — A tak przy okazji, po drodze do namiotu Warguna poproś kogoś, aby przyniesiono nam wieczerzę.
— Czego sobie życzysz?
— Może być koźle mięso, ale cokolwiek innego też będzie dobre, oczywiście z wyjątkiem wieprzowiny.

Następnego dnia tuż przed zachodem słońca dotarli do Agnaku i rozbili wielkie obozowisko. Lokalne władze natychmiast zamknęły bramy miasta. Król Wargun nalegał, aby Sparhawk wraz z przyjaciółmi tworzyli jego orszak, gdy z flagą pokojową stanie u północnej bramy.

— Jam jest Wargun z Thalesii! — krzyknął monarcha pod murami miasta. — Jest ze mną władca Pelosii, Soros, a także ci oto Rycerze Kościoła. Królestwo Arcium zostało najechane przez Rendorczyków i wzywam wszystkich wiernych Bogu, którzy mogą dźwigać broń, aby przyłączyli się do nas i wspomogli nas w odparciu eshandyjskiej herezji. Przybyłem tu z misją pokojową i nie chcę was krzywdzić, ale jeżeli przed zachodem słońca bramy miasta nie zostaną otwarte, to zburzę mury i urządzę wam widowisko. Będziecie mogli oglądać, jak wasze miasto obraca się w popiół.

— Jak sądzicie, usłyszeli? — zapytał Kalten.

— Słysząc go pewnie w Chyrellos — odparł Tynian. — Twój król ma bardzo donośny głos, szlachetny panie Ulathu.

— W Thalesii jest daleko z jednego szczytu na drugi. — Ulath wzruszył ramionami. — Trzeba mówić bardzo głośno, jeśli chce się być słyszonym.

Król Wargun rzucił mu szachrajski uśmieszek.

— Czy ktoś miałby ochotę założyć się o to, czy otworzą bramy, nim słońce schowa się za wzgórze? — zapytał.

— Jesteśmy Rycerzami Kościoła, wasza królewska mość — odparł Bevier z mniszą pokorą. — Ślubowaliśmy ubóstwo, więc nie możemy brać udziału w zakładach.

Król Wargun wybuchnął gromkim śmiechem.

Bramy miasta zaskrzypiały i otworzyły się, acz dość niechętnie.

— Wiedziałem, że ich przekonam. — Wargun na czele swego orszaku wkroczył do Agnaku. — Gdzie znajdę naczelnika władz waszego miasta? — zapytał jednego z drżących strażników.

— Wy-wydaje mi się, że jest w ra-ratuszu, wasza królewska mość — wyjąkał strażnik. — Pewnie ukrył się w pi-piwnicy.

— Bądź tak dobry i pójdz po niego.

— W tej chwili, wasza królewska mość. — Strażnik rzucił swoją pikę i pognał ulicą.

— Lubię Lamorkandczyków — powiedział wylewnie Wargun. — Są tacy usłużni.

Burmistrz był niskim, spoconym grubaskiem. Poblądł jak chusta, gdy strażnik zaciągnął go przed oblicze króla Thalesii.

— Żądam wygodnych kwater dla króla Sorosa, dla mnie i dla naszej świty — poinformował go Wargun. — Nie powinno to przeszkadzać obywatelom waszego miasta, ponieważ całą noc będą zajęci przygotowaniami do uczestnictwa w zbrojnej wyprawie.

— Stanie się wedle twego rozkazu, wasza królewska mość — odparł drżącym głosem przedstawiciel magistratu Agnaku.

— Widzicie teraz, co miałem na myśli mówiąc o Lamorkandczykach? — Wargun roześmiał się rubasznie. — Soros powinien dać sobie z nimi radę. W ciągu tygodnia całe królestwo zostanie do czysta wymiecione z poborowych, jeżeli tylko król Pelosii nie będzie zbyt często robił postojów na modlitwę. A może tak pójdziemy się czegoś napić, zanim dzielny burmistrz nie opróżni dla nas kilkunaśtu domów?

Następnego ranka, po naradzie z królem Sorosem i patriarchą Bergstenem, Wargun ze Sparhawkiem u boku poprowadził oddziały thalezyjskiej ciężkozbrojnej jazdy na zachód. Na wodach jeziora migotały promienie słońca, a od zachodu wiała lekka bryza.

— Domyślam się, że nadal nie masz zamiaru mi powiedzieć, czego szukałeś tu, w Pelosii? — zapytał Wargun Sparhawk. Tego ranka król Thalesii wydawał się względnie trzeźwy. Sparhawk postanowił to wykorzystać.

— Oczywiście wiesz, miłościwy panie, o chorobie królowej Ehlany — zaczął.

— Wie o tym cały świat. Z tego powodu jej kuzyn, bękart, próbuje przejąć władzę.

— Tu chodzi o coś więcej, wasza królewska mość. W końcu udało nam się dociec przyczyny choroby. Prymas Annias chciał mieć dostęp do skarbcza Elenii, więc otruił królową.

— Co takiego?!

Sparhawk skinął głową.

— Miłościwy panie, Annias nie ma skrupułów i zrobi wszystko, by zostać arcyprałatem.

— A to łajdak! — wybuchnął Wargun.

— Odkryliśmy, co może uleczyć Ehlane. W tym celu musimy się posłużyć magią i jest nam potrzebny pewien talizman. Dowiedzieliśmy się, że spoczywa on na dnie jeziora Venne.

— Co jest tym talizmanem? — zapytał Wargun patrząc na Sparhawk spod przymrużonych powiek.

— To rodzaj ozdoby — odparł rycerz wymijająco.

— Czy wy rzeczywiście przywiązujecie aż tak dużą wagę do tych wszystkich bzdur związanych z magią?

— Kilka razy widziałem, że to działa. Właśnie z powodu tego talizmanu protestowaliśmy, gdy nalegałeś, wasza królewska mość, abyśmy się do ciebie przyłączyli. Nie mieliśmy zamiaru być niegrzeczni. Ehlana jest utrzymywana przy życiu dzięki zaklęciu, ale ono będzie działać jeszcze tylko przez jakiś czas. Jeżeli ona umrze, Lycheas zostanie koronowany na króla Elenii.

— Nie dojdzie do tego, o ile tylko będę mógł wam pomóc. Nie chcę, żeby na którymkolwiek tronie Eosii zasiadał człowiek, który nie zna swego ojca.

— Mnie również to się nie podoba, ale powiem szczerze: Myślę, że Lycheas wie, kto jest jego ojcem.

— Tak? Kto nim jest? Znasz go?

— Prymas Annias.

Wargun otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

— Sparhawk, jesteś tego pewny?

Pandionita skinął głową.

— Wiem to z najlepszego źródła — dodał. — Powiedział mi o tym duch króla Aldreasa. Jego siostra była nieco rozpustna.

Wargun uczynił gest odpędzający złe moce, tak jak zwykli to czynić wieśniacy, tyle że w wykonaniu panującego monarchy sprawiał on osobliwe wrażenie.

— Powiedziałeś: duch? Żaden sąd nie weźmie pod uwagę słów ducha, Sparhawk.

— Nie zamierzam wnosić tej sprawy do sądu, wasza królewska mość — rzekł Sparhawk ponuro, kładąc dłoń na rękojeści miecza. — Gdy tylko będę miał wolną chwilę, winowajca stanie przed wyższym sądem.

— Prawy z ciebie człek — pochwalił Wargun. — Nie pomyślałbym jednak, że duchowny ulegnie wdziękom Arissy.

— Arissie czasami trudno się oprzeć. Dodam jeszcze, że twoja wyprawa, miłościwy panie, wiąże się bezpośrednio z innym spiskiem Anniasa. Podejrzewam, że najazdem Rendorczyków kieruje człowiek o imieniu Martel. Martel pracuje dla Anniasa i stara się wzniecić różne niepokoje, aby wyciągnąć Rycerzy Kościoła z Chyrellos na czas elekcji. Nasi mistrzowie zapewne byliby w stanie przeszkodzić Anniasowi w osiągnięciu tronu arcyprałata, a więc prymas musi usunąć ich ze swej drogi.

— Ten człowiek jest niczym wąż.

— Ładnie to ująłeś, miłościwy panie.

— Dałeś mi dzisiejszego ranka sporo do myślenia, Sparhawk. Przetrawię to i porozmawiamy o tym później.

W oczach Sparhawka pojawiły się nagłe błyski.

— Jednakże nie rób sobie zbyt wielkich nadziei — ciągnął król Wargun. — Nadal uważam, że w Arcium będę potrzebował twojej pomocy. A poza tym zakony rycerskie już wymaszerowały na południe. Jesteś prawą ręką mistrza Vaniona i myślę, że będzie mu ciebie brakowało, jeżeli do nich nie dołączysz.

Czas i odległość zdawały się ciągnąć w nieskończoność podczas ich jazdy na zachód. Ponownie wjechali na teren Pelosii i ruszyli bezkresnymi równinami w jasnych promieniach letniego słońca.

Któregoś wieczoru znaleźli się niezbyt daleko od granicy z Deirą. Kalten wyraźnie był w złym humorze.

— Zdawało mi się, że miałaś zamiar przyspieszyć trochę tę podróż — zwrócił się do Flecika oskarżycielskim tonem.

— Uczyniłam to — odpowiedziała dziewczynka.

— Doprawdy? — prychnął. — Jesteśmy w drodze już od tygodnia, a jeszcze nie dotarliśmy do Deiry.

— Prawdę powiedziawszy, Kaltenie, jesteśmy w drodze dopiero od dwóch dni. Musiałam sprawić, aby wyglądało to na trochę dłużej, żeby Wargun nie nabrał podejrzeń.

Rycerz spojrział na dziecko z niedowierzaniem.

— Chciałbym cię zapytać o coś innego, Fleciku — odezwał się Tynian. — Kiedy byliśmy nad jeziorem, gorąco pragnęłaś złapać Ghweriga i odebrać mu Bhelliom. Potem nagle zmieniłaś zamiar i powiedziałaś, że musimy jechać do Aty. Co się stało?

— Dostałam wieści od mojej rodziny. Powiedzieli mi o zadaniu, które muszę wykonać w Acie, nim będziemy mogli ruszyć po Bhelliom. — Mała skrzywiła się. — Pewnie sama powinnam była o tym pomyśleć.

— Wróćmy do poprzedniego tematu — rzekł niecierpliwie Kalten. — Jak udało ci się tak ścisnąć czas?

— Są na to sposoby — odparła Flecik wymijająco.

— Nie nalegaj dalej, Kaltenie — poradziła Sephrenia. — Nie zrozumiesz tego, więc po co zawracać sobie głowę? A poza tym, jeżeli będziesz nadal prosił, Flecik może w końcu udzielić ci odpowiedzi, a to by cię pewnie tylko zdenerwowało.

Rozdział 22

Wreszcie dotarli do podnóża wysokich, skalistych gór. Już tylko te szczyty oddzielały ich od ponurej stolicy Deiry, portu i wąskiej, długiej Zatoki Aty. Mieli wrażenie, że podróż zajęła im dalsze dwa tygodnie, jednak tego wieczoru Flecik zapewniła ich, że odkąd opuścili miasto Agnak w Lamorkandii nie minęło więcej niż pięć dni. Większość rycerzy była gotowa uwierzyć jej na słowo, ale Bevier, z właściwą uczonemu i rożumnemu Elenowi dociekliwością dopytywał się, jak mógł wydarzyć się podobny cud. Flecik cierpliwie udzielała mu straszliwie zawiłych wyjaśnień. W końcu Bevier przeprosił i wyszedł z namiotu w nadziei, że patrząc w gwiazdy odzyska właściwy stosunek do tego, co zawsze uważał za ziemne i wieczne.

— Czy zrozumiałeś cokolwiek z tego, o czym ona mówiła? — zapytał Tynian, gdy Bevier blady i spocony wrócił do namiotu.

— Co nieco — odparł Bevier, ponownie siadając wśród przyjaciół. — Z grubsza. — Popatrzył z lękiem na dziecko. — Chyba patriarcha Ortzel miał rację. Nie powinniśmy się kontaktować ze Styrikami. Dla nich nie ma żadnych świętości.

Flecek przydreptała na swoich ubrudzonych trawą stópkach i chcąc pocieszyć rycerza pogłaskała go po policzku.

— Kochany Bevier — powiedziała słodko — tak pełen powagi i tak pobożny. Musimy jak najprędzej dostać się do Thalesii — oczywiście po tym, jak załatwię wszystko w Acie. Po prostu nie mamy czasu, by wlec się przez pół kontynentu w takim tempie, jakie Eleni uznają za normalne. Dlatego właśnie wybrałam inny sposób.

— Ja rozumiem powody, ale...

— Wiesz przecież, że nigdy nie chcę ci sprawić przykrości i nie pozwolę również, aby uczynił to ktoś inny. Musisz postarać się myśleć nieco mniej schematycznie, bo bardzo trudno ci cokolwiek wyjaśnić. Czy w ogóle coś zrozumiałeś z tego, co ci tłumaczyłam?

— Niewiele.

Dziewczynka wspięła się na paluszki i pocałowała go.

— A teraz — uśmiechnęła się promiennie — znowu wszystko będzie dobrze,

prawda?

Rycerz poddał się.

— Rób jak chcesz, Fleciku — powiedział ze słabym, prawie wstydlwym uśmiechem. — Nie potrafię odpierać twych argumentów, gdy mnie całujesz.

— Jaki on jest miły! — zawołała dziewczynka.

— My myślimy o nim podobnie — mruknął Ulath — jak również mamy pewne plany względem tego młodzieńca.

— Jednakże ty — Flecik spojrzała z niesmakiem na genidianitę — zdecydowanie nie jesteś miłym chłopcem.

— Wiem — przyznał Ulath z niezmaconym spokojem — i nie masz pojęcia, jak bardzo rozczarowałem tym moją matkę, a także kilka innych niewiast.

Dziewczynka rzuciła mu karcące spojrzenie i odeszła, mówiąc coś do siebie cicho po styricku. Sparhawk rozpoznał niektóre słowa i zastanawiał się, czy ona aby rzeczywiście rozumie, co znaczą.

Następnego ranka rozpoczęli wędrówkę długim, kamienistym stokiem od podnóża deirańskich gór w dół, w kierunku wybrzeża. Król Wargun, zgodnie ze swoim zwyczajem, poprosił Sparhawk, by jechał u jego boku.

— Doprawdy, powinienem częściej opuszczać swój pałac — zwierzał się władca Thalesii. — Nasza podróż z Agnaku trwa już blisko trzy tygodnie. Zwykle po takim wysiłku ze zmęczenia spadałbym z siodła, a czuję się tak, jakbym był w drodze dopiero od kilku dni.

— Może to dzięki górcom — wysunął przypuszczenie Sparhawk. — Górskie powietrze zawsze działa pokrzepiająco.

— Być może — przyznał Wargun.

— Czy zastanawiałeś się, wasza królewska mość, nad tym, o czym jakiś czas temu rozmawialiśmy? — zapytał Sparhawk ostrożnie.

— Mam sporo spraw na głowie, Sparhawk. Doceniam twoją troskę o królową Ehlaną, ale, z politycznego punktu widzenia, najważniejszym teraz zadaniem jest rozbicie rendorskiego najazdu. Wtedy mistrzowie zakonów rycerskich będą mogli wrócić do Chyrellos i nie dopuszczę, by prymas Cimmury objął tron arcyprafata. Jeżeli Anniasowi się nie powiedzie, bękart Lycheas straci szansę na wstąpienie na tron Elenii. Zdaję sobie sprawę, że to decyzja bezlitosna, ale polityka nie zna litości.

Nieco później, gdy Wargun konferował z dowódcą swoich wojsk, Sparhawk zrelacjonował tę rozmowę swoim towarzyszom.

— Na trzeźwo wcale nie jest bardziej rozsądny niż zwykle — stwierdził Kalten.

— Ale z jego punktu widzenia ma rację — zauważył Tynian. — Sytuacja polityczna dyktuje uczynić wszystko, co jest w naszej mocy, by sprowadzić mistrzów z powrotem do Chyrellos, jeszcze przed zgonem Cluvonusa. Wątpię, by Warguna wiele obchodziła Ehlana. Chociaż jest i inna możliwość. Jesteśmy teraz w Deirze,

a tu królem jest Obler. To bardzo mądry starzec. Spróbujmy z nim porozmawiać, bo on może uchylić rozkazy Warguna.

— Nie zamierzam uzależniać życia Ehlany od tak nikłej szansy — rzekł Sparhawk i wrócił stanąć u boku króla Warguna.

Pomimo zapewnień Flecika dotyczących czasu, jaki zabrała im do tej pory podróż, Sparhawk wciąż się niecierpliwił. Dobijało go pozornie wolne tempo jazdy, i chociaż był w stanie uwierzyć słowom dziewczynki, nadal nie potrafił zapanować nad emocjami. Myśląc logicznie — dwadzieścia dni to dwadzieścia dni. Sparhawk miał nerwy napięte niczym postronki. Zaczęły go trapić złe myśli. Sprawy przybierały ciągle zły obrót, rycerzowi zdawało się, że w głowie huczy mu od dzwonów bijących na trwogę. Z coraz mniejszą pewnością siebie rozmyślał nad rezultatami spotkania z Ghwerigiem.

Okolo południa dotarli do Aty, stolicy królestwa Deiry. Armia deirańska stacjonowała pod miastem, a w obozach wrzało od przygotowań do wymarszu na południe.

Król Wargun znów zaczął pić. Zadowolony rozglądał się wokół.

— Świetnie — stwierdził — są prawie gotowi. Chodź ze mną, Sparhawk, i zabierz swoich przyjaciół. Pójdziemy porozmawiać z Oblerem.

Kiedy przemierzali wąskie, brukowane uliczki Aty, Talen podjechał do Sparhawka.

— Zostanę z tyłu — powiedział cicho. — Chcę się rozejrzeć. Bardzo trudno zbiec w otwartym terenie, ale w mieście jest zwykle sporo miejsc nadających się na kryjówkę. Król Wargun nie będzie za mną tęsknił. Pewnie nawet nie wie, że mu towarzyszę. Jeżeli uda mi się znaleźć dla nas jakiś zakamarek, to moglibyśmy uciec i pozostać w ukryciu, dopóki wojska nie wyruszą. Wtedy pognamy do Thalesii.

— Tylko bądź ostrożny, chłopcze.

— Nie martw się o mnie, dostojny panie.

Kilka ulic dalej Sephrenia wstrzymała ostro swoją klacz i zjechała na bok. Razem z Flecikiem zsunęły się szybko z siodła i weszły do wąskiego zaułka, by pozdrowić starego Styrika ze śnieżnobiłą długą brodą, odzianego w olśniewająco białą szatę. Wszyscy troje zdawali się odprawiać jakiś rytuał, którego jednakże Sparhawk nie rozumiał. Sephrenia i Flecik przemawiały przez pewien czas z szacunkiem do starca, potem on skłonił się w podziękowaniu i odszedł w głąb zaułka.

— O co w tym wszystkim chodzi? — zapytał podejrzliwie król Wargun, kiedy Sephrenia i dziewczynka ponownie dołączyły do orszaku.

— To stary przyjaciel, wasza królewska mość — odpowiedziała Sephrenia — a także najmądrzejszy i najbardziej czcigodny mąż w całym zachodnim Styricum.

— Masz na myśli króla?

— To słowo, które nie ma znaczenia w Styricum, wasza królewska mość.

— Kto wami rządzi, jeżeli nie macie króla?

— Są na to inne sposoby, wasza wysokość, a poza tym Styricy wyrosli już z potrzeby posiadania władcy.

— To absurd!

— Wiele rzeczy sprawia takie wrażenie na pierwszy rzut oka. Być może i wy, Eleni, zrozumiecie to z czasem.

— Ta niewiasta potrafi rozjuszyć nawet najspokojniejszego człowieka! — Wargun zgrzytając zębami wyjechał ponownie na czoło kolumny.

— Sparhawku — odezwała się Flecik cichutko.

— Słucham.

— Nasze zadanie w Acie jest już wykonane. Możemy wyruszyć do Thalesii w każdej chwili.

— A jak proponujesz to uczynić?

— Później ci powiem. Jedź dotrzymać towarzystwa Wargunowi. Bez ciebie czuje się sam jak palec.

Pałac króla Oblera nie był szczególnie okazałą budowlą. Wyglądem przypominał raczej kompleks postawionych na pokaz budynków administracyjnych.

— Nie wiem, jak Obler może mieszkać w takiej szopie — powiedział z niesmakiem Wargun, chwijając się w siodle. — Hej, ty tam! — zawołał na jednego z wartowników trzymających straż przed główną bramą. — Idź i powiedz Oblerowi, że przybył Wargun, król Thalesii.

— W tej chwili, wasza królewska mość. — Wartownik zsalutował i zniknął we wnętrzu pałacu.

Wargun zsiadł z konia i odczepił od siodła bukłak z winem. Odkorkował i pociągnął tęgi łyk.

— Mam nadzieję, że Obler ma schłodzone piwo — powiedział. — Od tego wina męczy mnie zgaga.

Wartownik wrócił.

— Król Obler czeka, wasza królewska mość — rzekł. — Proszę za mną.

— Znam drogę. Kiedyś już tu byłem. Niech ktoś zajmie się naszymi końmi. — Wargun mrugnął na Sparhawka przekrwionymi oczyma. — Chodźcie ze mną — polecił. Istotnie, okazało się, że nie tęsknił za Talenem.

Ruszyli gromadą przez pozbawione ozdób korytarze pałacu króla Oblera. Odnaleźli sędziwego monarchę siedzącego za dużym stołem zasłanym mapami i dokumentami.

— Wybacz, że przybywam tak późno — powiedział Wargun. Odpiął swój purpurowy płaszcz i upuścił go na posadzkę. — Zahaczyłem o Pelosię, aby zabrać Sorosa i trochę wojska. — Rozsiadł się w fotelu. — Nie docierali do mnie kurierzy. Jak wygląda sytuacja?

— Rendorczycy oblegają Larium — odparł siwowłosy król Deiry. — Miasta bronią rycerze zakonów Alcjonu, Cyriników oraz Genidianu, a pandionicy walczą za murami z oddziałami rendorskich jeźdźców.

— A zatem jest mniej więcej tak, jak się spodziewałem. — Wargun pokiwał głową. — - Mógłbyś posłać po trochę piwa, Oblerze? Od kilku dni dokucza mi żołądek. Pamiętasz Sparhawk, prawda?

— Oczywiście. To on ocalił hrabiego Raduna w Arcium.

— To jest Kalten. Ten duży, z warkoczami, ma na imię Ulath, ten o ciemnej skórze to Bevier, a Tyniana z pewnością nie muszę ci przedstawiać. Tę Styriczkę zwą Sephrenia, ale nie jestem pewien, jak nazywa się naprawdę. Naucza pandionitów sekretów magii. A ta śliczna dziewczyna to jej córeczka. Dwóch pozostałych pracuje dla Sparhawk. Żadnemu z nich nie wchodziłbym w drogę. — Król Wargun potoczył dookoła zamglonym wzrokiem. — A co się stało z chłopcem z twej drużyny? — zwrócił się do Sparhawk.

— Pewnie zwiedza miasto — odparł uspokajająco rycerz. — Nudzą go polityczne dysputy.

— Mnie również czasami nudzą — powiedział Wargun, po czym zwrócił się ponownie do króla Oblera. — Czy w Elenii ogłoszono już mobilizację?

— Moi agenci tego nie potwierdzają.

Wargun począł złorzeczyć.

— Myślę, że w drodze na południe zatrzymam się w Cimmurze — wycedził przez zaciśnięte zęby — i powieszę tego bękarta, Lycheasa.

— Pożyczę ci sznur, wasza królewska mość — zaofiarował się Kalten.

Wargun wybuchnął śmiechem.

— Co dzieje się w Chyrellos, Oblerze? — spytał króla Deiry.

— Cluvonus jest w agonii. Obawiam się, że jego kres się zbliża. Większość wyższego duchowieństwa już przygotowuje się do wyboru jego następcy.

— Najpewniej prymas Cimmury — burknął Wargun ze skwaszoną miną. Wziął od służącego kufel piwa. — W porządku, chłopcze — powiedział. — Po prostu zostaw beczułkę. — Język mu się plątał. — Ja widzę to tak, Oblerze. Najlepiej będzie, jeżeli pojedziemy jak najszybciej do Larium. Zepchniemy Rendorczyków z powrotem na morze, a tym samym zakony rycerskie będą mogły wrócić do Chyrellos i trzymać Anniasa z dala od tronu arcyprałata. Gdyby jednak to się nie udało, może będziemy musieli wypowiedzieć wojnę.

— Kościołowi? — Obler wyglądał na zaskoczonego.

— Były już takie przypadki, że arcyprałata zrzucano z tronu. Anniasowi na nic zda się mitra, gdy nie będzie miał głowy. Sparhawk już zgłosił się na ochotnika ze swoim mieczem.

— Wszcząłbyś wojnę światową, królu Wargunie. Od stuleci nikt nie ośmielił się wystąpić przeciwko Kościołowi.

— A więc może już na to czas. Wydarzyło się coś jeszcze?

— Przed godziną przybyli tu hrabia Lenda i mistrz pandionitów, Vanion — powiedział Obler. — Wypoczywają po podróży. Posłałem po nich, gdy tylko usłyszałem o twoim przyjeździe. Za chwilę tu będą.

— Dobrze. Będziemy zatem mogli ustalić sporo spraw. Którego dzisiaj mamy?

Król Obler podał mu datę.

— Masz chyba zły kalendarz, Oblerze — powiedział Wargun, policzywszy dni na palcach.

— Co zrobiłeś z Sorosem? — zapytał Obler.

— Omal go nie zabiłem. Nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś tyle się modlił, kiedy jest robota do wykonania. Posłałem go do Lamorkandii po tamtejszych baronów. Co prawda to on jedzie na czele armii, ale rozkazy wydaje Bergsten. Byłby z niego dobry arcyprałat, gdyby kiedykolwiek udało nam się wyciągnąć go z kolczugi. — Wargun zarechotał radośnie. — Czy możesz sobie wyobrazić reakcję kościelnej hierarchii na widok arcyprałata w kolczudze, rogotym hełmie i z toporem w dłoni?

— To istotnie mogłoby wprowadzić nieco ożywienia w Kościele — przyznał Obler ze słabym uśmiechem.

— Proszę o wybaczenie, miłośnicy królowie. — Sparhawk skłonił się z szacunkiem. — Chciałbym pójść do mistrza Vaniona. Nie widzieliśmy się jakiś czas i muszę mu przekazać pewne wiadomości.

— Znowu te wieczne sprawy natury kościelnej? — zapytał Wargun.

— Wasza królewska mość wie, jak to jest.

— Nie, dzięki Bogu, nie wiem. Idź, Rycerzu Kościoła. Porozmawiaj ze swym ojcem przełożonym, ale nie zatrzymuj go zbyt długo. Mamy tu do omówienia ważne sprawy.

Pandionita skłonił się obu królom i cicho opuścił komnatę.

Vanion usiłował właśnie przywdziać zbroję, gdy do pokoju wszedł Sparhawk. Mistrz z pewnym zdumieniem popatrzył na rycerza.

— Co ty tu robisz, Sparhawkku? — zapytał. — Myślałem, że przebywasz w Lamorkandii.

— Jestem w Deirze przejazdem, mistrzu Vanionie — rzekł Sparhawk. — Pewne sprawy uległy zmianie. Teraz zdam ci relację jedynie pokrótce, a dokładniej opowiem o wszystkim, kiedy król Wargun pójdzie spać. — Popatrzył krytycznym okiem na mistrza. — Wyglądasz na zmęczonego, przyjacielu.

— Starość. — Vanion ze smutkiem pokiwał głową. — A do tego te wszystkie miecze, które niemal siłą odebrałem Sephrenii, stają się z każdym dniem coraz cięższe. Wiesz, że pan Olven nie żyje?

— Tak. Jego duch przyniósł Sephrenii miecz.

— Tego się obawiałem. Zabiorę go od niej.

Sparhawk popukał palcem w napierśnik Vaniona.

— Nie musisz przecież tego nakładać. Król Obler nie przestrzega zbyt wiele ceremoniału, a Wargun nawet nie wie, co to jest ceremoniał.

— Trzeba budzić szacunek swym wyglądem, przyjacielu — powiedział Vanion — w imię honoru Kościoła. Przyznaję, że to czasami męczące, ale... — Wzruszył ramionami. — Nie potrafię sobie poradzić z tymi nowoczesnymi wynalazkami. Pomóż mi, Sparhawk. Możesz mówić zaciągając rzemienie i zapinając sprzączki.

— Tak jest, szlachetny panie Vanionie. — Sparhawk jął pomagać mistrzowi w przywdziewaniu zbroi, relacjonując wydarzenia, które miały miejsce w Lamorkandii i Pelosii.

— Czemu nie udałeś się w pogoń za trollem? — zapytał Vanion.

— Wynikły pewne przeszkody — rzekł Sparhawk, przypinając Vanionowi do naramienników zbroi jego czarny płaszcz. — Jedną z nich był Wargun. Wyzwałem go nawet na pojedynek, ale wmieszał się patriarcha Bergsten.

— Wyzwałeś króla? — Vanion nie wierzył własnym uszom.

— Wydawało mi się to wtedy najwłaściwszym rozwiązaniem.

— No tak, po tobie wszystkiego można się spodziewać — westchnął Vanion.

— Chodźmy już. Mam ci jeszcze sporo do powiedzenia, ale Wargun się niecierpliwi. — Sparhawk zerknął na zbroję Vaniona. — Wyprostuj ramiona! Garbisz się. — Grzmotnął mistrza pandionitów pięścią po plecach. — No, teraz lepiej.

— Dzięki — powiedział Vanion oschle, próbując złapać równowagę.

— Tu chodzi o honor naszego zakonu! Nie chcę, byś wyglądał jak odziany w tanią blachę.

Vanion pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi.

Hrabiego Lendę zastali w komnacie króla Oblera.

— A więc jesteś, Vanionie — powiedział Wargun. — Teraz możemy zaczynać. Co dzieje się w Arcium?

— Sytuacja niewiele się zmieniła, wasza królewska mość — zaczął mistrz Zakonu Rycerzy Pandionu. — Rendorczycy oblegają Larium, ale jego murów nadal bronią rycerze zakonni, a wraz z nimi większa część arcjańskiej armii.

— Czy miastu zagraża jakieś prawdziwe niebezpieczeństwo?

— Nie powiedziałbym. Jest zbudowane na skale. Znasz zamiłowanie mieszkańców Arcium do kamieniarstwa. Larium utrzyma się pewnie i przez dwadzieścia lat. — Vanion spojrzał na Sparhawk. — Widziałem tam twego starego przyjaciela — powiedział. — Zdaje się, że armii Rendoru przewodzi Martel.

— Tak podejrzewałem. Myślałem, że uziemiłem go w Rendorze, ale najwidoczniej udało mu się jakoś wykpić temu obłąkanemu prorokowi Arashamowi.

— Nie musiał tego czynić — odezwał się król Obler. — Arasham umarł w bardzo podejrzanych okolicznościach miesiąc temu.

— Ha! Widać Martel znowu sięgnął po truciznę — stwierdził Kalten.

— Kto więc jest nowym przywódcą duchowym w Rendorze? — zapytał Sparhawk.

— Człowiek o imieniu Ulesim — odpowiedział król Obler. — Domyślałem się, że był jednym z uczniów Arashama.

Sparhawk roześmiał się głośno.

— Arasham nawet nie wiedział o jego istnieniu. Spotkałem Ulesima. To wyjątkowy kiep. Nie przeżyje sześciu miesięcy.

— W każdym razie — ciągnął Vanion — skierowałem pandionitów, by zajęli się oddziałami Rendorczyków grasującymi po okolicy w poszukiwaniu żywności. Niedługo Martelowi zaczną doskwierać głód. To w zasadzie wszystko, wasza królewska mość — zakończył.

— Krótko i na temat — skomentował tę wypowiedź król Obler. — Dziękuję, mistrzu Vanionie. Lendo, co sływać w Cimmurze?

— Sytuacja właściwie jest taka jak dawniej, wasza królewska mość, tyle że prymas Annias wyjechał do Chyrellos.

— I pewnie niczym sęp tkwi nad łóżem arcyprałata — domyślił się Wargun.

— Wcale by mnie to nie zdziwiło, wasza królewska mość — przyznał hrabia Lenda. — Przekazał władzę Lycheasowi. Mam w pałacu kilku swoich ludzi i jednemu z nich udało się podsłuchać, jak Annias udzielał ostatnich wskazówek Lycheasowi. Poleciał mu wycofać armię Elenii z kampanii w Rendorze. Zaraz po śmierci Cluvonusa armia — i gwardziści prymasa z Cimmury — mają wyruszyć do Chyrellos. Annias pragnie zalać Święte Miasto swymi ludźmi, aby zastraszyć nie przekupionych członków hierarchii Kościoła.

— A zatem w Elenii mobilizacja?

— Całkowita, wasza królewska mość. Obozują około dziesięciu lig na południe od Cimmury.

— Pewnie będziemy musieli z nimi walczyć — wtrącił Kalten. — Annias zwolnił większość starych generałów i zastąpił ich ludźmi lojalnymi wobec siebie.

Wargun począł kląć na cały głos.

— Sytuacja wcale nie musi być tak poważna, na jaką wygląda, miłościwy panie — powiedział hrabia Lenda. — Prowadziłem bardzo zaawansowane badania w dziedzinie prawa. W okresie kryzysów religijnych zakony rycerskie są upoważnione do przejścia dowództwa nad wszystkimi siłami zachodniej Eosii. A czyż inwazji heretyków eshandyjskich nie da się zaliczyć do religijnych kryzysów?

— Na Boga, masz rację, Lendo! Czy to prawo eleńskie?

— Nie, wasza królewska mość. Prawo kościelne.

Wargun wybuchnął gromkim śmiechem.

— A to ci dopiero! — zawołał, waląc się po udach swymi wielkimi pięściami. — Annias próbuje zostać głową Kościoła, a my wykorzystujemy prawo kościelne dla pokrzyżowania jego planów. Jesteś geniuszem, Lendo!

— Bywam nim, wasza królewska mość — odparł skromnie Lenda. — Jestem pewien, że mistrz Vanion potrafi przekonać Sztab Główny, by dołączył do waszych sił. Żaden z oficerów nie odmówi podporządkowania się jego władzy,

zwłaszcza w obliczu faktu, że prawo kościelne upoważnia go do użycia nadzwyczajnych środków.

— A ja jestem pewien, że kilku dowódców może jednak zechcieć podważyć polecenia Sztabu Głównego — powiedział Ulath. — Ale wtedy wystarczyłoby skrócić o głowę czterech, pięciu generałów, a pozostali straciliby wątpliwości.

— I to szybko — dodał z uśmiechem Tynian.

— Zatem, Ulathu, trzymaj swój topór w pogotowiu — rzekł Wargun.

— Tak jest, wasza królewska mość.

— Pozostał jeszcze do rozwiązania jeden problem. Co uczynimy z Lycheasem? — przypomniał hrabia Lenda.

— Już podjąłem decyzję — oznajmił Wargun. — Gdy tylko dotrzemy do Cimmury, powieszę go.

— Wspaniały pomysł — odparł gładko Lenda — ale myślę, że warto by było nieco się nad nim zastanowić. Oczywiście wiesz, miłośniwy panie, że Annias jest ojcem księcia regenta, prawda?

— Tak twierdził Sparhawk, ale ja nie dbam o to, kto jest jego ojcem; i tak go powieszę.

— Co prawda nie wiem, jak mocno Annias kocha swego syna, ale nie da się ukryć, iż sięgnął po nadzwyczajne środki, by umieścić go na tronie Elenii. Może miał w tym inny cel? Może chciał, żeby zakony rycerskie dokonały zemsty na Lycheasie? Gdybyście bękartą poddali torturom, Annias musiałby wycofać gwardzistów z Chyrellos i skierować ich do Cimmury. Wtedy elekcja zostanie przeprowadzona pod nieobecność oddziałów Anniasa w Świętym Mieście i prymas nie będzie mógł wywierać presji na hierarchów.

— Zepsułeś całą zabawę, Lendo — narzekał Wargun. — Jednakże pewnie masz słuszość. — Skrzywił się. — A więc dobrze, gdy dotrzemy do Cimmury, wrzucimy bękartą do lochu. Razem ze wszystkimi jego zausznikami. Czy jesteś gotów przejąć władzę w pałacu?

— Jeśli wasza królewska mość tak sobie życzy — westchnął Lenda. — Ale czy pan Sparhawk lub mistrz Vanion nie byłiby lepszymi kandydatami?

— Być może, lecz będę potrzebował ich w Arcium. Jakie jest twoje zdanie, Oblerze?

— Darzę hrabiego Lendę pełnym zaufaniem — odparł król Deiry.

— Dołożę wszelkich starań, wasza królewska mość — powiedział Lenda — proszę jednak nie zapominać, iż jestem coraz starszy.

— Nawet nie osiągnąłeś jeszcze moich lat, przyjacielu — przypomniał mu sędziwy król Obler — a mnie podeszły wiek nadal nie pozwala wymawiać się od obowiązków.

— A więc postanowione! — zakrzyknął Wargun. — Zreasumujmy. Pomaszerujemy na południe do Cimmury, uwięzimy Lycheasa i zmusimy Sztab Główny Elenii, by przyłączył się do nas wraz ze swoją armią. Możemy także zabrać z sobą

gwardzistów prymasa. Potem dołączymy do Sorosa i Bergstena przy granicy z Arcium. Ruszemy na południe do Larium, otoczmy Rendorczyków i wydusimy ich jak stado szurów.

— Och, to zbyt skrajne rozwiązanie, wasza królewska mość! — zaprotestował Lenda.

— Nie, wcale nie. Chciałbym, aby upłynęło co najmniej dziesięć pokoleń, nim eshandyjscy heretycy ponownie podniosą głowy. — Władca Thalesii uśmiechnął się do Sparhawka. — Jeżeli będziesz mi dobrze i wiernie służył, przyjacielu, to pozwolę ci zabić Martela.

— Doceniam to, miłościwy panie — odparł Sparhawk uprzejmie.

— O, nie! — jęknęła Sephrenia.

— To trzeba uczynić, szlachetna pani — powiedział Wargun. — Oblerze, czy twoja armia jest gotowa do wymarszu?

— Czeka jedynie na rozkazy.

— Dobrze. Jeżeli nie masz innych planów, to jutro wyruszamy do Elenii.

— Możemy wyruszać, wszystko mi jedno. — Stary król Obler machnął ręką.

— Chodźmy zatem się trochę przespać. — Wargun wstał i przeciągnął się, szeroko ziewając. — Jutro wcześniej wyruszamy.

Chwilę potem Sparhawk i jego przyjaciele zbrali się w komnacie Vaniona, by dokładniej opowiedzieć mistrzowi, co przydarzyło im się w Lamorkandii i Pelosii.

Gdy skończyli, Vanion popatrzył ciekawie na malutką Flecik.

— Jaka jest twoja rola w tym wszystkim? — zapytał.

— Zostałam przysłana do pomocy — odparło dziecko wzruszając ramionami.

— Przez Styricum?

— Można tak powiedzieć.

— A cóż to za zadanie masz do wypełnienia tu, w Acie?

— Już je wypełniłam, Vanionie. Musiałyśmy porozmawiać z pewnym Styrikiem. Spotkałyśmy go po drodze do pałacu.

— Co takiego musiałyście mu powiedzieć, że było to ważniejsze nawet od zdobycia Bhelliomu?

— Trzeba przygotować Styricum na to, co się właśnie ma wydarzyć.

— Masz na myśli najazd Rendorczyków?

— Ach, to drobiazg, Vanionie. Tu chodzi o znacznie ważniejszą sprawę.

Vanion spojrział na Sparhawka.

— Jedziecie zatem do Thalesii? — zapytał.

Sparhawk skinął głową.

— Nawet gdybym musiał przejść morze na własnych nogach — rzekł z zimną zawziętością.

— Dobrze, zrobię co w mojej mocy, aby pomóc wam w wydostaniu się z miasta. Jedno mnie niepokoi. Jeżeli wszyscy odjedziecie, Wargun z pewnością za-

uważy wasze zniknięcie. Sparhawk z jednym lub dwoma z was mógłby uciec nie budząc niczyjej czujności, ale na tym koniec.

Flecik wyszła na środek komnaty i zaczęła wyliczać, wskazując paluszkami:

— Sparhawk i Kurik. Sephrenia i ja. I Talen.

— To absurd! — wybuchnął Bevier. — Sparhawkowi będą potrzebni rycerze, jeżeli ma stanąć przeciwko Ghwerigowi.

— Sparhawk i Kurik poradzą sobie — powiedziała dziewczynka.

— Czy bezpiecznie jest zabierać z sobą maleńką Flecik? — zapytał Vanion Sephrenię.

— Ona jedna zna drogę do groty Ghweriga.

— A dlaczego Talen? — zaniepokoił się Kurik.

— Ma coś do zrobienia w Emsacie — wyjaśniła dziewczynka.

— Przykro mi to mówić, moi wierni druhowie — zwrócił się Sparhawk do rycerzy — ale lepiej chyba będzie zastosować się do jej sugestii.

— Czy macie zamiar już jechać? — spytał Vanion.

— Nie, musimy poczekać na Talena.

— Dobrze. Sephrenio, idź po miecz pana Olvena.

— Ale...

— Przynieś go. Proszę, nie sprzecznij się ze mną.

— Tak, mój drogi. — Sephrenia westchnęła zrezygnowana.

Vanion był tak słaby po odebraniu miecza Olvena, że z trudem trzymał się na nogach.

— To cię zabija — powiedziała czarodziejka.

— Każdy w końcu na coś umiera. — Mistrz stanął naprzeciw rycerzy. — Mam z sobą oddział pandionitów. Ci z was, którzy zostają, będą mogli się do nich przyłączyć, gdy wyruszymy. Hrabia Lenda i król Obler to starcy. Zaproponuję Wargunowi, żeby obaj dostali powóz oraz by sam pojechał razem z nimi. Mam nadzieję, że dzięki temu nie będzie w stanie policzyć głów. Spróbuję go czymś zająć. — Spojrzał na Sparhawk. — Dzień lub dwa to pewnie wszystko, co będę w stanie dla ciebie załatwić... — Uśmiechnęła się przeprasząco.

— To mi powinno wystarczyć — rzekł Sparhawk. — Wargun najpewniej pomyśli, że wróciłem nad jezioro Venne i wyśle pościg w tamtym kierunku.

— Teraz pozostaje jedynie problem, jak wydostać was z pałacu — powiedział Vanion.

— Ja się tym zajmę — oświadczyła Flecik.

— Jak?

— Czaraaami...! — Zabawnie udawała, że chce go przestraszyć i poruszała paluszkami, jakby splatała przeciwko niemu zaklęcie.

Vanion roześmiał się.

— Jak wy sobie dajecie z nią radę? — spytał rycerzy.

Dziewczynka prychnęła.

— Marnie — odpowiedziała za wszystkich.
Około godziny później do komnaty wśliznął się Talen.
— Miałeś kłopoty? — zapytał go Kurik.
— Ja miałbym mieć kłopoty? Nawiązałem kilka znajomości i znalazłem dla nas kryjówkę.
— Znajomości? — zaciekał się Vanion. — Z kim?
— Z kilkoma złodziejami, żebrakami i dwoma mordercami. Skierowali mnie do człowieka rządzącego w Acie światem wyrzutków. Ma on pewne zobowiązania wobec Platima, więc gdy wspomniałem jego imię, stał się bardzo uczynny.
— W dziwnym świecie żyjesz, Talenie — westchnął Vanion.
— Nie dziwniejszym niż ten, w którym ty żyjesz, szlachetny panie — odparł Talen z wymyślnym ukłonem.
— Czy on czasami nie ma racji, Sparhawk? — Vanion zadumał się. — W końcu wszystkich nas można uznać za złodziei i bandytów, jeśli się tylko temu dobrze przyjrzeć. Mów, chłopcze — rzekł do Talena — gdzie jest ta kryjówka?
— Lepiej nie powiem — odparł Talen z wahaniem. — Jesteś, szlachetny panie, osobą urzędową, a ja dałem słowo honoru.
— To w twoim zawodzie znane jest pojęcie honoru?
— O tak, szlachetny panie. Jednakże nie opiera się ono na żadnym rycerskim kodeksie. Obowiązuje jedna jedyna zasada: nie dać sobie poderżnąć gardła.
— Masz bardzo mądrego syna, Kuriku — odezwał się Kalten.
— Musiałeś to powiedzieć, Kaltlenie, prawda? — Giermek miał skwaszoną minę.
— Czyżbyś się mnie wstydził, ojczy? — zapytał Talen cicho. Spuścił głowę.
Kurik spojrział na niego z czułością.
— Nie, Talenie. — Położył szeroką dłoń na ramieniu chłopca. — To jest mój syn Talen — groźnie popatrzył wokół — a jeżeli komuś się to nie spodoba, będę więcej niż szczęśliwy dając mu satysfakcję i zapomnijmy o tych wszystkich bzdurach na temat tego, że szlachetnie urodzonym i pospółstwu nie wolno z sobą walczyć.
— Nie wygłupiaj się, Kuriku — powiedział Tynian z uśmiechem. — Gratuluję wam obu.
Wszyscy rycerze zgromadzili się wokół krzepkiego giermka i jego syna złodziejaska, poklepując ich po plecach i dołączając się do gratulacji Tyniana.
Talen patrzył na nich oczyma pełnymi łez, wzruszony tym nagłym uznaniem. Potem rzucił się do Sephrenii, padł czarodziejce do kolan, przycisnął twarz do jej łona i rozpłakał się.
Na buzi malutkiej Flecik pojawił się uśmiech.

Rozdział 23

To była ta sama senna melodia, którą Flecik grała na molo w Vardenais, a potem przed siedzibą pandionitów w Cimmurze.

— Co ona robi? — szepnął Talen do Sparhawk, gdy kulili się za balustradą szerokiego ganku przed pałacem króla Oblera.

— Usypia strażników Warguna — rzekł Sparhawk. Nie było potrzeby obszernej tego wyjaśniać. — Nie zwrócą na nas uwagi, gdy będziemy ich mijać.

— Jesteś tego pewien, dostojny panie? — W głosie Talena znać było zwątpienie.

— Przekonałem się już kilka razy, że ona to potrafi.

Flecik wstała i podeszła do szerokich schodów prowadzących w dół, na dziedziniec. Podtrzymując fujarkę jedną dłonią, drugą dała im znak, aby podążali za nią.

— Chodźmy. — Sparhawk wyprostował się.

— Dostojny panie, wszyscy cię zobaczą — ostrzegł go Talen.

— W porządku, Talenie. Nie zwrócą na nas uwagi.

— Nie widzą nas?

— Widzą — odezwała się Sephrenia — ale jedynie oczyma. Nasza obecność nic dla nich nie znaczy.

Sparhawk, ubrany w kolczugę i płaszcz podróżny, powiódł ich na schody i podążył za Flecikiem na dziedziniec.

Jeden z thalezyjskich żołnierzy trzymał straż u dołu schodów i gdy go mijali, zerknął na nich sennie i bez zainteresowania.

— Moje nerwy tego nie wytrzymają — szepnął Talen.

— Nie musisz szeptać, Talenie — powiedziała Sephrenia.

— Przecież mogą nas usłyszeć.

— Słyszą nas całkiem dobrze, ale nie rejestrują naszych głosów.

— Nie macie jednak nic przeciwko temu, bym był gotów do ucieczki?

— To naprawdę nie jest konieczne.

— Ale i tak to uczynię.

— Uspokój się, Talenie — skarciła go Sephrenia. — Przysparzasz trudności Flecikowi.

Udali się do stajni, osiodłali konie i wyprowadzili je na dziedziniec. Flecik cały czas nie przerywała grania. Wyruszyli przez bramę, mijając obojętnych wartowników króla Oblera i patrol króla Warguna na ulicy.

— Którędy? — zapytał Kurik syna.

— Tą uliczką.

— Daleko?

— Trzeba przejść prawie przez pół miasta. Meland nie lubi być zbyt blisko pałacu, ponieważ ulice wokół niego są patrolowane.

— Meland?

— Nasz gospodarz. Słuchają go wszyscy złodzieje i żebracy w Acie.

— Czy można na nim polegać?

— Oczywiście, że nie. To złodziej. Jednakże nie zdradzi nas. Poprosiłem go o azyl dla złodziei. Jest zobowiązany przyjąć nas i ukryć przed każdym, kto by nas szukał. Gdyby odmówił, musiałby odpowiadać przed Platimem przy najbliższym posiedzeniu sądu złodziei w Chyrellos.

— Tuż obok nas jest cały świat, o którym nic nie wiemy — powiedział Kurik do Sparhawk.

— Zauważyłem to — odparł Sparhawk.

Chłopiec poprowadził ich krętymi uliczkami Aty do dzielnicy biedoty w pobliżu bram miasta.

— Zostańcie tu — powiedział, gdy dotarli do nędznej gospody. Wszedł do środka i wyszedł po chwili z mężczyzną o twarzy podobnej do pyszczka łasicy. — On zajmie się naszymi końmi.

— Uważaj na tego srokacza, ziomku — ostrzegł Sparhawk, gdy podawał wodze Farana dziwnemu stajennemu. — To wesołek. Faranie, zachowuj się grzecznie.

Ostrożnie wyciągnął włócznię Aldreasa spod siodła. Faran zastrzygł nerwowo uszami.

Talen wprowadził ich do gospody. Wnętrze było oświetlone dymiącymi, łojowymi świecami. Stały tam długie, zniszczone stoły, otoczone koślawymi zydlami. Za stołami siedziało kilku mężczyzn. Wyglądali na łotrów. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na Sparhawk i jego przyjaciół, chociaż wydawało się, że patrzą czujnie dookoła. Talen podszedł do schodów w głębi.

— To tam, na górze — powiedział.

Poddasze było bardzo obszerne i wydało się Sparhawkowi dziwnie znajome. Stało tu niewiele sprzętów, a pod ścianami leżały słomiane sienniki. To pomieszczenie bardzo przypominało swoim wyglądem piwnicę Platima w Cimmurze.

Meland był drobnym człowieczkiem z paskudną blizną na policzku. Siedział

za stołem pochylony nad kawałkiem papieru, przed nim stał kałamarz. Obok leżała kupka kosztowności i wyglądało na to, że Meland je spisywał.

— Melandzie — odezwał się Talen, gdy podeszli bliżej — to są ci przyjaciele, o których ci mówiłem.

— Zdawało mi się, że wspominałeś o dziesięciu. — Meland miał nosowy, nieprzyjemny dla ucha głos.

— Plany uległy zmianie. To pan Sparhawk. Jest tu kimś w rodzaju dowódcy. Meland chrząknął.

— Jak długo zamierzacie tu pozostać? — zapytał Sparhawk krótko.

— Jeżeli uda mi się znaleźć statek, to tylko do jutra rana.

— Nie powinienesz mieć żadnych kłopotów ze znalezieniem statku. — Meland mówił szorstkim tonem. — W porcie stoją okręty z całej zachodniej Eosii, thalezyjskie, arcjańskie, eleńskie, a nawet kilka z Cammorii.

— Czy bramy miasta są w nocy otwarte?

— Zwykle nie, ale teraz pod murami obozuje armia. Żołnierze wciąż się kręcą, wchodzą do Aty i wychodzą, więc bram się nie zamyka. — Meland spojrział krytycznie na rycerza. — Jeżeli masz zamiar iść do portu, to lepiej bez kolczugi i bez tego miecza. Talen mówił, że wolicie nie zwracać na siebie uwagi. Ludzie zapamiętają kogoś ubranego tak jak ty. Na tamtych kołkach wisi trochę różnego odzienia. Dobierz sobie coś.

— Jak najłatwiej trafić do portu?

— Wyjdź północną bramą. Ślady wozów prowadzą prosto nad wodę. Około pół ligi za miastem skręcają w lewo od głównej drogi.

— Dzięki, ziomku — rzekł Sparhawk.

Meland mruknął coś i wrócił do swego spisu.

— Ja i Kurik udamy się do portu poszukać statku — powiedział Sparhawk do Sephrenii. — Ty lepiej zostań tu z dziećmi.

— Jak sobie życzysz.

Sparhawk znalazł na jednym z kołków przypominający szmatę niebieski kaftan, który zdawał się na niego pasować. Zdjął kolczugę i odparał miecz. Przebrał się i ponownie nałożył swój płaszcz.

— Gdzie podziali się wszyscy twoi ludzie? — zapytał Talen Melanda.

— Jest noc — odparł Meland. — Pracują, a przynajmniej lepiej dla nich, aby to robili.

— No tak, o tym nie pomyślałem.

Sparhawk i Kurik zeszli na dół, do gospody.

— Mam iść po konie? — zapytał Kurik.

— Nie. Pójdziemy piechotą. Jeźdźcy zwracają na siebie uwagę.

Przeszli przez bramę i ruszyli głównym traktem, dopóki nie dotarli do wspomnianej przez Melanda drogi dla wozów. Skręcili do portu.

— Nędznie tu, prawda? — zauważył Sparhawk, rozglądając się po chatach otaczających port.

— Wybrzeże zwykle tak wygląda — powiedział Kurik. — Zasięgnijmy języka — rzekł, po czym zaczepił przechodnia, który zmierzał w kierunku morza. — Szukamy łajby, która płynie do Thalesii — zagadnął. Podobnie jak w Venne, teraz mówił jak wilk morski. — Powiedz mi, brachu, czy tu gdzieś w pobliżu jest tawerna, w której spotykają się kapitanowie?

— Spróbuj w „Dzwonie i Kotwicy” — odparł marynarz. — To kilka ulic w tamtą stronę, tuż nad wodą.

— Dzięki, brachu.

Poszli w kierunku długiej przystani, wrzynającej się w głąb ciemnych, zaśmieconych wód zatoki. Nagle Kurik stanął jak wryty.

— Sparhawk, czy ten statek na końcu przystani nie wydaje ci się znajomy?

— Te pochylone do tyłu maszty coś mi przypominają — przyznał Sparhawk. — Przyjrzyjmy mu się dokładnie.

Podeszli bliżej.

— Cammoryjski — oznajmił Kurik.

— Po czym poznajesz?

— Po osprzęcie i pochyleniu masztów.

— Nie sądzisz... — Sparhawk przerwał, patrząc ze zdumieniem na nazwę wymalowaną na burcie. — Aż trudno w to uwierzyć — powiedział wreszcie. — To statek kapitana Sorgiego. Co on tu robi?

— Może spróbujemy odnaleźć kapitana i zapytać go? Jeżeli to rzeczywiście jest Sorgi, a nie ktoś, kto kupił od niego ten okręt, to może właśnie znaleźliśmy rozwiązanie naszego problemu.

— Zakładając, że planuje płynąć we właściwym kierunku. Poszukajmy „Dzwonu i Kotwicy”.

— Pamiętasz jeszcze szczegóły tej historii, którą opowiedziałeś Sorgiemu?

— Mam nadzieję, że na tyle, aby sobie poradzić.

Tawerna „Dzwon i Kotwica” miała wewnątrz schludne, jak to zazwyczaj bywa w miejscach, gdzie spotykają się kapitanowie. Tawerny prostych marynarzy bywają podlejsze, a że są gromadniej odwiedzane, to i bardziej zniszczone. Sparhawk i Kurik stanęli przy wejściu, rozglądając się dookoła.

— Tam — powiedział Kurik, wskazując na krzepkiego człowieka o przyprószonych siwizną, kręconych włosach, pijącego z grupą poważnie wyglądających mężczyzn przy stole w rogu. — To Sorgi.

Sparhawk również rozpoznał kapitana, który przewiózł ich z Madelu w Cammorii do Ciprii w Rendorze.

— Przejdźmy się w tamtą stronę — powiedział. — Byłoby najlepiej, gdyby to on zobaczył nas pierwszy. — Ruszyli przez salę, niby od niechcienia rozglądając się dookoła.

— Hej, niech oślepnę, jeżeli to nie pan Cluff! — usłyszeli głos Sorgiego. — Co robisz tu, w Deirze? Myślałem, że masz zamiar zostać w Rendorze, dopóki owych kuzynów nie znudzą poszukiwania.

— Popatrz tylko, zdaje się, że to kapitan Sorgi! — wykrzyknął Sparhawk ze zdumieniem do Kurika.

— Przysiądź się do nas, panie Cluff — zaprosił go Sorgi wylewnie. — Weź także z sobą swego człowieka.

— Jestem zaszczycony, kapitanie — mruknął Sparhawk, siadając przy stole marynarzy.

— Co ci się przydarzyło, przyjacielu? — zapytał Sorgi.

Sparhawk zrobił ponurą minę.

— Nie wiem, jak to się stało, ale kuzyni wpadli na mój ślad — powiedział. — Miałem szczęście, że zauważyłem jednego z nich na ulicy w Cipprii, nim on zobaczył mnie. Uciekłem. Od tamtej pory ciągle uciekam.

Sorgi roześmiał się.

— Pan Cluff ma taki mały, maleńki kłopot — wyjaśnił swym towarzyszom. — Popełnił niegdyś błąd. Starał się o rękę pewnej dziedziczki, nim spojrział jej w twarz. Dama okazała się przeraźliwie szpetna, przeto uciekł od niej z krzykiem.

— Jeśli chodzi o ścisłość, kapitanie, to w zasadzie nie krzyczałem — rzekł Sparhawk. — Przyznaję jednak, że włosy stały mi dęba przynajmniej przez tydzień.

— W każdym razie — ciągnął dalej Sorgi z szerokim uśmiechem — okazało się, że dama ma rozlicznych kuzynów, którzy już od miesiąca ścigają biednego pana Cluffa. Jeżeli go dopadną, zaciągną z powrotem do niej i zmuszą do ożenku.

— Pierwej bym się zabił! — Sparhawk walnął się w piersi aż zadudniło. — Ale co ty robisz tak daleko na północy, kapitanie? Myślałem, że żeglujesz po Cieśninie Arcjańskiej i Morzu Wewnętrznym.

— Niedawno zawiąłem do portu Zenga, na południowym wybrzeżu Cammorii, i nadarzyła mi się okazja kupna ładunku atłasu i brokatu. W Rendorze nie ma zbytu na kosztowne materie. Tam wszyscy noszą paskudne czarne szaty. Najlepszym rynkiem dla materii z Cammorii jest Thalesia. Trudno w to uwierzyć, biorąc po uwagę klimat, ale thalezyjskie damy są wielkimi miłośniczkami atłasu i brokatu. Postanowiłem dobrze zarobić na tym ładunku.

Sparhawk poczuł przyływ podniecenia.

— A zatem udajesz się do Thalesii? — zapytał. — A miałbyś miejsce dla kilku pasażerów?

— Chcesz płynąć do Thalesii, panie Cluff? — zdziwił się kapitan Sorgi.

— Chcę płynąć dokądkolwiek — wyrzucił z siebie Sparhawk desperackim tonem. — Nie więcej niż dwa dni drogi za mną jest grupa tych kuzynów. Jeżeli dostanę się do Thalesii, może będę mógł ukryć się w górach.

— Byłbym ostrożny, przyjacielu — poradził jeden z kapitanów. — W górach Thalesii grasują rozbójnicy, nie wspominając o trollach.

— Potrafię wymknąć się rozbójnikom, a trolle nie mogą być szpetniejsze od tamtej damy. — Sparhawk wzdrygnął się ze wstrętem. — I co ty na to, kapitanie Sorgi? Czy pomożesz mi jeszcze raz wydostać się z opresji?

— Za tę samą cenę? — zapytał Sorgi z błyskiem w oczach.

— Za jakąkolwiek — rzekł Sparhawk, najwyraźniej gotów na wszystko.

— A więc umowa stoi, panie Cluff. Mój statek przycumowałem na końcu trzeciego nabrzeża. Odplywamy do Emsat z porannym przypływem.

— Przybędę niezawodnie, kapitanie — obiecał Sparhawk. — A teraz wybaczone, ale musimy spakować parę drobiazgów. — Wstał i wyciągnął dłoń do marynarza. — Ponownie uratowałeś mi życie, kapitanie — powiedział z prawdziwą wdzięcznością.

Gdy znaleźli się na ulicy, Kurik zmarszczył brwi.

— Czy nie masz wrażenia, że ktoś tym wszystkim kieruje? — zapytał.

— Co masz na myśli?

— Czyż to nie dziwne, że tak po prostu wpadliśmy znowu na Sorgiego, jedyne go człowieka, na którego pomoc możemy liczyć? A czyż nie jest jeszcze dziwniejsze, że on właśnie wybiera się do Thalesii, jedyne go miejsca, do którego naprawdę chcemy się dostać?

— Myślę, że ponosi cię wyobraźnia, Kuriku. Słyszałeś, co mówił. To zupełnie logiczne, że tu się znalazł.

— A to, że natknęliśmy się na niego akurat w odpowiednim dla nas czasie, też nie jest dziwne?

To było bardziej kłopotliwe pytanie.

— Możemy zapytać o to małą Flecik, gdy wrócimy do miasta — rzekł Sparhawk.

— Myślisz, że ona mogła to uczynić?

— Niekoniecznie. Raczej wątpię, czy nawet ona potrafiłaby coś takiego zdziać, ale ona jedna może wiedzieć, kto byłby w stanie to zrobić.

Niestety, gdy wrócili na poddasze marnej gospody, nie było okazji porozmawiania z Flecikiem, ponieważ przy stole naprzeciwko Melanda siedziała znajoma postać. Potężny, gruby Platim z gęstą brodą, odziany w płaszcz nieokreślonego kroju, zawzięcie się targował.

— Witaj, przyjacielu! — wykrzyknął jowialnie do Sparhawk.

Rycerz patrzył na niego z pewnym zdumieniem.

— Co robisz w Acie, Platimie?

— Załatwiam kilka spraw. Meland i ja zawsze wymieniamy się kradzioną biżuterią. On sprzedaje to, co ja ukradnę w Cimmurze, a ja zabieram do Cimmury to, co on zdobędzie w tych okolicach i tam sprzedaje. Ludzie mają zdolność do

rozpoznawania własnej biżuterii, więc nie zawsze bezpiecznie jest sprzedawać kosztowności w mieście, w którym je skradziono.

— Te nie są tyle warte, ile żądasz, Platimie — odezwał się beznamytnym tonem Meland, podnosząc bransoletę wysadzaną drogimi kamieniami.

— No dobrze, ile proponujesz? — Platim westchnął ciężko.

— Jeszcze jeden przypadek, Sparhawk? — zapytał podejrzliwie Kurik.

Rycerz zafrasował się.

— Dostojny panie Sparhawk, hrabia Lenda jest tu, w Acie — powiedział Platim. — Jest on najzaciejszym członkiem Rady Królewskiej w Elenii i bierze udział w jakiejś konferencji w pałacu. Coś się szykuje i chcę wiedzieć co. Nie lubię niespodzianek.

— Może opowiem ci, co się dzieje... — zaczął Sparhawk.

— Może? — Platim wyglądał na lekko zaskoczonego.

— ...jeżeli odpowiednio zapłacisz — dokończył rycerz z szerokim uśmiechem.

— Chcesz pieniędzy?

— Nie, czegoś więcej. Brałem udział we wspomnianej przez ciebie konferencji. Oczywiście wiesz o wojnie w Arcium?

— Naturalnie.

— I tego, co powiem, nikomu nie powtórzysz?

Platim dał znak Melandowi, aby się oddalił, po czym spojrzał na Sparhawk.

— Chyba że będzie to sprzeczne z moimi interesami, przyjacielu. — Błysnął zębami w uśmiechu.

Nie była to szczególnie uspokajająca odpowiedź.

— Pamiętam, że kiedyś deklarowałeś się jako patriota... w pewnym sensie — zaczął ostrożnie Sparhawk.

— Od czasu do czasu nachodzą mnie takie uczucia — przyznał Platim chrząkając z zakłopotaniem — o ile nie przeszkadzają w godziwym zarobku.

— A więc dobrze, potrzebna mi twoja współpraca.

— Co masz na myśli? — zapytał podejrzliwie Platim.

— Ja i moi przyjaciele próbujemy przywrócić królowej Ehlanie tron.

— Próbujecie to uczynić już od jakiegoś czasu, dostojny panie Sparhawk, ale czy ta blada dziewczynka potrafi naprawdę władać królestwem?

— Myślę, że tak, a ja jej w tym pomogę.

— No, to jest jakaś rozsądna propozycja. A co zamierzacie zrobić z bękartem Lycheasem?

— Król Wargun chce go powiesić.

— Zwykle nie pochwalam wieszania, ale w wypadku Lycheasa zrobię wyjątek. Sądzisz, że mógłbym dojść do porozumienia z Ehlaną?

— Nie dałbym za to głowy.

— Warto spróbować. — Platim uśmiechnął się chytrze. — Przekaż po prostu mojej królowej, że jestem jej najwierniejszym sługą. Szczegóły omówię z nią później.

— Jesteś złym człowiekiem, Platimie.

— Nigdy nie udawałem, że jestem inny. A więc dobrze, panie Sparhawku, czego potrzebujesz? Pomogę ci... w rozsądnych granicach.

— Bardziej niż cokolwiek innego potrzebne mi informacje. Znasz pana Kaltena?

— Twego przyjaciela? Oczywiście, że znam.

— Jest teraz w pałacu. Ubierz się tak, by wzbudzać szacunek. Idź tam i zapytaj o niego. Umów się z nim co do przekazywania informacji. Wnoszę, że masz sposoby, aby zebrać wiadomości na temat większości z tego, co dzieje się w znanym świecie?

— Czyżbyś chciał wiedzieć, co dzieje się teraz w cesarstwie Tamul?

— Niezupełnie. Mam w tej chwili dość problemów tu, w Eosii. Zajmiemy się kontynentem Daresii, gdy przyjdzie na to czas.

— Jesteś ambitny, przyjacielu.

— Nie bardzo. W tej chwili chcę przywrócić tron mojej królowej.

— Piszę się na to — powiedział Platim. — Na wszystko, byleby tylko pozbyć się Lycheasa i Anniasa.

— A więc nam wszystkim chodzi o to samo. Porozmawiaj z panem Kaltenem. On znajdzie sposób na przekazywanie informacji i dostarczy je ludziom, którzy potrafią zrobić z nich użytek.

— Chcesz zrobić ze mnie szpiega, dostojny panie — powiedział Platim z boleścią w głosie.

— W końcu to równie szacowny zawód jak złodziejstwo.

— Wiem. Tylko nie jestem pewien, czy równie opłacalny. Dokąd się teraz udajesz?

— Musimy jechać do Thalesii.

— Do królestwa Warguna? Przecież właśnie mu uciekłeś! Dostojny panie Sparhawku, jesteś odważniejszy lub głupszy, niż myślałem.

— A zatem wiesz, że umknęliśmy z pałacu?

— Talen mi powiedział. — Platim zastanowił się chwilę. — Pewnie popłyniecie do Emsatu?

— Tak powiedział nasz kapitan.

— Talenie, chodź tu! — zawołał Platime.

— Po co? — spytał bezczelnie Talen nie ruszając się z miejsca.

— Jeszcze go tego nie oduczylesz, dostojny panie? — zapytał cierpko Platim.

— To tak dla przypomnienia starych czasów, Platimie — Talen wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Słuchaj uważnie — nakazał chłopcu herszt eleńskich złodziei. — Gdy dotrzecie do Emsatu, rozejrzysz się za człowiekiem imieniem Stragen. On tam rządzi, podobnie jak ja w Cimmurze i Meland tu, w Acie. On będzie w stanie udzielić wam wszelkiej potrzebnej pomocy.

— Płatimie, ty myślisz o wszystkim, prawda? — zapytał Sparhawk.

— W moim zawodzie bez tego ani rusz. Ludzie, którzy tego nie pilnują, kończą niemiło dyndając.

Nazajutrz tuż przed wschodem słońca dotarli do portu. Dopilnowali załadunku koni, a potem sami weszli na pokład.

— Zdaje się, panie Cluff, że przyjąłeś następnego służącego — powiedział kapitan Sorgi na widok Talena.

— To najmłodszy syn mojego służącego — odparł Sparhawk zgodnie z prawdą.

— W dowód przyjaźni, jaką cię darzę, panie Cluff, nic za chłopaka nie policzę. A jeżeli już o tym mówimy, to może załatwimy wszystko jeszcze przed podniesieniem żagli?

Sparhawk westchnął ciężko i sięgnął po sakiewkę.

Wyłynęli z Zatoki Aty przy sprzyjającym wietrze i pozęglowali dookoła wysuniętego na północ przylądka. Potem włynęli w Cieśninę Thalezyjską i ląd znikł im z oczu. Sparhawk stał na pokładzie rozmawiając z kapitanem.

— Jak sądzisz, ile czasu nam zajmie dotarcie do Emsatu? — zapytał.

— Najprawdopodobniej włyniemy do portu jutro w południe — odparł Sorgi — jeżeli wiatr się utrzyma. W nocy zwiniemy żagle i wyrzucimy dryfkotwę. Nie znam tych wód tak dobrze jak Morza Wewnętrznego czy Cieśniny Arcjańskiej, więc wolę nie ryzykować.

— Cenię sobie rozwałę u kapitanów statków, na których pływam — rzekł Sparhawk. — A jeśli już mówimy o rozwałę, to wolałbym wylądować w jakiejś ustronnej zatoczce, nim dobijecie do Emsatu. Miasta nie wiedzieć czemu denerwują mnie.

Sorgi roześmiał się.

— Widzisz tych kuzynów za każdym rogiem, co, panie Cluff? Czy dlatego jesteś uzbrojony? — Spojrzał znacząco na kolczugę i miecz Sparhawka.

— W mojej sytuacji ostrożności nigdy za wiele.

— Znajdziemy ci zatoczkę, panie Cluff. Wybrzeże Thalesii jest jedną długą, ustronną zatoczką. Znajdziemy spokojną plażę i wysadzimy cię na brzeg, abyś mógł prześliznąć się na północ i złożyć wizytę trollom nie ciągnąc swoim tropem kuzynów.

— Będę ci za to wielce zobowiązany, kapitanie.

— Ej, ty tam — krzyknął Sorgi do jednego z marynarzy na górze — patrz dobrze! Jesteś tam po to, by pracować, a nie śnić na jawie!

Sparhawk przeszedł przez pokład i oparł się o reling, patrząc na intensywnie niebieskie, długie fale, połyskujące w południowym słońcu. Nadal nie dawały mu spokoju pytania Kurika. Czy rzeczywiście jedynie przez przypadek spotkał Sorgiego i Platima? Dlaczego obaj znaleźli się w Acie dokładnie w tym samym czasie, gdy Sparhawk i jego przyjaciele uciekli z pałacu? Jeżeli malutka Flecik naprawdę potrafi radzić sobie z czasem, to czy potrafi również z ogromnej odległości ściągnąć ludzi, których potrzebuje w danym momencie? Jaką wielką moc posiada to dziecko?

Niemal jak na wezwanie, na schodkach wiodących z kabin pojawiła się malutka Flecik. Rozejrzała się dookoła. Sparhawk przeszedł na drugą stronę pokładu i stanął przed dziewczynką.

— Chcę ci zadać kilka pytań — powiedział.

— Tak właśnie myślałam.

— Czy maczałaś palce w sprowadzeniu do Aty Platima i Sorgiego?

— Osobiście nie.

— Ale wiedziałaś, że tu będą?

— Lepiej mieć do czynienia z ludźmi, których już się zna, bo można znacznie oszczędzić czas, Sparhawk. Złożyłam pewne zamówienia, a członkowie mojej rodziny załatwili resztę.

— Wspominasz ciągle o rodzinie, a właściwie...

— Co to jest?! — zawołała Flecik, biegnąc na prawą burzę.

Tuż pod powierzchnią wody zafalowało coś olbrzymiego. Wtem ogromny, płaski ogon wystrzelił do góry i opadł w dół, wzbijając wielką chmurę wodnego pyłu.

— To wieloryb — powiedział Sparhawk.

— Czy ryby naprawdę mogą tak urosnąć?

— To w zasadzie nie są ryby... tak przynajmniej słyszałem.

— On śpiewa! — Flecik z ukontentowania zaklaskała w rączki.

— Niczego nie słyszę.

— Bo nie słuchasz, Sparhawk. — Podbiegła na dziób i wychyliła się.

— Fleciku! — krzyknął. — Uważaj! — Rzucił się do relingu na dziobie i przytrzymał ją za tuniczkę.

— Puść mnie! — Dziewczynka uniosła do ust fujarkę, ale nagły przechył statku sprawił, że fujarka wyleciała jej z rączki i spadła do morza. — Niech to licho porwie! — krzyknęła i wykrzywiła buzię. Spojrzała na Sparhawk. — No cóż, i tak wkrótce się dowiesz. — Uniosła do góry swą drobną twarzyczkę. Z jej ust wydobył się dźwięk zwykłej pasterskiej fujarki. Sparhawk oniemiał. Fujarka była jedynie na pokaz. To, co cały czas słyszeli, było głosem małej Flecik. Jej pieśń poszybowała nad falami.

Wieloryb ponownie wynurzył się i obrócił nieznacznie, zerkając ciekawie ogromnym okiem. Flecik śpiewała do niego, wydając wibrujące dźwięki. Kolos

podpłynął bliżej i jeden z marynarzy na masztach wszczął alarm.

— Kapitanie, tam są wieloryby!

A wtedy, jakby w odpowiedzi na pieśń dziewczynki, z głębin wynurzyły się następne olbrzymy. Zgromadziły się wokół dziobu wyrzucając chmury wodnego pyłu z otworów na grzbiecie. Statek podskoczył w górę i zaczął trząść się na utworzonej przez potężne cielska fali.

Jeden z marynarzy, z paniką w oczach, przybiegł na dziób. Niósł długi bosak.

— Och, nie bądź głupi — powiedziała do niego Flecik. — One tylko się bawią.

— Hm... Fleciku — odezwał się Sparhawk tonem pełnym nabożnego szacunku - - nie sądzisz, że powinnaś powiedzieć im, aby wróciły do domu? — Już w momencie gdy to mówił, zdał sobie sprawę z tego, jak głupio to musiało zabrzmieć. Wieloryby przecież były w domu.

— Ale ja je lubię — zaprotestowało dziecko. — Są piękne.

— Tak, wiem, ale wieloryby nie bardzo nadają się do pieszczot i zabawy. Gdy tylko dotrzemy do Thalesii, kupię ci kotka. Proszę, Fleciku, powiedz do widzenia swoim wielorybom i spraw, aby oddaliły się. Z powodu ich wizyty wolniej płyniemy.

— Och, zdaje się, że masz rację. — Na jej buzi malowało się niezadowolenie. Jeszcze raz zaczęła śpiewać, tym razem wydając tony pełne osobliwego żalu. Wieloryby odpłynęły, a potem zanurzyły się, tłukąc szerokimi ogonami o powierzchnię wody i zamieniając ją w spienioną kipieli.

Sparhawk rozejrzał się dookoła. Marynarze gapili się na dziewczynkę z rozdziawionymi ustami. Wyjaśnianie czegokolwiek w tej sytuacji byłoby zadaniem wyjątkowo trudnym.

— Może wrócimy do kabiny i zjemy obiad? — zaproponował.

— Dobrze — zgodziła się Flecik i wyciągnęła do niego rączki. — Możesz mnie zanieść, jeśli chcesz.

To był najszybszy sposób zabrania małej z oczu wylęknionej załogi, a zatem podniósł ją i zaniósł w kierunku schodków prowadzących do kabin.

— Wolałabym, żebyś nie miał tego na sobie — powiedziała, stukając paluszkami w kolczugę. — Wstrętnie pachnie.

— W moim rzemiośle to raczej konieczne. Rozumiesz, noszę to dla ochrony.

— Są inne sposoby na to, by się ochronić, Sparhawk, i nie są one tak cuchnące.

W kabinie zastali pobladłą i drżącą Sephrenię, siedzącą z ceremonialnym mieczem na kolanach. Nad nią pochylał się Kurik. Był mocno wzburzony.

— To pan Gared, Sparhawk — powiedział cicho. — Przeszedł przez drzwi, jakby ich wcale nie było, i oddał miecz Sephrenii.

Sparhawk poczuł przeszywający ból. Znał i szanował Gareda. Westchnął głęboko i wyprostował się. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będzie to ostatni miecz, który musiała przejąć Sephrenia.

— Fleciku, czy możesz pomóc jej zasnąć — poprosił.

Dziewczynka z posmutniałą buzią skinęła główką.

Sparhawk wziął Sephrenię na ręce. Wydawało mu się, że czarodziejka prawie nic nie waży. Zaniósł ją do koi i położył delikatnie. Flecik podeszła bliżej i zaczęła śpiewać kołysankę, zwykłą kołysankę, jaką śpiewa się małym dzieciom. Sephrenia westchnęła i zamknęła oczy.

— Potrzebny jej wypoczynek — rzekł Sparhawk do Flecika. — Czeka nas daleka podróż do groty Ghweriga. Spraw, by spała, dopóki nie zobaczymy lądu.

— Dobrze, mój drogi.

Do wybrzeża Thalesii dotarli około południa dnia następnego i kapitan Sorgi zawinął do małej zatoczki tuż na zachód od portowego miasta Emsat.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny za pomoc, kapitanie — dziękował Sparhawk Sorgiemu, gdy przygotowywali się do zejścia z pokładu.

— Cała przyjemność po mojej stronie, panie Cluff — rzekł Sorgi. — My, kawalerowie, musimy w takich sytuacjach trzymać się razem.

Sparhawk mrugnął porozumiewawczo.

Kurik sprowadził wierzchowce po trapie na plażę i zaraz żeglarze zaczęli manewrować ostrożnie, wyprowadzając statek z zatoczki.

— Czy zamierzasz jechać ze mną do Emsatu? — zapytał Talen. — Muszę pomówić ze Stragenem.

— Nie chcę pokazywać się w mieście — rzekł Sparhawk. — Wargun miał dość czasu, aby przysłać do Emsatu posłańca, a mnie raczej łatwo opisać.

— Ja z nim pojedę — zgłosił się Kurik. — Potrzebne nam będą zapasy.

— Dobrze. Jednakże najpierw ukryjmy się w lesie i przygotujmy do nocy.

Znaleźli małą polankę, rozbili obóz i późnym popołudniem Kurik z Talenem odjechali.

Sephrenia była blada i zmęczona. Siedziała przy ognisku trzymając miecz Gareda.

— Obawiam się, mateczko, że to nie będzie dla ciebie łatwe — powiedział Sparhawk ze smutkiem. — Musimy jechać szybko, jeżeli chcemy dotrzeć do groty Ghweriga, nim ten ją zapieczętuje zaklęciem. Czy nie mogłabyś mi przekazać tego miecza?

Czarodziejka potrząsnęła głową.

— Nie, mój drogi. Nie byłeś z nami w sali tronowej. Tylko ktoś z obecnych przy rzucaniu zaklęcia może przechowywać miecz pana Gareda.

— Tego się obawiałem. Zajmę się wieczszą.

Około północy wrócili Kurik i Talen.

— Mielicie jakieś kłopoty? — zapytał Sparhawk.

— Nic, o czym by warto było wspomnieć - odpowiedział Talen wznosząc ramionami. — Imię Platima otwiera wszystkie drzwi. Stragen powiedział nam jednak, że w północnych okolicach Emsatu roi się od rozbójników. Ma zamiar

dać nam uzbrojoną eskortę i zapasowe wierzchowce. Konie były pomysłem mego ojca.

— Będziemy mogli szybciej się poruszać zmieniając konie co godzina — wyjaśnił Kurik. — Stragen wyśle również zapasy razem z ludźmi, którzy z nami pojadą.

— Widzisz, dostojny panie, jak to miło mieć przyjaciół! — stwierdził chłopak. Sparhawk puścił tę uwagę mimo uszu.

— Czy ludzie Stragena przyjadą tutaj? — zapytał.

— Nie — odparł Talen. — Przed wschodem słońca spotkamy się z nimi około ligi od drogi biegnącej z Emsatu na północ. — Rozejrzał się dookoła. — Co jest na wieczerzę? Umieram z głodu.

Rozdział 24

O pierwszym brzasku ruszyli dalej, klucząc przez las. Zatrzymali się niedaleko traktu wiodącego z Emsatu na północ.

— Mam nadzieję, że Stragen dotrzymuje słowa — mruknął Kurik do Talena. — Nigdy dotąd nie byłem w Thalesii i nie bardzo mi się uśmiecha włączęga po nieprzyjaznym kraju bez rozeznania terenu.

— Stragenowi możemy zaufać, ojcie — odparł Talen z przekonaniem. — Thalezyjscy złodzieje szczególnie cenią sobie honor. To przed Cammoryjczykami należy się mieć na baczności. Cammoryjczyk nie oszuka cię tylko wtedy, gdy nie spodziewa się wyciągnąć z tego najmniejszej korzyści dla siebie.

— Hej, panie rycerzu — odezwał się cichy głos zza drzew.

Sparhawk natychmiast sięgnął po miecz.

— Nie ma potrzeby, dostojny panie — usłyszał. — Przysłał nas Stragen. Polecił nam, abyśmy zapewnili wam bezpieczny przejazd, bo w górach grasują rozbójnicy.

— A więc ukaż się mam, ziomku — powiedział Sparhawk.

— Ziomek. To mi się podoba. Twój ziomekowie zamieszkują bardzo rozległe tereny, ziomku.

— Ostatnio prawie cały świat — przyznał Sparhawk.

— A zatem witaj w Thalesii, ziomku. — Człowiek, który wyjechał z cienia, miał płowe włosy i dzierzył sprawiającą groźne wrażenie włócznię, przy siodle zaś miał przyczepiony topór. — Stragen mówił, że chcecie jechać na północ. Mamy towarzyszyć wam aż do Heidu.

— Dalej nie trzeba? — zapytał Sparhawk malutką Flecik.

— Nie — odpowiedziała. — Około ligi przed tym miejscem zjedziemy z drogi.

— Słuchasz rozkazów dziecka? — zapytał płowowłosy Thalezyjczyk z niedowierzaniem.

— Ona wie, dokąd się udajemy i zna drogę — odparł Sparhawk wzruszając ramionami. — Pamiętaj, nigdy nie kłóć się ze swym przewodnikiem.

— To pewnie racja, dostojny panie. Nazywam się Tel, jeżeli was to interesuje. Mam ze sobą kilkunastu ludzi, konie na zmianę i zapasy jedła, które zamówił twój człowiek, Kurik. — Potarł dłonią brodę. — To wszystko trochę mnie zastanawia, dostojny panie — przyznał. — Nigdy jeszcze nie widziałem, aby Stragen tak ochoczo zaopatrywał kogoś nieznanego.

— Czy słyszałeś kiedy o Platimie? — odezwał się Talen.

Tel rzucił chłopcu krótkie spojrzenie.

— Herszt z Cimmury? — zapytał.

— Tak, właśnie ten — Talen skinął głową. — Stragen ma wobec niego pewne zobowiązania. Ja pracuję dla Platima.

— To chyba wszystko wyjaśnia — przyznał Tel. — Dzień ucieka, dostojny panie — zwrócił się do Sparhawk. — Ruszamy?

— Czemu nie? — zgodził się Sparhawk.

Ludzie Tela nosili wygodne odzienie thalezyjskich wieśniaków i wyglądali na takich, którzy wiedzą, jak obchodzić się z bronią. Wszyscy byli jasnowłosi i mieli ponure oblicza ludzi nie dbających zbyt o konwenanse.

Gdy słońce weszło, cała kolumna ruszyła raźniejszym krokiem. Sparhawk zdawał sobie sprawę, że Tel i jego zabijacy znacznie opóźniają podróż, ale z drugiej strony cieszył się, że zapewniali bezpieczeństwo Sephrenii i Flecikowi. Przeczynał, że w górach czekają ich niemiłe przygody.

W dobrym tempie jechali przez rolniczą krainę, mijając stojące wzdłuż drogi schludne zabudowania gospodarcze. Na tak gęsto zaludnionym terenie żaden atak im raczej nie groził. Niebezpieczeństwo mogło nadejść dopiero w górach. Tego dnia jechali ostro i przebyli szmat drogi. Na noc rozbili obóz w pobliżu gościńca i następnego ranka wczesnie ruszyli dalej.

— Męczy mnie już to siedzenie w siodle — przyznał Kurik, gdy o świcie ruszyli w drogę.

— Myślałem, że zdążyłeś się do tego przyzwyczaić — powiedział Sparhawk.

— Sparhawk, przez ostatnie sześć miesięcy niemal nie zsiadaliśmy z koni. Zdaje mi się, że doszczętnie wytarłem siodło.

— Kupię ci nowe.

— Tak, żebym mógł się rozkoszować dopasowywaniem do niego mojego siedzenia? Nie, dziękuję.

Okolica zmieniła się, tu i ówdzie wznosiły się pagórki. Na północy widać już było pokryte lasem góry.

— Dostojny panie Sparhawk, jeżeli wolno mi coś doradzić — powiedział Tel — proponowałbym rozbicie obozu gdzieś tutaj. W górach grasują zbójcy i gdyby napadli na nas w nocy, moglibyśmy mieć pewne kłopoty. Nie odważą się zjechać tu, na równinę.

Sparhawk, choć niecierpliwił się z powodu opóźnienia, musiał przyznać, że Tel miał słuszość. Na bezpieczeństwie Sephrenii i Flecika zależało mu bardziej

niż na pośpiechu.

Nim słońce zaszło, znaleźli schronienie w cienistej dolince. Sparhawk mógł się przekonać, jak dobrze radzili sobie ludzie Tela przy wyszukiwaniu kryjówek.

Następnego ranka czekali aż się rozwidni, by ruszyć dalej.

— Znam trochę tych ludzi czających się w górach — mówił Tel, gdy jechali kłusem - - i wiem, że mają swoje ulubione miejsca, gdzie organizują zasadzki. Dam ci znać, jak się do nich zbliżymy. Najlepiej przejechać tamtędy galopem. W ten sposób zaskoczymy ich, będą potrzebować minuty albo dwóch, by dosiąść koni. Nim oni wyruszą w pościg, będziemy już daleko.

— Ilu ich bywa zazwyczaj? — zapytał Sparhawk.

— Cała grupa liczy dwudziestu czy trzydziestu. Ale pewnie będą rozdzieleni, żeby obstawić wszystkie miejsca na zasadzki.

— Twój plan nie jest zły, Telu — rzekł Sparhawk — ale myślę, że potrzebny nam lepszy. Przejedziemy galopem obok nich, tak jak proponowałeś, ale kiedy będą nas gonić, zawrócimy. Nie ma co pozwalać, aby dołączyli do tych, którzy czekają dalej na szlaku.

— Czyżbyś był spragniony krwi, dostojny panie Sparhawku?

— Mój pochodzący z Thalesii przyjaciel zwykł mnie pouczać, że nigdy nie należy zostawiać za sobą żywych wrogów.

— Jeżeli o to chodzi, to zapewne miał rację.

— A skąd ty znasz zwyczaje rozbójników z gór?

— Byłem jednym z nich, ale znudziło mi się spanie pod gołym niebem w niepogodę. Dlatego ruszyłem do Emsatu i zacząłem pracować dla Stragena.

— Jak daleko stąd do Heidu?

— Około pięćdziesięciu lig. Jeżeli się pośpieszymy, dojedziemy tam, zanim minie tydzień.

— Dobrze. A zatem ruszajmy.

Wjechali kłusem w góry, mając baczenie na drzewa i krzaki rosnące na poboczu.

— Tuż przed nami — powiedział Tel cicho. — To jedno z ich miejsc. Droga biegnie tam wąskim gardłem między skałami.

— W konie! — krzyknął Sparhawk i pogalopowali. Ze szczytu prostopadłej ściany po lewej stronie drogi dobiegł ich okrzyk zaskoczenia. Stał tam jakiś człowiek.

— Jest sam! — zawołał Tel, oglądając się przez ramię. — Wypatruje podróżnych, a potem ogniem daje znaki kamratom.

— Tym razem nie da — mruknął jeden z ludzi Tela, zdejmując z pleców duży łuk. Osadził w miejscu konia i wypuścił strzałę w kierunku czujki na szczycie skały. Obserwator, trafiony w brzuch, zgiął się wpół, spadł ze skały i leżał bez ruchu na drodze.

— Dobry strzał — pochwalił Kurik.

— Niezły — potwierdził łucznik skromnie.

— Czy myślisz, że ktoś usłyszał jego krzyk? — zapytał Sparhawk Tela.

— To zależy, jak są blisko. Pewnie nie bardzo rozumieją, dlaczego krzyknął tylko raz, więc kilku z nich może tu przyjechać, aby sprawdzić, co się stało.

— Niech no tylko przyjadą. — Mężczyzna z łukiem uśmiechnął się złowieszczo.

— Zwolnijmy, bo za jakimś zakrętem wpadniemy prosto na nich — poradził Tel.

— Dobry jesteś, Telu — powiedział Sparhawk.

— Mam praktykę, dostojny panie Sparhawk, i znam teren. Żyłem tu przez ponad pięć lat. Dlatego Stragen wysłał właśnie mnie, a nie kogoś innego. Wybacz, ale mam ochotę rozejrzeć się za tym zakrętem.

Zsunął się z konia i wziął włócznię. Pobiegł przed siebie skulony, tuż przed zakrętem utorował sobie drogę między krzakami i zniknął. Po chwili pojawił się ponownie. Dawał im jakieś znaki.

— Jest ich trzech — tłumaczył łucznik półgłosem. — Zbliżają się klusem. — Założył strzałę na cięciwę i uniósł łuk.

Sparhawk wyciągnął miecz.

— Osłoń Sephrenię — rzekł do Kurika.

Mężczyzna, który wyjechał z za zakrętu, spadł z siodła ze strzałą w szyi. Sparhawk potrząsnął wodzami i Faran zaatakował.

Dwóch następnych gapiło się w zdumieniu na swego powalonego kompana. Pierwszego Sparhawk jednym cięciem zwałił z konia. Drugi rzucił się do ucieczki, jednakże Tel wyłonił się z krzaków i ugodził go włócznią. Zbójca wydał gardłowy okrzyk i spadł z siodła.

— Łapcie konie! — krzyknął do swoich ludzi Tel. — Nie pozwólcie im wrócić tam, gdzie ukrywa się reszta łotrów!

Jego ludzie puścili się galopem za uciekającymi końmi i po kilku minutach przyprowadzili je z powrotem.

— Dobra robota — pochwalił Tel, wyciągając swą włócznię z trupa leżącego na drodze. — Obyło się bez krzyków i żaden nie uciekł. — Obrócił nogą ciało rozbójnika. — Znałem go — powiedział. — Tamci dwaj to chyba nowi. Zbójcy zazwyczaj nie żyją długo, więc Dorga ciągle musi przyjmować nowych.

— Kto to jest Dorga? — zapytał Sparhawk, zsiadając z konia.

— Przywódca tej bandy. Nigdy sobie z niego zbyt wiele nie robiłem. Jest trochę za bardzo zarozumiały.

— Wciągnijmy ich w krzaki — rzekł Sparhawk. — Lepiej, żeby dziecko nie widziało trupów.

Kiedy ukryli ciała, Sparhawk dał znak Sephrenii i Kurikowi, by wyjechali z za zakrętu. Ostrożnie ruszyli dalej.

— Może nam pójść łatwiej, niż się spodziewałem — powiedział Tel. — Myślę, że rozproszyli się w małych grupkach, by pilnować dłuższego odcinka drogi. Teraz zjedziemy z traktu i przejedziemy przez las, rozciągający się po lewej stronie. W ten sposób ominiemy kamienne usuwisko, gdzie Dorga ustawia zwykle kilku łuczników. Gdy już zostaną z tyłu, wyślę paru ludzi, aby się nimi zajęli.

— Czy to rzeczywiście jest konieczne? — zapytała Sephrenia.

— Trzymam się jedynie rad dostojnego pana Sparhawka — odpowiedział Tel. — Nie zostawiam za sobą żywych nieprzyjaciół, zwłaszcza kiedy są uzbrojeni w łuki. Ani ja, ani pani nie mamy przecież ochoty dostać strzałę w plecy.

Wjechali między drzewa i ostrożnie posuwali się naprzód. Jeden z ludzi Tela trzymał się skraju lasu i po kilku minutach dołączył do nich.

— Jest ich dwóch — relacjonował cicho. — Czają się około pięćdziesięciu kroków nad usuwiskiem.

— Weź dwóch ludzi — polecił Tel. — Dwieście kroków stąd jest zagajnik. Tam będziecie mogli przejść na drugą stronę drogi. Zajdźcie ich od tyłu. Starajcie się nie narobić hałasu.

Zarośnięty, jasnowłosy zabijaka uśmiechnął się szeroko, kiwnął na dwóch kompanów i ruszył do przodu.

— Zapomniałem już, jakie zbójctwo jest przyjemne — powiedział Tel. — Szczególnie przy dobrej pogodzie. Ale zimą jest marnie.

Ujechali już może z pół ligi od usuwiska, gdy dogoniło ich trzech drabów.

— Jak wam poszło? — spytał Tel.

— Na wpół drzemali — zachichotał jeden z nich. — Teraz już śpią snem wiecznym.

— Dobrze. — Tel rozejrzał się dookoła. — Możemy śmiało ruszyć galopem, dostojny panie Sparhawku. Przez kilka następnych lig pobocze jest puste i nie nadaje się na urządzenie zasadzek.

Galopowali prawie do południa, kiedy to dotarli na szczyt grani. Tel dał sygnał, aby się zatrzymali.

— Dalej może być różnie — rzekł do Sparhawka. — Droga biegnie dnem parowu i nie ma sposobu, by go obejść. To jedno z ulubionych miejsc Dorga, więc pewnie ustawił tu kilku ludzi. Myślę, że najlepszym sposobem będzie pędzić tędy na złamanie karku. Łucznikowi nie jest łatwo trafić z góry w ruchomy cel. Wiem, bo ja zawsze miałem z tym kłopot.

— Jak daleko do końca parowu?

— Około pół ligi.

— I cały czas będziemy widoczni z góry?

— Owszem.

— Więc nie mamy zbyt wielkich szans?

— Chyba że zechcesz poczekać, aż się ściemni, a wtedy reszta drogi do Heidu będzie dwa razy tak niebezpieczna.

— W porządku — zdecydował Sparhawk. — Znasz okolicę, więc prowadź. — Zdjął tarczę z haka przy siodle. — Sephrenio, ty pojedziesz tuż koło mnie. Będę osłaniać ciebie i małą Flecik tarczą. Prowadź, Telu.

Ich szalony zjazd w dół parowu zaskoczył ukrytych zbójców. Sparhawk dobiegło kilka zdumionych okrzyków ze szczytu zbocza i daleko za nim upadła pojedyncza strzała.

— Rozdzielić się! — krzyknął Tel. — Nie jechać gromadą!

Gnali dalej w dół. W powietrzu świstały następne strzały, jedna stuknęła o tarczę, którą Sparhawk osłaniał Sephrenię i dziewczynkę. Usłyszeli zdławiony krzyk, rycerz obejrzał się za siebie. Jeden z ludzi Tela chwiał się w siodle z oczyma pełnymi bólu i raptem spadł ciężko na ziemię.

— Pędźmy dalej! — wrzasnął Tel. — Zaraz stąd wyjedziemy!

Przed nimi droga opuszczała parów i biegła wśród kępy drzew, a potem zakręcała dookoła stromej skały.

Jeszcze kilka strzał posypało się ze zbocza parowu, ale wszystkie spadły daleko za nimi.

Przegalopowali przez kępę drzew i wzdłuż zbocza stromej skały.

— Nie zwalnijcie! — krzyknął Tel. — Niech pomyślą, że mamy zamiar tak pędzić całą drogę.

Galopowali dalej skrajem przepaści. Wtem szeroki występ, którym wiódł trakt, zakręcał ostro. Droga opadała w dół i niknęła w lesie. Tel wstrzymał spienionego konia.

— To mi wygląda na dobre miejsce — powiedział. — Droga się tu zwęża, więc będą jechali jeden za drugim lub najwyżej po dwóch obok siebie.

— Naprawdę myślisz, że chcą nas gonić? — zapytał Kurik.

— Znam Dorga. Choćby nawet nie wiedział dokładnie, kim jesteśmy, to przecież pewno nie chce, abyśmy dotarli do władz w Heidzie. Denerwuje go sama myśl o dużej grupie żołnierzy przetrząsających te góry. W Heidzie mają bardzo solidne szubienice.

— Czy ten las jest bezpieczny? — zapytał Sparhawk, wskazując w dół drogi.

Tel skinął głową.

— Zarośla są zbyt rzadkie na urządzenie zasadzki — dodał. — Parów, który właśnie minęliśmy, był ostatnim niebezpiecznym miejscem po tej stronie gór.

— Sephrenio, ukryj się tam — polecił Sparhawk. — Kuriku, ty pojedziesz z nią.

Z miny giermka można było wyczytać, że chce zaprotestować, ale nic nie powiedział. Poprowadził Sephrenię i dzieci w dół drogi, w kierunku lasu.

— Zaraz nadjadą — powiedział Tel. — Minęliśmy ich w szalonym pędzie, a oni będą próbowali nas dogonić. — Spojrzał na swego łucznika. — Jak szybko potrafisz strzelać? — zapytał.

— Na tyle szybko, by w powietrzu były jednocześnie trzy strzały.

— Postaraj się, żeby były cztery. Nie celuj zbyt starannie, wystarczy, jeśli trafisz w konia. Spadnie do przepaści i pociągnie za sobą jeźdźca. Ustrzel, ilu możesz, a potem my zaatakujemy. Co sądzisz o tym, dostojny panie Sparhawku?

— Da się zrobić — rzekł Sparhawk. Przełożył tarczę do lewej ręki i wyciągnął miecz.

Zza ostrego zakrętu dobiegł ich tętent szybko nadjeżdżających skalnym występem koni. Łucznik Tela zsiadł z rumaka i powiesił kołczan ze strzałami na karłowatym drzewku, tak aby mieć go pod ręką.

— Telu, zapłacisz mi ćwierć korony od sztuki — powiedział spokojnie, wyciągając strzałę z kołczana i zakładając ją na cięciwę. — Dobre strzały są kosztowne.

— Wystaw rachunek Stragenowi — zaproponował Tel.

— Stragen bardzo ociąga się z płaceniem. Ty daj mi pieniądze, a potem sam się z nim wyklócaj.

— Zgoda — oświadczył Tel trochę zły.

— Nadjeżdżają — powiedział jeden z zabijaków. Nie okazywał większego podniecenia.

Pierwszych dwóch, którzy wypadli z zakrętu, pewnie nawet ich nie dostrzegło. Małomówny łucznik Tela naprawdę był tak dobry, za jakiego się podawał. Obaj jeźdźcy spadli z siodła, jeden na pobocze, a drugi w przepaść. Ich konie pobiegły jeszcze kilka kroków i zatrzymały się, gdy ujrzały jeźdźców Tela blokujących drogę.

Następna para wypadła z ostrego zakrętu. Łucznik wypuścił dwie strzały, ale jednego nie trafił.

— Pochylił głowę — tłumaczył się. — Zobaczmy, jak poradzi sobie z tą strzałą. — Naciągnął łuk. Cięciwa jęknęła i grot ugodził jeźdźca w czoło. Zbójnik zachwiał się, przechylił do tyłu i spadł, kopiąc nogami ziemię.

Zza zakrętu wyłoniła się cała grupka zbójców. Łucznik wypuścił kilka strzał w ich kierunku.

— Telu, zaczynaj już — powiedział. — Nadjeżdżają trochę za prędko.

— Ruszajmy! — krzyknął Tel, umieszczając włócznię pod pachą. Przypominał teraz rycerza atakującego z pochyloną kopią. Jego zabijacy mieli osobliwie różnorodną broń, ale posługiwali się nią z dużą wprawą.

Ponieważ Faran był najsilniejszym i najszybszym z koni, Sparhawk wyprzedził wszystkich na tym krótkim odcinku drogi. Wpadł w środek zdumionej grupy zbójców, tnąc mieczem na prawo i lewo. Rozbójnicy nie mieli na sobie kolczug, więc ostrze Sparhawka zadawało im głębokie rany. Dwóch próbowało parować jego bezlitosne ciosy swymi zardzewiałymi mieczami, ale Sparhawk był wytrawnym szermierzem i potrafił celnie ciąć nawet z półobrotu. Obaj mężczyźni z jękiem zwalili się na ziemię, ściskając kurczowo kikuty prawych rąk.

Na końcu grupki zbójców jechał rudobrody mężczyzna. Widząc, co się dzieje, zawrócił konia. Tel z rozwianym włosom wyminał pędem Sparhawka i pognął za

nim. Wkrótce obaj znikli za zakrętem.

Ludzie Tela podążali za Sparhawkim, z brutalną skutecznością torując sobie drogę wśród napastników.

Sparhawk popędził Farana i minął zakręt. Jak się okazało, Tel już zwałił rozbójnika z siodła. Rudobrody wił się w konwulsjach na ziemi, a z pleców sterczała mu włócznia. Tel zsiadł z konia i przykucnął przy umierającym.

— Nie wyszło ci to na dobre, Dorga — powiedział niemal przyjaźnie. — Mówiłem ci już dawno temu, że rabowanie podróżnych to ryzykowne zajęcie. — Wyciągnął włócznię z pleców swego niegdysiejszego dowódcy i z niewzruszonym spokojem kopnął go. Dorga spadł do przepaści. Przez chwilę zza krawędzi skały dobiegał jego cichnący, rozpaczliwy krzyk.

— No cóż — rzekł Tel do Sparhawka — to chyba załatwia całą sprawę. Jedźmy na dół. Do Heidu jeszcze kawałek drogi.

Ludzie Tela zrzucili w przepaść trupy i rannych łotrów.

— Podróż będzie już bezpieczna — rzekł Tel. — Niech kilku z was zostanie i zajmie się ich końmi. Powinniśmy dostać za nie niezłą cenę. Reszta pojedzie z nami. Ruszajmy, dostojny panie Sparhawku.

Dni zdawały się ciągnąć nieznośnie. Przemierzali bezludne góry centralnej Thalesii. Jechali i jechali. Pewnego popołudnia Sparhawk ściągnął wodze Farana i zaczął aż pojedzie Sephrenia z Flecikiem.

— Wydaje mi się, że jesteśmy w drodze przynajmniej pięć dni — powiedział do dziewczynki. — A jak jest naprawdę?

Mała uśmiechnęła się i podniosła dwa paluszki.

— Znowu bawisz się czasem, tak? — spytał z pretensją w głosie.

— Oczywiście — odpowiedziała. — Nie kupiłeś mi kotka, choć obiecywałeś, więc muszę się czymś zająć.

Dał za wygraną. Nic na świecie nie jest tak niezmiennie jak wschód i zachód słońca, ale zdawało się, że Flecik była w stanie zmienić rytm dnia i nocy. Sparhawk pamiętał zakłopotanie Beviera, gdy dziewczynka cierpliwie tłumaczyła mu niewytłumaczalne. Zdecydował, że nie ma ochoty doświadczyć czegoś podobnego osobiście.

Minęło kilka następnych dni — choć Sparhawk nie dałby głowy, czy to prawda. O zachodzie słońca płowowłosa Tel podjechał do rycerza.

— Widzisz ten dym? — zapytał. — To dymią kominy w Heidzie. Tu ja i moi ludzie zawracamy. W Heidzie wyznaczono nagrodę za moją głowę i wciąż na mnie polują. Oczywiście to wszystko jest wynikiem nieporozumienia, ale wyjaśnienia bywają męczące, szczególnie gdy stoi się na drabinie z pętlą na szyi.

— Fleciku — rzucił Sparhawk przez ramię — czy Talen zrobił już to, co miał tu do zrobienia?

— Tak.

— Tak też myślałem. Telu, wyświadcz mi przysługę i odwieź chłopca do Stragena. Zajdź go od tyłu — ale uważaj, ma nóż za pasem! — skrępuj mocno, wsadź na siodło i pod końskim brzuchem zwiąż mu nogi. Zabierzemy go w drodze powrotnej.

— Masz chyba jakieś ważne powody, by o to prosić — powiedział Tel.

Sparhawk skinął głową.

— Tam, dokąd jedziemy, jest bardzo niebezpiecznie — stwierdził. — Ojciec chłopca i ja wolelibyśmy go raczej nie narażać.

— A dziewczynka?

— Ona potrafi o siebie zadbać, i to pewnie lepiej niż ktokolwiek z nas.

— Wiesz co, dostojny panie Sparhawk — powiedział Tel sceptycznie — jako chłopiec chciałem zostać Rycerzem Kościoła. Teraz cieszę się, że mi się to nie udało. Zachowujecie się czasami tak, jakby wam brakowało piątej klepki.

— To pewnie przez te modły — wysunął przypuszczenie Sparhawk. — One człowiekowi mącą w głowie.

— Powodzenia, dostojny panie Sparhawk — rzekł krótko Tel.

Po chwili wraz z dwoma swymi ludźmi bez ceregieli zrzucił Talena z siodła. Rozbroili go i przywiązali do końskiego grzbietu. Zaraz odjechali na południe. Przewiska, jakie Talen wykrzykiwał w kierunku Sparhawka, świadczyły o bardzo bogatym repertuarze i w większości były mało pochlebne.

— Ona chyba nie rozumie tych wszystkich słów, co? — zapytał Sparhawk Sephrenię, patrząc znacząco na dziewczynkę.

— Przestań w końcu mówić tak, jakby mnie tu nie było — przerwała mu Flecik ze złością. — Wiem, co oznaczają te słowa, ale język Elenów jest bardzo ubogi w przekleństwa. Język Styrików jest pod tym względem o wiele bogatszy, ale jeżeli naprawdę chcesz zlorzeczyć, to spróbuj mowy trolli.

— Znasz język trolli? — zapytał zdumiony.

— Oczywiście. A co, nie wszyscy go znają? Słuchaj, nie mamy po co jechać do Heid. To nieciekawe miasto — nic, tylko błoto, gnijące belki i spleśniałe strzechy. Okrążymy je od zachodu i znajdziemy dolinę, którą pojedziemy dalej.

Minęli Heid i wjechali w coraz bardziej strome góry. Flecik z napięciem obserwowwała okolicę i w końcu wyciągnęła paluszek przed siebie.

— Tu — powiedziała. — Skręcamy w lewo.

Zatrzymali konie przed wjazdem do doliny i z niedowierzaniem przyglądali się drodze, którą im wskazała. Była to raczej wąska ścieżka niż droga, a na dodatek miejscami nikła wśród skał.

— Nie wygląda to zbyt obiecująco — rzekł Sparhawk z powątpiewaniem. — Zdaje się, że od lat nikt tędy nie jechał.

— Z tego szlaku nie korzystają ludzie — tłumaczyła Flecik cierpliwie. — To ścieżka czegoś w rodzaju dzikiej zwierzyny.

— Jakiej zwierzyny?

— Spójrz tutaj.

Wyciągnęła rączkę w kierunku głazu, na którym ktoś wyrył dłutem prymitywny rysunek. Był bardzo stary i zniszczony. Przedstawiał jakiegoś ohydneho stwora.

— Co to jest? — zapytał Sparhawk.

— Ostrzeżenie — odpowiedziała Flecik spokojnie. — To wizerunek trolla.

— Zabierasz nas do krainy trolli? — zapytał rycerz z przestrachem.

— Sparhawk, przecież Ghwerig jest trollem. Jak myślisz, gdzie miałyby mieszkać?

— Czy nie ma innej drogi do tej grotty?

— Nie, nie ma. Potrafię odstraszyć każdego trolla, któremu zdarzy się wejść nam w drogę, a ogry w ciągu dnia nie wychodzą ze swoich kryjówek, więc nie powinny nam przeszkodzić.

— Ogry też tu są?

— Oczywiście. One zawsze żyją na tym samym terenie co trolle. Wszyscy o tym wiedzą.

— Ja nie wiedziałem.

— No cóż, to już teraz wiesz. Tracimy tylko czas, Sparhawk.

— Będziemy musieli jechać gęsiego — rycerz zwrócił się do Kurika i Sephrenii. — Trzymajcie się mnie jak najbliżej. Nie rozdzielajmy się. — Ruszył kłusem ścieżką, trzymając w dłoni włócznię Aldreasa.

Dolina, do której przywiodła ich Flecik, była wąska i ponura. Strome ściany porastały wysokie jodły, tak ciemne, że niemal czarne, a same stoki były na tyle wysokie, że słońce rzadko zaglądało w to mroczne miejsce. Środkiem wąskiej rozpadliny płynęła hucząc i pieniając się górską rzeką.

— To jest gorsze od drogi do Ghasku! — Kurik próbował przekrzyczeć huk spadającej wody.

— Każ mu być cicho — powiedziała Flecik do Sparhawka. — Trolle mają bardzo dobry słuch.

Sparhawk odwrócił się w siodle i położył palec na ustach. Kurik skinieniem głowy dał znak, że zrozumiał.

Lasy rosnące na obu stromych stokach były gęsto poznaczone martwymi, pobielalymi pniami. Sparhawk nachylił się i przysunął wargi do uszka Flecika.

— Co jest przyczyną śmierci tych drzew? — zapytał szeptem.

— W nocy wychodzą ogry i ogryzają korę. W końcu drzewa umierają.

— Sądziłem, że ogry są mięsożerne.

— Ogry jedzą wszystko. Czy nie możesz jechać prędzej?

— Nie tędy. To bardzo zła ścieżka. Czy dalej będzie lepsza?

— Po wydostaniu się z tej doliny wyjedziemy na bardziej płaski teren.

— Płaskowyż?

— Nazwij to, jak chcesz. Jest tam kilka wzgórz, ale możemy je obejść. Wszystko tam porasta wysoka trawa.

— A zatem będziemy mogli przyspieszyć. Czy ten płaskowyż ciągnie się aż do groty Ghweriga?

— Niezupełnie. Będziemy musieli wjechać na skały.

— Mówiłaś, że byłaś już tam kiedyś. Kto cię niósł?

— Nikt, byłam sama. Ktoś, kto znał drogę, powiedział mi, jak dostać się do groty.

— A czemu chciałaś się tam dostać?

— Miałam coś ważnego do zrobienia. Czy naprawdę musisz tyle mówić? Staram się usłyszeć trolle.

— Przepraszam.

— Cicho, Sparhawk! — Dziewczynka położyła paluszek na ustach.

Dzień później dotarli na płaskowyż. Zgodnie z tym, co powiedziała Flecik, był to rozległy, pagórkowaty, porośnięty trawą teren, otoczony ze wszystkich stron pokrytymi śniegiem szczytami.

— Ile czasu jeszcze zajmie nam podróż? — zapytał Sparhawk.

— Nie jestem pewna — odparła Flecik. — Ostatnim razem byłam tu na własnych nogach. Konie powinny iść znacznie szybciej.

— Byłaś tu sama i szłaś na własnych nogach wśród trolli i ogrów? — Rycerz nie wierzył własnym uszom.

— Nie widziałam żadnego z nich. Przez kilka dni siedł za mną niedźwiadek. Myślę, że był po prostu ciekawy, ale przestało mnie bawić jego towarzystwo, więc sprawiłam, aby odszedł.

Sparhawk postanowił nie zadawać jej więcej pytań. Odpowiedzi były zbyt niepokojące.

Zielona równina zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Jechali całymi godzinami, ale krajobraz nie zmieniał się. Słońce opadło nisko nad śnieżne szczyty. Rozbili obóz w małej kępie karłowatych sosen.

— To wielka kraina — powiedział Kurik, rozglądając się dookoła. Otulił się szczelniej płaszczem. — I zimno tu po zachodzie słońca. Teraz rozumiem, czemu większość Thalezyjczyków nosi futra.

Spętali konie, aby się nie zabłąkały. Rozpalili ognisko.

— Na tych łąkach nie ma prawdziwych niebezpieczeństw — zapewniała ich Flecik. — Trolle i ogry wolą pozostawać w lesie. Łatwiej im polować, gdy mogą ukrywać się za drzewami.

Następny ranek wstał pochmurny, a z gór spływał chłodny wiatr. Wysokie trawy falowały jak morze. Tego dnia ostro popędzali konie i wieczorem dotarli do podnóża białych szczytów.

— Dziś nie możemy rozpałać ognia — powiedziała Flecik. — Ghwerig mógłby to dostrzec.

— Jesteśmy aż tak blisko? — zapytał Sparhawk.
— Widzisz ten parów?
— Tak.
— Grota Ghweriga jest na jego końcu.
— Czemu więc po prostu tam nie pójdziemy?
— To nie byłby dobry pomysł. Nie można nocą zakraść się do trolla. Wyruszymy jutro, kiedy słońce będzie wysoko. Trolle za dnia zwykle drzemią. Prawdę mówiąc, nigdy nie śpią twardym snem, ale są trochę mniej czujne, gdy słońce wszędzie.
— Zdaje się, że sporo wiesz na ich temat.
— Niezbyt trudno czegoś się dowiedzieć, jeżeli się wie, kogo pytać. Zrób Sephrenii herbatę i trochę gorącej zupy. Jutro czeka nas ciężki dzień i potrzebne jej będą wszystkie siły.
— Niełatwo ugotować zupę bez ognia.
— Och, Sparhawk, wiem o tym. Jestem mała, ale nie jestem głupia. Ułóż stertę kamieni przed namiotem. Ja zajmę się resztą.
Mamrocząc coś pod nosem rycerz zrobił to, o co prosiła.
— Odsuń się — powiedziała. — Nie chcę cię poparzyć.
— Poparzyć? Jak?
Dziewczynka zaczęła śpiewać cicho, a potem wykonała rączką szybki gest. Niemal w tej samej chwili Sparhawk poczuł bijący od kamieni żar.
— Użyteczne zaklęcie — powiedział z uznaniem.
— Zaczynaj gotować, Sparhawk. Nie mam zamiaru utrzymywać kamieni w tym stanie przez całą noc.
Sparhawk ustawił czajniczek Sephrenii na rozgrzanych kamieniach. W ciągu minionych tygodni przestał myśleć o Fleciku jak o dziecku. Mówiła i zachowywała się jak dorosła dama i wysługiwała się nim jak lokajem. A co najdziwniejsze, bez namysłu jej słuchał.
„Sephrenia miała rację — dumiał rycerz. — Ta dziewczynka jest jednym z najpotężniejszych magów w całym Styricum”. Przyszło mu na myśl niepokojące pytanie. Ile lat miała naprawdę Flecik? Czy styricki mag może zmieniać swój wiek? Wiedział, że ani Sephrenia, ani Flecik nie odpowiedzą mu na te pytania, więc zajął się gotowaniem, starając się więcej nie zaprzętać tym sobie głowy.
Obudzili się o świcie, ale Flecik nalegała, aby czekali do późnego ranka, nim wejdą w górę parowu. Poleciała im również zostawić konie w obozie, jako że stukot podków na kamieniach mógł wzbudzić czujność ukrytego w grocie trolla.
Parów był wąski. Między pionowymi ścianami zalegał gęsty mrok. Posuwali się kamienistym dnem, stawiając ostrożnie stopy, by nie potraścić któregoś z luźnych kamieni. Odzywali się rzadko i jedynie szeptem. Sparhawk niósł starożytną włócznię. Nie wiedział sam, czemu ją wziął, ale wydawało mu się, że tak właśnie należy.

Trasa ich wspinaczki robiła się coraz bardziej stroma i zmuszeni byli teraz wdrapywać się na wielkie, okrągłe głazy. Gdy zbliżyli się do końca parowu, Flecik dała im znak, by stanęli. Sama podpełzła jeszcze trochę dalej. Potem zawróciła.

— Jest w środku — szepnęła — i już zaczął swoje czary.

— Czy wejście do grotty jest zablokowane? — odszepnął Sparhawk.

— Można tak rzec. Gdy tam dotrzemy, nie będziesz mógł go zobaczyć. Sprawiał, iż wejście wydaje się częścią stromej ściany. Ta iluzja jest na tyle silna, że nie uda nam się przez nią przejść po prostu. Musisz użyć włóczni, aby się przedrzeć. — Poszeptała chwilę z Sephrenią. — A zatem — powiedziała biorąc głęboki oddech — ruszajmy.

Po chwili znaleźli się w ponurej kotlinie pełnej kolczastych krzaków i łysych, białych pni. Z jednej strony kotlinki wznosiła się stromo skalna ściana. Nie widać w niej było najmniejszej szczeliny.

— Oto jest — szepnęła Flecik.

— Jesteś pewna, że to właśnie tu? — odszepnął Kurik. — Wygląda na litą skałę.

— To tu. Ghwerig ukrył wejście. — Poprowadziła ich prawie niewidoczną ścieżką do ściany. — Dokładnie tutaj — powiedziała cicho, kładąc rączkę na skale. — Słuchajcie, co zrobimy. Sephrenia i ja spleciemy zakłęcie. Gdy je uwolnimy, spłynie na ciebie, Sparhawk. Przez chwilę będziesz jak ogłuszony, a potem uczujesz w sobie rosnącą moc. We właściwym czasie powiem ci, co musisz uczynić. — Zaczęła śpiewać cichutko, a Sephrenia niemal niedosłyszalnie poczęła wypowiadać styrickie słowa. Potem obie zgodnym ruchem wskazały na Sparhawk.

Oczy przesłoniła mu mgła i omal nie stracił równowagi. Stał się bardzo słaby, włócznia trzymana w ręku nieznośnie mu ciążyła. Wtem, równie nagle, broń zdała się lekka jak piórko. Poczł wzbierającą moc zakłęcia.

— Teraz skieruj włócznię na skałę — usłyszał głos Flecika.

Uniósł ramię.

— Idź do przodu, dopóki nie dotkniesz ściany — mówiła dalej.

Zrobił dwa kroki i poczuł, że ostrze włóczni oparło się o twardą skałę.

— Uwolnij moc poprzez włócznię.

Rycerz skoncentrował się, zbierając wszystkie siły. Czuł, że pierścień na jego lewej dłoni pulsuje. Gdy już był gotów, przesał moc wzdłuż drzewca włóczni do szerokiego ostrza.

Lita skała zafalowała i znikła, odsłaniając nieregularny otwór.

— Oto jest grotta Ghweriga — powiedziała Flecik triumfalnym szeptem. — A teraz chodźmy odszukać trolla.

Rozdział 25

W grocie pachniało stęchlizną oraz wieczną wilgocią ziemi i skał. Z ciemności, z dala, dobiegał odgłos kapiących kropli wody.

— Gdzie on może być? — szepnął Sparhawk do Flecika.

— Troll lubi patrzeć na swoje skarby, zaczniemy więc od skarbca — wskazała w kierunku wylotu korytarza.

— Tam jest zupełnie ciemno — powiedział rycerz z powątpiewaniem.

— Ja się tym zajmę — rzekła Sephrenia.

— Tylko po cichutku — ostrzegła Flecik. — Nie wiemy dokładnie, gdzie jest Ghwerig, a on potrafi słyszeć i czuć magię. — Dziewczynka przyjrzała się uważnie Sephrenii. — Dobrze się czujesz? — zapytała.

— Już nieco lepiej — odparła czarodziejka, przekładając miecz Gareda do prawej dłoni.

— Dobrze. Ja nie będę mogła tu wiele zdziałać. Ghwerig rozpoznałby mój głos. Prawie wszystko będziesz musiała zrobić sama.

— Dam sobie radę — powiedziała Sephrenia, ale jej głos zabrzmiał słabo. Uniosła miecz. — I tak muszę go nieść, więc posłużę się nim. — Mruczała coś przez chwilę, a potem wykonała drobny gest lewą ręką. Na końcu klingi rozżarzyła się maleńka iskierka. — To daje niewiele światła — przyjrzała się swemu dziełu krytycznie — ale musi nam wystarczyć. Gdybym sprawiła, by płonęło mocniej, Ghwerig mógłby je zobaczyć.

Uniosła miecz wyżej i powiodła ich ku wejściu do korytarza. W ponurych ciemnościach błyszczący czubek ostrza wyglądał niemal jak robaczek świętojański, ale rzucał akurat tyle światła, że mogli odnaleźć drogę i omijać przeszkody.

Korytarz cały czas opadał i zakręcał w prawo. Gdy przeszli kilkaset kroków, Sparhawk zdał sobie sprawę, że nie było to naturalne przejście, ale musiało zostać wykute w skale. Tworzyło spiralę prowadzącą w dół.

— Jak Ghwerig to zrobił? — szepnął do Flecika.

— Użył Bhelliomu. Stary korytarz jest o wiele dłuższy i bardziej stromy. Ghwerig ma tak powykręcane członki, że wydostanie się z groty zajmowało mu całe dnie.

Starali się iść jak najciszej. W pewnym miejscu ich droga przecinała wielką pieczarę. Z jej stropu zwisały wapienne stalaktyty, z których kapała woda. Potem korytarz biegł dalej w skale. Od czasu do czasu ich słabe światełko płoszyło zwi-sające ze stropu kolonie nietoperzy i przerażone zwierzęta z piskiem odlatywały zbite w ciemne stado.

— Nie cierpię nietoperzy! — Kurik wstrząsnął się z obrzydzeniem.

— One nic ci nie zrobią — szepnęła Flecik. — Nietoperz nigdy na ciebie nie wpadnie, nawet w całkowitej ciemności.

— Mają tak dobre oczy?

— Nie, uszy.

— Czy ty wiesz wszystko? — szepnął Kurik nieco opryskliwie.

— Jeszcze nie, ale wciąż się uczę. Masz coś do jedzenia? Zgłodniałam.

— Wziąłem trochę suszonej wołowiny. — Kurik sięgnął pod opończę, która przykrywała jego skórzany kaftan. — Jest jednak bardzo słona.

— W grocie znajdę pod dostatkiem wody. — Dziewczynka wzięła od niego kawałek twardego mięsa. — Rzeczywiście, dosyć słone — przyznała, z trudem przetykając kęs.

Ruszyli dalej. Wtem ujrzeni z przodu słabe światło, które w miarę jak schodzili krętym korytarzem w dół, stawało się coraz jaśniejsze.

— Doszliśmy do skarbcza Ghweriga — szepnęła Flecik. — Pójdę się rozejrzeć. — Podpełzła do przodu i po chwili wróciła. — Jest tam, znaleźliśmy go — powiedziała, a na jej twarzyczce pojawił się uśmiech.

— Czy to on czymś tak świeci? — szepnął Kurik.

— Nie. To światło dzienne. Do groty z powierzchni ziemi wpływa strumień i tu tworzy wodospad, który ginie w głębi ziemi. O określonej porze dnia wraz z wodą wpada tu światło słoneczne. — Mówiła teraz normalnym głosem. — Wodospad tak huczy, że troll nas nie może słyszeć. Jednak nadal musimy być ostrożni. Oczy Ghweriga uchwycą każdy ruch. — Powiedziała coś do Sephrenii. Styrica czarodziejka skinęła głową, wyciągnęła dłoń i dwoma palcami zgasiła iskierkę na końcu miecza. Potem zaczęła splatać zakłęcie.

— Fleciku, co ona robi? — zapytał Sparhawk.

— Ghwerig gada sam do siebie i być może powie coś użytecznego dla nas. Mówi językiem trolli, więc Sephrenia sprawi, byśmy go zrozumieli.

— Czy to znaczy, że on zacznie mówić językiem Elenów?

— Nie. Zakłęcie nie jest skierowane na niego. — Dziewczynka uśmiechnęła się swoim diabełkowanym uśmiechem. — Uczyłeś się wielu rzeczy, Sparhawk. Teraz będziesz rozumiał mowę trolli, choć tylko przez jakiś czas.

Sephrenia uwolniła zakłęcie. W jednej chwili Sparhawk zaczął słyszeć o wiele więcej, niż podczas długiego zejścia krętą galerią. Odgłos wpadającego do jaskini wodospadu przeszedł niemal w ryk, a chrapliwy szept Ghweriga stał się zupełnie wyraźny.

— Poczekajmy tu jakiś czas — powiedziała Flecik. — Ghwerig jest wyrzutkiem spośród trolli, w samotności rozmawia sam z sobą i mówi wszystko, co przyjdzie mu na myśl. Możemy się sporo dowiedzieć podsłuchując. Ach, nie powiedziałam ci jeszcze, że on naprawdę ma koronę króla Saraka z Bhelliomem.

Sparhawk poczuł przypływ podniecenia. Rzecz, której od tak dawna poszukiwał, była teraz nie dalej jak o kilkaset kroków od niego.

— Co troll teraz robi? — zapytał dziewczynkę.

— Siedzi na brzegu czeluści, którą wyrzeźbił w skale wodospad. Wszystkie jego skarby piętrzą się dookoła niego. Liże Bhelliom, żeby go oczyścić z torfowego nalotu. To dlatego nie możemy w tej chwili zrozumieć ani słowa. Podejdźmy bliżej, ale trzymajcie się z dala od wylotu korytarza.

Podczołgali się w kierunku światła. Byli tuż przy wejściu do skarbcza. Światło odbite od wodospadu migotało i drżało. Było osobliwe niczym tęcza.

Nie widzieli Ghweriga, ale słyszeli jego głos:

— Rabusie! Złodzieje! — Głos tak chrapliwy nie mógłby wydobyć się z ust Elena czy Styrika. — Brudna. Cała brudna. — Usłyszeli mlaskanie językiem. Troll znów lizał swój skarb. — Rabusie już wszyscy martwi! — Ghwerig zachichotał odrażająco. — Wszyscy martwi. Ghwerig nie martwy i jego róża w końcu wrócić do domu.

— On jest chyba niespełna rozumu — mruknął Kurik.

— Zawsze taki był — rzekła Flecik. — Jego umysł jest równie pokręcony, jak jego ciało.

— Błękitna różo, przemów do Ghweriga! — rozkazał niewidoczny troll. Wtem rzucił okropnym przekleństwem na boginię Styrików, Aphrael. — Ty zwrócić pierścienie! Zwrócić pierścienie! Bhelliom nie mówić do Ghweriga, bo Ghwerig nie mieć pierścieni! — Rozległo się jakieś bulgotanie i Sparhawk zrozumiał, że bestia płacze. — Samotny — szlochał troll. — Ghwerig bardzo samotny!

Sparhawk poczuł, że ogarnia go trudna do zniesienia litość dla pokracznego karła.

— Przestań! — powiedziała ostro Flecik. — To cię osłabia, a masz z nim walczyć. Jesteś teraz naszą jedyną nadzieją, Sparhawk, i twoje serce musi być twarde jak gład.

Potem Ghwerig przemówił używając tak pokrętnych zwrotów, że nie było dla nich odpowiedników w języku Elenów.

— Wzywa bogów trolli — wyjaśniła cicho Flecik. Zadarła do góry głowę. — Słuchajcie! — krzyknęła prawie. — Bogowie trolli odpowiadają mu.

Przytłumiony ryk wodospadu zmienił swoje brzmienie, stał się bardziej dudniący, budził tysiączne echa w czeluściach podziemi.

— Musimy go zabić jak najszybciej — powiedziała dziewczynka tonem mrozącym krew w żyłach. — On nadal ma w swoim warsztacie kilka kawałków oryginalnego szafiru. Bogowie trolli poradzili mu wykuć nowe pierścienie. Obiecali

napełnić je siłą zdolną uwolnić moc Bhelliomu. Wtedy Ghwerig nas zniszczy.

Troll upiornie zachichotał.

— Azash, Ghwerig pobić cię! Azash bóg, ale Ghwerig pobić go. Teraz Azash nigdy nie zobaczyć Bhelliomu.

— Czy Azash go usłyszy? — zapytał Sparhawk.

— Prawdopodobnie — powiedziała Sephrenia z całkowitym spokojem. — Azash zna brzmienie własnego imienia. Słucha, gdy ktoś się zwraca do niego.

— Ludzkie coś pływać w jeziorze, by znaleźć Bhelliom — gadał do siebie Ghwerig. - - Owadzie coś patrzeć z chwastów i widzieć. Ludzkie coś odeszło. Owadzie coś przyprowadzić ludzkie coś bez mózgów. Ludzkie coś pływać w wodzie. Wiele utonąć. Jedno ludzkie coś znaleźć Bhelliom. Ghwerig zabić ludzkie coś i zabrać błękitną różę. Azash chceć Bhelliom? Azash przyjsć do Ghweriga! Ghwerig ugotować Azasha w ogniu bogów trolli. Ghwerig nie jeść bóg-mięso nigdy jeszcze. Ghwerig ciekaw, jak bóg-mięso smakować.

Z głębi ziemi dobiegło dudnienie i zdawało się, że grota zadrżała w posadach.

— Azash z pewnością go słyszał — powiedziała Sephrenia. — Trzeba niemal podziwiać to pokraczne stworzenie. Nikt nigdy nie rzucił w twarz żadnego Starszego Boga takiej zniewagi.

— Azash szaleć na Ghweriga? — mówił troll. — A może Azash drzeć ze strachu? Ghwerig mieć teraz Bhelliom. Wkrótce zrobić pierścienie. Ghwerig nie potrzebować bogów trolli potem. Gotować Azasha w ogniu Bhelliomu. Gotować wolno, by sok się nie wypalić. Ghwerig zjeść Azasha. Kto modlić się do Azasha, gdy Azash głęboko w brzuchu Ghweriga?

Tym razem dudnieniu towarzyszył odgłos roztrzaskiwanych w głębi ziemi skał.

— Można powiedzieć, że ryzykuje głowę, co? — wycedził Kurik przez zaciśnięte zęby. — Ja bym sobie z Azasha nie żartował.

— Ghweriga ochraniają bogowie trolli — odparła Sephrenia. — Nawet Azash nie chce starcia z nimi.

— Złodzieje! Wszyscy złodzieje! — krzyczał troll. — Aphrael ukraść pierścienie! Adian z Thalesii ukraść Bhelliom! Teraz Azash i Sparhawk z Elenii próbować ukraść go od Ghweriga znów! Błękitna różo, przemów do Ghweriga! Ghwerig samotny!

— Jak on się o mnie dowiedział? — Sparhawk zdziwił się niepomiernie.

— Bogowie trolli są starzy i bardzo mądrzy — odpowiedziała Sephrenia. — Niewiele dzieje się na świecie, o czym by nie wiedzieli i tym, którzy im służą, przekazują swą wiedzę, ale nie za darmo.

— Jaka zapłata mogłaby zadowolić boga?

Sephrenia zadrżała.

— Mój drogi, wznos modły, abyś się tego nigdy nie dowiedział.

Troll znów się odezwał:

— Dziesięć lat Ghwerig rzeźbić jeden płatek błękitnej róży. Ghwerig kochać błękitną różę. Czemu ona milczeć? — Przez pewien czas mamrotał coś niezrozumiale. — Pierścienie. Ghwerig zrobić pierścienie, to Bhelliom mówić znów. Spalić Azasha w ogniu Bhelliomu. Spalić Sparhawk w ogniu Bhelliomu. Spalić Aphrael w ogniu Bhelliomu. Wszystkich spalić. Wszystkich spalić. Wtedy Ghwerig jeść.

— Chyba już czas zaczynać — rzekł Sparhawk ponuro. — Zdecydowanie nie chcę, żeby ta bestia rozpoczęła pracę w warsztacie. — Sięgnął po miecz.

— Użyj włóczni — powiedziała Flecik. — Troll mógłby wyrwać ci miecz z ręki, ale włócznia ma w sobie dość mocy, aby go powstrzymać. Proszę, mój czcigodny ojciec, nie daj się zabić. Potrzebuję ciebie.

— Będę walczył także o swoje życie — przyrzekł rycerz.

— Ojciec? — powtórzył Kurik ze zdziwieniem.

— Tak mówią Styrycy — wytłumaczyła trochę pośpiesznie Sephrenia, patrząc niepewnie na małą Flecik. — Tak się zwracają do ludzi darzonych szacunkiem... i miłością.

W tym momencie Sparhawk uczynił coś, czego prawie nigdy nie robił. Złożył dłonie jak do modlitwy i nisko skłonił się przed Flecikiem, tym dziwnym styryckim dzieckiem.

Dziewczynka radośnie klasnęła w rączki, a potem rzuciła się rycerzowi na szyję i głośno go ucałowała swymi różanymi usteczkami.

— Ojciec — westchnęła.

Sparhawk zażenowany odwrócił wzrok. Pocałunek Flecika nie był całusem małej dziewczynki.

— Czy głowa trolla jest twarda? — zapytał opryskliwie Kurik. Był najwyraźniej równie jak Sparhawk zaniepokojony jawnym okazywaniem uczuć przez dziewczynkę, w sposób mało właściwy dla jej wieku. Potrząsnął swym obuchem. Zabrzęczał łańcuch, na którym wisiała kolczasta żelazna kula.

— Ghwerig ma bardzo twardą czaszkę — odpowiedziała Flecik.

— Słyszeliśmy, że jest zdeformowany. Jakie ma nogi? — pytał dalej Kurik.

— Słabe. Tyle że może stać.

— A zatem, Sparhawk — zaczął giermek tonem rzemieślnika mówiącego o swej pracy — ja zajdę trolla z boku i będę go tym smagał po kolanach, udach i kostkach. — Machnął swym obuchem aż zaświstało. — Jeżeli uda mi się powalić go na ziemię, wbij mu włócznię w bebechy, a ja spróbuję rozwalić mu łeb.

— Kuriku, czy musisz mówić tak obrazowo? — zaprotestowała Sephrenia.

— To będzie walka na śmierć i życie, mateczko — odrzekł Sparhawk. — Musimy dokładnie wiedzieć, co zamierzamy robić, żebyśmy sobie nawzajem nie przeszkadzali. Dobrze, Kuriku, chodźmy. — Spokojny i skupiony podszedł do wylotu korytarza. Nie kryjąc się wszedł do groty.

Grota była cudownym miejscem. Jej sklepienie ginęło w fioletowych cieniach, a wodospad niczym lśniąca, złocista mgła opadał w niewyobrażalnie głęboką przepaść, w której głuchy ryk spadającej wody odbijał się nieskończonym echem. Ściany, ciągnące się daleko jak okiem sięgnąć, połyskiwały żyłami złota oraz mieniącymi się wszystkimi barwami tęczy drogimi kamieniami, z których każdy wart był co najmniej królewskiego berła.

Pokraczny, karłowaty troll, włochaty i groteskowy, przykucnął nad brzegiem przepaści. Wokół niego piętrzyły się stosy bryłek czystego złota oraz sterty drogocennych kamieni. Ghwerig trzymał w prawej dłoni pokrytą plamami koronę króla Saraka zwieńczoną Bhelliomem, szafirową różą. Klejnot zdawał się jarzyć, jakby skupiał i odbijał całe światło, wpadające wraz z wodą. Sparhawk po raz pierwszy patrzył na najcenniejszą na świecie rzecz i przez chwilę stał w miejscu jak zaczarowany. Potem postąpił krok naprzód, trzymając w lewej dłoni nisko pochyloną, starożytną włócznię. Nie był pewien, czy zaklęcie rzucone przez Sephrenię umożliwi trollowi zrozumienie jego słów, ale czuł wewnętrzny przymus, by przemówić. Nie potrafił tak po prostu, bez słowa, unicestwić tego potwora o zdeformowanym ciecie.

— Przybyłem po Bhelliom — powiedział. — Jam jest Sparhawk. Nie jestem Adianem, królem Thalesii, a więc nie będę próbował cię przechytrzyć. Będę walczył i zabiorę to, po co przybyłem. Broń się, jeśli potrafisz. — Nawet w tej sytuacji starał się, żeby jego słowa brzmiały jak najbardziej formalne wyzwanie.

Ghwerig, ohydne monstrum o powykręcanych członkach, wstał i obnażył złote kły warcząc z nienawiścią.

— Ty nie zabrać Bhelliomu, Sparhawk z Elenii. Ghwerig zabić pierwszy. Ty tu umrzeć i Ghwerig jeść. Nawet błady Bóg Elenów nie ocalić teraz Sparhawk.

— To się jeszcze okaże — odparł rycerz z lodowatym spokojem. — Potrzebuje Bhelliomu na jakiś czas, a potem go zniszczę, by nie wpadł w ręce Azasha. Poddaj się albo zginiesz.

Troll wybuchnął odrażającym śmiechem.

— Ghwerig umrzeć? Ghwerig nie umrzeć nigdy! Ghwerig nieśmiertelny, Sparhawk z Elenii. Ludzkie coś nie może zabić Ghweriga.

— Tego również jeszcze nie wiadomo.

Z zimną rozwągą Sparhawk ujął włócznię w obie dłonie i ruszył na potwora. Kurik, ze zwisającym mu w prawej ręce obuchem, wyszedł z wylotu korytarza i obszedł swego pana dookoła, aby zająć trolla z boku.

— Dwóch?! — wykrzyknął Ghwerig. — Niech Sparhawk sprowadzić i sto ludzkie coś! — Troll pochylił się i podniósł ze stosu drogocennych kamieni olbrzymią kamienną maczugę. — Ty nie zabrać Bhelliomu, Sparhawk z Elenii. Ghwerig zabić pierwszy. Ty tu umrzeć i Ghwerig jeść. Nawet Aphrael nie uratować teraz Sparhawk. Małe ludzkie coś skazane na zagładę. Ghwerig świętować tej nocy. Pieczony ludzki stwór bardzo soczysty.

Troll wstrętnie zamlaskał. Wyprostował się, prężąc złowrogo porośnięte futrem piersi. Sparhawk zobaczył, że określenie „karzeł” w odniesieniu do trolla było bardzo mylące. Ghwerig, choć kaleki, był przynajmniej tak wysoki jak on sam. Ramiona trolla, poskręcane niczym stare konary, zwisały mu niżej kolan. Twarz miał raczej zarośniętą sierścią niż brodą, a jego zielone ślepia żarzyły się wrogo. Troll poczłapał do przodu, kołysząc olbrzymią maczugą. W lewej dłoni nadal ścisnął koronę króla Saraka z mieniącym się na jej szczycie Bhelliomem.

Kurik zamachnął się obuchem na kolana potwora, ale Ghwerig niemal ze wzgardą zablokował uderzenie kamienną maczugą.

— Uciekać, słabe ludzkie coś! — wychrypiał. — Każde mięso strawa, każde mięso Ghwerig jeść.

Machnął swą straszliwą, prymitywną bronią. Jego nienormalnie długie ramiona czyniły go bardzo niebezpiecznym. Kurik uskoczył do tyłu. Nabijana żelaznymi ćwiekami kamienna maczuga ze świstem mignęła mu tuż przed oczyma.

Sparhawk ruszył do przodu, chcąc zadać cios w brzuch trolla, ale Ghwerig i to uderzenie odparował.

— Za wolno, Sparhawku z Elenii — roześmiał się chrapliwie.

Wtem obuch Kurika trafił go w lewe udo. Ghwerig padł na plecy, lecz wywinął się zwinnie niczym kot. Walnął maczugą w stos błyszczących drogocennych kamieni, rozpryskując je dookoła jak pociski. Kurik zamrugał powiekami i wolną ręką otarł oczy z krwi płynącej z rozcięć na czole.

Sparhawk ponownie natarł swą włócznią i zranił trolla w brzuch. Ghwerig ryknął z bólu i wściekłości. Zamachnął się maczugą szeroko. Sparhawk uskoczył do tyłu, z zimnym spokojem wypatrując odsłoniętego miejsca na ciele bestii. Zorientował się, że troll nie zna uczucia lęku. Żadna siła nie skłoni go do odwrotu. Rycerz wiedział, że musi zadać śmiertelny cios. Ghwerig toczył z ust pianę, a jego ślepia płonęły szałem. Zionął straszliwymi przekleństwami i znowu zaatakował ogromną kamienną maczugą.

— Trzymaj go z dala od krawędzi przepaści! — krzyknął Sparhawk do Kurika. — Jeżeli spadnie, nigdy nie odnajdziemy korony!

Wtem znalazł rozwiązanie. Muszą zmusić bestię, by upuściła koronę. Stało się jasne, że nawet we dwóch nie są w stanie stawić czoła temu nędnemu stworowi z długimi ramionami i ślepiami pałającymi nienawiścią. Będą mieć szansę tylko wtedy, gdy doprowadzą go do wściekłości lub czymś go zaskoczą. Podniósł prawicę, aby zwrócić uwagę Kurika, potem gestem zobrazował, że coś trzyma w rękę i drugą dłonią podbił łokieć. Kurik patrzył na tę pantomimę niewiele rozumiejąc, ale po chwili zmrużył oczy i skinął głową. Pojął zamiar Sparhawk. Obszedł Ghweriga z lewej strony, trzymając obuch w pogotowiu.

Sparhawk uchwycił mocniej włócznię i udał atak. Ghwerig machnął maczugą w kierunku wysuniętej broni i rycerz uskoczył do tyłu.

— Pierścienie Ghweriga! — zawołał troll z triumfem. — Sparhawk z Elenii

przynieść pierścienie Ghwerigowi. Ghwerig czuć ich obecność! — Z przerażliwym rykiem rzucił się do ataku, ale nie sięgnął rycerza.

Kurik znów uderzył i trafił. Kolczasta kula wyrwała kawał mięsa z grubego ramienia trolla, Ghwerig jednakże nie zwrócił uwagi na ranę i nacierał wciąż, świszcząc przed Sparhawkiem maczugą. W lewej dłoni mocno ścisnął koronę.

Sparhawk ustępował mu pola. Dopóki troll miał koronę, rycerz musiał trzymać go z dala od krawędzi przepaści.

Kurik ponownie zamierzył się swoim obuchem, ale Ghwerig wykonał unik i kula na łańcuchu minęła jego włochaty łokieć. Okazało się, że spływająca posoką rana osłabiła trolla bardziej, niż się to zrazu zdawało. Bestia zachwiała się na nogach. Sparhawk momentalnie to wykorzystał i z szybkością błyskawicy pchnął raniąc Ghweriga w prawe ramię. Potwór zawył, bardziej ze wściekłości niż bólu, i znowu zamachnął się maczugą.

A wtedy Sparhawk usłyszał za sobą czysty, dźwięczny głos Flecika, wzbijający się ponad ryki bestii. Ghwerig wybałuszył ślepie i rozdziawił szeroko gębę.

— Kobieta-dziecko! — wrzasnął. — Teraz Ghwerig ci zapłacić! Kobieta-dziecko już nigdy więcej nie śpiewać!

Flecik śpiewała dalej. Sparhawk na chwilę oderwał wzrok od potwora i zerknął za siebie. Dziewczynka stała u wylotu korytarza, z tyłu za nią widać było pełną niepewności twarz Sephrenii. Sparhawk wyczuł, że pieśń małej Flecik nie była zakłębieniem, ale miała na celu odwrócenie uwagi trolla, by on lub Kurik mogli zaskoczyć bestię. Ghwerig poczłapał do przodu i machnął swoją maczugą, chcąc zmusić Sparhawka do ustąpienia mu drogi. Ślepie trolla były utkwione w dziecku. Jego oddech charczał pomiędzy zaciśniętymi kłami. Kurik uderzył obuchem w plecy potwora, ale Ghwerig jakby w ogóle nie odczuł tego ciosu, wpatrując się w styryckie dziecko. Wreszcie Sparhawk dostrzegł swoją szansę. W momencie gdy troll go mijał, młóćąc powietrze kamienną maczugą, szeroki zamach odsłonił porośnięty sierścią bok. Rycerz uderzył ze wszystkich sił i zatopił szerokie ostrze starożytnej włóczni tuż pod żebrami bestii. Troll zawył, gdy grot zagłębił się w jego skórze. Próbował zadać cios maczugą, ale Sparhawk wyszarpnął włócznię i uskokzył do tyłu. W tej samej chwili Kurik smagnął swym obuchem w pokręconie wykręcone prawe kolano i Sparhawk usłyszał przyprawiający o mdłości chrzęst łamanych gnatów. Ghwerig zachwiał się, upuścił maczugę, a wtedy rycerz odwrócił włócznię i dźgnął nią w brzuch trolla.

Ghwerig zaryczał straszliwie. Sparhawk jął okręcać włócznię, tnąc ostrym jak brzytwa grotem wnętrzości potwora. Troll chwycił drzewce chcąc wyciągnąć ostrze z rany, jednakże korona nadal tkwiła w mocno zaciśniętej, zniekształconej lewej dłoni bestii. Sparhawk zrozumiał, że jedynie śmierć może rozluźnić ten żelazny chwyt.

Wreszcie Ghwerig upadł i wyrywając włócznię ze swych trzewi poranił się jeszcze okrutniej. Kurik uderzył go obuchem w twarz, wybijając mu jedno ślepie.

Potwór z upiornym wyciem potoczył się w kierunku przepaści, rozrzucając po drodze swoje skarby. Nagle wydał okrzyk triumfu i przechylił się poza krawędź, ciągle trzymając mocno koronę króla Saraka.

Sparhawk, pełen bolesnego niedowierzania, rzucił się na skraj przepaści i spojrział w dół z rozpaczą. Zdeformowane, pokraczne cielsko spadało wciąż głębiej i głębiej w przerażającą ciemność. I wtedy rycerz usłyszał tupot bosych stóp po kamiennej podłodze grotu. Obok niego z rozwianymi czarnymi włosami przebiegła Flecik. Ku swemu przerażeniu ujrzał, że dziewczynka bez najmniejszego wahania podbiegła prosto na skraj przepaści i skoczyła za spadającym trollem.

— Boże! — krzyknął, wyciągając za nią ręce. U jego boku Kurik z twarzą wykrzywioną przerażeniem patrzył w bezdenną czeluść.

Nieoczekiwanie obok nich pojawiła się Sephrenia z mieczem Gareda w dłoni.

— Uczynić coś, Sephrenio — błagał Kurik.

— Nie ma takiej potrzeby — odparła czarodziejka ze spokojem. — Jej nic nie może się stać.

— Przecież...

— Cicho, Kuriku. Ja słucham.

Światło bijące od wodospadu przygasło, jakby gdzieś wysoko nad nimi chmura przesłoniła słońce. Ryk spadającej wody zdawał się sztydzić z ludzkiej rozpacz. Sparhawk czuł, że po policzkach płyną mu strumienie łez.

Raptem w nieprzejranych ciemnościach bezdennej czeluści dojrzał coś, niby skrę światła. Stopniowo jaśniała, jakby unosila się do góry w tej niewyobrażalnej otchłani. Widział ją coraz wyraźniej. Zdawało się, że to lśniąca włócznia z jaskrawobiałego światła, mająca zamiast grota intensywnie niebieską iskierkę na szczycie, wznosi się wciąż wyżej i wyżej.

Z czeluści wynurzał się Bhelliom spoczywając na świetlistej rączce malutkiej Flecik. Sparhawk patrzył oniemiały. Wyłaniającą się z ciemności postać dziewczynki tworzyła przejrzysta, świecąca mgła. Flecik z odwiecznym, niewzruszonym spokojem na szczupłej twarzyczce trzymała nad głową w jednej ręce szafirową różę. Drugą rączkę wyciągnęła do Sephrenii. Ku przerażeniu Sparhawka jego ukochana nauczycielka zeszła z krawędzi przepaści.

Ale nie spadła.

Spokojnie podeszła, aby wziąć z dłoni Flecika Bhelliom, stąpając nad czeluścią, jakby szła po ziemi. Odwróciła się i przemówiła do Sparhawka:

— Odkręć drzewce włóczni i włóż królewski pierścień na prawicę, w przeciwnym razie Bhelliom zniszczy cię, gdy go przejmiesz ode mnie.

Flecik z uniesioną w górę twarzą śpiewała radosną pieśń, w której brzmiało wiele głosów. Sephrenia w geście bezmiernej miłości wyciągnęła rękę, by dotknąć niematerialnej twarzyczki dziewczynki. Postąpiła krok, wróciła znad otchłani i stanęła na skalnej podłodze skarbcza trolla, trzymając delikatnie Bhelliom w obu dłoniach.

— Tu kończy się twa misja, dostojny panie Sparhawk — powiedziała z powagą. — Wyciągnij przed się swe dłonie, by ode mnie i od mojej bogini-dziecka, Aphrael, przejąć Bhelliom,

W jednej chwili zrozumieli wszystko. Sparhawk wraz z Kurikiem padli na kolana i rycerz otrzymał szafirową różę z rąk Sephrenii. Czarodziejka uklękała między zbrojnymi mężami. Z uwielbieniem wpatrywali się w świetliste oblicze tej, którą zwali Flecik.

Wiekuiata bogini-dziecko Aphrael uśmiechnęła się do nich nadal wznosząc swój głos w chóralnym śpiewie, który wypełniał grootę migotliwym echem. Poświata prześwietlająca jej mglistą postać jaśniała i nabierała blasku, a ona sama niczym strzała pomknęła w górę.

I znikła.

Tak kończy się „Rubinowy rycerz”, druga księga dziejów Elenium.

Ostatnie tajemnice potężnego Bhelliomu odsłoni księga trzecia „Szafirowa róża”.